



J.R.
WARD

PRZYGOTUJCIĘ SIĘ
NA GRZESZNĄ PRZYJEMNOŚĆ

KRÓLOWIE
BOURBONA

MARGINESY



J.R.
WARD

KRÓLOWIE
BOURBONA

PRZEŁOŻYŁA AGNIESZKA WILGA

MARGINESY

Książkę dedykuję mojemu ukochanemu dżentelmenowi z
Południa Johnowi Neville'owi Blakemore'owi Trzeciemu,
bez którego to przedsięwzięcie, jak i wiele innych, nie byłoby możliwe.



SERDECZNIE ZAPRASZAMY

NA

*Uroczyste
Śniadanie*

Z OKAZJI

139. Charlemant Derby

W SOBOTĘ, 4 MAJA,

O GODZINIE 10.00

W EASTERLY

RSVP newarkharris@gmail.com

Charlemont, Kentucky

Nad leniwie płynącą rzeką Ohio unosiła się mgła, niczym Boże tchnienie, a drzewa rosnące przy drodze biegnącej wzdłuż rzeki od strony Charlemont przybrały tak wiele odcieni wiosennej zieleni, że aby je ogarnąć, człowiek musiałby dysponować szóstym zmysłem. Błękit nieba był przytłumiony i matowy (na Północy takie zjawisko obserwuje się wyłącznie w lipcu), a choć minęło dopiero wpół do ósmej, temperatura przekroczyła już dwadzieścia stopni.

Był pierwszy tydzień maja – najważniejsze siedem dni w kalendarzu, z którymi nie mogły się równać ani Boże Narodzenie, ani Święto Niepodległości, ani sylwestrowe hulanki.

W sobotę miały się odbyć sto trzydzieste dziewiąte derby w Charlemont.

Co oznaczało, że wszystkich mieszkańców stanu Kentucky ogarniało czystej krwi wyścigowe szaleństwo.

Lizzie King właśnie zbliżała się do zjazdu z autostrady prowadzącego do jej pracy. Już od trzech tygodni funkcjonowała na pełnej adrenalinie, a na podstawie doświadczeń z lat poprzednich wiedziała, że ten gorączkowy nastrój nie opuści jej aż do czasu, gdy w sobotę wszystko zostanie uprzątnięte. Tyle dobrego, że przynajmniej jechała, jak zwykle, w stronę przeciwną niż wszyscy zmierzający do centrum, więc pokonywała trasę dość szybko. Dojazd zajmował jej czterdzieści minut w każdą stronę, ale nawet w godzinach szczytu nigdy nie tkwiła w koszmarnych korkach typowych dla Nowego Jorku, Bostonu czy Los Angeles (co przy jej obecnym stanie umysłu groziłoby atakiem apopleksji). Na te czterdzieści minut składało się dwadzieścia osiem minut podróży przez pola Indiany, następnie sześć minut mozolnego przebijania się przez most i rozjazdy, a na koniec jeszcze sześć do dziesięciu minut trasy biegnącej wzdłuż rzeki, w stronę przeciwną do głównego nurtu ruchu ulicznego.

Czasem miała nieodparte wrażenie, że w tę samą stronę co ona jadą wyłącznie samochody pozostałych pracowników Easterly.

No właśnie, Easterly.

Usytuowana na najwyższym wzniesieniu aglomeracji Charlemont posiadłość rodziny Bradfordów (Bradford Family Estate, w skrócie BFE) obejmowała rezydencję o powierzchni niemal dwóch tysięcy metrów kwadratowych, trzy ogrody w stylu francuskim, dwa baseny oraz widok na pełną panoramę hrabstwa Washington. Na terenie posesji stało też dwanaście domków pracowników obsługi, jak również dziesięć budynków gospodarczych. Do posiadłości należała też w pełni wydajna farma o powierzchni ponad czterdziestu hektarów, stajnia na dwadzieścia koni, którą przerobiono na centrum biznesowe, a także dziewięciodołkowe pole golfowe.

Oświetlone.

Na wypadek gdyby ktoś nagle o pierwszej w nocy zapragnął poćwiczyć precyzję uderzeń.

Z tego, co słyszała, tę ogromną posiadłość rodzina Bradfordów otrzymała w roku 1778, podczas wojny o niepodległość, gdy jej pierwszy reprezentant przybył tu z Pensylwanii z oddziałami podpułkownika George'a Rogersa Clarka i sprowadził tym samym do powstającego właśnie stanu zarówno własne ambicje, jak i rodzinną tradycję wyrobu bourbona. A teraz, po niemal dwustu pięćdziesięciu latach od tego zdarzenia, klasycystyczną rezydencję na wzniesieniu otaczała posiadłość o rozmiarach niedużego miasteczka, a obsługę całości zapewniały siedemdziesiąt dwie osoby, zatrudnione w pełnym lub niepełnym wymiarze godzin.

Każdy z pracowników musiał się dostosować do istic feudalnych zasad oraz systemu kastowego jakby żywcem wyjętego z serialu *Downton Abbey* – choć w porównaniu z tutejszym rygorem zasady narzucane przez hrabinę wdowę Grantham mogłyby się wydawać nieco zbyt postępowe. Lepszym porównaniem byłoby chyba panowanie Wilhelma Zdobywcy.

Jeśli więc na przykład (oczywiście to sytuacja czysto hipotetyczna, rodem z telewizyjnego serialu) tutejsza ogrodniczka zakocha się w jednym z synów tego szacownego rodu, wówczas... Nawet jeśli jest ona wysokiej klasy specjalistką uznaną w całym kraju i posiada dyplom architektury krajobrazu Uniwersytetu Cornell oraz należy do

dwuosobowego zespołu zarządzającego wszystkimi ogrodami posiadłości, to po prostu nie ma mowy.

Trochę jak w filmie *Sabrina* – tylko bez happy endu.

Lizzie zaklęła i włączyła radio z nadzieją, że uciszy w ten sposób swoje rozszalałe myśli. Niewiele to jednak pomogło. System głośników zainstalowany w jej toyocie yaris lepiej by się sprawdził w domku dla Barbie – przez kółeczka zamieszczone w drzwiach miała niby płynąć muzyka, ale tak naprawdę był to pic na wodę. W każdym razie dochodzące teraz z tych rozetek piskliwe brzęczenie wiadomości nie działało kojąco.

Zaraz zresztą zagłuszyło je wycie syren karetki nadjeżdżającej z tyłu. Lizzie ostro przyhamowała i zjechała na pobocze. Gdy migoczący, hałaśliwy pojazd ją wyminął, wróciła na drogę prowadzącą zamaszystym łukiem wzdłuż rzeki. I oto ona: wspaniała biała rezydencja Bradfordów, wznosząca się wysoko ku niebu królewska, symetryczna bryła opleciona promieniami porannego słońca.

Lizzie wychowała się w miasteczku Plattsburgh w stanie Nowy Jork, w otoczeniu jabłoniowego sadu.

Co, do diabła, strzeliło jej do głowy, kiedy dwa lata temu wpuściła do swojego życia Lane'a Baldwin'a, najmłodszego syna tego rodu?

I dlaczego wciąż, choć minęło tyle czasu, rozważa najrozmaitsze szczegóły z tym związane?

Przecież nie jest pierwsza, która dała mu się oczarować i uwieść...

Lizzie zmarszczyła brwi i pochyliła się nad kierownicą.

Karetki jechała teraz z boczem wzgórza, w stronę rezydencji. Klonowa aleja rozbłyskiwała czerwono-białymi smugami światła.

– O Boże... – szepnęła Lizzie, wstrzymując oddech.

Żeby tylko nie chodziło o tę osobę, która nasuwała jej się na myśl...

Ale bez przesady, nie można przecież mieć aż takiego pecha.

I czy to nie żalosne, że właśnie w ten sposób o tym myśli, zamiast się przejąć losem osoby, której coś się stało, może zachorowała lub straciła przytomność?

Minęła zamykającą się właśnie bramę z kutego żelaza ozdobioną rodowym monogramem, a następnie, jakieś trzysta metrów dalej, skręciła w prawo.

Jako osoba zatrudniona w rezydencji miała obowiązek korzystać z bramy dla personelu – od tej zasady nie było wyjątków.

Jak by to bowiem wyglądało, gdyby przed rezydencją zauważono pojazd o wartości poniżej stu tysięcy dolarów...?

Uznała, że zrobiła się już zbyt zgryźliwa. Jak skończy się to derby, musi sobie zrobić wakacje, zanim wszyscy dookoła uznają, że przechodzi menopauzę o dwie dekady za wcześnie.

Terkoczący niczym maszyna do szycia silnik samochodu zwiększył obroty, gdy wjechała na prostą drogę otaczającą wzgórze. Najpierw dotarła do pola przygotowanego pod zasiew kukurydzy, na którym porozrzucano już nawóz. Następnie zaś minęła ogród kwiatowy, gdzie kwitły pierwsze byliny i rośliny jednoroczne – główki młodych piwonii były już całkiem spore, a barwą przypominały rumieńce na policzkach naiwnej panienki. Dalej stały storczykarnie oraz szkółki sadzonek, za nimi budynki gospodarcze pełne sprzętów rolniczych i ogrodowych, a na samym końcu rzędy trzy- i czteropokojowych domków utrzymanych w estetyce lat pięćdziesiątych, w jednym i tym samym, przeciętnym stylu – niczym puszki na mąkę i cukier ustawione na kuchennym blacie.

Lizzie wjechała na parking dla personelu i wysiadła z samochodu, zostawiając w nim przenośną lodówkę, kapelusz i torebkę, w której miała krem z filtrem.

Podbiegła do głównego budynku gospodarczego, a następnie przez niezabudowane wejście po lewej stronie wkroczyła do ciemnego wnętrza, gdzie unosił się zapach benzyny i oleju. Gabinet Gary'ego McAdamsa, głównego zarządcy, znajdował się nieco z boku. Mleczne szyby pozwalały dostrzec, że w środku pali się światło i ktoś się przemieszcza.

Weszła bez pukania. Mocno pchnęła cienkie drzwi i znalazła się w środku, nie zwracając uwagi na półnagie panienki z kalendarza Pirellego.

– Gary...

Sześćdziesięciodwuletni zarządca odkładał właśnie słuchawkę telefonu, którą trzymał w swojej niedźwiedziej łapie. Jego ogorzała od słońca twarz o skórze grubej jak kora drzewa wyglądała wyjątkowo ponuro. Wystarczyło, że spojrział na nią znad zabałaganionego biurka, a już wiedziała, po kogo przyjechała karetka – zanim jeszcze

wypowiedział imię tej osoby.

Lizzie zakryła twarz dłońmi i oparła się o framugę.

Współczuła oczywiście rodzinie, ale nie potrafiła się powstrzymać przed odnoszeniem tej tragedii do samej siebie.

Najchętniej poszłaby gdzieś zwymiotować.

Jeden jedyny człowiek, którego miała nadzieję już nigdy nie zobaczyć, przyjedzie teraz do domu.

Właściwie mogłaby już chyba włączyć stoper.

Nowy Jork

– No już, przecież wiem, że mnie pragniesz.

Jonathan Tulane Baldwin ominął wzrokiem biodro oparte o stół przy jego stosie żetonów do pokera.

– Stawiajcie, chłopaki.

– Hej, do ciebie mówię – znad trzymanego przez niego w dłoniach wachlarza z kart wyłoniła się para ledwie częściowo zakrytych sztucznych piersi. – Czeeść...

Lane uznał, że musi zacząć udawać zainteresowanie czymkolwiek innym. Szkoda tylko, że kawalerkę usytuowaną w samym środku śródmiejskiego wieżowca urządzono w stylu czysto funkcjonalnym. A po co miałyby się gapić w twarze tych niedobitków, którzy wytrwali przez osiem godzin, odkąd zaczęli grać? Jediną wartością, jaką reprezentowali, była umiejętność ciągłego podbijania stawki. O wpół do ósmej rano nie chciało mu się już męczyć oczu próbami odgadywania wysyłanych przez nich sygnałów, nawet jeśli miałyby to pozwolić mu uniknąć natarczywych zaczepk.

– Czeeeeść...

– Daj sobie spokój, skarbie, on nie jest zainteresowany – mruknął któryś z graczy.

– Przecież mną każdy się interesuje!

– Ale nie on – zawyrokował Jeff Stern, rzucając na stół żetony o wartości tysiąca dolarów. – Prawda, Lane?

– Jesteś gejem? Czy on jest gejem?

Lane przełożył królową kier na miejsce obok króla kier, a przy niej położył waleta. Miał ochotę popchnąć na podłogę te paplające sztuczne

cycki.

- Dwóch z was jeszcze nie postawiło.
- Ja pasuję, Baldwine. To zbyt dużo jak na mnie.
- Ja wchodzę, jeśli ktoś mi pożyczy tysiąka.

Jeff rzucił wzrokiem na Lane'a siedzącego po drugiej stronie stolika pokrytego zielonym sukmem.

- I znów zostaliśmy sami, Baldwine – powiedział.
- Chętnie przejmę twoją kasę – mruknął Lane, wyrównując karty w dłoni. – Twoja kolej.

Dziewczyna znów się nad nim pochyliła.

- Ale masz świetny południowy akcent.

Jeff zmrużył oczy za szklami okularów w przezroczystych oprawkach.

- Zejdź z niego, laleczko.
- Nie jestem głupia – mruzczała. – Dobrze wiem, kim jesteś i ile masz forsy. Piję waszego bourbona.

Lane wyprostował się i zwrócił do durnia, który sprowadził tę przeszkadzajkę.

- Billy? No naprawdę...
- Dobra, dobra. – Facet, który wcześniej chciał pożyczyć tysiąka, podniósł się z krzesła. – I tak słońce już wstało. Idziemy!
- Ale ja chcę zostać...
- Nie ma mowy, koniec. – Billy wziął za ramię panienkę z rozdętym ego i poprowadził ją do drzwi. – Zabiorę cię do domu. A on nie jest tym, za kogo go bierzesz. Na razie, łajdaki!

- A właśnie, że jest! Widziałam zdjęcia w gazetach!

Zanim jeszcze drzwi się zamknęły, wstał kolejny zawodnik, całkiem już splukany.

- Ja też spadam. Przypomnijcie mi, że mam już nigdy z wami nie grać.

– Nie mam zamiaru – oświadczył Jeff, unosząc w górę dłoń. – Pozdrów ode mnie żonę.

- Możesz ją sam pozdrowić, jak się spotkamy przy szabacie.
- Co, znowu?
- Jak co piątek. Skoro ci się nie podoba, to po co wciąż do nas

zaglądasz?

– Darmowe żarcie. Prosta sprawa.

– Jasne, bo potrzebujesz jałmużny.

No i zostali sami. Na stole, obok popielniczki pełnej kiepów, leżały żetony o wartości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów i dwie talie kart. No i nie było już sztucznych cycków.

– Twoja kolej – powiedział Lane.

– On chyba chce się z nią ożenić – mruknął Jeff, rzucając na środek stołu kolejne żetony. – Znaczy Billy. Masz tu dwadzieścia tysięcy.

– Powinien odwiedzić psychiatrę. – Lane przyjął stawkę swojego kolegi ze studiów, a następnie ją podwoił. – Żałośni są, oboje.

– Mogę cię o coś spytać? – zagadnął Jeff, opuszczając karty.

– Byle o nic trudnego. Jestem pijany.

– Kręca cię?

– Żetony? – Gdzieś w kącie rozległ się dzwonek komórki.

– Pewnie. Możesz ich wrzucić trochę więcej...

– Nie, kobiety.

– Słucham? – Lane podniósł wzrok znad kart.

Stary kumpel oparł łokieć o zielone sukno i pochylił się w jego stronę. Krawat gdzieś mu przepadł już na samym początku gry, a śnieżnobiała krochmalona koszula zrobiła się miękka i luźna niczym koszulka polo. Wzrok miał jednak uważny i przenikliwy.

– Nie będę się powtarzał. Wiem, że to nie moja sprawa, ale słuchaj: ile już czasu minęło, odkąd tu przyjechałeś? Prawie dwa lata. Śpisz na mojej kanapie, nie pracujesz, co zresztą mogę zrozumieć, zważywszy na twoje pochodzenie. Ale żeby tak żadnych kobiet, żadnych...

– Za dużo myślisz, Jeff.

– Mówię poważnie.

– To stawiaj!

Komórka ucichła. Ale Jeff nie miał zamiaru zamilknąć.

– Czasy studenckie są już dawno za nami. Wszystko się zmienia.

– Najwyraźniej nie wszystko, skoro dalej śpię na twojej kanapie.

– Co się z tobą dzieje, stary?

– Umarłem z nudów, czekając, aż postawisz zakład albo się wycofasz.

– To jeszcze dwadzieścia tyśi – mruknął Jeff, rzucając na stół stos czerwonych i niebieskich żetonów.

– I o to chodzi! – Komórka znów się rozdzwoniła. – Przyjmuję. I podbijam do pięćdziesięciu. O ile się przymkniesz.

– Jesteś pewien?

– Że masz się przymknąć? O, tak.

– Agresywna gra w pokera z bankierem inwestycyjnym takim jak ja? Trzeba choć trochę wierzyć stereotypom. Jestem chciwy i umiem świetnie liczyć. W odróżnieniu od ludzi twojego pokroju.

– Mojego pokroju?

– Ludzie tacy jak wy, Bradfordowie, nie wiedzą, jak się zarabia pieniądze. Nauczono was tylko, jak je wydawać. W przeciwieństwie jednak do większości tego rodzaju dyletantów wasza rodzina ma przynajmniej stały dopływ gotówki. Chociaż właśnie dlatego nie musieliście się niczego uczyć. Nie jestem więc pewien, czy na dłuższą metę to wam służy.

Lane wrócił myślami do przyczyn, dla których w końcu na dobre opuścił Charlemont.

– Sporo się już nauczyłem, możesz mi wierzyć.

– Gorzko to brzmi.

– Nudzisz mnie. Mam tryskać entuzjazmem?

– Dlaczego nie jeździsz do domu na święta? Boże Narodzenie, Święto Dziękczynienia, Wielkanoc...

Lane złożył karty i odwrócił je na stole figurami do dołu.

– Jakoś już, cholera, nie wierzę w Świętego Mikołaja ani w zajączka wielkanocnego, a indyk jest przereklamowany. O co ci chodzi?

Nie powinien zadawać tego rodzaju pytań. Zwłaszcza po całej nocy spędzonej przy pokerze i alkoholu. A już szczególnie facetowi takiemu jak Jeff, organicznie niezdolnemu do mówienia nieprawdy.

– Martwi mnie, że jesteś taki samotny.

– Chyba sobie kpisz!

– Jestem jednym z twoich najstarszych kumpli, tak? Jeśli ja ci tego nie powiem prosto w twarz, to kto to zrobi? I nie rzucaj mi się. Sam sobie wybrałeś na wiecznego współlokatora nowojorskiego Żyda, a nie

jednego z tych licznych sztywniaków z Południa, którzy chodzili z nami na tę kretyńską uczelnię. Więc się pierdol.

– Gramy czy nie?

– Odpowiedz mi na jedno pytanie. – Jeff zwęził źrenice, wbijając w niego przenikliwy wzrok.

– No dobra, muszę się poważnie zastanowić, dlaczego właściwie nie zdecydowałem się nocować u Wedge’a albo Chenowetha.

– Ha! Nie dałbyś rady znieść żadnego z tych typów przez dłużej niż dobę. No, chyba że w stanie upojenia, który zresztą towarzyszy ci stale od trzech i pół miesiący. A to dla mnie kolejna niepokojąca okoliczność.

– Stawiaj! Już! Na litość boską...

– Dlaczego...

Komórka rozdzwoniła się po raz trzeci. Lane wstał i przemaszerował do barku, na którym obok jego portfela leżał rozświetlony telefon. Nawet nie spojrzał, kto dzwoni. Odebrał tylko dlatego, że w przeciwnym razie mógłby kogoś zamordować.

W słuchawce rozległy się trzy słowa, wypowiedziane męskim głosem z południowym akcentem:

– Twoja mamunia umiera.

Podczas gdy ich sens pomалу docierał do jego mózgu, wszystko dookoła zadrzało, ściany zaczęły się zacieśniać, podłoga falowała, a sufit opadał mu na głowę. Wspomnienia całkiem go osaczyły, a alkohol w żyłach nijak nie osłabiał ich zmasowanego ataku.

Nie – pomyślał Lane. Nie teraz. Nie dziś rano.

Z drugiej strony czy kiedykolwiek byłby odpowiedni czas? „Nigdy, przenigdy” zdawało się jedynym terminem do zaakceptowania.

Usłyszał z oddali swój głos, mówiący:

– Będę na miejscu przed dwunastą. Po czym się rozłączył.

– Lane? – Jeff wstał z krzesła. – Jasna cholera, nie zemdlej mi tu. Za godzinę mam być na giełdzie, a muszę jeszcze wziąć prysznic.

Lane patrzył z oddali, jak jego własna ręka sięga po portfel. Włożył go razem z telefonem do kieszeni spodni, po czym ruszył w stronę drzwi.

– Lane! Dokąd ty się, kurwa, wybierasz?!

– Nie czekaj na mnie – rzucił Lane, otwierając drzwi.

– Kiedy wracasz? Ej, Lane, co jest, do diabła?

Stary dobry kumpel wciąż coś do niego mówił, Lane jednak po prostu wyszedł, pozwalając, żeby drzwi się za nim zamknęły. Na końcu korytarza pchnął kolejne, stalowe, prowadzące na betonową klatkę schodową i zaczął zbiegać na dół. Po całym budynku niosło się dudnienie jego kroków. Ścinając zakręty, wybrał znajomy numer telefonu, a gdy uzyskał połączenie, powiedział:

– Mówi Lane Baldwin. Proszę odrzutowiec na lotnisko Teterboro, teraz. Lecę do Charlemont.

Po chwili przerwy znów rozległ się w słuchawce głos asystentki jego ojca:

– Mamy dostępny samolot, proszę pana. Rozmawiałam z pilotem. W tej chwili przygotowany jest plan lotu. Gdy dotrze pan na lotnisko, proszę się skierować...

– Wiem, gdzie jest nasz terminal – przerwał Lane, wpadając do marmurowego holu. Skinął portierowi i ruszył w stronę obrotowych drzwi. – Dzięki!

To tylko szybki wypad, mówił sobie, gdy już się rozłączył i łapał taksówkę. Przy odrobinie szczęścia do wieczora, najpóźniej do północy, wróci na Manhattan i będzie dalej grać na nerwach Jeffowi.

Jakieś dziesięć godzin. Góra piętnaście.

Przecież musi się zobaczyć ze swoją mamunią. Tak zawsze robią chłopcy z Południa.

Trzy godziny, dwadzieścia dwie minuty i ileś tam sekund później Lane patrzył przez owalne okienko jednego z nowiutkich odrzutowców biznesowych Embraer Lineage 1000E, należących do Bradford Bourbon Company. Leżące w dole Charlemont wyglądało jak makieta z klocków lego, z wyraźnie oddzielonymi sektorami bogactwa i biedy, handlu i rolnictwa, gospodarstw i szos – wszystko zdawało się płaskie, dwuwymiarowe. Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, jak ten teren mógł wyglądać w roku 1778, gdy jego rodzina tu się osiedliła.

Lasy, rzeki, Indianie, dzika przyroda.

Jego przodkowie przybyli tu z Pensylwanii przez przełęcz Cumberland niespełna dwieście pięćdziesiąt lat temu. A on teraz krąży nad miastem na wysokości trzech tysięcy metrów, podobnie jak pewnie z pięćdziesięciu innych bogaczy w różnych samolotach.

Tyle tylko, że on nie przyjechał tu, żeby obstawiać konie, pić na umór i szukać seksu.

– Mogę panu dolać bourbona nr 15, zanim wylądujemy? Obawiam się, że będziemy musieli chwilę poczekać, bo jest sporo lotów. To może potrwać.

– Dziękuję. – Wychylił do końca zawartość kryształowej szklaneczki, aż kostki lodu opadły mu na górną wargę. – Świetne wycucie czasu.

No dobra, może jednak trochę sobie popije.

– Z przyjemnością.

Stewardesa w dopasowanym kostiumie odeszła, oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, czy wodzi za nią wzrokiem. Jej wielkie błękitne oczy jaśniały pod kotarą sztucznych rzęs.

Kiedyś jego życie seksualne zależało głównie od uprzejmości nieznanomych – zwłaszcza podobnych do niej blondynek, z takimi właśnie nogami, biodrami i piersiami.

Ale to już przeszłość.

– Proszę o uwagę – rozległ się nad jego głową głos kapitana. – Gdy otrzymali wiadomość, że to pan jest na pokładzie, dali nam pierwszeństwo, więc za chwilę będziemy lądować.

– Bardzo miło z ich strony – mruknął Lane.

Stewardesa wróciła. Sposób, w jaki otwierała butelkę, pozwalała sobie wyobrazić, jak rozpina mężczyźnie spodnie: prężyła całe ciało, odkręcając nakrętkę i wyciągając korek. Następnie zaś nachyliła się, napełniając szklankę, tak że mógł spokojnie przyrzeć się jej biustonoszowi.

Tyle starań na nic.

– Starczy – wyciągnął rękę. – Dziękuję.

– Czym jeszcze mogę panu służyć?

– Dziękuję, już nic nie potrzeba.

Nastąpiła chwila milczenia. Dziewczyna najwyraźniej nie nawykła do sytuacji, w której jej zaloty są ignorowane. Być może chciała mu uprzytomnić, że mają już mało czasu.

Po chwili jednak uniosła dumnie podbródek.

– Dobrze, proszę pana.

Dała mu w ten sposób do zrozumienia, żeby szedł do diabła. Zarzuciła włosami i odeszła kołyszącym się krokiem, bujając pupą, jakby chciała się zamachnąć i wymierzyć komuś cios.

Lane uniósł w górę szklankę i zatoczył nią kółko, mieszając złoty płyn. Nigdy nie angażował się szczególnie w rodzinne interesy – to należało do kompetencji jego starszego brata Edwarda, przynajmniej do czasu. Nawet jednak trzymając się nieco z boku, wiedział, że nr 15, najpopularniejszy, sztandarowy produkt rodzinnej firmy, świetnie się sprzedawał. Nazywano go wręcz Wielkim Wyrównywaczem, ponieważ przynosił tak ogromne zyski, że przyćmiewały wszelkie możliwe straty poniesione w wyniku wewnętrznych lub zewnętrznych błędów, pomyłek czy wahań rynkowych.

Podczas gdy samolot kołował nad lotniskiem, zbliżając się do lądowania, przez owalne okienko wpadł promień słońca – prosto na składany orzechowy stolik, kremowe skórzane obicie fotela, głęboki błękit jego dżinsów i miedzianą sprzączkę mokasynów od Gucciego.

W końcu oświetlił też bourbona w szklance, wydobywając rubinową poświatę z bursztynowego płynu. Pociągając kolejny łyk, Lane poczuł słoneczne ciepło na zewnętrznej części dłoni i lodowy chłód pod palcami trzymającymi kryształową szklankę.

Według przeprowadzonego niedawno badania sektor produkcji bourbona osiągał sprzedaż w wysokości około trzech miliardów dolarów rocznie. Więcej niż ćwierć tej kwoty, a może nawet jedną trzecią, generowała ich firma. Tylko jedno przedsiębiorstwo w stanie Kentucky było od nich większe – zniechęcona Sutton Distillery Corporation. Resztę rynku dzieliło między sobą ośmiu czy dziesięciu pomniejszych producentów. Bradford Bourbon Company stanowiła jednak prawdziwy klejnot pośród kamieni półszlachetnych – to ich produkty wybierali najbardziej wymagający koneserzy.

Jako lojalny konsument musiał iść z duchem czasu.

Płyn w szklance zafalował, co zdradzało początek schodzenia do lądowania. Wrócił myślami do chwili, w której po raz pierwszy skosztował rodzinnego produktu.

Zważywszy, jak się to potoczyło, powinien na resztę życia zostać abstynentem.

– *Daj spokój, przecież jest sylwester. Nie zachowuj się jak dzidzia!*

Jak zwykle to od Maxwella wszystko się zaczęło. Z czwórki rodzeństwa Max był największym rozrabiaką. Zaraz za nim plasowała się ich młodsza siostra Gin. Najstarszego, Edwarda, najbardziej z nich wszystkich zasadniczego, w ogóle nie zaproszono na tę imprezę, a Lane, który znajdował się gdzieś pośrodku zarówno, jeśli chodzi o wiek, jak i skłonność do pakowania się w tarapaty, został zabrany na siłę, ponieważ Max nie lubił rozrabiać bez widowni – a dziewczęce towarzystwo się nie liczyło.

Lane zdawał sobie sprawę, że to naprawdę kiepski pomysł. Jeśli mieli pić alkohol, powinni zabrać butelkę ze spiżarni na górę, gdzie istniała niewielka szansa, że zostaną nakryci. Ale pić tu, w salonie, pod karcącym wzrokiem Elijaha Bradforda, który patrzył na nich z portretu nad kominkiem?

Głupota...

– *To co? Mówisz, że nie weźmiesz ani tyka, kaleko?*

No tak, Max zawsze przezywał go kaleką (Lame), bo to przecież taka niesamowicie śmieszna gra słów: Lane – Lame, ha, ha.

W pomarańczowej poświacie rzucanej przez lampy zewnętrzne Max posyłał mu wyzywające spojrzenie, jakby stał w blokach startowych z pistoletem gotowym do strzału.

Lane zerknął na butelkę w rękę brata. Miała wyszukaną etykietkę z eleganckim napisem „Rodzinna Rezerwa”. Wiedział, że jeśli nie podejmie wyzwania, już nie uwolni się od docinków Maxa.

– Ale chcę go wypić ze szklanki – oświadczył. – Takiej prawdziwej. Z lodem.

Bo przecież tak właśnie pił ojciec. A poza tym Lane’owi nie przyszło do głowy nic innego, co mogłoby opóźnić całą procedurę.

– No tak... – Max zmarszczył brwi, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że nie przemyślał kwestii podania trunku.

– A ja nie potrzebuję szklanki – siedmioletnia Gin oparła dłonie na biodrach i utkwiała spojrzenie w Maksie. W swojej małej koronkowej koszuli nocnej wyglądała jak Wanda z „Piotrusia Pana”, a zdeterminowany wyraz twarzy nadawał jej wygląd zawodowego zapaśnika. – Chcę łyżkę.

– łyżkę? – zdziwił się Max. – O czym ty mówisz?

– Przecież to lekarstwo, no nie?

Max odrzucił głowę w tył i zaczął się śmiać.

– Co ty...

Lane zakrył mu usta dłonią.

– Cicho! Chcesz, żeby nas złapali?

Max uwolnił się z uścisku.

– I co mi zrobić? Spuszczą mi lanie?

No cóż, właśnie tak by się stało, gdyby ojciec ich nakrył lub dowiedział się od kogoś o ich sprawkach. Choć dostojny William Baldwine zdecydowaną większość ojcowskich obowiązków cedował na innych, wymierzanie sprawiedliwości paskiem wykonywał osobiście.

*– Zaraz, zaraz. A może ty właśnie chcesz, żeby cię złapali, co?
– spytał cicho Lane.*

Max odwrócił się w stronę ozdobnego mosiężnego wózka na napoje. Był to antyk, jak niemal wszystko w całej rezydencji, a w każdym z jego czterech rogów wygrawerowano rodzinny monogram. Wózek miał wielkie koła o cienkich obręczach oraz szklane półeczki, a na nich – dla każdego coś miłego, czyli cztery różne rodzaje rodzinnych bourbonów, sześć kryształowych szklanek oraz srebrne wiaderko z lodem, który kamerdyner stale wymieniał.

– Masz swoją szklankę – powiedział Max, podtykając mu jedną z nich. – Ja tam piję z butelki.

– A gdzie moja tyżka? – dopytywała Gin.

– Możesz ode mnie wziąć tyka – szepnął Lane.

– Nie. Chcę swoją własną...

Ich wymiana zdań szybko się zakończyła, bo Max właśnie wyciągnął z butelki korek, który poszybował w górę i trafił prosto

w kryształowy żyrandol wiszący pośrodku sufitu. Rozległ się brzęk szkła, a cała trójka zamarła.

– Ani słowa! – powiedział Max, zanim ktokolwiek miał szansę wygłosić jakiś komentarz. – A ty będziesz pił bez lodu.

Bourbon gulgotał, gdy Max zdecydowanym ruchem nalewał go do szklanki Lane'a, aż była tak pełna jak podawana dzieciom do posiłku szklanka mleka.

– A teraz do dna! – zakomenderował Max, zbliżając butelkę do ust odchylając głowę w tył.

Ten pokaz animuszu nie trwał zbyt długo: po jednym łyku Max zaczął kaszleć tak głośno, że zbudziłby umarłego. Lane czekał, aż brat się wykaszle albo całkiem udusi, i wbijał wzrok w swoją szklankę. W końcu uniósł jej kryształową krawędź do ust i ostrożnie upił maleńki łycek.

Ogień. Czuł, że pali go ogień sięgający aż do żołądka. Gdy z siarczystym przekleństwem wypuszczał powietrze z ust, miał wrażenie, że zaraz buchnie z nich płomień, jak z paszczy smoka.

– Moja kolej – odezwała się Gin.

Trzymał mocno szklankę, żeby siostra nie mogła jej chwycić. Tymczasem Max próbował wypić drugi, a potem trzeci łyk.

Gin ledwo co pociągnęła ze szklanki, a właściwie zamoczyła tylko usta i zaraz odsunęła się ze wstrętem.

– Co wy tu robicie?!

Żyrandol nad ich głowami nagle rozbłysnął światłem, a cała trójka aż podskoczyła. Lane ledwo złapał szklankę, która wymknęła mu się z rąk, tak że jej zawartość zalała mu przód pizamy z wyhaftowanym

monogramem.

Na progu salonu stał Edward z wyrazem wściekłości na twarzy.

– Co wy, do diabła, tutaj wyprawiacie? – wrzasnął, po czym ruszył w ich stronę i wyrwał szklanę z rąk Lane'a i butelkę z dłoni Maxa.

– Tylko się bawiliśmy – wymamrotała Gin.

– Idź do łóżka, Gin. – Edward odstawił szklanę na wózek, a trzymaną w ręku butelką wskazał siostrze wyjście. – Marsz do łóżka, w tej chwili!

– Buu, dlaczego?

– Chyba że chcesz, żebym z tobą też się policzył.

Nawet mała Gin potrafiła przyjąć tak postawione warunki.

Przygarbiona ruszyła w stronę zwieńczonego łukiem wyjścia, szurając kapciami po orientalnym dywanie.

– Wejdz schodami dla personelu – syknął jeszcze Edward. – Jak ojciec coś usłyszy, to zejdzie głównymi schodami.

Serce Lane'a zaczęło walić jak młotem. Poczul ucisk w żołądku – choć nie był pewien, czy bardziej przez to, że zostali złapani, czy przez wypity bourbon.

– Ona ma siedem lat – powiedział Edward, gdy Gin już się oddaliła. – Siedem lat!

– Wiemy, ile ma lat...

– Przymknij się, Maxwell. Po prostu się przymknij. – Edward

wbijał w brata wściekle spojrzenie. – Jeśli chcesz przesrać sobie życie, proszę bardzo. Ale nie wciągaj w to gówno brata i siostry.

Groźnie brzmiące słowa. Przekleństwa. I zachowanie godne kogoś, kto mógłby ich zmiazdżyć.

Ale przecież Edward zawsze wydawał się dorosły, nawet zanim jeszcze oficjalnie wkroczył do świata nastolatków.

– Nie muszę się ciebie słuchać – odszczeknął się Max, ale nie miał już tyle animuszu. Głos mu słabł, a spojrzenie opadało ku podłodze.

– Owszem, musisz.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Przepraszam – powiedział Lane.

– O ciebie się nie martwię. – Edward pokręcił głową. – Tylko o niego.

– Przeprós, Max, no już! – szepnął Lane.

– Nie.

– To nie ojciec, wiesz?

– Ale zachowuje się jak on – mruknął Max, rzucając w stronę Edwarda wściekle spojrzenie.

– Tylko dlatego, że sam nad sobą nie panujesz.

Lane wziął Maxa za rękę.

– On też chce przeprosić. Chodźcie, idziemy, zanim ktoś nas

usłyszy.

Trochę musiał go ciągnąć, ale w końcu Max poszedł z braćmi bez dalszych komentarzy. Walka się zakończyła, próba niezależności została ukrócona. Przeszli już na środek mrocznego holu wyłożonego czarno-białym marmurem, gdy Lane kątem oka dostrzegł jakąś postać na końcu korytarza.

W zalegającej tam ciemności ktoś się poruszał.

Ktoś zdecydowanie większy od Gin.

Lane szybkim szarpnięciem pokierował brata do tonącej w mroku sali balowej po drugiej stronie holu.

– Cii...

Przez wejście prowadzące do salonu patrzył, jak Edward odwraca się w stronę wózka, żeby poszukać korka od butelki. Chciał go jakoś ostrzec, ale...

W progu salonu stanął ich ojciec. Jego wysoka postać całkowicie zasłoniła im Edwarda.

– Co ty tu robisz?! – spytał William Baldwine.

Niemal te same słowa, wypowiedziane tym samym tonem, tylko grubszym głosem.

Edward spokojnie się odwrócił, trzymając w dłoni butelkę. Na środku wózka stała wciąż niemal pełna szklanka Lane'a.

– Może mi odpowiesz? – naciskał ojciec. – Co ty tutaj robisz?

Już po nas – pomyślał Lane. Jak tylko Edward mu opowie, cośmy

tu z Maxem wyprawiali, ojciec dostanie furii.

Stojący obok brata Max cały drżał.

– Nie powinienem był tego robić – szepnął.

– Gdzie twój pasek? – spytał ojca Edward.

– Odpowiedz na moje pytanie.

– Właśnie odpowiadam. Gdzie twój pasek?

Nie! – myślał Lane. Nie, to przecież my!

Ojciec ruszył w stronę najstarszego syna. W świetle abażuru połyskiwał jedwabny szlafrok z monogramem, w kolorze świeżej krwi.

– Do ciężkiej cholery, synu, powiesz mi wreszcie, co tu robisz z moim bourbonem?

– To bourbon Bradfordów, tato. Wżeniłeś się w tę rodzinę, pamiętasz?

Ojciec uniósł dłoń do piersi. Ciężki złoty sygnet, który nosił na lewej dłoni, błysnął, jakby szykował się do akcji i czekał na bliższy kontakt ze skórą. Po chwili zaś Edward otrzymał elegancki, potężny cios wierzchem dłoni. Uderzenie było tak mocne, że jego trzask poniósł się echem aż do sali balowej.

– A teraz spytam cię ponownie: co tu robisz z moim bourbonem? – wycedził ojciec, podczas gdy Edward łapał równowagę, trzymając się za twarz.

Edward przez chwilę ciężko dyszał, a potem się wyprostował. Drżał na całym ciele, co było widać po falującej piźniamie, ale stał mocno na

nogach.

Odchrząknął i powiedział zachrypniętym głosem:

– Świętowałem Nowy Rok.

Po bladym policzku płynęła strużka krwi.

– W takim razie nie będę ci psuł zabawy – mruknął ojciec, wskazując pełną szklankę Lane'a. – Wypij to.

Lane zamknął oczy. Zbierało mu się na wymioty.

– Pij!

Odgłosy krztuszenia się i charczenia zdawały się nie mieć końca, Edward jakoś jednak zdołał opróżnić szklankę zawierającą niemal ćwierć butelki bourbona.

– A tylko spróbuj to zwymiotować! – warknął ojciec. – Ani mi się waż...

Lane wrócił do terażniejszości dopiero wtedy, gdy koła samolotu uderzyły o płytę lotniska. Bez szczególnego zdziwienia przyjął fakt, że szklanka w jego ręku drży, zresztą wcale nie z powodu lądowania.

Odłożył ją na stolik i potarł dłonią czoło.

Nie był to bynajmniej jedyny raz, kiedy Edward za nich cierpiał.

Ani nie było to najgorsze, co przeżył. Nie, najgorsze miało nadejść wiele lat później, w dorosłym życiu. Dopiero wówczas udało się dokonać czegoś, do czego wcześniej nie zdołały doprowadzić rodzicielskie zaniedbania.

Z Edwarda został już teraz ledwie wrak człowieka – i to nie tylko w sensie fizycznym.

Boże, z tak wielu powodów Lane nie chciał wracać do Easterly. Wiele z nich nie miało nic wspólnego z kobietą, którą kochał, ale utracił.

Musiał jednak przyznać... że Lizzie King wciąż stanowiła najważniejszy punkt na tej długiej liście.

Posiadłość rodziny Bradfordów, Charlemont

Jako że powstała w 1956 roku oranżeria stanowiła przedłużenie południowego skrzydła rezydencji, przy jej budowie niezczędzono nakładów finansowych. Skonstruowano więc swoiste arcydzieło neogotyku – na delikatnym białym szkielecie zamocowano setki szyb i szybek, tworząc wnętrza, które nie tylko miało większą powierzchnię niż cały wiejski dom Lizzie, ale też było od niego znacznie lepiej wykończone. Na podłodze z łupkowych płytek stały sofy i fotele obite najlepszymi tkaninami, po bokach ciągnęły się podniesione na wysokość bioder rabatki ze wspaniałymi okazami kwiatów, a w każdym rogu stały rośliny doniczkowe. Wszystko to jednak było wyłącznie na pokaz. Prawdziwa praca ogrodnicza – sadzenie, pielęgnacja, leczenie, przycinanie – odbywała się poza zasięgiem wzroku właścicieli, szklarniach.

– *Wo sind die Rosen? Wir brauchen mehr Rosen...*

– Nie wiem. – Lizzie otworzyła kolejny podłużny karton. W środku leżały dwadzieścia cztery białe hortensje: każdą łodygę zawinięto osobno w plastikową folię, a kwiatostany zabezpieczono kartonowymi podpórkami. – To cała dostawa, więc muszą tu gdzieś być.

– *Ich bestellte zehn weitere Dutzend. Wo sind sie...?*

– No dobrze, przejdź na angielski...

– To nie może być wszystko. – Greta von Schlieber uniosła w górę pęk maleńkich blad różowych kwiatów zawinięty w kawałek jakiejś kolumbijskiej gazety. – Nie damy rady.

– Co roku tak mówisz.

– Ale tym razem się nie mylę. – Greta poprawiła opadające jej na nos okulary w szylkretowych oprawkach i obrzuciła spojrzeniem stos dwudziestu pięciu kartonów. – Mówię ci, szykują się kłopoty.

Tak właśnie mniej więcej wyglądała relacja Lizzie z koleżanką z pracy.

Poczynając od kwestii nastawienia do życia, gdzie optymizm Lizzie zawsze natrafiał na ścianę pesymizmu Grety, niemal we

wszystkim innym stanowiły swoje przeciwieństwa. Po pierwsze, Greta nie była Amerykanką, tylko Europejką, a jej wypowiedzi cechował silny niemiecki akcent, choć mieszkała w Stanach już od trzydziestu lat. Poza tym miała świetnego męża, troje wspaniałych, dorosłych już dzieci – córkę i dwóch synów – oraz tyle pieniędzy, że nie musiała w ogóle pracować (zresztą jej dzieci również).

Nie jeździła bynajmniej jakąś tam toyotą yaris, lecz czarnym mercedesem kombi. A diament na pierścionku, który nosiła obok obrączki, był tak wielki, że spokojnie mógł się równać z diamentami Bradfordów.

Och, a na dodatek jasne włosy obcinała krótko, po męsku – czego Lizzie jej zazdrościła za każdym razem, gdy za wszelką cenę próbowała jakoś związać włosy z tyłu, używając do tego najróżniejszych przedmiotów, jakie jej wpadały w ręce: tasiemek do worków na śmieci, drucików ogrodniczych, gumek od brokułów.

Łączyło je tylko jedno: obie ani przez chwilę nie potrafiły usiedzieć w miejscu beczynnie i bezproduktywnie. Pracowały razem w posiadłości Bradfordów już od niemal pięciu lat – nie, chyba dłużej. Może siedmiu? O, nie! Już prawie od dziesięciu!

A Lizzie właściwie nie wyobrażała sobie życia bez Greta – choć czasem miała dość jej wizji świata, w której szklanka jest zawsze w połowie pusta, a nigdy w połowie pełna.

– *Ich sage dir, wir haben Schwierigkeiten.*

– Znow mówisz, że będziemy miały kłopoty?

– *Kann sein.*

Lizzie przewróciła oczami, ale i ona poczuła nagły przypływ adrenaliny. Obrzuciła wzrokiem linię montażową, którą sobie przygotowały. Na długości osiemnastu metrów pośrodku oranżerii ustawiły podwójny rząd składanych stołów, na których stało siedemdziesiąt srebrnych mis na kwiaty, każda wielkości kubelka na lód.

Słońce wprost ją oślepiało. Lizzie żałowała, że nie wzięła z samochodu okularów.

Nie dość, że miała tyle obowiązków, to jeszcze musiała znosić świadomość, że Lane Baldwin zapewne właśnie wylądował na lotnisku.

Jeszcze tylko tego źródła stresu jej brakowało.

Zacząło jej huczeć w głowie, postanowiła więc skupić się na tym, nad czym jeszcze panowała. Niestety nie miała pojęcia, jak zdołają z Gretą wypełnić te wszystkie wazy dostarczonymi właśnie kwiatami (o wartości pięćdziesięciu tysięcy dolarów), które należało rozpakować, sprawdzić, oczyścić, przyciąć i odpowiednio ułożyć.

Z drugiej strony na czterdzieści osiem godzin przed rozpoczęciem śniadania przed derby zawsze pojawiały się tego rodzaju kryzysy.

Śniadanie przed derby. Czyli „śniader”, jak je tutaj zwano. Ponieważ praca u Bradfordów przypominała służbę wojskową: na wszystko używano skrótów – tylko dni roboczych nigdy nie skracano.

I owszem, pomimo porannej karetki nic nie zostało odwołane. Przygotowania biegły swoim torem jak rozpędzony pociąg i nic nie mogło ich zatrzymać. Lizzie i Greta często żartowały, że w razie wojny jądrowej, gdy opadnie już grzyb atomowy, okaże się, że przetrwały tylko karaluchy, chipsy i... „śniader”.

Mówiąc jednak poważnie, wydarzenie to miało już tak długą tradycję i było tak ekskluzywne, że dorobiło się własnej marki, a miejsc na liście gości pilnie strzeżono i przekazywano je z pokolenia na pokolenie niczym rodzinne pamiątki. Zbierało się tam niemal siedemset osób, w tym przedstawiciele najzamożniejszych rodzin w mieście i w całym kraju, jak również członkowie elity politycznej. Wszyscy przechadzali się swobodnie po ogrodach Easterly, popijając koktajle na bazie bourbona i mięty lub szampana i soku pomarańczowego. Wszystko trwało zaledwie dwie godziny, później bowiem goście udawali się na tor Steeplehill Downs, gdzie odbywał się wielki doroczny wyścig koni rasowych, stanowiący pierwszy etap tak zwanej Potrójnej Korony. Reguły śniadania były piękne w swojej prostocie: obowiązkowe kapelusze dla pań, zakaz robienia zdjęć i zakaz wstępu dla fotografów oraz nakaz pozostawiania samochodów na łączce u stóp wzgórza, skąd ich pasażerów zabierały specjalnie podstawiane furgonetki. Nie miało więc znaczenia, czy się przyjechało rolls-royce’em czy służbową limuzyną.

Przeważnie. Przesiadać się do furgonetki nie musieli gubernatorowie, prezesi i rektorzy (o ile któryś zechciał przyjechać), jak również naczelnny trener męskiej drużyny koszykówki Uniwersytetu

Charlemont.

W stanie Kentucky można było nosić czerwone barwy Uniwersytetu Charlemont albo niebieskie Uniwersytetu Kentucky – a koszykówką żyli wszyscy: bogaci i biedni.

Bradfordowie kibicowali „Orłom” Uniwersytetu Charlemont. Było coś iście szekspirowskiego w tym, że ich najwięksi rywale w interesach, Suttonowie, kibicowali „Tygrysom” Uniwersytetu Kentucky.

– Słyszę, że coś tam mruczysz pod nosem – powiedziała Lizzie.
– Myśl pozytywnie. Jakoś to ogarniemy.

– *Wir müssen alle Pfingstrosen zählen* – oświadczyła Greta, otwierając kolejny karton. – W zeszłym roku nas wyrolowali...

Nagle otworzyło się na oścież jedno ze skrzydeł podwójnych drzwi łączących oranżerię z rezydencją i do środka wpadł, niczym powiew chłodnego powietrza, pan Newark Harris, kamerdyner. Miał co prawda niespełna metr siedemdziesiąt wzrostu, ale w czarnym garniturze i pod krawatem zdawał się znacznie wyższy – choć może wrażenie to dawały jego wiecznie uniesione w górę brwi, jakby ledwo się powstrzymywał od kończenia każdej wypowiedzi słowami „durna Amerykanko”. Jako doskonały relikwiarz wielowiekowej tradycji zatrudniania „prawdziwego europejskiego kamerdynera”, szczycił się nie tylko londyńskim urodzeniem i wykształceniem, ale też doświadczeniem pracy lokaja u królowej Elżbiety w pałacu Buckingham, a następnie kamerdynera u księcia Edwarda w jego rezydencji w Bagshot Park. To właśnie szlify uzyskane w domu Windsorów przesądziły o jego ubiegłorocznym zatrudnieniu.

Z całą pewnością nie przyczyniła się do tego osobowość pana Harrisa.

– Pani Baldwine jest przy basenie. – Zwracał się wyłącznie do Lizzie. Grete, jako Niemkę, której angielski wciąż naznaczony był charakterystycznym zgrzytliwym akcentem, uważał za *persona non grata*. – Zanieś jej, proszę, bukiet kwiatów. Dziękuję.

I pyk! Znikł za drzwiami, które w ciszy się za nim zamknęły.

Lizzie zamknęła oczy. Rezydencję zamieszkiwały dwie panie Baldwine, ale z całym prawdopodobieństwem tylko jedna z nich miała szansę opuścić swoją sypialnię i siedzieć na słońcu przy basenie.

Szach i mat – pomyślała Lizzie. Nie dość, że miała się dziś zobaczyć ze swoim byłym kochankiem, to jeszcze teraz musi usługiwać jego żonie.

Czysta rozkosz.

– *Ich hoffe, dass dem Idiot ein Klavier auf den Kopf fällt.*

– Życzysz mi, żeby mi na głowę spadł fortepian?

– I ty twierdzisz, że nie znasz niemieckiego.

– Po dziesięciu latach pracy z tobą zaczynam coś łapać. Lizzie rozejrzała się wokół, żeby sprawdzić, co z tej ogromnej dostawy kwiatów może wykorzystać. Po rozpakowaniu kartonów należało oczyścić łodygi z liści oraz delikatnie roztrzepać każdy kwiat, żeby płatki się ładnie rozłożyły, a przy okazji sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Lizzie i Greta były jeszcze dalekie od zamknięcia tego etapu pracy, ale przynajmniej pani Baldwine miała otrzymać to, co chciała.

Jak zwykle zresztą.

Po piętnastu minutach wybierania, spinania i układania powstał całkiem przyzwoity bukiet, który Lizzie umieściła na mokrej gąbce florystycznej w srebrnej misie.

– Ja go zaniosę – zaproponowała Greta, która nagle przed nią stanęła, wyciągając dłonie. Na jej palcu błyszczał pierścionek z ogromnym diamentem.

– Nie, to moje zadanie.

– Przecież chyba nie masz dziś specjalnej ochoty jej oglądać.

– Nigdy nie mam na to ochoty.

– Lizzie...

– Wszystko w porządku. Naprawdę.

Na szczęście stara dobra Greta dała się przekonać tym kłamstwem. Prawda była jednak taka, że Lizzie bynajmniej nie czuła się „w porządku”. Ledwo co widziała na oczy. Nie zamierzała jednak tak łatwo się poddawać.

– Zaraz wracam.

– Będę tutaj liczyć piwonie.

– Wszystko będzie dobrze.

Przynajmniej taką miała nadzieję.

Lizzie ruszyła w stronę podwójnych drzwi prowadzących do ogrodu. W głowie huczało jej coraz mocniej, a gdy wyszła na zewnątrz, uderzyła ją fala rozgrzanego, wilgotnego powietrza, co tylko pogorszyło sprawę.

Ibuprom – pomyślała. Gdy załatwi tę sprawę, weźmie cztery tabletki i wróci do prawdziwej roboty.

Trawa pod jej stopami była krótko przycięta i bardziej przypominała nawierzchnię pola golfowego niż dzieło matki natury. Pomimo natłoku najróżniejszych myśli, idąc przez dwuhektarowy zamknięty ogród, Lizzie starała się zapamiętać, które rabatki wymagają uwagi i gdzie trzeba zasadzić nowe rośliny. Pocieszające było przynajmniej to, że choć wiosna przyszła w tym roku dość późno, drzewka owocowe w kątach ogrodu otoczonych ceglanym murem niedawno rozkwitły, a delikatne białe płatki właśnie zaczynały opadać z koron drzew na ścieżki niczym śnieg. Ściółka rozłożona przed dwoma tygodniami przestała już rozsiewać zapaszek, a bluszcz pnący się po starych kamiennych murach wciąż wypuszczał nowe listki. Za miesiąc cztery kąty ogrodu, w których stoją klasyczne posągi przedstawiające kobiety w królewskich pozach odziane w długie szaty, będą mieniły się bielą i pastelowymi odcieniami różu i brzoskwini, kontrastując ze spokojnym zielonoszarym widokiem na rzekę w oddali.

Teraz jednak wszystko kręciło się wokół derby.

Na samym końcu ogrodu, w jego lewym kącie, połyskiwał akwamaryną basen olimpijski, przy którym stał biały drewniany domek wypoczynkowy, utrzymany w stylu kolonialnym, godnym porządnej czteroosobowej rodziny jakiegoś szacownego mecenasa czy doktora. Od strony basenu znajdowała się loggia zwieńczona wypielęgnowaną czapą glicynii, która wkrótce miała pokryć się biało-lawendowymi kwiatostanami, zwisającymi niczym lampiony z zielonego kłębowiska liści.

Poniżej zaś na eleganckim leżaku wypoczywała pani Chantal Baldwine, urodą przypominająca bezcenną marmurową rzeźbę.

I równie jak marmur chłodna.

Jej skóra miała piękny połysk, który zawdzięczała doskonale zaaplikowanemu samoopalaczowi w sprayu, końce artystycznie

ułożonych pasm blond włosów były zakręcone, a doskonała figura mogłaby wpędzić w kompleksy najlepsze światowe modelki. Chantal Baldwin nosiła wprawdzie tipsy, ale doskonałe, nierażące ani kolorem, ani długością, a jej obrączka i pierścionek zaręczynowy z gigantycznym diamentem wyglądały jak wyjęte prosto z obrazka w stylowym magazynie: jasne i lśniące, podobnie zresztą jak jej szeroki uśmiech.

Była uosobieniem współczesnej „piękności z Południa”, kobietą, o której szeptało się w okolicach Charlemon, że pochodzi „wprawdzie z Wirginii, ale z naprawdę dobrej rodziny”.

Lizzie od dawna się zastanawiała, czy Bradfordowie zaglądają w zęby dziewczętom, z którymi umawiają się ich synowie, jak przy zakupie pełnokrwistych koni.

– ...się przewróciła, no i przyjechała karetka. – Idealnie wypielęgowana dłoń uniosła się do idealnie ułożonych włosów odgarnęła je w tył, a następnie przeniosła dłoń z iPhone’em do drugiego ucha. – Wynieśli ją frontowymi drzwiami. Wyobrażasz sobie? Frontowymi! Powinni przecież skorzystać z tylnego wyjścia. Och, jakie śliczne!

Chantal Baldwin uniosła dłoń do ust w wypracowanej pozie godnej gejszy, podczas gdy Lizzie poczłapała w stronę marmurowego kontuaru i postawiła kwiaty w miejscu, gdzie nie dochodziły bezpośrednio promienie słoneczne.

– To od Newarka? Jak miło z jego strony!

Lizzie pokiwała głową i się odwróciła. Im mniej czasu tu straci, tym lepiej.

– Och, Lisa, czy mogłabyś...

– Lizzie. – Zatrzymała się. – Mogę jeszcze czymś służyć?

– Czy byłabyś tak miła i przyniosła mi jeszcze lemoniady?

– Chantal Baldwin wskazała na szklany dzbanek, wciąż jeszcze w połowie pełny. – Lód się roztopił i w ogóle nie czuć już smaku. Jadę na lunch do klubu, ale dopiero za godzinę. Będę ci ogromnie wdzięczna.

Lizzie rzuciła wzrokiem na dzbanek, próbując ze wszystkich sił nie wyobrazić sobie, jak wylewa jego zawartość na tę kobietę.

– Poproszę pana Harrisa, żeby kogoś przysłał...

– Och, ale on jest taki zajęty. A ty możesz przecież załatwić to przy

okazji. Jesteś taka pomocna. – Chantal Baldwin zwróciła się z powrotem do swojego iPhone'a w pokrowcu w barwach Uniwersytetu Charlemont. – Na czym skończyłam? Aha, wynieśli ją głównym wejściem. No naprawdę, możesz sobie wyobrazić?

Lizzie podeszła do dzbanka i wzięła go w dłoń, a następnie przeszła z powrotem po lśniącej białej posadzce na trawnik.

– Z przyjemnością.

Oczywiście. Prawdziwa przyjemność. Tak jednak należało odpowiadać, jeśli ktoś z członków rodziny o coś prosił. Była to jedyna właściwa odpowiedź. A już na pewno bardziej stosowna niż „A może weź tę lemoniadę i wsadź ją sobie tam, gdzie słońce nie zagłada, żałosna cielęcino”.

– Aha, Lisa! Czysta lemoniada, bez alkoholu, dobrze? Dziękuję.

Lizzie szła dalej, nie zatrzymując się. Rzuciła tylko za siebie kolejne „z przyjemnością”, niczym granat.

Zbliżając się do rezydencji, musiała wybrać odpowiednie drzwi. Pracownicy mieli zakaz korzystania z czterech głównych wejść: frontowego, bocznego (do biblioteki) i dwóch tylnych – do jadalni i do sali gier. Niezalecane było również wchodzenie przez większość pozostałych drzwi, z wyjątkiem kuchennych i prowadzących do pomieszczeń gospodarczych, chociaż trzy razy w tygodniu, gdy Lizzie dostarczała do domu bukiety, mogła korzystać z tych zwykle zarezerwowanych dla członków rodziny.

Teraz wybrała wejście pomiędzy drzwiami do jadalni a kuchennymi, ponieważ nie miała zamiaru nadkładać drogi. Wchodziła do chłodnego wnętrza z opuszczoną głową – bynajmniej nie z obawy, że komuś podpadnie. Myślała tylko o tym, czy uda jej się wejść i wyjść tak, żeby nie zauważył jej...

– Zastanawiałem się, czy tu dzisiaj będziesz.

Zamarła niczym włamywacz przyłapany na gorącym uczynku. Poczwała w kącikach oczu wzbierające łzy. Nie mogła się jednak rozplakać.

Na pewno nie w obecności Lane'a Baldwin'a.

I na pewno nie z jego powodu.

Wyprostowała się, uniosła w górę brodę i... zaczęła się odwracać

w jego stronę.

Zanim jednak napotkała wzrok Lane'a po raz pierwszy od czasu, gdy z nim zerwała i kazała mu iść do diabła, uświadomiła sobie trzy sprawy. Po pierwsze, że z pewnością będzie wyglądał dokładnie tak samo jak kiedyś; po drugie, że nie oznacza to dla niej nic dobrego; i po trzecie, że jeśli ma choć trochę oleju w głowie, musi bez przerwy odgrywać w pamięci to, co jej zrobił niemal dwa lata temu, i o niczym innym nie myśleć.

Wilk, las, natura, te rzeczy.

Och... Niech to wszyscy diabli, czy on musi wciąż tak zabójczo wyglądać?

Wchodząc do rodzinnej rezydencji, której od dawna nie odwiedzał, Lane tak naprawdę niewiele zarejestrował. Właściwie nic nie przykuło jego uwagi. Ani połyskujące czernią wspaniałe drzwi frontowe z kołatką w kształcie lwiej głowy, ani hol wielkości boiska, z ogromnymi schodami i olejnymi portretami różnych żyjących i nieżyjących Bradfordów, ani kryształowe żyrandole, złote kinkiety, rubinowe orientalne dywany, ciężkie wytłaczane zasłony, ani nawet salon i sala balowa po dwóch stronach holu.

Południowa elegancja Easterly, ze swoim niezmiennie cytrynowym zapachem staromodnej pasty do podłóg, przypominała idealnie dobrane ubranie, które wkłada się rano i zaraz przestaje się na nie zwracać uwagę, bo jest skrojone na miarę i dopasowane do każdego mięśnia i każdej kosteczki. Ponowne wkroczenie do rodzinnej rezydencji nie poruszało Lane'a ani odrobinę; było to dla niego jak zanurzenie się w spokojnej wodzie o temperaturze 36,6 stopni Celsjusza, jak oddychanie łagodnym powietrzem o odpowiedniej wilgotności, jak drzemka na wygodnym skórzanym fotelu.

Rodzinny dom był zarazem jego najgorszym wrogiem. A brak jakichkolwiek doznań najprawdopodobniej brał się stąd, że Lane ze wszystkich sił starał się odciąć wzbierające w nim emocje.

Zwrócił jednak uwagę na każdy szczegół postaci Lizzie King, gdy znów ją zobaczył.

Do tej kolizji doszło, gdy zmierzał przez jadalnię w poszukiwaniu osoby, dla której przybył tu z daleka.

Boże – pomyślał. O Boże...

Stanąc naprzeciw Lizzie po tyłu miesiącach, podczas których mógł polegać wyłącznie na wspomnieniach, to jak przeżyć coś naprawdę po przeczytaniu o tym w książce. Jego ciało natychmiast zareagowało na tę sytuację: krew w żyłach zaczęła szybciej płynąć, a wszystkie uspione dotąd instynkty nie tyle się obudziły, co raczej z wielkim impetem wybuchły.

Włosy wciąż miała rozjaśnione słońcem, a nie pędzlem fryzjerki, związane z tyłu w kucyk. Równe, grube końcówki sterczały niczym sztywna żeglarska lina o opalonych końcach. Jej skóra, bez śladu makijażu, była opalona i gładka, a pięknie zarysowane kości policzkowe przypominały mu, że dobre geny znaczą dużo więcej niż operacje plastyczne za setki tysięcy dolarów. A jej ciało... to mocne, jędrne ciało o odpowiednich krągłościach dokładnie tam, gdzie lubił, było zarazem smukłe, dzięki pracy fizycznej, którą tak doskonale wykonywała... Właśnie tak je zapamiętał. Miała nawet na sobie to samo ubranie: szorty w kolorze khaki oraz czarną pracowniczą koszulkę polo z monogramem Easterly.

Pachniała olejkami przeciwsłonecznym, a nie drogimi perfumami. Na nogi włożyła buty trekkingowe, a nie szalowe szpilki. Zamiast roleksa nosiła sportowy zegarek.

W jego oczach była najpiękniejszą, najlepiej ubraną kobietą, jaką w życiu widział.

Niestety, jej spojrzenie również się od ostatniego razu nie zmieniło.

Mówiło mu, że ona też sporo o nim myślała od czasu, gdy wyjechał.

Tyle że mało pochlebnie.

Zdał sobie nagle sprawę, że jego usta się poruszają, a on wypowiada jakieś słowa, tylko nie bardzo wie jakie. Zbyt wiele obrazów przelatywało mu przez głowę, same wspomnienia: jej nagie ciało pośród rozkopanych prześcieradeł, jego palce przeczesujące jej włosy, jego ręce na wewnętrznej stronie jej ud. Dźwięczał mu w pamięci jej głos wymawiający jego imię, podczas gdy on posuwał ją ze wszystkich sił, kołyszac łóżkiem, aż zagłówek objął się o ścianę.

– Tak, wiedziałam, że przyjedziesz – powiedziała obojętnie.

To się nazywa nadawać na różnych falach... On tutaj ledwo stoi na nogach, zatopiony we wspomnieniach ich związku, podczas gdy ona zdaje się całkowicie niewzruszona jego obecnością.

– Widziałeś ją już? – spytała, po czym zmarszczyła brwi. – Halo? Cholera, co ona do niego mówi? A, no tak.

– Podobno wróciła już do domu ze szpitala.

– Jakąś godzinę temu.

– Czy wszystko z nią w porządku?

– Wyjechała stąd karetką, podłączona do respiratora. Jak więc sądzisz? – Lizzie spojrzała w stronę, w którą wcześniej zmierzała.

– Przepraszam, ale jeśli pozwolisz, pójdę do...

– Lizzie – powiedział cicho. – Lizzie, ja...

Zawiesił głos, a ona przybrała znudzony wyraz twarzy.

– Wyświadczyć nam obojgu przysługę i nie kończ, dobrze? Idź się z nią zobaczyć, a potem... rób wszystko, po co tu przyjechałeś, dobrze?

A mnie w to nie mieszaj.

– Chryste, Lizzie, dlaczego mnie nie wysłuchasz?

– Powinieneś chyba zadać sobie pytanie, dlaczego miałabym cię wysłuchać.

– Ponieważ kulturalni ludzie są dla siebie na tyle uprzejmi, żeby...

I nagle – bam! – zaczęło się.

– Słucham?! – wybuchła Lizzie. – A więc przez sam fakt, że mieszkam po drugiej stronie rzeki i pracuję dla twojej rodziny, masz mnie za jakiegoś dzikusa? Naprawdę chcesz się w to bawić?

– Nie to miałem na myśli...

– A moim zdaniem właśnie to.

– Przysięgam – wymamrotał. – Jesteś po prostu nieco...

– Przewrażliwiona, tak? Jak zwykle? Przykro mi, ale nie będziesz mi tu wmawiał, że to ze mną jest jakiś problem. To z tobą jest coś nie tak. Zawsze tak było.

Lane uniósł w górę otwarte dłonie.

– Nie wiem, jak do ciebie trafić. Chcę ci tylko wyjaśnić...

– Chcesz coś dla mnie zrobić? Świetnie, proszę bardzo. – Podłała mu dzbanek w połowie wypełniony płynem wyglądającym na lemoniadę. – Zabierz to do kuchni i poproś kogoś, żeby na nowo to

napełnił, a potem zaniósł z powrotem do domku przy basenie, chyba że wolisz sam dostarczyć lemoniadę... swojej żonie.

Powiedziawszy to, obróciła się na pięcie i wyszła na zewnątrz, z impetem otwierając drzwi. Gdy maszerowała przez trawnik w stronę oranżerii, nie mógł się zdecydować, co by mu lepiej zrobiło: walnąć głową w ścianę, rzucić dzbankiem o podłogę czy wykonać obie te czynności naraz.

W końcu jednak zdecydował się na wyjście czwarte:

– Jasna cholera, kurwa, ja pierdolę...

– Czy mogę panu służyć? – odezwał się męski głos z brytyjskim akcentem.

Lane spojrzał na pięćdziesięcioletniego mężczyznę w stroju godnym przedsiębiorcy pogrzebowego.

– Kim pan jest, do diabła?

– Nazywam się Newark Harris i jestem tu kamerdynerem – powiedział mężczyzna z ukłonem. – Piloci byli uprzejmi nas poinformować, że pan tu zmierza. Czy mogę się zająć pańskim bagażem?

– Nie mam bagażu.

– Doskonale. Pański pokój na pana czeka, a jeśli życzyłby pan sobie czegoś więcej, niż jest dostępne w garderobie na górze, z przyjemnością zapewnię panu wszystko, co uzna pan za niezbędne.

O, nie – pomyślał Lane. Z całą pewnością tu nie zostanę.

Doskonale zdawał sobie sprawę, co się szykuje w ten cholerny weekend, a jego wizyta nie miała absolutnie nic wspólnego z całym tym towarzyskim cyrkiem wokół derby.

Podał dzbanek Panu Nienagannemu.

– Nie wiem, co tu jest, i mało mnie to obchodzi. Proszę napełnić ten dzbanek i zabrać tam, gdzie trzeba.

– Z przyjemnością, proszę pana. Czy życzy pan sobie jeszcze...

– Nie, to wszystko.

Anglik wyglądał na zaskoczonego, gdy Lane go wyminął i szybkim krokiem udał się w stronę części domu przeznaczoną dla personelu. Oczywiście w żaden sposób nie próbował kwestionować jego poczynań. Zważywszy na nastrój, w jakim był teraz Lane,

niewchodzenie mu w drogę świadczyło nie tylko o znajomości zasad kamerdynerskiej etykiety, ale też o silnym instynkcie przetrwania.

Dwie minuty w domu. Dwie przekłete minuty. A on już był na granicy eksplozji.

Lane wmaszerował do profesjonalnie wyposażonej kuchni, gdzie zaskoczyły go dwie rzeczy: drażniące nos stężenie zapachów oraz dzwoniąca w uszach cisza. Choć nad stalowymi blatami i kuchniami pochylało się kilkanaścioro kucharzy w białych fartuchach, przy pracy nie rozmawiano. Kilka osób podniosło jednak wzrok znad swoich prac, rozpoznało go i zamarło. Nie zwracał uwagi na miny mówiące „O Boże!”. Zdążył się już przyzwyczać do takich reakcji. Od wielu lat jego reputacja docierała wszędzie szybciej niż on sam.

Mógł tylko podziękować pismu „Vanity Fair” za opublikowany przed dekadą demaskatorski artykuł o jego rodzinie. I trzy kolejne. Oraz za spekulacje, które odtąd roztrząsano na łamach tabloidów, nie wspominając już o internecie.

Jak raz się do człowieka przyczepi status celebryty wykorzystywanego przez media do zaspokajania potrzeb najmniej wybrednych odbiorców, to już nie sposób się od niego uwolnić.

Podchodząc do drzwi z napisem „Pomieszczenia prywatne”, bezwiednie podciągnął spodnie, wpuścił w nie koszulę i przygładził włosy. Zaczął teraz żałować, że nie poświęcił choć chwili, żeby wziąć prysznic, ogolić się i przebrać.

Żałował też, że jego spotkanie z Lizzie tak fatalnie się potoczyło. I bez tego miał już dość zmartwień.

Zapukał cicho i delikatnie. Odpowiedź, jaką otrzymał, była jednak daleka od delikatności.

– No i na co to pukanie? – rozległ się poirytowany kobiecy głos naznaczony silnym południowym akcentem.

Lane zmarszczył czoło i otworzył drzwi. A następnie stanął jak wryty.

Aurora stała przy kuchni, z której dochodził zapach rozgrzanego oleju i głośne skwierczenie kurczaka smażącego się na patelni. Na głowie miała burzę mocno skręconych czarnych włosów, sięgających jej za ucho. Ubrana była w tę samą podomkę, w której ją widział ostatnio, gdy wyjeżdżał na Północ.

Zamrugał z niedowierzaniem, zastanawiając się, czy ktoś sobie

z niego w okrutny sposób nie zakpił.

– No nie stójżeż tam jak ten słup – rzuciła. – Weź umyj ręce przynieś no stoliki. Zara będzie gotowe.

No tak, przecież spodziewał się raczej zastać ją w łóżku, z kołdrą podciągniętą pod brodę i gasnącym światłem w oczach, czekającą, aż po nią przyjdzie jej umiłowany Jezus Chrystus.

– No obudźżeż się wreszcie! Jeszczem nie umarła.

Potał się po nosie, czując nagły przyływ zmęczenia.

– Tak jest.

Zamknął za sobą drzwi i zaczął szukać fizycznych oznak słabości w jej silnych ramionach i mocnych nogach. Niczego się nie dopatrył. Nic w wyglądzie tej sześćdziesięciolatki nie wskazywało, że jeszcze rano zabrało ją pogotowie.

No dobra, a więc zupełnie nie wiadomo, co o tym myśleć – uznał w końcu, przyglądając się jedzeniu, które dla niego przygotowała. Tkwił w zawieszeniu między poczuciem ulgi i wściekłością, że zmarnował tyle czasu na przyjazd tutaj.

Jednego był pewien – nie wyjdzie stąd, dopóki się nie naje. Po części z tego powodu, że gdyby stawiał opór, zostałby niechybnie przywiązany do krzesła i siłą nakarmiony, ale przede wszystkim dlatego, że w chwili, gdy tylko poczuł znajome zapachy, zaczęło go z głodu ścisnąć w żołądku.

– Ale dobrze się czujesz? – spytał na wszelki wypadek.

Rzuciła mu wściekle spojrzenie, jakby mówiła, że jeśli zamierza dalej tak ją podchodzić, to oberwie ścierką, aż mu się odechce kłapać dziobem.

Nie ma sprawy – odpowiedział jej w myślach.

Przeszedł na drugi koniec ciasnego pomieszczenia i przekonał się, że składane stoliki, na których zawsze tutaj jedli, stały w tym samym miejscu, w którym je ostatnio widział – w rogu, między szafką telewizyjną a narożnikowym regałem. Nie zmieniły się też fotele – oba stały, tak jak wcześniej, pod wysokimi oknami, a zagłówki miały nakryte szydełkowymi serwetkami.

Wszędzie dookoła było mnóstwo oprawionych w najróżniejsze ramki zdjęć dzieci. Pośród ślicznych czarnych buziek pojawiały się też

jasne twarze. On sam na uroczystości ukończenia przedszkola, jego brat Max strzelający gola podczas gry w lacrosse'a, ich siostra Gin przebrana za pastereczkę w szkolnym przedstawieniu, najstarszy brat Edward w marynarce i krawacie na ostatnim roku studiów.

– Bożeż ty mój, ale z ciebie chudzina – mruknęła Aurora, mieszając w garnku, w którym bez wątplenia gotowała się fasolka szparagowa z kawałeczkami szynki. – Nie mają tam w Nowym Jorku jedzenia?

– Takiego nie.

Z jej gardła doszedł dźwięk przypominający strzelający gaźnik chevroleta.

– Idź no przynieś talerze – rzuciła.

– Tak jest.

Gdy wyjmowane przez niego z szafki talerze zabrzęczały, zdał sobie sprawę, że drżą mu ręce. W przeciwieństwie do kobiety, która go urodziła i zapewne „odpoczywała” teraz na górze, nieprzytomna od leków („wcale nie jestem uzależniona, to lekarz mi je przepisał”), Aurora zawsze wydawała mu się osobą o nadludzkiej sile, nietkniętą upływem czasu. A tu nagle nawrót raka?

Jasna cholera, jeszcze nawet do niego nie dotarło, że w ogóle kiedyś chorowała. Ale przecież nie będzie się oszukiwał. To musi być właśnie przyczyna dzisiejszego zasłabnięcia.

Ułożył na stolikach sztuce i serwetki, nalał do kubków osłodzonej herbaty, i w końcu usiadł w fotelu po prawej stronie.

– Nie powinnaś teraz gotować – powiedział, gdy zaczęła nakładać jedzenie na talerze.

– A tyś, synku, nie powinien tak przepadać bez wieści. Gdzieś ty się podziewał?

Z całą pewnością nie leży na łożu śmierci – pomyślał.

– Co powiedzieli lekarze?

– Po mojemu to nic ciekawego – mruknęła znad ogromnych porcji różnych potraw. – A tera siedź cicho i jedz.

– Tak jest.

Chryste Panie – pomyślał, patrząc na swój talerz. Smażona okra. Flaczki. Placki ziemniaczane. Fasola w sosie z wieprzowiny. No

i smażony kurczak.

W brzuchu mu zaburczało z głodu. Aurora się roześmiała.

Dla niego jednak to nie były żarty. Musiał odchrząknąć. Dopiero teraz naprawdę poczuł, że jest w domu. To jedzenie, przygotowane przez tę konkretną kobietę – to właśnie jego dom. Właśnie te potrawy dostawał na talerzu przez całe życie – zwłaszcza w pradawnych czasach, gdy jego matka pięć razy w tygodniu wychodziła z ojcem na spotkania towarzyskie (zanim jeszcze całkiem się wycofała z wszelkiej aktywności). A on, jego bracia i siostra, niezależnie od nastroju, stanu zdrowia i pogody, co wieczór siedzieli w tej kuchni u Aurory i musieli się przykładowo zachowywać, żeby nie oberwać ścierką po głowie.

W kuchni u Aurory nie było żadnego łobuzowania.

– No, jedźże – powiedziała cicho. – Bo weźmie i wystygnie.

Nie musiała mu dwa razy powtarzać.

Gdy poczuł w ustach smak potraw z dzieciństwa, aż jęknął.

– Och, Aurora...

– Trza wrócić do domu, synku. – Usiadła przy swoim talerzu, kręcąc głową. – Północne życie nie dla ciebie. Nie wiem, jak se tam radzisz z tamtą pogodą, a co dopiero z tamtymi ludziami!

– Powiesz mi, co się stało? – spytał, wskazując na wacik przyklejony plastrem w zgięciu jej łokcia.

– Nie trzeba mi tego wozu, coś mi go kupił. Ot, co się stało.

– Jakiego wozu? – spytał, ocierając usta.

– Nie pajacuj, synku. – Jej czarne oczy spojrzały złowrogo.

– Jeździłaś strasznym gratem. Nie mogłem na to pozwolić. Lane słyszał, jak wraca jego południowy akcent. Szybko, nie ma co.

– Mój chevrolet jeszcze się nie sypie. Teraz on zmroził ją wzrokiem.

– To był od samego początku bardzo kiepski samochód, a do tego ma na liczniku sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów.

– Nie wiem po co...

– Przykro mi, ale nie będziesz jeździła tym gruchotem.

Jej wściekłe spojrzenie mało nie wypaliło mu dziury w czole. Nie ruszył się jednak z miejsca, aż w końcu spuściła wzrok. Tak właśnie to

u nich zwykle wyglądało. Dwa uparciuchy, z których żaden nie chce ustąpić ani na jotę.

– Nie trza mi mercedesa – mruknęła.

– Z napędem na cztery koła.

– Nie widzi mi się jego kolor. Bezbożny taki.

– Bzdura. Czerwień to kolor tutejszej uczelni. I bardzo ci się podoba.

Aurora znów fuknęła, on jednak wiedział, jaka jest prawda. Uwielbiała swój nowy samochód. Zadzwoiła do niego jej siostra Patience i powiedziała, że Aurora jeździ nowym mercedesem po całym mieście. Oczywiście sama Aurora nie zadzwoniła, żeby mu podziękować. Właściwie to spodziewał się tej sceny. Zawsze była zbyt dumna, by przyjąć cokolwiek za darmo.

Ale ona też nie chciała go zdenerwować – i dobrze wiedziała, że to Lane ma rację.

– Powiedz w końcu, co się stało dziś rano. – Tym razem to nie było pytanie. Starczy.

– Tak mi się trochę w głowie zakołowało.

– Podobno straciłaś przytomność.

– Już wszystko dobrze.

– Podobno to nawrót raka.

– A kto tak gada?

– Aurora...

– Już raz mnie Zbawiciel wziął i wyleczył, i zrobi to znowu.

– Uniosła jedną dłoń ku niebu i zamknęła oczy, a później znów je otworzyła i spojrzała na niego. – Dobrze będzie. Czym ja cię kiedy okłamała, synku?

– Nie, nigdy.

– No to jedz.

Zastosował się do polecenia i przez dwadzieścia kolejnych minut milczał.

W połowie drugiego talerza musiał jednak spytać:

– Widziałaś go ostatnio?

Nie musiał mówić, o kogo chodzi. Osobą, o której wszyscy mówili szeptem „on”, był jego brat Edward.

– Nie – odparła Aurora, wyraźnie spięta.

Nastąpiła kolejna dłuższa chwila ciszy.

– Widzi ci się go zobaczyć, skoroś tu już jest? – spytała.

– Nie.

– Ktoś by powinien.

– To i tak niczego nie zmieni. Poza tym muszę wracać do Nowego Jorku. Tak naprawdę przyjechałem tylko po to, żeby sprawdzić, jak się czujesz.

– Weźmiesz i pójdziesz się z nim zobaczyć. I to zanim się zabierzesz na powrót tam na Północ.

Lane zacisnął powieki, a po chwili powiedział:

– Tak jest.

– Dobry chłopak z ciebie.

Po trzeciej dokładce Lane sprzątnął talerze, starając się nie martwić tym, że Aurora w ogóle nic nie zjadła. Rozmawiali teraz o jej jedenastu braciach i siostrach oraz ich licznym potomstwie, a także o tym, że jej ojciec Tom w końcu zmarł. Miał osiemdziesiąt sześć lat.

Nazywała się Aurora Toms, ponieważ była jedną z córek Toma. Ludzie mówili, że oprócz dwanaściorga dzieci, które miał ze swoją żoną, spłodził ich jeszcze mnóstwo w związkach pozamałżeńskich. Lane widywał go czasem w kościele, do którego chodziła Aurora. Tom był niesłychanie barwną postacią, kwintesencją głębokiego Południa, o charyzmie kaznodziei i szatańskiej urodzie.

Lane nie chciał sobie schlebiać, ale dobrze wiedział, że od zawsze był faworytem Aurory. Tłumaczył to sobie własnym podobieństwem do jej ojca. Podobnie jak o tamtym, o nim też przez całe życie mówiono: „Za ładny, nie wyjdzie mu to na zdrowie”, no i nie ma co ukrywać, że też był swego czasu niezłym kobieciarzem. Jako dwudziestokilkulatek Lane liczbą miłosnych podbojów mógł śmiało konkurować z ojcem Aurory.

To Lizzie go z tego wyleczyła. Niczym nasyp, na którym nawet rozpadziony samochód musi wyhamować.

– Idźże na górę, przywitaj mamunię, nim się stąd zabierzesz – powiedziała Aurora, gdy już pozmywał i odłożył na miejsce naczynia i sztuce.

Patelnię i garnki zostawił na kuchni. Dobrze wiedział, że lepiej ich nie dotykać.

Obrócił się w jej stronę, złożył ścierkę i oparł się o stalowy zlew.

– Trza wam to wziąć i ocalić – oświadczyła, siedząc w fotelu wyciągając dłoń.

– Aurora...

– Nie gadaj, żeś przeleciał tyle kilometrów po nic innego, jak tylko zerknąć, czy jeszcze dycham, jakbym była jaką schorowaną starowiną.

Mnie nie ocyganisz.

– Warto przylecieć, żeby z tobą zjeść.

– Co racja, to racja. A teraz idźżeż zobaczyć mamunię.

Już to zrobiłem – pomyślał, patrząc prosto na nią.

– Będziesz miała jakąś pomoc przy derby? – spytał.

– A coś myślał, że robią mi tu w kuchni te wszystkie durnie?

– To spore przedsięwzięcie. Nie wierzę, że nimi nie dyrygujesz.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie, ale na tym poprzestała. Aż się przestraszył. W normalnej sytuacji wstałaby z fotela i wypchnęłaby go za drzwi. Ale ona nadal siedziała bez ruchu.

– Nic mi nie będzie, synku.

– Mam nadzieję. Bo inaczej kto miałby mnie przywoływać do porządku?

Mruknęła coś pod nosem i zapatrzyła się w przestrzeń ponad jego ramieniem. A on stał w milczeniu i czekał.

W końcu skinęła, żeby się do niej zbliżył. Natychmiast przeszedł po linoleum i uklęknął przy jej fotelu. Wyciągnęła swoją piękną, mocną, czarną dłoń i przeczesała mu włosy.

– Trza ci się ostrzyc.

– Tak jest.

– Za ładnyś. Nie wyjdzie ci to na zdrowie – powiedziała, dotykając jego twarzy.

– Mówiłem już: musisz tu być i mnie pilnować.

– Bez obawy – odparła, kiwając głową. Potem milczała przez dłuższą chwilę. – Dziękuję za tego tam mercedesa – dodała w końcu.

– Nie ma za co – odparł, całując jej dłoń.

– Trza ci jeszcze coś pamiętać – powiedziała, błędząc po jego

twarży wzrokiem (tymi hebanowymi oczami, w które gapił się jako dziecko, potem nastolatek, młody chłopak i wreszcie dorosły mężczyzna), jakby próbowała przeanalizować zmiany zostawione przez upływ czasu na twarzy, którą tak dobrze знаła od ponad trzydziestu lat. –

Mam ja ciebie i mam w sercu Boga. To wielkie bogactwo. Czy to jasne, synku? Nie trza mi mercedesa, pięknego domu ani fatałaszków. Nie mam w sobie jakiej dziury bez dna, zrozumiano?

– Tak jest – odparł.

Zamknął oczy i pomyślał, że to najszlachetniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał.

Jeśli nie liczyć Lizzie.

– Słyszałem – dodał zachrypniętym głosem.

Jakąś godzinę po zderzeniu z Lane'em Lizzie wyszła z oranżerii, niosąc dwie spore aranżacje kwiatowe. Pani Bradford zawsze podkreślała, że we wszystkich ogólnie dostępnych pokojach oraz aktualnie używanych sypialniach mają stać świeże kwiaty – i zasady tej nadal przestrzegano, choć jej orędowniczka już ponad trzy lata temu wycofała się do swojego pokoju i właściwie z niego nie wychodziła. Lizzie lubiła jednak myśleć, że jeśli nadal będzie przestrzegała tych zaleceń, to może pani Bradford w końcu zejdzie z góry, żeby jak dawniej pełnić honory domu.

W Easterly było co najmniej pięćdziesiąt pomieszczeń, ale wiele z nich stanowiły biura, pokoje pracownicze i łazienki dla personelu oraz pomieszczenia gospodarcze, jak kuchnia, piwnica z winami, sale multimedialne i nieużywane pokoje gościnne. Bukiety na pierwszym piętrze były jeszcze w dobrym stanie – poprzedniego wieczoru Lizzie wszystkie sprawdziła i gdzieś tam tylko powyciągała przywiedłe już róże. Nowe aranżacje miały trafić na korytarz na piętrze i do pokoju pana Baldwine'a. Kwiaty u pani Bradford należało wymienić dopiero nazajutrz, podobnie jak te u pani Chantal i...

Czy Lane będzie spał w pokoju swojej żony?

Pewnie tak. Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze.

Wchodząc na górę po schodach przeznaczonych dla personelu, czuła, jak oba smukłe srebrne wazony obciążają jej dłonie i nadgarstki i zmuszają mięśnie ramion do wytężonego wysiłku, ale potrafiła to

wytrzymać. Te nieprzyjemne doznania nie będą przecież trwałe wiecznie, a robienie sobie po drodze przystanków tylko wydłużyłoby cały proces.

Główny korytarz na piętrze był długi niczym tor wyścigowy. Pośrodku znajdowała się strefa wypoczynkowa. Odchodził stamtąd mniejszy korytarz – po jego obu stronach znajdowały się wejścia do pokoi i apartamentów gościnnych, których było w sumie dwadzieścia jeden. Pokoje pana Baldwine’a starszego sąsiadowały z pomieszczeniami zajmowanymi przez jego żonę – ich okna wychodziły na ogród i rzekę. Między ich garderobami znajdowało się przejście, wiedziała jednak, że nie jest ono w ogóle używane.

Zdaje się, że po narodzeniu dzieci ten aspekt małżeństwa całkiem wygasł, jak to się staroświecko określa.

Gdy rozpoczęła pracę w Easterly, nie mogła zrozumieć, o co chodzi z nazwiskami członków rodziny, i popełniła błąd, nazywając panią Bradford jej formalnie prawidłowym nazwiskiem: pani Baldwine. Okazało się, że to wielka gafa. Została surowo upomniana przez kierowniczkę zespołu, która ją pouczyła, że panią domu tytułuje się tutaj nazwiskiem Bradford, niezależnie od tego, jakie nazwisko nosi akurat jej mąż.

Nie mogła się w tym połapać. Aż w końcu zdała sobie sprawę, że każde z małżonków żyło tak niezależnie od drugiego, jak niezależne od siebie były ich sypialnie. Pan Baldwine zajmował zatem pokoje o granatowych akcentach, wyposażone w ciężkie mahoniowe meble, a pani Bradford mieszkała w apartamencie utrzymanym w kolorach écru, kości słoniowej, beżu i błękitu, gdzie stały meble w stylu Ludwika XIV i łożo z baldachimem.

A zresztą może i coś ich łączyło: on krył się w swoim gabinecie w centrum biznesowym, a ona – w swojej sypialni.

Nie do wiary.

Lizzie podeszła do krętych schodów głównych i wymieniła bukiet na stoliku w strefie wypoczynkowej. Później ruszyła dalej i zatrzymała się przed wejściem do apartamentów pana Baldwine’a. Zapukała dwa razy w szerokie drzwi i czekała, choć wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie mogło go być w środku. Codziennie rano

udawał się do centrum biznesowego znajdującego się w sąsiednim budynku. Wracał dopiero na kolację, która była o siódmej.

Położyła na podłodze stary bukiet z korytarza i nacisnęła zdobną klamkę. Pchnęła drzwi i podeszła do wiekowej komody, przypominającej eksponat muzealny. Stojące na niej kwiaty wciąż zdawały się całkiem świeże, ale w Easterly pilnowano, żeby nic nie wskazywało na upływ czasu. Tu, w tej oazie luksusu, występowanie entropii było absolutnie zakazane.

Podczas gdy wymieniała wazon z kwiatami, usłyszała głosy dochodzące z zewnątrz, podeszła więc do okna. Świeżo przybyła ekipa kilkunastu mężczyzn wwoziła do ogrodu na wózkach wielkie białe bele płótna i długie aluminiowe rurki, z których – po zastosowaniu odpowiedniej ilości siły roboczej oraz należytej technologii – miał powstać ogromny namiot, o powierzchni trzystu metrów kwadratowych, w sam raz na śniadanie przed derby.

Świetnie... Chantal Baldwine pewnie już dzwoni po pana Harrisa i skarży mu się, że jacyś intruzi wtargnęli do strefy zakazanej. Jeśli akurat ktoś z rodziny lub gości korzystał z basenu, domku wypoczynkowego albo któregośkolwiek z tarasów, w ogrodzie należało natychmiast zaprzestać wszelkich działań, a pracownicy musieli pędem opuścić teren do czasu, aż jaśnie państwo się oddalą.

Dobra wiadomość: na dole całą ekipą zawiadywała już Greta. Gorsza wiadomość: pewnie z pełną premedytacją kazała im rozstawić namiot zaraz koło basenu, przy którym siedziała Chantal Baldwine.

Jakby w obawie przed tą konfrontacją Lizzie odwróciła się od okna i...

Nagle dostrzegła coś kolorowego.

– Co to za...

Pochyliła się, nadal jednak nie była pewna, co właściwie widzi. Podobnie jak wszystkie pomieszczenia w Easterly, pokój Williama Baldwine'a był nieskazitelnie czysty. Każda rzecz leżała na swoim miejscu; wszelkie przedmioty, jakich potrzebuje wpływowy biznesmen, spoczywały pochowane w szufladach, na półkach lub w garderobie.

Co więc robi między ścianą a zagłówkiem łóżka kawałek jedwabiu w kolorze brzoskwiniowym?

No cóż, mogła się tylko domyślić.

Z całą pewnością ten fragment bielizny nie należał do pani Virginii Elizabeth Bradford Baldwine.

Lizzie chciała już tylko jak najprędzej stąd wyjść. Szybkim krokiem podeszła do drzwi i je otworzyła.

– Och! Jak miiiło cię wiiidzieć! – rozległo się z jej prawej strony.

Ten południowy zaśpiew zabrzmiał w jej uszach jak skrobanie paznokciami po tablicy, ale jeszcze gorszym doznaniem był widok Chantal Baldwine, która zarzuciła Lane’owi ramiona na szyję i się na nim uwiesiła.

Po prostu cudownie. Ta parka znajdowała się teraz między nią a schodami dla personelu.

– Ale mi zrobiłeś niespodziankę! – mówiła szczęśliwa małżonka, robiąc krok w tył i ustawiając się we wdzięcznej pozie, jakby chciała, żeby dobrze jej się przyjrzał. – Właśnie odpoczywałam przy basenie, ale wróciłam na górę, bo przyjechała ekipa od namiotu, postanowiłam więc się usunąć, żeby mogli pozostać w ogrodzie i wszystko przygotować.

No naprawdę, zasłużyłaś na medal – pomyślała Lizzie. A nie miałaś przypadkiem i tak zaraz jechać do klubu?

Lizzie odwróciła się w drugą stronę, gotowa ruszyć ku głównym schodom, żeby jakoś uciec, nawet jeśli to wbrew regulaminowi. Wszystko, byle nie musieć przechodzić obok...

W tym momencie na piętrze pojawił się pan Harris wraz z panią Mollie, odpowiedzialną za prowadzenie domu. Angielski kamerdyner przejeżdżał końcem palca po balustradzie i pokazywał go jej, kręcąc głową.

Świetnie.

Miała dwa wyjścia – jedno prowadziło po gorących węglach, a drugie prosto przez ogień. Chociaż mogła jeszcze wycofać się do pokoju pana Baldwine’a, miłośnika skoków w bok.

Och, co za wybór!

Czasem po prostu uwielbiała swoją pracę.

Destylarnia Bradfordów, hrabstwo Ogden

Edwin MacAllan junior zwany Mackiem szedł wzdłuż wysokich na dwanaście metrów rzędów beczek z bourbonem w ręcznie wykonanych skórzanych kowbojkach stukających o starą betonową podłogę. Jego nozdrza wypełnił zapach stu tysięcy desek i milionów litrów dojrzewającego bourbona, bardziej upojny niż kobiece perfumy.

Szkoda tylko, że Mack był zbyt wkurzony, żeby się tym cieszyć. W zaciśniętej dłoni trzymał nieodwracalnie zmięty w kulkę list od zarządu – laserowy wydruk na białym papierze, teraz już praktycznie nieczytelny. Ale wcześniej przestudiował to cholerstwo trzykrotnie, i to nie tylko dlatego, że miał głęboką dysleksję, więc pisany angielski stanowił dla jego mózgu przeszkodę niesłychanie trudną do pokonania.

Nieźle mu dali popalić. Nie był przecież jakimś prostakiem. Wychował się w rodzinie ludzi wykształconych i sam uczęszczał na Uniwersytet Auburn w Alabamie. O produkcji bourbona wiedział wszystko, począwszy od samego procesu chemicznego aż po najbardziej nieuchwytną sztukę dopracowywania smaku.

Był powszechnie poważanym naczelnym gorzelnikiem najbardziej prestiżowej marki bourbona na świecie, a także synem najsłynniejszego naczelnego gorzelnika w historii branży alkoholowej.

Teraz jednak miał ochotę wsiąść w swojego pikapa i wjechać nim prosto w recepcję centrum biznesowego Williama Baldwine'a w Easterly, a następnie wyciągnąć swoją stuletnią strzelbę myśliwską i zrobić sito z biurków tych korporacyjnych idiotów zarządzających całym interesem.

Zatrzymał się, oparł o ścianę i spojrzał w górę na spiętrzone półki z beczkami, sięgające aż do odkrytych belek sufitowych magazynu.

Wypalone na przodach beczek wraz z nazwą marki numery kodów oraz daty były tam umieszczane najpierw na polecenie jego ojca, a potem jego samego. Wszystkie tworzyły pewien ciąg – drogocenne baryłki leżakowały tu przez cztery lata, dziesięć, dwadzieścia i więcej. Regularnie je sprawdzał, choć kierował ogromnym zespołem

pracowników, którzy mogliby się tym zająć. On jednak patrzył na to w ten sposób: te beczki to jego jedyne dzieci, więc jako ojciec nie może ich powierzać jakiegś opiece zastępczej.

Miał trzydzieści osiem lat i żył samotnie, co stanowiło zarówno jego wybór, jak i konieczność życiową. Ta praca, angażująca go przez dwadzieścia pięć godzin na dobę i osiem dni w tygodniu, była jego żoną, kochanką, rodziną i całym dziedzictwem.

List, który znalazł na swoim biurku, gdy wszedł rano do pracy, był więc niczym zderzenie z pijanym kierowcą, nagle kasującym człowiekowi furgonetkę wiozącą całe jego życie.

Przepis na bourbona jest tak naprawdę prosty: zacier zbożowy (który według prawa obowiązującego w stanie Kentucky musi zawierać przynajmniej pięćdziesiąt jeden procent kukurydzy, a który tu, w Bradford Bourbon Company, składa się poza tym z żyta, słodowanego jęczmienia oraz około dziesięciu procent pszenicy, dodającej mu aksamitności), woda źródłana pochodzenia krasowego oraz drożdże. A gdy już dokona się cała chemiczna magia, świeży bourbon wlewany jest do osmalonych od środka beczek z dębu białego i leżakuje w takich właśnie magazynach tak długo, aż powstanie z niego dojrzały, mocny i piękny trunek.

I tyle. Każdy producent bourbona korzysta z tych pięciu składników: zboże, woda, drożdże, beczki i czas potrzebny do otrzymania należytego efektu. Koniec. Podobnie jednak jak Bóg, który z jednego materiału stworzył nieskończone wariacje ludzkie, tak każda rodzina czy firma działająca w tej branży produkuje nieco inny wariant tego samego alkoholu.

Wyciągnął rękę i położył dłoń na krągłym boku jednej z pierwszych beczek, które napelnił po przejęciu obowiązków naczelnego gorzelnika. Było to prawie dziesięć lat temu, choć pracę w firmie zaczął znacznie wcześniej, już jako czternastolatek. Od początku było jasne, że kiedyś przejmie schedę po ojcu. Tak się jednak złożyło, że tata odszedł zbyt szybko, no i wyszło, jak wyszło. Mack został wrzucony na cholernie głęboką wodę i musiał jakoś sobie poradzić, bo nie miał najmniejszego zamiaru iść na dno.

I tak znalazł się w obecnej sytuacji: mistrz w swojej branży, wciąż

jeszcze dość młody, żeby założyć własną dynastię, tymczasem jednak pracujący dla arystokracji producentów bourbona, firmy, która szczyła się stworzeniem „Bourbona Doskonałego”. Takim właśnie hasłem opatrywano wszystkie produkty Bradfordów; stanowiło ono kwintesencję ich podejścia do procesu produkcji, biznesu i całej filozofii marketingowej.

Jak zatem, na rany Chrystusa, kierownictwo sobie wyobraża, że on miałby się zgodzić na zaproponowane przez nich opóźnienia w dostawie kukurydzy? Czy ci debile z dyplomami MBA nie rozumieją, że nawet jeśli dziś mają pod dostatkiem czteroletniego bourbona, to jeśli on teraz wstrzyma produkcję, za czterdzieści osiem miesięcy w tej kategorii nie będą mieli nic? I że to samo będzie się działo na kolejnych etapach za dziesięć i dwadzieścia lat?

Wiedział dokładnie, do czego to wszystko zmierza. W całym kraju brakowało kukurydzy, jako że w wyniku globalnego ocieplenia pogoda zeszłego lata płała nieoczekiwane figle, więc ceny poszybowały w kosmos – ale przecież to się zapewne długo nie utrzyma. Najwyraźniej te liczykrupy w dowództwie centralnym, czyli w biurze pana Baldwine’a, postanowiły zaoszczędzić parę dolarów, wstrzymując produkcję na najbliższych kilka miesięcy, przy założeniu, że jakoś to się potem nadrobi, jak już ceny kukurydzy wrócą do normy.

Jeśli oczywiście susza, która przed rokiem wstrząsnęła całym krajem, już się nie powtórzy.

Za co on by osobiście głowy nie dał.

Ta korporacyjna logika miała wiele mankamentów, ale zasadniczy problem polegał na tym, że te buce w krawatach i garniturach nie pojmowały, że bourbon to nie jakiś gadżet, który się składa na linii produkcyjnej wyposażonej w prosty wyłącznik. Taki trunek powstaje w wyniku szczególnego, bardzo złożonego procesu, stanowiącego zwieńczenie ponaddwupółwiecznego pół okresu prób i błędów oraz ciągłego udoskonalania techniki. Nad smakiem bourbona należało stale pracować, wydobywać z niego aromaty i dbać o ich równowagę, wciąż tę samą mieszankę składników doprowadzać do doskonałości, a na koniec wysyłać klientom dzieło opatrzone prestiżową etykietką. Przecież, do jasnej cholery, taką samą dumą napawało go dbanie

o sztandarowy nr 15, najpopularniejszy, choć nie najdroższy produkt firmy, co sprawowanie pieczy nad kosztownymi, dłużej leżakowanymi trunkami, takimi jak Black Mountain, Bradford I czy najbardziej ekskluzywną linią o nazwie Rodzina Rezerwa.

Nie miał cienia wątpliwości, że jeśli teraz przerwie produkcję, to za sześć miesięcy zwrócą się do niego z prośbą, żeby podmienił daty na beczkach.

Dla tych przeklętych sztywniaków sześć miesięcy to zaledwie pół roku, dwadzieścia sześć tygodni, wiosna i lato.

Ale jego podniebienie odróżniało bourbona leżakującego dziewięć i pół roku od takiego, który miał już dziesięć lat i jeden dzień. Niewykluczone zresztą, że większość klientów nie potrafiłaby ich rozróżnić, ale co to ma do rzeczy? I co z tego, że konkurencja regularnie podmienia daty swoich produktów? Czy to ma być dla niego wzór do naśladowania?

Mack pomyślał, że gdyby Edward sprawował pieczę nad interesem, wówczas on sam nie musiałby się niczym martwić. Edward Baldwin stanowił rzadki okaz w rodzinie Bradfordów – jako człowiek o duszy prawdziwego gorzelnika stanowił relikwiarz znakomitej rodowej przeszłości. Naprawdę cenił to, co produkował. Lecz ten domniemany następca tronu nie angażował się obecnie w prowadzenie firmy.

Nie było więc nawet do kogo się z tym zwrócić.

I jeszcze zostawili mu ten list na biurku. Jakież to typowe dla stylu, w jakim załatwiano sprawy od czasu tragedii Edwarda. Te biurowe mięczaki dobrze wiedziały, że go szlag trafi, więc nie miały odwagi przyjść i mu tego powiedzieć prosto w twarz. Nie, nie. Napiszemy sobie tutaj taki liścik i zostawimy go na stercie innych dokumentów, jakby wcale on nie podważał fundamentów naszego przedsiębiorstwa.

Mack ponownie zadarł głowę, patrząc na krokwie z wiekowego drzewa ściętego przed stu laty. W tym najstarszym z magazynów firmy przechowywano tylko najbardziej drogocenne beczki. Znajdował się on zaraz obok budynku historycznej gorzelnicy, gdzie obecnie mieściło się muzeum dla turystów oraz jego biuro. To była, do cholery, po prostu świątynia bourbona.

Między tymi beczkami przechadzała się dusza jego ojca.

Mack był przekonany, że czuje na karku jego oddech. W ten spokojny dzień, gdy w magazynie towarzyszyły mu jedynie promienie słońca wpadające przez zamglone okna, odgłos jego własnych kroków na betonie i unoszące się w słonecznym blasku opary „doli aniołów”, czuł też, że to właśnie on jest jednym z ostatnich strażników tradycji w firmie.

Młodzi, którzy teraz tu trafiali, nawet jeśli mieli ambicję zająć tak wysoko jak on i deklarowali uwielbienie oraz wielki szacunek dla prastarych rytuałów i podstaw procesu produkcji, w istocie byli tylko korporacyjnymi trybikami, tyle że w roboczych kombinezonach zamiast garniturów. Należeli do pokolenia gogusiów przekonanych o swojej wyjątkowości i spodziewających się Bóg wie czego w nagrodę za to, że się w ogóle gdzieś zjawili. Sądziło, że wszystko przyjdzie im łatwo i że każdy będzie wokół nich skakać i się o nich troszczyć jak tatuś z mamusią.

Poglądy mieli równie głębokie jak statusy na Facebooku, stanowiące kwintesencję egoizmu i fascynacji głupotami.

W porównaniu do swoich poprzedników, którzy potrafili dbać o jakość produktu w obliczu klęsk głodu, wojen, chorób, wielkiego kryzysu, a nawet prohibicji, na litość boską, ci chłopcy po prostu bawili się w dorosłych.

Tyle że o tym nie wiedzieli. A ponieważ kultura korporacji wygląda, jak wygląda, nigdy się o tym nie dowiedzą.

– Mack?

Obejrzał się przez ramię. Cicho i niepostrzeżenie podeszła do niego jego sekretarka Georgie O'Malley. Miała już sześćdziesiąt cztery lata i od czterdziestu jeden lat pracowała w firmie – wcześniej prowadziła biuro jego ojca. Nie sprawiała jednak wrażenia przemęczonej. Chętnie odgrywała rolę „żony farmera” (choć nie miała ani męża, ani farmy) i była dla Macka bratnią duszą w walce z obecnymi trendami, wedle których wszystko jest płynne i zależne od chwilowych fanaberii.

– Wszystko w porządku, Mack?

Mack spojrzał ponownie na opary „doli aniołów” unoszące się pośród smug światła wysoko pod sufitem.

„Dola aniołów” była tu czymś świętym. Każdą dwustulitrową

beczkę z białego dębu najpierw osmalano, a dopiero potem napełniano bourbonem. Następnie przechowywano je właśnie w takim środowisku jak tutaj, bez klimatyzacji, dzięki czemu drewno, z którego wykonano beczki, w zależności od pory roku rozszerzało się i kurczyło, a leżakujący w nich alkohol stopniowo nabierał odpowiedniej barwy i smaku w kontakcie ze skarmelizowanymi cukrami pochodzącymi z opalonego drewna.

Z tych dwustu litrów całkiem spora część z czasem wyparowywała lub przenikała do drewna.

To właśnie była „dola aniołów”.

Jego ojciec uważał, że to ofiara składana przeszłości, porcja przeznaczona dla przodków, którzy mieli ją wypić w niebie. Stanowiła również zaliczkę, którą każdy gorzelnik płacił na poczet własnej śmierci, w nadziei, że kolejny stróż tradycji również postara się o odpowiednią działkę, gdy jego poprzednika nie będzie już na świecie.

– Nic z nas nie zostanie, Georgie – jęknął Mack.

– O czym ty mówisz?

Pokręcił tylko głową.

– Powiedz chłopakom, żeby zamknęli produkcję.

– Co?!

– To, co słyszałaś. – Mack uniósł w górę pięść, pokazując zwinięty kulkę papier. – Kierownictwo zawiesza zamówienia na kukurydzę na najbliższe trzy miesiące. Co najmniej. Dadzą nam znać, kiedy będziemy mogli znów zacząć robić zacier. A posiadane przez nas żyto, jęczmień i pszenica mają znaleźć inne zastosowanie.

– Inne zastosowanie? Co to ma znaczyć?

– Nie mogą ich sprzedać konkurencji. Jeśli ta wiadomość rozejdzie się wśród ludzi takich jak Suttonowie lub trafi do mediów, wówczas z tych groszy, które zaoszczędzą, wyjdzie im najbardziej kosztowna wpadka w historii tej pieprzonej firmy.

– Jeszcze nigdy nie wstrzymywaliśmy produkcji...

– Przynajmniej od czasów prohibicji, chociaż i wtedy to było tylko na pokaz.

Przez chwilę milczeli.

– Mack, co oni zamierzają?

– Doprowadzić firmę do ruiny, i tyle! – Podszedł do niej bliżej.
– Chcą nas pociągnąć na dno pod pozorem maksymalizacji zysków.
A zresztą czort ich wie, może chcą w końcu pójść na giełdę. Co drugi producent bourbona, jeśli nie liczyć Suttonów, jest teraz spółką publiczną. A może próbują sztucznie podbić zyski przed sprzedażą inwestorowi prywatnemu. Nie wiem i gównu mnie to obchodzi. Jestem jednak pewien, że Elijah Bradford właśnie przewraca się w grobie.

Ruszył w stronę wyjścia.

– Dokąd idziesz? – zawołała za nim Georgie.

– Muszę się napić. Piwa. Ile wlezie.

Stojąc przed drzwiami swojej sypialni i patrząc na kobietę mieniającą się jego żoną, Lane pomyślał, że ona też, podobnie jak cała rodzinna posiadłość, nic się nie zmieniła.

Właściwie to Chantal Blair Stowe Baldwinie nic a nic się nie zmieniła: identyczna fryzura, taki sam samoopalacz, makijaż, podobny kosztowny zestaw różowych ubrań – właśnie tak wyglądała, kiedy stąd wyjeżdżał. I ten jej głos – jakby starała się o rolę wytwornej damy z Południa.

Wciąż też paplała jak najęta. Słowa płynęły z jej ust wartkim strumieniem, bez żadnej poprawki na ograniczoną wytrzymałość słuchacza. Ale przecież konwersacja była dla niej sztuką godną primadonny: jej ręce poruszały się niczym skrzydła gołębic, dłonie to opadały, to się wznosiły, a wielki diament, na którym tak bardzo jej zależało, połyskiwał przy tym jak reflektor.

– ...weekend derby! Oczywiście! Przecież przyjeżdża dzisiaj Samuel Lodge. Gin tak się cieszy, że go zobaczy...

Nie do wiary. Przez prawie dwa lata się nie widzieli i nie zamienili ze sobą ani słowa, a ona mu teraz mówi, kto będzie na kolacji.

Co on, u diabła, kiedykolwiek w niej widział?

– Och, Lisa! Przepraszam, czy mogłabyś poprosić pana Newarka, żeby zamówił samochód pana Baldwinie’a młodszego? Jedziemy do klubu na lunch.

Lisa? – zdziwił się Lane. No tak, w końcu przecież musiała być tu jakaś rotacja pracowników, odkąd... Zerknął przez ramię. W drzwiach sypialni ojca stała Lizzie, trzymając w rękach wazon z dwoma bukietami kwiatów, całkiem jeszcze świeżych, ale z pewnością już wymienionych na nowe.

– Pan Harris jest tam – powiedziała sztywno Lizzie.

– Nie lubię krzyczeć. To takie nieeleganckie – oświadczyła Chantal, pochylając się w stronę Lizzie, jakby były przyjaciółkami mającymi wspólny sekret. – Ogromnie ci dziękuję, jesteś taka pomocna...

– Czyś ty oszalała? – przerwał jej Lane.

Chantal aż odskoczyła. Cofnęła głowę, a jej niewinne spojrzenie w mgnieniu oka (w tym wypadku okolonego sztucznymi, ale bardzo gustownymi rzęsami) nabrało wyrazu godnego płatnego zabójcy.

– Słucham? – szepnęła wściekle w jego stronę.

– Idź i sama mu powiedz – mruknął, próbując dostrzec reakcję Lizzie.

Ona jednak zdawała się go nie zauważać. Z niewzruszonym, w pełni profesjonalnym wyrazem twarzy sprężystym krokiem przeszła obok niego w stronę schodów dla personelu. Tymczasem Chantal wciąż nadawała:

– ...mówić do mnie w ten sposób w obecności personelu – syczała.

– Ona ma na imię Lizzie, a nie Lisa. – Teraz to on pochylał się w jej stronę. – Przecież dobrze o tym wiesz, prawda?

– Jej imię jest bez znaczenia.

– Jest tutaj dłużej od ciebie – powiedział z chłodnym uśmiechem. – I mogę się założyć, że zostanie tu jeszcze długo po tym, jak ty stąd znikniesz.

– Co to ma niby znaczyć?

– Wcale nie musisz mieszkać pod tym dachem. I dobrze o tym wiesz.

– Jestem twoją żoną.

Lane patrzył na nią i się zastanawiał, jakim cudem, do diabła, ta kobieta wciąż ma cokolwiek wspólnego z jego życiem. Najprostsza odpowiedź: od dawna przecież udawał, że Charlemont w ogóle nie istnieje. Bardziej złożony wywód musiałby uwzględnić wszystko, co wcześniej zrobiła.

„Jestem twoją żoną”.

– Ale już niedługo – powiedział niskim głosem.

Uniosła podkreślone kredką brwi i w jednej chwili jej twarz – która wcześniej przypominała pyszczek wymuskanej perskiej kotki siłą wykąpanej w kłozecie – rozpogodziła się i wygładziła.

– Nie kłóćmy się, skarbie. Mamy rezerwację w klubie. Powinniśmy tam być za dwadzieścia minut...

– Pozwól, że ci coś wyjaśnię. Nigdzie z tobą nie jadę. Chyba że do adwokata.

Kątem oka zauważył, że pan Newark czy też Harris (jak on tam się nazywał, ten kamerdyner?) dyskretnie odwraca się na pięcie i wraz z panią Mollie rusza w drugą stronę.

– Bądź poważny, Tulane.

Jasny gwint, jak on nie znosił, gdy ta kobieta wymawiała jego pełne imię. „Tuuleeejn”. Na litość boską, przecież tam są tylko dwie sylaby, a nie trzysta.

– Jestem zupełnie poważny – odparł. – Czas już zakończyć te sprawy między nami.

Chantal wzięła długi, głęboki oddech.

– Wiem, że się martwisz o biedną starą Aurorę i dlatego mówisz rzeczy, których nie masz na myśli. Rozumiem. To bardzo dobra kucharka, a teraz trudno takie znaleźć.

Zazgrzytał zębami.

– Uważasz, że to po prostu kucharka.

– A co, chcesz mi powiedzieć, że to twoja księgowa?

Chryste, po co on w ogóle...

– Ta kobieta znaczy dla mnie więcej niż osoba, która mnie urodziła.

– Nie bądź śmieszny. Przecież to czarna...

Lane złapał Chantal za ramię i zdecydowanym ruchem przyciągnął ją do siebie.

– Nigdy więcej nie mów o niej w ten sposób. Jak dotąd nie zdarzyło mi się jeszcze uderzyć kobiety, ale zapewniam cię, że jeśli nie będziesz się o niej wyrażać z szacunkiem, to zrobię z ciebie miazgę!

– Lane, to boli!

Nagle się zorientował, że w drzwiach jednego z pokoiów gościnnych stoi pokojówka trzymająca w rękach stos złożonych ręczników. Dziewczyna zamarła, a po chwili pochyliła głowę i pospiesznie się oddaliła. On tymczasem odepchnął od siebie Chantal, poprawił sobie spodnie i spojrzał gniewnie za uciekającą korytarzem pokojówką.

– To koniec, Chantal. Jeśli jeszcze nie zauważyłaś.

Złożyła dłonie jak do modlitwy – ale ani przez chwilę nie dał jej się omamić. Nie zbiło go też z tropu udawane cierpienie w jej głosie.

– Powinniśmy chyba popracować nad naszym związkiem – szepnęła.

– Zgoda. Trzeba coś poradzić na tę katastrofę, jaką jest nasze małżeństwo. I to raz, a dobrze.

– Wcale tak nie myślisz.

– A ty skąd niby wiesz? Znajdź sobie dobrego prawnika, jeśli chcesz. Tak czy inaczej, zaraz cię tu nie będzie.

Czas na łzy. Wielkie, okrągłe, dzięki którym jej błękitne oczy mieniły się niczym woda w basenie.

– Potrafisz być taki okrutny...

Za to ty nie potrafisz – pomyślał z przekąsem.

Jasna cholera, powinien był jednak podpisać tę intercyzę. No trudno, stało się, nie ma co rozpaczać. Na szczęście pieniądze będą dalej spływać. Nawet jeśli ona zażąda od niego milionów, nadrobi to w rok czy dwa.

– Idę porozmawiać z matką – rzucił. – A potem zadzwonię do Samuela. Może zdąży przygotować papiery przed kolacją.

I nagle, w mgnieniu oka, Chantal znów przeobraziła się w żelazną damę o zimnym spojrzeniu.

– Jeśli to zrobisz, doprowadzę do ruiny ciebie i twoją rodzinę.

Nie wiedziała jednak, że jego życie już dawno doprowadziła do ruiny. Stracił przez nią Lizzie... i dużo, dużo więcej. Ale tym stratom trzeba wreszcie położyć kres, do cholery.

– Uważaj, Chantal – powiedział, nie spuszczać z niej wzroku. – Zrobię wszystko, w ramach prawa i poza jego granicami, żeby chronić to, co mam.

– Grozisz mi?

– Nie, tylko przypominam ci, skarbie, że należę do rodu Bradfordów. A my dobrze dbamy o swoje interesy.

Odwrócił się od żony i ruszył w kierunku drzwi swojej matki. Zapukał. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wszedł do wonnego wnętrza i zamknął za sobą drzwi.

Zamknął oczy. Musiał chwilę odczekać i nieco ochłoniąć, zanim stanie oko w oko z dawno niewidzianą matką. Tylko chwilę, żeby zebrać siły. Jeszcze tylko...

Gdy znów otworzył oczy, zobaczył przed sobą kolejną scenografię, która przetrwała zupełnie niezmienną.

Kremowo-biały apartament matki wyglądał dokładnie tak jak zawsze. Po bokach ogromnych okien wychodzących na ogród zwisały bujnie udrapowane jedwabne kotary w kolorze pudrowego różu. Na ścianach, niczym klejnoty, mieniły się barwami obrazy Maxfielda Parrisha. W kątach stały wspaniałe francuskie antyki, zbyt cenne, żeby z nich w ogóle korzystać zgodnie z przeznaczeniem (czyli na przykład usiąść). Choć wszystko to zapierało dech w piersiach, uwagę przykuwało coś innego.

Najbardziej imponującym dziełem sztuki było tutaj łóżko stojące w dalszej części apartamentu. W niczym nie ustępowało ono zaprojektowanemu przez Berniniego barokowemu baldachimowi w Bazylice Świętego Piotra w Watykanie. Potężne łoże o rozmiarach godnych parowca miało rzeźbione kolumny wznoszące się ku niebu i podtrzymujące baldachim przystrojony kaskadami tego samego jedwabiu, z którego uszyto zasłony na okna.

Łoże zaś zajmowała właśnie ona: Virginia Elizabeth Bradford Baldwine. Leżała nieruchomo, zastygła niczym święta. Jej smukłe ciało tonęło pośród satynowych kołder i puchowych poduszek. Jasne włosy miała pięknie uczesane, a twarz umalowaną, choć nigdzie się nie wybierała, a nawet nie była przytomna.

Obok niej, na pękatej komodzie z marmurowym blatem zobaczył kilkanaście pomarańczowych pojemniczków na leki, o białych nakrętkach i białych etykietkach. Stały w równych rzędach, niczym oddział żołnierzy. Nie miał pojęcia, co zawierają, podejrzewał zresztą, że matka też nie wie.

Przypomniała mu się historia Marthy von Bülow, która spędziła wiele lat w śpiączce w wyniku przedawkowania leków – tyle tylko, że tam głównym podejrzanym był jej mąż, podczas gdy jego własny ojciec raczej nie próbował nigdy matki zabić. Przynajmniej tak dosłownie.

Drań znał inne sposoby, żeby ludzi wykończyć.

– Mamo... – powiedział Lane, zbliżając się do łóżka. Gdy znalazł się już przy niej, ujął w dłoń jej chłodną, suchą rękę o skórze cienkiej jak pergamin, przez którą przeświecały niebieskie żyłki. – Mamo?

– Odpoczywa – rozległ się jakiś głos.

Z garderoby wyszła na oko pięćdziesięcioletnia rudowłosa kobieta w biało-szarym fartuchu pielęgniarki. Doskonale komponowała się z wystrojem sypialni. Wcale by się nie zdziwił, gdyby matka właśnie dlatego ją zatrudniła.

– Jestem Patty Sweringin – powiedziała, wyciągając dłoń. – Mam zapewne przyjemność z panem Baldwine’em młodszym...

– Lane – potwierdził, ściskając jej dłoń. – Jak ona się czuje?

– Odpoczywa – powtórzyła kobieta z uśmiechem równie gładkim profesjonalnym jak jej strój. – Miała męczący poranek. Były u niej fryzjerka i stylistka.

No tak, nowe prawo do ochrony prywatności pacjentów, zapewniające poufność informacji medycznych. To nie jej wina, że nie może mu udzielić należytej odpowiedzi na pytanie o stan zdrowia matki. Jeśli jednak wyczerpało ją siedzenie z kawałkami folii zwiniętymi na głowie oraz suszenie włosów, to chyba nie powinien mieć wątpliwości co do jej formy.

– Gdy się obudzi, proszę jej powiedzieć, że... – Spojrzał znów na matkę.

– Co mam powiedzieć?

Pomyślał o Chantal.

– Zostanę tu jeszcze kilka dni – rzucił ponuro. – Sam jej powiem.

– Dobrze, proszę pana.

Wyszedł na korytarz, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie. Wpatrując się w olejny portret jakiegoś przodka, pomyślał, że powrót do przeszłości jest jak użądlenie pszczoły – nagły i bolesny.

– *Co pan tutaj robi?*

Lizzie King zadała mu to pytanie w ciemnym ogrodzie w pewien gorący i parny letni wieczór. Niebo zasnuły burzowe chmury, które zakryły światło księżyca, tak że kwitnące kwiaty i piękne okazy drzew tonęły w mroku.

Pamiętał każdy szczegół: stała naprzeciw niego na brukowanej ścieżce z rękami na biodrach i patrzyła mu prosto w oczy, do czego nie

był przyzwyczajony. W służbowym stroju wyglądała tak ponętnie, jakby miała na sobie najseksowniejszą bieliznę.

Wpadła mu w oko już za pierwszym razem, gdy tylko ją zobaczył na terenie rodzinnej posiadłości. Ilekroć później wracał do domu podczas przerw semestralnych na studiach, łapał się na tym, że wypatruje jej w ogrodzie, szuka jej wzrokiem i robi wszystko, żeby ich ścieżki jak najczęściej się przecinały.

Boże, jak on uwielbiał takie podchody.

Zresztą ich efekty też były całkiem mile.

Oczywiście w owych czasach nie miał innego rodzaju doświadczeń z kobietami ani nawet nie podejrzewał, że mógłby pragnąć czegokolwiek innego.

– Słucham? – domagała się odpowiedzi. Wyglądało na to, że jeśli szybko jej nie uzyska, zacznie nerwowo stukać nogą o ziemię, a zaraz potem strzeli mu w mordę za marnowanie jej czasu.

– Przyszedłem po ciebie.

Zaraz, zaraz, to nie zabrzmiało dobrze. Chciał powiedzieć, że przyszedł, żeby się z nią zobaczyć. Porozmawiać. Przyjrzeć jej się z bliska.

Te trzy słowa stanowiły jednak wierne odbicie jego pragnień. Chciał poznać jej smak, poczuć jej ciało pod sobą, dowiedzieć się, jak...

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Będę z panem szczerą.

– Bardzo lubię szczerłość. – Uśmiechnął się nieznacznie.

– Myślę, że zmieni pan zdanie, jak już powiem, co mam do powiedzenia.

Okeeej, a więc teraz będzie ostra. To zabawne, bo w przypadku panienek, z którymi zwykle się zabawiał, to by mu nie przeszkadzało, ale teraz, stojąc przed tą kobietą (i walcząc z silną potrzebą poprawienia sobie czegoś w spodniach), czuł się jakoś... głupio.

– Oszczędzę panu sporo czasu – mówiła cicho, jakby nie chciała, żeby ktoś ją usłyszał, ale w niczym nie osłabiało to przekazu jej słów. – Osoby pana pokroju nigdy mnie nie interesowały i tak już zostanie. Jest pan po prostu uprzywilejowanym niesforsnym chłopaczkiem, którego kręci zawracanie kobietom w głowach. Takie rzeczy nudziły mnie, gdy miałam piętnaście lat, a teraz, kiedy mam już prawie trzydzieści, jeszcze mniej mnie pociągają. Proszę więc wyświadczyć nam obojgu przysługę i pojechać sobie do klubu, znaleźć tam przy basenie jakąś blondynkę na jedną noc i z niej sobie zrobić sprzęt do ćwiczeń. Ja się do tego nie nadaję.

Zamrugął zdziwiony, jak ostatni dureń.

Sam fakt, że nazwanie jego zachowania po imieniu wprawia go w osłupienie, zdawał się potwierdzać jej argumenty.

– A teraz, jeśli pan wybaczy, jadę do domu. Pracuję tutaj od siódmej rano...

Wyciągnął szybko rękę i złapał ją za ramię, gdy już zaczęła się odwracać.

– Zaczekaj!

– Słucham? – Zmierzyła wzrokiem jego dłoń, a potem znów spojrzała mu prosto w oczy. – Nie mamy o czym mówić, chyba że chce

pan ze mną przedyskutować jakieś sprawy związane z kwiatami ogrodzie.

– Nie dasz mi szansy, żebym się obronił? Sama wchodzisz w rolę oskarżyciela i sędziego?

– Chyba nie mówi pan poważnie.

– Zawsze kierujesz się w życiu uprzedzeniami?

Wyzwolila się z jego uścisku, robiąc krok w tył.

– Wolę być uprzedzona niż naiwna. Zwłaszcza jeśli chodzi o mężczyzn takich jak pan.

– Nie dawaj wiary wszystkiemu, o czym piszą w gazetach...

– Och, błagam. Nic nie muszę czytać. Znam to z pierwszej ręki. Dwie panienki opuściły wczoraj rano dom tylnymi drzwiami. Tego wieczoru, gdy pan przyjechał, sprowadził pan z baru jedną rudą. A w środę, gdy miał pan badania okresowe, podobno wrócił pan z malinką na szyi. Zapewne zrobiła się od pokazywania gardła? – Chciał coś powiedzieć, ale mu nie pozwoliła, unosząc dłoń przed jego twarz. – Zanim pan uzna, że prowadzę ten radosny katalog pana podbojów z powodu jakiejś swojej ukrytej fascynacji, od razu wyjaśniam, że śledzą to wszystko tutejsze pracownice, które wciąż o tym gadają.

– Dasz mi dojść do słowa? – przerwał jej. – Czy wolisz rozmawiać sama ze sobą? Chryste, a ponoć to ja jestem zadufany w sobie.

– Słucham?

– Uważasz, że się wywyższam, tak? No cóż, przy tobie ginę w mroku, skarbie.

– *Co takiego?*

– *Uznałaś, że wszystko o mnie wiesz, tylko dlatego, że jacyś ludzie, którzy również mnie nie znają, gadają o sprawach, o których nie mają pojęcia. To dość aroganckie podejście.*

– *Ale to nie to samo co wywyższanie się.*

– *Naprawdę chcesz się kłócić o słówka?*

No dobra, taka sprzeczka nie powinna go seksualnie rozpalać, ale, jasna cholera, właśnie tak się działo. Przy każdym zadawanym przez nią ciosie coraz mniej skupiał się na szczegółach jej ciała, a coraz głębiej patrzył jej w oczy – a wówczas wydawała mu się jeszcze bardziej ponętna.

– *Przepraszam, czy możemy na tym poprzestać? – ucięła. – Muszę tu być z powrotem o świcie, a ważniejszy od tej rozmowy wydaje mi się sen, który właśnie tracę.*

Gdy kolejny raz się odwróciła, przeszedł do ofensywy:

– *Widziałem cię wczoraj przy basenie.*

Obejrzała się i spojrzała na niego gniewnie.

– *Tak, wyrywałam chwasty. Ma pan jakieś zastrzeżenia?*

– *Wpatrywałaś się we mnie, widziałem. – Zamrugala nerwowo, co go ogromnie ucieszyło. Zrobił krok w jej stronę i mówił dalej szeptem:*
– *Byłem w wodzie. Podobało ci się to, co zobaczyłaś. Choć masz mnie za wrednego typa, przykułem twój wzrok.*

– *Ma pan urojenia...*

– *Szczerłość. Pierwsza o niej mówiłaś. – Pochylił się w jej stronę, skręcając głowę, jakby szykował się do pocałunku. – Masz więc odwagę być ze mną szczerą?*

– *Nie wiem, o czym pan mówi – odparła, skubiąc kołnierzyk służbowej koszulki.*

– *Nieładnie tak kłamać – powiedział z delikatnym uśmiechem. – Jak myślisz, dlaczego siedziałem tam tak długo? Z twojego powodu. Podobało mi się to, że się przyglądasz mojemu ciału.*

– *Pan chyba oszalał.*

Boże, to jej bezradne zaprzeczanie było lepsze niż jego ostatni pełny orgazm.

– *Naprawdę? – patrzył na jej usta i w myślach zaczął je całować, wsuwać do środka język, przyciągać ją do siebie. – Nie sądzę. Wolę zresztą być pretensjonalnym uwodzicielem niż zwykłym tchórzem.*

I tak ją zostawił.

Obrócił się na pięcie i poszedł alejką w stronę domu. Jednak z każdym krokiem nabierał coraz mocniejszego przekonania, że ona tego tak nie zostawi.

Następnym razem sama do niego przyjdzie...

I rzeczywiście – tak się właśnie stało.

– Przepraszam, co mówiłaś?

Lizzie gapiała się na wazon z kwiatami, który trzymała w ręku, i nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie miała z nimi zrobić – aha, włożyć do kubelka, a po zakończeniu pracy zawinąć je w wilgotny ręcznik papierowy, włożyć do reklamówki i zabrać do domu.

– Możesz powtórzyć? – spytała ponownie, podnosząc wzrok na stojącą w oranżerii Gretę.

– Mówiłam po angielsku, wiesz?

– Zamyśliłam się.

– Ekipa od namiotu żąda, żeby im zapłacić z góry. W przeciwnym razie zdemontują wszystko, co do tej pory ustawili.

– Co takiego? – Lizzie położyła bukiet obok pustych mis. – To jakaś nowa strategia biznesowa?

– Na to wygląda.

– Porozmawiam z panią Rosalindą. Podali ci pełny koszt?

– Dwanaście tysięcy czterysta pięćdziesiąt dziewięć dolarów siedemdziesiąt dwa centy.

– Zaczekaj, zapiszę sobie. – Lizzie chwyciła długopis. – Jeszcze raz?

Zapisała kwotę na dłoni, po czym rzuciła okiem na ogród. Ekipa od namiotu rozłożyła właśnie płachty materiału na trawie i zaczynała układać rurki. Część osób wiązała ogromne fragmenty konstrukcji linami.

Przed nimi jeszcze jakieś dwie godziny pracy, może trzy.

– Na razie wciąż nieźle im idzie – mruknęła Lizzie.

– Chwilowo tak – powiedziała Greta, wracając do czyszczenia różowych płatków róż. – Ale dzwoniли już do mnie z agencji z informacją, że są gotowi kazać im załadować wszystko z powrotem na ciężarówkę.

– Nie ma co wpadać w panikę – mruknęła Lizzie, wychodząc na zewnątrz.

Biuro pani Rosalindy Freeland znajdowało się od strony kuchni. Lizzie postanowiła okrążyć budynek, bo miała już serdecznie dosyć

wpadania wszędzie na Lane'a.

Była już mniej więcej w połowie tarasu i właśnie mijala drzwi balkonowe prowadzące do jadalni, gdy spojrzała w kierunku centrum biznesowego.

Zbudowano je na miejscu dawnych stajni. Podobnie jak oranżeria, wychodziło na ogrody i płynącą za nimi rzekę. Supernowoczesny budynek utrzymany był w stylu identycznym jak rezydencja, a jego powierzchnia niemal się z nią równała. Znajdowało się tam kilkanaście biur, sala konferencyjna wielkości auli uniwersyteckiej oraz oddzielna kuchnia i jadalnia. To właśnie stąd William Baldwin kierował międzynarodową korporacją produkującą bourbona, stworzoną przez przodków jego żony.

Prawie nigdy nikt się tam nie kręcił, teraz jednak najwyraźniej coś się musiało wydarzyć, ponieważ na tarasie przed salą konferencyjną stała zwarta grupka ludzi w garniturach. Rozmawiali, paląc papierosy.

Dziwne – pomyślała. Przecież pan Baldwin sam jest palaczem, więc chyba raczej nie zostali wygnani na taras tylko po to, żeby mogli zaspokoić głód nikotynowy...

Nagle – kto by pomyślał! – rozpoznała pośród nich kobietę, która jako jedyna nie paliła. Była to Sutton Smythe, dziedziczka fortuny Sutton Distillery Corporation. Lizzie nigdy nie spotkała jej osobiście, ale w mediach aż huczało od spekulacji, że być może – tylko być może – w następnej dekadzie szefem jednej z największych destylarni na świecie zostanie kobieta.

Szczerze mówiąc, jej perfekcyjna ciemna fryzura i profesjonalny, bardzo drogi czarny garnitur wskazywały, że już ma tę pozycję. Była zresztą piękną kobietą o wyrazistych rysach i zmysłowym ciele, które łatwo uczyniłyby z niej bogatą laleczkę, gdyby interesowały ją takie zabawy – ale najwyraźniej miała inny pomysł na życie.

Ale co ona tu w ogóle robi, w jaskini wroga?

Lizzie pokręciła głową i weszła do rezydencji od tyłu, przez kuchenne drzwi. Cokolwiek się działo w centrum biznesowym, to nie jej sprawa. Znajdowała się dużo, dużo niżej w hierarchii, a obecnie interesował ją głównie namiot, w którym miała ustawić aranżacje kwiatowe.

O rany!

W życiu nie widziała tylu kucharzy. Przemknęła między mężczyznami i kobietami ubranymi w białe fartuchy i czapki, dorabiającymi się skoliozy przy wytwarzaniu jakichś cudów z ciasta filo i nadzienia pieczarkowego.

Gdy już minęła wszystkich tych mistrzów kuchni, doszła do ciężkich drzwi wahadłowych prowadzących na pusty korytarz, przy którym znajdowały się pralnie, magazyny sprzętów do sprzątanania oraz świetlica pokojówek, a także mieszkanie kamerdynera, biuro księgowej i schody dla personelu.

Lizzie podeszła do drzwi po prawej stronie oznaczonych tabliczką z napisem „Pomieszczenia prywatne” i zapukała. Jeden raz. Drugi. Trzeci.

Choć księgowa była skrupulatna i punktualna jak zegarek, najwyraźniej nie było jej akurat w biurze. Może poszła do banku...

– ...sprawdzić raz jeszcze za godzinę – rozległ się głos pana Harrisa, który zjawił się na końcu korytarza wraz z panią Mollie. – Bardzo pani dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła starsza kobieta i się oddaliła.

Lizzie spojrzała kamerdynerowi prosto w oczy.

– Mamy problem.

– Tak? – powiedział, zatrzymując się przed nią.

– Potrzebne mi jakieś dwanaście tysięcy dla agencji udostępniającej nam namiot, a pani Freeland tu nie ma. Czy pan ma możliwość wystawiania czeków?

– Życzą sobie dwanaście tysięcy dolarów? – spytał ze swoim brytyjskim akcentem. – A za cóż takiego?

– Za wynajem namiotu. To nowa strategia biznesowa firmy, jak sądzę. Nigdy dotąd nie robili takich rzeczy.

– Przecież to Easterly. Mamy u nich konto od początku wieku, więc z pewnością odroczą płatność. Proszę mi pozwolić.

Odwrócił się na pięcie w swoich wypastowanych na glanc butach ruszył w stronę swojego mieszkania – z pewnością po to, żeby osobiście zadzwonić do właściciela agencji.

Lizzie pomyślała, że jeśli mu się uda i będzie mogła zatrzymać namioty i stoły, to uzna, że warto czasem zacisnąć zęby i przymknąć oko na jego nieznośny sposób bycia.

Poza tym, jakby już wszystko zawiodło, zawsze przecież może poprosić Gretę, żeby wypisała czek.

Wiedziała jedno: na pewno nie poprosi o to Lane'a. A namiot jest im naprawdę potrzebny. Za niecałe czterdzieści osiem godzin na terenie posiadłości zjawią się przedstawiciele światowej elity. A nic nie wkurza Bradfordów bardziej niż jakikolwiek wyłom w ustalonym wcześniej porządku.

Podczas gdy czekała, aż kamerdyner w stroju pingwina powróci z triumfalną miną, oparła się o gładką i chłodną ścianę. Bezwiednie zaczęła rozmyślać o najgłupszej decyzji, jaką w życiu podjęła...

Powinna była sobie odpuścić.

Gdy uprzykrzony Lane Baldwin odnalazł ją w ciemnym ogrodzie, powinna była darować sobie całą tę dyskusję. Co ją obchodziło, że on ma o niej fałszywe mniemanie? Czy musi się przejmować jakimś rozpieszczonym dupkiem i jego nedorzecznym, egocentrycznym punktem widzenia? Prostowanie jego światopoglądu nie należało przecież do jej obowiązków. Zresztą i tak, żeby cokolwiek do niego dotarło, musiałyby mu chyba wbijać to młotkiem do głowy.

Co akurat pewnie sprawiłoby jej przyjemność.

Problem jednak polegał na tym, że pośród rozmaitych słabości jej charakteru znajdowała się również paranoiczna potrzeba bycia właściwie rozumianą przez pewnego faceta do złudzenia przypominającego Channinga Tatum.

Musiła więc zadbać o to, żeby miał jasny obraz. W związku z czym prowadziła z nim dialog przez całą drogę do domu. Jak również przez całą drogę z powrotem do Easterly następnego ranka. Oraz przez cały kolejny tydzień.

W końcu nabrała przekonania, że on jej unika. Po raz pierwszy od czasu, gdy przyjechał do domu na wakacje, nie widziała go przez siedem dni z rzędu. Do pozytywów można było ewentualnie zaliczyć to, że przynajmniej po domu nie kręciły się już skąpo odziane młode kobiety, wychodzące z jego pokoju o dziwnych godzinach. Gorzej, że już zbyt długo przygotowywała wszystkie swoje mowy, istniało więc zagrożenie, że nieopatrznie mu zdradzi, jak dużo czasu zmarnowała, wrzeszcząc na niego w myślach.

Nie ulegało wątpliwości, że Lane nadal przebywa w rodzinnej posiadłości. Jego porsche (bo przecież nie mógłby jeździć niczym innym) wciąż stało zaparkowane przy garażach, a za każdym razem, gdy musiała zanieść kwiaty do jego sypialni, czuła w powietrzu zapach jego wody kolońskiej i widziała jego portfel i złote spinki do mankietów na komodzie.

Rozgrywał ją – i choć nie chciała tego przyznać, to działało. Odczuwała coraz większą frustrację, a jej determinacja, żeby go dopaść, rosła, zamiast słabnąć.

Jeśli chodzi o podejście do kobiet, był mistrzem, nie ma co.

Co za drań.

Z kolejnym bukietem w ręku ruszyła w górę po schodach, kierując się do jego pokoju. Nie spodziewała się go tam zastać, ale już sama myśl, że wkroczy na jego teren i wyrzuci tam z siebie kilka ciętych słówek, dawała jej odrobinę satysfakcji. Zapukała do jego drzwi mocno i zdecydowanie, a po chwili je otworzyła i weszła do środka.

A jednak był w środku. Siedział na krawędzi łóżka, pochylony, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Nawet nie spojrział na drzwi.

Zachowywał się tak, jakby w ogóle nie zauważył, że ktoś wszedł.

Lizzie odchrząknęła. Dwukrotnie.

– Przepraszam, przyszłam wymienić kwiaty.

Aż się poderwał. Wyprostował się i spojrzał na nią. Zaczerwienionymi oczami jakby próbował złapać ostrość, a potem odezwał się zachrypniętym głosem:

– Przepraszam... Co takiego?

– Kwiaty. – Uniosła trzymany w ręku bukiet. – Przyszłam wymienić kwiaty.

– Ach, tak. Dziękuję. To bardzo miło.

Było jasne, że słowa wychodzą z jego ust automatycznie. Wyuczona uprzejmość stanowiła odruch bezwarunkowy, jak odpowiedź kolana na uderzenie gumowym młoteczkiem.

To nie twoja sprawa – mówiła sobie, podchodząc do komody.

Wymiana kwiatów trwała ułamek sekundy. Chwilę później Lizzie szła z powrotem w kierunku uchylonych drzwi ze starym, ale wciąż jeszcze całkiem świeżym bukietem w dłoni. Powtarzała sobie, że nie wolno jej na niego spojrzeć. Skąd mogła wiedzieć, czy on nie rozpacza, bo jego ulubiony pies myśliwski dostał grzybicy? Albo może ta jego dziewczyna z Wirginii dowiedziała się o jego wszystkich rozrywkach tu, w Charlemoncie?

Największy błąd popełniła, stojąc już w progu.

Później, gdy wszystko się posypało, gdy pozbyła się ochronnego pancerza i mocno sparzyła, nabrała przekonania, że gdyby tylko

wówczas dalej szła przed siebie, wszystko byłoby w porządku. Jej los nie skrzyżowałby się z jego losem, a ją ominęłoby tak wiele bólu...

Ale niestety wówczas stanęła i na niego spojrzała. I nie wiadomo po co znów się odezwała.

– Co się stało?

Lane podniósł na nią zamglony wzrok.

– Słucham?

– Czy coś się stało? Objął

kolana ramionami.

– Przepraszam.

Czekała na coś więcej.

– Ale za co?

Zamknął oczy i znów opuścił głowę.

Choć nie wydawał żadnych dźwięków, wiedziała, że płacze.

A tego akurat zupełnie się nie spodziewała po kimś takim jak on. Zamknęła drzwi, żeby chronić jego prywatność.

– Co się stało? Czy wszystko w porządku?

Lane pokręcił głową, wziął głęboki oddech i się wyprostował.

– Nie. Nie jest w porządku. Ktoś z mojej rodziny...

– *Gin? Słyszałam, że miała problemy...*

– *Edward. Złapali go.*

Edward...? Boże, widywała go tu czasem. Zdawał się ostatnią osobą, którą ktokolwiek mógłby „złapać”. W przeciwieństwie do ojca, który pracował w swoim biurze w Easterly, Edward spędzał większość czasu w głównej siedzibie korporacji w centrum miasta. Z tego, co wiedziała, był całkowitym przeciwieństwem Lane’a: bardzo poważnym, skupionym biznesmenem.

– *Przepraszam, nie bardzo rozumiem...*

– *Został porwany w Ameryce Południowej. Właśnie toczą się negocjacje w kwestii okupu – wykrztusił Lane, z całej siły pocierając sobie twarz. – Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co mu teraz robią. Minęło już pięć dni, odkąd zażądali okupu. Chryste, jak to się mogło stać? Miał tam mieć ochronę. Jak oni do tego dopuścili? – Otrząsnął się wbił w nią wzrok. – Nic nikomu nie mów. Gin nawet jeszcze o tym nie wie. Staramy się to załatwić po cichu, żeby na razie nie wyciekło do mediów.*

– *Nic nie powiem. Ani słowa. Powiadomiliście władze?*

– *Ojciec z nimi rozmawia. To jakiś koszmar. Mówiłem mu, żeby tam nie jechał.*

– *Tak mi przykro... – Co za pusty frazes. – Czy mogę jakoś pomóc?*

Kolejna żalosna zbitka słów.

– *To ja powinienem być na jego miejscu – mamrotał Lane. – Albo Max. Dlaczego to nie któryś z nas? My do niczego się nie nadajemy. To powinien być któryś z nas.*

Zanim się zorientowała, co robi, odłożyła gdzieś wazon trzymany w ręku i podeszła do łóżka.

– Czy kogoś tu może przysłać?

– To powinienem być ja.

Usiadła obok niego i już miała położyć mu dłoń na ramieniu, ale po chwili uznała, że to niedobry pomysł.

Zadzwoniła komórka leżąca na nocnej szafce. Lane nie wykonał żadnego ruchu.

– Może podam? – zaproponowała.

Nic nie odpowiedział. Pochyliła się w stronę dzwoniącego telefonu i spojrzała na wyświetlacz. Chantal Blair Stowe.

– To chyba twoja dziewczyna.

– Kto? – spytał, rzucając wzrokiem na telefon. Lizzie sięgnęła po aparat i pokazała mu wyświetlacz. – Nie, nie chcę z nią rozmawiać. I to nie jest moja dziewczyna.

Ciekawe, czy ona o tym wie – pomyślała Lizzie, odkładając telefon.

– Edward jako jedyny z nas jest cokolwiek wart – mówił Lane, kręcąc głową.

– To nieprawda.

– Jak to nie? – Zaśmiał się gorzko. – Przecież właśnie o tym mówiłaś mi w zeszłym tygodniu, co?

Nagle przeszył ją wzrokiem i zapadło dziwne milczenie, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę, kto właściwie jest z nim w pokoju.

Serce Lizzie zaczęło walić jak młotem. W oczach Lane'a było coś, czego tam wcześniej nie dostrzegła – a ona niestety bardzo dobrze wiedziała, co to jest.

Romans z playboyem był ostatnią rzeczą, na którą miałyby ochotę. Ale eksplozja czystej żądzy z prawdziwym mężczyzną? Od tej możliwości znacznie trudniej było się odwrócić.

– Musisz już iść – powiedział ściśniętym głosem Lane.

To prawda – przyznała mu w duchu rację. A jednak z jakiegoś idiotycznego powodu spytała:

– Dlaczego?

– Bo choć miałem na ciebie ochotę już wtedy, gdy była to tylko zabawa – mówił, wpatrując się w jej usta – to w obecnym stanie rozpaczliwie cię pragnę.

Lizzie aż się wzdrygnęła. Lane znów się zaśmiał, tym razem spokojniej i ciszej.

– Nie wiedziałaś, że stres działa jak alkohol? Pod jego wpływem człowiek ulega brawurze, głupocie i namiętności. Coś o tym wiem, przecież moja rodzina tak doskonale...

– Już załatwione.

Lizzie aż podskoczyła, zaskoczona.

– Co?

Pan Harris zmarszczył brwi.

– Wynajem namiotu – odparł. – Sprawa została załatwiona.

– Ach, tak. Wspaniale. Dziękuję.

Odwróciła się i odeszła chwiejnym krokiem. Potem ruszyła korytarzem w niewłaściwą stronę, czyli w kierunku salonu. Zanim jednak pan Harris zdążył jej zwrócić na to uwagę, zawróciła, szybko znalazła drzwi prowadzące na zewnątrz i wybuchnęła płaczem.

W ogrodzie. Pod oknem Lane'a.

Zasłoniła twarz dłońmi, wspominając, jak ją całował w dwa wieczory po tym, kiedy usiadła koło niego w jego sypialni.

Wówczas to ona go odszukała – i nie miała nawet pretekstu w postaci świeżych kwiatów. Odczekała tak długo, jak potrafiła, a potem, po zakończonej pracy, z rozmysłem poszła do jego pokoju, żeby sprawdzić, jak on się czuje, co się dzieje i czy coś się wyjaśniło.

Do mediów wówczas jeszcze nic nie wyciekło. Wysyp relacji prasowych nastąpił dopiero później, gdy Edward wrócił już do domu.

Gdy drugi raz poszła do sypialni Lane'a, zapukała ciszej, a po chwili otworzyła drzwi. Wciąż jeszcze pamiętała, jak staro wówczas wyglądał: wymizerowany, nieogolony, z cieniami pod oczami. Miał na sobie nieco inne ubranie, chociaż był to zaledwie jeden z wariantów strojów, które zawsze nosił. Sportowa koszula z monogramem – tyle że z jednej strony niewpuszczona w spodnie. Kosztowne spodnie – ale pomięte na biodrach i wypchane na kolanach. Mokasyny od Gucciego – a nie, miał na nogach tylko czarne skarpetki.

To wszystko właściwie starczyło jej za odpowiedź, po którą do niego przyszła.

– Chodź ze mną – szepnęła. – Musisz stąd wyjść.

Spytał ją zachrypniętym głosem, która godzina. Odparła, że minęła ósma. Wyglądał na zdezorientowanego, doprecyzowała więc, że chodzi o ósmą wieczór.

Poprowadziła go tylnymi schodami, trzymając za rękę, jak małe dziecko. Gadała przy tym jakieś głupoty. Jedyne, co on mówił, to że nie chce, żeby ktokolwiek go zobaczył. Robiła więc wszystko, żeby go chronić – wybierała drogę jak najdalej od rozmów prowadzonych w jadalni, dbała o to, żeby nie narazić go na ciekawskie spojrzenia.

Gdy już wyszli na ciepłe nocne powietrze, usłyszała śmiech dochodzący z jadalni, gdzie akurat podano kolację.

Zastanawiała się, jak to możliwe. Jak oni mogą tak sobie wesoło

gawędzić, jak gdyby nic się nie stało... Jak gdyby ktoś im bliski nie znajdował się bardzo daleko, w rękach niebezpiecznych ludzi.

W tamtej chwili nie miała pojęcia, co właściwie robi u boku Lane'a i dlaczego tak bardzo ją obchodzi jego cierpienie. Wiedziała tylko, że jednowymiarowy playboy, wcześniej skreślony przez nią jako bezwartościowy goguś, stał się nagle człowiekiem, którego ból nie był jej obojętny.

Nie zaszli daleko. Brukowana alejka wijąca się wśród ukwieconych krzewów i rabatek poprowadziła ich do altany na odległym krańcu ogrodu.

Usiedli obok siebie i właściwie się nie odzywali. Kiedy jednak wzięła go za rękę, złapał jej dłoń i mocno ścisnął

A gdy odwrócił się w jej stronę, dobrze wiedziała, czego on chce – i że wcale nie chodzi o rozmowę. W jej głowie na chwilę się zakotłowało (hola! stop! nie tak szybko! zaczekaj!)...

Ale zaraz pochyliła się ku niemu, a ich usta się spotkały.

Choć kotłujące się w niej myśli wydawały się tak skomplikowane, łącząca ich więź okazała się bardzo prosta.

Ale na tym nie poprzestali. Objął ją, a ona się nie broniła. Wsunął dłonie pod jej ubranie, a ona i na to mu pozwoliła.

W którymś momencie zdała sobie sprawę, że nie cierpiała go, ponieważ tak bardzo ją pociągał. Do szaleństwa. I rzeczywiście obserwowała go tamtego popołudnia w basenie – ale nie tylko wtedy. Choć z całą pewnością by temu zaprzeczyła, gdyby ją ktokolwiek spytał, usiłowała na niego zerknąć za każdym razem, gdy wracał do domu lub go opuszczał. Wiadomość, że Lane ma się wkrótce zjawić w Easterly, potrafiła ją zelektryzować, a po jego wyjeździe chodziła przybita. Najbardziej jednak żalosne było to, że w głębi duszy zazdrościła tym jego panienkom, tym głupim blondynkom o doskonałych ciałach, mówiącym z przeciągłym południowym akcentem, które wciąż przekraczały drzwi jego sypialni.

Prawda, której nie chciała sama przed sobą przyznać, była taka, że znalazłaby w nim coś, do czego mogłaby się przyczepić, niezależnie od jego pozycji społecznej.

Nie chodziło o jego bogactwo, szacowne pochodzenie, uganianie

się za kobietami, idealny wygląd czy zbyt gładki uśmiech.

Doprowadzał ją do szału tym, że wzbudzał w niej coś, czego nie potrafiła poskromić. Czuła się przez to bezbronna, a to niechciane uczucie wtargnęło w jej życie niczym nieproszony gość, który nie tylko zamieszkał w jej domu, ale też jeździł z nią do pracy i śledził ją nawet w snach.

Z perspektywy czasu żałowała, że nie posłuchała głosu rozsądku. Powinna była wtedy uciec, zamiast ulegać temu niesamowitemu przyciąganiu.

Życie jednak nie zawsze pozwala mądrze nad sobą zapanować.

Czasem człowiek nie zważa na znaki ostrzegawcze, naciska gaz do dechy i z krzykiem bierze zakręt, nie wiedząc, co będzie dalej.

Wciąż nie mogła się wylizać z ran po katastrofie, która z tego wynikła.

Stadnina koni Red & Black, hrabstwo Ogden, Kentucky

Słońce chyliło się już ku zachodowi, a jego promienie wpadały przez otwartą część Stajni B i kładły się na szerokim betonowym korytarzu, tworząc w powietrzu magiczną poświatę, w której unosiły się drobinki siana i kurzu. Po stajni niósł się odgłos rytmicznych szurnięć miotłą. Zaciekawione klacze wystawiły z boksów głowy o szlachetnych pyskach i patrzyły mądrymi oczami, co się dzieje.

Edward Westfork Bradford Baldwine zamiętał pomału. Jego ciało nie miało już dawnej sprawności. Wysięk wcale nie był taki zły – przy tego rodzaju łagodnym ruchu chroniczny ból nieco ustępował. Zaraz jednak wracał, gdy Edward się zatrzymywał lub wykonywał ruchy innego rodzaju.

Zdążył się już do tego przyzwyczaić.

Mechanizm łączący mięśnie, kości i organy wewnętrzne, niezbędny jego mózgowi podczas podróży, jaką jest to tymczasowe, śmiertelne wcielenie, nie najlepiej radził sobie ze zmianami. Zdecydowanie lepiej obsługiwał działania ustabilizowane, powtarzalny wysięk dokonywany w ściśle określony sposób lub wydłużony odpoczynek w dowolnej pozycji. Fizjoterapeuci (których nazywał „sadystami”) mówili mu, żeby podejmował urozmaicone działania; porównywali to z terapią zajęciową, która bywa pomocna przy usprawnianiu funkcjonowania ludzkiego mózgu.

Im więcej będzie zmieniał, tym większe ma szanse na „powrót do zdrowia”.

Zawsze umieszczał to wyrażenie w cudzysłowie. Prawdziwy powrót do zdrowia oznaczałby ponowne stanie się takim człowiekiem, jakim był wcześniej. A to już nigdy nie nastąpi, nawet jeśli zdoła się nauczyć prawidłowo chodzić, jeść i przesypiać noc.

Nie było już powrotu do tamtej osoby – jego młodszego, atrakcyjniejszego fizycznie i łagodniej usposobionego wcielenia.

Nie cierpiał swoich „sadystów”, ale stanowili oni zaledwie część długiej listy adresatów jego wrogości. A zniszczone ciało, które z takim

uporem starali się zrehabilitować, po prostu odmawiało udziału w tym programie. Jak długo już to trwa? A on wciąż odczuwa ból, który towarzyszy mu przez cały czas, aż w końcu trudno mu zebrać siły, żeby się przebić przez tę ścianę ognia i wrócić świadomością w miejsce, w którym właśnie przebywa, gdzie wszystko układa się jako tako. Miał wrażenie, że w każdej uliczce, którą próbuje iść, napotyka tego samego bandytę.

Czasem zastanawiał się, czy czułby się mniej tym wszystkim wyczerpany, gdyby chociaż czasem czyhał na niego jakiś inny bandyta, jakiś inny wróg odbierający mu radość życia.

Jednak był to wciąż jeden i ten sam złodziej.

– Jak się masz, panienko? – Zatrzymał się, żeby pogłaskać czarny pysk. – Wszystko dobrze?

Rasowa klacz odpowiedziała prychnięciem, a Edward poszedł dalej. Sezon reprodukcyjny przyniósł bardzo dobre wyniki: zdecydowana większość z jego dwudziestu trzech klaczy była już żrebna. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, młode przyjdą na świat w styczniu, co zapewni im doskonałą pozycję, jako urodzonym na samym początku roku. W wyścigach konnych liczy się rocznik, a nie dokładna data narodzin. Jeśli więc się chce, żeby koń mający zostać wystawiony w derby jako trzylatek był możliwie jak najsilniejszy i jak najdojrzały, należy zadbać, żeby klacz została pokryta nie później niż w marcu, ponieważ końska ciąża trwa prawie rok.

Hodowcy koni wyścigowych dzielili się zwykle na trzy oddzielne grupy: specjalistów od reprodukcji, tych, którzy zajmują się układaniem roczniaków, oraz trenerów dwulatków. Edward jednak miał wystarczająco dużo czasu i pieniędzy, żeby skupiać się nie tylko na samej reprodukcji, ale też posyłać żrebięta do szkoły dla maluchów urządzonej tu na farmie, potem na dalsze szkolenie do centrum, które kupił przed rokiem, a na koniec do stajni przy torach wyścigowych Steeplehill Downs w Charlemont i Garland Downs w pobliskim Arlington.

Środki konieczne do hodowli koni i trenowania ich do wyścigów były niebotyczne, natomiast zwrot z inwestycji – ledwie hipotetyczny. Dlatego właśnie zwykle tworzone konsorcja mające na celu zmniejszyć

ryzyko ponoszone przez pojedynczych inwestorów. On jednak nie uznawał żadnych konsorcjów ani spółek.

Jak na razie jeszcze nie notował żadnych strat. Właściwie prawie już zarabiał. Przez ostatnie półtora roku stadnina przynosiła całkiem niezłe wyniki, które były zasługą jego ogiera Nebekanzera – największego i najpodlejszego skurczybyka, jakiego widziały ludzkie oczy. Potomstwo tego drania było szybkie jak błyskawica. Edward przekonał się o tym, gdy przeniósł się tu, do domku przy stajni, i kupił na aukcji to szatańskie nasienie wraz z trojgiem jego dwuletnich dzieci. W następnym roku już w kwietniu każde z tej trójki miało na koncie wygraną dwustu tysięcy dolarów w wyścigach, a potem jedno z nich zajęło drugie miejsce w Charlemont Derby, trzecie w Preakness Stakes i pierwsze w Belmont Stakes.

Było to mocne wejście jego stadniny w wyścigi. Bieżący rok zapowiadał się znacznie lepiej. Wystawiał na derby już dwa konie. Oba spłodzone przez Nebekanzera.

Nie mógł powiedzieć, że jest całym sercem zaangażowany w ten biznes, ale na pewno lepsze to niż siedzenie z założonymi rękami i rozmyślanie o wszystkim, co utracił.

Podobnie jak w przypadku koni wyścigowych, jego urodzenie, wychowanie i całe życiowe przygotowanie obliczone było na jeden ściśle określony cel: miał przejąć Bradford Bourbon Company. Teraz jednak cała jego przyszłość została przekreślona, tak jak w przypadku konia, który złamie nogę.

– *Buenas noches, jefe.*

Edward skinął głową jednemu ze swoich jedenastu stajennych.

– *Hasta mañana* – rzucił, po czym znów się pochylił i wrócił do zamiatania.

– *Jefe, hay alguien aquí.*

– Kto to?

– *No lo sé.*

Edward zmarszczył brwi, podparł się na miotle i pokuśtykał w kierunku niezabudowanego wyjścia ze stajni. Na zewnątrz, na okrągłym podjeździe przed stajnią A, zatrzymywała się właśnie ogromna czarna limuzyna.

Na spotkanie tego potwora wyszedł zarządca stajni, sześćdziesięcioletni Moe Brown. Jego długie nogi prędko pokonywały odległość. Moe był chudy jak sztacheta i miał genialny matematyczny umysł – a do tego jeszcze tak zwane oko. Potrafił przewidzieć przyszłość czekającą każdego źrebaka już w chwili, gdy zwierzę po raz pierwszy stawiało kopytami na ziemi. Była to umiejętność niezwykła – i nieoceniona w tym biznesie. Tajniki tej dziwnej wiedzy pomąlu, ale systematycznie przekazywał Edwardowi, który z kolei miał niezwykłą wprost smykałkę do spraw reprodukcji – jakby od razu wiedział, które konie należy ze sobą skrzyżować.

Moe Brown zatrzymał się przy limuzynie. Wysiadł z niej szofer w służbowym uniformie i przeszedł do tylnych drzwi. Edward pokręcił głową, gdy zobaczył, kto następnie wysiadł z samochodu.

Pendergastowie sięgnęli po ciężką broń.

Z limuzyny wyłoniła się kobieta około czterdziestki, trzy razy chudsza nawet od tyczkowatego zarządcy stajni, ubrana w różowy kostium Chanel. Miała tak bujne włosy, że nie mógł się z nimi równać nawet ogon Nebekanzera. Urodą dorównywała laureatkom konkursów piękności. Była wymuskana jak francuski piesek i tak stanowcza, że usuwała w cień archetypiczne stalowe damy z Południa. Buggy Pendergast zwykła stawiać na swoim.

Jakieś pięć lat temu postawiła wszystko na jedną kartę i zdołała przekonać jednego z potomków wielkiego rodu nafcjarzy, żeby porzucił całkiem przyzwoitą pierwszą żonę i ożenił się po raz drugi, właśnie z nią, Buggy. A od tamtej pory przepuszczała wszystkie jego pieniądze na rasowe konie.

Edward już trzy razy odmówił jej przez telefon.

Żadnych spółek, żadnych konsorcjów. Hodował konie dla siebie – i dla nikogo innego.

W ślad za kobietą z limuzyny wysiadł mężczyzna niebędący jej mężem. Zważywszy na trzymaną przez niego w ręku aktówkę, można było przypuszczać, że to księgowy. Na pewno nie ochroniarz – zbyt niski, ponadto nosił okulary, które na pewno nie dodawały mu męskości.

Moe zaczął z nimi rozmawiać. Wyraźnie jednak nie szło to w dobrym kierunku. Nagle sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót,

aktówka bowiem została zamaszystym ruchem rzucona na maskę limuzyny, a Buggy teatralnym gestem ją otworzyła – jakby zadzierała spódnicę w górę i kazała wszystkim podziwiać, co tam ma.

Edward wyszedł ze stajni w promienie zachodzącego słońca, uzbrojony w miotłę i fatalny humor. Gdy się zbliżał, Buggy nawet na niego nie spojrzała. A gdy stanął za plecami Moego, rzuciła mu tylko gniewne spojrzenie – jakby złościło ją, że świadkiem rozmowy jest jakiś stajenny.

– ...ćwierć miliona dolarów – mówiła. – I wyjeżdżam stąd ze żrebakiem.

– Nie sądzę – powiedział Moe, przesuwając w ustach źdźbło słomy, które pogryzał.

– Mam tu pieniądze.

– Proszę opuścić teren stadniny.

– Gdzie jest Edward Baldwine? Chcę z nim...

– Tutaj – powiedział niskim głosem Edward. – Moe, zajmę się tym.

– Bóg jest czasem łaskawy – mruknął Moe, odchodząc.

Oczy Buggy, których kolor podkreślały barwione soczewki kontaktowe, wędrowały po ciele Edwarda. Pomimo osłabiającego mimikę botoksu na jej twarzy wyraźnie malowało się napięcie wywołane szokiem.

– Edward... Wyglądasz...

– Zabójczo, tak, wiem. Skończ to idiotyczne przedstawienie – powiedział, wskazując otwartą aktówkę – wsiadaj do samochodu

wracaj do swoich spraw. Mówiłem ci już przez telefon, że nie sprzedaję koni.

Buggy odchrząknęła.

– Słyszałam... co ci się stało. Ale... nie zdawałam sobie sprawy...

– Chirurgia plastyczna potrafi działać cuda, nie sądzisz?

– No... tak. Świetna robota.

– Ale dość tych pogaduszek. Musisz już jechać.

Na twarzy Buggy pojawił się wymuszony uśmiech.

– Och, Edward... Od jak dawna nasze rodziny się znają?

– Rodzina twojego męża oraz moja znają się od ponad dwustu lat.

Twoich krewnych zaś nie znam i nie mam zamiaru poznać. Jestem

natomiast pewien, że nie wyjedziesz stąd z żadnym źrebakiem. A teraz już, ruszaj.

– W tej aktówce jest dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów – rzuciła jeszcze, odwracając się w stronę limuzyny.

– Myślisz, że zrobisz na mnie wrażenie? Moja droga, ćwierć miliona to ja znajduję czasem między poduszkami na kanapie, więc zapewniam cię, że twój pokaz płynności finansowej mnie nie wzrusza. Co więcej, nie można mnie kupić. Ani za dolara, ani za miliard. – Zerknął na szofera. – Mam iść po śrutówkę czy wsiądziesz z powrotem w to cacko i każesz kierowcy wcisnąć gaz do dechy?

– Powiem o wszystkim twojemu ojcu! To wstyd...

– Mój ojciec jest dla mnie trupem. Możesz sobie z nim dyskutować o moich interesach, ale nie da ci to nic więcej niż ta bezsensowna wycieczka. Miłego derby, byle z dala od tego miejsca.

Opierając się na kiju od miotły, zaczął kuśtykać z powrotem w stronę stajni. Zza pleców doszły go kilkakrotne trzaśnięcia drzwi limuzyny, a potem pisk opon na asfalcie. Buggy zapewne dzwoniła już do swojego o dwadzieścia lat starszego męża z oburzeniem, że została tak haniebnie potraktowana.

Choć zważywszy na pogłoski, że w młodości pracowała jako striptizerka, doświadczyła już zapewne znacznie gorszego traktowania.

Zanim wszedł do stajni, by podjąć przerwana pracę, rzucił okiem na swoją farmę. Setki hektarów falujących pastwisk, z których wydzielono padoki otoczone ciemnobrązowym ogrodzeniem o pięciu poziomych sztachetach. Trzy stajnie o czarnej elewacji z czerwonymi wykończeniami, pokryte czerwono-szarą dachówką. Do tego szopy na sprzęt, najnowocześniejsze przyczepy, biały wiejski domek, w którym mieszkał, oraz klinika i ujeżdżalnia.

Wszystko to stanowiło własność jego matki. Jej pradziadek kupił tę ziemię i założył tu stadninę, a potem jej dziadek i ojciec dalej inwestowali w ten interes. Po śmierci jej dziadka przed dwudziestoma laty stadnina przestała się rozwijać. Edward początkowo nawet nie brał pod uwagę angażowania się w to przedsięwzięcie.

Jako najstarszy syn był predestynowany do wejścia w rolę prezesa Bradford Bourbon Company. Co więcej, skłaniało go do tego nie tylko

dziedzictwo i pozycja pierworodnego, ale też wewnętrzna potrzeba. Był urodzonym gorzelnikiem, wkładającym w swoją pracę całe serce, niczym kapłan.

Aż nagle wszystko się zmieniło.

Gdy całe jego dotychczasowe życie legło w gruzach, stadnina okazała się najlepszym rozwiązaniem. Zaprzętała uwagę i dawała mu zajęcie aż do wieczora, gdy z pomocą alkoholu starał się zasnąć. A co najważniejsze, w przedsięwzięcie to w żaden sposób nie był zaangażowany jego ojciec.

Choć Edward nie miał już przed sobą wielkiej przyszłości, wiedział, że resztę życia spędzi tutaj, wśród pastwisk i koni.

To było wszystko, co miał.

– Poużywał pan sobie, co? – rozległ się za jego plecami głos Moego.

– Niespecjalnie. – Edward przerzucił ciężar ciała na drugą nogę znów zabrał się do zamykania. – Ale nikt nie dostanie ani skrawka tej farmy, nawet Pan Bóg.

– Nie wolno tak mówić.

Edward obejrzał się za siebie, żeby przypomnieć swojemu zarządcy, jak wygląda jego twarz.

– Naprawdę sądzisz, że czegoś się jeszcze boję?

Moe szybko się przeżegnał, a Edward przewrócił oczami i wrócił do pracy.

– Leżę na łóżku i bawię się swoimi piersiami. – Virginia Elizabeth Baldwine, przez najbliższych zwana Gin, rozparła się wygodnie w miękkim fotelu stojącym w salonie kąpielowym. – A potem wsuwam sobie dłonie między nogi. Co byś chciał, żebym teraz zrobiła? Oczywiście, że jestem naga... A czego byś się spodziewał? No, powiedz, co mam robić?

Strzepnęła popiół z papierosa do kryształowego kieliszka po winie, które wypila przed dziesięcioma minutami, i skrzyżowała nogi ukryte pod jedwabną podomką. Okropnie poirytowana ciągłym szarpaniem za włosy, rzuciła wściekle spojrzenie fryzjerce, której twarz odbijała się w lustrze.

– O, tak – jęknęła do słuchawki. – Jestem tam całkiem mokra... Tylko dla ciebie...

Przewróciła oczami, wymawiając tę formułkę *à la* grzeczna dziewczynka, ale wiedziała przecież, że właśnie tego oczekuje od niej Conrad Stetson, jako mężczyzna dość jednak staroświecki i chętnie poddający się iluzji, że kobieta, z którą zdradza swoją żonę, jest mu całkowicie wierna.

Jakież to głupie...

Gin jednak trochę tęskniła za początkową fazą ich związku. Podniecało ją powolne, lecz nieubłagane odciąganie go od żony. Upajała się jego zaciętą walką z obezwładniającym go pożądaniem, ekscytował ją wstyd odczuwany przez niego przy ich pierwszym pocałunku, jak również jego usilne starania, żeby do niej nie dzwonić, nie widywać się z nią, nie szukać kontaktu. Przez jakiś tydzień czy dwa naprawdę ją ten człowiek fascynował. Jego zainteresowanie działało na nią jak narkotyk, którego nigdy nie miała dość.

Jednak gdy zaliczyli już kilka numerków... No cóż, po pierwsze nie była aż tak wielką fanką pozycji misjonarskiej...

– Och, tak, tak, tak... Dochodzę, już dochodzę...

Podczas gdy ona pogrążała się w swoim „orgazmie”, oblana rumieńcem wstydu fryzjerka dalej upinała jej ciemne włosy. Tymczasem z garderoby przyszła pokojówka, niosąc na tacy wyściełanej aksamitem

dwa zestawy klejnotów. Na jednym, wykonanym w zakładach Cartiera w latach czterdziestych, połyskiwały birmańskie rubiny, a drugi, szafirowy, pochodził z końca lat pięćdziesiątych, z domu jubilerskiego Van Cleef & Arpels. Oba zestawy należały wcześniej do jej babki (Virginii Elizabeth Starszej): jeden otrzymała od męża z okazji narodzin matki Gin, a drugi dostała w prezencie z okazji dwudziestej rocznicy ślubu.

Jęknęła, a następnie wcisnęła w telefonie przycisk „wycisz” i pokręciła głową, patrząc na pokojówkę.

- Chcę diamenty od Winstona.
- Wydaje mi się, że włożyła je pani Baldwine.

Gin stanął przed oczami obraz jej szwagierki mającej na sobie ponadstukaratowe, najczystsze, bezbarwne diamenty. Uśmiechnęła się i wycedziła powoli, jakby mówiła do osoby upośledzonej:

– W takim razie zdejmij tej suce z szyi i z uszu diamenty, które mój ojciec kupił mojej matce, i przynieś mi je tutaj.

– Z... przyjemnością – powiedziała pokojówka, blednąc.

Zanim dziewczyna zdążyła wyjść z sypialni, Gin zawołała do niej jeszcze:

– Tylko mi je najpierw wyczyść! Nie znoszę zapachu tanich perfum, do których ona ma dziwną słabość.

– Z przyjemnością.

Nazywanie perfum Flowerbomb marki Viktor & Rolf tanimi było może lekką przesadą, ale na pewno nie była to klasa Chanel. Ale czego można się spodziewać po kobiecie, która nie zdołała nawet skończyć prywatnego koledżu?

Gin ponownie włączyła dźwięk w telefonie.

– Kochany, muszę lecieć. Szykuję się do wyjścia. Tak mi szkoda, że nie możesz tu dziś być. Ale przecież rozumiesz...

Pora odsunąć słuchawkę od ucha, żeby nie słyszeć dalszych szczegółów jego wypowiedzi.

Boże, czy on zawsze mówił z takim koszmarnym południowym akcentem? Bradfordowie nigdy nie kaleczyli języka – mówili tylko z lekkim zaśpiewem, wskazującym, po której stronie linii Masona-Dixona się urodzili i mieszkali, i że dobrze znali różnicę między

bourbonem a zwykłą whisky (to znaczy mieli tę ostatnią w pełnej pogardzie).

– To na razie – powiedziała i przerwała połączenie.

Gdy zakończyła rozmowę, postanowiła też zakończyć ten związek. Conrad zaczął coś przebąkiwać o porzuceniu żony, a tego na pewno nie chciała. Na litość boską, miał przecież dwoje dzieci – co mu strzeliło do głowy? Zabawić się nieco na boku to jedno, ale przecież dzieciom trzeba zapewnić chociaż iluzję zgodnego małżeństwa rodziców.

Zresztą chyba już udowodniła, że nie nadaje się do roli matki. Nie potrafiłaby się zająć nawet złotą rybką.

Pół godziny później była już ubrana w suknię Diora utrzymaną w czerwieni Uniwersytetu Charlemont i miała na sobie kolię z diamentami Winstona, której chłodny ciężar czuła na obojczykach. Pachniała perfumami Coco marki Chanel, uznała bowiem, że po skończeniu trzydziestki może już nosić klasykę. Na nogi włożyła szpilki od Christiana Louboutina.

I była bez majtek.

Na kolacji spodziewano się Samuela Theodore’a Lodge’a.

Gdy wyszła na korytarz, spojrzała na drzwi naprzeciwko swojego apartamentu. Dokładnie szesnaście lat temu urodziła tę młodą dziewczynę, która tu mieszkała. I na tym mniej więcej zakończyło się jej zaangażowanie w sprawy Amelii. Dzieckiem opiekowała się najpierw położna, potem dwie pełnoetatowe nianie. W ten sposób minęło trochę czasu i oto teraz nadszedł etap prywatnego liceum.

Nie widywała więc już córki, nawet przelotnie.

Amelia nie przyjechała nawet do domu na majową przerwę – i dobrze zrobiła. Zbliżało się jednak lato, a perspektywa jej powrotu ze szkoły w dalekim Connecticut nikogo specjalnie nie cieszyła – włącznie z samą Amelią.

Czy taką szesnastolatkę można wysłać na jakiś letni obóz? Może załatwią jej dwumiesięczną wycieczkę po Europie? Skoro już sto lat wcześniej pozwalali sobie na to wiktorianie, kiedy nie było jeszcze samolotów i poduszek powietrznych w samochodach, to dlaczego by nie iść w ich ślady?

Mogli jej opłacić jakąś opiekunkę.

Starła się trzymać Amelię jak najdalej od Easterly wcale nie dlatego, że jej nie kochała. Po prostu obecność córki stanowiła dla Gin zbyt jaskrawe przypomnienie o jej własnych fatalnych wyborach życiowych, żalonych działaniach i kłamstwach świadczących tylko o niej samej. Wolała jednak zbyt często się w te sprawy nie zagłębiać.

Poza tym przecież Europa jest wspaniała. Zwłaszcza gdy się ją zwiedza w odpowiednim stylu.

Gin szła dalej, w stronę schodów jakby wyjętych z filmu *Przeminęło z wiatrem*. Na półpiętrze rozchodziły się na dwie strony i wdzięcznie opadały ku wspaniałemu marmurowemu holowi. Z każdym jej ruchem kaskady jedwabiu szeleściły, ocierając się o tiulową halkę sukni – wyobrażała sobie wówczas szeptane rozmowy Francuzek, które ją dla niej uszyły.

Gdy zeszła na półpiętro, wybrała prawą stronę, jako że znajdowała się ona bliżej salonu, gdzie zawsze serwowano koktajle. Dochodziły stamtąd odgłosy rozmów. Na kolacji miały być trzydzieści dwie osoby, a dla niej przewidziano miejsce, które powinna zajmować jej matka – po przeciwnej stronie długiego stołu niż ojciec.

Już wiele, wiele razy wchodziła w rolę pani domu – i wiele, wiele razy miała jeszcze spełniać ten obowiązek, co zresztą czyniła z wielką dumą.

Dziś jednak z jakiegoś powodu jej serce przepełniał żal. Może brał się stąd, że były akurat urodziny Amelii.

Najlepiej szybko zacząć pić.

Zwłaszcza że gdy zadzwoniła do córki, ta odmówiła zejścia na dół do telefonu stacjonarnego w akademiku.

Gin zresztą na jej miejscu zachowałaby się dokładnie tak samo. No właśnie. Była więc dobrą matką. Rozumiała swoje dziecko.

Lane nie miał ochoty wbijać się na kolację w smoking. Został w tych samych spodniach, włożył jedynie świeżą sportową koszulę, którą zostawił w garderobie, gdy wyjeżdżał do Jeffa na Północ.

Zjawi się punktualnie i tym się będą musieli zadowolić.

Gdy tylko zszedł na parter, zaczął unikać spojrzeń i rozglądać się za alkoholem. Wpadł jednak na starego kumpla, zanim jeszcze zdążył dotrzeć do barku.

– Ho, ho, kogo my tu mamy! Czy to nie nasz nowojorczyk w końcu powrócił na rodzinne łono? – zawołał Samuel Theodore Lodge Trzeci, idąc w jego stronę.

Lane nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Jak się miewa mój ulubiony prawnik z Południa?

Uścisnęli się i pokleпали po plecach. U boku Samuela wisiała blondynka, przed której czujnym spojrzeniem nic się nie mogło ukryć. Jej sukienka natomiast przeciwnie, wszystko odkrywała – gdyby była choć trochę krótsza lub bardziej wydekoltowana, trzeba by uznać, że dziewczyna jest w samej bieliźnie.

A więc gust Samuela raczej się nie zmienił.

– Pozwól, że ci przedstawię moją towarzyszkę: pani Jessica Locke.

– Samuel skinął dziewczynie głową, jakby dawał jej pozwolenie, żeby wysunęła się nieco naprzód, co zaraz zrobiła i podała Lane’owi swoją smukłą, bladą dłoń. – Bądź tak miła i przynieś nam coś do picia, skarbie.

Dla tego pana Rodzina Rezerwa.

Dziewczyna ruszyła w stronę barku, a Lane pokręcił głową.

– Potrafię sam się obsłużyć.

– To stewardesa. Lubi serwować drinki.

– Czy teraz nie mówi się przypadkiem „asystentka lotu”?

– No to co cię tu znów sprowadza? Chyba nie derby. To raczej domena Edwarda.

Lane wzruszył tylko ramionami. Nie miał zamiaru zagłębiać się w sprawę Aurory. To zbyt delikatna sprawa.

– Potrzebna mi twoja pomoc. Jako prawnika.

Samuel zmrużył oczy i opuścił wzrok ku dłoni Lane’a, pozbawionej obrączki.

– Robisz porządki, co?

– Jak szybko dasz radę to załatwić? Chciałbym, żeby wszystko przebiegło sprawnie i dyskretnie.

Samuel skinął głową.

– Zadzwoń do mnie jutro rano. Wszystkim się zajmę.

– Dziękuję...

Na schodach pojawiła się jego siostra Gin. Stała w rogu na półpiętrze i tam się zatrzymała, wiedząc, że goście będą pewnie chcieli

przyjrzeć się jej kreacji. Pośród opadających na podłogę kaskad szkarłatnego jedwabiu i w blasku diamentów godnych księżnej Diany wyglądała jak wyjęta z oscarowej gali, pisma o modzie lub pałacu Buckingham.

Rozmowy w holu ucichły w swoistej mieszance podziwu i potępienia.

Reputacja Gin docierała wszędzie szybciej niż ona sama.

To chyba rodzinne.

Gdy zauważyła go rozmawiającego z Samuelem, uniosła brwi i na ułamek sekundy szczerze się uśmiechnęła, a w jej oczach błysnęło dawne światło, jakby nagle uleciały gdzieś te wszystkie lata, a ich trójka znów była taka jak wcześniej, zanim wydarzyło się wszystko, co się wydarzyło.

– Przepraszam cię – powiedział Samuel. – Pójdę zobaczyć, co z naszymi napojami. Mam wrażenie, że moja partnerka gdzieś się zgubiła.

– Dom nie jest taki znowu duży...

– Dla ciebie i dla mnie może nie.

Samuel odwrócił się i odszedł, a Gin uniosła nieco czerwoną suknię i zeszła na dół. Gdy stanęła na czarno-białej marmurowej podłodze, ruszyła prosto w stronę Lane'a. Jej szpilki stukały o stuletnią posadzkę. Lane przygotował się raczej na symboliczny uścisk, przez wzgląd na jej fryzurę i klejnoty, tymczasem jednak ona ścisnęła go tak mocno, że aż poczuł jej drżenie.

– Tak się cieszę, że tu jesteś – powiedziała zachrypniętym głosem.
– Trzeba było mnie uprzedzić!

Wówczas właśnie uświadomił sobie, że dziś są urodziny Amelii.

Już miał coś powiedzieć, ale siostra tymczasem opanowała się i znów nałożyła maskę. Jej twarz, o rysach nasuwających skojarzenia z Katharine Hepburn, przybrała doskonale pusty wyraz, od którego aż serce mu zamarło.

– Muszę się napić – oznajmiła. – A gdzie się podział Samuel?

– Nie jest dzisiaj sam.

– A jakie to ma znaczenie?

Gdy odeszła, z głową uniesioną wysoko i wyprostowanymi

ramionami, Lane'owi zrobiło się szkoda biednej stewardesy. Nie wiedział, kim jest ta dziewczyna, ale najwyraźniej trafnie odczytała zadanie przeznaczone jej na ten wieczór: stała teraz przy barku u boku Samuela niczym nabity rewolwer, jakby doskonale wiedziała, że musi bronić swojego terytorium.

Przynajmniej będzie na co popatrzeć podczas kolacji.

– Rodzinna Rezerwa dla pana. Z ukłonami od pana Lodge'a.

Lane odwrócił się i uśmiechnął. Reginald Tressel od zawsze serwował w Easterly alkohole. Ten Afroamerykanin w czarnym fraku i wypolerowanych butach jak zwykle wyglądał wytworniej niż wielu gości.

– Dzięki, Reg. – Lane wziął ze srebrnej tacy niską kryształową szklankę. – I dziękuję, że do mnie zadzwoniłeś w sprawie Aurory. Nagrałem ci wiadomość, dostałeś ją?

– Tak. Wiedziałem, że pan przyjedzie.

– Wygląda lepiej, niż można się było spodziewać.

– Dobrze się maskuje. Nie wyjedzie pan zbyt szybko, prawda?

– A jak się ma Hazel? – zmienił temat Lane.

– Znacznie lepiej, dziękuję. Wiem, że nie wróci pan na Północ, dopóki tu nie zostanie wszystko załatwione.

Reginald się uśmiechnął, lecz w jego ciemnych oczach wciąż kryło się coś ponurego. Potem zaś wrócił do swoich obowiązków. Przechadzał się pośród gości niczym mąż stanu, a wszyscy witali się z nim jak z równym.

Lane pamiętał z dzieciństwa, jak mówiono, że pan Tressel jest nieoficjalnym burmistrzem Charlemont. W tej kwestii najwyraźniej nic się nie zmieniło.

Boże, nie był gotów na utratę Aurory. To tak, jakby niespodziewanie musiał sprzedać Easterly; nie potrafił sobie czegoś takiego wyobrazić, żeby nie poczuć równocześnie, że świat drży w posadach.

Nagle zeszczywniał, czując dym z papierosa.

W tym domu tylko jednej osobie wolno było palić.

Biorąc to pod uwagę, Lane natychmiast skierował się w przeciwną stronę.

Ojciec zawsze kultywował palenie w stylu Południa, co oznaczało mniej więcej tyle, że choć cierpiał na astmę, w swoim przekonaniu miał święte prawo do tego, żeby się dorobić raka płuc – choć oczywiście ani go jeszcze nie miał, ani pewnie nigdy nie dostanie. Uważał bowiem, że prawdziwy mężczyzna nigdy nie pozwala damie samodzielnie dosuwać krzesła do stołu, nie traktuje źle swoich psów myśliwskich i nigdy, przenigdy nie choruje.

Całkiem niezłe zasady. Sęk w tym, że więcej ich nie było. W jego kodeksie nie mieściło się nic na temat męzkowskich obowiązków i odpowiedniego traktowania dzieci czy pracowników. A dziesięć przykazań? Jakaś przestarzała lista zakazów obowiązujących innych ludzi, żeby nie zaczęli do siebie strzelać, bo byłby z tym kłopot.

To zdawało się nawet zabawne. Dzięki ojcu Lane nigdy nie palił – i wcale nie wskutek buntu. Dorastając, zarówno on, jak i jego rodzeństwo zawsze po zapachu nikotyny rozpoznawali, że zbliża się ojciec. A jego obecność nie zwiastowała nigdy niczego dobrego. W efekcie Lane wyrobił sobie idealny odruch psa Pawłowa i sztywniał, gdy tylko ktoś przy nim zapalił.

Był to zapewne jedyny pozytywny wkład, jaki ojciec wniósł w życie Lane'a – nawet jeśli stanowił zaledwie efekt uboczny jego działań.

Lód brzęczał mu w szklance, gdy Lane szedł przez dom, nie wiedząc, dokąd zmierza. W końcu dotarł do podwójnych drzwi prowadzących do oranżerii. Choć były zamknięte, wyczuł zapach kwiatów i przez chwilę stał, patrząc przez szklane szybki na zieloną, a obecnie coraz bardziej kolorową enklawę po drugiej stronie.

Z pewnością była tam Lizzie i układała bukiety, jak co roku w czwartek przed derby.

Niczym ćma, prosto w płomień świecy – myślał, patrząc, jak jego dłoń wyciąga się w stronę miedzianej gałki i ją przekreca.

Niemal zawrócił, gdy usłyszał niemiecki akcent Grety von Schlieber. Z powodu wszystkich dawniejszych wydarzeń ta kobieta go nie znosiła, a nie należała do osób zachowujących swoje zdanie dla siebie. A wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mogła być uzbrojona w sekator.

Jednak ciągnęło go do Lizzie tak mocno, że porzucił instynkt samozachowawczy, który kazałby mu uciekać.

A oto i ona.

Choć minęła już ósma, Lizzie siedziała na obrotowym stołku przed blatem, na którym stało dwadzieścia pięć srebrnych mis wielkości piłek do koszykówki. Połowa z nich została już wypełniona blad różowymi, białymi i kremowymi kwiatami, a pozostałe czekały na swoją kolej, ukazując mokre gąbki florystyczne gotowe na przyjęcie niezliczonych kwiatów.

Zerknęła przez ramię, rzuciła mu pojedyncze spojrzenie i... mówiła dalej, nie wypadając z rytmu:

– ...stoły i krzesła w namiocie. Aha, możesz jeszcze dokupić utrwalacz do bukietów?

Greta nie wykazywała aż tyle spokoju. Choć najwyraźniej właśnie wychodziła (na ramieniu miała wielką jaskrawozieloną torbę od Prady, w rękę trzymała mniejszą, pomarańczową oraz swobodnie dyndające kluczyki samochodowe), jej wściekłe spojrzenie w połączeniu z nagłym zamilknięciem sugerowało, że nigdzie nie pójdzie, dopóki on nie wróci na rodzinną imprezkę.

– Wszystko w porządku – powiedziała cicho Lizzie. – Możesz już iść.

Greta mruknęła coś po niemiecku, a potem wyszła drzwiami prowadzącymi do ogrodu, cały czas mamrocząc coś pod nosem.

– Co ona mówiła? – spytał, gdy zostali sami.

– Nie wiem. Pewnie coś o tym, żeby spadł ci na głowę fortepian.

Przyłożył usta do brzegu szklanki i wciągnął przez zęby chłodnego bourbona.

– Tylko tyle? Spodziewałem się czegoś bardziej okrutnego.

– Wydaje mi się, że Steinway zrzucony z nawet niewielkiej wysokości może narobić sporych szkód.

Wokół niej stało kilka dwudziestolitrowych plastikowych wiader; każde zawierało jeden rodzaj kwiatów. Lizzie wybierała je tak, jakby grała na jakimś instrumencie – ten, potem tamten, znów ten pierwszy, potem trzeci, czwarty, piąty... Po chwili miała już przepiękną półkulę z kwiatów zdających się wyrastać z lśniącej srebrnej misy.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytał.

– Tak. Wyjdź.

– Te tutaj prawie się już skończyły – powiedział, rozglądając się dookoła. – Przyniosę ci następne wiadro...

– Czy możesz już iść na tę swoją kolację? – warknęła na niego. – Wcale mi nie pomagasz.

– Tych też już prawie nie ma.

Odstawił szklanekę na stół pełen pustych mis i zaczął nosić ciężkie wiadra z kwiatami.

– Dziękuję – mruknęła, gdy zabierał puste zbiorniki, które stawiał przy ceramicznym zlewie. – A teraz możesz ruszać.

– Rozwodzę się.

Na twarzy Lizzie nie dostrzegł reakcji, ale jej dłonie, te pewne, mocne dłonie omal nie wypuściły róży, którą właśnie wyjmowała z przyniesionego jej wiadra.

– Mam nadzieję, że nie z mojego powodu – powiedziała.

Odwrócił jedno z wiader do góry dnem i na nim usiadł. Szklanekę bourbona trzymał między kolanami.

– Lizzie...

– Co mam powiedzieć? Gratulacje? – Zerknęła w jego stronę. – Czy wolałbyś bardziej łzawą scenę, w której rzucam się na ciebie, szlochając z ulgą? Od razu mówię, że na to z mojej strony na pewno nie możesz liczyć.

– Nigdy jej nie kochałem.

– A jakie to ma znaczenie? – Lizzie przewróciła oczami. – Spodziewała się twojego dziecka. Może więc i jej nie kochałeś, ale z pewnością coś tam z nią robiłeś.

– Lizzie...

– Wiesz co, drażnią mnie te twoje rozpaczliwe sugestie, że powinnam być rozsądna. Tak jakbyś myślał, że to ze mną jest coś nie tak, bo nie daję ci szansy opowiedzieć o tym, jaką byłeś biedną ofiarą. A ja wiem tyle: robiłeś wszystko, żeby mnie zdobyć, a ja się poddałam, bo przejęłam się losem twojego brata. W tym samym czasie ty układałeś sobie doskonałe, aprobowane towarzysko małżeństwo, mające ukryć wstydlivy fakt, że się bzykasz z personelem. Zorientowałeś się, że masz

problem, gdy nie zgodziłam się pozostać twoją słodką tajemnicą.

– Jasna cholera, Lizzie, to wcale nie tak wyglądało...

– Może z twojego punktu widzenia.

– Nigdy nie traktowałem cię jak kogoś gorszego!

– Chyba sobie żartujesz! A jak twoim zdaniem mogłam się poczuć, gdy mi opowiadałeś, że mnie kochasz, a potem przeczytałam w rubryce towarzyskiej o twoich zaręczynach? – zawołała, wyrzucając ręce w górę.

– Masz pojęcie, jaki to był dla mnie cios? Nie jestem głupią gąską. Mam własną farmę, którą spłacam z własnych pieniędzy. Mam dyplom Uniwersytetu Cornell. Sama dbam o swoje sprawy. A jednak... – Uciekła od niego wzrokiem. – A jednak mnie dopadłeś.

– To nie ja zamieściłem to ogłoszenie.

– No cóż, ale zdobyło je śliczne zdjęcie was obojga.

– To nie moja wina.

– Bzdura! Próbujesz mi wmówić, że miałeś pistolet przystawiony do głowy, kiedy brałeś ślub z Chantal?

– Nie odzywałaś się do mnie! A ona spodziewała się dziecka. Nie chciałem, żeby było nieślubne. Uznałem, że tylko w ten sposób zachowam się w tej sytuacji jak mężczyzna.

– Och, niewątpliwie zachowałeś się jak mężczyzna. Przecież inaczej ona nie byłaby z tobą w ciąży.

Lane zaklął i opuścił głowę. Boże, tak wiele czasu już zmarnował, zastanawiając się, co by zrobił, gdyby miał szansę zacząć z Lizzie wszystko od początku. Poczynając od czasu, zanim jeszcze się ze sobą zeszli, gdy uprawiał przelotny seks z Chantal i uwierzył jej, gdy mu powiedziała, że bierze pigułki.

Wiadomo, jak to się skończyło.

Zresztą ciąża wcale nie była jedyną niespodzianką, jaką mu Chantal wyszykowała. Ta druga przybiła go znacznie bardziej.

– Czy możemy na tym poprzestać? – spytała Lizzie, przechodząc do następnej misy. – To naprawdę nie moja sprawa.

– To dlaczego z nią tu nie zostałem? – spytał, pochylając się w stronę Lizzie. – Skoro wszystko tak sobie pięknie wytłumaczyłaś, to powiedz, dlaczego nie zostałem z nią tutaj? Dlaczego przez prawie dwa lata mnie tu nie było? A jeśli chciałem mieć z nią dziecko, to dlaczego

nie zaszła w ciążę po raz drugi, gdy już to pierwsze straciła?

Lizzie pokręciła głową, patrząc prosto na niego.

– Powiedziałam: „To nie jest moja sprawa”. Nie rozumiesz, co to znaczy?

I wtedy właśnie się na nią rzucił.

Podobnie jak wówczas, gdy pierwszy raz całowali się w ciemnym ogrodzie w gorącą letnią noc, teraz znów stracił nad sobą panowanie i zatonął w jej ustach. Nie zamierzał walczyć z instynktem. W jednej chwili się ze sobą kłócili, a w następnej przeskoczył dzielącą ich odległość, chwycił Lizzie za kark i zaczął ją całować jak głupi.

A ona, tak jak wtedy, odwzajemniła pocałunek.

Chociaż z jej strony zapewne nie była to namiętność. Lane podejrzewał, że dla niej to spotkanie ust stanowi zaledwie przedłużenie konfliktu wyrosłego między nimi – pozawerbalną kontynuację słownej potyczki.

Ale miał to gdzieś. Każdy sposób, żeby się do niej zbliżyć, był dobry.

Był to oczywiście całkiem idiotyczny pomysł.

A jednak, całując się z Lane'em, Lizzie jakby przekazywała mu dwa lata swojej złości, frustracji i bólu. Jego usta – niech go wszyscy diabli! – miały smak bourbona, desperacji i zwierzęcego seksu, a jej to się podobało.

Za tym właśnie tęskniła.

I doprowadzało ją to do szału. Chciałaby móc powiedzieć, że ten pocałunek był koszmarny, że zdarzył się wbrew jej woli, że stanowił pogwałcenie jej prywatności.

Nie było to jednak prawdą. Sama wciskała mu język w usta, to jej palce wczepiały się w jego ramiona i niestety to za jej sprawą ich ciała ściśle do siebie przylgnęły.

Tak blisko, że czuła jego erekcję.

Przez ten czas, kiedy się nie widzieli, jego ciało nic się nie zmieniło – nadal było smukłe i sprężyste. Całował też tak samo: gwałtownie i łapczywie, wbrew szlachetnym manierom wyniesionym z domu. Bił od niego dokładnie ten sam żar co kiedyś.

Najgorsze jednak było coś innego: wspomnienia chwil, które spędzili razem, ciało przy ciele – to one nią targały, szarpały, przesłaniały cały ból i poczucie zdrady, zasypując je lawiną erotycznych obrazów z przeszłości.

Nagle zdała sobie sprawę, że za chwilę zacznie się z nim kochać – tu i teraz.

Oczywiście! W ten sposób mu pokaże, że z nią nie ma żartów.

Istny manifest feministyczny...

Tymczasem strącili coś ze stołu i w ciszy panującej w oranżerii rozległ się łoskot, a na jej biodro i udo wylał się strumień zimnej wody. Aż odskoczyła, odpychając od siebie Lane'a tak mocno, że stracił równowagę i poleciał na posadzkę.

Wytarła sobie usta przedramieniem.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – warknęła.

Głupie pytanie. Chyba raczej co ona wyprawia...

Lane w okamgnieniu stanął na nogi.

– Chciałem cię pocałować od chwili, gdy tu przyjechałem.
– Nie mogę powiedzieć tego samego.
– Bzdura. – Sięgnął po szklankę i pociągnął łyk. – Wciąż mnie pragniesz...
– Wynoś się stąd!
– Wyganasz mnie z mojej własnej oranżerii?
– Albo ty stąd wyjdiesz, albo ja – rzuciła. – A te kwiaty same się w misach nie poukładają. Chyba że chcesz, żeby połowa stołów podczas waszego śniadania została nieudekorowana.
– Mam gdzieś dekoracje. Tak jak zresztą całą tę przeklętą imprezę. I w ogóle to wszystko... – Machnął ręką, wskazując całe otoczenie, co byłoby nieco bardziej przekonujące, gdyby nie trzymał w dłoni szklanki z rodzinnym bourbonem. – Skończyłem z tym, Lizzie. Naprawdę mi tego nie potrzeba.

Ibuprom. Pomoże jej tylko ibuprom.

Mniej Lane'a, więcej środków przeciwbólowych.

– Poddaję się – mruknęła. – Wygrałeś. Idę stąd.

Ruszyła w kierunku wyjścia, ale ją złapał, obrócił i przyciągnął ku sobie. Dopiero wówczas zauważyła, że jednak trochę się zmienił od czasu, gdy go ostatnio widziała. Twarz miał szczuplejszą, bardziej sceptyczne spojrzenie, a w kącikach oczu wyraźniej zaznaczały się zmarszczki.

Niestety tylko dodawało mu to uroku.

– W tej całej aferze z Chantal nie jest tak, jak ci się wydaje
– powiedział ponuro.

– Nawet jeśli choć połowa z tego jest prawdą...

– Nie rozumiesz...

– Ja cię kochałam! – zawołała łamiącym się głosem, wrywając się z jego ramion. – Nie liczyłam na ślub, ale też nie przypuszczałam, że zaraz ruszysz do ołtarza z inną kobietą! W dodatku spodziewając się dziecka, które jej zrobiłeś w czasie, gdy niby byliśmy razem!

– Lizzie, ja się z nią wcześniej rozstałem. Zanim wróciłem tutaj w kwietniu, mówiłem jej, że to koniec.

– Ale jakoś się tego potem nie trzymałeś, co?

– Powiedziała mi o ciąży, gdy była już w czwartym miesiącu.

Policz sobie, Lizzie. Ostatni raz byłem z nią pod koniec marca, zanim przyjechałem do domu na urodziny mamy. A ty i ja... zeszedliśmy się w maju. Pod koniec czerwca dowiedziałem się o tej ciąży. Jak dobrze pamiętasz, przez cały ten czas nie wyjeżdżałem z Easterly. Dobrze wiedziałaś, gdzie jestem każdej nocy, bo spędzałem je z tobą. – Wpatrywał się w nią intensywnie. – Czwarty miesiąc, Lizzie. Nie trzeci, nie drugi, tylko czwarty. Lizzie...

Zakryła twarz dłońmi, broniąc się przed nieubłaganą logiką jego wywodu.

– Proszę cię, przestań.

– Co mam przestać?

– Powtarzać moje imię. Gdy je wymawiasz, jestem niemal gotowa ci uwierzyć.

– Ale ja nie kłamię. Od dwóch lat chcę ci to powiedzieć. – Zaklął pod nosem. – I jeszcze więcej, ale nie chcę teraz w to wchodzić. To bez znaczenia dla uczuć, które nas łączą.

Zanim zdążyła pomyśleć, że jest jej słabo, bezwiednie usiadła na obrotowym stołku, z którego korzystała wcześniej. Patrzyła na swoje dłonie. Zgięła palce, czując, jak zeszywniały. Z jakiegoś powodu pomyślała o gładkich, doskonale wypielęgnowanych dłoniach

paznokciach Chantal. Jak ogień i woda. Dłonie, którym teraz się przyglądała, ewidentnie należały do kobiety pracującej – podrapane przez niezauważone kolce róż, z brudem za paznokciami, którego zdoła się pozbyć dopiero, gdy wróci do domu, pełne plam powstałych, gdy kopała grządki na słońcu bez rękawiczek. No i nie dawało się ukryć, że na jej palcu nie błyszczał diament wart milion dolarów.

– Wziąłem z Chantal ślub w urzędzie, gdy mnie zostawiłaś – powiedział rzeczowo Lane. – Uznałem, że dziecko niczemu nie jest winne, a ponieważ sam dorastałem bez rodziców, nie chciałem, żeby to samo przytrafiło się jemu, niezależnie od uczuć, jakimi darzyłem jego matkę. Potem jednak po prostu musiałem stąd wyjechać. Do Chantal nie docierało, że nasze małżeństwo istnieje tylko na papierze, więc pojechałem na Północ, do Nowego Jorku, gdzie zatrzymałem się u kumpla ze studiów. Wkrótce potem Chantal zadzwoniła, że straciła tę ciążę. – Wypowiedział te słowa tak gorzko i tak cicho, że ledwo je

wychwyciła. – Ona zresztą też mnie nie kocha – mruknął. – Nigdy mnie nie kochała i nic się tutaj nie zmieniło.

– Skąd ta pewność? – spytała Lizzie, zdziwiona własnym pytaniem.

– Możesz mi wierzyć, naprawdę.

– Wyglądała na ucieszoną, że znów cię widzi.

– Nie przyjechałem tu do niej i dałem jej to jasno do zrozumienia.

A ta kobieta potrafi się przywiązać wyłącznie do pieniędzy.

– Myślałam, że ma własne.

– Bez porównania z naszymi.

No tak, to brzmiało prawdopodobnie. Niejeden kraj w Europie miał roczny dochód niższy od zarobków Bradfordów.

– Jesteś miłością mojego życia, czy tworzymy parę, czy nie. – Spojrzała na niego oszołomiona, lecz tylko wzruszył ramionami. – Wiem, że nie da się cofnąć czasu i odkręcić tego, co się stało... Proszę cię tylko, żebyś nie kierowała się pozorami. Spędziłaś tutaj dziesięć lat, ale ja znam swoją rodzinę i jej otoczenie od zawsze. I właśnie dlatego pragnę właśnie ciebie. Bo jesteś prawdziwa. Nie potrafiłabyś zachowywać się tak jak oni, co bardzo dobrze o tobie świadczy.

Czekała, aż powie coś jeszcze, ale Lane zamilkł. Znów więc spuściła głowę i spojrzała na swoje dłonie.

Z jakiegoś powodu serce Lizzie waliło jak młotem, jak gdyby znalazła się na skraju przepaści. Podejrzewała zresztą, że to adekwatny obraz jej położenia, bo słowa Lane'a przebijały się do jej głowy i przedstawiały wszystko, co sobie tam wcześniej

poukładała. Co w żaden sposób jej nie pomagało.

– Przerażasz mnie – szepnęła.

– Dlaczego?

Dlatego, że – niczym osoba uzależniona – desperacko chciała mu wierzyć. Tego jednak nie powiedziała.

– Nie bój się – odezwał się znów Lane. – Nie chciałem, żeby tak to się potoczyło. Już dawno chciałem ci to wyjaśnić.

Uznała za znaczące, że otaczają ich te wszystkie misy, które napełniała kwiatami. Ten obraz jej pracy, jedyne powody, dla którego przebywała na terenie Easterly, przypominał o dzielącej ich głębokiej

przepaści nie do przeskoczenia.

A potem z bólem przypomniła sobie to zdjęcie i artykuł w gazecie „Charlemont Herald” na temat planowanego małżeństwa – dwa wspaniałe południowe rody połączone w ramach iście feudalnego porozumienia. Wspominała te dni i noce, gdy już dowiedziała się o ciąży Chantal, te długie godziny cierpienia, podczas których czuła, że umiera.

Choć w jednym musiała przyznać Lane’owi rację. Ponieważ duma kazała jej dalej pracować w Easterly, przez ostatnie dwadzieścia cztery miesiące przebywała na terenie posiadłości Bradfordów właściwie codziennie, z wyjątkiem niedziel. I widziała, że przez cały ten czas Lane’a tam nie było. Przez dwa lata ani razu nie przyjechał zobaczyć się z żoną.

Co nie świadczyło najlepiej o ich małżeństwie.

– Jeśli nie przekonują cię moje słowa, przyjrzyj się moim działaniom – powiedział Lane. – Pozwól mi udowodnić, że mówię prawdę.

W jej myślach powróciła stale dzwoniąca komórka. Zaraz po ich rozstaniu Lane dzwonił do niej setki razy. Czasem zostawiał wiadomości, których nigdy nie odsłuchiwała, a czasem nie. Zaraz po tym, jak się dowiedziała o ślubie, wzięła dwutygodniowy urlop. Nie chciała go spędzać na swojej farmie w stanie Indiana, więc uciekła na północny wschód, do rodzinnego Plattsburgha i jabłoniowych sadów, wśród których się wychowała. Rodzice bardzo się cieszyli z jej przyjazdu, a ona spędzała całe dni wraz z pozostałymi pracownikami fizycznymi, doglądając drzewek odmiany McIntosh.

Gdy wróciła do pracy w Easterly, Lane’a już tam nie było.

Po jakimś czasie telefon też zaczął cichnąć. Aż w końcu przestała się wzdrygać za każdym razem, gdy na głównym podjeździe zatrzymywał się samochód.

– Proszę cię, Lizzie... powiedz coś. Nawet jeśli nie będą to słowa, które chciałbym usłyszeć...

Jego kwestię przerwał dochodzący z zewnątrz kobiecy śmiech. Oboje odwrócili się w kierunku drzwi prowadzących do ogrodu. Po wyjściu Grety jedno ze skrzydeł się nie domknęło. Przez powstałą szparę Lizzie widziała teraz sylwetki dwóch osób idących alejką w stronę

basenu położonego na drugim końcu ogrodu.

Nawet w delikatnej poświacie lamp ogrodowych rzucała się w oczy jaskrawoczerwona suknia, której obfite fałdy ciągnęły się po ziemi. Kobieta szła pod rękę z elegancko ubranym wysokim mężczyzną, patrzącym na nią niczym smakosz, któremu właśnie przyniesiono posiłek.

– To moja siostra – powiedział Lane, całkiem niepotrzebnie.

– I Samuel T. Lodge?

– A jakie to ma znaczenie?

Lizzie ponownie spojrzała na Lane'a.

– Złamałeś mi serce – szepnęła.

– Przepraszam. Nie chciałem tego, Lizzie, ani trochę. Bóg mi świadkiem.

– Myślałam, że jesteś ateistą.

Przez chwilę milczał, błędząc oczami po jej twarzy.

– Jeśli to będzie konieczne, ochrzczę się nawet i sto razy. Nauczę się Biblii na pamięć, będę całował pierścienie. Zrobię wszystko, co zechcesz, tylko proszę...

– Ja nie potrafię wrócić do tego, co było, Lane. Przykro mi. Nie potrafię.

Zamilkł, a po dłuższej chwili pokiwał głową.

– No dobrze, ale mogę cię o coś prosić?

Nie!

– Tak.

– Przestań mnie nienawidzić. Wystarczy, że sam czuję do siebie odrazę.

Ogród pachniał jak kobieta po wyjściu z kąpieli. Był elegancki niczym salon i zaciszny jak biblioteka akademicka.

Nie zapewniał jednak pełnej intymności, jako że starannie wypielęgnowane rabatki pełne kremowobiałych kwiatów (wszystkie zresztą delikatnie oświetlone) doskonale było widać z licznych okien rezydencji.

Na szczęście Gin nie uważała seksu w miejscach publicznych za temat tabu.

Uwieszona mocnego ramienia Samuela

Theodore'a Lodge'a Trzeciego, nawet nie próbowała kryć uśmiechu.

– Od jak dawna z nią jesteś?

– A kiedy tu przyjechaliśmy. Czyli od jakiejś godziny. Roześmiała się.

– Po co, ach, po co zawracasz sobie głowę takimi kobietami, drogi Samuelu?

– A są jakieś inne?

Trudno było stwierdzić, kto właściwie prowadzi kogo ku ciemniejszym zakątkom w odległym krańcu ogrodu, gdzie ceglane mury tworzyły róg na tyłach domku wypoczynkowego przy basenie. W każdym razie właśnie tam zmierzali.

– Nie wiedziałam, że tu będziesz – powiedziała, dotykając diamentów na szyi, a potem opuszczając dłoń i przesuwając palcami po górze sukienki. – Gdybym wiedziała, włożyłabym chociaż majtki.

– Chcesz zacząć wszystko od nowa, co?

– Lubię, kiedy je ze mnie zdejmujesz. Zwłaszcza gdy tracisz cierpliwość i zaczynasz drzeć wszystko na strzępy.

– Zdaje się jednak, że nie jestem w tym odosobniony.

– Nie bądź taki ordynarny.

– To ty zaczęłaś mówić o bieliźnie. I ty chciałaś wyjść ze mną na dwór. Mam rozumieć, że ten jeden raz naprawdę musiałaś zaczerpnąć świeżego powietrza?

Gin spojrzała na niego wściekle.

– Ależ z ciebie skurwysyn...

– To nie jest adekwatne słowo. Zostałem poczęty w przyzwoitej rodzinie i narodziłem się z prawego łóża. Czego nie można powiedzieć o twojej córce, prawda? – dodał, unosząc brew.

Zatrzymała się, widząc, że sprawy przybierają niezamierzony przez nią obrót.

– Przekraczasz granice dobrego smaku, Samuelu. I dobrze o tym wiesz.

– To ciekawe, że o granicach dobrego smaku mówisz akurat ty. Czy nie pieprzysz się przypadkiem z pewnym żonatym prawnikiem z mojej kancelarii? Coś mi się takiego ostatnio obilo o uszy.

Ach, więc dlatego tak się zachowywał.

– Zazdrosny? – spytała przeciągle, a na jej twarz powrócił uśmieszek.

– On cię nie zaspokoi. Nie na długo i nie tak, jak ja potrafię.

Gdy się na nią rzucił, nie stawiała oporu. Podobało jej się, gdy wbił dłonie w jej talię i przycisnął wargi do jej ust. Bez trudu podniósł jej obfitą spódnicę o licznych halkach na wysokość ud i przytrzymał w górze.

Trudno się zresztą dziwić; w końcu przecież już jako czternastolatek chadzał na liczne bale, gdzie miał sposobność poznać z bliska wiele najwspanialszych tkanin.

Jęknął, gdy się przekonał, że nie okłamała go w kwestii braku bielizny pod sukienką, i zaraz wepchnął w nią szorstkie palce. Zalały ją ogień i żądza, stanowiące błogą ucieczkę od wszystkiego, o czym nie chciała myśleć. Seks oczyszczał ją ze smutku i żalu, zastępując je czystą przyjemnością.

Nie musiała udawać orgazmu, bo sam przyszedł – z trudem łapiąc oddech, wbijała paznokcie w gładkie ramiona smokingu Samuela. Jego woda kolońska pachniała tak staromodnie, że Gin wydawało się to wręcz awangardowe.

Oddając mu się, czuła, że to jedyny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek kochała, i jedyny, którego nigdy naprawdę nie zdobędzie. Samuel był taki sam jak ona, tylko jeszcze gorszy: jego krnąbrna dusza nie miała zamiaru się ustatkować, choć spokojnie kroczył po ścieżkach wytyczonych mu przez zasady życia społecznego.

– Weź mnie – powiedziała mu prosto w usta.

Ciężko oddychał, a ukryte pod kosztownym smokingiem ciało było sztywne i sprężyste, gotowe ją posiąść. A jednak zamiast spełnić jej prośbę, zrobił krok w tył, wypuścił z rąk zadartą w górę suknię i patrzył na Gin niewzruszonym wzrokiem.

– Samuel? – zdziwiła się.

Z teatralnym namaszczeniem uniósł palce w górę, włożył sobie do ust i zaczął ssać. Później przejechał językiem w górę i w dół między nimi, zlizując z nich jej soki.

– Nie – rzucił. – Chyba raczej nie.

– Co?!

Pochylił się ku niej.

– Wrócę teraz na imprezę twojego ojca i usiądę przy jego stole. Zamieniłem układ miejsc, żeby Veronica mogła siedzieć przy mnie. Będziesz wiedziała, kiedy włożę jej ręce między nogi: zesztywnieje będzie próbowała nad sobą panować, a ja zrobię właśnie to, co teraz robiłem z tobą. Obserwuj jej twarz, Gin. I pamiętaj, że gdy tylko stamtąd wyjdziemy, będę ją posuwał na przednim siedzeniu mojego jaguara.

– Nie ośmielisz się!

– Tak jak mówiłem, Gin: obserwuj, co się będzie działo.

Gdy się od niej odwrócił, miała ochotę czymś w niego rzucić. Zdobyła się jednak tylko na to, żeby syknąć za nim:

– A ona nie ma przypadkiem na imię Jessica?

– Co mnie obchodzi jej imię? – odparł, zerkając na nią przez ramię.

– Liczy się tylko to... że nie jest tobą.

A potem ruszył w stronę rezydencji, z uniesioną głową i wyprostowanymi ramionami. Gin słyszała, jak podeszwy jego skórzanych butów uderzają o cegły.

Skuliła się, otaczając ciało ramionami. Dopiero teraz noc wydała jej się całkiem chłodna – choć było dwadzieścia sześć stopni Celsjusza.

Szkoda, że wcześniej mu nie powiedziała o tym prawniku.

Z drugiej jednak strony przecież wybrała tego pociesznego człowieka właśnie dlatego, że wcześniej czy później Samuel i tak musiał się o nim dowiedzieć.

Co do jednego nie miała wątpliwości. Samuel Theodore Lodge Trzeci jeszcze tu wróci. Z jakiejś przyczyny ich dwoje nie potrafiło zbyt długo bez siebie wytrzymać.

A kiedyś w końcu będzie musiała powiedzieć mu o Amelii. Ale na pewno nie dzisiaj. I w ogóle chyba nie w najbliższym czasie.

Gdyby się dowiedział, że przez te wszystkie lata ukrywała przed nim fakt istnienia jego własnej córki...

Mógłby ją zabić.

Gdy Lane wyszedł z oranżerii, nie miał najmniejszej ochoty wracać na ojcowską imprezę – zwłaszcza po tym, jak usłyszał delikatny gong oznajmiający, że podano do stołu. Jednak ponieważ jedyną alternatywą była wizyta u Edwarda...

– Lane?

Wyrwany z zamyślenia, spojrzał w stronę jadalni. Zaraz za przejściem zwieńczonym łukiem, przed jednym z antycznych włoskich luster stała wysoka brunetka w jasnoszarej sukni – nagie ramiona kobiety wyglądały równie pięknie z tyłu, jak i z przodu.

Jeszcze tego brakowało – pomyślał. Podeszedł jednak do niej z uśmiechem i pocałował jej gładki policzek.

– Jak się masz, Sutton?

Co oznaczało mniej więcej: „Co ty, u diabła, tutaj robisz?”. Cała jej rodzina – właściciele Sutton Distillery, producenta słynnej marki bourbonów i innych alkoholi – była dla Bradfordów oficjalnym wrogiem. Choć akurat sam Lane nie miał nic osobiście przeciwko tej kobiecie, zgodnie z rodzinną tradycją każda osoba należąca do jej rodziny uchodziła w Easterly za *persona non grata* – co przejawiało się zarówno w codziennych rozmowach, jak i w myślach i uczynkach Bradfordów.

Na domiar złego kibicowali drużynie Uniwersytetu Kentucky, nosili więc na rozgrywkach niebieskie, a nie czerwone barwy.

A to akurat potrafiło naprawdę wyprowadzić go z równowagi.

Gdy obejmowali się na powitanie, poczuł bijący od niej zapach luksusu. Kiedy zrobił krok w tył, delikatna woń wciąż jeszcze łaskotała jego nozdrza, a z każdym mrugnięciem powiek perfekcyjne ciało i wyjątkowa suknia Sutton jaśniały na nowo.

Nie oznaczało to wcale, że go pociągała. Budziła raczej zachwyty, jak obraz wielkiego artysty lub zabytkowy samochód.

– Nie wiedziałam, że przyjedziesz. – Uśmiechnęła się. – Dobrze cię znów widzieć. Świetnie wyglądasz.

Zabawne, bo czuł się fatalnie.

– A ty wyglądasz równie pięknie jak zawsze.

– Zostaniesz na derby?

Ponad jej ramieniem dostrzegł wchodzącą do jadalni Chantal. Szła z charakterystycznie wyniosłą miną, w sunącej po podłodze świetlicie żółtej sukni.

Wyjadę, jak tylko pozałatwiam papiery – pomyślał.

– Lane? – dociekała dalej Sutton.

– Przepraszam. Właściwie to muszę niedługo wracać do Nowego Jorku. – Przecież partie pokera same się nie rozegrają. – Miło cię widzieć, choć nie spodziewałem się twojej obecności na kolacji wydanej przez ojca.

– Dla mnie to też pewne zaskoczenie. – Pokiwała głową.

– Jesteś tu w interesach?

Pociągnęła wina z kieliszka.

– Mmm...

– To był żart.

– Widziałeś się może z...

Zawiesiła głos, nie dopowiadając imienia. Nie musiała. Tak jak wcześniej było jasne, że chodzi o Edwarda. Z kilku różnych powodów.

– Jeszcze nie. Ale wybieram się do niego na farmę.

– Wiesz, Edward już nie pojawia się w mieście... – Sutton znów przyłożyła usta do cienkiej jak brzytwa krawędzi kieliszka i pociągnęła kolejny łyceczek. – Kiedyś często się z nim widywałam, zanim... To znaczy... Byliśmy razem w Radzie Uniwersytetu Charlemont, chociaż przecież kibicuję Uniwersytetowi Kentucky i...

Mówiła dalej, a on miał wrażenie, że nie tyle informuje go o sprawach, o których dobrze wiedział, ile raczej odtwarza z pamięci okres życia, którego utratę oplakuje. Nie pierwszy raz zadał sobie pytanie, co tak właściwie zaszło między najbardziej kiedyś obiecującym z Bradfordów a uroczą córką ich rywali.

– Czyżby to powrót syna marnotrawnego?

Dźwięk głosu ojca zabrzmiał w jego uszach jak strzał ostrzegawczy. Lane aż się wzdrygnął. Szybko pociągnął bourbona ze szklanki, żeby pozbyć się uczucia niesmaku.

– Ojciec...

William Baldwin był niewiele niższy od syna, miał takie same ciemne włosy i niebieskie oczy, taką samą linię szczęki i takie same

ramiona. Różnice dotyczyły szczegółów związanych z wiekiem: szpakowate skronie, dwuogniskowe okulary w szylkretowej oprawie, bruzda między brwiami powstała przez całe dekady ich marszczenia. Paradoksalnie jednak wszystkie te wskaźniki wieku emerytalnego nijak nie osłabiały ojcowskiej pozycji. Jeśli już, raczej potęgowały wrażenie, że to człowiek posiadający wielką władzę.

– Czy mam poprosić o nakrycie dla ciebie? – Oczy ojca spoglądały zza okularów na ubranie Lane’a z obrzydzeniem, jakie mogłaby wzbudzić psia kupa na środku salonu. – Czy właśnie wychodzisz?

– Niech pomyślę. – Lane zwęził źrenice. – Choć z wielką przyjemnością przyniosłbym ci wstyd, siadając przy twoim stole w sportowej koszuli, to jednak musiałbym znosić twoją obecność przez co najmniej trzy dania. Chyba więc sobie pójdę.

Odstawił szklanekę z bourbonem na najbliższy blat, po czym uklonił się Sutton, która wyglądała tak, jakby wołała iść razem z nim niż zostać.

– Zawsze miło cię widzieć – zwrócił się do niej uprzejmie, po czym zerknął w bok. – Ojczy, pierdol się.

Rzuciwszy ten granat za siebie, ruszył przez zbierający się tłumek, skinieniem głowy pozdrawiając polityków i osoby z towarzystwa, dwoje aktorów z serialu HBO, od którego był uzależniony, oraz Samuela i jego ukochaną ostatnich nanosekund.

Udało mu się dotrzeć do głównego holu. Niemal już był przy drzwiach, gdy usłyszał za sobą stukot wysokich obcasów.

– Dokąd idziesz? – syknęła Chantal, łapiąc go za ramię. – Dlaczego nie jesteś ubrany?

– Nie twoja sprawa. – Uwolnił się z jej uścisku. – Jedna i druga.

– Lane, to nie do przyjęcia...

– Tego rodzaju słowa nie powinny przechodzić przez usta komuś takiemu jak ty.

Chantal zamknęła swoje perfekcyjnie obwiedzione konturówką wargi, a po chwili wzięła głęboki oddech, jakby z trudem przychodziło jej hamowanie wściekłości.

– Chciałabym z tobą chwilę porozmawiać, wszystko przedyskutować i omówić... naszą przyszłość.

– Jeśli chodzi o przyszłość, musisz tylko rozważyć, ile walizek od

Vuittona potrzebujesz, żeby się stąd wynieść.

Chantal uniosła dumnie głowę.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Pochylił się ku niej i zniżył głos do szeptu.

– Wiem, co zrobiłaś. Wiem, że nie straciłaś tego dziecka. Jeśli chciałaś zachować tę aborcję w tajemnicy, niepotrzebnie brałaś jednego z naszych rodzinnych szoferów, żeby cię zawiózł do kliniki w Cincinnati.

Pobladła. Do niego zaś wróciło wspomnienie chwili, kiedy ów mężczyzna biedził się z przekazaniem mu tej strasznej informacji.

– Nic nie odpowiesz? Nie zaprzeczysz? – napierał Lane. – Czy zrobisz to dopiero, gdy wyjdiesz z szoku, że cię nakryto?

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Wiedział, że Chantal rozważa opcje i próbuje wybrać strategię, która jej pozwoli jak najlepiej wybrnąć z sytuacji.

– A co miałam zrobić? – spytała w końcu cicho. – Zostawiłeś mnie tu bez żadnych wyjaśnień, bez wsparcia, bez pieniędzy, bez możliwości skontaktowania się z tobą.

– Tak, w samym środku cholernie dzikiej dżungli – zadrwił, wskazując na obrazy olejne i orientalne dywany.

– Opuściłeś mnie!

– Znalazłaś więc rozwiązanie: odzyskać figurę i uwieść kogoś innego, tak? Zakładam, że to dlatego tak postąpiłaś. Musiałaś znów się wbić w ten swój rozmiar trzydzieści sześć, prawda, zoneczko?

– Lane, mówisz rzeczy, których wcale nie chcesz...

– Zabiłaś niewinną...

Z salonu wyszedł Reginald ze srebrną tacą pełną opróżnionych kieliszków. Rzucił na nich jedno spojrzenie, po czym się wycofał i znów zniknął w teraz już opustoszałym pomieszczeniu.

No tak, oto życie w Easterly, gdzie prywatność jest rzadsza od diamentów i dostępna w bardzo ograniczonym wymiarze. Lane miał jednak przynajmniej pewność, że temu mężczyźnie może ufać w większym stopniu niż własnej rodzinie.

Co zresztą nie oznaczało zbyt wiele.

– Nie będę tego z tobą tu załatwiał – warknął. – A ty masz opuścić

ten dom. Zaraz po derby twój darmowy karnet straci ważność.

Chantal uniosła jedną z doskonale wyregulowanych brwi.

– Możesz się ze mną rozwieść, jeśli chcesz, ale nigdzie się stąd nie ruszam.

– Nie masz prawa przebywać pod tym dachem, gdy z twojego palca zniknie obrączka.

– Jeszcze się przekonamy – rzuciła z lodowatym uśmiechem, po czym skinęła głową w stronę drzwi wejściowych. – Uciekaj, proszę bardzo. Przecież to twoja specjalność. Możesz jednak być pewien, że mnie tu zastaniesz, gdy wrócisz.

Lane z niedowierzaniem przymrużył oczy. Chantal można było wiele zarzucić, ale raczej nie cierpiała na urojenia. Zbyt się pilnowała, żeby dobrze wypaść.

A teraz patrzyła na niego wyzywająco, jakby wiedziała coś, o czym on nie miał pojęcia.

Co tu się jeszcze, do diabła, wyrabiało pod jego nieobecność?

Tymczasem w stadninie Red & Black Edward siedział w starym skórzanym fotelu przed telewizorem tak wiekowym, że z pudła kineskopowego wielkości paczki płatków śniadaniowych wystawały mu antenki, niczym królicze uszy. W pokoju panował półmrok rozświetlony łuną bijącą od niezliczonych pucharów poustawianych na regale na przeciwległej ścianie, sięgającym od podłogi do sufitu.

W domku była jedna sypialnia, łazienka z wanną na nóżkach, wąska kuchnia oraz ta przestrzeń, w której teraz siedział, pełniąca funkcję biblioteki, gabinetu, salonu i bawialni. Nie było też piętra (tylko strych pełen starych pamiątek jeździeckich) ani garażu. Sama jadalnia

Easterly miała większą powierzchnię niż ten dom – Edward jednak nauczył się doceniać mieszkanie w miejscu, gdzie prawie wszystko wyraźnie widać i słyszeć. W rodzinnej rezydencji człowiek nie miał pojęcia, kto jeszcze przebywa na tej ogromnej przestrzeni, gdzie się znajduje i co robi.

Komuś takiemu jak on, kogo co noc brały we władanie koszmary i kto ogromnym wysiłkiem starał się, żeby jego mózg sam siebie nie pożarł, dużo łatwiej było ogarnąć tak ciasne lokum. Zwłaszcza o tej porze roku. Jaka szkoda, że jego porwanie w Ameryce Południowej

zdarzyło się akurat przed derby. Rocznicowe wspomnienia okresu, gdy go przetrzymywano dla okupu, nie pozwalały mu cieszyć się weekendem, który dawniej był dla niego najradośniejszy w roku.

Spojrzał na zegarek i zaklął. Wieczne godziny po zachodzie słońca wydawały mu się mglistą matnią; każda minuta trwała zarazem całe wieki i ledwie sekundę. Jego zadanie na noc: jakoś dotrzeć do rana bez krzyku.

Koło łokcia miał niemal już opróżnioną butelkę wódki. Gdy zaczął pić, wrzucił do wysokiej szklanki pięć kostek lodu, ale dawno się już roztopiły, więc teraz pił czysty alkohol. Poprzedniej nocy był to dżin. A noc wcześniej trzy butelki wina: dwa rodzaje czerwonego i jakieś białe.

W początkowej, najbardziej dotkliwej fazie „powrotu do zdrowia” musiał zgłębić tajniki zarządzania bólem – nauczyć się odpowiednio dawkować tabletki i planować posiłki, żeby borykanie się z impulsami nerwowymi wysyłanymi przez zniszczone ciało nie było bardziej bolesne niż cierpienia, które go do tego stanu doprowadziły. Zdobyta wówczas wiedza doskonale się przekładała na drugi etap jego „powrotu do zdrowia”: chroniczny ból. Dzięki metodzie prób i błędów, którą od samego początku stosował przy lekach, potrafił teraz tak sobie wszystko rozplanować, żeby osiągnąć optymalny efekt uspokajający. Każdego dnia o czwartej po południu coś jadł, a o szóstej, gdy stajnie pustoszały, mógł zacząć pić – właściwie na pusty żołądek.

Nic go tak nie wyprowadzało z równowagi jak intruzi zakłócający przebieg tego procesu.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, sięgnął po pistolet leżący obok butelki francuskiej wódki. Próbował sobie przypomnieć, który jest dzień. Pojutrze miało być derby, więc to czwartek. Czwartek wieczór, jakoś po zachodzie słońca.

A zatem to nie jedna z opłacanych przez niego prostytutek – one przychodziły w piątki. Chyba że na ten tydzień zamawiał podwójną usługę, ale nie, przecież czegoś takiego nie zlecał. Chyba. A może jednak?

Sięgnął po laskę, a następnie dźwignął się z fotela i poczłapał do okna przy wejściu. Gdy rozchyłał zasłony, pistolet trzymał stabilnie, ale

serce waliło mu jak oszalałe. Choć na zdrowy rozum wiedział, że tu, w hrabstwie Ogden, z pewnością nikt nie przysłał najemników mających go porwać, choć zdawał sobie sprawę, że wszystkie zainstalowane przez niego zamki, bramki i alarmy zapewniają mu pełne bezpieczeństwo, choć czuł w dłoni ciężar pistoletu, to jednak... No cóż, w jego mózgu zaszły nieodwracalne zmiany.

Gdy zobaczył, kto puka, zmarszczył czoło i opuścił pistolet. Podszedł do drzwi, zdjął łańcuch, odblokował trzy solidne zamki oraz zasuwę i otworzył drzwi, których zawiasy okropnie skrzypiały (co stanowiło dla niego kolejne zabezpieczenie, znak ostrzegawczy).

– Pomyłka – mruknął oschle do drobnej blondynki ubranej w znoszone dżinsy i czystą koszulkę bez rękawów. – Zamawiam tylko brunetki. W sukniach balowych.

Miał swoje powody, które wolał zachować wyłącznie dla siebie. Zmarszczyła brwi.

– Co proszę?

– Biorę tylko brunetki. Odpowiednio ubrane.

Wymagał długich włosów podkręconych na końcach, sukni do ziemi oraz zapachu perfum Must de Cartier. Aha, no i zamkniętych ust. Nie mogły się odzywać przez cały czas, gdy się z nimi pieprzył. Bo nawet jeśli udawało im się całkiem dobrze spełnić wymogi zewnętrzne, stworzona w ten sposób subtelna iluzja natychmiast się rozpadała, gdy odzywały się głosem niepasującym do kobiety, której pragnął, ale której mieć nie mógł.

I tak dość już go kosztowało utrzymanie erekcji – właściwie jedynym na to sposobem było podtrzymywanie w sobie wiary w to oszustwo przez cały czas trwania stosunku, aż do orgazmu.

Kobieta stojąca na progu jego domu oparła dłonie na biodrach.

– Chyba nie wiem, o czym pan mówi. Ale wiem, że dobrze trafiłam. Pan się nazywa Edward Baldwin, a to jest stadnina Red & Black.

– Kim pani jest?

– Córką Jeba Landisa. Mam na imię Shelby. Shelby Landis.

– Boże jedyny... – powiedział Edward, zamykając oczy.

– Byłabym wdzięczna, gdyby pan w mojej obecności nie wzywał

imienia Pana Boga nadaremno... Dziękuję.

Otworzył szerzej oczy.

– Czego pani chce?

– Mój ojciec nie żyje.

Edward wbił wzrok w księżyc wschodzący nad Stajnią C, ponad głową kobiety.

– Wejdzie pani?

– Jak pan odłoży broń, to tak.

Zatknął pistolet za pasek dżinsów i zrobił krok w tył.

– Może drinka?

Dopiero gdy weszła do środka, zdał sobie sprawę, jaka jest niska. I pewnie ważyła nie więcej niż czterdzieści kilo (w przemoczonej odzieży).

– Nie, dziękuję. Nie uznaję alkoholu. Chętnie jednak skorzystałabym z łazienki. Mam za sobą długą podróż.

– To tam.

– Uprzejmie dziękuję.

Wychylił się przez drzwi. Pikap, którym najwyraźniej tu przyjechała czort wie skąd, stał po lewej stronie. Silnik wciąż jeszcze tykał po wyłączeniu.

Zatrzasnął pancerne drzwi i pozamykał wszystkie zamki. Z przeciwległego krańca domu dobiegł go odgłos spuszczonej wody, a potem odkręcanego kranu. Chwilę później dziewczyna wyszła z łazienki i skierowała się ku regałowi z pucharami, którym się zaczęła przyglądać.

Edward wrócił na swój fotel i z grymasem na twarzy zaczął się w nim ponownie mościć.

– Kiedy to się stało? – spytał, nalewając sobie do szklanki resztkę wódki.

– Tydzień temu – odpowiedziała dziewczyna, nie patrząc w jego stronę.

– W jaki sposób?

– Koń go stratował. Znaczący lekarze mówią, że mu serce wysiadło, ale to przez tego konia. Pan też tak został okaleczony?

– Nie – odparł Edward i pociągnął ze szklanki. – Co tu robisz?

Dziewczyna się odwróciła.

– Ojciec zawsze powtarzał, że gdyby mu się coś kiedyś stało, mam się do pana zgłosić. Twierdził, że jest mu pan coś winien. Nigdy nie pytałam co.

Edward długo jej się przyglądał.

– Ile masz lat? Dwanaście?

– Dwadzieścia dwa.

– Chryste, aleś ty młoda...

– Proszę przy mnie zważać na słowa.

Musiał się uśmiechnąć.

– Jesteś taka sama jak twój ojciec, wiesz?

– Tak mówią. – Znów oparła dłonie na biodrach. – Nie chcę nic za darmo. Trzeba mi jakiegoś kąta i roboty. Dobrze radzę sobie z końmi, tak jak ojciec, ale słabo z ludźmi. Żeby nie było, że pana nie ostrzegałam. Nie mam pieniędzy, ale mam mocny kręgosłup i niczego się nie boję. Kiedy mogę zacząć?

– A kto ci powiedział, że potrzebuję pomocy?

Zachmurzyła się.

– Tata mówił, że będzie pan potrzebował. Mówił, że na pewno znajdzie się u pana jakieś miejsce.

Stadnina stanowiła spore przedsięwzięcie i zawsze brakowało rąk do pracy. Ale postać Jeba Landisa przywodziła mu na myśl dość złożoną przeszłość, o której Edward chciał zapomnieć. Ta dziewczyna również była tym naznaczona. Lecz mimo to...

– Co potrafisz?

– To żadna filozofia czyścić stajnie, dbać o konie, doglądać ciężarnych klaczy...

Machnął ręką, żeby przestała mówić.

– Dobrze, dobrze, masz pracę. Zachowuję się tak okropnie, bo podobnie jak ty słabo sobie obecnie radzę z ludźmi. Mam wolną kwaterę obok Moego w Stajni B. Możesz się tam wprowadzić.

– Pan mi pokaże drogę.

Edward mruknął z niechęcią, ale dźwignął się na nogi.

Specjalnie wziął ze sobą szklanekę i podszedł z dziewczyną do drzwi.

– Nie chcesz wiedzieć, ile będę ci płacił?

– Zapłaci pan uczciwie. Ojciec mówił, że oszustwo nie jest w pana stylu.

– Pewnie chciał być uprzejmy.

– Wcale nie. Znał się na ludziach i koniach.

Edward zaczął ponownie odryglowywać wszystkie zamki. Czuł na plecach wzrok dziewczyny i strasznie go to irytowało. Jego ułomność była skutkiem piekła, przez które przeszedł i które wolał zachować dla siebie, nie dzieląc się nim ze światem.

Zanim ją wypuścił, spojrzał prosto na nią.

– Jest tylko jedna zasada.

– Jaka?

Z jakiegoś powodu zaczął analizować rysy jej twarzy. Fizycznie w ogóle nie przypominała ojca – no może tylko tą drobną budową. Shelby (czy jak jej tam było) miała jasne oczy, nie tak ciemne jak Jeb. A jej skóra nie była gruba i porowata. Przynajmniej na razie. Dziewczyna nie pachniała też końskim potem – choć to miało się wkrótce zmienić.

Ton głosu odziedziczyła jednak po ojcu – mówiła w ten sam nosowy sposób, z tą samą niewzruszoną mocą.

– Nie wolno podchodzić do mojego ogiera – powiedział Edward.

– To naprawdę podła kreatura.

– Nebekanzer.

– Słyszałaś o nim.

– Ojciec mówił, że w żyłach tego konia płynie benzyna, a w oczach ma kwas siarkowy.

– No, to znasz mojego ulubieńca. Trzymaj się od niego z daleka. Nie zbliżaj się do niego na pastwisku, nie sprzątaj jego boksu i nigdy, przenigdy nie wkładaj tam nic, na czym ci zależy. W tym własnej głowy.

– To kto się nim zajmuje?

– Ja. – Edward pokuśtykał na ciemne podwórze, zanurzając się w ciężkie, wilgotne powietrze, od którego się niemal dusił. – I nikt więcej.

Próbował wziąć głęboki oddech, ale mu się nie udało. Zastanawiał się, czy ta banda lekarzy nie przeoczyła jakichś obrażeń wewnętrznych. Chociaż uczucie duszności mogło wynikać z jego wizji tej drobnej

kobiety podchodzącej do czarnego ogiera o paskudnym charakterze. Edward potrafił sobie wyobrazić, co ten bydlak mógłby jej zrobić.

Ruszyła przodem, otworzyła drzwi swojego pikapa po stronie pasażera i wyjęła plecak.

– Więc to pan tu wszystkim kieruje.

– Nie, Moe Brown. Jutro go poznasz. Będzie twoim szefem – powiedział Edward, zmierzając w kierunku stajni. – Tak jak mówiłem, kwatera obok niego jest umeblowana, ale nie wiem, kiedy ostatni raz ktoś tam mieszkał.

– Spałam już w stajniach i na ławkach w parku. Starczy mi dach nad głową.

Edward zerknął na dziewczynę.

– Twój ojciec był... dobrym człowiekiem.

– Ani lepszym, ani gorszym od innych.

Siłą rzeczy zachodził w głowę, kim mogła być jej matka – czy może raczej jaka kobieta zdołała wytrzymać z Jebem na tyle długo, żeby mieć z nim dziecko. Jeb Landis był w środowisku chodzącą legendą – doprowadził więcej koni do zwycięstw w wyścigach niż ktokolwiek w historii. Był też, skurczybyk, alkoholikiem z potężną żyłką hazardową oraz niereformowalnym mizoginem.

O jedno Edward na pewno nie musiał się martwić: czy Shelby sobie poradzi. Jeśli przeżyła tyle czasu w towarzystwie Jeba, praca w stajni osiemnaście godzin na dobę to dla niej pestka.

Gdy podeszli do Stajni B, zapaliły się światła włączane przez czujnik ruchu, a stojące w środku konie zaczęły przebierać kopytami i cicho rzeć. Weszli bocznym wejściem, minęli kanciapę Moego i magazyny, a potem ruszyli schodami na poddasze, ciągnące się przez całą długość stajni, nad potężnymi belkami stropowymi. Dawniej składowano tam siano, ale w latach siedemdziesiątych przerobiono tę przestrzeń na dwa mieszkania, z których jedno, z oknami wychodzącymi na podjazd, zajmował Moe.

– Idź pierwsza i zaczekaj na mnie na górze – rzucił przez zaciśnięte zęby. – Mnie to chwilę zajmie.

Shelby Landis wbiegła po schodach z lekkością, której dawniej sam też doświadczał, choć wtedy tego nie doceniał. Miał wrażenie, że

zanim do niej dołączy, minie sto tysięcy lat.

Kiedy wdrapał się na górę, był już zupełnie bez tchu. Z jego płuc dochodził świst przywodzący na myśl obracające się w powietrzu koło samochodu, który ugrzązł w błocie.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na drzwi Moego, i zobaczył, że szpara pod nimi nie jest rozświetlona. Zresztą i tak nie chciałoby mu się tych dwojga sobie przedstawiać. Do derby zostało niecałe czterdzieści osiem godzin – jego zarządca, o ile jest u siebie, pewnie ledwo zipie.

Zwłaszcza że jeden z dwóch koni, które mieli wystawić, chyba nie będzie mógł wystartować.

Przeszedł na drugą stronę, żeby sprawdzić, czy drzwi do drugiego mieszkania są zamknięte. Nie wiedział, co zrobi, jeśli się okaże, że tak. Nie miał pojęcia, gdzie mogą być klucze...

Jednak po naciśnięciu klamki drzwi od razu szeroko się otworzyły, przypominając mu, że poza nim na farmie nie ma zbyt wielu paranoików. Po lewej stronie od wejścia znajdował się włącznik światła. Nacisnął go i z ulgą stwierdził, że mieszkanie wcale nie pachnie stęchlizną, za to jest wyposażone w kanapę, stół oraz krzesło i ma maleńką kuchenkę, przy której jego własna przypomina pomieszczenie przemysłowe.

– Ojciec ci mówił, co mu zawdzięczam? – spytał, kuśtykając do ciemnego przejścia w głębi.

– Nie. W ogóle mało mówił.

Edward nacisnął kolejny pstryczek i przekonał się, że owszem, jest tam też sypialnia i łazienka.

– Tyle mogę zaoferować – powiedział, odwracając się na pięcie.

Spojrzał na odległość dzielącą go od drzwi wejściowych i od razu poczuł się wyczerpany. Pięć metrów. Dla niego to jak pięć kilometrów. Dziewczyna podeszła do niego.

– Dziękuję za tę szansę.

Wyciągnęła do niego rękę i spojrzała mu w oczy. Przez chwilę poczuł coś innego niż wściekłość, która wypalała mu trzewia przez ostatnie dwa lata. Nie był pewien, jak nazwać to uczucie, a co gorsza nie był też pewien, czy w ogóle mu się ta zmiana podoba.

Funkcjonowanie w trybie jednoznacznej wrogości upraszczało

rozmaite sprawy.

Pozostawił jej dłoń wiszącą w powietrzu i począł w kierunku wyjścia.

– Zobaczymy, czy później też będziesz chciała dziękować.

Nagle pomyślał o jej zasadach: zero przekleństw i alkoholu.

– Aha, jeszcze jedno – dodał. – Jeśli mam zaciągnięte zasłony, to nie należy mi przeszkadzać.

Jeszcze tylko tego mu potrzeba, żeby przypadkiem zobaczyła, że sobie używa z kobietami lekkich obyczajów – i w dodatku za to płaci. Mógł sobie wyobrazić, co powiedziałyby Shelby po takim odkryciu.

– Tak jest.

Pokiwał głową i zamknął drzwi. Potem zaś pomału, ostrożnie zaczął schodzić na dół.

Prawda była taka, że to właśnie Jeb Landis, cokolwiek by o nim mówić, przywrócił go do życia. Bez tego kopa w dupę, jaki Edward od niego dostał, Bóg jeden raczy wiedzieć, czy wciąż jeszcze chodziłby po ziemi. Chryste, jak świetnie pamiętał tę chwilę, gdy Jeb odwiedził go w szpitalu rehabilitacyjnym. Pomimo wprowadzonych przez Edwarda ścisłych zasad (żadnych gości, żadnych wyjątków) Jeb przedostał się przez rejestrację i wmaszerował prosto do jego sali.

Znali się wtedy już od ponad dekady. Połączenie pasji konnej Edwarda z jego wcześniejszą ambicją, żeby wszystko robić najlepiej, oznaczało, że tylko jeden człowiek na świecie mógł trenować jego konie.

Nigdy by jednak nie podejrzewał, że ten facet będzie dla niego kimś w rodzaju wybawiciela.

Objawienie, jakie przyniósł mu Jeb, było krótkie i treściwe, a przede wszystkim do niego dotarło (przynajmniej w pewnym stopniu), w przeciwieństwie do wcześniejszego pocieszania i trzymania za rączkę. Później zaś, w rok po tym, jak Edward przeniósł się tutaj, powyrzucił swoje garnitury i postanowił wieść odtąd takie właśnie życie, Jeb oświadczył, że opuszcza stadninę i jedzie do Kalifornii.

Pewnie dlatego, że miał na pieńku z bukmacherami z Chicago.

Przez te wszystkie lata, przed porwaniem i po nim, w jego rozmowach z Jebem nigdy nie wypłynął temat potomstwa. Ale tak, oczywiście, przyjmie jego córkę.

Na szczęście wyglądało na to, że dziewczyna potrafi o siebie zadbać.

Będzie więc mógł spłacić ten dług dość tanim kosztem.

Tak przynajmniej tłumaczył sobie tej pierwszej nocy.

Okazało się to jednak dalekie od prawdy. Bardzo, bardzo dalekie.

– Zapłaciłem sto tysięcy dolarów za miejsce obok ciebie.

Trzymając w ręku zabytkowy widelec od Tiffany’ego z wzorem w chryzantemy, Gin przesuwiała jedzenie na talerzu. Niemal nie słyszała słów wypowiedzianych wprost do jej prawego ucha. Zbyt była zajęta, próbując skupić wzrok na przesłoniętym nieco przez kieliszki bukietcie kwiatów naprzeciw niej. Siedział za nim Samuel, nieco na lewo. Patrząc więc na ten różany obiekt, miała w polu widzenia także swojego kochanka i tę jego panienkę (Veronicę, Jessicę czy jak jej tam).

– Mogłabyś więc przynajmniej ze mną porozmawiać.

Wyrwana z zamyślenia, zerknęła na Richarda Pforda Czwartego, którego szczerze nie cierpiała. Od czasów chłopięcych nic a nic się nie zmienił: wciąż tak samo chudy i wysoki, miał świdrujące spojrzenie i podejrzliwą naturę, niezbyt licującą z jego wysoką pozycją w hierarchii społecznej Charlemont. Jako syn Richarda Pforda Trzeciego był jedynym spadkobiercą imperium Pford Liquor and Spirits Distributors – ogólnokrajowej sieci dystrybucji wina, piwa, bourbona, dżinu, wódki, szampana, whiskey i wszelkich innych trunków, które za jej pośrednictwem trafiały na półki w barach i sklepach całej Ameryki.

Co oznaczało, że mógł sobie pozwolić na sześciocyfrowe opłaty za odpowiednie miejsce przy stole każdego wieczoru w tygodniu oraz dwa razy dziennie w niedziele.

Po prostu płacił się w bogactwie – a przecież seniorzy w jego rodzinie nie zaczęli jeszcze nawet umierać.

– Umowy zawierane przez mojego ojca nie mają ze mną nic wspólnego – odparła. – Wygląda więc na to, że wrzuciłeś te pieniądze w błoto.

Upił z kieliszka nieco wina.

– I pomyśleć, że cała ta suma zasilila drużynę koszykówki Uniwersytetu Charlemont...

– Nie wiedziałam, że im kibicujesz.

– Wcale im nie kibicuję.

– Nic więc dziwnego, że trudno nam się dogadać. – Cholera! Uniwersytet Kentucky. Mogła się domyślić. – Poza tym chyba

słyszałam, że się ożeniłeś...

– Pogłoski na temat moich zaręczyn były mocno przesadzone.

– Trudno to sobie wyobrazić, zważywszy na twoje liczne zalety. Po lewej od róż Veronica zwana Jessicą aż podskoczyła na krześle.

Sztuczne rzęsy zatrzepotały, a widelec opadł z brzękiem na talerz.

Spojrzała na Samuela, połyskując barwionymi soczewkami, a ten drań od niechcenia wytarł sobie usta adamaszkową serwetką.

Nie patrzył jednak na swoją przyjaciółkę. Wpatrywał się w Gin, częściowo skrytą za bukietem róż.

Skurwysyn.

Gin zwróciła się w stronę Richarda z teatralnym uśmiechem.

– Cóż, jestem zachwycona twoim towarzystwem.

Richard pokiwał głową i wrócił do krojenia *filet mignon*.

– Dużo lepiej. Tak trzymaj, proszę.

Gin mówiła teraz okrągłymi zdaniem, choć nie miała pojęcia o czym. Lecz Richard dalej kiwał głową i odpowiadał, więc chyba nieźle jej szło prowadzenie gładkiej konwersacji. Jedno trzeba przyznać: zarówno w udawaniu, że interesuje ją prowadzona rozmowa, jak i w udawaniu orgazmów przed mężczyznami, którzy nic jej nie obchodzili, miała sporą wprawę.

Zarazem jednak była w pełni świadoma tego, co w tym czasie robi Samuel. Aż do bólu.

Nie spuszczał z niej płomiennego wzroku. A siedząca obok niego kurewka – właśnie tak, jak zapowiadał – przez cały czas próbowała nad sobą panować.

– ...zaczekać z tym na ciebie.

Gin zmarszczyła brwi. Choć myślała o czymś innym, do jej świadomości przebiły się te ostatnie sylaby.

– Co mówiłeś?

– Miałem się ożenić, ale dogadałem się z twoim ojcem i zerwałem tamte zaręczyny.

– Dogadałeś się z moim... O czym ty mówisz?

Richard uśmiechnął się chłodno.

– Twój ojciec i ja zawarliśmy umowę dotyczącą naszej wspólnej przyszłości. W zamian za ślub z tobą jestem gotów dać szczególnie

korzystne warunki waszej firmie.

Gin zamrugała z niedowierzaniem i pokręciła głową.

– Chyba się przesłyszałam.

– Wcale nie. Zakupiłem już nawet odpowiedni diament.

– Nie, nie, nie. Zaczekaj chwilę. – Rzuciła na stół serwetkę, choć nie skończyła jeszcze jeść, podobnie jak pozostałe trzydzieści jeden osób siedzących przy stole. – Ja nie zamierzam wychodzić za mąż. Ani za ciebie, ani w ogóle za kogokolwiek.

– Czyżby?

– Mogłeś sobie kupić miejsce przy tym stole. Ale mnie nikt do niczego nie będzie zmuszał, nawet ojciec.

Najsmutniejsze wydało jej się to, że nawet się nie zdziwiła, że kochany tatuś może zechcieć ją sprzedać w zamian za wzmocnienie pozycji rynkowej rodziny.

Richard wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówisz...

Gin spojrzała na Williama Baldwine'a, który zajmował miejsce u szczytu stołu z miną władcy absolutnego, jakby siedział na tronie i miał przed sobą tłum poddanych.

Nie wyczuł jej wściekłego spojrzenia i zdawał się zupełnie nieświadomy faktu, że sprawa już wypłynęła – choć może sam to tak zaplanował, wiedząc, że Richard i tak nie utrzyma języka za zębami, a ona nie zrobi sceny przy tylu świadkach.

Co gorsza, miał rację. Choć kusilo ją, żeby wstać i zacząć wrzeszczeć, nie mogła w ten sposób zhańbić swojej rodziny – a już na pewno nie w obecności Sutton Smythe i jej ojca Reynoldsa.

Na lewo od róz rozległ się cichy jęk, natychmiast zamaskowany delikatnym kaszlem.

Gin przeniosła wściekły wzrok na Samuela, który zaraz na to zareagował: uniósł jedną brew i... posłał w stronę Gin pocałunek.

– Tak, może pan zabrać ten talerz – usłyszała, jak Richard mówi do kelnera. – Już skończyła.

– Słucham? – zwróciła się Gin do Richarda. – Nie masz prawa...

– Rozumiem, że nie masz apetytu, ale nie wystawiajmy go na dalszą próbę, dobrze? – Richard skinął na kelnera. – Z deseru też

rezygnuje.

Gin pochyliła się w jego stronę i uśmiechnęła się do niego, po czym zniżyła głos do szeptu.

– Nie bądź taki hop do przodu. Wciąż jeszcze pamiętam, jak sobie wypychałeś rozporek skarpetami. Potrzebne były dwie pary, bo jedna nie sprawiała różnicy.

Richard również pochylił się w jej stronę i tak samo jak ona zniżył głos do szeptu.

– Nie udawaj, że masz tu cokolwiek do powiedzenia.

– Jeszcze zobaczysz.

– Po prostu na ciebie zaczekam. – Oparł się na krzesło i posłał jej spojrzenie zadowolonego z siebie człowieka dysponującego bajecznym bogactwem. – Tylko nie zastanawiaj się zbyt długo. Z każdą godziną spada wartość twojego pierścionka.

Zamorduję cię – myślała, patrząc na ojca. Klnę się na Boga, że cię, kurwa, zamorduję.

Lizzie skręciła z wiejskiej szosy na piaszczystą dróżkę przecinającą bezkresne pola kukurydzy, na której ledwo się mieściła jej mała toyota. Po obu stronach rosły drzewa, bynajmniej nie w równych rzędach, lecz

bardziej niedbałej konfiguracji, jakby wyrosły tam za sprawą samej natury, a nie ludzkiej ręki. Ich potężne konary tworzyły w górze coś w rodzaju baldachimu, który wiosną przybierał kolor jaskrawozielony, latem szmaragdowy, a jesienią żółto-pomarańczowy. Zimą zaś z baldachimu zostawał tylko sam szkielet.

Jadąc tą nawą, zaczynała się zwykle odprężyć – ten kilkusetmetrowy odcinek łączący szosę z jej domem działał niczym komora dekompresyjna. Często miała wrażenie, że tylko dzięki niemu potrafi zasnąć po całym dniu spędzonym w Easterly.

Tego wieczoru było jednak inaczej.

Właściwie wciąż ją kusilo, żeby obejrzeć się przez ramię i upewnić, że na tylnym siedzeniu nikogo nie ma. Co prawda nie zmieściłby się tam nikt roślejszy od przeciętnego dwunastolatka, ale co z tego. Czuła, że ktoś ją śledzi, ściga, prześladowuje, choć jej portfel leżał sobie bezpiecznie w torebce, a w pocziwym gruchocie była całkiem sama.

Jej wiejski dom stanowił kwintesencję klasycznego amerykańskiego stylu i wyglądał jak obrazek z filmu emitowanego z okazji 4 lipca: białe ściany, weranda pełna bratków, a na niej bujane fotele i huśtawka tarasowa. Zarówno klasyczny komin z czerwonej cegły, jak i spadzisty dach wyłożony szarym łupkiem stanowiły pozostałość po pierwotnej konstrukcji z 1833 roku. Całości dopełniał ogromny klon, latem zapewniający schronienie przed upałem, a zimą osłaniający dom przed lodowatym wiatrem.

Zaparkowała pod tym właśnie drzewem, które zastępowało jej garaż, i wysiadła. Choć Charlemont nie przypominało Manhattanu, jednak różnica w natężeniu dźwięków była porażająca. Tu mieszkały oprócz niej tylko rzekotki, milczące świetliki i wielki puchacz, który przed dwoma laty wziął na siebie zadanie chronienia starej stodoły na tyłach domu. Nie było tu słycać szumu autostrady, wycia syren karetek pogotowia ani dźwięków muzyki, które wiatr przynosił do posiadłości Bradfordów z parku nad rzeką.

Zamknęła za sobą drzwi samochodu i zanurzyła się w ciemność, która zdawała się jeszcze bardziej wzmacniać dźwięki natury. Poczowała ulgę, gdy zrobiła kilka kroków i włączyły się automatyczne światła umieszczone po obu stronach błyszczących czerwienią drzwi wejściowych. Weszła po pięciu skrzypiących schodkach, a zewnętrzne siatkowe drzwi powitały ją, odskakując sprężysto. Przekręciła klucz w mosiężnym zamku, który w porównaniu z resztą domu był stosunkowo nowy – zainstalowano go w roku 1942.

Wnętrze domu tonęło w mroku. Wchodząc w pustą przestrzeń, pożałowała, że nie ma psa. Albo kota. Albo chociaż złotej rybki.

Nacisnęła pstryczek i aż zamrugnęła, gdy jej przytulne mieszkanie zostało oświetlone delikatnym ciepłym światłem. Styl, w jakim urządziła swój dom, w niczym nie przypominał gustu Bradfordów. Jeśli coś tu można było uznać za antyki, to tylko przedmioty użytkowe, wykonane niegdyś przez lokalnych rzemieślników – jak na przykład stary kosz z wikliny, dwa wypłowiałe mięciutkie pledy, które zawiesiła na ścianach, fotel na biegunach, sosnowa ława pod oknem, jak również końcówki starych motyk i szpadli, które znalazła na polu, oprawiła w ramki i powiesiła na ścianach. Miała też kolekcję instrumentów

muzycznych, w tym kilkoro skrzypiec, dzbany, tary oraz jej największy skarb: zabytkowe dębowe pianino z 1907 roku, z niezwykle miedzianymi zawiasami, pedałami i całym osprzętem, które znalazła butwiejące w jakiejś stodole na zachodzie stanu Indiana i z pomocą fachowców przywróciła do życia.

Matka nazywała jej dom muzeum folklorystycznym, a Lizzie w sumie się ta nazwa podobała. Krzepiła ją myśl, że łączy się z całym pokoleniami kobiet i mężczyzn, którzy pracowali na roli i walczyli o przetrwanie, a zdobytą wiedzę przekazywali swoim dzieciom i wnukom.

A teraz? Nie liczy się nic, tylko telefonia komórkowa trzeciej i czwartej generacji, coraz mniejsze, coraz szybsze komputery i coraz sprytniejsze smartfony.

No tak, bo to przecież wspaniała spuścizna do przekazania dzieciom, świadcząca o wartościach takich jak honor i niezłomność: opowieść o tym, jak czeka się na nowy iPhone przez całe dwadzieścia sześć minut, trzymając w dłoni tylko kawę z sieciówki i zabijając czas lekturą jakiegoś bloga o treści pozbawionej znaczenia.

Weszła do kuchni utrzymanej w stylu lat czterdziestych (nie dlatego, że pojechała do Ikei czy innej modnej sieci i zakupiła sprzęty stylizowane na ten okres, tylko dlatego, że takie właśnie wyposażenie zastała w tym domu, gdy siedem lat temu kupiła go wraz z czterdziestohektarową działką), otworzyła lodówkę i spojrzała na resztki zapiekanki z kurczaka, którą przygotowała w poniedziałkowy wieczór.

Wyglądały mało apetycznie; równie dobrze mogła wrzucić na patelnię jakieś stare wióry.

Gdy rozległ się dzwonek telefonu, obejrzała się przez ramię i spojrzała na torbę pozostawioną w przedpokoju.

Niech sobie dzwoni – pomyślała.

Zaczekała, aż ucichnie, a potem jeszcze chwilę, żeby sprawdzić, czy rozdzwoni się po raz kolejny – miała teorię, że jeśli zadzwoni do niej matka w jakiejś dramatycznej sprawie, to natychmiast rozlegnie się ponowny dzwonek. Albo przynajmniej dźwięk oznajmiający, że przyszła wiadomość głosowa.

Nic takiego nie zaszło, więc podeszła do torebki i zaczęła w niej grzebać. Żadnych wiadomości. Numeru nie rozpoznała, ale wiedziała, co oznaczają jego pierwsze cyfry: 917. Komórka zarejestrowana w Nowym Jorku.

Miała tam przyjaciół, którzy właśnie z takich numerów do niej dzwonili.

Drżącą ręką wybrała rejestr ostatnich połączeń i oddzwoniła na ostatni numer.

Zanim jeszcze wybrzmiał pierwszy sygnał, usłyszała:

– Lizzie?

Zamknęła oczy, a głos Lane'a płynął prosto do jej ucha i przenikał całe ciało.

– Halo? – mówił. – Lizzie?

W salonie i w kuchni było mnóstwo miejsc do siedzenia: krzesła, ławy, kanapy, a nawet solidny niski stolik. Zamiast jednak wykorzystać któryś z tych sprzętów, oparła się o ścianę i pozwoliła, żeby jej pupa zjechała na podłogę.

– Lizzie? Jesteś tam?

– Tak. – Wsparła czoło dłonią. – Jestem. Dlaczego dzwonicz?

– Chciałem się upewnić, że bezpiecznie wróciłaś do domu.

Z całkiem niezrozumiałego powodu łzy napłynęły jej do oczu. Zawsze to robił. Kiedy jeszcze byli razem, niezależnie od tego, o jakiej porze ruszała z powrotem, zawsze do niej dzwonił akurat wtedy, gdy przekraczała próg domu. Jakby sobie ustawił stoper w telefonie.

– Nie słyszę odgłosów imprezy w tle – powiedziała.

– Nie jestem w domu.

– A gdzie?

– W Starej Destylarni, w pomieszczeniu z beczkami. – Dało się słyszeć jakiś szelest, jakby i on właśnie siadał. – Dawno tu nie byłem. Ale pachnie wciąż tak samo. I wszystko podobnie wygląda.

– Nigdy tam nie byłem.

– Podobałoby ci się. To miejsce w twoim stylu: wszystko jest proste, funkcjonalne, ręcznie wykonane.

Rzuciła okiem na swój salon i zatrzymała wzrok na pierwszym szpadlu, który znalazła na polach, co roku obsiewanych przez nią

kukurydzą. Szpadel był stary i zardzewiała, co jej zdaniem dodawało mu tylko uroku.

Nastąpiła długa chwila milczenia, podczas której Lizzie poczuła się tak, jakby Lane był z nią w pokoju.

– To miłe, że się nie rozłączyłaś – odezwał się w końcu.

– Nie umiem. Ale chciałabym.

– Wiem.

Odchrząknęła.

– Przez całą drogę do domu myślałam o tym, co mi powiedziałaś. I o tym, jak na mnie wtedy patrzyłeś. I jeszcze o tym... co było dawniej.

– No i...?

– Lane, nawet gdybym umiała jakoś się z tym wszystkim pogodzić, a wcale nie twierdzę, że umiem, wciąż nie wiem, co właściwie chcesz uzyskać...

– Cokolwiek zaproponujesz.

Zaśmiała się nerwowo.

– Przynajmniej jesteś szczery.

– Czy mogę spróbować jeszcze raz? Bo, powiem ci to od razu, jeśli istnieje jakakolwiek szansa, że mnie przyjmiesz...

– Przestań – wydyszała do słuchawki. – Już... przestań.

Zamilkł, a ona zaczęła skubać kosmyki swoich włosów, ciągnąc za nie tak mocno, że jeszcze bardziej zaszklily jej się oczy. Może zresztą wezbrały łzami z zupełnie innego powodu.

– Wolałabym, żebyś w ogóle nie wracał – usłyszała swój głos. – Wolałabym... Prawie już doszłam do siebie po naszym rozstaniu. Zaczynałam stawać na nogi, wracać do życia. A teraz... jesteś tutaj, mówisz mi słowa, które pragnę usłyszeć, i patrzysz na mnie tak, jakbyś mówił prawdę. Ale ja nie chcę do tego wszystkiego wracać. Nie mogę.

– Idźmy więc do przodu.

– To nie takie proste.

– Owszem. Ale lepsze niż nic.

Znów zapadła cisza, w której Lizzie coraz bardziej chciała coś jeszcze powiedzieć, coś wyjaśnić, zagłębić się w jakieś szczegóły. W jej głowie panował jednak taki chaos, że w końcu się poddała.

– Lizzie, myślałem o tobie każdej nocy i każdego dnia.

Mogłaby powiedzieć to samo, nie chciała jednak dawać mu do ręki takiego oręza.

– Co tam robiłeś przez cały ten czas?

– Nic. Naprawdę nic. Mieszkałem u kolegi, ma na imię Jeff...

Piliśmy, graliśmy w pokera. Czekałem... z nadzieją, że jeszcze uda mi się z tobą porozmawiać.

– Przez dwa lata?

– Mógłbym czekać i dwanaście.

Lizzie przestała skubać swoje włosy.

– Proszę, nie rób tego.

– Chcę z tobą być, Lizzie.

Gdy jego słowa do niej dotarły, serce zaczęło jej walić tak mocno, że dosłownie czuła rosnące ciśnienie w całej klatce piersiowej i twarzy.

– Nigdy nie przestałem tego chcieć, Lizzie. Cały czas o tobie myślałem. Marzyłem o tym, że jesteśmy razem. Cholera, mam wrażenie, że przez cały ten czas byłem w związku z jakąś zjawą. Wciąż cię widziałem na ulicach Nowego Jorku, wystarczyło, że minęła mnie jakaś blondynka o podobnie ułożonych włosach albo w podobnych okularach czy dzinsach... Co noc przychodzisz do mnie w snach. Wyglądasz w nich tak realnie, wydaje mi się, że cię dotykam, czuję twoje ciepło, naprawdę jestem przy tobie.

– Przestań, proszę.

– Nie mogę, Lizzie... Nie mogę.

Zamknęła oczy i zaczęła płakać, w samotności zapewnionej przez ten jakże skromny dom, który sama sobie kupiła i niemal całkiem już spłaciła – najlepszy dowód, że nie potrzebuje w swoim życiu mężczyzny – ani teraz, ani w ogóle nigdy.

– Płaczesz? – spytał szeptem.

– Nie – wydusiła z siebie po chwili. – Nie płaczę.

– Kłamiesz.

– Tak.

Lane wpatrywał się w stary destylator wykonany przez któregoś z jego praprzodków. Na razie miał tak mało alkoholu we krwi, że spokojnie mógłby dmuchnąć w balonik, lecz dobrze wiedział, że to nie potrwa długo. Przy boku trzymał butelkę nr 15, którą wyciągnął z kartonu przygotowanego do transportu. Choć jeszcze jej nie otworzył, zamierzał wypić ją do dna.

W otaczającej go destylarni panowała ciemność. Zdziwił się, że zarówno zamek szyfrowy, jak i system alarmowy wciąż mają te same hasła co dawniej. Chociaż gdyby powstała taka konieczność, i tak by się tu włamał. Czuł jakiś potężny przymus, żeby tu posiedzieć... jakby otoczenie rodzinnych dóbr miało mu pomóc w obecnej sytuacji.

Wiedział, że powinien zostawić Lizzie w spokoju.

– Przepraszam – wybąkał. – Chcę mówić i robić to, co trzeba, ale wiem, że tak się nie dzieje. Wiem, że było inaczej. Jasna cholera, Lizzie...

Przechylił głowę w bok, trzymając telefon między uchem a ramieniem. Wziął do ręki butelkę bourbona, otworzył ją i przytknął do ust.

Nie dawała mu spokoju myśl, że Lizzie znów przez niego płakała.

– Pijesz? – spytała teraz.

– A co mam robić? Mogę albo pić, albo walić głową w ścianę, aż polecą krew.

Lizzie wypuściła powietrze z płuc, a Lane pociągnął kolejny łyk. Drugi, a potem trzeci.

Gdy wszystko już przełknął i przestało go palić w gardle, z duszą na ramieniu spytał:

– Jesteś z kimś innym?

Minęła chwila, zanim Lizzie odparła:

– Nie.

Teraz to on z ulgą wypuścił powietrze.

– Wprawdzie nie wierzę w Boga, ale w tej chwili jestem gotów nazwać się chrześcijaninem.

– A co, jeśli się okaże, że już cię nie chcę? Co wtedy zrobisz?

– Chcesz powiedzieć, że tak właśnie jest?

– Może?

Zamknął oczy.

– Wówczas się wycofam. To mnie będzie dużo kosztować, ale...

Pójdę sobie.

Znów cisza. Wykorzystał ją, żeby kolejny raz pociągnąć z butelki.

– Przyjaźń – rzuciła w końcu Lizzie. – Na nic więcej nie mogę się zgodzić.

– W porządku, rozumiem.

– Dziękuję – powiedziała z wyraźną ulgą w głosie.

– Zaraz, zaraz – dodał szybko. – Ale co to właściwie znaczy?

– Słucham?

– Przyjaźń... Czyli właściwie co? Mogę do ciebie dzwonić, tak?

Przyjaciele wychodzą też czasem razem coś zjeść, pogadać o różnych sprawach, no wiesz: rozwody, przeprowadzki, nowe ścieżki i tak dalej...

– Lane...

Uśmiechnął się.

– Uwielbiam, kiedy wymawiasz moje imię w ten sposób.

– Jaki? Z irytacją?

– Taki zmysłowy.

Lizzie odchrząknęła.

– W przyjaźni nie ma miejsca na zmysłowość.

– Mówiłem o pewnym fakcie.

– Nie, wyraziłeś opinię.

– Ale to fakt!

– Lane, musisz przestać, naprawdę...

Mówiła dalej, w charakterystyczny dla siebie sposób: bezpośrednio, rzeczowo, zasadniczo. Zamknął oczy i słuchał rysowanych przez nią reguł, upajając się tembrem jej głosu. Czuł głęboko w trzewiach znajome pożądanie, jakby zbudził się w nim uśpiony przez lata smok – był to zew tak silny, że Lane miał ochotę wsiąść w samochód i natychmiast ruszyć w stronę mostu prowadzącego do stanu Indiana.

– Jesteś tam? – spytała Lizzie.

– Tak, tak. – Poprawił spodnie, wyrzuczone w okolicach rozporoka

i przełknął ślinę, tłumiąc jęk. – Jestem.

– Co robisz?

Szybko odsunął rękę jak najdalej od strefy zero.

– Nic.

– Czyli to, co myślę?

– Znaczy?

– Zasniesz z nudów?

– Wręcz przeciwnie – mruknął.

Przez ułamek sekundy milczała.

– Aha... – powiedziała ze ściśniętym gardłem.

Jakby wyczuła, w którą stronę go znosi.

– Lepiej chyba już skończę – wychrypiał. – Trzymaj się, porozmawiamy jutro.

Tyle że teraz to ona najwyraźniej nie chciała, żeby się rozłączył, a wrażenie to tylko wzmogło jego erekcję.

– Czyli rzeczywiście trochę tu zostaniesz? – spytała Lizzie.

„Czy możemy porozmawiać o czymś innym?” – dociekało wybrzuszenie w jego spodniach.

„Cicho tam, mały!”

– Tak, zostanę. – Stojąc na twardej podłodze, przesunął ciężar ciała na drugą nogę i starał się nie myśleć o łaskoczącym go rozporoku. – Muszę się spotkać z Samuelem w sprawie mojego rozwodu.

– A więc naprawdę zamierzasz...

– Tak – odparł. – Jak najszybciej. I nie chodzi tylko o ciebie.

Popełniłem błąd, a teraz chcę go naprawić. To dotyczy nas wszystkich.

– Okej. – Odchrząknęła. – No tak.

– Patrzę już tylko w przyszłość, Lizzie.

– Skoro tak mówisz... No dobrze, chyba czas się pożegnać...

– Nie, nie mów tak – przerwał jej. – Powiedzmy sobie „dobranoc”, co? Gdy mówisz „czas się pożegnać”, to jakbyś pokazywała mi drzwi. Jeśli więc nie chcesz mnie znaleźć śpiącego na swojej wycieraczce, jak zbłąkanego psa...

– No dobrze.

Zanim się rozłączyła, ułożył usta w bezgłośnym „kocham cię”.

– Dobranoc, Lizzie.

– Dobranoc... Lane.

Gdy połączenie zostało zakończone, pozwolił swojej ręce opaść bezwładnie, aż telefon, który w niej trzymał, z trzaskiem upadł na beton.

– Kocham cię, Lizzie – wymamrotał na głos Lane.

Znów pociągnął z butelki i pomyślał, jak dobrze się złożyło, że jego rodzinne imperium zbudowano w oparciu o produkt, którym można się upić – przecież istnieją tysiące innych dóbr konsumpcyjnych, które by mu w obecnej sytuacji nie pomogły: ołówki, akumulatory, plastry opatrunkowe, gumy do żucia...

Gdy jego telefon znów się rozdzwonił, ocknął się i szybko go podniósł. Ale to nie była Lizzie.

– Jeff... – westchnął do słuchawki, choć tak naprawdę wcale nie miał ochoty z nikim rozmawiać.

– A więc jednak żyjesz – odezwał się cierpko jego manhattański gospodarz.

– Na to wygląda. – Lane znów przyłożył butelkę do ust. – A ty jak?

– Pijesz?

– Tajest. Nr 15. Podzieliłbym się z tobą, gdybyś tu był.

– Prawdziwy dżentelmen z Południa – prychnął jego kumpel, po czym zaklął. – Lane, gdzie ty w ogóle jesteś?

– W domu – wyciągnął przed siebie słuchawkę, żeby dać Jeffowi posłuchać cykania świerszczy.

– Czyli...

– Tajest.

– W Charlemont?

– Tu się wychowałem, tu się urodziłem, na rodziny łono w końcu powróciłem. – No ładnie. Po pijaku mógłby zostać prawdziwym piewcą Południa. – Coś takiego jak ty i Upper East Side, tyle że my tu jeszcze mamy flaczki i smażonego kurczaka...

– Co ty, u diabła, tam robisz?

– Moja... – Odchrząknął. – Pewna bardzo ważna dla mnie osoba zachorowała. Musiałem przyjechać.

– Kto taki?

– Kobieta, która mnie wychowała. Moja... w sumie to matka, chociaż nie biologiczna. Kilka lat temu poważnie chorowała, ale wiesz,

jak to jest z tymi sprawami. Lubią powracać. Twierdzi jednak, że wszystko będzie dobrze, a ja się tego trzymam.

– Kiedy wracasz?

Lane znów pociągnął z butelki.

– Mówiłem ci, że się ożeniłem?

– Co?!

– Zaraz przed tym, jak przyjechałem na Północ i się u ciebie zatrzymałem. Zostanę tu, dopóki się nie upewnię, że stan zdrowia Aurory jest stabilny, i dopóki nie pozalutwiam spraw związanych z tamtym durnym pomysłem. A poza tym... Jest jeszcze inna kobieta.

– Czekaj, czekaj. Zaczekaj, kurwa, chwilę.

Słychać było jakieś szelesty, potem „cyk-cyk-cyk” wskazujące na kilkakrotną próbę uruchomienia zapalniczki, a na koniec odgłos wydmuchiwania dymu.

– Musiałem zapalić cygaro, żeby jakoś to ogarnąć. Czyli mówisz, że... Masz żonę?!

– Mówiłem ci, że nie jestem gejem.

– I to dlatego nie spotykałeś się tu z kobietami?

– Nie, to z powodu tej drugiej. Tej, z którą się nie ożeniłem.

Tej, która ma w sobie naturalne piękno i jest dla mnie zdecydowanie zbyt dobra.

– Chyba muszę to sobie rozrysować – mruknął Jeff. – Cholera, dlaczego nic mi o tym wszystkim nie mówiłeś?

Lane pokręcił głową, choć przyjaciel i tak go nie widział.

– Uciekałem od tego. – Jasny gwint, ależ go wkurzało, że Chantal tak trafnie to ujęła. – Zbyt mocno mi od tego wszystkiego huczało w głowie. A co u ciebie?

– Rzucasz mi taką bombę i na koniec pytasz, co u mnie?

– Mam tu butelkę do opróżnienia. Nie mogę pić i mówić jednocześnie, ale chętnie posłucham. – Pociągnął głębszy łyk. – To co nowego?

– Wszystko dobrze, no wiesz, jak to w robocie. Wydzwanają do mnie tysiące różnych krzykaczy, szef mnie wkurza, biorę po piętnaście ibupromów dziennie, żeby nie pękła mi głowa. Czyli wszystko po staremu. Przynajmniej kasa wciąż jest, zwłaszcza odkąd wyjechałeś i nie

mam z kim co tydzień przepuszczać po ćwierć miliona dolarów w pokera.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, o niczym szczególnym: o pokerze, Wall Street, kobiecie, którą bzykał Jeff. A choć Lane nie przepadał za telefonicznymi pogaduszkami, zdał sobie sprawę, że jakoś się jednak za nim stęsknił. Zdażył już się przyzwycząić do jego szybkich ripost, ciętego humoru, a zwłaszcza do tej odrobiny nowojorskiego akcentu, przejawiającej się w charakterystycznej wymowie niektórych dźwięków i każącej ludziom czekać „na kolejce” zamiast „w kolejce”.

– Rozumiem, że mam się z tobą pożegnać – powiedział w końcu Jeff.

Lane zmarszczył brwi. Przed oczami miał Lizzie, zdawało mu się, że słyszy jej głos. Przypomnił sobie, jak bardzo była ostrożna.

A potem znów musiał poprawić sobie spodnie uwierające go w okolicach rozporoka.

Zastanawiał się, czy to w ogóle możliwe, że nie wróci już do Nowego Jorku.

Chyba nie powinien robić sobie wielkich nadziei. Jeśli chodzi o odzyskanie Lizzie, to jednak do tanga trzeba dwojga. Sam fakt, że on jest gotów odnowić ten związek, nie oznacza, że ona też zaraz wskoczy na swoje wcześniejsze miejsce. No i jest jeszcze kwestia jego rodziny. Przecież on nie potrafi sobie wyobrazić powrotu do życia w Easterly. Nawet jeśli Aurora znów stanęłaby na nogi, a między nim i Lizzie jakoś by się ułożyło, już sama perspektywa dzielenia przestrzeni życiowej z ojcem powodowała, że miał ochotę przekroczyć kanadyjską granicę – choć może powinien uciec jeszcze dalej.

– Nie wiem, czy tu zostanę na stałe.

– Zawsze możesz wrócić tutaj. Moja kanapa już za tobą tęskni. No nikt nie gra w teksański klincz tak jak ty.

Wymienili pożegnania i się rozłączyli, po czym Lane kolejny raz opuścił bezwładną rękę w dół, wypuszczając telefon na betonową podłogę. Następnie skupił wzrok na pradawnym destylatorze stojącym przy przeciwległej ścianie. Używano go przez kilka dekad na przełomie wieków, obecnie zaś stanowił zabytek oglądany przez dziesiątki tysięcy gości odwiedzających rokrocznie Starą Destylarnię.

Z jakiegoś powodu Lane'owi nagle przyszło do głowy, że nigdy nie miał prawdziwej pracy. Jego poczynania „zawodowe” sprowadzały się do unikania paparazzich – co dowodziło raczej zdolności przetrwania niż jakichkolwiek profesjonalnych umiejętności. A dzięki funduszowi powierniczemu stanowiącemu jego źródło utrzymania nie wiedział, co znaczy mieć szefa, irytujących kolegów z pracy albo problemy z dojazdem. Nie myślał o tym, że musi gdzieś dotrzeć na czas, nikt nie oceniał jego wyników. Nie cierpiał też na bóle głowy wywołane wielogodzinnym ślęczeniem przed ekranem.

To zabawne, ale nigdy wcześniej nie przeszło mu przez myśl, że tak wiele ma wspólnego z Chantal. Jedyna różnica między nimi była taka, że jej rodzina nie miała dość pieniędzy, żeby zapewnić jej życie na takim poziomie, do jakiego była przyzwyczajona. Dlatego właśnie musiała wyjść za niego za mąż.

Z drugiej strony znajdowała się Lizzie, która ciężko pracowała i spłacała tę swoją farmę. Znając ją, pewnie już wszystko spłaciła.

Myśląc o tym, nabrał do niej jeszcze większego szacunku. Zastanawiał się też, co właściwie miałby do zaoferowania takiej kobiecie z krwi i kości. Dwa lata temu był tak zaabsorbowany własnym wzwozem i rodzinnym dramatem, tak jej spragniony fizycznie i tak nią zafascynowany, że ani razu nie spojrzął na siebie jej oczami. Jego bogactwo i pozycja społeczna miały wartość tylko dla osób takich jak Chantal. Lizzie chciała czegoś więcej – i na więcej zasługiwała.

Chciała czegoś prawdziwego.

Może wcale nie jest taki znowu lepszy od tej swojej żony?

Byłej żony – poprawił się w myślach, pociągając kolejny łyk z butelki.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt.

W ustach ojca Gin nie było to pytanie, lecz stwierdzenie, wypowiedziane tonem jasno wskazującym, że córka stojąca w drzwiach jego sypialni narusza jego przestrzeń osobistą.

Trudno – pomyślała Gin.

– Chcę się dowiedzieć, coś ty, u diabła, wykombinował z Richardem Pfordem.

Ojciec stał przy komodzie i ani na chwilę nie przerywał rutynowych czynności: dalej wyjmował złote spinki z mankietów. Czarny smoking leżał złożony na pół na szeszlunku, a zdjęte z ramion czarno-czerwone szelki zwisały wzdłuż nogawek spodni niczym wstążki.

– Tato! – warknęła Gin. – Coś ty zrobił?!

Nie spieszyło mu się z odpowiedzią. Najpierw rozwiązał muszkę i zdjął ją z szyi.

– Już czas, żebyś się wreszcie ustatkowała...

– W twoich ustach rekomendowanie małżeństwa nie brzmi zbyt przekonująco.

– ...a Richard to doskonała partia.

– Nie dla mnie.

– To się jeszcze okaże. – Ojciec odwrócił się w jej stronę i zmierzył ją zimnym wzrokiem. Na jego pięknej twarzy nie malowały się żadne emocje. – I żeby było jasne: wyjdiesz za niego i koniec.

– Jak śmiesz! To nie dziewiętnasty wiek! Kobiety już od dawna nie są własnością mężów. Mamy prawo posiadać nieruchomości i konta bankowe, a nawet głosować, wiesz? A już z całą pewnością mamy prawo decydowania o tym, czy iść z kimś do ołtarza. A ja nigdy bym się z tym człowiekiem nie umówiła na randkę i na pewno za niego nie wyjdę! Zwłaszcza jeśli miałoby to przynieść jakąś korzyść tobie.

– Owszem, wyjdiesz. – Na ułamek sekundy jego wzrok zawisł nad jej ramieniem, a on nieznacznie pokręcił głową, jakby kazał odejść komuś stojącemu na korytarzu. – I to całkiem niedługo.

Gin odwróciła się, spodziewając się zastać kogoś na progu. Nikogo tam jednak nie było.

Znów spojrzała na ojca.

– Będziesz musiał mi przystawić pistolet do głowy.

– Wcale nie. Zrobisz to z własnej nieprzymuszonej woli.

– Na pewno nie!

– Owszem, tak.

Nastąpiła chwila ciszy, w której jej serce zamarło. Życie nauczyło ją zarówno nienawidzić ojca, jak też się go bać – a w tej gęstniejącej, pełnej napięcia ciszy między nimi nie po raz pierwszy zastanawiała się, do czego właściwie byłby zdolny.

– Możesz się miotać albo załatwić sprawę gładko i skutecznie – rzucił niewzruszonym tonem. – Jeśli nie zrobisz tego dla dobra całej rodziny, sama sobie zaszкодzisz. A teraz, jeśli mogę cię przeprosić, chciałbym się już położyć.

– Nie masz prawa mnie w ten sposób traktować – odrzekła, starając się, by brzmiało to jak najbardziej asertywnie. – Nie jestem jednym z twoich pracowników, których możesz zatrudniać i zwalniać wedle upodobania. Nie masz prawa mi rozkazywać, a już na pewno nie w kwestii, która może zniszczyć mi życie.

– Twoje życie już dawno legło w gruzach. Jako siedemnastolatka urodziłaś dziecko, i to tu, w tym domu, na litość boską, a potem puszczałaś się na prawo i lewo jak striptizerka z Las Vegas. Ledwo skończyłaś prywatny koledż, bo miałaś romans z żonatym profesorem literatury, a gdy tylko tu wróciłaś, uwiodłaś mojego szofera. Przynosisz hańbę rodzinie, a co gorsza, najbardziej bawi cię chyba to, że oboje z matką musimy się za ciebie wstydzić.

– Może gdybym miała w domu odpowiedni męski wzorzec, nie darzyłabym wszystkich mężczyzn pogardą.

– Dobrze by było, gdyby znalazł się chociaż jeden, którym byś wzgardziła. Ale tak raczej nie jest. Z jakiegoś powodu Richardowi nie przeszkadza twoja reputacja, co jest błędem, którego z pewnością pożałuje. Na szczęście to już nie będzie moja sprawa.

– Nienawidzę cię – syknęła.

– Najsmutniejsze jest to, moja droga, że brak ci odpowiedniego zaplecza do tak wrogich uczuć. Gdybyś miała choć trochę oleju w głowie, zrozumiałabyś, że Richard Pford może zapewnić ci poziom

życia, jakiego potrzebujesz jak powietrza. I to do końca twoich dni. Ty zaś zapewnisz dalsze sukcesy i odpowiednią pozycję finansową rodzinie, która dała ci te szlachetne kości policzkowe i piękną brzoskwińsiowomleczną cerę. Jak sądzę, będzie to twój jedyny wkład w rodowe nazwisko.

Gin ciężko dyszała, z czego niejasno zdawała sobie sprawę.

– Któregoś dnia zapłacisz za swoje grzechy.

– Zrobiłaś się religijna? Myślę, że twoje nawrócenie byłoby problematyczne nawet dla kogoś pokroju Chrystusa.

– Jak możesz być taki wstrętny? Nigdy nie spotkałam nikogo tak bezdusznego.

– Dbam o ciebie w jedyny sposób, jaki znam. Daję ci dostęp do ogromnej fortuny i odpowiednie nazwisko. Możesz nawet zabrać ze sobą Amelię, jeśli chcesz. Może też zostać tutaj.

– A czym ona jest? Bagażem? – Gin pokręciła głową. – Jesteś całkiem zdemoralizowany. Absolutnie i chorobliwie.

Rzucił się ku niej i złapał ją za ramię, ten jeden raz pozwalając, aby jego królewska maska wyższości ustąpiła miejsca jakimkolwiek emocjom.

– Nie masz pojęcia, jak wiele potrzeba, żeby utrzymać tę rodzinę na odpowiednim poziomie. Błędne pojęcia nie masz. Twoim najtrudniejszym codziennym wyzwaniem jest decyzja, czy najpierw zamówić fryzjerkę, czy pedikiurzystkę. Więc nie mów mi, kto tu jest zdemoralizowany, bo ja rozwiązuję problemy wszystkich mieszkających tu pijawek. Dzięki korzystnym warunkom zaproponowanym przez Richarda będzie nas nadal stać na takie drobiazgi. – Potrząsnął fałdą jej sukni. – Oraz takie. – Dźgnął palcem kolię na jej szyi. – Jak również wszystkie inne luksusy, z których codziennie korzystasz, nie zastanawiając się ani przez chwilę, w jaki sposób są ci zapewniane ani jakim kosztem. Ślub z tym mężczyzną to jedyne, czego od ciebie ktokolwiek wymaga w zamian za dar ślepego losu, jakim było twoje urodzenie, dające ci możliwość spełniania wszelkich zachcianek. Jesteś prawdziwą córką rodu Bradfordów, zdolną jedynie do konsumpcji, ale czasem trzeba za te przywileje zapłacić. A więc owszem! – wrzasnął, tryskając śliną. – Zapewniam cię, że zostaniesz piękną i szczęśliwą

mężatką, panią Virginią Pford. Urodzisz mu dzieci i będziesz mu wierna, bo jak nie, to klnę się na Boga, że dostaniesz ode mnie klapsa jak pięciolatka, którą zresztą jesteś. Rozumiemy się? Czy może wolałabyś przejść szybki kurs zwykłego życia i posmakować losu tych, którzy myją ci samochody, gotują jedzenie, sprzątajają pokój i prasują ubrania? Może chciałabyś się dowiedzieć, jak ciężko jest zarobić na własne utrzymanie?

– Nienawidzę cię – rzuciła, całkiem roztrzęsiona.

Jej ojciec też ciężko dyszał. Odkaszlnął w pięść.

– Myślisz, że mnie to wzrusza? No już, rzuć się na podłogę, wrzeszcz i kop. Tylko udowodnisz moją rację. Jeśli jesteś kobietą, a nie rozkapryszonym bachorem, jutro obudzisz się gotowa ten jeden raz spełnić swój obowiązek wobec rodziny.

– Zaraz cię zabiję.

– Ale musiałabyś w tym celu zdobyć broń i ją załadować, prawda? A to nie jest zadanie, o które możesz poprosić pokojówkę, jeśli oczywiście nie chcesz zostać przyłapana.

– Nie doceniasz mnie.

– Trudno doceniać kogoś, kto ustanowił sobie najniższe z możliwych standardy.

Obróciła się na pięcie, wybiegła z pokoju i popędziła korytarzem do swojego apartamentu. Wpadła do środka i zamknęła drzwi na klucz.

Nie ma, kurwa, mowy – przysięgała sobie, ciężko dysząc. Nie zrobisz mi tego.

Jeśli sądzi, że wcześniej miał z nią kłopoty, niech poczeka na to, co teraz mu zaserwuje.

Chodząc między sypialnią i łazienką, układała sobie w głowie skomplikowane plany, uwzględniające rozmaite zbrodnie związane z osobą jej ojca. W końcu jednak musiała zdjąć sukienkę. Zrzuciła ją na podłogę i tam zostawiła, jednym krokiem wychodząc z morza jedwabiu. Potem dalej chodziła tam i z powrotem, już tylko w gorsecie, szpilkach i diamentach, które ta kurewka jej bratowa próbowała dziś jej podwędzić.

Wszystko się w niej gotowało. Potrafiła myśleć wyłącznie o chwili, w której zaczęła nienawidzić ojca...

Miała sześć, może siedem lat. Był sylwester. Obudziły ją fajerwerki,

strzelające i rozbłyskujące gdzieś w oddali, nad centrum miasta. Przestraszyła się i poszła poszukać Lane'a, który zawsze ją pocieszał. Zastała go jednak w salonie, z Maxem.

Uparła się, że zostanie razem z nimi i będzie robić to co oni. Tak właśnie wyglądało wtedy jej życie: cały czas próbowała nadążyć, skupić na sobie uwagę, zostać zauważona. W domu wszystko kręciło się wokół jej rodziców i zaspokajania potrzeb jej braci. Ona zaś czuła się niepotrzebnym dodatkiem, jak wycieraczka, o którą wszyscy się potykają, wybiegając z domu ku lepszym, ciekawszym, ważniejszym sprawom.

Wcale nie miała ochoty na to, co było w butelce. Bourbon pachniał okropnie, wiedziała też, że dzieciom nie wolno go pić, ale skoro Max i Lane mieli zamiar go spróbować, nie mogła być gorsza.

No i zostali przyłapani.

I to nie raz, ale dwa.

Gdy tylko Edward zjawił się w salonie, kazał jej wracać do łóżka. Posłusznie oddaliła się tylnym wyjściem. Gdy jednak szła korytarzem dla personelu, usłyszała głosy. Musiała się schować w mroku, żeby jej nie zauważono. Z gabinetu pani Rosalindy Freeland wyszedł jej ojciec.

Był w szlafroku i właśnie wiązał sobie pasek przytrzymujący poły. Miał gniewne spojrzenie, jakby coś go rozwścieczyło, ale nie mogły go przecież dość odgłosy z salonu. Gin w pierwszym odruchu chciała pobiec dookoła, na przód domu, żeby ostrzec braci. Powstrzymał ją jednak strach. Nagle z gabinetu wyszła pani Freeland i złapała jej ojca za ramię.

W młodym umyśle Gin pojawiło się pytanie, dlaczego bluzka księgowej jest wypuszczona na zewnątrz, a jej włosy, zawsze starannie ułożone i usztywnione lakierem, sterczą pod dziwnymi kątami.

Ojciec i księgowa zaczęli się niemal bezgłośnie kłócić. Wypowiadali słowa tak cicho, że zagłuszało je bicie jej serca. Później zaś ojciec odmaszerował, a pani Freeland wróciła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Gin tkwiła w miejscu przez dłuższy czas – dla niej były to całe wieki – bała się bowiem, że pani Freeland znów wyjdzie na korytarz. Z drugiej strony obawiała się też, że ojciec wróci i ją zauważy..

Nie powinien tam być z tą kobietą.

Na pewno nie ucieszyłby się, gdyby wiedział, że go tam widziała.

Wchodząc boso po schodach dla personelu, starała się stąpać jak najciszej i trzymać się blisko zimnej ściany. Gdy już znalazła się na piętrze, znów zamarła, huknęła bowiem kolejna seria fajerwerków. Kiedy ucichły, schowała się w otwartych drzwiach apartamentu dla gości, zrozpaczona, że nie potrafi znaleźć lepszego miejsca, gdzie mogłaby się ukryć.

Samotny powrót do pokoju wydawał jej się zbyt przerażający. A co, jeśli ojciec już jej szuka?

Usiadła na podłodze skulona, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Ojciec na pewno już znalazł jej braci. Nie było szans, żeby ich nie zauważył, jeśli zamierzał skorzystać z głównych schodów.

Ta myśl przerażała ją znacznie bardziej niż wszelkie wybuchy za oknem.

Chwilę później na wielkich schodach pojawił się Edward, a potem zza jego pleców, niczym potwór, wyłonił się idący za nim ojciec. Z jakiegoś powodu Edward szedł dość niepewnym krokiem, a twarz miał szarą. Ojciec zaś kroczył sztywno wyprostowany, z miną godną

surowego pastora.

A gdzie tamci dwaj?

Ojciec i syn bez słowa szli w stronę drzwi rodzicielskiego apartamentu. Gdy tam dotarli, Edward usunął się w bok, a potem wpadł do ciemnego pokoju przez drzwi otwarte przez ojca.

– Wiesz, gdzie są paski.

William Baldwine nie powiedział nic więcej.

Nie, nie! – myślała Gin. Przecież to niesprawiedliwe. Edward nie był w to zamieszany! Dlaczego on...

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a ona zadrżała, myśląc o tym, co się stanie za chwilę.

I rzeczywiście, usłyszała krótkie plaśnięcie, a potem stłumiony jęk.

A potem znów to samo.

I znowu, i znowu...

Edward nigdy nie płakał. Ani nie przeklinał.

Dobrze o tym wiedziała, wiele razy słyszała już bowiem te odgłosy.

Oparła głowę o chudziutkie przedramiona i zacisnęła powieki. Nie miała pojęcia, dlaczego ojciec tak bardzo nienawidzi Edwarda. Żadnego ze swych dzieci specjalnie nie lubił, ale właśnie najstarszy syn doprowadzał go do furii.

A Edward nigdy nie płakał.

Więc ona płakała za niego. I właśnie wtedy zdecydowała, że skoro ojciec tak mocno nienawidzi jej brata, to przecież uczucie to nie jest zarezerwowane wyłącznie dla niego.

Postanowiła więc skupić swoje uczucia na osobie trzymającej teraz pasek.

Uznała, że od tej pory będzie nienawidzić ojca.

Gin ocknęła się z zamyślenia. Zorientowała się, że siedzi na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę, obejmując je ramionami – jak gdyby znów kulila się w drzwiach apartamentu gościnnego ubrana tylko we flanelową koszulę nocną, śmiertelnie przerażona tym, co się dzieje w pokoju ojca.

Tak, to właśnie wtedy zaczęła go nienawidzić – a William Baldwine nigdy nie dał jej powodu, żeby to uczucie zelżało. Obecna sprawa z Richardem Pfordem to tylko kolejny punkt na bardzo długiej liście.

I to wcale nie jego najgorszy wyczyn.

Nie, najgorsze było coś, co sama zaledwie podejrzewała, a o czym nikt inny nigdy nawet nie wspominał, czy to w domu, czy w prasie.

Gin miała podejrzenie graniczące z pewnością, że to właśnie ojciec zlecił porwanie Edwarda.

Jej brat dość często odwiedzał Amerykę Południową i (podobnie jak inni biznesmeni o jego pozycji) zawsze podróżował z ochroniarzami wynajętymi przez rodzinną firmę. Przy tego rodzaju środkach bezpieczeństwa nikt nie miał prawa zbliżyć się do niego nawet na dwadzieścia metrów, a jednak go porwano – i to nie gdzieś w drodze ani w jakiejś głuszy całkiem odciętej od świata.

Tylko z jego własnego apartamentu w hotelu.

Jak to się, do diabła, mogło stać?

Gdy w końcu jej powiedziano o tym koszmarze, od razu przyszło jej na myśl, że to ojciec musiał maczać w tym palce.

Czy miała jakieś dowody? Nie, oczywiście nie. Ale przez całe dzieciństwo widziała, jak ten człowiek patrzy na Edwarda takim

wzrokiem, jakby nienawidził nawet powietrza, którym jego syn oddycha. A potem, gdy Edward zaczął pracować w rodzinnej firmie, odnosiła wrażenie, że stosunki między nimi dwoma jeszcze bardziej się ochładzały, w miarę jak zarząd przekazywał Edwardowi coraz więcej odpowiedzialności.

Trudno sobie wyobrazić lepszy sposób pozbycia się rywala niż zlecenie jego zabójstwa za granicą. I to jeszcze w taki sposób, żeby sam William Baldwine wyglądał na ofiarę, jako „pogrążony w żałobie ojciec”.

Boże, przecież Edward omal nie zginął. A kiedy w końcu wrócił... Był w strasznym stanie. Tymczasem ojciec pokazywał się wszędzie – w mediach, na zebraniach zarządu i rodzinnych spotkaniach. Nie udało mu się natomiast ani razu odwiedzić syna, którego życie legło w gruzach.

Wstyd i hańba. Jak dla niej było to potwierdzenie, że William Baldwine próbował się pozbyć kogoś, kto zagrażał jego pozycji w firmie, a kogo nie mógł po prostu zwolnić.

Nic dziwnego, że nie ufała mężczyznom.

I nic dziwnego, że nie miała zamiaru wychodzić za mąż. A już na pewno nie po to, żeby zadowolić ojca.

Gdy następnego ranka Lizzie znów przyjechała do Easterly, dopiero za drugim razem udało jej się wpasować samochód w miejsce parkingowe – co stanowiło smutne świadectwo jej stanu psychicznego, zważywszy, że jej toyota yaris była niewiele większa od roweru. Wysiadając, Lizzie szamotała się chwilę z torbą i upuściła ją na rozgrzany już asfalt. Gdy podnosiła z niego krem z filtrem, który wypadł z torby, zdała sobie sprawę, że zapomniała spakować drugie śniadanie.

– A niech to wszyscy diabli! – mruknęła, zamykając oczy.

– Wszystko w porządku, koleżanko?

Lizzie wyprostowała się i odwróciła w stronę zmierzającego ku niej Gary’ego McAdamsa. Główny zarządca schodził już z trawnika. Szedł dość szybko, choć utykał na jedną nogę. Na jego ogorzalej twarzy malowała się troska, jakby właśnie oglądał traktor, któremu zaraz odpadnie koło.

Czy aż tak źle wyglądam? – pomyślała.

No ale w końcu przez całą noc nie zmrużyła oka.

– Tak, tak, wszystko dobrze. – Zmusiła się do uśmiechu. –

Doskonale.

– Na pewno?

Bynajmniej.

– Tak. A jak sobie radzi zespół?

– Koszenie skończone, bluszcz przycięty, a po dziesiątej oczyszczą dmuchawami taras. – Dopiero o tej porze wolno było w okolicach domu prowadzić bardziej hałaśliwe prace. – Namioty stoją, strefa gastronomiczna z grillami też przygotowana. Ale mamy pewien problem.

Lizzie poprawiła sobie torbę na ramieniu i pomyślała, że chętnie zmierzy się z jakimś problemem, który potrafi rozwiązać.

– Jaki?

– Ten cały Harry chce z tobą gadać. Coś jest nie tak z kieliszkami do szampana.

– Że nie są poustawiane na stołach? – Zamknęła drzwi samochodu.

– Bo miały być rozdawane.

– Nie, chodzi o to, że dostaliśmy tylko połowę. Ubzdurał sobie, że zmieniłaś coś w zamówieniu.

– Co...? Dlaczego miałabym zrobić coś takiego?

– Mówił, że nikt inny nie kontaktował się z ludźmi z agencji.

– Zamawiałam namioty, i tyle. On miał załatwić sztucce, talerze kieliszki. Przepraszam. Czy ja krzyczę? Bo mam wrażenie, że krzyczę. Położył ciężką łapę na jej ramieniu.

– Nic się nie martw, koleżanko. Mnie też ten Harry doprowadza do szału.

– On się nazywa Harris.

– Wiem.

Musiała się roześmiać.

– Idę to z nim załatwić.

– Jak tylko zalezie ci za skórę, pamiętaj, że mam łopatę i koparkę. No i sporo otwartej przestrzeni wokół domu.

– To bardzo miłe.

– Wręcz przeciwnie. Daj mi tę torbę, koleżanko. Podprowadzę cię.

– Jest lekka. Dam sobie radę. – Ruszyła ścieżką prowadzącą do skrzydła rezydencji przeznaczonego dla służby. – Zresztą mogę ją wykorzystać, żeby go nią zdzielić po łbie, jak zajdzie taka potrzeba.

– Pamiętaj o mojej koparce! – zawołał jeszcze za nią.

– Oczywiście!

Idąc po kamiennej ścieżce, z każdym krokiem czuła, jak ucieka z niej powietrze. Coraz bardziej dławiło ją w gardle, w miarę jak zbliżała się do tylnej fasady ogromnej białej rezydencji.

Choć przez całą noc gapiała się w sufit, zastanawiając się nad swoim stosunkiem do Lane'a, nie doszła do żadnych konstruktywnych wniosków. Tak naprawdę miała w głowie tylko jedno: brzmienie jego głosu przez telefon pod koniec tej rozmowy. Dobrze pamiętała ten uwodzicielski ton. Oznaczał on zwykle, że Lane zrobi wszystko, żeby jak najszybciej znaleźć się z nią gdzieś sam na sam, i to nago.

A jedyne, co jej niegodne ciało miało w tej kwestii do powiedzenia, to „och, taaak!” – jak gdyby jej libido przez cały ten czas jedynie czekało na powrót swojego pana. Ale przecież Lizzie знаła swoją wartość i nie zamierzała rozmieniać się na drobne za nędzne parę orgazmów

z człowiekiem, którego powinna potraktować szczypcami do grilla i gaśnicą.

To jakieś szaleństwo.

Gdy w końcu dotarła do budynku, weszła do środka przez boczne drzwi prowadzące z ogrodu i przecięła korytarz, zmierzając do tylnych drzwi kuchni, żeby sprawdzić, czy wszystko, co zostawiła tam poprzedniego wieczoru, nadal tam jest.

Było to dość głupie. Nie sądziła chyba, że w nocy zjawiała się tu nagle banda elfów, która dokonała dzieła wielkiego zniszczenia?

Skorzystała z wejścia dla personelu i znalazła się w ogromnej kuchni, która wciąż była jeszcze czysta, chłodna i pusta – czekała na kucharzy wynajętych do pracy od ósmej do dwudziestej. Nie było tu jednak całkiem pusto. Przed wielką kuchenką stała Aurora. Po lewej stronie miała żelazną patelnię pełną skwierczącego bekonu, a po prawej – drugą, z jaskrawożółtą jajecznicą. Pośrodku kuchni, na blacie ze stali nierdzewnej, znajdowały się cztery talerze, a obok nich miseczki świeżych malin i jagód. Na tacy stał srebrny serwis kawowy z cukiernicą i mlecznikiem, a obok – koszyk domowych ciasteczek.

– Pani Aurora?

Kobieta się obejrzała.

– O, jesteś. Jak tam? Coś żeś jadła?

– Tak, jadłam.

– Za mało! Obojeście z Lane'em chudziaki. – Kucharka odwróciła się z powrotem ku jajecznicy i pomieszała jajka czerwoną łypatką. – Trza się dać nakarmić, jak dają.

– Nie chcę robić pani kłopotu.

Lizzie usłyszała gniewne burknięcie, zanim jednak zdążyła z niego wyniknąć ich rytualna sprzeczka, szybko zmieniła temat.

– Świetnie pani wygląda.

– Jam mówiła temu tam kamerdynerowi, że mi nie trza żadnych karetek.

– Z tego, co widzę, miała pani rację. – To pewnie wielka ulga dla Lane'a. – A widziała pani może pana Harrisa?

– Siedzi u siebie w gabinecie. Mam iść z tobą?

– A więc słyszała pani o aferze kieliszkowej?

- Sama żem zaalarmowała Gary’ego, bom wiedziała, że cię pierwszy zobaczy. Bałam się, żebyś tu nie weszła bez ostrzeżenia.
- Nic nie zmieniałam w zamówieniu.
- Pewnie, że nie. – Pani Aurora podniosła ciężką patelnię tak, jakby ważyła tyle co tekturowy talerzyk. Kręcąc głową, nakładała jajecznicę na talerze. – I wcale nie z tym jest zmartwienie.
- A z czym?
- A to już nie moja rzecz.
- No dobrze. – Lizzie odczekała chwilę, żeby dać kucharce szansę rozwinąć wątek, ale ona milczała. – Tak czy siak, zajmę się tym. Naprawdę bardzo się cieszę, że jest już pani na nogach.
- Dobra z ciebie dziewczyna. Żebyś mi jeszcze tylko dała się nakarmić.
- Może w następnym życiu.
- Ma się tylko jedno. A potem się idzie do Nieba.
- Tak mi zawsze mówił ojciec.
- I mój też.

Lizzie przeszła po terakocie ku podwójnym wahadłowym drzwiom, a potem ruszyła korytarzem dla personelu. Pan Harris zajmował pomieszczenie naprzeciwko gabinetu pani Rosalindy. Lizzie zapukała do jego drzwi. Raz, a potem drugi. Spróbowała nawet trzeci raz, choć z myślą, że tylko niepotrzebnie męczy sobie dłoń.

Powietrze w korytarzu nie pachniało zbyt świeżo. Lizzie skrzywiła się i pomyślała, że warto by tu wywietrzyć. No tak, ale Bradfordowie nie kwapili się, żeby w tej części domu założyć klimatyzację lub centralne ogrzewanie. Przecież personel nie musi oddychać najlepszym powietrzem.

Podeszła do lakierowanych drzwi gabinetu pani Rosalindy i do nich też zapukała, choć księgowa ściśle przestrzegała godzin pracy: od dziewiątej do siedemnastej, z półgodzinną przerwą na lunch dokładnie w południe i dwiema piętnastominutowymi przerwami o dziesiątej trzydziści i o trzeciej. Tak sztywny rozkład dnia wydawał się Lizzie początkowo dość dziwaczny, ale po tylu latach uznawała go już za jedną z wielu reguł obowiązujących w Easterly. Zresztą czemu tu się dziwić – kobieta, która przez całe życie nie zajmowała się niczym innym niż tylko

płacaniem rachunków, przelewaniem pieniędzy z konta na konto i robieniem wypłat, pewnie miała liczenie we krwi i poważną potrzebę kontrolowania każdego drobiazgu. Taki zawód, i tyle.

Lizzie oparła ręce na biodrach. Wiedziała, że kamerdyner pewnie jest w małej jadalni, gdzie usługuje rodzinie. Czyli również Lane'owi.

Spojrzała na zegarek. Nie będzie przecież czekać, aż pan Harris tu wróci, a na pewno nie ma ochoty na konfrontację na oczach członków rodziny. Poza tym czeka na nią robota – poprzedniego wieczoru nie udało jej się skończyć wszystkich bukietów.

Ruszyła tylnym korytarzem w kierunku oranżerii. Porzuciła gmatwaninę myśli i próbowała się skupić na czekających ją zadaniach. Gdy skończy już z kwiatami, rozłoży obrusy, bo do jutrzejszej imprezy na pewno nie będzie wiatru ani deszczu. Zwykle też do jej zadań należało ustawianie talerzy i szklanek tam, gdzie miały czekać na gości: przy barach i stanowiskach gastronomicznych w całym ogrodzie.

Greta ma przyjechać o...

– Dzień dobry.

Lizzie zamarła, z ręką opartą o drzwi prowadzące do oranżerii.

Obejrzała się za siebie i napotkała wzrok Lane'a. Siedział w fotelu nieco z boku korytarza, z nogą założoną na nogę. Ręce opierał o podłokietniki, a jego długie palce stykały się, tworząc stożek na wysokości piersi. Ubrany był w to samo co dzień wcześniej, a włosy miał rozczochrane. Nie wyglądało na to, żeby spędził noc w swoim łóżku.

– Na mnie tu czekasz? – spytała zaskoczona, z sercem walącym jak oszalałe.

Na górze, w swojej sypialni, Gin upychała właśnie bluzkę od Prady w róg walizki na kółkach od Vuittona.

– Bibułka... Należy używać bibułki. Gdzie jest...

Ruszyła na poszukiwania i w końcu w wielkiej, płaskiej szufladzie w garderobie znalazła blad różowe arkusze opieczutowane jej inicjałami. Wróciła do sypialni, polizała palec i wzięła bibułkę. Poczula delikatny zapach perfum Coco – pokojówka spryskała każdy arkusz z osobna, gdy je dostarczono. Gin owinęła złożoną bluzkę bibułką, a potem jeszcze spódnicą od Alexandra McQueena.

Powtarzała ten proces jeszcze kilka razy, aż w końcu ułożyła w walizce cztery zestawy ubrań. Odchyliła się w tył, żeby obejrzeć efekt swojej pracy. Coś okropnego. W wykonaniu Blanche wyglądało to znacznie lepiej, ale przecież nie będzie na nią czekać do południa, kiedy pokojówka zaczyna zmianę.

Już miała zakończyć pakowanie, gdy zorientowała się, że nie pomyślała o bieliźnie, butach i przyborach toaletowych.

Wyjęła kolejną walizkę od Vuittona. Dała już sobie spokój z bibułkami.

A zresztą, co ją to wszystko obchodzi. Po prostu sobie kupi, cokolwiek jej będzie potrzebne.

Kiedy skończyła, podniosła słuchawkę domowego telefonu stojącego przy łóżku i wybrała numer gabinetu pani Rosalindy. Nie mogła uwierzyć, gdy włączyła się poczta głosowa.

– Gdzie ta kobieta się podziewa, do cholery?!

Zerknęła szybko na stojący na jej biurku zegar od Cartiera, wskazujący, że jest dopiero wpół do dziewiątej.

Boże drogi, kiedy ona ostatnio tak wczesnie wstała?

Samolot mogła zamówić też przez asystentkę ojca, która była cyborgiem i zawsze odbierała. Ale Gin nie chciała, żeby ojciec dowiedział się o jej wyjeździe zbyt wczesnie; wolała najpierw być już przynajmniej w połowie drogi do Kalifornii. A gdyby zadzwoniła do tej jego cerberki, ta zaraz by go zaalarmowała.

Chryste, ten jego wyraz twarzy ostatniego wieczoru zmroził jej krew w żyłach. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby tak się wściekł.

Ale czy sama nie była córką swojego ojca? Podobnie jak nienawiść, wściekanie się również nie jest zarezerwowane wyłącznie dla niego. Zobaczymy, kto pierwszy wypadnie z gry.

Dziesięć minut później Gin wyciągnęła rączki walizek i ruszyła z bagażami na korytarz, z trudem wlokąc te cholerne ciężary.

Pasująca do kompletu torba z monogramem obijała się o jej biodro, a przy zamykaniu drzwi pięta Gin nagle wysunęła się z buta. Cholera jasna, jakże przydałby się jakiś bagażowy!

No ale kamerdynerowi też nie mogła ufać. Właściwie to nie ufała tutaj nikomu.

Zanim zjechała windą do podziemi, otworzyła drzwi pokoju Amelii i weszła do środka.

Po raz pierwszy zastanowił ją jego wystrój.

Różowobiałe łoże z baldachimem miało metr pięćdziesiąt szerokości, choć jej córka była drobna i lekka jak piórko. Na ścianach bynajmniej nie wisiały plakaty Taylor Smith ani zespołu One Direction. W pokoju stała za to zabytkowa francuska toaletka, a pośrodku sufitu zamocowano ręcznie wykonaną okrągłą osłonkę ze złotych liści, z której na łańcuchu pokrytym jedwabiem zwisał kryształowy żyrandol marki Baccarat. Łazienkę zaś wykończono w marmurach, z mosiężną armaturą liczącą sześć dekad.

Wszystko to sprawiało wrażenie apartamentu osoby mającej lat pięćdziesiąt, a nie piętnaście.

Już szesnaście, od wczoraj – poprawiła się w myślach Gin.

Ostrożnie stąpając po haftowanym dywanie, podeszła do półki, z której wzięła swoje ulubione zdjęcie przedstawiające jej ciemnowłose maleństwo – teraz już nie takie ciemnowłose, bo Amelia co sześć tygodni robiła sobie jasne pasemka, oraz wcale nie maleństwo, skoro była już w drugiej klasie szkoły średniej.

Na myśl o córce pomysł wyjazdu z Easterly wydał jej się jeszcze bardziej właściwy. W kalifornijskim Montecito czekały na nią dwie przyjaciółki. Planowała zatrzymać się u nich, dopóki ojciec nie uświadomi sobie, że nawet zarządzając korporacją obracającą miliardami dolarów rocznie, nie jest panem jej życia. A potem? Wróci tutaj, żeby mógł ją regularnie widywać i wciąż na nowo uzmysławiać sobie, jak źle ją ocenił.

Ponownie wyszła na korytarz i starała się jak najmniej przeklinać, z trudem kuśtykając w stronę windy, a potem się do niej ładując. Złamała sobie paznokiec, waląc jak głupia w przycisk zamykania drzwi i omal nie straciła jednego z obcasów, gdy wysiadała już w podziemiach i wyciągała z windy walizki.

Nie miała pojęcia, w którą stronę iść. Nie wiedziała, gdzie są garaże ani jak wygląda rozkład podziemnych pomieszczeń.

Dopiero po niemal dwudziestu minutach udało jej się znaleźć korytarz prowadzący do dziesięciu miejsc parkingowych dla rodzinnych

samochodów, a gdy w końcu tam dotarła, czuła się tak, jakby nie tylko pobiegła w maratonie, ale też go wygrała.

Lecz w samochodach nie było kluczyków. Ani w bentleyu, ani w kabriolecie Rolls-Royce'a. Bo na pewno nie zamierzała wziąć porsche, ferrari czy spykera, ani też zabytkowego jaguara (identycznego jak ten Samuela) – ponieważ wszystkie miały przekładnię zmiany biegów, której nie potrafiła używać.

A przecież nie poniży się wsiadaniem do zwykłego mercedesa.

– Niech to szlag! – Tupnęła nogą, a jedna z walizek przewróciła się, jakby zemdląca z wrażenia. – Gdzie są kluczyki?

Zostawiła bagaże i ruszyła w stronę pomieszczeń biurowych.

Drzwi były zamknięte. Podobnie jak wyjazd z garażu.

To nie do przyjęcia!

Wyjęła komórkę i już miała zadzwonić do... w sumie nie bardzo wiedziała do kogo, ale nagle zauważyła na ścianie zamykaną sztyfem skrzynkę. Podeszła do metalowych drzwiczek o wymiarach trzydziestu centymetrów na metr i pociągnęła za uchwyt. Drzwiczki ani drgnęły, co jej szczególnie nie zdziwiło.

Tyle dobrego, że Gin naprawdę miała już ochotę w coś przywalić.

Rozejrzała się dookoła. Wszystko było na swoich miejscach.

Pokrowce na samochody, opony zapasowe, środki czystości umieszczono z wojskową precyzją wzdłuż ściany: na półkach, hakach, w pojemnikach.

Wszystko, z wyjątkiem łomu, który stał oparty o równiutką stertę irchowych ściereczek opatrzonych rodzinnym monogramem.

Stukając obcasami, Gin podeszła z uśmiechem do potężnego kawałka metalu i chwyciła go w rękę. Wróciła do skrzynki, uniosła łom nad głowę i zamachnęła się tak, jakby celowała prosto w głowę ojca. Waliła, waliła i waliła, aż w uszach jej dźwięczał brzęk gnieczonego metalu.

Gdy skończyła, miała wprawdzie niemal całkiem zdarte paznokcie, ale drzwiczki od skrzynki zwisały już tylko na ostatnim ocalałym zawiasie.

Bentley – pomyślała. Albo nie, lepiej phantom drophead. Więcej kosztował.

Zabrała bagaże do rolls-royce'a. Otworzyła drzwi, wrzuciła walizki na tylne siedzenie kabrioletu i usiadła za kierownicą. Potem nacisnęła stopą w szpilce na pedał hamulca i wcisnęła przycisk uruchamiający silnik, który z cichym pomrukiem obudził się do życia.

Sięgnęła w górę, do lusterka wstecznego, i zaczęła naciskać wszystkie możliwe przyciski, aż w końcu udało jej się uruchomić mechanizm otwierający wyjazd z garażu.

No i ruszyła.

Miała ochotę z premedytacją przejechać główną drogą, przed rodzinnymi oknami, uznała jednak, że lepiej zniknąć z terenu posiadłości, zanim ktokolwiek się zorientuje – zadowolili się więc pokazaniem środkowego palca rezydencji niknącej w lusterku wstecznym, gdy samochód toczył się podjazdem dla personelu.

Gdy dojechała do szosy przy rzece, skręciła w lewo, spojrzała na zegarek i wyjęła telefon. Pani Rosalinda na pewno jest już w pracy i wreszcie zamówi jej lot. Nie powinno być z tym problemu. Gin zamawiała loty przynajmniej raz w tygodniu.

Poczta głosowa. Znowu.

Przekłęte śniadanie! Nie wzięła go pod uwagę. Cały personel jest nim zupełnie pochłonięty.

Ale przecież ona ma potrzeby!

Gin wybrała inny numer, który tylko jedną cyfrą różnił się od numeru pani Rosalindy. Po trzecim sygnale miała już sobie dać spokój, nagle jednak odezwał się głos kamerdynera, mówiącego z charakterystycznym brytyjskim akcentem.

– Newark Harris, w czym mogę pomóc?

– Potrzebny mi samolot, a nie mogę się dodzwonić do pani Rosalindy. Proszę mi go zaraz zamówić. Chcę jak najszybciej wylecieć do Los Angeles.

Kamerdyner odchrząknął.

– Pani Baldwin, proszę mi wybaczyć...

– Nie chcę słyszeć, że jest pan zajęty! Może pan zadzwonić bezpośrednio do pilotów, robił pan to już wcześniej. Potem pan wróci do swoich zajęć związanych z tym durnym śniadaniem...

– Przepraszam, pani Baldwin, ale nie będzie pani mogła

skorzystać z samolotu.

– Pan chyba żartuje! – To pewnie dlatego, że tyle gości przyjeżdża na derby. Ale ona należy przecież do rodziny, na litość boską! – Dobrze, to proszę po prostu przesunąć lot komuś innemu, a ja...

– To nie będzie możliwe.

– Ale ja mam pierwszeństwo! – Rolls-royce nagle przyspieszył, gdy mocniej nadepnęła na pedał gazu, aż o mało nie wjechała w zderzak samochodu jadącego przed nią. – To nie do przyjęcia! Proszę zadzwonić do wieży kontroli lotów albo do któregoś z pilotów z listy albo... gdziekolwiek indziej, byle mi pan załatwił ten pieprzony samolot na Zachodnie Wybrzeże!

Nastąpiła dłuższa przerwa.

– Przykro mi, pani Baldwine, ale nie będę mógł wyświadczyć pani tej przysługi.

Jakiś niepokojący chłód ścisnął jej kark.

– A trochę później?

– To nie będzie możliwe.

– Po południu?

– Przykro mi, pani Baldwine.

– Co panu powiedział mój ojciec?

– Nie chcę komentować decyzji...

– Co on panu, kurwa, powiedział?! – wrzasnęła do słuchawki.

Pan Harris wypuścił powietrze z impetem, jakby sam niemal zaklął.

– Dziś rano otrzymałem wiadomość zaadresowaną do mnie i do pani księgowej, zawierającą informację, że rodzinne środki nie będą już pani udostępniane.

– Rodzinne środki?

– Obejmujące gotówkę, konta bankowe, koszty podróży zakwaterowania, jak również dostęp do nieruchomości Bradfordów na całym świecie.

Tym razem jej stopa ześlizgnęła się z pedału gazu. Dopiero gdy samochód jadący za nią zaczął trąbić, Gin pomału zjechała na pobocze.

– Chciałbym móc pani jakoś pomóc – powiedział beznamiętnym tonem pan Harris, co wskazywało, że w istocie jest wprost przeciwnie. –

Ale, jak już wspominałem, nie mogę w żaden sposób spełnić pani prośby.

– To co ja mam teraz zrobić?

– Może powrót do domu byłby najlepszym rozwiązaniem.

Widziałem przed chwilą, jak pani wyjeżdża rolls-royce'em.

– Na pewno nie wyjdę za mąż za Richarda Pforda! – oświadczyła Gin, po czym się rozłączyła.

Patrzyła w świat za przednią szybą samochodu, a drapacze chmur w centrum miasta po raz pierwszy w życiu wydały jej się onieśmielające. Charlemont nigdy przedtem nie robiło na niej szczególnego wrażenia, bo już kilka razy objechała świat dookoła. Podróżowała jednak w czasach, gdy dysponowała nieograniczonymi środkami.

Drżącą ręką sięgnęła po portfel i go otworzyła. Było tam pięć banknotów studolarowych i parę dwudziestodolarówek, do tego siedem kart kredytowych, w tym czarna karta Centurion. Nie miała przy sobie prawa jazdy (bo zawsze brała szofera) ani karty ubezpieczenia zdrowotnego, bo korzystała z usług prywatnych lekarzy opłacanych przez rodzinną firmę. Nie wzięła też paszportu, bo nie planowała wyjeżdżać z kraju.

Po lewej stronie, jakieś dwieście metrów dalej, znajdowała się stacja benzynowa. Gin uruchomiła samochód i wjechała na jezdnię, na której gęstniał już poranny ruch.

Gdy dojechała do tablicy z napisem „Shell”, przecięła szosę tuż przed nadjeżdżającą ciężarówką i zatrzymała się przy dystrybutorze paliwa.

Wysiadła, ale wcale nie po to, żeby zatankować. Miała pełny bak. Wzięła pierwszą z brzegu kartę Visa, włożyła ją do czytnika, a potem wyjęła. Wpisała swój kod pocztowy i zaczęła, czy tego rodzaju hipotetyczna transakcja doszłaby do skutku.

„Transakcja odrzucona”.

Zrobiła to samo ze swoją czarną kartą i otrzymała tę samą odpowiedź.

Kolejne dwie karty Visa też nie zadziałały. Dalej nie próbowała. Unieważnił jej karty.

Wróciła za kierownicę. Świat falował jej przed oczami. Założono

jej kilka funduszy powierniczych, na których czekały jej własne pieniądze... ale dostęp do nich miała uzyskać dopiero za dwa lata, gdy skończy trzydzieści pięć lat – i ani chwili wcześniej. Przekonała się o tym przed rokiem, gdy zapragnęła kupić sobie dom w Londynie, a ojciec jej odmówił. Choć strasznie się piekliła w spółce powierniczej zarządzającej jej funduszem, odmówili jej wypłacenia środków, twierdząc, że nie ma do nich dostępu, dopóki nie spełni kryterium wieku ustalonego w umowie.

Przyszło jej do głowy tylko jedno miejsce, do którego mogła się udać po pomoc. Choć nie cierpiała kogokolwiek o cokolwiek prosić, uznała, że lepsza prośba o wsparcie niż małżeństwo zaaranżowane przez ojca – lub przyznanie się przed nim do porażki.

Raz jeszcze uruchomiła samochód, ponownie wtargnęła na zatłoczoną jezdnię i ruszyła w kierunku, z którego przyjechała. Nie wracała jednak do Easterly. Zmierzała do...

Nagle silnik zgasł. Wyłączyła się klimatyzacja i światła na tablicy rozdzielczej. Jedyne, co jeszcze działało, to kierownica i hamulec.

Rozpaczliwie wciskając przycisk uruchamiania silnika, przyglądała się swoim chaotycznym i bezradnym ruchom jakby z oddali, zwracając uwagę na zniszczone paznokcie: połamane końcówki, zdarty wiśniowy lakier.

Zmuszona przyznać, że silnik nie zamierza wrócić do życia, skręciła na pobocze, żeby ktoś w nią nie wjechał...

Nagle usłyszała w oddali syreny i spojrzała w lusterko wsteczne.

Policyjny radiowóz zatrzymał się, gwałtownie hamując, zaraz za nią. Nie wyłączał świateł. Zaraz potem nadjechał drugi. Stanął na poboczu przed nią i zaczął cofać, aż całkiem ją zablokował.

Obaj policjanci podeszli do niej, trzymając dłonie na uchwytych pistoletów schowanych w kaburach, jakby nie byli pewni, czy nie będą potrzebować broni.

– Proszę opuścić pojazd – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu wyższy policjant.

– Ale to mój samochód! – wrzasnęła Gin za zasuniętymi szybami.
– Nikt nie ma prawa...

– Ten pojazd należy do pana Williama Baldwine’a, a pani nie jest

upoważniona do korzystania z niego.

– O Boże... – szepnęła Gin.

– Proszę opuścić pojazd!

Cholera, przecież nie wzięła nawet prawa jazdy.

– Jestem jego córką!

– Proszę otworzyć drzwi i opuścić pojazd. W przeciwnym razie zostanie pani oskarżona nie tylko o jazdę skradzionym pojazdem, lecz także o stawianie oporu podczas aresztowania.

– Oczywiście, że na ciebie czekam. – Gdy tylko Lane wypowiedział te słowa, podniósł w górę obie dłonie, jakby chciał powiedzieć: „Stop, chwileczkę”. – Wyłącznie jako przyjaciel. Który chciał się upewnić, że bez problemu dotarłaś do pracy.

Niech to szlag, ależ ona świetnie wygląda – pomyślał. Znow miała na sobie czarną koszulkę pracowników Easterly i szorty w kolorze khaki, włosy związała w zwykły kucyk, a jednak biło od niej jakieś egzotyczne piękno.

No ale w końcu minęło już ponad dwanaście godzin, odkąd ostatni raz ją widział.

Czyli całe wieki.

Przewróciła oczami, zauważył jednak, że próbuje powstrzymać uśmiech.

– Już trochę jeździłam tą trasą, wiesz? – rzuciła.

– A jak było dzisiaj?

Przez chwilę milczała, a potem... stało się coś niezwykłego: Lizzie wybuchnęła śmiechem.

Zasłoniła usta dłonią i kręciła głową, rozbawiona.

– Przepraszam, ale wyglądasz naprawdę strasznie. Masz gniazdo na głowie – powiedziała, zataczając dłonią koło na wysokości jego czoła – oczy ci się zamykają i nie wiem, czy wiesz, że kołyszysz się w przód i w tył, siedząc w tym fotelu...

– Powinnaś zobaczyć, jaka miazga została z mojego przeciwnika – odparł z szerokim uśmiechem.

– Ostra była walka, co?

– Wbiłem mu w ucho emblemat z maski jego samochodu – powiedział Lane, unosząc ramię i napinając mięśnie. – Oto prawdziwy facet!

Nagle rozległ się odgłos różnych kroków. Lizzie obejrzała się mruknięta coś pod nosem.

Okazało się, że to ten angielski kamerdyner, zmierzający w jej stronę. Zatrzymał się jednak na widok Lane'a.

– Czy możemy cię przeprosić? – spytała cicho Lizzie. – Muszę coś

wyjaśnić.

– A co trzeba wyjaśnić? – rzucił Lane w stronę pana Harrisa. Na twarz kamerdynera wypłynął uśmiech manekina z męskiego sklepu odzieżowego.

– To nie jest nic, czym powinien się pan kłopotać. A panią chciałbym prosić, żeby przeszła pani do mojego gabinetu, kiedy już państwo skończą rozmawiać...

– Co się stało? – Lane nie dawał za wygraną.

– Małe nieporozumienie – mruknęła Lizzie.

– Jakie nieporozumienie?

– Dostarczono nam za mało kieliszków do szampana – powiedziała Lizzie, patrząc prosto w twarz panu Bardziej Brytyjskiemu od Samej Królowej. – Pan Harris sądzi więc, że zadzwoniłam do agencji zmieniałam zamówienie, czego oczywiście nie zrobiłam. Chętnie pomogę przy ustawianiu wszystkiego, co zostanie dostarczone, ale kompletowanie zamówienia nie należy do moich obowiązków. Na mojej głowie są namioty i stoły, a tych mamy dokładnie tyle, ile trzeba, i stoją tam, gdzie należy.

– Tę rozmowę powinniśmy raczej przeprowadzić w moim... – zaczął pan Harris, patrząc na Lizzie złowrogo.

– A więc cała sprawa nie ma z nią nic wspólnego – przerwał mu Lane, uśmiechając się chłodno. – A pan nie ma już czego tu szukać.

Lizzie położyła mu dłoń na ramieniu, a ten nagły kontakt fizyczny tak go zaskoczył, że aż go zatkało.

– Ale to nie problem. Tak jak mówiłam, chętnie pomogę w załatwieniu tej sprawy. Jeśli pan chce, zadzwonię do agencji i spróbuję się dowiedzieć, jak to wszystko odkręcić.

Kamerdyner patrzył niepewnie to na nią, to na Lane'a.

– Wiem, co zamawiałem – wybąkał. – Nie potrafię jednak zrozumieć, dlaczego dostarczono tylko połowę zamówienia.

– Proszę posłuchać – mówiła dalej Lizzie. – Nie chcę się wymądrzać, ale tej agencji zdarzały się już podobne pomyłki. Musimy po prostu sprawdzić, czego jeszcze brakuje, i do nich zadzwonić. Powinno to się dać szybko załatwić. Składał pan u nich zamówienie osobiście czy przez panią Rosalindę?

– Skorzystałem z pomocy pani Freeland. Podałem jej odpowiednie liczby.

– Przecież ona wie, ile zamawiamy. Robi to od lat – powiedziała Lizzie, marszcząc brwi.

– Zapewniała mnie, że wszystko będzie w porządku. Uznałem więc, że ktoś musiał zmniejszyć zamówienie

– Proszę z nią porozmawiać, a ja pójdę po Gretę i zaczniemy wszystko przeliczać. Poradzimy sobie. Dobrze, że zorientowaliśmy się dziś, a nie jutro rano.

Nastąpiła chwila krępującej ciszy. Kamerdyner milczał, a Lane zaczął się zastanawiać, czy będzie musiał temu samozwańczemu stróżowi porządku siłą wbijać do głowy prosty i racjonalny plan działania zaproponowany przez Lizzie.

– Dobrze – powiedział w końcu kamerdyner. – Bardzo dziękuję pani za pomoc.

Pan Harris się oddalił, a Lizzie wzięła głęboki oddech.

– I tak oto wkroczyliśmy w gorący okres ostatniej doby przed imprezą – westchnęła.

– Nie mogą tego przeliczyć inni pracownicy? – spytał Lane. – Przecież to nie twój problem.

– W porządku. Jeśli zrobimy to razem z Gretą, przynajmniej będę wiedziała, że na pewno wszystko się zgadza. Zresztą nie ma tu teraz nikogo, kto by nie był zawałony robotą. Przecież nie poproszę o pomoc kucharzy; oni też mają co robić...

Nagle rozdzwoniła się komórka Lane'a. Wyjął ją z kieszeni, żeby wyciszyć dźwięk.

– Kto to, u diabła? – zastanawiał się na głos, widząc na wyświetlaczu miejscowy numer.

Znów się roześmiała.

– Łatwo to sprawdzić, wiesz? Wystarczy odebrać.

– Chcesz mnie zdenerwować?

– Ktoś musi.

Lane uśmiechnął się tak szeroko, że aż go zabolowały policzki.

– No dobra, zagrajmy w ruletkę i sprawdźmy, kto dzwoni. – Nacisnął zielony guzik i odezwał się upiornym głosem. – Haaalooo?

- Lane? O Boże, Lane! Musisz mi pomóc!
- Gin? – Aż się poderwał. – Gin, wszystko w porządku?
- Jestem w centrum, w areszcie. Musisz po mnie przyjechać wpłacić za mnie kaucję. Ja...
- Ale co się stało, do diabła? Dlaczego...
- Potrzebuję prawnika.
- Dobrze, dobrze, powoli. – Wstał z fotela. – Mówisz tak szybko, że nie nadążam.

Jego siostra wzięła głęboki oddech, a potem wypowiedziała cztery pełne zdania, które ostatecznie pozbawiły go złudzeń.

– No dobra – rzucił ponuro. – Już jadę. Tak. Dobrze. W porządku. Tak zrobię.

Kiedy się rozłączył, przez chwilę tępym wzrokiem patrzył w twarz Lizzie.

- Co się stało? – spytała.
- Ojciec doprowadził do aresztowania Gin. Muszę teraz jechać do aresztu i wpłacić za nią kaucję.

Lizzie uniosła dłoń do ust, zszokowana.

- Mogę jakoś pomóc?
- Nie, sam się tym zajmę. Ale dziękuję.

Wiele wysiłku go kosztowało, żeby nie pochylić się ku niej i jej nie pocałować, jak to miał dawniej w zwyczaju. Zadowolił się jednak wyciągnięciem dłoni i muśnięciem jej policzka – po czym szybko się oddalił, zanim zdążyła powiedzieć, że przyjaciele tak nie robią.

Jasny gwint, co ten ojciec znowu wykombinował?

W dawnych czasach, gdy Edward jeszcze palił, często budził się rano z ręką już wyciągniętą po czerwone dunhille, zanim jeszcze oprzytomniał na tyle, żeby zauważyć, że zdążył zmienić pozycję.

Teraz robił to samo, tyle że sięgał po słoiczek środków przeciwbólowych.

Nasywał sobie na dłoń cztery kapsułki, wrzucił je do ust i popił resztką wódki, którą zabrał ze sobą do łóżka. Skrzywił się, gdy to specyficzne śniadanie wędrowało do jego żołądka, a potem znów opadł na poduszkę.

W okresie rehabilitacji rzucił palenie. Właściwie już samo

porwanie było pierwszym krokiem prowadzącym do porzucenia nałogu.

Paradoksalnie, dopiero bezpośrednie zagrożenie życia skłoniło go do tego, żeby zadbać o swoją długowieczność.

Uniósł butelkę, jakby wznosił toast.

– *Gracias, muchachos* – mruknął.

Zanim jego mózg zdążył wpaść w pętlę koszmarnych wspomnień z Tamtego Dnia, Edward opuścił nogi na podłogę i usiadł. Nie przyglądał się swojemu prawemu udu i łydce. Po pierwsze dlatego, że poszarpane szwy jego ciała, przypominającego dzieło Frankenstein, i tak już na dobre wryły mu się w pamięć. Po drugie od dawna już nie spał nago, więc i tak nic nie było widać.

Musiał podeprzeć się laską, żeby wstać. Łatwo tracił równowagę – nie tylko z powodu obrażeń, ale też z niewyspania i przepicia.

Pokuśtykał do łazienki. Nie zapalał światła, żeby nie widzieć swojego odbicia w lustrze. Skorzystał z ubikacji, umył twarz, ręce i zęby.

Dziesięć minut później wyszedł z domu i upewnił się, że Bóg wciąż go nienawidzi – oślepiło go jasne światło słońca, potęgujące jego kaca i ból głowy.

Która to godzina? – zastanawiał się.

W połowie drogi do Stajni B zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręce butelkę z resztką wódki – niczym jakiś kocyk bezpieczeństwa.

Przewrócił tylko oczami, ale parł przed siebie. Pani Proszę-Przy-Mnie-Nie-Przeklinać powinna się w końcu przyzwycząić do niego i jego alkoholowych zwyczajów. Nie będzie jej sprzedawał iluzji, że niby w dzień nie pije – przecież i tak w końcu by się zorientowała. Jeśli sobie z tym nie poradzi, może niech lepiej od razu zrezygnuje.

Doszedł go dźwięk skrzypiącego koła. Odwrócił głowę w prawo, a po chwili z końca stajni wyłoniła się Shelby, zgięta wpół. Pchała przed sobą starą, zardzewiałą taczkę z ogromnym ładunkiem końskiego nawozu.

Najwyraźniej Moe już zagonił ją do pracy.

– Cześć! – zawołał w jej stronę Edward.

Nie zatrzymując się, uniosła dłoń, a potem dalej szła w stronę kompostu ukrytego za pobliskim budynkiem gospodarczym.

Przyglądał się jej silnemu ciału z zazdrością. Być może

podświadomie zwrócił uwagę, że liczne połyskujące w słońcu jasne pasemka jej włosów wydają się niemal siwe. Miała na sobie granatową koszulkę, ciemnoniebieskie džinsy i te same porządne kowbojki, które już widział w nocy. Zniknęła za ścianą budynku, a zaraz potem znów się wyłoniła – zadziwiająco szybko, zważywszy, ile nawozu musiała w międzyczasie rozładować.

Nieźle sobie radziła.

Zbliżała się do niego. Oczy miała żywe i błyszczące, policzki zarumienione od wysiłku.

– Prawie już skończyłam. Teraz biorę się za Stajnię C.

– Jezu, Moe już cię... O, przepraszam – skorygował się, zanim zdążyła zwrócić mu uwagę. – Cholera, Moe już cię zagonił do roboty? Tylko nie mów, że „cholera” też jest zabronione. Mogę sobie darować wzmianki o Bogu i Chrystusie, ale to szczyt moich możliwości.

Opuściła taczkę na krótko przyciętą trawę.

– Sok pomarańczowy – powiedziała.

– Słucham?

Córka Jeba Landisa skinęła głową, wskazując butelkę.

– Może pan sobie mówić „cholera”, ale wolałabym o tak wczesnej godzinie nie oglądać pana...

– Zawsze tak chętnie oceniasz ludzi?

– ...z butelką wódki w ręku. I wcale nikogo nie oceniam.

– To dlaczego chcesz wpłynąć na zachowanie nieznajomej osoby?

– Pan nie jest nieznajomą osobą. – Wytarła czoło przedramieniem.

– Nie ma jeszcze dziewiątej. Trudno mi ogarnąć, czemu ktoś miałby tak wcześnie sięgać po butelkę.

– Chciało mi się pić.

– I nie ma pan w domu wody? Wczoraj jeszcze była.

Zamieszał płynem w butelce.

– To mi akurat pasuje. Taka moja wersja witaminy C.

Mruknęła coś pod nosem i schyliła się, żeby znów wziąć taczkę.

– Co mówiłaś? – spytał.

– Słyszał pan.

– Nie słyszałem – zaprzeczył, choć nie było to do końca prawdą.

Shelby tylko wzruszyła ramionami i poszła przed siebie. Pod

prostym ubraniem jej ciało poruszało się sprawnie, wykonując powierzone mu obowiązki bez żadnego widocznego dyskomfortu.

Wówczas go nagle olśniło.

– Shelby?

– Tak? – powiedziała, zatrzymując się i spoglądając przez ramię.

– Mówiłaś, że obrobiłaś wszystkie konie.

– Tak.

– W stajniach A i B?

– Tak.

Rzucił się w jej stronę i złapał ją za ramię.

– Mówiłem ci. Jedna zasada. Nie podchodzisz do boksu mojego ogiera.

– Sam sobie przecież nie posprząta...

Bezwiednie zacisnął dłoń na jej ramieniu.

– W zeszłym roku zabił mi stajennego. Stratował go w tym boksie na śmierć. Masz tam nigdy więcej nie wchodzić!

Shelby otworzyła szeroko swoje błękitne oczy.

– Przy mnie zachowywał się całkiem w porządku.

– Tylko ja mogę tam wchodzić, rozumiemy się? – powiedział, cedząc słowa. – Jeśli jeszcze raz to zrobisz, będziesz musiała się spakować i wracać tam, skąd przyjechałaś.

– Tak, dobrze.

Zrobił krok w tył, uważając, żeby się nie potknąć.

– No dobra – rzucił.

– W porządku – powiedziała.

Zdmuchnęła kosmyk włosów opadający jej na twarz, po czym ruszyła dalej, wyraźnie spięta.

Edward otworzył butelkę i pociągnął długi łyk. Pewnie powinno go zastanowić, dlaczego w ogóle nie czuje pieczenia.

Ale była to jedna z wielu rzeczy, o których wolał nie myśleć.

Podobnie jak o tym, co mogłoby się przytrafić córce Jeba Landisa w jego stajni.

Niech to szlag!

Kompleks nowoczesnych budynków sądu i aresztu hrabstwa Washington zajmował dwie duże działki w centrum miasta, rozdzielone przecznicą, ponad którą przerzucono łącznik pozwalający przechodzić między obydwojoma gmachami. Do środka prowadziło kilka wejść. Gdy Lane podjechał tam swoim porsche, wszędzie roiło się od ludzi. Po marmurowych schodach przemieszczali się w górę i w dół mężczyźni w garniturach i kobiety w kostiumach, w specjalnie oznaczonych miejscach parkowały radiowozy i SUV-y szeryfów, na obrzeżach palili papierosy łachmaniarze.

Jego sportowy samochód wydał niski pomruk, gdy Lane zwolnił, gapiąc się na potężne gmaszyska. Nie sposób było stwierdzić, gdzie się co mieści. Brakowało choćby tabliczki z numerem.

Tak jakby osoby, które muszą pytać o drogę, nie miały tu czego szukać.

Nagle jak spod ziemi wyrósł przed nim Afroamerykanin w mundurze, który stanął wprost przed toczącym się jeszcze samochodem Lane'a.

– Cholera! – Lane z całej siły nacisnął hamulec. – Co to, kurna... Mitch?

Wiceszeryf Mitchell Ramsey nic nie odpowiedział, lecz wskazał na oznaczone wolne miejsce za swoimi plecami.

Lane bez trudu zaparkował równoległe do jezdni. Wiceszeryf stał tuż przy jego zderzaku. Potężne ramiona miał założone na piersi, co nadawało mu wygląd członka profesjonalnej drużyny futbolowej. Czarne oczy skrywał za ciemnymi okularami, a jego gładko ogolona głowa sprawiała, że szyja i ramiona zdawały się jeszcze potężniejsze.

Lane wysiadł.

– Cześć, wiesz może, gdzie znajdę...

– Piona!

Przybili sobie piątki i mocno się uścisnęli. Stojąc naprzeciw Mitcha, Lane wrócił pamięcią do zdarzeń sprzed niemal dwóch lat. Przypomniał sobie prywatne lądowisko położone na zachód od miasta i tę noc, gdy Edward w końcu wrócił do domu po porwaniu.

To właśnie Mitch go ściągnął z powrotem do Stanów, do rodziny. Bóg raczy wiedzieć, jak tego dokonał. Nikt go nie pytał o szczegóły, a Lane miał wrażenie, że ten były komandos i tak by nie zdradził, co, jak i z kim.

– Ona niezbyt dobrze sobie tam radzi – powiedział Mitch.

– Wcale mnie to nie dziwi.

Lane ruszył za wiceszeryfem. Obaj prędko pokonali pięćdziesiąt stopni prowadzących w górę, przeskakując po dwa, aż dotarli do jednego z licznych wejść z obrotowymi drzwiami. W środku Mitch pokierował ich do sektora oznaczonego napisem „Wstęp tylko dla funkcjonariuszy”, potem zaś szybko przeszli przez bramki bezpieczeństwa, gdzie na widok wiceszeryfa strażnicy tylko z szacunkiem kiwali głowami.

– Pracuję na przyspieszonych obrotach, od kiedy zobaczyłem wasze nazwisko – powiedział Mitch, gdy odgłos ich kroków zmieszał się z innymi, niosącymi się echem po wielkim holu. – Zatrzymano ją za kradzież samochodu, brak prawa jazdy i dowodu ubezpieczenia...

– Jak to się, do cholery, mogło stać?

– ...oraz stawianie oporu podczas aresztowania. Nadałem tej sprawie szczególny status, ale nie mogę bez końca zwlekać z wpisaniem jej do książki zatrzymań.

– Zaraz, chwila. – Lane nagle stanął. – Moja siostra ukradła samochód?

– Rolls-royce’a. Zarejestrowanego jako samochód firmowy Bradford Bourbon Company.

– Czyli... nasz kabriolet? Phantom drophead?

– Wasz ojciec osobiście zadzwonił na policję i kazał ją zatrzymać. Zaznaczył, że ona nie ma pozwolenia na korzystanie z tego pojazdu.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Lane przeczesał włosy palcami. – Ale co ja wygaduję? Oczywiście, że mógł to zrobić. Robił już gorsze rzeczy.

– Załatwiłeś prawnika?

– Zaraz tu będzie.

– Lane! – rozległ się głos Samuela, który zmierzał w ich stronę przez nieprzebrany tłum ludzi.

Przyjaciel Lane’a zdecydowanie się wyróżniał, z wielu powodów.

Po pierwsze, w niebiesko-białym garniturze z kory wyglądał tak, jakby przed chwilą wrócił z werandy swojej wiejskiej rezydencji, gdzie popijał sobie koktajl miętowy, mając u stóp parę śpiących psów myśliwskich. Po drugie, był zbyt przystojny, żeby tak sobie chodzić wśród zwykłych śmiertelników.

– Dzięki, że tak szybko dotarłeś – powiedział Lane, ściskając mu dłoń. – Znasz Mitcha?

– Oczywiście. Uszanowanie.

– Witam.

Po zakończeniu serii powitań cała trójka pospiesznie udała się w stronę ruchomych schodów prowadzących na otwarte drugie piętro.

– Jest w areszcie – mówił Mitch, prowadząc ich w stronę łącznika.
– Ale postarałem się, żeby sędzia bezzwłocznie rozpatrzył kwestię zwolnienia za kaucją. Jak tylko będzie pan gotów...

– Proszę mi mówić Samuel. Albo Sam.

– Samuel. – Mitch pokiwał głową. – Jak tylko będziesz gotów, przekażę sprawę sędziemu McQuaidowi. Rozmawiałem już z prokuratorem. Ma związane ręce, zwłaszcza że pan Baldwin mocno naciska. Jedyne, co mogę teraz zrobić, to maksymalnie przyspieszać procedury.

Lane zgrzytał zębami. Z Gin zawsze były kłopoty, a ojciec najwyraźniej miał już jej powyżej uszu, ale żeby załatwiać takie sprawy na oczach całego miasta?

– Jestem twoim dłużnikiem, Mitch.

– Daj spokój. Nie ma o czym mówić.

Przeszli z wiceszeryfem przez kilka bramek bezpieczeństwa, aż w końcu znaleźli się w części gmachu, gdzie mieścił się areszt. Chociaż Lane'owi za młodu zdarzały się nie całkiem legalne wybryki, wszystkie zawsze dyskretnie tuszowano. Była to więc jego pierwsza wizyta w tym miejscu. Nie mógł powiedzieć, żeby miał wielką ochotę jeszcze tu kiedyś wrócić.

W poczekalni były kremowe betonowe ściany, kremowa podłoga i plastikowe krzesła: pomarańczowe, żółte i czerwone. W powietrzu unosił się zapach zjełczałego potu, brudnej odzieży i środków dezynfekcyjnych.

Dzięki Mitchowi zaraz znaleźli się przy pancерnej szybie okienka, gdzie przyjmowano zgłoszenia. Stało już tam sporo funkcjonariuszy w towarzystwie najróżniejszej maści zatrzymanych, stanowiących pełen przekrój wszelkich społecznych patologii. Tłusci faceci i chudziutki chłopaczki, skąpo odziane panienki, zaniedbane, zniszczone życiem kobiety – wszystkie te indywidua stały w miejscu lub chwiały się, przestępując z nogi na nogę. Twarze tych ludzi jasno wskazywały, że mieli w życiu pod górkę i dokonali wielu złych wyborów.

– Proszę tutaj, szeryfie – rozległ się głos strażnika stojącego przy drzwiach pancernych.

Gdy przeszli przez bramkę bezpieczeństwa, ruszyli korytarzem, mijając kolejne sale widzeń. W drzwiach były małe zakratowane okienka z siatki, a nad nimi świeciły się czerwone lampki.

– Proszę tu chwilę poczekać – powiedział strażnik przy jednej z sal.
– Zaraz ją przyprowadzę.

– Dzięki, Stuart – odparł Mitch, otwierając drzwi i przepuszczając Lane'a i Samuela. – Zaczekam na korytarzu.

– Bardzo dziękuję. – Lane poklepał go po ramieniu. – Będziemy pewnie jeszcze musieli skorzystać z twojej pomocy.

– Do usług. Będę tu czekać.

Samuel stanął na chwilę przy wiceszeryfie.

– Czy coś już wyciekło do prasy?

– Na pewno nie z naszej strony – odparł Mitch. – I postaram się, żeby tak już zostało.

– Siostra nie ma najlepszej reputacji – powiedział Lane, kręcąc głową. – Im mniej osób się o tym dowie, tym lepiej.

Mitch zamknął za nimi drzwi. Wokół stalowego stołu przykręconego do podłogi w sali stały cztery krzesła, również podobnie przymocowane. Lane nie potrafił jednak usiąść. Samuel natomiast, owszem, zajął miejsce na krześle, odłożył na bok wiekową aktówkę i złożył dłonie w stożek.

– Wściekniesz się jak diabli, że mnie tu ściągnąłeś – rzucił, kręcąc głową.

– A kogo miałem sprowadzić? – Lane potarł opadające powieki.
– Jak to załatwimy, pomożesz mi jeszcze przy rozwodzie, tak?

– Cóż, zapowiada się kolejny pracowity poranek u Bradfordów.

Dobrze, że chociaż pozwolili mi zachować własne ubranie – myślała Gin, prowadzona kolejnym korytarzem o nagich ścianach pomalowanych na kolor nieświeżego kremu z porów.

Początkowo bała się, że najpierw każą jej się rozebrać przed jakimś babochłopem w mundurze, który dłonią w rękawiczce naruszy jej sferę intymną, a potem dadzą jej pomarańczowy kombinezon wielkości namiotu cyrkowego. Gdy już się przekonała, że na to się nie zanoszą, zaczęła panikować, że wsadzą ją do jakiejś ohydnej celi pełnej zamoczonych heroiną, charczących prostytutek, od których zarazi się HIV-em.

Otrzymała jednak własną zimną celę, wyposażoną w ławę i stalowy sedes pozbawiony deski klozetowej. Papieru toaletowego też nie było.

Oczywiście i tak nigdy w życiu by z czegoś takiego nie skorzystała.

Odebrano jej kolczyki z brylantami i zegarek Chanel, jak również torebkę Vuittona, telefon i te kilkaset dolarów oraz bezużyteczne karty kredytowe, które miała w portfelu.

Pozwolono jej na jedną rozmowę telefoniczną, zupełnie jak filmach.

– Tutaj – powiedział strażnik, zatrzymując się przy Afroamerykaninie w mundurze i otwierając potężne drzwi.

– Lane...! – Już miała rzucić się bratu w ramiona, gdy dostrzegła, kto siedzi przy stole. – O Boże! Tylko nie on.

Drzwi się zamknęły, a Lane podszedł do niej i mocno ją uściskał.

– Potrzebujesz prawnika.

– A ja jestem wolny – powiedział przeciągle Samuel. – W pewnym sensie.

– Nic przy nim nie powiem. – Gin założyła ręce na piersi. – Ani słowa.

– Gin...

– Mówiłem ci. To chyba wezmę swoje rzeczy i pójdę – wtrącił Samuel.

– Siadajcie – warknął Lane. – Oboje.

Na chwilę zapadła cisza, którą Gin uznała za znak, że Samuel jest nie mniej niż ona zaskoczony tonem głosu Lane'a. Z całej czwórki rodzeństwa Lane zawsze był najmniej skłonny do walki; zawsze raczej płynął z prądem. Teraz jednak mówił zupełnie jak Edward.

Lub raczej tak jak dawny Edward.

Gdy już usiadła niechętnie na twardym, lodowatym krześle, Lane wymierzył w jej stronę oskarżycielski palec.

– Co zrobiłaś? – spytał.

– Słucham? – obruszyła się. – Dlaczego to niby ma być moja wina? Z jakiej racji uważasz, że to ja...

– Bo zwykle tak jest, Gin. – Przeciął dłonią powietrze, jakby odcinał jej linię obrony. – Przestań ściemniać. Znam cię już zbyt długo. Co tym razem zrobiłaś, żeby go wkurzyć? Wyciągnę cię z tego, ale muszę wiedzieć, co jest grane.

Gin patrzyła na niego wściekłym wzrokiem. Jedyne, czego pragnęła, to móc mu powiedzieć, żeby się odpiardolił. Jednak przed oczami wciąż miała obraz swoich kart kredytowych w automacie na stacji benzynowej i komunikatu „Transakcja odrzucona” na wyświetlaczu. Kto jej teraz pomoże, jeśli nie on?

Zerknęła na Samuela. Nie patrzył na nią, a twarz miał pozbawioną wyrazu, ale była od niego pełna wyższości dezaprobaty, równie silna jak unoszący się w powietrzu zapach jego wody kolońskiej.

– No więc? – domagał się Lane.

W panice rozważała dostępne opcje. Zdała sobie sprawę, że znalazła się między młotem a kowadłem i nie ma pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji. Dzięki odpowiednim funduszom oraz własnej skłonności do amnezji potrafiła się zawsze odpowiednio ustawić; opłacała odpowiednie osoby lub tupała nóżką, że nigdzie nie pójdzie albo przeciwnie – nie zostanie gdzieś ani chwili dłużej.

Niestety wszystkie te wspaniałe rozwiązania wymagały odpowiednich środków, które uważała za stały element swojego stylu życia – tak naprawdę należały one jednak do kogoś innego, choć do tej pory o tym nie wiedziała.

Odchrząknęła.

– Samuel, czy możesz... zostawić mnie na chwilę samą z bratem? –

Wyciągnęła rękę przed siebie. – Nie mówię, że nie możesz być moim prawnikiem, chcę tylko zamienić z nim kilka słów na osobności. Bardzo proszę.

Samuel uniósł w górę jedną brew.

– Pierwszy raz słyszę, jak używasz tego słowa.

Przynajmniej ubrana.

– Zważaj na słowa – warknął Lane. – To moja siostra.

Samuel się wzdrygnął, jakby nagle się zorientował, że nie rozmawia z Gin w cztery oczy.

– Najmocniej przepraszam. To było nieeleganckie.

– Nie odchodź daleko! – Lane zaczął krążyć po sali, przejeżdżając dłonią po krótkich, ciemnych włosach. – Chryste, potrzeba nam dobrego prawnika.

Gdy z sali wychodził mężczyzna będący dla Gin jednocześnie kochankiem, pełnomocnikiem i ojcem jej dziecka (choć o tej ostatniej okoliczności wciąż jeszcze nie wiedział), zaczęła się wpatrywać w czubki satynowych szpilek. Na przodzie lewego pantofla widniała ciemna smuga, która powstała, gdy Gin wsiadała do radiowozu.

Drzwi lekko trzasnęły. Gin, nie czekając dłużej, wypaliła:

– On chce, żebym wyszła za Richarda Pforda!

– Za Richarda... Co takiego?

– To, co słyszałeś. Ojciec odciął mnie od funduszy, żebym wyszła za tego człowieka. Mówi, że dzięki temu ta jego przeklęta firma dystrybucyjna da nam lepsze warunki czy coś.

– Czy on oszalał? – Lane wypuścił powietrze z płuc.

– Pytałeś, dlaczego wzięłam samochód. Otóż właśnie dlatego. I to dlatego ojciec wezwał policję. – Podniosła wzrok na brata. – Nie wyjdę za Richarda. Choćby ojciec nie wiem jak się wściekł. Oto co jest grane.

Wstała, podeszła do drzwi i sama je otworzyła.

– Możesz już wejść.

– To dla mnie zaszczyt – mruknął Samuel.

Ponownie zajął miejsce na krześle, koło którego leżała jego aktówka.

– Jak mogę się stąd wydostać? – spytała Gin.

– Za kaucją – odparł Samuel. – Potem zaś postaramy się, by

wycofano akt oskarżenia. Albo przekonamy sędziego, żeby umorzył sprawę, albo zaczekamy, aż twój ojciec się uspokoi i wycofa wniosek.

– O jakiej kaucji mówimy? – spytał Lane.

– Pierwszy konflikt z prawem działa na korzyść oskarżonego, ale ryzyko ucieczki za granicę ma skutek przeciwny. Nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy. McQuaid to sędzia życzliwy wobec ludzi naszego pokroju, nie wyznaczy więc zbyt wysokiej stawki.

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów – myślała Gin. Nigdy wcześniej nie wydawało jej się to dużą kwotą. Tyle co wycieczka do Chicago na zakupy w butik Chanel. Teraz jednak pomyślała o zawartości swojego portfela.

– Nie mam takich pieniędzy.

– Oczywiście, że masz! – roześmiał się Samuel.

– Zajmę się tym – wtrącił szybko Lane.

Samuel otworzył aktówkę i wyjął z niej jakieś papiery.

– Czy upoważniasz mnie, Virginio, do reprezentowania cię w tej sprawie?

A odkąd to on się do niej zwraca pełnym imieniem? Cóż, może się bał, że jeśli będzie dalej się z nią spoufalał, jej brat rozwali mu łeb o betonową podłogę.

– Tak.

– Podpisz tutaj – powiedział Samuel, świdrując ją spojrzeniem szarych oczu. Potem zaś mruknął: – Nic się nie martw. Wyciągnę cię stąd.

Ze świstem wypuściła powietrze z płuc.

– Ale co dalej? – spytała.

Czy coś właściwie się zmieni, kiedy już stąd wyjdzie? Przecież ojciec nie będzie udawał, że nic się nie stało. Zawsze ważniejsze były dla niego interesy niż własne dzieci – o czym najlepiej przekonał się Edward, który omal przez to nie stracił życia.

– Najpierw cię wyciągniemy – powiedział Lane. – A potem zajmiemy się resztą.

Zerknęła na brata i zdała sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie widziała, żeby był tak poważny. Gdy tak stał, opierając się o nagą ścianę tej paskudnej salki, wyglądał znacznie dojrzałej niż dwa lata temu, gdy

wyjeżdżał na Północ. Sprawiał teraz wrażenie, że panuje nad sytuacją.

Tego rodzaju postawy oczekiwała zawsze raczej od Edwarda niż od Lane'a, wiecznego lekkoducha.

– On wygra – rzuciła bez zastanowienia. – Ojciec zawsze wygrywa.

– Nie tym razem – wycedził Lane.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – spytał Samuel.

Lane pokręcił głową.

– Ty się zajmij wyciągnięciem mojej siostry z aresztu. A ja wezmę na siebie resztę.

Boże, miała nadzieję, że Lane dotrzyma słowa. Bo jej próba zagrania ojcu na nosie jednak nie wyszła najlepiej.

Zatrzymując porsche przed głównym wejściem do rodzinnej rezydencji, Lane nacisnął hamulec z takim impetem, że zmiotł z podjazdu połowę żwiru. Nie zgasił silnika, tylko szybko wysiadł, wbiegł po schodach ku podwójnym drzwiom wejściowym i niczym wichur wpadł do środka.

Pędząc przez dom, na nic nie zwracał uwagi – ani na pokojówkę sprzątającą w salonie, ani na kamerdynera, który coś do niego mówił, ani nawet na swoją ukochaną Lizzie, która wyszła mu na spotkanie, jakby na niego czekała.

Zmierzał ku drzwiom prowadzącym z jadalni do centrum biznesowego. Przemaszerował pod namiotem, między równo ustawionymi okrągłymi stołami, a potem wyminął pracowników zawieszających girlandy świateł na kwitnących drzewach.

W budynku, w którym pracował jego ojciec, znajdował się taras zamknięty całą serią drzwi balkonowych. Lane ruszył ku tym najbardziej na lewo. Gdy był już przy nich, nawet nie próbował naciskać na klamkę, spodziewał się bowiem, że będą zamknięte.

Zaczął walić w szybę. Z całej siły. I nie przestawał – nawet wtedy, gdy poczuł wilgoć spływającą mu po dłoni, co oznaczało, że coś chyba uszkodził.

Aha... Stłukł pierwszą szybę w drzwiach prowadzących do gabinetu ojca. Zaczął więc walić w drugą.

Pomyślał tylko, że na szczęście krwi ma pod dostatkiem.

– Lane! Co ty wyprawiasz?

Przerwał na chwilę i odwrócił się w kierunku Lizzie. Głosem, którego sam nie poznawał, powiedział:

– Muszę odnaleźć ojca.

Do gabinetu wpadła niezwykle sumienna asystentka Williama Baldwine'a. Na widok Lane'a wydała okrzyk zdumienia, który było dobrze słyszeć nawet przez rozbitą szybę.

– Pan krwawi! – zawołała.

– Gdzie jest mój ojciec?!

Pani Petersberg odblokowała drzwi i je otworzyła.

– Nie ma go tutaj, proszę pana. Przez cały dzień będzie w Cleveland. Niedawno wyjechał, nie wiem, kiedy wróci. Czy czegoś panu potrzeba?

Nie potrafiła oderwać wzroku od krwi ściekającej mu po dłoni, jakby zaraz miała wyskoczyć z jakimś „Podać panu chusteczkę?”. Jego jednak nie obchodziło, czy nakapie wszędzie krwią.

– Kto powiedział ojcu, że Gin wyjechała? Kto do niego zadzwonił? Czy to pani? Czy jakiś szpieg tam, w domu?

– O czym pan mówi?

– A może to pani wezwała policję, żeby złapała moją siostrę? Dobrze wiem, że ojciec nie umiałby sam zadzwonić pod dziewięćset jedenaście, choć twierdzą, że osobiście ich powiadomił.

Kobieta otworzyła szeroko oczy, a potem szepnęła:

– Mówił, że ona zrobi sobie krzywdę. Że będzie próbowała rano wyjechać i że muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby ją powstrzymać. Mówił, że trzeba jej pomóc...

– Lane!

Odwrócił gwałtownie głowę w stronę Lizzie i właśnie wtedy stracił równowagę, a jego ciało przechyliło się w bok.

Złapała go i mocno przytrzymała, nie pozwalając mu upaść na podłogę.

– Chodź, wracamy do domu.

Pozwolił, by go poprowadziła. Krew kapłała mu z ręki na kamienny taras, zostawiając ciemnoczerwone plamy na szarych płytkach. Lane obejrzał się jeszcze na asystentkę i powiedział:

– Proszę przekazać ojcu, że na niego czekam.

– Nie wiem, kiedy on wróci.

Bzdura – pomyślał. Przecież ta kobieta planuje mu nawet wyjścia do toalety.

– I że będę tu czekał do skutku!

Był tak wściekły, że prowadzony przez Lizzie w ogóle nie zwracał uwagi na otoczenie. Nabuzowany, myślał o losie Edwarda, Gin, ich matki. A także Maxa...

– Kiedy ostatni raz miałeś coś w ustach? – spytała Lizzie, prowadząc go przez drzwi rezydencji.

Przez chwilę wydawało mu się, że ma halucynacje. Potem jednak zdał sobie sprawę, że ci wszyscy ludzie w bieli to kucharze, a on i Lizzie są właśnie w kuchni.

– Co mówiłaś? – wymamrotał.

– Jedzenie. Kiedy ostatnio coś jadłeś?

Otworzył usta, a potem je zamknął. Zmarszczył brwi.

– Wczoraj w południe?

W jego polu widzenia zamajaczyła Aurora.

– Wielkie nieba, co z tobą, synku?

Potem toczyła się jakaś rozmowa, z której nic do niego nie docierało, a następnie zabandażowano mu rękę, na co nie zwracał uwagi.

I dalej rozmawiano.

Ocknął się z odrętwienia dopiero, gdy już siedział przy stole w świetlicy pracowniczej. Miał przed sobą talerz z jajecznicą, sześcioma plasterkami bekonu i czterema tostami.

Zamrugnął, przytomniejąc. Zaburczało mu w brzuchu. Choć w głowie wciąż miał kompletny mętlik, jego dłoń chwyciła widelec.

Lizzie siedziała naprzeciwko, na skrzypiącym krześle stojącym na gołych deskach podłogi.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

Spojrzał na Aurorę, która stała przy drzwiach, jakby chciała wyjść.

– Mój ojciec to kawał drania.

– Obyczaje ma dość osobliwe – powiedziała Aurora, która nigdy nikogo otwarcie nie potępiała.

– Próbuje sprzedać moją siostrę. – Obie oniemiały. – To jak historia z kiepskiej powieści.

Zaczął opowiadać, co się stało, zanim jednak doznał końca, zadzwoniła jego komórka. Spojrzał, kto dzwoni, i natychmiast odebrał.

– Samuel, na czym stoimy?

Prawnik musiał unieść głos, żeby przekrzyczeć otaczający go gwar.

– Siedemdziesiąt pięć tysięcy kaucji, tyle udało się wynegocjować. Jak tylko dostarczysz potwierdzony czek, możesz ją stąd zabrać.

– Już lecę. A ty stamtąd wychodzisz?

– Zostanę, dopóki ona tu jest. Ma prawo do rozmowy ze swoim pełnomocnikiem, dopóki więc tu jestem, nie będzie musiała siedzieć

w celi sama albo, co gorsza, w czyimś towarzystwie.

– Dzięki.

Rozłączył się. Aurora wyszła do kuchni, żeby sprawdzić, jak sobie radzą kucharze. Lane zwrócił się do Lizzie:

– Idę teraz załatwić pieniądze na kaucję. A potem... Sam nie wiem.

Wyciągnęła do niego rękę i położyła mu dłoń na przedramieniu.

– Spytam raz jeszcze: czy mogę coś dla ciebie zrobić?

To było jak uderzenie pioruna. W jednej chwili zachowywał się normalnie, jak każdy mężczyzna w tego rodzaju sytuacji, a w następnej...

W jego żyłach wezbrała żądza, aż cały się napiął, a iskra szaleństwa przeobraziła się w kompletny obłęd.

Opuścił powieki i szepnął:

– Na pewno chcesz, żebym ci odpowiedział?

Lizzie przełknęła głośno ślinę i spojrzała na miejsce, którego dotykała jej ręka. Nic nie mówiła, ale też nie zabrała ręki, pochylił się więc ku niej i palcem wskazującym uniósł jej podbródek. Wpatrywał się w jej usta i wyobrażał sobie, że je całuje, że schyla się ku nim i przyciska do nich wargi, wpychając ją głębiej w twarde krzesło, a potem klęka między jej nogami i wkłada ręce pod jej ubranie...

– O Boże... – szepnęła, unikając jego wzroku. Ale się nie odwróciła.

Lane zwilżył usta językiem, a potem opuścił dłoń i się odsunął, tak że ręka Lizzie też opadła.

– Musisz już iść. I to migiem. W przeciwnym razie zrobię coś, czego potem będziesz żałować.

– A ty? – szepnęła. – Też byś tego potem żałował?

– Pocałunku z tobą? Nigdy. – Pokręcił głową, uświadamiając sobie, że ani nie potrafi ukryć targających nim emocji, ani nad nimi zapanować. – Ale cię nie dotknę, dopóki mnie o to nie poprosisz. Tyle ci mogę obiecać.

Po chwili Lizzie wstała. Nie zrobiła tego z właściwą sobie gracją – jej krzesło zachybotało się, szurając po podłodze, a ona potykała się o własne nogi. Zaczekał, aż wyjdzie ze świetlicy i odejdzie kawałek korytarzem, zanim sam też ruszył.

Gdyby nie zachował tego dystansu, mógłby się na nią rzucić,

posadzić ją na stole i zrobić to, co obojgu przyniosłoby wielką ulgę.

Bo przecież ona też go pragnęła. Sam to przed chwilą widział.

Ale nie czas teraz nad tym rozmyślać.

Trzeba zmusić ojca, żeby zapłacił kaucję. Lane miał oczywiście własne pieniądze. Wygrał mnóstwo kasy w pokera, a w odróżnieniu od swojej siostry miał już trzydzieści sześć lat, przysługiwał mu więc pierwszy poziom dostępu do funduszy powierniczych.

Jednak to William Baldwin doprowadził do tej sytuacji, a skoro wyjechał, wypisanie czeku i potwierdzenie go w banku powinno być jeszcze prostsze niż zwykle.

Chwilę później Lane stał już przy drzwiach księgowej. Nawet nie zapukał, tylko nacisnął klamkę.

Drzwi ani drgnęły.

Podobnie jak wcześniej przed gabinetem ojca, zaczął walić w drzwi (tyle że drugą ręką) – tym razem mocne, dębowe.

– Nie ma jej? – spytał pan Harris, wyglądając ze swojego pokoju.

– Gdzie jest klucz od tych drzwi?

– Nie zostałem upoważniony do otwierania...

Lane odwrócił się w jego stronę.

– Przynieś mi ten pieprzony klucz albo rozwalę to cholerstwo gołymi rękami!

Kto by się spodziewał. Chwilę później kamerdyner zjawił się ze starym, ciężkim, mosiężnym kluczem.

– Proszę mi pozwolić... – powiedział.

Ale klucz niewiele pomógł. Wszedł w zamek bez problemu, ale nie dawało się go obrócić.

– Ogromnie mi przykro – mówił kamerdyner, próbując operować kluczem. – Wygląda na to, że zamek się zaciął.

– Jest pan pewien, że to właściwy klucz?

– Tu jest oznaczony. – Mężczyzna wskazał niewielką tabliczkę zwisającą z ozdobnej końcówki klucza. – Pani Freeland pewnie zaraz wróci...

– Może ja spróbuję.

Lane zajął miejsce kamerdynera, który usunął się na bok, ale klucz nadal nie chciał się obrócić. Tracąc cierpliwość, Lane zapał się

ramieniem o drzwi i...

Jego wściekły ryk złał się z trzaskiem łamanego drewna. Drzwi otworzyły się z hukiem i tak się odbiły od ściany, że musiał je przytrzymać.

– Co tu się dzieje, do cholery? – mruknął, krzywiąc się z niesmakiem i cofając z obrzydzenia przed koszmarnym smrodem.

Pan Harris zaczął się krztusić, aż musiał zakryć twarz klapą marynarki. Na korytarzu rozległ się głos:

– O Boże, co to za...

– Każ wszystkim opuścić korytarz – powiedział do kamerdynera Lane. – I dopilnuj, żeby tu nikt nie wchodził.

– Tak, dobrze, proszę pana.

Lane zakrył twarz przedramieniem i zajrzał do środka, oddychając przez rękaw koszuli. Gabinet tonął w nieprawdopodobnym mroku – ciemne zasłony całkowicie odcinały jasne światło słoneczne. Klimatyzator zamontowany w jednym z okien był wyłączony. Lane zaczął wolną ręką macać ścianę przy futrynie w poszukiwaniu przełącznika. Miał przeczucie, co zaraz zobaczy, ale wciąż nie mógł w to uwierzyć.

Pstryk!

Rosalinda Freeland siedziała w najdalszym kącie pokoju. Na jej twarzy zastygł makabryczny uśmiech. Szare palce wbijały się w perkalowe obicie fotela, a nieruchome oczy wpatrywały się w dal, jakby patrzyły na jakiś wariant życia pozagrobowego, który jej się objawił.

– Chryste Panie... – szepnął Lane, z trudem łapiąc oddech.

Jej elegancki żakiet i spódnica wyglądały doskonale, na jedwabną bluzkę opadały okulary do czytania na złotym łańcuszku, siwiejące półdługie włosy miała wciąż dość ładnie ułożone. Trudno było natomiast zrozumieć, dlaczego na nogach zamiast poważnych płaskich czółenek z czarnej skóry, które zawsze nosiła, miała parę najków, jakby wybierała się na trening.

Lane zaklął pod nosem.

Sięgnął dłonią do kieszeni, wyjął komórkę i wybrał numer jedynej osoby, która przyszła mu w tej chwili do głowy. Słuchając sygnału,

rozglądał się po gabinecie. Dookoła nie było ani śladu rozgardiaszu, co pasowało do jego wspomnień na temat tej kobiety, która pracowała w Easterly od trzydziestu lat. Biurko, jeśli nie liczyć komputera i lampy z zielonym abażurem, było całkiem puste, a na regałach skrywających pozostałe elementy wyposażenia biura panował porządek jak bibliotece.

– Halo? – rozległ się głos w słuchawce.

– Mitch!

– Przyjeżdżasz tu z czekiem?

– Mam problem.

– Jak mogę ci pomóc?

Lane zamknął oczy i pomyślał, jaki to cud, że ma tego faceta po swojej stronie.

– Właśnie patrzę na martwe ciało naszej rodzinnej księgowej.

Głos wiceszeryfa natychmiast obniżył się o oktawę.

– Gdzie?

– W jej gabinecie w Easterly. Wydaje mi się, że mogła popełnić samobójstwo. Właśnie wyważyłem drzwi.

– Dzwoniłeś pod dziewięćset jedenaście?

– Jeszcze nie.

– To zadzwoń teraz, zanim przyjadę, żeby mieli to odpowiednio zgłoszone i mogli przysłać policję. To ich zadanie.

– Dzięki.

– Niczego nie dotykaj.

– Dotknąłem tylko przełącznika, gdy wchodziłem.

– I nie wpuszczaj nikogo do środka. Zaraz tam będę.

Lane rozłączył się i wybrał numer alarmowy. Błądził wzrokiem po półkach i myślał o tym, ile pracy wykonała ta kobieta w tej małej kanciapce.

– Tak, nazywam się Lane Baldwine. Dzwonię z Easterly. – Rezydencja nie miała numeru. – W naszym domu nastąpił zgon... Tak, jestem absolutnie pewien, że nie żyje.

Chodząc po gabinecie, odpowiedział na jeszcze kilka pytań, potwierdził swój numer telefonu i znów się rozłączył.

Spojrzał na biurko. Zamierzał zastosować się do zaleceń Mitcha,

ale musiał najpierw wyjąć książeczkę czekową. Trup czy nie trup, on musi wyciągnąć Gin z aresztu.

Wyjął chusteczkę i przeszedł po orientalnym dywanie. Już miał otworzyć płaską szufladę pośrodku biurka, gdy nagle zauważył coś, co go zafrapowało. Dokładnie pośrodku skórzanej podkładki, jak gdyby ułożony tam przy pomocy linijki, leżał pendrive.

– Proszę pana? Czy mam coś zrobić? – zawołał z korytarza pan Harris.

Lane zerknął na ciało księgowej.

– Policja już tu jedzie. Nie chcę, żeby ktokolwiek tu czegokolwiek dotykał, więc już wychodzę.

Wziął do ręki pendrive, który pani Rosalinda ewidentnie zostawiła temu, kto ją znajdzie. A potem otworzył szufladę, wyjął z niej oprawioną w skórę książeczkę w formacie listowym, zatknął ją sobie z tyłu za spodnie i zakrył koszulą.

Odwrócił się w stronę ciała. Wyraz jej twarzy przypominał Jokera z filmów o Batmanie – upiorny grymas, który jeszcze długo miał mu się śnić po nocach.

– Co też mój ojciec teraz zmalował... – szepnął pod nosem, owiany zapachem śmierci.

Lizzie stała w przeszklonej oranżerii i dzwoniła do agencji wynajmu. Nagle dostrzegła na głównym podjeździe SUV-a miejscowego szeryfa.

Czyżby tak szybko przywieźli Chantal papiery rozwodowe?
Rany...

– Przepraszam – powiedziała do słuchawki, otrząsając się z zamyślenia. – Co pani mówiła?

– Rachunek nie został opłacony na czas – powtórzyła przedstawicielka agencji. – Nie możemy więc uzupełnić tego zamówienia.

– Nie został opłacony na czas? – To było tak niewyobrażalne jak informacja, że Biały Dom nie uregulował rachunku za prąd. – Ale przecież wczoraj zapłaciliśmy całą kwotę za namiot. Jest więc niemożliwe, żebyśmy...

– Proszę posłuchać, należą państwo do naszych najlepszych klientów i chcemy kontynuować tę współpracę. Nawet nie wiedziałam, że rachunek nie został uregulowany, dopóki właściciel nie powiedział mi o tym. Wysłałam tyle, ile mogłam, ale szef kazał mi wstrzymać resztę do czasu otrzymania płatności.

– Ile jesteśmy winni?

– Pięć tysięcy siedemset osiemdziesiąt pięć dolarów i pięćdziesiąt dwa centy.

– Nie będzie z tym problemu. Jeśli teraz załatwię czek, to czy mogę liczyć na uzupełnienie...

– Wszystko już wynajęliśmy. Nic nam nie zostało. W całym mieście są przez weekend imprezy. W zeszłym tygodniu dzwoniłam do pani Rosalindy i zostawiłam jej trzy wiadomości na temat nieuregulowanego rachunku. Nie oddzwoniła. Trzymałam resztę zamówienia tak długo, jak się dało, bo chciałam, żeby wszystko było w porządku. Ale ona się nie odzywała, a mieliśmy inne zamówienia do zrealizowania.

Lizzie wzięła głęboki oddech.

– No dobrze, dziękuję. Nie wiem, co tu się dzieje, ale jakoś sobie

poradzimy. Dopilnuję też, żeby rachunek został uregulowany.

– Bardzo mi przykro.

Skończywszy rozmowę, oparła się o szybę i próbowała wypatrzeć samochód szeryfa.

– ...się dowiedziałaś?

Odwróciła się w stronę Grety, która spryskiwała gotowe bukiety utrwalaczem.

– Przepraszam, co...? A, chodzi o problem z niezapłaconym rachunkiem.

– Czyli dostarczą nam te brakujące pięćset kieliszków?

– Nie. – Lizzie ruszyła w stronę drzwi prowadzących do rezydencji.

– Idę porozmawiać z panią Rosalindą, a potem będę musiała przekazać tę kiepską wiadomość panu Harrisowi. Wścieknie się, ale mamy przynajmniej namioty, stoły i krzesła. A kieliszki możemy zmywać na bieżąco. Rodzina zresztą ma pewnie ze sto własnych.

Greta spojrzała na nią przez okulary w szylkretowych oprawkach.

– Będzie tu prawie siedemset osób. Naprawdę myślisz, że wyrobimy się ze zmywaniem? Mając tylko pięćset kieliszków?

– Nie jesteś zbyt pomocna.

Opuściła oranżerię, przeszła przez jadalnię i ruszyła w stronę korytarza dla personelu. Gdy się tam znalazła, nagle zamarła. Trzy pokojówki w szaro-białych fartuszkach stały jedna przy drugiej i coś między sobą szeptały z wielkim ożywieniem – Lizzie miała wrażenie, że ogląda film z wyciszonym dźwiękiem. Obok stała pani Aurora z rękami założonymi na piersi, jak również pani Beatrix Mollie, prowadząca dom. Pośrodku korytarza stał pan Harris, a jego drobna postać zagradzała wejście do kuchni.

Lizzie z posępną miną ruszyła w jego stronę. Wówczas nagle poczuła specyficzną woń, z którą nieco ją oswoiła praca na farmie.

Z gabinetu pani Rosalindy wyszedł Afroamerykanin w mundurze szeryfa. Towarzyszył mu Lane.

– Co tu się dzieje? – spytała Lizzie, czując, jak jej klatkę piersiową przenika chłód.

Dobry Boże, czyżby pani Rosalinda...

Czy to dlatego w korytarzu unosił się rano nieświeży zapach?

Serce Lizzie waliło coraz mocniej.

– Powstała pewna niedogodność – oznajmił pan Harris. – Obecnie zajmują się nią odpowiednie osoby.

Lane, rozmawiając z szeryfem, zauważył ją i skinął jej głową. A potem drugi raz, gdy wskazała brodą oranżerię.

Pani Mollie się przeżegnała.

– Trójkami. Śmierć zawsze przychodzi trójkami.

– Bzdura – mruknęła pani Aurora, jakby zupełnie już nie miała cierpliwości do tego rodzaju tez. – Śmierć przychodzi, jak ją Pan Bóg zsyła. Nic tu nie ma do rzeczy żadne rachowanie.

– Trójkami. Zawsze trójkami.

Lizzie wróciła do oranżerii, zamknęła za sobą drzwi i spojrzała na niemal setkę bukietów z białych i różowych kwiatów.

– Co się dzieje? – spytała Greta. – Czy czegoś jeszcze brak?

– Zdaje się, że pani Rosalinda nie żyje.

Rozległ się brzdęk, z dłoni Grety wypadła buteleczka utrwalacza, która następnie kilkakrotnie odbiła się od kamiennej podłogi, opryskując obuwie robocze Grety.

– Co takiego?

– Nie wiem nic więcej.

Z ust jej koleżanki buchnęła cała wiązka niemieckich słów.

– Na to wygląda – mruknęła Lizzie. – Choć wciąż nie mogę w to uwierzyć.

– Kiedy? Jak to się stało?

– Nie wiem, ale przyjechał szeryf. I nie wezwano karetki.

– *Oh, mein Gott... Das ist ja schrecklich!*

Przeklinając pod nosem, Lizzie podeszła do okna wychodzącego na ogród i wyjrzała na olśniewająco zieloną, krótko przystrzyżoną trawę oraz elegancko ustawione stoły i namioty. Nieco pracy zostało jeszcze do zrobienia, ale wszystko już teraz wyglądało przepięknie – zwłaszcza jaśniejące główki późno kwitnących narcyzów, które obie z Gretą sadziły na grządkach pod ukwieconymi gałęziami drzew

– Mam naprawdę złe przeczucia co do tego wszystkiego – powiedziała Lizzie, nieoczekiwanie dla samej siebie.

Mniej więcej w godzinę po przyjeździe policji do Easterly

Lane'owi pozwolono na jakiś czas opuścić miejsce dochodzenia. Chciał porozmawiać z Lizzie, żeby dać jej znać, co się dzieje, ale najpierw musiał się zająć sprawą Gin.

Funduszami powierniczymi rodziny Bradfordów zarządzała prywatna firma o nazwie Prospect Trust Company, sprawująca pieczę nad miliardami dolarów i wyspecjalizowana w usługach dla najzamożniejszych mieszkańców Charlemont. Jako że nie była zwykłym bankiem, obsługę rachunków bieżących zlecała miejscowemu oddziałowi banku PNC – tam więc udał się Lane z książeczką czekową, którą wyjął z biurka pani Rosalindy.

Zaparkował przed eleganckim parterowym budynkiem i wypisał czek na siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, do wypłacenia Aresztowi Hrabstwa Washington. Sfalszował podpis ojca i ruszył do banku.

Ledwo wszedł do utrzymanego w beżach i bieli pomieszczenia, gdy stanęła przy nim kobieta w granatowym kostiumie i dyskretnej biżuterii.

– Dzień dobry. Jak się pan dzisiaj miewa?

Właśnie znalazłem w domu trupa. Poza tym dziękuję, dobrze – pomyślał.

– Świetnie, chciałbym tylko potwierdzić ten czek.

– Oczywiście. Zapraszam do mojego gabinetu. – Poprowadziła go za szklane przepierzenie, zamknęła drzwi i usiadła za małym biurkiem. – Zawsze z wielką przyjemnością obsługujemy członków pańskiej rodziny.

– Dziękuję bardzo.

Przesunął czek po podkładce na biurku i też usiadł.

Stukot paznokci po klawiaturze komputera był lekko irytujący, ale Lane miał teraz poważniejsze zmartwienia.

– Och... – Kobieta odchrząknęła. – Bardzo mi przykro, proszę pana, ale na koncie nie ma wystarczających środków.

Wyjął telefon.

– Nie ma problemu. Zadzwoń do Prospect Trust Company i zlecę przelew. Ile nam potrzeba?

– Hmm... Na koncie jest debet w wysokości dwudziestu siedmiu tysięcy, czterystu osiemdziesięciu dziewięciu dolarów i dwudziestu

dwóch centów. Oczywiście mieści się to w dopuszczalnym limicie.

– Proszę mi dać chwilę. – Lane otworzył listę kontaktów w telefonie i wybrał numer agentki sprawującej pieczę nad rodzinnymi funduszami. – Pieniądze zaraz zostaną przesłane.

Obsługującej go kobiecie wyraźnie ulżyło.

– Dobrze, to zostawię pana na trochę samego, żeby mógł pan to spokojnie załatwić. Zaczekam w recepcji. Proszę mnie zawołać, jak pan będzie gotowy. Nie ma pośpiechu.

– Dziękuję.

Czekając na połączenie, stukał mokasynem o marmurową podłogę.

– Dzień dobry, tu Lane Baldwine. Tak, wszystko w porządku. Przyjechałem na derby. – No cóż, między innymi. – Czy mogę prosić o przesłanie funduszy na nasze konto rodzinne w banku PNC?

Nastąpiła chwila milczenia, a potem jego rozmówczyni odezwała się głosem wciąż miłym i profesjonalnym, ale też nieco spiętym:

– Chętnie bym panu pomogła, lecz nie mam już dostępu do pana rachunków. W zeszłym roku przeniósł je pan do innej firmy.

– Miałem na myśli fundusze mojego ojca. Albo matki.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy.

– Obawiam się, że nie jest pan upoważniony do zlecenia tego rodzaju przelewów. Musiałabym porozmawiać z pana ojcem. Czy może go pan poprosić, żeby zadzwonił osobiście?

Poprosić to sobie może, ale pieniądze wówczas nie zobaczy. Skoro kochany tatulek próbował odciąć Gin od forsy, z całą pewnością nie ma mowy, żeby ten wielki i wspaniały potentat w jakikolwiek sposób dopomógł w zwolnieniu jej z aresztu.

– Ojciec wyjechał i jest w tej chwili nieosiągalny. Czy mogę poprosić matkę?

Miał nadzieję, że matka przy jego wsparciu zdoła zachować przytomność choć przez tyle czasu, ile potrzeba, żeby zlecić przelew stu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów na rodzinne konto.

Kobieta odchrząknęła, podobnie jak wcześniej pracownica banku.

– Bardzo mi przykro, ale... to niestety nie wystarczy.

– Przecież to jej konto! Jak to: „nie wystarczy”?

– Proszę pana, nie chciałabym powiedzieć czegoś niewłaściwego...

- Ale chyba powinna pani mi powiedzieć, o co chodzi.
- Może pan chwileczkę zaczekać?

Do jego ucha zaczęła się sączyć muzyczka. Lane wstał wzburzony z twardego krzesła i zaczął chodzić między stojącą w kącie rośliną doniczkową (która okazała się sztuczna, gdy dotknął jednego z liści) a ogromnymi rozsuwanymi oknami sięgającymi od podłogi do sufitu i wychodzącymi na czteropasmową szosę.

W słuchawce rozległo się piknięcie, a potem odezwał się męski głos:

- Pan Lane Baldwine? Tu Ricardo Monteverdi, dzień dobry.

Świetnie, sam prezes. Czyli odpowiedź na pytanie Lane'a z całą pewnością zahacza o kategorię „sprawy delikatne”.

- Dzień dobry. Potrzebuję stu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów w gotówce. To chyba nie powinien być wielki problem.

- Proszę pana, jak pan doskonale się orientuje, Prospect Trust Company bardzo poważnie traktuje swoje zobowiązania powiernicze wobec klientów...

- Niech pan sobie daruje te teksty. Albo mi pan powie, dlaczego moja matka nie może sama zlecić przelewu własnych pieniędzy, albo niech mi pan nie zawraca głowy.

Znów nastąpiło milczenie.

- Nie daje mi pan wyboru.
- O co chodzi, na litość boską?

Kolejna chwila ciszy trwała tak długo, że Lane oderwał telefon od ucha, żeby sprawdzić, czy wciąż jest na linii.

- Halo?

Obowiązkowe chrząknięcie.

- Na początku roku pana ojciec nam zgłosił, że pana matka nie jest w pełni władz umysłowych, w związku z czym nie spełnia wymogów dostępu do funduszu. Dwoje wykwalifikowanych neurologów wydało wówczas opinię, że nie jest zdolna do podejmowania decyzji. Jeśli więc potrzebuje pan funduszy z konta któregośkolwiek z rodziców, wówczas chętnie spełnię pana prośbę, ale tylko pod warunkiem, że potwierdzi ją osobiście pański ojciec. To dla mnie bardzo trudna sytuacja, mam nadzieję, że pan zrozumie...

– Zaraz do niego zadzwonię i poproszę, żeby się do pana zgłosił.

Lane zakończył rozmowę i gapił się przez okno na przejeżdżające samochody. Potem podszedł do drzwi i je otworzył. Uśmiechnął się do czekającej na niego pracownicy banku i powiedział:

– Zadzwoni do nich mój ojciec, żeby zlecić ten przelew. Będę musiał tutaj wrócić później.

– Pracujemy do siedemnastej.

– Dziękuję.

Wyszedł na oślepiające słońce, wciąż trzymając telefon w dłoni. Przeszedł po rozgrzanym chodniku, ale na razie nigdzie nie dzwonił. Drogi powrotnej do domu w ogóle nie zapamiętał.

Co on ma teraz zrobić, do cholery?

Gdy ponownie znalazł się w Easterly, na dziedzińcu przed garażami stały jeszcze dwa radiowozy, a przy drzwiach frontowych zebrało się kilku funkcjonariuszy. Zaparkował na swoim zwyczajowym miejscu, na lewo od głównego wejścia do rezydencji, i wysiadł samochodu.

– Dzień dobry panu – powiedział na jego widok jeden z mundurowych.

– Uszanowanie.

Czuł na plecach ich spojrzenia i miał ochotę odesłać ich jak najdalej od rodzinnego domu. Coraz bardziej się obawiał, że za kulisami codziennych zdarzeń dzieje się coś, o czym on nie ma pojęcia. Wolałby najpierw samodzielnie móc się przyjrzeć tym trupom pochowanym w szafach, bez wścibskich spojrzeń policjantów.

Wszedł po schodach na piętro, a potem zamknął się w swoim pokoju na klucz. Podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego stojącego przy łóżku, wybrał dziewięć, żeby uzyskać połączenie z linią zewnętrzną, a potem 67, żeby nikomu z jego rozmówców nie wyświetlił się numer wewnętrzny, z którego dzwonił. Gdy usłyszał ciągły sygnał, wprowadził często używany numer centrali, a następnie znajomą kombinację czterech cyfr.

Odchrząknął. Rozległ się jeden sygnał, a potem drugi...

– Dzień dobry, tu biuro pana Williama Baldwine’a. W czym mogę pomóc?

Przyjmując ton głosu swojego ojca, odpowiedział sucho rzeczowo:

- Połącz mnie z Monteverdim z PTC.
- Oczywiście, proszę pana! Już łączę...

W słuchawce rozległa się muzyka klasyczna, a Lane znów odchrząknął. Na szczęście ojciec nie był osobą szczególnie towarzyską, o ile nie wymagały tego interesy, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa między oboma panami nie doszło więc raczej w ostatnim czasie do wymiany informacji na tematy osobiste, co mogłoby Lane'a zdemaskować.

- Proszę pana, mam tu na linii pana Monteverdiego.

Rozległ się dźwięk przełączania rozmowy i od razu odezwał się Monteverdi.

- Dziękuję, że w końcu oddzwoniasz.

Lane obniżył nieco głos i odezwał się z silnym południowym akcentem:

– Potrzebny mi przelew na sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, na rodzinne konto...

– William, przecież ci mówiłem. Nie mogę ci dawać kolejnych wypłat. Po prostu nie mogę. Rozumiem, że twój rodzinny interes to poważna sprawa i całym sercem chcę ci pomóc wszystko uporządkować, żebyście nie wpadli w tarapaty, ale mam związane ręce. Odpowiadam przed moim zarządem, a sam mnie zapewniałeś, że spłacisz tę pożyczkę przed dorocznym spotkaniem, które jest już za dwa tygodnie. Jeśli teraz potrzebujesz dodatkowych funduszy, i to w tak mizernej wysokości, to wybacznij, ale moja wiara w twoje możliwości spłaty zadłużenia zaczyna się nieco chwiać.

Co. Jest. Kurwa. Grane.

– Jaka jest pełna kwota zadłużenia? – spytał Lane, mówiąc z charakterystycznym wirginijskim akcentem swojego ojca.

– Podawałem ci ją w ostatniej wiadomości głosowej – wycedził Monteverdi. – Pięćdziesiąt trzy miliony. Masz dwa tygodnie, William. Wybór jest następujący: albo to spłacisz, albo zgłaszasz się do JPMorgan Chase, żeby ci udzielili kredytu zabezpieczonego funduszem powierniczym twojej żony. Ona ma na tym koncie ponad sto milionów

dolarów, co spełnia ich warunki. Wysłałem ci odpowiednie papiery na prywatny adres mejlowy. Musisz tylko się postarać, żeby złożyła na nich swój podpis i problem znika, dla mnie i dla ciebie. Ale pozwól mi na pełną szczerłość: ta sytuacja jest dla mnie wysoce niekomfortowa i naraża mnie na nieprzyjemności. Nie mogę pozwolić, żeby to tak trwało. Istnieją środki zaradcze, które mogę podjąć, a które byłyby dla ciebie wysoce nieprzyjemne. Możesz być jednak pewien, że z nich skorzystam, zanim narażę się na jakiegokolwiek osobiste straty.

Kurwa.

Mać.

– Jeszcze się odezwę – powiedział głosem ojca Lane i się rozłączył.

Przez chwilę gapił się tylko w telefon. W ogóle nie mógł zebrać myśli.

A potem zaczął wymiotować.

Żołądek nagle podszedł mu do gardła, a on zgiął się wpół. Ledwo zdążył sięgnąć po kosz na śmieci.

Zwrócił wszystko, co zjadł w świetlicy pracowniczej.

Gdy skończył wymiotować, poczuł w żyłach chłód. Miał poczucie, że nic nie jest takie, jakie być powinno. Zaczął się zastanawiać, czy to nie jakiś koszmarny sen. Żeby tylko się obudzić!

Nie mógł sobie jednak pozwolić na luksus obojętności ani tym bardziej na emocjonalną rozsypkę. Miał na głowie policję, siostrę, no i cały ten niezrozumiały bajzel...

Chryste Panie, gdyby tylko mógł poprosić o pomoc Edwarda...

Godzinę później Gin zajęła miejsce obok kierowcy w grafitowym porsche brata. Zamknęła oczy i pokręciła głową.

– To było najgorsze sześć godzin w moim życiu – oświadczyła.

Lane mruknął coś niewyraźnie, co mogło oznaczać wiele różnych rzeczy, ale na pewno nie przypominało oczekiwanego przez nią okrzyku w rodzaju: „O Boże, to niesłychane, że musiałaś przez to wszystko przejść!”.

– Przepraszam cię bardzo – warknęła. – Ale przed chwilą siedziałam w areszcie...

– Mamy kłopoty, Gin.

Wzruszyła ramionami.

– Zapłaciliśmy kaucję, a Samuel dopilnuje, żeby to nie wyciekło do prasy...

– Gin... – Brat spojrzał na nią, włączając się w ruch uliczny. – Mamy poważne kłopoty.

Później, znacznie później, wspominała tę chwilę, w której ich spojrzenia spotkały się w samochodzie na samym początku całego procesu, gdy przewróciła się pierwsza kostka domina, za którą poszły wszystkie następne, tak szybko, że nie można ich było zatrzymać.

– O czym ty mówisz? – spytała cicho. – Chcesz mnie przestraszyć?

– Nasza rodzina ma długi. I to całkiem spore.

Przewróciła oczami i przecięła dłonią powietrze.

– Bądź poważny, Lane. Mam większe problemy...

– A pani Rosalinda odebrała sobie życie. W naszym domu. W ciągu ostatnich dwóch dni.

Gin zasłoniła usta dłonią. Przypomniała sobie, że przed kilkoma godzinami do niej dzwoniła i nikt nie odbierał.

– Zabiła się?

– Tak. W swoim gabinecie.

Poczuła ciarki na plecach, wyobrażając sobie telefon dzwoniący obok martwego ciała księgowej.

– Boże święty...

Lane zaklął, jednocześnie patrząc w lusterko wsteczne

i gwałtownie zmieniając pas ruchu.

– Na domowym koncie bieżącym jest spory debet, a ojcu w jakiś sposób udało się pożyczyć od PTC pięćdziesiąt trzy miliony dolarów, czort jeden wie na co. Najgorsze jednak jest to, że nie mam pojęcia, jak daleko sięga ten bajzel, ani pomysłu, jak się tego dowiedzieć.

– O czym ty... Przepraszam, nie rozumiem.

Powtórzył to wszystko raz jeszcze, ale niewiele jej to pomogło. W końcu zamilkł, a ona patrzyła przez przednią szybę samochodu na drogę wijącą się wzdłuż brzegu rzeki Ohio.

– Ojciec może to po prostu spłacić – powiedziała bez przekonania.

– Wszystko spłaci i nie będzie problemu.

– Gin, jeśli musi się pożyczyć taką kwotę, to dlatego, że ma się naprawdę poważne kłopoty. A jeśli się tego nie spłaca, to dlatego, że nie dysponuje się odpowiednimi środkami.

– Ale przecież mama ma pieniądze. Ma mnóstwo...

– Nie wiem, czy możemy być teraz czegokolwiek pewni.

– To z czego zapłaciłeś tę kaucję, żeby mnie wyciągnąć?

– Mam trochę gotówki. Mam też fundusz powierniczy, który oddzieliłem od rodzinnych funduszy. Z tych dwóch źródeł nie jestem jednak w stanie pokrywać kosztów generowanych przez Easterly, a już na pewno nie mógłbym spłacić tego rodzaju pożyczki ani utrzymać naszej firmy przy życiu, jak przyjdzie co do czego.

Spojrzała na swój zniszczony manikiur: doszczętna ruina czegoś, co wyglądało tak doskonale, gdy się rano obudziła.

– Dziękuję. Że mnie wyciągnąłeś.

– Nie ma problemu.

– Oddam ci te pieniądze.

Ale z czego? Ojciec ją odciął od funduszy... A jeśli w ogóle nie było już pieniędzy, z których by mogła korzystać?

– To po prostu niemożliwe – powiedziała. – To na pewno jakieś nieporozumienie. Jakiś... błąd w komunikacji.

– Nie sądzę.

– Trzeba myśleć pozytywnie, Lane...

– Jakies dwie godziny temu znalazłem w domu trupa księgowej, a to było jeszcze zanim dowiedziałem się o długu. Mogę cię zapewnić,

że to nie mój brak optymizmu jest tutaj problemem.

– Myślisz... – Gin aż otworzyła usta z przerażenia. – Myślisz, że ona nas okradała?

– I ukradła pięćdziesiąt trzy miliony? Albo nawet połowę tego? Nie, bo po co wówczas miałyby popełniać samobójstwo? Jeśli sprzeniewierzyła jakieś fundusze, to zachowałyby się rozsądnie, jadąc za granicę i zmieniając tożsamość. Jak się komuś uda podwędzić pracodawcy sporo gotówki, to przecież nie zabija się w jego domu.

– Ale może ją zamordowano?

Lane otworzył usta, jakby chciał powiedzieć „nie ma mowy”. Ale potem znów je zamknął, jakby rozważał potencjał tej koncepcji.

– No cóż, przecież go kochała.

Gin opadła szczęką.

– Pani Rosalinda? Ojca?

– Och, daj spokój, Gin. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Rosalinda? Przecież dla niej szczyt szaleństwa stanowiło zdjęcie apaszki.

– Może nie miała wielkiej fantazji, ale na pewno z nim była.

– W domu naszej matki?

– Nie bądź naiwna.

No dobrze, chyba po raz pierwszy w życiu zarzucono jej naiwność. Nagle wróciło do niej wspomnienie sprzed tych wszystkich lat, z tamtego sylwestra... Gdy widziała, jak ojciec wychodzi z gabinetu tej kobiety.

Ale przecież to było przed kilkoma dekadami, w innej epoce. A może nie?

Lane ostro zahamował, gdy zapaliło się czerwone światło na skrzyżowaniu w pobliżu stacji benzynowej, którą Gin rano odwiedziła.

– Pomyśl o jej domu – mówił dalej. – Duży dom w stylu kolonialnym, w pięknej dzielnicy. Pensja księgowej na pewno by na niego nie wystarczyła. Jak myślisz, kto za niego zapłacił?

– Nie miała dzieci.

– Przynajmniej nic na ten temat nie wiemy.

Lane znów wdusił gaz, a Gin mocno zacisnęła powieki.

– Zaraz chyba zwymiotuję – powiedziała.

– Mam się zatrzymać?

– Nie, masz przestać opowiadać mi te okropieństwa. Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. W tej pulsującej ciszy Gin wciąż wracała myślami do obrazu ojca wychodzącego z tamtego gabinetu i wiążącego szlafrok.

Lane w końcu pokręcił głową.

– Nieświadomość niczego nie zmieni. Musimy się dowiedzieć, co się dzieje. Muszę znaleźć sposób, żeby dowiedzieć się prawdy.

– A jak... Jak się o tym wszystkim dowiedziałeś?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

Gdy pokonywali ostatni łuk drogi prowadzącej wzdłuż rzeki do Easterly, Gin spojrzała w prawo, na wzgórze. Rodzinna rezydencja stała tam gdzie zawsze, ogromna, elegancka, rzucająca się w oczy. Charakterystyczna biała bryła przywiodła jej na myśl butelki bourbona, które na etykietkach miały grafikę przedstawiającą ten właśnie widok.

Do tej pory Gin sądziła, że pozycja jej rodziny jest niewzruszona niczym skała.

Teraz jednak poczuła, że może to być zamek zbudowany na piasku.

– No dobrze, tu wszystko gotowe. – Lizzie szła między okrągłymi stołami równo ustawionymi pod namiotem. – Krzesła wyglądają świetnie.

– *Ja* – odpowiedziała Greta, delikatnie poprawiając jeden z obrusów.

Szły dalej i sprawdzały po kolei wszystkie siedemset miejsc siedzących, kryształowe żyrandole wiszące w trzech punktach namiotu, poprawiały ułożenie blad różowo-białych drapowań.

Gdy już skończyły, wyszły na zewnątrz i śledziły położenie długich ciemnozielonych kabli wijących się w trawie i dostarczających prąd do ośmiu wiatraków mających zapewniać odpowiednią cyrkulację powietrza.

Do zmroku pozostawało jeszcze pięć ładnych godzin i ten jeden raz Lizzie mogła powiedzieć, że przed czasem wykonały wszystkie zadania z listy. Bukiety były gotowe. Rabatki z kwiatami wyglądały doskonale. W donicach ustawionych przy wejściach do namiotu cieszyły oko przepiękne kompozycje z żywych roślin i ciętych kwiatów. Nawet

stanowiska gastronomiczne w mniejszych namiotach już czekały na gości, przygotowane dokładnie według wskazówek pani Aurory.

O ile Lizzie wiedziała, jedzenie też było gotowe. Alkohol już dostarczono. Kelnerami i wynajętymi barmanami kierował Reginald, a jemu nigdy nic nie wymykało się spod kontroli. Ochroną imprezy (czyli przede wszystkim niewpuszczaniem na nią dziennikarzy) zajmowali się policjanci pracujący po godzinach, którzy czekali już w pełnej gotowości.

Właściwie to chciałyby mieć jeszcze jakieś zajęcie. Ze zdenerwowania robiła wszystko szybciej niż zwykle, i teraz nie zostało jej nic do roboty poza rozmyślaniami nad tym, że jakieś pięćdziesiąt metrów dalej toczy się śledztwo mające ustalić przyczynę zgonu.

O Boże, pani Rosalinda...

Nagle poczuła na biodrze wibracje telefonu, aż podskoczyła. Wyjęła komórkę i odetchnęła z ulgą.

– Dzięki Bogu... Halo, Lane? Wszystko w porządku? Tak. – Zmarszczyła brwi, widząc, że obserwuje ją Greta. – Zostawiłam go w samochodzie, ale mogę po niego pójść. Tak. Jasne, pewnie. Gdzie jesteś? Dobrze. Pójdę po niego i zaraz ci przyniosę.

– Co się dzieje? – spytała Greta, gdy Lizzie skończyła rozmowę.

– Nie wiem. Mówi, że potrzebny mu komputer.

– Mają ich w domu kilkanaście.

– Myślisz, że będę się z nim kłócić po wydarzeniach dzisiejszego poranka?

– Może i racja – powiedziała Greta, choć na jej twarzy wciąż malował się najwyższy stopień dezaprobaty. – Sprawdzę rabatki i donice przed domem i dopytam, czy parkingowi zjawia się na czas.

– Na ósmą?

– Tak, na ósmą. A potem nie wiem, może pojedę do domu.

Zaczyna mnie boleć głowa, a jutro czeka nas bardzo długi dzień.

– Och, to jedź, koniecznie! Wyśpij się i wróc jutro gotowa do boju.

Zanim Lizzie zdążyła się odwrócić, koleżanka rzuciła jej bacne spojrzenie przez szkła swoich ciężkich okularów.

– Wszystko z tobą w porządku? – spytała.

– Och, tak. Jak najbardziej!

– Lane sporo się tu ostatnio kręci. Dlatego pytam. Lizzie zerknęła na rezydencję.

– On się rozwodzi.

– Och, naprawdę?

– Tak twierdzi.

Greta złożyła ręce na piersi i odezwała się ponownie, tym razem z silniejszym niż zwykle niemieckim akcentem:

– Jakieś dwa lata za późno.

– On nie jest taki całkiem zły, wiesz?

– Słucham? Czy to... *Nein*, ty chyba nie mówisz poważnie.

– On nie wiedział, że Chantal jest w ciąży, rozumiesz? Greta wyrzuciła dłonie do góry.

– I to ma niby coś zmieniać, tak? Czyli on z własnej nieprzymuszonej woli wziął z nią ślub, będąc z tobą w związku. Cudownie!

– Proszę, nie mów tak – powiedziała Lizzie, trąc przemęczone oczy. – On...

– Jakoś cię przekabacił, co? Zadzwoił, może przyjechał albo co...

– A jeśli nawet? To chyba moja sprawa.

– Przez cały rok do ciebie dzwoniłam, wyciągałam cię z domu, pilnowałam, żebyś przychodziła do pracy. Byłam na każde twoje zawołanie, martwiłam się o ciebie, próbowałam naprawić wszystko to, co on zniszczył. Nie mów mi więc, że nie wolno mi w żaden sposób zareagować, gdy on ci teraz szepcze coś do ucha.

Lizzie wyciągnęła dłoń na wysokość twarzy Grety.

– Starczy. Koniec na dziś. Zobaczymy się rano.

Ruszyła przed siebie. Przez całą drogę do samochodu klęła pod nosem, a gdy już wyjęła laptopa, dalej rzucała kurwami, aż doszła do rezydencji. Z premedytacją ominęła kuchnię i oranżerię, nie chciała bowiem wpaść na pakującą się Gretę. Weszła więc przez bibliotekę i bez zastanowienia ruszyła korytarzem prowadzącym do schodów dla personelu i dalej do kuchni. Nie zaszła jednak daleko. Ledwo wyszła zza rogu, zatrzymało ją dwóch policjantów – i to właśnie wtedy zobaczyła ciało leżące na noszach.

Zwłoki pani Rosalindy Freeland włożono do białego worka

z długim zamkiem błyskawicznym, który na szczęście litościwie zamknięto.

– Proszę pani – powiedział jeden z policjantów. – Będę musiał panią poprosić o przejście na bok.

– Tak, tak, przepraszam. – Spuściła wzrok i walczyła z odruchem wymiotnym, zwracając w stronę, z której przyszła. Starła się nie myśleć o tym, co się stało.

Bezskutecznie.

Tak jak wszyscy pozostali pracownicy, podała policji swoje imię i nazwisko i złożyła krótkie oświadczenie na temat tego, gdzie przebywała przez cały poranek, jak również przez poprzednich kilka dni. Spytana o księgową, nie miała wiele do powiedzenia. Nie знаła pani Rosalindy lepiej niż ktokolwiek inny. Księgowa była osobą dość skrytą, którą mało interesowało cokolwiek poza rachunkami – i tyle.

Lizzie nie była nawet pewna, czy miała ona jakąś rodzinę, którą należało poinformować o jej śmierci.

Korzystanie z głównych schodów stanowiło naruszenie regulaminu obowiązującego w Easterly, ale zważywszy, że przed wejściem stała furgonetka koronera, a w korytarzu dla personelu przeprowadzono dochodzenie związane z niewyjaśnioną śmiercią, Lizzie uznała, że może sobie pozwolić na naruszenie standardów. Gdy znalazła się już na piętrze, ruszyła korytarzem po jasnym dywanie, mijając obrazy na ścianach oraz stojące gdzieś tam wiekowe stoliki, które świadczyły o wielkim kunszcie ich twórców.

Podchodząc do drzwi Lane'a, zastanawiała się, kiedy ostatni raz pokłóciła się o coś z Gretą. Miała ochotę do niej zadzwonić i... Ale co właściwie miałyby jej powiedzieć?

Zostaw mu tylko laptop i wyjdź – mówiła sobie w duchu. Nic więcej.

Zapukała do drzwi.

– Lane?

– Proszę!

Weszła do pokoju. Lane stał przy oknie, z jedną nogą opartą o parapet i przedramieniem spoczywającym na uniesionym kolanie. Nie odwrócił się w jej stronę ani nic nie powiedział.

– Lane? – Rozejrzała się dookoła. Nikogo z nim nie było. – Słuchaj, zostawię ci go tutaj...

– Musisz mi pomóc.

Wzięła głęboki oddech.

– Okej... – powiedziała.

On jednak dalej milczał i patrzył przez okno na ogród. Ona tymczasem – a niech to! – nie potrafiła się powstrzymać i przyglądała się jego ciału. Mówiła sobie, że szuka tylko oznak zmęczenia i wcale nie podziwia muskulatury jego ramion, krótkich włosów przy karku, okrągłych bicepsów zaznaczających się pod krótkimi rękawami jego koszulki polo.

Przebrał się od czasu, gdy ostatni raz go widziała. Wziął też prysznic: czuła zapach szamponu i płynu po goleniu.

– Przykro mi z powodu pani Rosalindy – szepnęła. – To naprawdę szok.

– Mhm.

– Kto ją znalazł?

– Ja.

Lizzie zamknęła oczy, przyciskając laptop do piersi.

– O Boże...

Lane nagle włożył rękę do przedniej kieszeni spodni i coś z niej wyjął.

– Możesz mi towarzyszyć, gdy to będę otwierał?

– Co to jest?

– Coś, co ona zostawiła. – Pokazał jej czarny pendrive. – Znalazłem to na jej biurku.

– Czy to... list pożegnalny?

– Nie sądzę. – Lane usiadł na łóżku i wskazał głową laptop. – Możemy...?

– A, oczywiście. – Usiadła obok niego, otworzyła komputer i go włączyła. – Mam zainstalowany Microsoft Office, więc nie powinno być problemu z dokumentem w Wordzie...

– Nie sądzę, żeby to był plik tekstowy.

Zalogowała się i przekazała komputer Lane'owi.

– Proszę.

Podłączył pendrive i czekał. Kiedy na ekranie pojawiło się okienko wyboru, kliknął „otwórz folder”.

Wyświetlił się tylko jeden plik, o nazwie „WilliamBaldwine”. Lizzie potarła kciukiem brew.

– Jesteś pewien, że chcesz, żebym to zobaczyła?

– Jestem pewien, że nie mogę tego obejrzeć bez ciebie.

Lizzie bezwiednie wyciągnęła rękę i oparła dłoń na jego ramieniu.

– Nie zostawię cię z tym samego.

Z jakiegoś powodu pomyślała o tej brzoskwiniowej bieliźnie, którą znalazła na łóżku jego ojca. Trudno sobie wyobrazić, żeby coś takiego mogła nosić pani Rosalinda – największym szaleństwem, na jakie kiedykolwiek zdobyła się księżowa w kwestii garderoby, był nieco jaśniejszy niż zwykle odcień szarości. Z drugiej jednak strony, kto wie, co nosiła pod tymi oficjalnymi spódnicami i żakietami?

Lane kliknął na plik, a Lizzie poczuła, że serce wali jej tak mocno, jakby z pełną prędkością przebiegła ze dwa kilometry.

Miał rację. Nie był to żaden list miłosny ani pożegnalny, lecz arkusz kalkulacyjny z wieloma kolumnami, liczbami, datami oraz krótkimi opisami, których Lizzie nie mogła odczytać, bo siedziała zbyt daleko od ekranu.

– Co to jest? – spytała.

– Pięćdziesiąt trzy miliony dolarów – mruknął, przewijając tabelę.

– Założę się, że to pięćdziesiąt trzy miliony.

– O czym ty mówisz? Czekaj... Myślisz, że ona tyle ukradła?

– Nie, ale myślę, że pomogła w tym ojcu.

– Co takiego?!

Lane oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na nią.

– Myślę, że ojciec teraz już na pewno ma krew na rękach.

To znaczy teraz możemy się o tym przekonać.

Lane ponownie utkwiał wzrok w komputerze trzymanym na kolanach. Przeglądał arkusz kalkulacyjny, śledząc pozycję za pozycją i próbując dodawać w pamięci kolejne kwoty. Niepotrzebnie jednak zawracał sobie tym głowę. Na samym końcu tabeli pani Rosalinda podała pełną sumę, którą umieściła w grubej ramce po prawej stronie dokumentu.

Okazało się jednak, że nie są to pięćdziesiąt trzy miliony dolarów, tylko sześćdziesiąt osiem milionów, czterysta osiemdziesiąt dziewięć tysięcy, dwieście czterdzieści dwa dolary i sześćdziesiąt pięć centów.
\$ 68.489.242,65.

Objaśnienia przy poszczególnych pozycjach obejmowały transakcje u Cartiera i Tiffany'ego, ale również płatności na rzecz spółki Bradford Aviation, czyli korporacji zajmującej się obsługą lotów rodzinnymi samolotami i zapewniającej im pilotów, jak również firmy o nazwie Bradford Human Resources Payroll, która najpewniej zajmowała się wypłatami dla pracowników rezydencji. W tabeli powtarzała się też jednak nazwa, której nie rozpoznawał: WWB Holdings.

To musiał być chyba skrót od William Wyatt Baldwin Holdings.
Ale co to takiego?

Ogromna część funduszy została przelana właśnie na to konto.
– Myślę, że mój ojciec... – powiedział Lane, zerkając na Lizzie. – Sam już nie wiem, spółka powiernicza twierdzi, że wpędził się, czy też raczej nas wszystkich, w ogromne długi. Ale na co poszły te pieniądze? Nawet przy nie wiem jakich wydatkach wciąż powinno wpływać mnóstwo forsy z naszych udziałów w Bradford Bourbon Company, a przecież ogromna ich większość do nas należy.

- Agencja wynajmu... – szepnęła Lizzie.
- Co takiego?
- Agencja wynajmu nie otrzymała zapłaty. Dzwonili w tej sprawie w zeszłym tygodniu do pani Rosalindy, ale ona do nich nie oddzwoniła.
- Ciekawe, komu jeszcze jesteśmy winni pieniądze.
- Mogę ci jakoś pomóc?

Gapił się na nią, próbując pozbierać myśli.

– Umożliwienie mi dostępu do tego pliku to już dobry początek.

– Ale może coś jeszcze?

Chryste, jej oczy są takie niebieskie – pomyślał. A jej usta tak naturalnie czerwone, mają też doskonały kształt.

Mówiła coś do niego, ale on nie słyszał, jakby znalazł się w dźwiękoszczelnym kokonie. Nic już do niego nie docierało, a po chwili komputer na jego kolanach wraz ze wszystkimi skrywanymi tajemnicami też zniknął. Lane nie widział już blasku ekranu ani powtarzalnego wzoru kolumn, ani zapisanych w tabeli cyfr i liter.

– Lizzie – odezwał się, wchodząc jej w słowo.

– Tak?

– Jesteś mi potrzebna – wychrypiał całkiem nieoczekiwanie dla samego siebie.

– Oczywiście. Co mogę...

Pochylił się w jej stronę i dotknął ustami jej warg, lekko je muskając...

Zaskoczona, odchyliła się w tył.

Czekał, aż wstanie i mu nawymyśla. A może nawet w stylu bohaterek miłosnych historii z lat osiemdziesiątych plaśnie go otwartą dłonią po pysku.

Ona jednak uniosła tylko w górę palce i dotknęła jego ust. Potem zamknęła oczy.

– Byłoby lepiej, gdybyś tego nie zrobił.

Cholera.

– Przepraszam. – Przeczesał dłonią włosy. – Całkiem mi się wszystko pomieszało.

– Chyba tak. – Pokiwała głową.

Wprost doskonale – pomyślał. Jego życie sypało się na tyłu frontach, że już nie potrafił ich zliczyć. Czemu więc nie dołożyć kolejnych? Ot, tak sobie, jak ma się sypać, to niech się już całkiem sypie.

– Przepraszam – powiedział. – Powinienem był...

Rzuciła się na niego tak gwałtownie, że teraz to on mało nie odskoczył. Powstrzymało go tylko pragnienie... To nieodparte pragnienie, które zawsze w nim budziła, a które gromadziło się w nim od

czasu ich rozstania.

– Mnie też się wszystko całkiem pomieszało – wyszeptała mu Lizzie prosto w usta.

Zaklął, wziął ją w ramiona i pociągnął ku sobie. Komputer zsunął się na miękki dywan, czym żadne z nich się nie przejęło. Lane chciał już zapomnieć o pieniądzach, ojcu, pani Rosalindzie... przynajmniej na chwilę.

– Przepraszam – powiedział, przekręcając ją tak, że opadła na materac. – Po prostu cię pragnę... Pragnę znaleźć się w tobie...

Puk-puk!

Oboje zamarli. Utkwili w sobie spojrzenia.

– Czego? – warknął Lane.

Zza drzwi dobiegł ich przytłumiony głos kobiety mówiącej coś o ręcznikach. Lane jednak cały czas myślał tylko o tym, że drzwi nie są zamknięte na klucz.

– Dziękuję, nie trzeba.

Lizzie wysunęła się spod niego, a on podniósł się, żeby mogła wstać. Tymczasem stojąca w korytarzu pokojówka wciąż coś mówiła.

– Wszystko mam, dziękuję! – ryknął Lane.

Śledził wzrokiem dłonie Lizzie, która poprawiała sobie koszulę i przeczesywała palcami włosy.

– Lizzie – szepnął.

Ale ona tylko pokręciła głową i zaczęła chodzić po pokoju, jak gdyby rozważała, czy skok z okna to dobra droga ewakuacji.

Pokojówka dalej nawijała, aż w końcu Lane stracił nad sobą panowanie. Zerwał się na równe nogi, skoczył ku drzwiom i gwałtownym ruchem je otworzył. Stał w progu, blokując przejście. Stała przed nim dwudziestokilkuletnia blondynka, ta sama, która była mimowolnym świadkiem jego kłótni z Chantal.

– Dzień dobry. – Pokojówka się uśmiechnęła. – Nie przeszkadzam?

– Niczego mi nie potrzeba, dziękuję – powiedział cierpko Lane. Odwrócił się, ale ona wyciągnęła rękę i ujęła go za ramię.

– Mam na imię Lillianna. Przez dwa „el” i dwa „en”.

– Bardzo mi miło. Przepraszam bardzo, ale...

– Chciałam tylko sprawdzić, czy w pana łazience niczego nie

brakuje.

Zdradził ją uśmiech oraz nieznaczny ruch biodra, przy którym wysunęła też nieco w przód nogę, jak gdyby miała na niej szpilkę, a nie crocsy.

Lane przewrócił oczami, nie mogąc powstrzymać irytacji. Kobieta, której naprawdę pragnął, właśnie się wymusnęła spod jego ciała, a ta tutaj lalunia (czy może raczej lallunnia) myśli, że ma coś do zaoferowania?

– Dziękuję, ale nie jestem zainteresowany.

Zamknął jej drzwi przed nosem, bo nie miał już siły na kurtuazję, a nie chciał powiedzieć czegoś, czego by potem żałował.

Obrócił się na pięcie i spojrzał na Lizzie, która stała z założonymi rękami przy oknie, nieco z boku, jakby uważała, żeby nikt jej przypadkiem z dołu nie dostrzegł.

– Ależ byłeś szczery... – burknęła.

– Przy tobie zawsze jestem szczery.

– Chodziło mi o twoją rozmowę z pokojówką.

– A dlaczego nie miałbym być szczery?

– Wiesz, co mnie naprawdę wkurza?

– Mogę tylko zgadywać.

– To, że podczas gdy ona ewidentnie cię kusiła, ja potrafiłam myśleć tylko o tym, żeby zdjąć z ciebie ubranie. Jakbyś był jakąś zabawką, o którą mogłabym się z nią pobić.

Poczuł w spodniach pulsujący wzwód.

– Nie musisz się z nikim bić. Jestem twój, jeśli tylko chcesz, tu teraz. Albo kiedy indziej. Za tydzień, za miesiąc, za kilka lat...

„Zamknij się! – protestowała jego erekcja. – Daj już spokój z tymi wycieczkami w przyszłość”.

– Ja nie mogę znów się w tym wszystkim pogryźć. Po prostu nie mogę.

– Już mi to mówiłaś przez telefon.

Lizzie pokiwała głową i odeszła od okna, za którym pomału zaczynało się zmierzchać. Ruszyła przez pokój, najwyraźniej zmierzając w stronę drzwi.

A niech to szlag!

Tylko nie drzwi...

Okazało się jednak, że wcale nie szła do drzwi.

Zatrzymała się przy nim, ujęła jego twarz w dłonie i przyciągnęła jego wargi do swoich.

– Lizzie... – jęknął, zanim jego język rozszalał się w jej ustach.

Pocałunek szybko wymknął im się spod kontroli. Lane nie zamierzał stracić tej szansy. Obrócił Lizzie i przycisnął plecami do ściany, aż wiszący na niej obraz podskoczył, spadł z haczyka i roztrzaskał się o podłogę. Lane miał to gdzieś. Wsunął ręce pod jej ubranie i po nagiej skórze jechał dłońmi w górę, ku piersiom.

Nie sądził, że jeszcze uda mu się znaleźć w tej sytuacji, chociaż więc chętnie by się zanurzył w leniwej i słodkiej grze wstępnej, nie mógł już czekać. Zbyt rozpaczliwie jej pożywał.

Szarpnął za gumkę jej szortów, prędko odpiął guzik i zamek, po czym ściągnął spodni z nóg Lizzie. A potem wsunął dłoń między jej uda i wepchnął ją pod bawełniane majteczki...

Lizzie jęknęła: „Lane!”, przez co mało od razu nie doszedł. Wbijała mu palce w ramiona, a jego ręce pracowały coraz natarczywiej.

– Mocniej... – jęczał błagalnie. – Zadawaj mi ból, do krwi...

Chciał, żeby przyjemności towarzyszyło cierpienie. Przez tę całą aferę z ojcem i rodziną czuł w duszy mrok i coś pierwotnego. Zastanawiał się nawet ponuro, czy to nie taki właśnie stan ducha kierował Maxem. Słyszał co nieco o poczynaniach brata – przynajmniej tyle, ile mówiły pogłoski.

Może to właśnie dlatego. Czuł, że musi wyrzucić z siebie tę ciemność, bo w przeciwnym razie ona go pochłonie.

Uniósł Lizzie w górę, zachwycając się mocnym uściskiem jej silnych ramion. Jednym ruchem rozpiął rozporek, uwalniając preżącą się tam bestię. Rozerwał bieliznę Lizzie, a potem...

Z ustami przy jej szyi wydał z siebie zwierzęcy ryk. Nie zwracał jednak uwagi na wydawane przez siebie dźwięki. Zanurzenie w jej ciasną, wilgotną szparkę wywołało dreszcz w całym jego ciele i spowodowało natychmiastowy orgazm. Tyle czasu... Tyle czasu o niej marzył, żałował tego, co się stało, zastanawiał się, co mógł zrobić inaczej. A teraz miał to, o co się tak modlił. Z każdą kroplą wytrysku

cofał czas i przywracał wszystko na właściwe miejsce, naprawiał błędy i wyrównywał straty.

Chciał się w niej zatopić, żeby choć na chwilę uwolnić się od teraźniejszości, ale okazało się, że zyskał tym samym coś zupełnie innego, znacznie potężniejszego.

Ale z Lizzie przecież zawsze tak było. Choć wiele razy w życiu uprawiał seks, wszystkie te doświadczenia całkiem zbladły, gdy w jego świecie zjawiała się ona.

Nie chciała, żeby sprawy posunęły się tak daleko.

Gdy Lane w niej szczytował, porwał ją ze sobą, uwalniając z niej to samo napięcie, którego sam się wyzbywał. Wszystko stało się tak szybko, tak szybko i wściekle, że w ciągu paru chwil sprawy się dokonały, a oni pozostali zespoleni, obmyci tą pierwszą falą, która ich porwała.

Czyżbyśmy właśnie to zrobili? – przeszło jej tylko przez głowę.

Najwyraźniej tak – odpowiedziała sobie, czując w środku kolejny spazm Lane'a.

Potem zaś zauważyła, że... O Boże, przecież on wciąż pachniał tak samo, a włosy miał nadal tak niesamowicie jedwabiste...

A jego ciało było dokładnie tak sprężyste, jak je zapamiętała.

Łzy napłynęły jej do oczu i skryła twarz w jego ramieniu. Nie chciała, żeby zauważył jej poruszenie. Wystarczająco ciężko było jej samej przed sobą przyznać się do tych wszystkich zagmatwanych uczuć.

To tylko seks, mówiła sobie. Przecież to zawsze, po obu stronach, było wyłącznie fizyczne pożądanie. A Bóg im świadkiem, że z tym nie mieli nigdy problemu – już w chwili, gdy wczoraj się spotkali, od razu czuła pod skórą ten łączący ich żar.

A on czuł to samo.

No dobrze, w porządku. Nie potrafiła powiedzieć „nie” w tej jednej intymnej sytuacji, chociaż powinna.

Nie wiadomo jeszcze, czy to błąd. To się dopiero okaże, w zależności od tego, jak dalej będą sobie radzić z powstałą sytuacją.

Zebrała się w garść i ponownie zatopiła w jego ramionach, w pełni świadoma, że wciąż są połączeni w najistotniejszym miejscu.

Zaparło jej dech w piersi, gdy dostrzegła wyraz jego twarzy,

a jeszcze bardziej, gdy uniósł dłoń i pogładził jej policzek. Wydawał się taki bezbronny.

Zanim jednak miałyby szansę jakoś spokojnie i logicznie skomentować całą sytuację, zaczął znów się w niej poruszać. Pomału, ach, pomalutku, w górę i w dół. W odpowiedzi zamknęła tylko oczy i całkiem mu się poddała. Podtrzymawały ją jego ramiona, a twarda ściana za plecami nie pozwalała się od niego odsunąć. Jakaś część Lizzie była w pełni obecna i dokładnie rejestrowała każdy ruch, z wyrazistością błyskawicy. Miała świadomość, że brakuje jej tchu, a jej krew wrze, tak że wszystko dookoła się rozplywa.

Jednak pozostała jej część była gotowa do ucieczki.

O Boże, jego dłoń przeczesująca jej włosy, jego usta tak głęboko ją całujące, jego biodra poruszające się w górę i w dół. Miała wrażenie, że całym ciałem po prostu wraca w dobrze znany rewir, za którym tak tęskniła.

A jednak nie była to dobra wiadomość.

– Lizzie – odezwał się Lane łamiącym się głosem. – Tak bardzo mi ciebie brakowało. Aż do bólu.

Nie myśl o tym – mówiła sobie. Nie słuchaj...

Znów wyjęczała jego imię, a przy kolejnej fali rozkoszy jej szparka zacisnęła się wokół jego erekcji, podczas gdy on dalej się w nią wbijał, rytmicznie uderzając jej ciałem o mur, rznąc ją tak zajadle, że głową waliła o ścianę.

Gdy w końcu zamarli i tylko ciężko dyszeli, opadła na niego bezwładnie.

– To nie może być ostatni raz – jęknął Lane, jakby wiedział, jakie myśli chodzą jej po głowie. – Nie może być i już.

– Skąd wiedziałeś...?

– Nie mam do ciebie pretensji. – Odchylił się nieco w tył i patrzył na nią spod ciężkich powiek rozpalonym wzrokiem. – Po prostu nie chcę, żeby to było...

– Lane...

Rozległo się pukanie do drzwi. Na ten dźwięk Lizzie aż podskoczyła, a on zaklął siarczyście:

– Kurwa mać!

Zważywszy, że nie był to człowiek skłonny do przekleństw, nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Czego? – ryknął w stronę drzwi.

– Proszę pana – rozległ się głos kamerdynera. – Przyjechał pan Lodge. Chciałby się z panem widzieć.

Lane zmarszczył brwi.

– Powiedz mu, że jestem zajęty.

– Mówi, że to pilne.

Lizzie pokręciła głową i po raz drugi wyślizgnęła się z jego ramion. Gdy cichutko postawiła stopy na podłodze, miała okazję przypomnieć sobie, że nie użyli prezerwatywy.

No tak – wszystko stało się dużo bardziej realne, gdy wciągnęła szorty i ruszyła do łazienki. Wykonała wszystkie niezbędne czynności, podczas gdy Lane rozmawiał przez zamknięte drzwi z angielskim kamerdynerem. Kiedy wyszła, miał już zapięte spodnie i chodził po pokoju.

Uniosła dłoń, zanim zdążył się odezwać.

– Idź się z nim zobaczyć.

– Lizzie...

– Jeśli choć część z tego, o czym mówiłeś, jest prawdą, będziesz go potrzebował.

– Dokąd idziesz?

– Nie wiem. Chyba wszystko, co mieliśmy do jutra załatwić, jest mniej więcej pozałatwiane.

A nawet tak jakby nieco ponad program – pomyślała.

– Możesz tu zostać? – wybąkał.

Uniosła brwi.

– Zostać? Ale że niby na noc? No coś ty, to niedorzeczne.

Zważywszy, że regulamin rezydencji zabraniał pracownikom korzystania ze znacznej liczby drzwi, mogła albo obudzić się rano w łóżku najmłodszego syna pana domu, albo nadal tam pracować – ale łączenie jednego z drugim było niedorzecznością.

No tak – pomyślała, wspominając te stare dobre czasy, gdy z nim była i stawiała na głowie, żeby wszystko zachować w tajemnicy.

– Gdziekolwiek – nalegał Lane. – Choćby w którymś z domków,

wszystko mi jedno.

– Posłuchaj, Lane. To nie jest... Nie wracamy do tego, co było wcześniej, pamiętasz? Nie wiem, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam, ale to nie oznacza...

Dopadł do niej, przyciągnął ją do siebie i pocałował, penetrując językiem jej usta. A ona, niech jej Bóg wybaczy, już po chwili całowała go równie natarczywie.

Choć jej umysł zgłaszał ostry sprzeciw, ciało reagowało zupełnie inaczej.

– To jest ważne – szeptał tuż przy jej ustach Lane. – To dla mnie ważniejsze niż moja rodzina. Słyszysz, Lizzie? Zawsze byłaś dla mnie najważniejsza, i tak już zostanie.

Powiedziawszy to, nagle ją zostawił i ruszył w stronę drzwi, przy których się zatrzymał i spojrzał na nią przez ramię, wbijając w nią wzrok taką powagą, jakby składał jej uroczystą przysięgę.

Usiadła na jego łóżku i spojrzała na ścianę, przy której się kochali. Płótno leżące na podłodze było rozdarte i popękane; obraz wyglądał na całkiem zniszczony. Nie podeszła jednak do niego, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Siedziała tylko i próbowała sobie wmówić, że to wszystko nie jest znakiem od Boga.

Dopiero po dłuższej chwili opuściła sypialnię Lane'a. Przy wychodzeniu zachowała pełną ostrożność: najpierw nasłuchiwała ludzkich głosów lub kroków na korytarzu, a potem uchyliła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Gdy stwierdziła, że wokół panuje cisza, szybko wyskoczyła na sam środek korytarza i szybkim krokiem ruszyła przed siebie.

Po drugiej stronie korytarza, kawałek dalej, znajdował się apartament Chantal. Mijając go, czuła zapach jej drogich perfum.

Jakby jeszcze i to miało jej przypomnieć o tym, co i tak sama dobrze wiedziała: że powinna była stamtąd uciec już wtedy, gdy po raz pierwszy im przerwano.

Zamiast pakować się na pełnym biegu w sytuację bez wyjścia. Sama była sobie winna.

Zbiegając po schodach, Lane potrafił już myśleć tylko o tym, że chciałby mieć w ręku szklaneczkę czegoś mocniejszego. Dobra wiadomość – zapewne jedyna, jaka go tego dnia czekała – była taka, że gdy wpadł do salonu, Samuel właśnie nalewał sobie rodzinnej rezerwy. Na dźwięk bourbona nalewanego do szklanki z lodem wcześniejsze pragnienie przeobraziło się w głód godny rasowego alkoholika.

– Podzielisz się z kolegą tym cudownym płynem? – spytał, gdy już zasunął chowane w ścianie drewniane drzwi po obu stronach salonu.

Mieli do omówienia sporo spraw, które nie powinny trafić do niczych uszu.

– Z przyjemnością. – Samuel podał mu kryształową szklankę obficie wypełnioną trunkiem. – Sporo się dzisiaj dzieje, co?

– Nie masz pojęcia. – Lane stuknął brzegiem szklanki o szklankę kolegi. – Czym mogę ci służyć?

Samuel opróżnił szklankę i wrócił z nią do barku.

– Słyszałem o waszej księgowej. Moje kondolencje.

– Dziękuję.

– To ty ją znalazłeś?

– Zgadza się.

– Wiem, jak to jest. – Adwokat odwrócił się w stronę Lane'a i pokręcił głową. – Nieprzyjemna sprawa.

Nawet sobie nie wyobrażasz – pomyślał Lane. Powiedział jednak tylko:

– Słuchaj, nie chcę cię poganiać, ale...

– Mówiłeś poważnie o tym rozwodzie?

– Jak najbardziej.

– Macie intercyzę? – Lane pokręcił głową, a Samuel zaklął. – Czy istnieje szansa, że ona cię zdradzała?

Lane potarł skroń i starał się wykasować z pamięci wszystko to, co przed chwilą wyprawiał z Lizzie, jak również to, co wcześniej widział na ekranie jej laptopa. Chciał powiedzieć Samuelowi, żeby spotkał się z nim jutro, ale potem pomyślał, że przecież jego problemy z Chantal nie znikną, niezależnie od tego, czy jego rodzina pogąrzy się w finansowym

bagnie, czy nie.

W sumie w świetle ostatnich poczynań jego ojca pewnie lepiej już teraz uruchomić cały proces, niż się tylko do niego przymierzać. Im szybciej pozbędzie się jej z domu, tym mniej poufnych informacji będzie mogła sprzedać brukowcom.

Oczywiście bez trudu sobie wyobrażał, że w razie gdyby Bradfordom zaczęło się kiepsko powodzić, ona pierwsza udzielałaby sensacyjnych wywiadów zaspokajających najniższe ludzkie instynkty.

– Przepraszam – wyrwał się z zamyślenia, pociągając bourbona ze szklanki. – Jakie było pytanie?

– Czy ona cię zdradzała?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Wiem tylko, że mieszka tu od dwóch lat na koszt mojej rodziny i często zamawia manikiur.

– Szkoda.

Lane uniósł brew, zdziwiony.

– Nie wiedziałem, że jesteś tak uprzedzony do instytucji małżeństwa.

– Gdyby cię zdradzała, można by to wykorzystać do zmniejszenia alimentów. W stanie Kentucky nie udziela się rozwodów z orzekaniem o winie, ale niewłaściwe postępowanie któregoś z małżonków, czyli na przykład zdrady lub przemoc, może być wykorzystane przy ustalaniu kwoty alimentów.

– Ja jej z nikim nie zdradzałem – zadeklarował Lane, nie uwzględniając oczywiście tego, co wydarzyło się przed chwilą na górze z Lizzie, jak również tych setek tysięcy razy, gdy podobne sceny rozgrywały się w jego wyobraźni.

– To akurat bez znaczenia, chyba że oczekujesz od Chantal wsparcia finansowego.

– Nigdy w życiu! Chcę tylko raz na zawsze się od niej uwolnić.

– Czy ona wie, co się szykuje?

– Już jej powiedziałem.

– Ale czy to do niej dotarło?

– Masz dla mnie jakieś papiery do podpisania? – spytał Lane, a gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, wzruszył ramionami. – No cóż, będzie wiedziała, że nie żartuję, kiedy je otrzyma.

– Jak tylko zdobędę twój podpis, od razu jadę do miasta i składam pozew. Trzeba będzie przekonać sąd, że nastąpił całkowity rozpad więzi małżeńskich, ale myślę, że skoro od dwóch lat mieszkacie oddzielnie, nie będzie z tym problemu. Muszę cię jednak ostrzec: nie ma takiej opcji, żeby ona nie złożyła wniosku o alimenty. I całkiem możliwe, że będzie cię to sporo kosztować, zwłaszcza że jej poziom życia był tutaj bardzo wysoki. Jak się domyślam, część twoich funduszy powierniczych jest już aktywna?

– Pierwszy poziom dostępu. Drugi nastąpi, jak skończę czterdziestkę.

– Jakie masz roczne dochody?

– Wliczając w to wygrane w pokera?

– A ona o nich wie? Odprowadzasz od nich podatek?

– Nie wie i nie odprowadzam.

– W takim razie o tym nie wspominamy. To ile masz dochodu?

– Nie wiem. Nic szczególnego, może milion czy coś koło tego?

Jakaś jedna piąta dochodów generowanych przez rodzinny kapitał.

– Będzie miała na to chrapkę.

– Ale nie na sam kapitał, co? Mamy tam chyba jakąś klauzulę zapobiegającą roztrwonieniu środków?

– Jeśli mówimy o umowie powierniczej rodziny Bradfordów z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, a sądzę, że tak, to przygotował ją mój ojciec, możesz więc założyć się o butelkę najlepszego bourbona, że żadna była żona niczego wam nie zwinie. Ale oczywiście będę musiał zajrzeć w dokumenty.

– Wszystko jest w PTC.

Samuel mówił coś jeszcze o składaniu wniosków, odrzucaniu roszczeń i ujawnianiu czegoś, ale Lane już się całkiem wyłączył. Myślni był na górze, w swojej sypialni, przy zamkniętych drzwiach. Lizzie rozebrana do naga leży w łóżku, a jego dłonie i usta eksplorują każdy skrawek jej ciała, niweczając barierę wytworzoną przez te dwa lata i przywracając to, co było między nimi, zanim zjawiała się Chantal w ciążowych ciuszkach od najlepszych projektantów.

Wszystkie problemy, których mógł się spodziewać w związku z ojcem i długiem, byłyby o wiele łatwiejsze do udźwignięcia... gdyby

tylko miał przy sobie Lizzie. I bynajmniej nie chodziło mu tylko o seks. Przecież przyjaciele sobie pomagają, prawda?

– Może być?

Lane przestawił się z powrotem na odbiór komunikatów prawnika.

– Jasne. Ile to potrwa?

– Tak jak mówiłem: dziś złożę pozew, mam tam kolejnego życzliwego sędziego, który jest mi winien parę przysług. A Mitch Ramsey zgodził się niezwłocznie dostarczyć papiery. Potem pozostanie jeszcze kwestia ustalenia warunków, a podejrzewam, że twoja żona wynajmie sobie jakiegoś piekielnie drogiego prawnika, za którego będziesz musiał zapłacić. Co prawda mieszkaliście oddzielnie przez więcej niż sześćdziesiąt dni, ale jeśli masz zamiar nadal tutaj mieszkać, ona powinna się jak najprędzej wyprowadzić. Nie chciałbym, żeby nam nagle odroczyli sprawę o dwa miesiące, jeśli druga strona powoła się na fakt, że wciąż razem mieszkacie. Podejrzewam, że ta kobieta będzie wszystko kwestionować, aby wyciągnąć od ciebie jak najwięcej kasy. Moim celem jest jednak, żeby zniknęła z twojego życia i zabrała ze sobą tylko swoje ciuszki i pierścionek zaręczynowy za ćwierć miliona, który jej podarowałeś. I nic więcej.

– Brzmi nieźle – powiedział Lane, myśląc, że tak naprawdę czort jeden wie, czy poza jego własnymi funduszami można mówić o jakimkolwiek majątku. – Gdzie mam podpisać?

Samuel sprawnie podawał mu kolejne arkusze papieru, które Lane kładł na brzegu wózka na napoje i składał na nich podpis niebieskim atramentem. Nie zdążył jeszcze wypić pierwszej szklanki bourbona, a wszystko już było gotowe.

– Dać ci jakąś zaliczkę? – spytał, oddając pióro.

Samuel opróżnił szklankę, a potem nałożył do niej lodu i ponownie ją napełnił rodzinną rezerwą.

– Nie wezmę za to pieniędzy – oświadczył. Lane aż się obruszył.

– Daj spokój, stary. Nie mogę się na to zgodzić. Pozwól, że...

– Nie, naprawdę. Okropnie jej nie lubię i uważam, że w tym domu nie powinno być dla niej miejsca. Ta sprawa rozwodowa to dla mnie kwestia utrzymania tu porządku. Trzeba wziąć miotłę i pousuwać stąd

śmieci.

– Nie wiedziałem, że tak bardzo cię drażni.

Samuel oparł dłonie na biodrach i utkwiał wzrok w orientalnym dywanie.

– Będę z tobą zupełnie szczery.

Po nerwowych ruchach jego szczęki Lane widział już, dokąd to wszystko zmierza.

– Dawaj.

– Jakies sześć miesięcy po twoim wyjeździe Chantal zadzwoniła do mnie z prośbą, żebym do niej przyjechał. Gdy odmówiłem, zjawiała się moim domu. Oświadczyła, że „szuka przyjaciela”, po czym włożyła mi rękę w spodnie i chciała uklęknąć. Powiedziałem, że chyba jej rozum odjęło. Nawet gdyby mnie pociągała, a tak nigdy nie było, to przecież moja rodzina jest od pokoleń związana z twoją. Nigdy w życiu nie kręciłbym z twoją żoną, nawet była czy w separacji. Poza tym stan Wirginia to miłe miejsce, żeby sobie postudiować, ale nigdy bym się nie ożenił z pochodzącą stamtąd dziewczyną. A o to właśnie jej chodziło.

Jasna cholera – pomyślał Lane. Znow się potwierdza, że miałem rację co do tej suki. Naprawdę wolałbym się mylić.

– Jakoś nie jestem tym zaskoczony, ale dobrze wiedzieć – powiedział, wyciągając dłoń do prawnika. – Kiedyś ci się odwdzięczę.

– Nie mam co do tego wątpliwości. A teraz, jeśli pozwolisz, zawiozę to szybko do sądu.

Samuel uściśnął wyciągniętą dłoń Lane'a, nieznacznie się uklonił i wyszedł, ze szklanką w rękę.

– Mogą cię aresztować za jazdę z otwartym alkoholem w dłoni! – zawołał Lane. – Tak tylko przypominam.

– Musieliby mnie najpierw dogonić! – krzyknął w odpowiedzi Samuel.

– Wariat – mruknął Lane, dopijając bourbona.

Gdy nalewał sobie kolejnego drinka, jego wzrok powędrował w stronę obrazu olejnego wiszącego nad kominkiem. Przystawiał on Elijaha Bradforda, który jako pierwszy z rodziny dorobił się na tyle wielkiego majątku, że mógł się wyróżnić z ówczesnego towarzystwa, pozując znanemu amerykańskiemu malarzowi.

Czy właśnie w tej chwili przewraca się w grobie? Czy jeszcze chwilę z tym zaczeka, aż sytuacja, w której się wszyscy znaleźli, okaże się jeszcze bardziej beznadziejna?

Gin zbiegała w panice po głównych schodach rezydencji.

Gdy tylko zobaczyła, że przed dom zajezdza staroświecki rdzawoczerwony jaguar, szybko się przebrała (w poprzednim stroju była przecież, na litość boską, w areszcie!) w jedwabną sukienkę sięgającą powyżej kolan. Poświęciła też chwilę, żeby wyszczotkować włosy i delikatnie spryskać się perfumami. Wsunęła stopy w czółenka, w których jej kostki wyglądały jeszcze szczuplej niż zwykle.

Przechodząc obok zamkniętych drzwi salonu, miała świadomość, że jej brat rozmawia z Samuelem o zaistniałej sytuacji. Czy może raczej sytuacjach...

Nie przeszkadzała im.

Zamiast wtargnąć do środka, wyszła frontowymi drzwiami i czekała przy staroświeckim kabriolecie Samuela. Mimo że słońce chyliło się już ku zachodowi, wciąż było bardzo gorąco, a do tego duszno i parno – ale może to z nerwów nie mogła złapać tchu. Żeby chociaż trochę skryć się przed upałem, stanęła w cieniu jednej z wielkich magnolii rosnących przed domem.

Patrzyła na samochód i wspominała swoją dawną nocną nim przejażdżkę: wiatr rozwiewał jej włosy, a Samuel trzymał dłoń między jej nogami, wioząc ich krętymi drogami na swoją farmę.

Kabriolet ten został zakupiony przez Samuela Lodge'a seniora w dniu narodzin syna, który miał się okazać jego jedynym potomkiem. Samuel otrzymał go na osiemnaste urodziny, z surowym przykazaniem, że ma się w tej cholernej kupie żelastwa nie zabić.

I, co ciekawe, sumiennie się do tego zalecenia stosował. Właściwie tylko za kierownicą tego kabrioletu był ostrożny. Gin od dawna już podejrzewała, jaka jest tego przyczyna: wiedział, że jeśli cokolwiek mu się stanie, drzewo genealogiczne jego rodziny na nim właśnie się skończy.

Był jedynym żyjącym przedstawicielem swojego pokolenia.

Złożyło się na to wiele indywidualnych tragedii, których znaczenia jak dotąd w ogóle nie doceniała.

Gdy tak czekała, jej serce biło szybko, ale niezbyt mocno – od tego łopotania w piersi aż kręciło jej się w głowie. Chociaż może to od upału...

Samuel otworzył frontowe drzwi i wyszedł z rezydencji, trzymając w dłoni kryształową szklankę bourbona. Cała jego postać wyglądała oszałamiająco: niesamowite rysy twarzy, przepiękny garnitur z kory i aktówka z monogramem, do tego okulary przeciwsłoneczne w złotych oprawkach i grube, ciemne włosy zaczesane do tyłu i odsłaniające wysokie czoło, na które opadał pojedynczy kosmyk, dający wrażenie precyzyjnego ułożenia, choć w rzeczywistości Samuel nigdy tym sobie nie zawracał głowy; nie było to w ogóle konieczne.

Na jej widok zatrzymał się, a potem spytał przeciągle:

– Przyszłaś mi podziękować za uratowanie cię z opresji?

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Aha. Próba negocjacji honorarium w naturze zamiast gotówką?

– Opróżnił szklankę i postawił ją na schodach przed wejściem, w geście typowym dla osób przez całe życie otoczonych służbą. – Jestem otwarty na wszelkie propozycje.

Mierzyła wzrokiem każdy jego krok, gdy zbliżał się do samochodu, przy którym stała. Tak dobrze знаła jego ciało, to mocne, umięśnione ciało, które zdradzało jego prawdziwą naturę farmera, ukrytą pod wytworną powierzchownością adwokata.

Amelia będzie wysoka, tak jak on. I już jest bardzo bystra, też po nim.

Niestety po matce odziedziczyła skłonność do robienia głupot, ale może z tego wyrośnie.

– No to słucham – odezwał się znów Samuel, kładąc aktówkę na siedzeniu samochodu. – Czy mogę sobie wybrać sposób, w jaki uregulujesz rachunek?

Choć jego oczy skrywały się za ciemnymi okularami, czuła na sobie jego wzrok. Wiedziała, że jej pragnął, że było tak od zawsze i że jej za to nienawidził. Nie był człowiekiem ceniącym ograniczenia, nawet te narzucane mu przez jego własną naturę.

Gin zresztą była taka sama.

Samuel pokręcił głową.

– Chyba nie odjęło ci mowy? Zawsze miałaś taki rozkosznie niewyparzony język. Szkoda by było, gdyby się okazało, że go straciłaś.

– Samuel...

Gdy tylko usłyszał ton jej głosu, spoważniał i zdjął okulary.

– Co się stało? – spytał.

– Ja...

– Czy ktoś cię w tym areszcie niewłaściwie potraktował? Bo jeśli tak, to osobiście tam pojedę i...

– Ożeń się ze mną.

Zamarł. Zastygł bez ruchu: nic nie mówił, nie oddychał, nawet jego serce jakby się zatrzymało. A potem parsknął śmiechem.

– No jasne, jasne. Oczywiście. Przecież nie...

– Mówię poważnie.

Drzwi samochodu otworzyły się bezszelestnie, dając świadectwo starannej opiece, jaką ten zabytkowy wóz był otaczany.

– Dzień, w którym usatkujeś się u boku jakiegoś mężczyzny, będzie zwiastował powtórne przyjście Mesjasza.

– Samuel, kocham cię.

Posłał jej sardoniczny uśmiech.

– Och, proszę cię...

– Potrzebuję cię.

– Ten areszt naprawdę cię przestraszył, co? – Samuel pochylił się usiadł na fotelu kierowcy. Przez chwilę gapił się w przestrzeń przez przednią szybę. – Słuchaj, Gin, nie przejmuj się tym zdarzeniem. Udało mi się wszystko wymazać z rejestru, nie wpiszą cię nawet do księgi zatrzymań. Nikt się o tym nie dowie.

– To wcale nie dlatego. Po prostu... Pobierzmy się. Proszę.

Spojrzał jej w twarz i zmarszczył brwi tak mocno, że aż się połączyły.

– To brzmi całkiem poważnie.

– Bo mówię poważnie – odpowiedziała. Nie była zresztą głupia. O Amelii miała zamiar powiedzieć mu dopiero później, kiedy trudniej mu będzie uciec, gdy już podpisane zostaną papiery, które nie pozwolą im się rozstać, aż w końcu on pogodzi się z tym, co mu zrobiła. – Ty i ja jesteśmy sobie pisani. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Krążymy

wokół siebie przez całe życie, a może jeszcze dłużej. Umawiasz się z kelnerkami, fryzjerkami i masażystkami tylko dlatego, że żadna z nich nie jest mną. Każdą kobietę porównujesz ze mną i żadna nie wytrzymuje tej próby. Masz obsesję na moim punkcie, tak samo jak ja na twoim. Przestańmy się oszukiwać i zrobmy wreszcie to, co należy.

Znów utkwiał wzrok w przestrzeni nad maską samochodu i przejechał swoimi pięknymi dłońmi po drewnianej kierownicy.

– Pozwól, że cię o coś spytam.

– O co tylko chcesz.

– Ilu facetom już to wcześniej mówiłaś, co? – Znów na nią spojrzął. – Ilu, Gin? Ile razy wypowiadałaś już te frazesy?

– To jest prawda – powiedziała łamiącym się głosem.

– Na nich też wypróbowałyś ten błagalny ton? Patrzyłaś na nich tym wzrokiem?

– Nie bądź okrutny.

Po dłuższej chwili milczenia pokręcił głową.

– Pamiętasz moje trzydzieste urodziny? Te na mojej farmie?

– To nie ma nic wspólnego z...

– Taka świetna niespodzianka. Nie miałem pojęcia, że wszyscy tam na mnie czekacie. Wszedłem do domu, a tu takie zaskoczenie.

Wszyscy pili moje zdrowie, ale ja szukałem ciebie...

Gin wyrzuciła ramiona w górę.

– Samuel, to było pięć lat temu! Ja wtedy...

– Właściwie tak właśnie wygląda cała historia naszego związku, Gin. Szukałem cię. Szedłem przez ten tłum i szukałem...

– To bez znaczenia! Oni wszyscy się nie liczą...

– ...ciebie, bo faktycznie jestem durniem, tak jak mówiłaś, i tylko ciebie naprawdę chciałem tam zobaczyć. I rzeczywiście cię znalazłem. W łóżku z tym argentyńskim zawodnikiem polo, którego zaprosił Edward. W moim łóżku!

– Samuel...

– W moim łóżku! – ryknął, waląc pięścią w tablicę rozdzielczą samochodu. – W moim, kurwa, łóżku, Gin!

– No świetnie, a co ty wtedy zrobiłeś? – Pochyliła się do przodu oskarżycielsko wysunęła w jego stronę palec. – Co zrobiłeś?

Przygruchałeś sobie moją współlokatorkę z akademika i jej siostrę i uprawiałeś z nimi seks w basenie...

Zaklął siarczyście.

– A co miałem niby zrobić? Pozwolić, żebyś mnie całkiem podeptała? Jestem, kurwa, mężczyzną, a nie jednym z twoich żalonych kochasiów. Nie mam zamiaru...

– A z tym Argentyńczykiem byłam jedynie dlatego, że tydzień wcześniej zrobiłeś wszystko, co tylko mogłeś, żeby się przespać

Catherine, z którą się przyjaźniłam od trzeciego roku życia! I potem musiałam wysłuchiwać jej zachwyków, jak to przeżyła z tobą najlepsze orgazmy w życiu na tylnym siedzeniu tego właśnie samochodu. Po tym, jak poprzedniej nocy byłeś ze mną! Nie opowiadaj więc, że to ty jesteś tutaj...

– Przestań. – Gwałtownie przecesał dłonią włosy. – Przestań, daj już spokój z tą... Nie będziemy dalej się w to bawić, Gin. Szarpiemy się ze sobą tak samo jak wtedy, gdy mieliśmy po kilkanaście lat...

– Szarpiemy się ze sobą, bo nam zależy, a jesteśmy zbyt dumni, żeby to przyznać. – Gin znów zamilkła, ze słabą nadzieją, że może on jeszcze wszystko przemyśli. – Samuel, jesteś jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochałam. I ja dla ciebie też jestem taką osobą. Tak już po prostu jest. Jeśli czegoś powinniśmy zaprzestać, to właśnie tej szarpaniny, tego ranienia się nawzajem. Oboje jesteśmy zbyt dumni i zbyt uparci. Nie wychodzi nam to na zdrowie.

Zapadła dłuższa chwila milczenia.

– Dlaczego teraz, Gin?

– Po prostu... Nadszedł właściwy czas.

– Tylko dlatego, że zostałam dziś rano przeszukana?

– Czy naprawdę musisz?

Samuel pokręcił głową.

– Nie wiem, czy mówisz poważnie, ale to nie mój problem.

Pozwól, że postawię sprawę jasno...

– Samuel – przerwała mu. – Kocham cię.

Mówiła prawdę. Całym sercem wierzyła w to, co mówi.

Przerażające przekonanie, że przyszłość jej rodziny rysuje się bardzo niepewnie, zdążyło się już nie tylko zalęgnąć w jej głowie, ale też

zdominować jej myśli, dzięki czemu zyskała klarowność przekonań, jakiej dotąd nie doświadczyła.

Lub może było w tym coś więcej... Może to odwaga, której jej wcześniej brakowało. Przez te wszystkie lata nigdy mu nie powiedziała, co tak naprawdę do niego czuje. Wszystko kręciło się wokół przybierania odpowiednich póz i udowadniania swojej wyższości. No i ukrywania narodzin jego córki, o czym cały czas przecież nie miał jeszcze pojęcia.

– Kocham cię – szepnęła.

– Nie. – Samuel opuścił głowę i zacisnął ręce na kierownicy, jakby szukał w sobie siły, która pozwoli mu wybrnąć z tej sytuacji. – Nie możesz tego robić, Gin. Nie ze mną. Nie próbuj udawać czegoś tak głębokiego. To ci nie wyjdzie na zdrowie, a ja mogę tego nie przeżyć. Muszę jakoś funkcjonować. Moja rodzina mnie potrzebuje. Nie pozwolę, żebyś tak mocno mieszała mi w głowie...

– Samuel...

– Nie! – wrzasnął. A potem spojrzał na nią, a jego jasne oczy były zimne i przymrużone, jakby miał przed sobą wroga. – Po pierwsze ci nie wierzę, jasne? Myślę, że kłamiesz, żeby mną manipulować. A po drugie nigdy nie pozwolę, żeby moja żona okazywała mi brak szacunku, co z pewnością stanie się udziałem twojego męża. Jesteś organicznie niezdolna do monogamii, a co gorsza, jesteś zbyt znudzona, żeby cenić trwałą związek. Ty i ja możemy sobie czasem poszaleć, ale nigdy nie zaszczycę takiej kurwy jak ty swoim nazwiskiem. Gardzisz kelnerkami? W porządku. Ja jednak prędzej włożę obrączkę na palec takiej dziewczynie niż takiemu rozpieszczonemu, zdeprawowanemu bachorowi jak ty.

Uruchomił silnik, posyłając w nagrzane powietrze podmuch o słodkim zapachu oleju silnikowego i benzyny.

– Zobaczmy się, gdy poczuję nagłą potrzebę, żeby ktoś mnie podrapał tam, gdzie sam nie sięgnę. Tymczasem baw się dobrze z całą resztą ludzkości.

Gin nie mogła się powstrzymać, żeby nie zasłonić ust obiema dłońmi, gdy wycofywał i odjeżdżał, aż w końcu jego staroświecki samochód zaczął się oddalać, opuszczając wzgórze.

Z oczu Gin kapały łzy, a wraz z nimi spływał z nich tusz do rzęs. Ten jeden raz wyjątkowo nie miało to jednak dla niej żadnego znaczenia.

Zagrała z nim w otwarte
karty. I przegrała.

Jej najczarniejsze obawy się spełniły.

– Och, Lisa?

Na dźwięk tych płynących przez oranżerię słów wypowiedzianych z południowym zaśpiewem Lizzie zamarła – co postawiło ją w dość dziwacznej sytuacji, ponieważ właśnie opierała białym o podłogę jeden ze stołów do układania bukietów, przyszła już bowiem pora uprzątnąć stanowiska.

– Lisa?

Podniosła wzrok i zobaczyła żonę Lane'a stojącą w drzwiach, jak gdyby pozowała do zdjęcia: jedną dłoń opierała na biodrze, drugą odgarniała do tyłu włosy. Miała na sobie różowe jedwabne spodnie w stylu lat sześćdziesiątych oraz jaskrawopomarańczową wydekoltowaną luźną bluzeczkę. Całości dopełniały buty o spiczastych czubkach i na maleńkich obcasikach oraz zwiewna romantyczna chusta w kolorze limonkowym okrywająca jej ramiona i zawiązana powyżej doskonale kształtnych piersi.

Wszystko to składało się na efekt „świeża, urocza i kusząca” wpędzający osobę, która czuła się „zmęczona, niespokojna i sfrustrowana”, w poczucie niższości nie tylko na poziomie włosów i garderoby, ale wręcz na poziomie genetyki molekularnej.

– Tak? – odezwała się Lizzie, wracając do uderzania w jedną ze stołowych nóg, żeby ją złożyć.

– Czy mogłabyś przestać? Strasznie hałasujesz.

– Z przyjemnością – wycedziła Lizzie.

Z jakiegoś powodu wydawało jej się, że każde błysnięcie wielkiego diamentu na palcu tej kobiety, podczas gdy ta poprawiała swoje złote loki, miało siłę siarczystego przekleństwa.

Chantal się uśmiechnęła.

– Potrzebna mi twoja pomoc. Szykuję imprezę.

Czy nie moglibyśmy najpierw przetrwać jutrzejszego dnia?

– pomyślała Lizzie.

– Z przyjemnością – powiedziała na głos.

– To impreza dla dwojga. – Chantal z uśmiechem poluzowała chustę i podeszła bliżej. – Ależ tu gorąco! Możesz coś z tym zrobić?

– Rośliny lubią taką temperaturę.
– Aha. – Ściągnęła szal i położyła go obok bukietów, które miały zostać zaniesione do ogólnodostępnych pokoi. – No cóż...

– Mówiła pani, że...?

Powrót wielkiego uśmiechu.

– Niedługo będziemy z Lane'em obchodzić rocznicę, chciałabym więc przygotować coś szczególnego.

Lizzie przełknęła ślinę, zastanawiając się, czy to jakaś nedorzeczna gierka. Czyżby ta kobieta dosłyszała jakieś odgłosy, stojąc za drzwiami na górze? A może przez ścianę?

– Wydawało mi się, że brali państwo ślub w lipcu?

– Jak to miło, że o tym pamiętasz. – Chantal przechyliła głowę w bok i spojrzała Lizzie głęboko w oczy, jakby rozmawiała z najbliższą przyjaciółką. – Rzeczywiście pobraliśmy się w lipcu, ale mam dla niego pewną bardzo szczególną wiadomość, pomyślałam więc, że moglibyśmy to święto nieco przyspieszyć.

– Myślała pani o czymś konkretnym? – spytała Lizzie.

Nie słuchała potem zbyt uważnie całego wywodu, podczas którego padały wszelkiego rodzaju pomysły. Jedyne, co zapamiętała, to słowa „romantycznie” i „we dwoje”. Zupełnie jakby Chantal nie mogła się doczekać, kiedy wykona dla męża taniec erotyczny.

– Zapisujesz to, Lisa?

Hmm, chyba nie, skoro nie mam nawet w dłoni kartki ani długopisu, co? A poza tym chyba zaraz się porzygam.

– Zrobię z przyjemnością wszystko, co tylko pani sobie życzy.

– Jesteś taka pomocna – powiedziała Chantal, po czym wskazała głową na ogród i ustawiony w nim namiot. – Jutro wszystko na pewno będzie wyglądało prześlicznie.

– Dziękuję.

– Resztę możemy omówić później. Ale, tak jak mówiłam, myślę, że najlepsza byłaby romantyczna kolacja w apartamencie hotelu Cambridge w centrum. Mogłabyś zająć się kwiatami i pięknie udekorować całe wnętrze. Chciałabym, żeby było spowite tkaninami, żebyśmy czuli się jak w jakimś egzotycznym miejscu. Tylko my dwoje...

– W porządku.

Czyżby Lane ją okłamywał? A jeśli tak... No cóż, może poprosić Gretę, żeby dopilnowała wszystkiego podczas śniadania przed derby, a ona zostanie na farmie i będzie się zajadać lodami czekoladowymi.

Tyle że dopiero co się z nią pokłóciła.

Cudownie...

– Jesteś kochana. – Chantal spojrzała na swój zegarek wysadzany diamentami. – Już chyba musisz jechać do domu, prawda? Jutro wielki dzień, powinnaś się wyspać, żeby pięknie wyglądać. No to pa!

Gdy Lizzie znów została sama, usiadła na jednym z odwróconych wiader, położyła sobie dłonie na udach i pocierała je, to w jedną, to w drugą stronę.

Oddychaj – mówiła sobie. Po prostu oddychaj.

Pomyślała, że Greta miała rację. Nie nadawała z tymi ludźmi na tych samych falach – i to wcale nie tylko dlatego, że była zwykłą ogrodniczką. Po prostu rozgrywali partie, w których ona mogła jedynie przegrywać.

Uznała, że czas już ruszać do domu. I tak raczej się nie wyśpi, ale przynajmniej będzie mogła jakoś to sobie poukładać w głowie, zanim rano wytoczą się wielkie działa.

Wstała i już miała wyjść, gdy nagle dostrzegła szal. Nie miała najmniejszej ochoty zanosić Chantal tego kawałka jedwabiu niczym labrador zwracający właścicielowi piłkę do tenisa. Problem jednak polegał na tym, że szal leżał przy bukietach, a znając swoje szczęście, mogła podejrzewać, że coś na niego wycieknie albo kapnie, a potem ona będzie musiała przez trzy miesiące odkładać całą pensję, żeby go odkupić.

Garderoba Chantal kosztowała więcej niż całe dzielnice Charlemont.

Lizzie ujęła szal w dłoń i pomyślała, że ta kobieta nie mogła zbyt daleko zajść w tych swoich idiotycznych czółenkach na małych obcasikach.

Bez trudu ją dogoni.

Gin wciąż jeszcze stała pod drzewem magnolii, gdzie zostawił ją Samuel. Na krętym podjeździe pojawił się nagle jakiś SUV. Dopiero gdy się przed nią zatrzymał, zdała sobie sprawę, że to samochód szeryfa.

Chryste Panie, czyżby ojciec znów kazał ją za coś aresztować? Po porannej przygodzie w areszcie w pierwszym odruchu chciała się rzucić do ucieczki, ale miała na nogach szpilki, a jeśliby chciała naprawdę skutecznie uciec, musiałyby ruszyć przez rabatki.

Złamana noga raczej by jej w areszcie nie pomogła.

Z samochodu wysiadł Mitchell Ramsey z plikiem papierów dłoni.

– Dzień dobry pani – ukłonił się.

Nie wyciągał kajdanek i nie wydawał się nią specjalnie zainteresowany. Okazywał jedynie zwykłą grzeczność.

– Po mnie pan przyjechał? – wypaliła.

– Nie. – Przymrużył ciemne oczy, przyglądając jej się uważnie. – Wszystko w porządku?

Bynajmniej.

– Tak, oczywiście, dziękuję.

– Proszę mi wybaczyć, ale muszę już iść.

– Czyli nie przyjechał pan po mnie?

– Nie, proszę pani. – Ruszył w stronę drzwi frontowych zadzwonił.

Może to coś w związku z panią Rosalindą?

– Proszę wejść – powiedziała, podchodząc do niego. – Szuka pan mojego brata?

– Nie. Czy zastałem Chantal Baldwine?

– Raczej tak. – Gin otworzyła drzwi, a wiceszeryf wszedł do środka, ponownie uchylając czapki. – Zaraz ją... O, pan Harris. Może pan zaprowadzić pana szeryfa do mojej bratowej?

– Z przyjemnością. – Kamerdyner ukłonił się grzecznie. – Proszę tędy. Jest chyba w oranżerii.

– Dziękuję pani – powiedział Ramsey, po czym ruszył za kamerdynerem.

– Zapowiada się ciekawa scenka – odezwał się cierpki głos dochodzący z salonu.

– Lane? – Gin obróciła się w jego stronę.

Jej brat stał przed portretem Elijaha Bradforda, unosząc w górę szklanę.

– Wypijmy za mój rozwód.

– O, naprawdę? – Gin weszła do salonu i zajęła się nalewaniem sobie drinka przy barku, nie chciała bowiem, żeby Lane dostrzegł jej czerwone oczy i zapuchniętą twarz. – No cóż, przynajmniej nie będę już więcej musiała jej ściągać z szyi klejnotów mamy. Krzyżyk na drogę! Dziwię się tylko, że nie chcesz się przyjrzeć z bliska tej pięknej scenie.

– Mam poważniejsze problemy.

Gin podeszła ze szklanką bourbona z wodą sodową do sofy i zrzuciła szpilki. Usiadła, chowając stopy pod siebie, i spojrzała na brata.

– Wyglądasz koszmarnie – powiedziała, po czym pomyślała, że jeśli chodzi o kosmary, to i tak nic nie dorówna jej samopoczuciu.

Lane usiadł naprzeciw niej.

– Nie będzie lekko, Gin. Mam na myśli sprawy finansowe. Wygląda mi to na coś naprawdę poważnego.

– Mamy przecież kapitał. Może coś z tego można sprzedać? Mamy chyba do tego prawo? Nie mam pojęcia, jak to wszystko działa.

Po raz pierwszy w życiu naprawdę żałowała, że nie ma większej wiedzy

– To skomplikowane, ze względu na umowę powierniczą.

– No cóż... Jakoś to będzie. – Spojrzała na brata, który nic nie odpowiadał, i zmarszczyła brwi. – Prawda, Lane?

– Nie wiem, Gin. Naprawdę nie wiem.

– Zawsze mieliśmy pieniądze.

– Owszem, mieliśmy.

– Mówisz tak, jakby to już było w czasie przeszłym!

– Nie oszukuj się, Gin.

Odchyliła głowę w tył i patrzyła na wysoki sufit, wyobrażając sobie matkę leżącą w tym swoim łóżu. Zastanawiała się, czy jej przyszłość też będzie tak właśnie wyglądała. Czy pewnego dnia po prostu wycofa się z życia i zaciągnie zasłony, żeby od tej pory żyć w farmaceutycznej mgle?

W tej chwili taka perspektywa wydawała się całkiem

kusząca. Boże, czy Samuel naprawdę odrzucił jej względy?

– Płakałaś, Gin?

– Nie – odpowiedziała bez zająknięcia. – To tylko alergia, braciszku. Wiosenna alergia...

Lizzie wypadła z oranżerii ze zwiewnym szalem Chantal, tak mocno wyperfumowanym, że aż kręciło ją w nosie. Zabawne: mogły ją otaczać tysiące prawdziwych kwiatów, ale dopiero ten wyszukany sztuczny zapach powodował, że miała ochotę sięgnąć po leki przeciwalergiczne.

Od strony jadalni doszedł ją charakterystyczny wirginijski zaśpiew, z jakim mówiła Chantal. Ruszyła w tamtą stronę, żeby...

– Co to jest? – pytała Chantal.

Lizzie zatrzymała się w pół kroku i oparła się o bogatą sztukaterię zdobiącą zwieńczone łukiem przejście.

Chantal stała przy krańcu długiego błyszczącego stołu w towarzystwie umundurowanego wiceszeryfa, który najwyraźniej wręczył jej przed chwilą grubą kopertę.

– Przesyłka dostarczona. – Skinął głową. – Miłego dnia.

– Jak to „dostarczona”? Co to ma... O, nie, nie odejdzie pan, dopóki tego nie otworzę. – Rozerwała kopertę. – Może pan tu poczekać, aż...

Wyjęła z koperty cały plik dokumentów, złożonych na trzy. Gdy je rozkładała, serce Lizzie waliło jak oszalałe.

– Rozwód? – jęknęła Chantal. – Rozwód?!

Lizzie wycofała się dalej do korytarza i przywarła plecami do ściany. Z ulgą zamknęła oczy. Wkurzała ją ta satysfakcja, naprawdę. Nie mogła jednak udawać. Owszem: było jej całkiem miło, że nie wyszła kolejny raz na idiotkę.

– To pozew rozwodowy! – krzyknęła z oburzeniem Chantal. – Dlaczego pan mi to robi?

– Proszę pani, moje zadanie to dostarczyć przesyłkę. A teraz, skoro pani ją przyjęła...

– Wcale jej nie przyjąłem! – Do uszu Lizzie doszedł gwałtowny szelest papieru, jakby Chantal rzuciła wiceszeryfowi te dokumenty w twarz. – Proszę to zabrać!

– Proszę pani. – Ramsey się zniecierpliwił. – Radzę pani pozbierać te dokumenty z podłogi. Zresztą nie musi pani tego robić. Ale jeśli dalej

będzie pani tak się zachowywać, to będę musiał panią skuć, przypiąć w radiowozie i zabrać do aresztu z zarzutem agresywnego traktowania funkcjonariusza na służbie. Czy się rozumiemy?

Nadszedł czas na spazmy.

Pośród szlochów i niewątpliwie w asyście falującej piersi Chantal ze wszystkich sił usiłowała teraz zaskarbić sobie względy wkurzonego wiceszeryfa.

– Ale mój mąż mnie kocha. On nie robi tego na poważnie. On tylko...

– Proszę pani, to nie moja sprawa i nie mam tutaj nic do powiedzenia. Miłego dnia.

Rozległy się ciężkie, oddalające się kroki.

– A niech cię szlag, Lane – syknęła całkiem opanowanym tonem Chantal. Najwyraźniej spazmów dostawała tylko wobec odpowiedniej widowni.

Nagle bez ostrzeżenia rozległ się stukot jej obcasików po podłodze. Kierowała się w stronę Lizzie. Jasna cholera, nie było czasu, żeby się ulotnić...

Chantal wyszła zza rogu i na widok Lizzie aż podskoczyła. Choć na potrzeby wiceszeryfa szlochała jak się patrzy, jej oczy były całkiem suche, a makijaż pozostał nienaruszony.

Atak. Szału.

– Co ty tutaj robisz?! – wrzasnęła Chantal, trzęsąc się z wściekłości. – Podśłuchujesz!

Lizzie wyciągnęła w jej stronę szal.

– Chciałam pani to przynieść...

Chantal chwyciła jedwabną tkaninę.

– Wynoś się stąd! Ale już!

Z najwyższą przyjemnością – pomyślała Lizzie, po czym się odwróciła i ruszyła na świeże powietrze.

Przeszła przez namiot, klucząc między stołami i krzesłami. Wyjęła telefon i wysłała Lane'owi radosną wiadomość w stylu: „Nic złego się nie dzieje, ruszam do domu po ciężkim dniu”.

Bóg jeden raczy wiedzieć, ile ten chłopak będzie musiał wytrzymać, kiedy go znajdzie Chantal.

Ale dobra wiadomość – przynajmniej dla Lizzie – była taka, że nie musiała już chyba przygotowywać rocznicowej kolacji.

No i dobrze wiedzieć, że Lane jednak nie kłamał.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, który sam wypływał jej na twarz i nie chciał z niej zejść. Pozwoliła mu więc tam zostać.

Telefon Lane'a wydał z siebie elektroniczne piknięcie akurat w chwili, gdy obok salonu przemaszerowała Chantal, kierując się ku schodom i wrzeszcząc „Lane!”. Nie zdradzał swojej obecności w salonie i pozwolił jej oddalić się po schodach. Niech sobie urządza dramatyczne sceny przed zamkniętymi drzwiami jego pustej sypialni.

Zabawne: jeszcze kilka godzin wcześniej fakt, że są teraz na wojennej ścieżce, stanowiłby dla niego spore wyzwanie. Teraz jednak kwestia ta spadła bardzo nisko na liście jego priorytetowych problemów.

– Muszę zobaczyć się z Edwardem – powiedział. Nawet nie chciało mu się sprawdzić, od kogo dostał wiadomość.

Gin pokręciła głową.

– Na twoim miejscu nie robiłabym tego. On nie czuje się dobrze, a taka wiadomość może tylko pogorszyć sprawę.

Miała trochę racji. Edward i tak już nienawidził ojca. Jeśli się okaże, że ten sprzeniewierzył rodzinne fundusze, to...

Gin wstała i podeszła do barku nalać sobie kolejnego drinka.

– Jutro wszystko ma się odbyć zgodnie z planem?

– Masz na myśli to całe śniadanie? – Lane wzruszył ramionami.

– Nie wiem, jak miałbym to powstrzymać. Zresztą impreza w większości została już opłacona. Jedzenie, alkohol, sprzęt...

Wstydział się przyznać, że istnieje jeszcze inny powód, dla którego nie można wszystkiego odwołać. Myśl, że całe towarzystwo miałoby się dowiedzieć choćby o części komplikacji czekających być może jego rodzinę, była dla niego nie do zaakceptowania.

Rozległ się odgłos kroków kogoś zbiegającego pędem po wyłożonych wykładziną schodach. Gin uniosła brew.

– Wygląda na to, że czeka cię scenka małżeńska.

– O ile ona mnie tu znajdzie...

Chantal zjawiała się w progu salonu. Jej zwykle blada i łagodna twarz była teraz czerwona jak u spracowanego piekarza.

– Jak śmiesz?! – ryknęła.

– Chyba musisz się zacząć pakować, skarbie – powiedziała z anielskim uśmiechem Gin. – Mam zawołać kamerdynera? Myślę, że możemy wyświadczyć ci tę ostatnią przysługę. Taki miły prezent pożegnalny.

– Nigdzie się nie wybieram – oświadczyła Chantal, nie zwracając uwagi na Gin. – Rozumiesz, Lane?

Palcem wskazującym zamieszał lód w szklance.

– Gin, możesz nas na chwilę zostawić samych?

Jego siostra uprzejmie skinęła głową i ruszyła w stronę wyjścia. Przechodząc obok Chantal, zatrzymała się i rzuciła bratu znaczące spojrzenie.

– Poproś kamerdynera, żeby sprawdził jej walizki pod kątem naszej biżuterii.

– Ależ z ciebie suka – syknęła Chantal.

– Owszem. – Gin wzruszyła ramionami, jak gdyby szkoda jej było zwracać sobie głowę rozmową. – A przy okazji mam też wszelkie prawa do noszenia nazwiska Bradford i korzystania z rodzinnej fortuny. W przeciwieństwie do ciebie. To pa!

Uniosła dłoń i pomachała bratowej palcami. Lane podniósł się sofy i stanął między żoną a siostrą, żeby zapobiec ewentualnej zmianie sytuacji w scenę przypominającą walkę w basenie między Krystle i Alexis z *Dynastii*. Potem zaś podszedł do drzwi i zamknął je za Gin, choć wcale nie miał ochoty zostawać z żoną sam na sam.

– Nigdzie się stąd nie ruszam. – Chantal obróciła się w jego stronę – A to wszystko nie ma prawa się w ogóle dziać!

Rzuciła mu do stóp papiery rozwodowe. Pomyślał tylko, że naprawdę nie ma na to czasu.

– Słuchaj, Chantal, możemy to załatwić szybko i bezboleśnie albo wręcz przeciwnie. Wybór należy do ciebie. Ale musisz wiedzieć, że jeśli zdecydujesz się na tę dłuższą i bardziej bolesną drogę, wówczas zaangażuję również twoją rodzinę. Jak myślisz, czy religijni baptyści, jakimi są twoi rodzice, ucieszą się, kiedy otrzymają kopie twoich papierów medycznych? Chyba nie należą do frontu walczącego o prawo kobiet do przerywania ciąży...

– Nie zdołasz tego zrobić!

– Nie bądź głupia. Jest wiele osób, do których mogę się o coś takiego zwrócić. Wielu ludzi zawdzięcza coś naszej rodzinie i chętnie spłaci dług wdzięczności. – Podeszedł do barku i nalał sobie do szklanki kolejną porcję rodzinnej rezerwy. – A może spodobałby ci się inny scenariusz. Na przykład gdyby kopie tych papierów medycznych trafiły do gazet lub serwisów internetowych? To by wielu osobom wyjaśniło, dlaczego się z tobą rozwodzę. A tobie nie byłoby po czymś takim łatwo znaleźć kolejnego męża. W przeciwieństwie do mieszkańców Północy my tutaj na Południu mamy pewne standardy, jeśli chodzi o wybór żony, na pewno nie obejmują one skłonności do aborcji.

Zapadła dłuższa chwila milczenia. A potem na twarz Chantal wypłynął uśmiech tak niezrozumiały, tak spokojny i zdecydowany, że Lane zaczął się zastanawiać, czy przez ostatnie dwa lata jego żona całkiem nie zgłupiała.

– Ty masz do ukrycia nieco więcej niż ja – powiedziała cicho.

– Czyżby? – Przyłożył usta do brzegu szklanki i pociągnął z niej długi łyk. – Ciekawe, jak to sobie wykombinowałaś. Ja tylko zachowałem się przyzwoicie wobec kobiety twierdzącej, że za moją sprawą zaszła w ciążę. Skąd miałbym zresztą wiedzieć, czy to w ogóle było moje dziecko.

Wskazała na papiery leżące na podłodze.

– Będziesz musiał to wszystko wycofać. I pozwolić mi zostać w tym domu tak długo, jak tylko zechcę. A jutro pójdziesz razem ze mną na wszystkie uroczystości związane z derby.

– Chyba w twoich snach!

Położyła sobie rękę na podbrzuszu.

– Jestem w ciąży.

Lane parsknął śmiechem.

– Już raz tego próbowałaś, kochanie. I oboje dobrze wiemy, jak to się skończyło.

– Twoja siostra się myli.

– Co do tego, że możesz nam ukraść biżuterię? To się jeszcze okaże.

– Nie. Co do tego, że nie mam prawa tutaj przebywać. Mam, tak

samo jak moje dziecko. Tak się składa, że moje dziecko ma dokładnie takie same prawa do korzystania z fortuny Bradfordów jak ty czy Gin.

Lane otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale potem powoli je zamknął.

– O czym ty mówisz? – wypalił wreszcie.

– Obawiam się, że twój ojciec nie jest lepszym mężem od ciebie.

Do jego uszu doszedł stukot lodu w szklance. Opuścił wzrok zauważył, patrząc na wszystko jakby z zaświatów, że to jego dłoń drży dlatego właśnie lód się porusza.

– Właśnie tak – mówiła dalej spokojnie i niespiesznie Chantal. – A wszyscy chyba zdajemy sobie sprawę, w jak wątłym stanie zdrowia znajduje się twoja matka. Jak by się czuła, wiedząc, że jej mąż nie tylko nie był jej wierny, ale też, że ma się z tego narodzić dziecko? Nie sądzisz, że mogłaby wówczas wziąć więcej tych pigułek, od których tak jest już uzależniona? Ja myślę, że by wzięła. Jestem o tym przekonana.

– Ty suko! – wydyszał Lane.

Oczami wyobraźni zobaczył, jak zaplata dłonie na gardle tej kobiety i naciska, naciska tak długo, aż ona zaczyna się rzucać, jej twarz robi się fioletowa, a usta rozchylają się w śmiertelnym spazmie.

– Z drugiej jednak strony – ciągnęła cicho Chantal – czy nie ucieszyłaby jej wiadomość, że po raz drugi ma zostać babcią? Czyż nie byłby to powód do radości?

– Nikt nie uwierzy, że to moje – rzucił Lane.

– Ależ oczywiście, że wszyscy uwierzą. Będzie wyglądał dokładnie jak ty, a ja przecież regularnie jeździłam na Manhattan, żeby pracować nad naszym związkiem. Wszyscy tutaj dobrze o tym wiedzą.

– Kłamiesz! Nigdy cię tam nie widziałem.

– Nowy Jork to spore miasto. Ja jednak dołożyłam wszelkich starań, żeby wszyscy tutaj wiedzieli, że się z tobą widywałam i miło spędzałam czas. Rozmawiałam też o tym z dziewczynami w klubie, z ich mężami na imprezach, ze swoją rodziną... Wszyscy okazywali wielkie wsparcie dla naszego małżeństwa.

Lane milczał, a ona słodko się uśmiechnęła.

– Jak więc widzisz, te papiery rozwodowe nie będą wcale

potrzebne. A ty nie zdradzisz nikomu ani słowa na temat tego, co się stało z naszym pierwszym dzieckiem. Bo jeśli spróbujesz, wyjawię wszystko, co mnie tu spotkało, i przyniosę wam wstyd przed całym towarzystwem, całym miastem i stanem. A potem zobaczymy, ile czasu upłynie, zanim będziesz musiał przywdziać strój żałobny. Twoja matka może i straciła kontakt z rzeczywistością, ale nie żyje w pełnej izolacji. Pielęgniarka codziennie rano czyta jej gazetę.

Najwyraźniej zadowolona z siebie, Chantal się odwróciła i rozsunęła drzwi, po czym wyszła na wyłożony marmurem korytarz, znów odgrywając rolę kobiety z wyższych sfer, z uśmiechem Giocondy na twarzy.

Lane cały się trząsł, czuł w żyłach zew działania, zemsty, krwi – tyle że cała ta wściekłość wcale już nie była wymierzona w Chantal.

Tylko w ojca.

Przyprawić komuś rogi. Tak się chyba na to dawniej mówiło. Jego własny przeklęty ojciec przyprawił mu rogi.

Jasna cholera, czy ten dzień kiedyś się skończy? – pomyślał.

Lizzie wmawiała sobie, że wcale nie sprawdza telefonu. Ani wtedy, gdy zaraz po wejściu do domu wyjęła go z torebki i przełożyła do tylnej kieszeni, ani piętnaście minut później, gdy upewniła się, czy na pewno nie wyłączyła dźwięku, ani po jeszcze dziesięciu minutach, gdy odblokowała ekran, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś nieodebranych połączeń lub wiadomości.

A tu nic.

Lane nie zadzwonił sprawdzić, czy wróciła do domu. Nie odpowiedział na esemes. No ale w końcu miał teraz na głowie rozwścieczoną kocicę.

Rany...

Mimo wszystko wciąż krążyła po domu; nie mogła sobie znaleźć miejsca. Kuchnię miała wysprzątaną, a szkoda, bo chętnie by teraz coś poszorowała. To samo dotyczyło sypialni na górze – cholera, rano pościeliła nawet łóżko, a poprzedniego wieczoru zrobiła pranie. Jedyną rzeczą znajdującą się nie na swoim miejscu był ręcznik, którym się wytarła po porannym prysznicu – wciąż wisiał jeszcze byle jak na drążku od zasłonki. Jako że nie minęły jeszcze przepisowe dwa dni, po których używane ręczniki wrzucała do kosza na brudną bieliznę, mogła go tylko złożyć wzdłuż i przewiesić przez drążek wystający ze ściany.

Po niemal całkiem bezchmurnym dniu piętro domu było mocno nagrzane, poszła więc na górę i pootwierała wszystkie okna, wpuszczając do środka wietrzyk o zapachu okolicznych łąk, dzięki czemu szybko znikł panujący tam wcześniej zaduch.

Szkoda, że nie mogła podobnie przewietrzyć swojej głowy. Wciąż atakowały ją obrazy wydarzeń z całego dnia: jak śmiała się z Lane'em, gdy tylko przyszła do pracy, jak wpatrywali się razem w laptopa, jak potem we dwoje...

Wszystko kotłowało jej się w głowie. Wróciła do kuchni i otworzyła drzwi lodówki. Nic szczególnego tam nie znalazła – a na pewno nic, co by miała ochotę zjeść.

Gdy znów dopadła ją gwałtowna potrzeba sprawdzenia telefonu, powiedziała sobie, że musi przestać. Przecież z Chantal trudno

wytrzymać nawet w spokojny dzień – a co dopiero w sytuacji, gdy otrzymała właśnie papiery rozwodowe i urządziła scenę, i to przy świadkach w postaci personelu...

Na odgłos kroków na werandzie nagle podniosła głowę.

Zmarszczyła brwi, zamknęła drzwi lodówki i przeszła do salonu. Nawet nie sprawdziła, kto przyszedł. Były tylko dwie możliwości: albo jej najbliższy sąsiad z lewej (mieszkał osiem kilometrów dalej i miał krowy, które często forsowały płot i zapędzały się na pola należące do Lizzie), albo jej najbliższy sąsiad z prawej (mieszkał zaledwie dwa kilometry od niej i miał psy, które lubiły buszować po okolicy i sprawdzać, jak się mają puszczone samopas krowy).

Otwierając drzwi, przygotowała się już na powitanie.

– Dobry wieczór...

Ale to nie byli jej sąsiedzi z przeprosinami za szwendające się po jej polach psy lub krowy.

Na werandzie stał Lane. Jego włosy wyglądały jeszcze gorzej niż rano: ciemne falujące pasma sterczały w górę, jakby próbował je sobie powyrywać.

Był zbyt zmęczony, żeby się uśmiechać.

– Pomyślałem, że sam sprawdzę, czy bezpiecznie dojechałaś do domu.

– O Boże... Chodź tu.

Przywarli do siebie, ciało do ciała, a ona mocno go objęła. Pachniał świeżym powietrzem – spoglądając nad ramieniem Lane'a, dostrzegła, że jego porsche ma opuszczony dach.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Już lepiej. Ale musisz wiedzieć, że jestem trochę pijany.

– I przyjechałeś tu samochodem? To głupie i niebezpieczne!

– Wiem. Dlatego od razu się przyznałem.

Zrobiła krok w tył, żeby wpuścić go do środka.

– Miałam właśnie coś zjeść.

– Starczy dla dwojga?

– Na pewno, zwłaszcza jeśli pomoże ci to nieco wytrzeźwieć. – Pokręciła głową. – Nigdy więcej nie prowadź po pijaku. Myślisz, że teraz masz problemy, tak? To dodaj do nich jeszcze zarzuty o jazdę pod

wpływem.

– Masz rację. – Rozejrzał się, a potem podszedł do jej pianina oparł dłoń na gładkiej pokrywie klawiatury. – Boże... Nic tu się nie zmieniło.

Lizzie odchrząknęła.

– No cóż, byłam zajęta pracą.

– To dobrze. Naprawdę świetnie.

Nostalgia malująca się na jego twarzy, gdy patrzył na jej zabytkowe narzędzia, wiszący na ścianie pled i zwyczajną kanapę, mówiła więcej niż jakiegokolwiek słowa.

– Jemy? – przypomniała mu.

– Tak. Bardzo chętnie.

Gdy znaleźli się w kuchni, podszedł do jej maleńkiego stołu i od razu usiadł. I nagle było tak, jakby nigdy stąd nie zniknął.

Musisz z tym uważać – strofowała się w myślach Lizzie.

– To co byś powiedział na... – Przeglądała zawartość szafek lodówki. – No cóż, może chciałbyś spróbować lazanii, którą zamroziłam jakieś pół roku temu, z przystawką w postaci nachos z paczki, którą otworzyłam wczoraj? Na deser mogą być lody miętowe z kubelka.

Lane wpatrywał się w nią intensywnym wzrokiem.

Aha. No dobrze, najwyraźniej miał ochotę na nieco inny deser... Po jej ciele od razu rozszedł się ciepły dreszcz: chyba nie miała nic przeciwko.

A niech to! W ogóle nie słuchała głosu rozsądku. Usunięcie przeszkody w postaci jego żony to tylko wierzchołek góry lodowej. Powinna o tym pamiętać.

– To będzie najwspanialsza uczta na świecie – powiedział Lane. Lizzie skrzyżowała ręce na piersi i oparła się o lodówkę.

– Mogę być z tobą szczerą?

– Zawsze.

– Wiem, że Chantal dostarczono papiery rozwodowe, bo weszłam do pokoju akurat wtedy, gdy to się stało, chociaż wcale nie miałam zamiaru się przyglądać, jak wiceszeryf jej wręcza tę przesyłkę.

– Mówiłem ci, że chcę teraz wszystko zakończyć.

Potarła dłonią czoło.

– Jakies dwie minuty wcześniej przysłała do mnie, żeby mnie poprosić o przygotowanie dekoracji na rocznicową kolację dla was dwojga.

Lane zaklął po cichu.

– Przykro mi, że tak się stało. Ale mówię ci tu i teraz: między mną a nią wszystko skończone.

Lizzie wpatrywała się w niego długo i intensywnie. On zaś tkwił w miejscu bez ruchu, bez jednego mrugnięcia, bez słowa. Siedział przed nią, jakby chciał pozwolić, żeby o wszystkim mówiły jego czyny, nie słowa.

A niech to wszyscy diabli! – pomyślała Lizzie. Naprawdę nie powinna kolejny raz tracić dla niego głowy.

Nad stajniami zapadała noc, a Edward odhaczał kolejne punkty z listy wieczornych rytuałów. Szklanka z lodem? Jest. Alkohol? Jest (dzisiaj dżin). Fotel? Jest.

Lecz gdy już usiadł, mając przed sobą te wszystkie niezbędne elementy wieczoru, zaczął przebierać palcami po oparciu fotela zamiast ich użyć do otwarcia butelki.

– Daj spokój – mruknął sam do siebie. – Jedź dalej z programem.

Niestety jednak to się nie udawało. Z jakiegoś powodu kusiło go, żeby zamiast butelki dżinu otworzyć raczej drzwi wyjściowe. Miał za sobą długi dzień: musiał pojechać na tor Steeplehill Downs, żeby sprawdzić, jak się mają jego dwa wystawiane do wyścigu konie, oraz pogadać z ich weterynarzem i trenerem, od których dowiedział się, że Bouncin' Baby Boy musi zostać wycofany z listy startowej z powodu problemów ze ścięgnem. Następnie zaś wrócił tu, żeby asystować przy kontroli medycznej pięciu żrebnych klaczy, a potem wraz z Moem sprawdzał księgi rachunkowe i rozliczenia. Przynajmniej tu miał dobre wyniki: już drugi miesiąc z rzędu nie tylko wychodzili na zero, ale wręcz osiągnęli zyski. Jeśli to się utrzyma, będzie mógł wreszcie odciąć regularne dopływy gotówki z funduszu powierniczego matki, które już od lat osiemdziesiątych podtrzymywały całe przedsięwzięcie przy życiu.

Chciał się całkowicie uniezależnić finansowo od rodziny.

Zresztą zaraz po wyjściu ze szpitala odmówił przyjmowania wypłat ze swojego funduszu powierniczego. Nie chciał mieć nic wspólnego z pieniędzmi w jakikolwiek sposób powiązanymi z Bradford Bourbon Company – a niemal cały kapitał, na którym bazowały jego fundusze pierwszego i drugiego stopnia, był ulokowany w rodzinnej korporacji. Tak naprawdę zaledwie pół roku temu dowiedział się o matczynych przelewach wspierających stadninę. Jednak gdyby je wówczas odciął, całe przedsięwzięcie diabli by wzięli.

Stadniną od dawna nie zarządzał nikt, kto by posiadał odpowiednią żyłkę biznesową, a choć doskwierało mu obecnie wiele dolegliwości, jego zdolność do pomnażania majątku pozostała nienaruszona.

Jeszcze jeden miesiąc. Potem będzie wolny.

Boże, czuł się bardziej wyczerpany niż zwykle. I bardziej go wszystko bolało. A może ból i zmęczenie są ze sobą nierozzerwalnie związane?

Wciąż jakoś nie mógł jednak sięgnąć po butelkę.

Podpierając się laską, wstał z fotela i pokuśtykał w stronę zasłon, które pozostawały zaciągnięte od dnia, gdy się tu wprowadził. Na zewnątrz było już zupełnie ciemno, jeśli nie liczyć pomarańczowych łun rzucanych przez wielkie lampy sodowe umieszczone nad wejściami do stajni.

Przeklinając pod nosem, podszedł do drzwi i je otworzył. Zatrzymał się na chwilę, a potem ruszył w noc.

Chwiejnym krokiem szedł po trawie, mówiąc sobie, że idzie sprawdzić tę klacz, której stan zdrowia pozostaje niepewny. Tak. Właśnie taki miał cel.

Wcale nie zamierzał sprawdzać, co robi Shelby Landis. O, nie. Nie obchodziło go na przykład, że przez cały dzień nie widział, żeby opuszczała stadninę (co mogło oznaczać, że nie ma w tym swoim mieszkanku nic do jedzenia). Z pewnością też nie chodziło mu o to, żeby sprawdzić, czy ma w łazience ciepłą wodę (bo przecież po dwunastu godzinach pchania taczek i tachania bel kłującego siana i worków z ziarnem wielkości jej pikapa na pewno jest cała obolała i potrzebuje wziąć porządny prysznic).

Był absolutnie przekonany, że...

– A niech to wszyscy diabli!

Nagle się zorientował, że całkiem bezwiednie skierował się do bocznego wejścia do stajni B, z którego wchodziło się do biura Moego, ale też na schody prowadzące właśnie do jej mieszkania.

No cóż, skoro już tu był... to może powinien sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Przez wzgląd na jej ojca, oczywiście.

Przed naciśnięciem klamki wcale nie przeczesał sobie ręką włosów.

No, może trochę – ale tylko dlatego, że dawno się nie strzygł i wchodziły mu w oczy.

Gdy wszedł w korytarz przed biurem Moego, czujnik ruchu włączył światła i wyłoniły się przed nim schody, niczym góra, na którą miał z wielkim trudem się wspiąć. Zaraz zresztą się okazało, że jego pesymizm był całkiem uzasadniony: w połowie drogi musiał się zatrzymać, żeby zaczerpnąć tchu, a potem zrobić kolejny przystanek na górze, w tym samym celu.

Wtedy właśnie usłyszał śmiech.

Mężczyzny i kobiety. Dochodzący z mieszkania Moego. Edward zmarszczył brwi i spojrzął na drzwi mieszkania Shelby.

Podszedł do nich i przyłożył ucho do drewnianej powierzchni. Cisza.

Potem powtórzył to samo przy drzwiach Moego i usłyszał ich oboje: dwa głosy zaciągające z silnym południowym akcentem, niczym dialog skrzypiec i bandžo w jakimś szalonym utworze bluegrassowym.

Edward zamknął na chwilę oczy i oparł się bezwładnie o drzwi.

Potem zaś zebrał siły i z pomocą laski powlókł się w dół po schodach, wyszedł na trawę i wrócił do swojego domku.

Tym razem już bez oporów otworzył butelkę i napełnił szklanekę.

Dopiero gdy ponownie ją napełnił, zdał sobie sprawę, że jest piątek wieczór.

Co za uśmiech losu!

On też był już przecież z kimś umówiony.

Sutton Smythe spoglądała na tłum wypełniający po brzegi główną galerię Muzeum Sztuki w Charlemont. Rozpoznawała bardzo wiele twarzy – zarówno osób, które znała osobiście, jak i postaci zapamiętanych z kina i telewizji. Wiele osób machało do niej, gdy ich spojrzenia się spotykały, a ona była na tyle miła, że również unosiła wówczas dłoń w geście pozdrowienia.

Miała tylko nadzieję, że nikt do niej nie podejdzie.

Nie interesował jej kontakt z ludźmi polegający na muskaniu ustami kolejnych policzków, pytaniu, jak się mają nieobecni małżonkowie, lub poznawaniu osób towarzyszących. Nie miała ochoty na setne podziękowania za przekazane w zeszłym miesiącu wsparcie programu rozwoju muzeum w wysokości dziesięciu milionów dolarów. Wolałaby też nie musieć wspominać o tym obrazie Rembrandta, który jej ojciec wypożyczył na czas nieokreślony, ani o jajku Fabergégo podarowanym jej rodzinie na cześć jej ukochanej zmarłej matki.

Jeśli nikt nie będzie jej zawracał głowy, w spokoju zajmie się wypatrywaniem w tłumie tej jedynej twarzy, którą pragnie zobaczyć.

Desperacko pragnie zobaczyć.

A jednak Edward Baldwin kolejny raz wcale nie miał się zjawić. Wiedziała o tym nie dlatego, że przez ostatnie półtorej godziny stała tu w cieniu, patrząc, jak schodzą się goście na przyjęcie, które wydawała w imieniu swojej rodziny, ale dlatego, że od dawna uparcie domagała się, żeby jej pokazywano listę potwierdzonych gości – najpierw co tydzień, a potem codziennie, aż do dnia imprezy.

W ogóle nie odpowiedział. Ani „Oczywiście, z przyjemnością się zjawię”, ani „Przykro mi, nie będę mógł”.

Ale czy powinna się temu dziwić?

Mimo wszystko bolało. Właściwie jedynym powodem, dla którego zjawiła się na kolacji wydanej dzień wcześniej przez Williama Baldwin’a, była nadzieja, że może zobaczy Edwarda w jego rodzinnym domu. Przez wiele dni, miesięcy, a w końcu lat nie odpowiadał na jej telefony, pomyślała więc, że może zjawi się przy stole własnego ojca i będą tam mogli w sposób niewymuszony odnowić znajomość.

Ale nie. Tam też go nie było.

– Proszę pani, jesteśmy gotowi, żeby posadzić gości przy stołach, jeśli nie ma pani nic przeciwko. Sałatki już podano.

Sutton uśmiechnęła się do kobiety z notesem w dłoni i słuchawką w uchu.

– Dobrze, przyciemnijmy światła. Wygłoszę kilka słów, jak już wszyscy usiądą.

– Oczywiście, proszę pani.

Sutton wzięła głęboki oddech i patrzyła na stado bardzo kosztownych cieląt grzecznie wykonujących polecenia i odnajdujących swoje miejsca przy okrągłych stołach. Stały na nich wyrafinowane bukiety i złota zastawa, a na lnianych serwetkach leżały tabliczki z wygrawerowanym spisem potraw.

Zanim doszło do tamtej tragedii, Edward zawsze pojawiał się na tego rodzaju imprezach. Rzucił jej sardoniczne uśmiešky, gdy dopadały go kolejne osoby proszące o wsparcie finansowe dla swoich szlachetnych przedsięwzięć. Prosił ją do tańca, gdy widział, że trzeba ją ratować przed atakiem jakiejś natarczywej gaduły. Patrzył na nią i czasem puszczał do niej oko, ot tak, bez powodu.

Przyjaźnili się od czasów szkolnych. Stali się zaś konkurentami w branży, gdy on ukończył Wharton Business School, a ona zdobyła dyplom MBA na Uniwersytecie Chicago. Brylowali razem w towarzystwie, odkąd weszli w kręgi bywalców balów dobroczynnych – jej matka wówczas właśnie zmarła, a jego zaczęła coraz częściej oddalać się do swojego pokoju.

Nigdy nie byli kochankami.

Chociaż ona tego chciała. Chyba odkąd się poznali. Edward jednak zachowywał dystans, trzymał się nieco z boku, a nawet umawiał ją ze swoimi kolegami.

Była gotowa w każdej chwili oddać mu swoje serce, lecz nie odważyła się przekroczyć tej linii, którą on wciąż uparcie wyznaczał.

A potem... przed dwoma laty stało się to, co się stało. Boże, gdy się dowiedziała, że Edward rusza w kolejną podróż służbową do Ameryki Południowej, miała jakieś lęki, złe przeczucia, jakby coś ją ostrzegało. A jednak do niego nie zadzwoniła. Nie próbowała interweniować. (Na

przykład namówić go, żeby wziął ze sobą większą ochronę).

W pewien sposób czuła się więc potem częściowo odpowiedzialna za to, co się stało. Może gdyby...

Ale przecież nie powinna się oszukiwać. Przed tamtą podróżą powstrzymać mogły go wyłącznie ekstremalne warunki atmosferyczne. Edward był pełnokrwistym zawodnikiem w branży alkoholowej i prawowitym spadkobiercą rodzinnej firmy zarówno z racji urodzenia, jak i ze względu na swój niesamowity zapał do pracy i smykałkę do interesów.

Po porwaniu i żądaniach okupu jego ojciec robił, co mógł, żeby go uwolnić. Negocjował z porywaczami, współpracował z amerykańską ambasadą, wszystko to jednak zdało się na nic, aż w końcu wysłano na miejsce specjalną ekipę, która uratowała Edwarda.

Sutton nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co mu tam zrobili. Dziś zaś mijają dokładnie dwa lata od czasu, gdy został porwany. Jakie to wszystko okropne... Ameryka Południowa należy przecież do najwspanialszych miejsc na świecie – cudowna kuchnia, niesamowity krajobraz, fascynująca historia. Często żartowali sobie z Edwardem, że na emeryturze tam właśnie zamieszkają, w sąsiadujących ze sobą majątkach. Porywanie biznesmenów dla okupu rzeczywiście wymieniano pośród ostrzeżeń kierowanych do podróżujących w pewne rejony, ale niewiele się to różniło od porad, żeby nie spacerować po Central Parku o trzeciej nad ranem. Typy spod ciemnej gwiazdy występują przecież niemal wszędzie, czemu więc skreślać cały kontynent z powodu zagrożenia stwarzanego przez jakiś margines społeczny?

Niestety Edward stał się jedną z ofiar.

Od tamtych wydarzeń minęło już tyle czasu, a ona chciała po prostu zobaczyć go na własne oczy. Widziała w gazetach kilka niewyraźnych ujęć, które wystarczyły, żeby zasiać w niej niepokój. Zdawał się na nich znacznie chudszy, przygarbiony, głowę miał zawsze zwieszoną, a twarz odwróconą od obiektywu.

Ale przecież dla niej wciąż byłby piękny.

– Proszę pani, jeśli tylko pani sobie życzy, jesteśmy gotowi.

Otrząsnęła się z zamyślenia i dostrzegła, że zebrany na sali tysiąc

osób już zajął swoje miejsca i skubał sałatki, czekając na jej mowę.

Nagle, bez ostrzeżenia, w jej ciele zadudnił potężny ryk wściekłej energii, aż poczuła krople potu na dekolcie, na czole i pod pachami. Serce waliło jak werbel, a nawracające falami zawroty głowy zmusiły ją do oparcia się ręką o ścianę.

Co się z nią dzieje?

– Proszę pani?

– Nie mogę – powiedziała, sama siebie tym zaskakując.

– Słucham?

Wcisnęła starannie przygotowane kartki z notatkami w ręce asystentki.

– Ktoś inny będzie musiał...

– Słucham? Chwileczkę, dokąd pani...?

– ...wygłosić mowę – dokończyła, unosząc dłonie i odchodząc.

– Ale przecież tylko pani może...

– Zadzwoń w poniedziałek. Przepraszam, nie mogę...

Nie wiedziała, dokąd właściwie zmierza. Jej wysokie obcasy stukały po marmurowej posadzce. Dopiero gdy uderzyła w nią fala gorącego, wilgotnego nocnego powietrza, zdała sobie sprawę, że opuściła budynek wyjściem ewakuacyjnym i znajdowała się teraz po zachodniej stronie kompleksu.

Dość daleko od miejsca parkingowego, gdzie czekał na nią szofer.

Oparła się bezwładnie o ścianę budynku i wzięła kilka głębokich oddechów – wciąż jednak miała dojmujące wrażenie, że się dusi.

Nie mogła tak tu stać przez całą noc. Co więcej, miała ochotę biec – jak najszybciej i jak najdalej, aż ujdzie z niej narastające przerażenie. Ale to przecież szaleństwo...

Boże, chyba postradała zmysły. W końcu odbił się na niej cały ten spotęgowany stres.

Albo może przyczyną jest, jak zawsze, Edward

Baldwine. Czas ruszać. Przecież to niedorzeczne.

Zrzuciła z nóg szpilki i chwyciła je za paski, po czym ruszyła przez trawnik, nie oddalając się od łun światła rzucanych przez reflektory zainstalowane wokół muzeum. Po dłuższej chwili, ciągnącej się jak wieczność, wyszła zza kolejnego rogu i zobaczyła parking, którego cały

czas szukała. Poczwała się nieco zdezorientowana, widząc przed sobą ogromną liczbę samochodów i limuzyn zaparkowanych przed muzeum.

Gdzie ten...

Na szczęście dziwnym trafem jej wielki czarny mercedes sam ją znalazł i podjechał bliżej, a szyba od strony pasażera opuściła się bezszelestnie.

– Czy wszystko w porządku, proszę pani? – odezwał się zaniepokojony szofer.

– Muszę wziąć samochód. – Sutton przeszła przed maską na stronę kierowcy; w jasnym świetle reflektorów rozbłysły jej diamenty i srebrna suknia. – Muszę wziąć samochód. Muszę...

– Zawiozę panią, gdzie tylko pani sobie życzy. – Szofer w uniformie wstał zza kierownicy.

Z maleńkiej kopertówki wyjęła studolarowy banknot.

– To dla pana. Proszę wziąć taksówkę albo po kogoś zadzwonić. Przepraszam, naprawdę. Muszę... jechać.

Pokręcił głową, odmawiając przyjęcia pieniędzy.

– Zawiozę panią, gdzie trzeba.

– Bardzo pana proszę. Muszę wziąć samochód.

Nastąpiła chwila milczenia.

– W porządku – odezwał się w końcu kierowca. – Czy wie pani, jak prowadzić ten...

– Jakoś sobie poradzę. – Włożyła mu banknot w dłoń i zawięła na nim jego palce. – Proszę to zatrzymać. Nic mi nie będzie.

– Wolałbym sam panią zawieźć.

– To miło z pana strony, naprawdę to doceniam. – Zatrzasnęła za sobą drzwi i zaczęła się rozglądać za dźwignią zmiany biegów lub...

Usłyszała pukanie w szybę i ponownie ją opuściła.

– Tam, obok kierownicy – powiedział szofer. – Tam jest dźwignia, którą może pani ustawić na jazdę lub cofanie. Tak jest.

A kierunkowskaz... Tak, właśnie tutaj. Wycieraczki raczej nie będą potrzebne, a światła są już włączone, jak pani widzi. Powodzenia!

Szofer zrobił krok w tył, jakby miał przed sobą osobę przykładającą zapaloną zapałkę do fajerwerków. Albo raczej do lontu bomby.

Sutton przycisnęła pedał gazu, a potężny samochód wyrwał do przodu, jakby skrywał pod maską silnik odrzutowca. Szybko policzyła w myślach, ile lat nie siedziała za kierownicą – wynik tych obliczeń nie był zbyt zachęcający.

Miała zamiar jednak jakoś to wszystko ogarnąć – albo przynajmniej spróbować. W końcu przecież przez całe życie nie robiła nic innego.

– Mogę jeszcze trochę?

Lizzie skinęła głową, a Lane wstał i ruszył znów w kierunku lodówki. Jedzenie pomagało mu zebrać myśli – chociaż może nie tyle jedzenie, ile jej towarzystwo?

Najprawdopodobniej wystarczała mu sama świadomość jej obecności.

– Naprawdę dobre – powiedział, gdy otwierał zamrażalnik i wyjmował z niego kolejną porcję.

Zaśmiała się cicho, a on zamarł na chwilę i zamknął oczy, żeby całkiem zanurzyć się w tym dźwięku.

– Próbujesz być miły – zamruczała Lizzie.

– Bóg mi świadkiem!

Wsunął talerz do mikrofalówki, ustawił ją na sześć minut, a potem patrzył, jak mrożone jedzenie kręci się wkoło.

– No i będę musiał porozmawiać z Edwardem – powiedział, dość nieoczekiwanie dla siebie samego.

– Kiedy go ostatni raz widziałeś?

Odchrząknął, czując w gardle pragnienie spożycia czegoś mocniejszego.

– Chyba... – Przez chwilę się zastanawiał, w jaki sposób mógłby ją spytać, czy ma w domu alkohol. – O rany...

– Aż tak dawno temu?

– Właściwie myślałem o czymś innym. – A konkretnie o tym, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miał problem z nadużywaniem alkoholu. – Ale przecież po takim dniu każdy by mógł zostać alkoholikiem.

– Słucham?

O, cholera... Czyżby wypowiedział to na głos?

- Przepraszam, mam sieczkę w głowie.
- Chciałabym jakoś ci pomóc.
- Już mi pomagasz.
- To kiedy ostatni raz widziałeś się z Edwardem?

Lane znów zamknął oczy. Zamiast jednak dokonać obliczeń, które by wykazały, jak fatalnie sprawował się w roli brata, wrócił myślami do tamtego sylwestra, gdy Edward dostał lanie za wyczyny trójki młodszego rodzeństwa.

Maxwell i on zostali w sali balowej. Cali drżeli, milcząc, podczas gdy ojciec prowadził Edwarda na górę. Gdy Lane usłyszał kroki dwóch par stóp na schodach, coś w nim zaczęło z całej siły krzyczeć – ale bezgłośnie, w głębi duszy.

Był zbyt wielkim tchórzem, żeby wyjść z ukrycia i sprostować kłamstwo, które ocaliło skórę jemu i jego bratu.

- Powinienem tam pójść – powiedział po dłuższej chwili.
- Ale co możesz zrobić? – szepnęła Max. – Ojca nic nie powstrzyma.
- Mógłbym...

Ale Max miał rację. Edward skłamał, a przez to otrzyma od ojca karę za wykroczenie, którego nie on się dopuścił. Gdyby Lane teraz wyjawiał prawdę... ojciec po prostu zlałby ich wszystkich. Jeśli zaś on i Max zostaną tutaj, przynajmniej unikną...

Ale to nie było sprawiedliwe. Zachowali się haniebnie.

– Idę na górę. – Zanim Max zdążył otworzyć usta, Lane złapał go za ramię. – Idziesz ze mną?

Maxa również musiało dręczyć sumienie, bo zamiast klócić się jak zawsze o wszystko, poszedł w milczeniu za nim w górę po schodach. Gdy doszli na piętro, ich oczom ukazał się korytarz, którego pustkę

urozmaicały jedynie olejne obrazy, wyszukana sztukateria i bukiety kwiatów na antycznych stoliczkach i komódkach.

– Musimy to jakoś zatrzymać – syknął Lane.

Szli prędko, jeden za drugim, po miękkiej wykładzinie prosto do drzwi pokoju ojca...

Ze środka dochodziły głośne i przenikliwe odgłosy bicia: uderzenia skózanego paska o nagie pośladki i pomruki ojca, który wkładał w wykonanie zadania całą swoją siłę.

Edward nie wydawał żadnych dźwięków.

Tymczasem oni dwaj stali pod drzwiami w milczeniu, jak durnie. Jedyne, co przychodziło wówczas Lane'owi do głowy, to że ani on, ani Max nie byłiby nawet w połowie tak twardzi. Obaj by się popłakali.

Jego potrzeba uczciwości i sprawiedliwości malała z każdym uderzeniem, aż w końcu Lane całkiem stracił hart ducha.

– Chodźmy – jęknął zawstydzony.

Max znów mu się nie przeciwstawiał. Najwyraźniej sam też był zbyt wielkim tchórzem.

Ich wspólny pokój znajdował się nieco dalej. Lane otworzył drzwi. W domu było mnóstwo innych pokoi, w których mogliby mieć oddzielne sypialnie, ale przed paroma laty Max zaczął miewać w nocy koszmary, a wówczas przemykał do pokoju Lane'a i tam się rano budził. W końcu Aurora przeniosła tam drugie łóżko i tak już zostało.

Z ich pokoju wchodziło się do długiej i wąskiej łazienki, do której prowadziły też drzwi z pokoju Edwarda.

Max wszedł do łóżka i gapił się w próżnię.

– Nie powinniśmy w ogóle tam schodzić. To moja wina.

– Tak samo twoja, jak i moja. – Spojrzał na Maxa. – Zostań tu. Pójdę i zaczekam, aż wróci.

Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi, z nadzieją, że Max go posłucha. Miał złe przeczucia co do stanu, w jakim będzie Edward, gdy ojciec z nim skończy.

Och, gdyby tylko mógł cofnąć czas i nie zgodzić się na zejście do salonu.

Opuścił deskę klozetową, usiadł na niej i słuchał, jak wali mu serce. Nie miało wielkiego znaczenia, że nie dochodziły go już odgłosy bicia. I tak dobrze wiedział, co się dzieje po drugiej stronie korytarza.

Z jakiegoś powodu wciąż spoglądał na trzy szczoteczki do zębów, które stały na blacie w srebrnym kubeczku obok złożonych ręczników. Czerwona była Edwarda, bo jako najstarszy zawsze wybierał pierwszy. Max zarezerwował sobie zieloną, bo była najbardziej męska z pozostałych. Lane'owi przypadła żółta i szczerze jej nie znosił.

Żaden nie miał ochoty na niebieską, bo to przecież kolor drużyny Uniwersytetu Kentucky.

Panującą ciszę przerwało lekkie szcęknięcie klamki, a potem zgrzyt otwieranych drzwi. Lane zaczął czekać, aż klamka szcęknie po raz drugi, a potem wstał i zajrzał do pokoju Edwarda.

Edward szedł przez ciemną sypialnię w stronę łazienki, zgięty w pół. Jedną ręką trzymał się za brzuch, a drugą miał wyciągniętą, żeby po drodze podparć się o komodę, ścianę, biurko.

Lane popędził w jego stronę i przytrzymał go w pasie.

– Niedobrze mi – jęknął Edward. – Zaraz się porzygam.

O Boże, po twarzy ciekła mu krew – przy uderzeniu w twarz sygnet ojca rozciął mu skórę na policzku.

– Trzymam cię – wymamrotał Lane. – Zajmę się tobą.

Szli bardzo powoli, nogi Edwarda ledwo dawały radę utrzymać ciężki tułów. Fragment góry od piżamy tkwił wpuszczony w spodnie, gdy zostały one wciągnięte z powrotem po zakończeniu lania. Lane nie potrafił przestać myśleć o tym, co się pod nimi kryje: siniakach, krwi, opuchliznie.

Edward ledwo doszedł na czas do sedesu, a Lane był przy nim, aż brat skończył wymiotować. Gdy torsje ustały, wyjął ze srebrnego kubka czerwoną szczoteczkę i nałożył na nią pastę. Po myciu zębów pomógł Edwardowi wyjść z łazienki i położyć się do łóżka.

– Dlaczego nigdy nie płaczesz? – spytał szorstko Lane, gdy brat szukał na materacu odpowiedniej pozycji dla obolałego ciała. – On przestaje bić, gdy się zacznie płakać.

Zawsze tak było, gdy on lub Max dostawali lanie.

– Idź spać, Lane – powiedział zmęczonym głosem Edward.

– Przepraszam – szepnął Lane.

– Nie ma sprawy. Idź spać.

Trudno mu było wyjść, ale tej nocy już raz porządnie narozrabiał i właśnie miał przed sobą efekty.

Wrócił do pokoju, wsunął się pod kołdrę i gapił się w sufit.

– Wszystko z nim w porządku? – spytał Max.

*Z jakiegoś powodu cienie w ich pokoju wyglądały
wyjątkowo groźnie, jakby rzucały je potwory czające się w kątach.*

– Lane?

– Tak – skłamał. – Wszystko dobrze.

– Lane?

Wyrwany z zamyślenia spojrział przez ramię.

– Co?

– Gotowe – powiedziała Lizzie, wskazując na mikrofalówkę.

Pik... pik... pik...

Stał w miejscu i próbował odzyskać ostrość widzenia, żeby wrócić do teraźniejszości.

– No tak, przepraszam.

Podszedł do stołu, postawił na nim parujący talerz i usiadł. Stracił jednak apetyt. Lizzie wyciągnęła do niego rękę i położyła dłoń na jego dłoni, a on ujął jej palce, uniósł do ust i pocałował.

– O czym tak rozmyślasz? – spytała Lizzie.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

No cóż, od czego by tu zacząć...

Czekała na odpowiedź, a on przez długi, długi czas patrzył na jej twarz. A potem lekko się uśmiechnął.

– Teraz, w tej chwili... myślę właśnie, że jeśli dasz mi drugą szansę, Lizzie King, na pewno z niej skorzystam.

Unosząc dłonie ku twarzy, szybko zasłoniła rumieniec, który ją zalał.

– O Boże!

Roześmiał się cicho.

– Chcesz, żebym zmienił temat?

– Owszem – szepnęła zza zasłony dłoni. Nie mógł mieć do niej pretensji.

– No dobrze. Naprawdę się cieszę, że tu przyjechałem. W Easterly mam teraz cały czas wrażenie, jakby zaciskała mi się pętla na szyi.

Lizzie potarła oczy, a potem opuściła dłonie.

– Wiesz, wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się stało z panią Rosalindą.

– To po prostu koszmar. – Oparł się na krzesło, starając się uszanować jej prośbę o zmianę tematu. – Wiesz, gdy tu jechałem, zadzwonił do mnie wiceszeryf Mitch Ramsey z informacją, że zdaniem lekarza sądowego mogła się otruć szalejem.

– Szalejem?!

– Jej twarz... – Zatoczył koło wokół własnej – Ten makabryczny uśmiech... Spowodowało go coś w rodzaju paraliżu twarzy, co jest ponoć typowym objawem po zażyciu tej właśnie trucizny. Chyba trudno mi będzie zapomnieć o tym grymasie.

– Czy mogła zostać zamordowana?

– Sądzą, że raczej nie. Trzeba zjeść sporo tego szaleju, żeby załatwić sprawę, jest więc bardziej prawdopodobne, że zrobiła to sama. Do tego miała na nogach nowiuteńkie najki, ze śladami trawy na podszwach.

– Najki? Przecież ona nosiła wyłącznie pantofle na płaskim obcasie.

– No właśnie, a jednak w chwili śmierci miała na sobie buty do biegania, najwyraźniej dopiero co kupione i użyte tylko do chodzenia po trawniku. Z tego, co mówił Mitch, w czasach rzymskich ludzie zażywali tej trucizny, a potem chodzili, żeby przyspieszyć jej działanie. A więc raczej jednak sama to zrobiła.

– Ależ to... makabryczne.

– Pytanie tylko dlaczego. I obawiam się niestety, że chyba znamy odpowiedź.

– Co zamierzasz teraz zrobić?

Przez chwilę milczał. A potem uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Na początek myślałem, żeby cię zabrać na górę. Lizzie znów się zarumieniła.

– A jak już będziemy na piętrze, co chcesz tam ze mną robić?

– Pomogę ci składać pranie.

Parsknęła śmiechem.

– Niestety muszę cię rozczarować. To już zrobione.

– Pościelę ci łóżko?

– Przykro mi. Też zrobione.

– Aleś ty sumienna! To może zaceruję skarpetki?

Przyszyję pourywane guziki?

– Mówisz, że dobrze sobie radzisz z igłą i nitką?

– Szybko się uczę. To co, chcesz poszyć razem ze mną?

– Obawiam się, że nie mam tego rodzaju rzeczy do naprawy.

– To może jest coś innego, w czym mógłbym ci pomóc? –

zamruczał. – Jakiś ból, który mógłbym złagodzić? Lub może ogień, który mógłbym ugasić, choćby własnymi ustami?

Lizzie zamknęła oczy i kołysała się na krześle.

– Och... Boże...

– Czekał, już mam. Może pójdziemy na piętro i rozkopiemy twoje pięknie zasłane łóżko, a potem znów je pościelimy?

Gdy w końcu na niego spojrzała, miała ciężkie powieki i ognisty wzrok.

– Wiesz... to brzmi jak doskonały plan.

– Uwielbiam, kiedy się ze sobą zgadzamy.

Wstali jednocześnie. Zanim się obejrzała, podszedł i wziął ją na rękę.

– Co ty robisz? – Ze śmiechem wrywała się z jego uścisku. –

Lane...

– A jak myślisz? – odparł, wychodząc z kuchni. – Niosę cię na górę.

– Czekał. Czekał! Zbyt dużo ważę...

– Och, daj spokój.

– Nie, ale naprawdę... Nie jestem jedną z tych drobnych panienek...

– No właśnie! Jesteś prawdziwą kobietą. – Dotarł do schodów ruszył na górę. – A to właśnie najbardziej pociąga prawdziwych mężczyzn. Możesz mi wierzyć.

Pozwoliła, by jej głowa opadła na jego ramię, a on, czując na

twarzy jej wzrok, pomyślał o tym, co wyprawiała Chantal z jego ojcem. Lub przynajmniej o tym, co twierdziła, że wyprawiała.

Lizzie nigdy go nie zdradziła. Ani myślą, ani uczynkiem. Po prostu nie leżało to w jej naturze.

Właśnie dlatego była prawdziwą kobietą (a nie dzięki temu, że nie ważyła czterdziestu kilogramów i nie wyglądała jak szkielet).

– Nie, wcale nie musisz tego mówić – powiedział, gdy schody trzeszczały mu już pod stopami.

– Czego?

– Że w ostatecznym rozrachunku to nic nie znaczy. Wiem, że chcesz we mnie widzieć tylko przyjaciela, i godzę się na to. Musisz mieć jednak świadomość, że jest tu jedno małe zastrzeżenie.

– Niby jakie? – spytała cicho.

Lane odezwał się teraz nieco niższym głosem:

– Zamierzam być z tobą bardzo cierpliwy. Uwodzić cię tak długo, jak będzie trzeba. Dawać ci przestrzeń, gdy będziesz jej potrzebować, i trzymać się ciebie tak blisko, jak promień słońca na skórze, jeśli mi pozwolisz. – Wbił w nią świdrujące spojrzenie. – Już raz straciłem swoją szansę, Lizzie King. Drugi raz to się nie powtórzy.

Edward siedział w swoim fotelu w oparach dżinu. Ciało miał już na tyle otępiełe, że mógł sobie pozwolić na fantazję na temat swojej siły i zwinności. Potrafił sobie teraz wyobrazić, że gdyby tylko zechciał, mógłby bez trudu wstać, a zmiana pozycji dokonałaby się bez większego wysiłku: wystarczyłyby przelotna myśl oraz silne mięśnie ud, które byłyby zdolne – i chętne – dźwignąć go w górę.

Nie był jeszcze na tyle pijany, żeby naprawdę spróbować. Słyszając pukanie do drzwi, podniósł głowę.

Ho, ho, ho... Choć wciąż nie był gotów zmierzyć się z pozycją pionową, ta wizyta stanowiła przynajmniej taki wariant alternatywnej rzeczywistości, w którym bez trudu potrafił się odnaleźć.

I na pewno nie zamierzał tego sobie odmówić.

Stęknął, próbując nieco wyprostować się w fotelu. Nie mógł niestety wstać i otworzyć drzwi przybyszce, co wcale mu się nie podobało. Uważał, że dżentelmena powinno zawsze być stać na tego rodzaju uprzejmość wobec płci pięknej – i niczego nie zmieniał tu fakt, że odwiedzała go prostytutka. Każdą kobietę należy darzyć szacunkiem.

– Proszę! – wymamrotał. – Proszę wejść...

Drzwi pomału się otworzyły... Po drugiej stronie, dokładnie pod lampą oświetlającą werandę, stała...

Serce Edwarda zamarło. A potem zaczęło walić jak oszalałe.

– Trafili – szepnął do siebie. – W końcu im się udało. Dziewczyna zamrugła, zdeorientowana.

– Słucham? – spytała niepewnie. – Nie dosłyszałam.

Nawet głos. Jak im się udało dopasować nawet głos?

– Wejdz, proszę – wychrypiał, zachęcając ją gestem dłoni (tej, w której nie trzymał szklanki).

I nic się nie bój – powiedział do siebie w myślach.

W końcu przecież siedział w ciemności, a blask oświetlenia regału z niezliczonymi pucharami nie sięgał do jego twarzy ani ciała. Co oczywiście było celowe. Sam nie lubił patrzeć na swoją obecną postać – nie znajdował więc powodu, dla którego miałby utrudniać kurwie pracę, kazać jej patrzeć na jego ciało w pełnym świetle.

– Edward? – spytała.

W pijackim otumanieniu potrafił tylko zamknąć oczy i rozluźnić całe ciało, jeśli nie liczyć kluczowego miejsca, które nagle się naprężyło.

– Twój głos... jest tak samo piękny, jak w moich wspomnieniach.

Nie rozmawiał z Sutton Smythe od czasu, gdy wyjechał do Ameryki Południowej, a po powrocie nie był w stanie wysłuchać żadnej z pozostawionych przez nią wiadomości.

Do tego stopnia, że w końcu wyrzucił tamten aparat, pozbywając się zarazem starego numeru telefonu.

– Och, Edward...

Dobry Boże, ile bólu było w tym głosie... Jakby ta kobieta wejrzała w głąb jego duszy i odpowiedziała równie bolesną mieszanką emocji jak ta, którą nosił w sobie od czasu, gdy mu powiedziano, że jednak będzie żył.

I naprawdę mówiła głosem niesłychanie podobnym do głosu Sutton. To zabawne: w ciągu tych ośmiu dni, kiedy go przetrzymywano, trzy razy stracił przytomność. Za każdym razem na chwilę przed omdleniem myślał właśnie o Sutton, ją właśnie widział, słyszał i opłakiwał. Nie rodzinę, nie ukochaną firmę, nie dom, w którym się wychował, nie całą swoją fortunę ani wszystkie niepozamykane sprawy.

Tylko Sutton Smythe.

A za trzecim razem, gdy już nic nie widział, gdy nie potrafił odróżnić swojego potu od krwi, gdy cierpienie przeniosło go w miejsce, gdzie wyłącza się instynkt przetrwania, a modlitwy o ocalenie zastępuje nadzieja na szybką śmierć...

Wtedy również miał w głowie tylko Sutton Smythe.

– Edward...

– Nie. – Uniósł dłoń w górę. – Nic już nie mów.

I tak świetnie sobie radziła. Nie chciał, żeby przesadziła i wszystko popsuła.

– Podejdz tu – szepnął. – Chcę cię dotknąć.

Otworzył oczy i chłonał jej zbliżającą się postać. Och, jaką miała doskonałą srebrną suknię, sięgającą aż do podłogi. Połyskiwała też na niej zadziwiająco gustowna biżuteria, choć kobieta oddalała się od źródła światła. Miała też kopertówkę, jaką Sutton zawsze zabierała na oficjalne

imprezy: maleńki kwadracik z jedwabiu o barwie identycznej jak suknia, choć przecież sama zawsze mówiła, że stylizacja utrzymana tylko w jednym kolorze to lata pięćdziesiąte w czystej postaci.

– Edward?

W jej głosie słyhać było zarówno tęsknotę, jak i dezorientację.

– Bardzo proszę – powiedział błagalnie. – Po prostu... bez słów. Chcę cię tylko dotknąć. Proszę.

Mając przed sobą jej drżące ciało, poczuł, jak rzeczywistość się przeobraża. Pozwolił sobie pójść za tym złudzeniem, dać się ponieść fantazji, że to naprawdę Sutton, że przyjechała do niego, że w końcu mieli być razem.

Mimo że on był skończony.

Boże, tyle wystarczyło, żeby w oczach stanęły mu łzy. Ale tylko na chwilę. Dziewczyna bowiem nagle zachwiała się i szeroko otworzyła oczy.

Co oznaczało, że zobaczyła jego twarz.

– Nie przyglądaj się zbyt intensywnie – mruknął. – Wiem, że nie wyglądam jak dawniej. Dlatego mam tu przyciemnione światła.

Wyciągnął ku niej ramiona i pokazał jej swoje dłonie.

– Ale ręce mam... nienaruszone. I w przeciwieństwie do wielu innych części mojego ciała wciąż są całkiem sprawne. Pozwól mi... Chcę cię dotknąć. Będę ostrożny, ale musisz uklęknąć. Nie stoję zbyt pewnie na nogach, a muszę przyznać, że trochę już wypilem.

Drżąc na całym ciele, prostytutka zaczęła się zniżać do pozycji klęczącej, on zaś wychylił się do przodu i podał jej rękę, jak gdyby była damą wysiadającą z samochodu, a nie pracującą dziewczyną, gotową na seks z kaleką w zamian za tysiąc dolarów.

Gdy znów opadł na fotel, ogarnęła go nagła fala zamroczenia, świadcząca o tym, że kolejna porcja alkoholu przeniknęła do jego organizmu. Jak wszyscy pijacy jednak dobrze wiedział, że to zaledwie chwilowa niedyspozycja, która zaraz ustąpi.

Zwłaszcza że miał na czym skupić uwagę. Choć był pijany w trzy dupy, wzrok miał zamglony, a wkoło panowała ciemność... i tak miał się czym zachwycać.

Była tak piękna, że niemal nie śmiał jej dotknąć.

– Aleś ty śliczna – szepnął, wyciągając rękę, żeby pogłaskać dziewczynę po policzku.

Jej oczy znów się szerzej otworzyły – albo przynajmniej tak mu się zdawało. Może tylko to sobie wyobraził, sugerując się jej nagłym głębokim wdechem. Trudno mu było nadażyć i uważnie śledzić, co się dzieje. Rzeczywistość całkiem się rozmywała i tak wciąż przeobrażała, że już nie wiedział, czy prostytutka faktycznie wygląda tak samo jak Sutton, czy też wyobraźnia każe mu w to wierzyć, wyłącznie dlatego, że dziewczyna ma długie ciemne włosy, pięknie zarysowane brwi i usta równie doskonałe jak Grace Kelly.

Falujące włosy miała rozpuszczone, tak jak sobie życzył. Przejechał po nich dłonią, aż natknął się na jej ramię.

– Ale pięknie pachniesz... Właśnie tak, jak zapamiętałem.

A potem wędrował dalej, jego palce muskały jej obojczyk, diamentowy naszyjnik, wypukłości ukryte pod wydekoltowaną suknią. W odpowiedzi zaczęła szybciej oddychać, a jej falujące piersi napierały na jego dłonie.

– Jaka piękna ta suknia – szepnął.

Była dokładnie w stylu Sutton: wspaniale skrojona, idealnie dopasowana do ciała, uszyta z popielatego szyfonu.

Wychylił się w przód i zbliżył swój mizerny tors do jej fantastycznych piersi. Sięgnął za jej plecy, żeby znaleźć starannie ukryty suwak. Pociągnął go w dół, a zgrzyt otwierającego się zamka zdawał mu się ogłuszający.

Mógłby przysiąc, że gwałtownie złapała powietrze, jakby ją zaskoczył. I było to wprost doskonałe. Właśnie tak zachowałyby się Sutton.

A potem... O, tak, dziewczyna również zaczęła eksplorować jego ciało, przejeżdżając drżącymi dłońmi po jego ramionach w górę. Boże, jak go frustrowało to jej drżenie, ale nie ma co ukrywać, że seks z kimś takim jak on na pewno nie jest łatwy.

To znaczy z kimś takim, jakim się stał.

– Szkoda, że nie zrobiliśmy tego wcześniej – powiedział łamiącym się głosem. – Moje ciało stanowiło kiedyś całkiem przyjemny widok. Powinienem... Powinienem spróbować cię zdobyć wcześniej, ale

stchórzyłem. Byłem aroganckim tchórzem. Prawda jest jednak taka, że zniósłbym wszystko oprócz jednego: twojego odrzucenia.

– Edward...

Przerwał jej, przykładając wargi do jej ust.

Och, co za smak! Właśnie tak to sobie zawsze wyobrażał. Jego język gładko wsuwał się w jej usta, a ona jęczała, jakby całe życie czekała na tę chwilę, gdy będzie mogła mu pomóc zapomnieć o tym, kim się stał.

Jej suknia się rozpląnęła – sama opadła z jej ciała, jakby była w to wszystko wtajemniczona, jakby jej zapłacono za przyspieszenie tempa akcji. A on zachwycił się skórą, która mu się teraz ukazała: schodził ustami w dół, coraz bardziej łapczywie całując każdy skrawek, aż do idealnie krągłych piersi. Ssał jej sutki, a ona, poczciwa bidulka, tak dobrze udawała: jej dłonie przeczesywały jego włosy właśnie tak, jak pragnął, przyciągała go do siebie w objęciach, choć przecież z całą pewnością nie był spełnieniem najskrytszych pragnień prostytutki.

Starał się obchodzić z nią delikatnie, ale – Chryste Panie! – nagle poczuł nieprawdopodobny apetyt.

– Usiądź mi na kolanach – jęknął. – Będziesz musiała usiąść mi na kolanach.

Tylko w ten sposób potrafił teraz odbyć stosunek. Zwłaszcza że nie chciał narazić ani jej, ani siebie na krępującą sytuację, jaką byłaby konieczność podniesienia go na koniec z podłogi.

– Jesteś pewien? – spytała ochryplym głosem. – Edward...

– Muszę cię mieć. Zbyt długo czekałem. Omal nie umarłem. Muszę.

Na ułamek sekundy się zawahała. A potem zadziwiająco zwinnie podniosła się z podłogi, odrzuciła nogą suknię i odkryła przed nim – słodki Jezu, miała na sobie same stringi i nic więcej, ani pończoch, ani pasa. I zamiast tracić czas na ich ściąganie, po prostu przesunęła je w bok, po czym zajęła się odpinaniem paska przytrzymującego mu spodnie, żeby nie spadały z jego kościstych bioder.

Choć reszta jego ciała nie prezentowała się najlepiej, członek prężył się mocno, długi i gruby jak zawsze. Edward poczuł dziwną wdzięczność względem tej części swojego ciała, która jako jedyna nie

była dla niego w tej sytuacji źródłem upokorzenia.

Odpychając się dłońmi od fotela, wysunął się jeszcze bardziej naprzód, a ona, podwijając nogi pod siebie, usiadła na nim z imponującą zwinnością.

Wszedł w nią głęboko, a kontakt z jej ciasnym, gorącym wnętrzem spowodował jego natychmiastowy orgazm. Ale wcale nie to było najbardziej zadziwiające. Wszystko wskazywało, że wskutek tego kontaktu jakimś cudem ona przeżyła to samo.

– Edward! – zawołała, jakby i ją ogarnęła niespodziewana ulga.

Chyba że minęła się z powołaniem i powinna zostać honorowaną Oscarami aktorką.

Zanim się zorientował, zaczął się w niej ruszać. Były to słabe i dość żalodne podrygi, ale ona włączyła się w ich rytm, a po chwili tamten wspólny pierwszy orgazm został przyćmiony następnym, znacznie potężniejszym. Cała drżąca, prężyła się, podrywana wstrząsami, ścisnęła go, jakby chodziło o jej życie – miał na twarzy jej włosy, czuł na sobie napór jej piersi, jej ciało oferowało mu doznania, jakich nigdy dotąd nie doświadczył.

Nie mogli przestać.

Gdy w końcu skończyli, po jego trzecim orgazmie, opadł z powrotem na fotel, ciężko dysząc.

– Będziesz musiała do mnie jeszcze przyjść.

– Och, Edward...

– Powiedz szefowi, że w przyszłym tygodniu. Ten sam dzień, ta sama godzina.

– Co?

Pozwolił, aby głowa opadła mu na bok.

– Pieniądze są tam. Tylko ty, nikt inny. Tylko ciebie już teraz chcę. Nagle poczuł się słaby, pewnie dlatego, że w ciągu ostatnich dwudziestu minut dokonał większego wysiłku niż przez cały rok. Uznał, że nic się nie stanie, jeśli po prostu teraz odpłynie i pozwoli prostytutce samodzielnie się oddalić.

W ten sposób mógł dłużej podtrzymywać fantazję.

– Tysiąc dolarów... Tam przy drzwiach – mamrotał. – Weź je. Napiwek dostaniesz...

Miał zamiar powiedzieć coś w rodzaju: „Napiwek dostaniesz później. Ktoś ci go podrzuci do szefa”. Ale przytomność całkiem go już opuściła. Poddał się ogarniającej go bezwładności i całkiem odpłynął.

Jak zwykle myśląc tylko o Sutton Smythe.

Sutton wypadła z domku Edwarda. Buty trzymała za paski, ale w przeciwieństwie do wcześniejszego spaceru po trawniku wokół budynku muzeum, teraz czuła ból, stąpając po deskach werandy, a potem po żwirze.

Nie żeby specjalnie zwracała na to uwagę.

W pośpiechu szła w stronę swojego mercedesa, targana sprzecznymi uczuciami. W jej głowie panował chaos, a ciało miała jak z waty.

Czyżby on ją wziął za prostytutkę?

No bo jak inaczej wytłumaczyć tę gadkę o pieniądzach i o jakimś szefie? I o przyszłym tygodniu?

O Boże... Właśnie odbyli stosunek.

Jak to się w ogóle stało? Jak ona mu mogła pozwolić...

Chryste Panie, ta jego twarz, to biedne ciało...

Myśli w jej głowie kręciły się w kółko jak oszalałe, aż w końcu, jakby wskutek siły odśrodkowej, rozpierzchły się, pozostawiając tylko jedną refleksję: że Edward w ogóle już nie przypomina dawnego siebie. Jego uroda całkiem przepadła, a blizny na policzkach, nosie i czole nie pozwalają nawet przypomnieć sobie doskonałych rysów twarzy.

Wiedziała już wcześniej, że obchodzono się z nim brutalnie. Doniesienia w prasie i telewizji (stanowiące dla niej jedyne źródło informacji, ponieważ on nie chciał się z nikim widzieć) podawały dokładnie, jak długo przebywał w szpitalu i na rehabilitacji – a przecież tego rodzaju długoterminowe leczenie nie miałoby miejsca bez jakiegoś tragicznego powodu. A jednak gdy zobaczyła go na własne oczy, przeżyła szok.

Przed porwaniem grał w polo, koszykówkę, tenisa i squasha. Brał udział w zawodach jeździeckich w skokach przez przeszkody. Biegał. Pływał. A ponieważ był złotym chłopcem nie tylko w interesach, ale w każdej dziedzinie życia, we wszystkich tych dyscyplinach radził sobie znakomicie.

„Szkoda, że nie zrobiliśmy tego wcześniej. Moje ciało stanowiło kiedyś całkiem przyjemny widok”.

Sutton próbowała otworzyć drzwi po stronie kierowcy, ale jej ręka wciąż się obsuwała po karoserii, jakby wskutek udaru nie potrafiła już nic porządnie chwycić. Kiedy zaś w końcu udało jej się wsiąść do samochodu, zupełnie opadła z sił i po prostu runęła na fotel.

„Powiniennem spróbować cię zdobyć wcześniej, ale stchórzyłem. Byłem aroganckim tchórzem. Prawda jest jednak taka, że zniósłbym wszystko oprócz jednego: twojego odrzucenia”.

Co on mówił? I do kogo w swoim przekonaniu kierował te słowa? Pękało jej serce na myśl, że mógł być zakochany w kimś takim.

Był przecież kompletnie pijany. Tak bardzo, że zanim stamtąd wyszła, sprawdziła, czy wciąż jeszcze oddycha i czy bije mu serce. Bo... Tak, myśl, że mogła go zabić, wtedy gdy...

Chryste Panie!

Jak to możliwe, że po tylu latach fantazjowania na ten temat w końcu się kochali? I to tylko dlatego, że on ją wziął za prostytutkę, którą sobie gdzieś zamówił?

No i oczywiście nie używali żadnych zabezpieczeń.

Cudownie. To jej dzisiejsze zejście z wytyczonego szlaku okazało się czymś całkiem niezwykłym... Zwłaszcza że – choć był tak pijany, a ona zachowywała się jak idiotka i pomimo jego kiepskiego stanu fizycznego – ten seks był niesamowity. Może to z powodu całej nagromadzonej przez lata ciekawości, może to jakaś ich szczególna kompatybilność, a może dlatego, że było to zdarzenie jednorazowe, jakby zapisane w gwiazdach.

Niezależnie od możliwych przyczyn nie ulegało wątpliwości, że żaden z mężczyzn, z którymi dotąd była, do niego się nie umywał.

I obawiała się, że nikt już w przyszłości nie zdoła tego przebić.

Wyciągnęła rękę i wcisnęła przycisk uruchamiania silnika.

Rozległo się jego delikatne mruczenie, rozbłyły reflektory, a ją ogarnęła fala paniki. Przecież na terenie stadniny na pewno przebywali też inni ludzie, a ostatnią rzeczą, której pragnęła, to zostać przyłapana na tej eskapadzie. Musiała jakoś sobie to wszystko poukładać w głowie, a ściągnięcie na siebie szalejących plotek raczej by jej nie pomogło. Nie,

dziękuję.

Właśnie w tej chwili z alei obsadzonej drzewami wyłonił się inny samochód, który zamiast skierować się w stronę którejś stajni lub budynków gospodarczych, zaparkował dokładnie obok niej.

Wysiadła z niego... wysoka brunetka w wieczorowej sukni do ziemi.

Zmarszczyła brwi, spoglądając na mercedesa. A potem do niego podeszła.

Sutton opuściła szybę – bo co innego miała właściwie zrobić? Jednocześnie zaczęła szukać odpowiedniej wajchy, przycisku, czegokolwiek, co pozwoliłoby jej wycofać samochód.

– Myślałam, że to ja jestem dzisiaj w grafiku... – zagaiła dość miłym głosem kobieta.

– Ja... Mmm... – Sutton zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Jesteś jedną z tych nowych, o których mówił szef? Cześć, jestem Delilah.

Sutton uściśniła wyciągniętą ku niej dłoń.

– Bardzo mi miło – powiedziała uprzejmie.

– Ale masz elegancką gadkę! – Kobieta się uśmiechnęła. – To co, zajęłaś się nim?

– Mmm...

– Nie ma sprawy. Tak bywa. Zresztą mam dzisiaj jeszcze dwóch innych klientów. – Sięgnęła dłonią do swojej głowy i ściągnęła z niej perukę. – Przynajmniej mogę się uwolnić od tego. Wszystko z nim w porządku?

– Słucham?

Kobieta potarła dłonią krótkie blond włosy, jednocześnie wskazując brodą domek Edwarda.

– Ten tam. Wszyscy się nim opiekujemy, biedakiem. Szef nie chce nam powiedzieć, kim on jest, ale na pewno kimś ważnym. Zawsze dużo płaci i dobrze nas traktuje. Smutna historia, naprawdę.

– Tak, bardzo smutna.

– No dobra, to ja ruszam. Mam powiedzieć szefowi, że wszystko załatwione?

– Mmm...

- To ja go wezmę w przyszłym tygodniu.
- Nie – odezwała się bez zastanowienia Sutton. – Powiedział mi...

On powiedział, że chce, żebym to znów była ja...

- Aha, w porządku, nie ma problemu. Przekażę szefowi.
- Dziękuję. Dziękuję bardzo.

Może to jakieś dziwaczne majaki?

Sutton nadal poszukiwała właściwej dźwigni. prostytutka pochyliła się znów ku niej i spytała:

– Szukasz wstecznego?

– Tak, właśnie.

– To ta dźwignia, tutaj. Do góry: wsteczny. W dół: jazda, a jak na koniec wciśniesz, to parkowanie.

– Dziękuję. To nie jest proste.

– Jeden z moich stałych klientów ma taki właśnie samochód. Niezłe cacko! Spokojnej jazdy!

Sutton wydała jakiś nieokreślony dźwięk, po czym ostrożnie wycofała samochód, z pełną świadomością, że tamta kobieta stoi zaraz obok z brązową peruką w dłoni.

Jadąc ku głównej drodze, uznała, że jedynym sensownym wyjaśnieniem całej sytuacji jest to, że złapała grypę i leży w łóżku z gorączką. Lada chwila się obudzi.

Naprawdę.

Obudzi się.

Jasna cholera, jak to się wszystko mogło stać?

Nadszedł dzień derby, jasny i słoneczny – choć nawet gdyby rozpoczął się od burzy z piorunami, powodzi i huraganu, Lizzie i tak uśmiechałaby się od ucha do ucha przez całą drogę do Easterly.

Zagrali z Lane'em w „kamień, papier, nożyce”, żeby podjąć decyzję, kto ma wcześniej opuścić dom, ale choć wygrała trzy razy z rzędu, i tak uznali, że powinna jechać pierwsza. Miała dużo pracy, a poza tym Lane nigdzie się nie spieszył.

Przy każdym mrugnięciu widziała jego ciało rozpostarte na prześcieradle, z doskonale obnażonym torsem i równie nagą dolną partią schowaną pod kołdrą.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak wypoczęta po nocy niemal całkiem nieprzespanej.

Mijając główną bramę wjazdową do Easterly, pokręciła głową. Człowiek nigdy nie wie, co mu się przytrafi.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o kwestię „przyjaźni”.

Gdy dotarła do wjazdu dla personelu, musiała szybko nadepnąć na hamulec i ustawić się w długiej kolejce ciężarówek dostawczych (których widok przyjęła z ulgą, zważywszy na wcześniejsze problemy z agencją wynajmu) i samochodów osobowych (które budziły w niej lekki niepokój, zastanawiała się bowiem, jak Lane i jego rodzina zapłacą honoraria całemu dodatkowemu personelowi).

Gdy w końcu udało jej się dojechać na parking, musiała wcisnąć toyotę w miejsce na jego tyłach. Imprezę miało obsługiwać około setki kelnerów i kelnerek, którzy też przecież musieli gdzieś zaparkować. Za godzinę wzdłuż dolnej części drogi ustawią się ciasno pikapy, motocykle i ze dwanaście rodzajów samochodów osobowych.

Wysiadła i dołączyła do ludzi zmierzających gromadnie tylną ścieżką ku domowi. Nikt nic nie mówił i to jej odpowiadało. W głowie układała sobie listę zadań i nadawała priorytety sprawom, które chciała załatwić, zanim przez drzwi frontowe Easterly wtoczy się ponad sześćset najważniejszych osób w mieście, wybierających się na derby.

Pierwszy punkt na jej liście: Greta.

Musiała jakoś załagodzić sytuację między nimi, bo jeśli chcą

przetrwając nadchodzące godziny, będą musiały ze sobą współpracować.

Zebrała się w sobie, widząc oranżerię na dalekim krańcu ogrodu. Greta na pewno już tam jest i sprawdza bukiety, zanim trafią na stoły, żeby się upewnić, że ich doskonałości nie zakłóca żaden przywiędły płatek czy liść.

Na pewno jest już na posterunku od szóstej czterdzieści pięć.

O tej godzinie miała też przyjechać Lizzie.

I przyjechałaby, gdyby w jej łóżku dziwnym trafem nie znalazł się Lane.

– Jestem dorosła – powiedziała do siebie. – Ja mówię, z kim, ja mówię, kiedy, ja mówię...

No świetnie. Zaczęła myśleć cytatami z filmu *Pretty Woman*. Sęk w tym, że jeśli Greta spyta o powód jej spóźnienia, wpadną z deszczu pod rynnę. Lizzie nie potrafiła kłamać, a buraczkowa czerwień, która zalałaby jej policzki, zanim zdążyłaby wybąkać jakąś wymówkę, zaraz by ją zdradziła, jakby niosła w ręku transparent:

PRZEZ CAŁĄ NOC BZYKAŁAM SIĘ Z LANE'EM
BALDWINE'EM!

Albo coś w tym stylu, tyle że po niemiecku.

Wyprostowała się, poprawiła torbę na ramieniu i podeszła do dwuskrzydłowych drzwi.

Otworzyła je i weszła w gęste, pachnące powietrze oranżerii. Postanowiła zacząć od...

– Jesteś dorosła – wypaliła Greta, spoglądając na nią sponad bukietu. – Przepraszam cię. Nie miałam prawa... Jesteś dorosła i masz prawo podejmować własne decyzje. Naprawdę przepraszam.

Lizzie gwałtownie odetchnęła.

– Ja też cię przepraszam.

Greta poprawiła sobie na nosie okulary w szylkretowych oprawkach.

– Niby za co? Nic mi nie zrobiłaś. Słuchaj, jestem od ciebie dziesięć lat starsza. Oznacza to nie tylko, że mam więcej zmarszczek na twarzy czy bardziej zwiotczone ciało, lecz też, że czuję wewnętrzny przymus troszczenia się o ciebie, chociaż wcale mnie o to nie prosiłaś i pewnie tego nie potrzebujesz. Ale tak to już jest...

– Greta, naprawdę nie musisz mnie przeproszać. Obie pracujemy ostatnio w wielkim stresie...

– Oprócz tego słyszałam, że przekazał jej wczoraj papiery rozwodowe...

– Szybko się wieść niesie. – Lizzie odłożyła torbę. – Jak się o tym dowiedziałas?

– Jedna z pokojówek widziała, jak Chantal rzuciła je wiceszeryfowi w twarz. – Greta pokręciła głową. – Co za klasa!

– Mówiłam mu, żeby nie robił tego ze względu na mnie.

– No cóż, nie wiem, co mu przyświecało, ale najwyraźniej dotrzymał słowa. – Greta wróciła do sprawdzania bukietów. – Obiecuj mi tylko jedno. Uważaj na niego. W tej rodzinie istnieje długa tradycja pozbywania się niepotrzebnych ludzi, a to nigdy się dobrze nie kończy dla tymczasowych maskotek.

Lizzie oparła dłonie na biodrach i patrzyła na swoje obuwie robocze, które długo i starannie wkładała na oczach Lane'a. Bardzo mu się to podobało i nie omieszkał tego wyrazić słowami.

Auć! Coś ją mocno zakłuło w klatce piersiowej, uświadamiając jej dobitnie, że wraz z odnowieniem jej fizycznej relacji z Lane'em wszystko się odmieniło – czy też raczej wróciło do poprzedniego stanu.

– Po prostu nie chcę, żebyś znów została zraniona. A teraz bierzmy się do pracy – powiedziała rzeczowo Greta.

– On nie jest taki jak jego rodzina. Naprawdę.

Greta przerwała pracę i wbiła wzrok w ogród za oknem. Po chwili pokręciła głową.

– Lizzie, to się ma we krwi. Nic nie można na to poradzić.

Gdy Lane wrócił do Easterly, zaparkował samochód nieco z boku, w brukowanej alejce prowadzącej na tył domu, do garaży.

– Jestem już w domu – powiedział do słuchawki. – Chcesz, żebym zaszedł do ciebie i wyjaśnił ci cały plan raz jeszcze?

Gin przez chwilę milczała. Wyobrażał sobie, jak potrząsa głową odrzuca włosy na plecy.

– Nie, chyba wszystko mi już wytłumaczyłeś – mruknęła znudzonym głosem.

Poprawiając czapkę bejsbolową w kolorach Uniwersytetu

Charlemont, zadart głowę i spojrzał w niebo. Wyjeżdżając od Lizzie, opuścił dach w samochodzie, a szum wiatru w uszach, gdy pędził do domu, dał mu iluzję wolności, której tak bardzo pragnął.

Boże... Lizzie. Jeśli ma szansę przeżyć dzisiejszy dzień w jako tako przyzwoitej formie, to tylko dzięki nocy, którą z nią spędził. Kochał się z nią godzinami, a potem, gdy spała, gapił się w sufit i kombinował, krok po kroku, jak dalej postępować.

– Będiesz z nim dzisiaj rozmawiał? – spytała szorstko Gin.

Ten jeden raz „z nim” nie znaczyło „z Edwardem”, ale „z ojcem”.

– Mam taki zamiar. – Lane zgrzytnął zębami. – Ale jeszcze nie teraz. Nic mu nie powiem, dopóki się nie przekonam, jaka jest skala problemu. Jeśli mu wszystko zdradzę, zanim zdobędę twarde dane, on tylko potnie i spali wszelkie dowody, których jeszcze nie zniszczył.

– To kiedy się z nim zmierzysz?

Zmarszczył brwi.

– Gin, tylko sama nic nikomu nie mów. Rozumiemy się? Nie piśnij ani słowa, zwłaszcza ojcu.

– Nienawidzę go.

– Popatrz na to szerzej. Jeśli chcesz, żeby naprawdę spotkał go nadchodzący cios, musisz poczekać, aż sam skręci sobie sznur na swoją szyję. Rozumiesz, co mówię? Jeśli teraz zagrasz w otwarte karty, jedynie mu pomożesz. Ja się tym zajmę, ale to chwilę potrwa. Słyszysz mnie, Gin?

Po chwili w słuchawce rozległ się cichy śmiech.

– Mówisz jak dawny Edward.

Przez ułamek sekundy poczuł, jak rozpiera go duma. Ale przecież im wszystkim Edward zawsze imponował.

– To najmilsza rzecz, jaką słyszałem z twoich ust – mruknął.

– Mówię szczerze.

– Dobra, to dziś cisza w eterze, Gin. Dam ci znać, jak sprawy postępują.

– Okej... W porządku.

– Grzeczna dziewczynka. Kocham cię. Zajmę się tą sytuacją zadbam o nas wszystkich.

– Ja też cię kocham, Lane.

Lane się rozłączył i dalej patrzył w chmury. Z oddali dochodził go gwar rozmów, a gdy opuścił nieco głowę, zobaczył przy garażach sporą grupę kelnerów w uniformach. Najwyraźniej odbywali właśnie odprawę.

Niech Gin się lepiej w ogóle nie odzywa – pomyślał.

William Baldwine i tak będzie już mocno zaniepokojony śmiercią pani Rosalindy. Gdyby został teraz przyparty do muru przez Lane'a – albo nie daj Boże przez Gin, z tą jej niewyparzoną gębą – zacząłby wszystko ukrywać, niszczyć archiwa, usuwać wszelkie informacje.

O ile oczywiście tego rodzaju dowody wciąż jeszcze są dostępne. Lane odwrócił głowę nieco w bok i spojrzał na rezydencję. Ciekawe, ile z tego wszystkiego się ostanie.

Chryste... Nigdy sobie nawet nie wyobrażał, że tego rodzaju myśl mogłaby mu przejść przez głowę.

Jedno było pewne: epoka Williama Baldwine'a właśnie się kończyła. Może to zapłata za krzywdy, które przez te wszystkie lata wyrządził Edwardowi, może kara za brak szacunku okazywanego matce, może konsekwencja faktu, że to przez niego zabiła się pani Rosalinda...

Co zabawne, jego poczynania z Chantal budziły w Lanie najmniej złych emocji.

Czyżby jego żonka naprawdę na niego poleciała? I jeszcze zaszła w ciążę?

Niewiarygodne.

Pomyślał, że może powinien dać o tym znać swojemu prawnikowi. Po kobiecie zdolnej do takich posunięć można się wszystkiego spodziewać.

Zaraz, zaraz, czy Samuel nie mówił, że zdrada to dobry powód do obniżenia alimentów?

– Zaparkować panu samochód?

Lane spojrzał na stojącego przed nim parkingowego w uniformie. Na zboczu poniżej rezydencji było ich pięćdziesięciu, ale tu, na górze, tylko jeden. Miał za zadanie przede wszystkim zaparkować samochód trenera drużyny koszykówki Uniwersytetu Charlemont. No i przy okazji kierować w odpowiednie miejsca samochody rektorów, prezesów i wszelkiej maści gubernatorów.

Ale absolutnie najważniejszy był samochód trenera.

– Nie, dziękuję. – Lane zdjął czapkę z głowy i przeczesał ręką włosy. – Zostawię go...

– Ach, to pan Baldwine! Nie poznałem pana.

– Wcale się nie dziwię. – Lane wysiadł z samochodu i wyciągnął rękę do stojącego przed nim chłopaczka.

Dzieciak gapił się przez chwilę na jego dłoń, a potem zrobił powoli krok w przód, jakby nie chciał czegoś popsuć albo wyjść na durnia.

– Dziękuję panu.

Lane poklepał go po ramieniu.

– Zostawię go tutaj, dobrze? Jeszcze nie wiem, czy będę jechał na tor.

– Oczywiście, proszę pana. Piękny wóz!

– No pewnie!

Gdy tylko przekroczył próg rezydencji, ruszył ku niemu angielski kamerdyner z powagą na twarzy – jak gdyby musiał już stamtąd odprawić niebagatelną liczbę osób. Natychmiast zmienił wyraz twarzy, gdy zobaczył, z kim ma do czynienia.

– Dzień dobry panu.

– Dzień dobry. Mam prośbę.

– Czym mogę służyć?

– Potrzebne mi jakieś ubranie.

– Pozwoliłem sobie zamówić dla pana błękitny garnitur z kory, białą koszulę z francuskim kołnierzykiem i spinkami, różową muszkę poszetkę. Przesłano je wczoraj, późnym popołudniem, dopasowane według zapisanych wcześniej wskazówek. Jeśli uzna pan za stosowne coś jeszcze poprawić przy marynarce lub spodniach, przyślę panu pokojówkę. Czekają też na pana różowe jedwabne skarpetki i para mokasynów.

Kto by się spodziewał – może ta jego aura profesjonalizmu nie była tylko na pokaz...

– Bardzo dziękuję – powiedział Lane, choć wcale nie miał zamiaru ubierać się na derby, a kamerdyner najwyraźniej właśnie taki strój mu przygotował. – Zaraz...

Rozległo się walenie kołatką o potężne drzwi wejściowe. Obaj odwrócili się w ich stronę.

– Zaraz się tym zajmę, proszę pana.

Lane wzruszył ramionami i skierował się ku schodom. Musiał znaleźć w swojej garderobie jakieś świeże ubranie.

– Pracowników prosimy o wchodzenie od tyłu – mówił wyniosłym tonem kamerdyner. – Będzie pan musiał...

– Chcę się widzieć z Williamem Baldwine'em!

Lane zamarł, rozpoznając ten głos.

– To absolutnie wykluczone. Pan Baldwine nie przyjmuje teraz...

Lane obrócił się na pięcie i aż się wzdrygnął na widok szczupłego, ciemnowłosego mężczyzny w wymiętym ubraniu i drogich skórzanych kowbojkach.

– Mack?

– ...natychmiast opuścić teren...

Lane podszedł do swojego kumpla z dzieciństwa, przerywając tyradę kamerdynera:

– Mack? Wszystko w porządku?

No dobra, nie ulegało wątpliwości, że odpowiedź na to pytanie brzmi „nie”. Edwin MacAllan, naczelny gorzelnik Bradfordów, wyglądał fatalnie: bystre zazwyczaj oczy miał podkrążone, a jego zabójczo przystojną twarz pokrywał kilkudniowy zarost.

– Twój ojciec chce doprowadzić firmę do ruiny – wymamrotał.

– Ja się tym zajmę – powiedział Lane, odprawiając kamerdynera ujmując Macka pod ramię. – Chodź ze mną.

Wciągnął pijanego kolegę po wielkich schodach, a potem siłą poprowadził korytarzem do swojego pokoju. W środku posadził go na łóżku i odwrócił się, żeby zamknąć drzwi.

Łubudu!

Potężny łomot ciała bezwładnie zwalającego się na podłogę aż zatrzęsł pokojem.

Lane zaklął, schylił się, podniósł kumpla z dywanu i posadził go z powrotem na materacu. Mack bełkotał coś o nienaruszalnym procesie produkcji bourbona, o sile tradycji, braku szacunku dla produktu ze strony kierownictwa, o tym, jakim ktoś tam jest skurwysynem...

W ten sposób nigdzie nie dojdą.

– Pobudka! – ryknął Lane, kolejny raz stawiając go na nogi. –

Chodź no tu, misiu.

Mack wiele razy gościł w ich domu, ale nigdy jeszcze nie był tak zalany – przynajmniej odkąd weszli w wiek dorosły. Jeśli połączyć to z informacjami pozostawionymi przez panią Rosalindę i z przedstawioną przez Macka tezą, że William Bradford chce doprowadzić firmę do ruiny...

Kolejny element układanki – pomyślał Lane. Nie może być inaczej. W wyłożonej marmurem łazience puścił wodę z prysznicą i wepchnął Macka w ubraniu pod zimny strumień.

Rozległo się wycie, tak głośne, że omal szyby nie popękały. Ale szok termiczny dał przynajmniej tyle, że facet już stał o własnych siłach.

Lane zostawił go pod prysznicem i skierował się do wnęki kuchennej w rogu pokoju, gdzie znajdował się ekspres do kawy.

– Oprzytomniałeś, Mack? – spytał, wracając do łazienki z kubkiem ozdobionym rodzinnym monogramem. – Czy dodać jeszcze lodu?

Mack, wciąż w strugach wody i z włosami na twarzy, rzucił mu wściekłe spojrzenie.

– Powiniennem dać ci w mordę.

Lane otworzył szklane drzwi kabiny.

– Ilu mnie widzisz?

– Dwóch – mruknął Mack, biorąc kubek z kawą w mokre dłonie.

– Ale to i tak lepiej, bo wcześniej było cię czterech i pół.

– A więc kuracja działa.

Mack pociągnął łyk z kubka, jednocześnie sięgając ręką w tył, do pokrętła prysznicą.

– Niezła ta kawa.

– A odróżniłbyś ją od rozpuszczalnika?

– Pewnie nie.

Lane wskazał ręką pokój za swoimi plecami.

– Będę tam na ciebie czekał. Szlafrok wisi na drzwiach. Bądź tak miły i nie wychodź do mnie nago.

– Nie dałbyś mi rady.

– Masz absolutną rację.

Lane zamknął drzwi łazienki, poszedł do garderoby, włożył świeże ubranie, a potem usiadł w miejscu, gdzie wcześniej Mack nie zdołał

utrzymać pionu. Jakiś czas później naczelnny gorzelnik wparował do pokoju, w szlafroku.

W dzieciństwie grali razem w koszykówkę w szkolnej drużynie. Mack wydawał się teraz równie wysportowany jak wtedy – na jego ciele nie było widać ani grama tłuszczu, a jego sylwetka wskazywała, że wciąż potrafi grać w golfa jak profesjonalista, biegać w maratonie lepiej niż dziesięć lat od niego młodszy frajerzy i być królem boiska w koszykówce.

A zarazem, pomimo tych sportowych inklinacji, w jego nietypowych, jasnobrązowych oczach nie było ani krzty tępoty. Gdyby Mack był bohaterem taniego romansu, barwa jego tęczywerek zostałaby opisana jako „pustynna burza” albo coś w tym rodzaju – ale to nie ze względu na niecodzienny ich odcień kobiety same pchały mu się do łóżka.

O, nie. Mack dawał im do tego znacznie więcej powodów.

I to mnie nazywają kobieciarzem – pomyślał Lane. Przecież nie mam co się równać z Mackiem.

– Masz jeszcze trochę? – spytał Mack, unosząc kubek. – Myślę, że jakieś trzy litry powinny wystarczyć.

– Częstuj się. Tam stoi ekspres.

Mack zerknął w stronę otwartych drzwi wnęki kuchennej.

– No dobra, skoro produkuję bourbona, może dam sobie radę z odrobiną kofeiny.

– A zresztą, sam ci zrobię. Też się muszę napić, a bardzo bym nie chciał, żebyś mi akurat dzisiaj sfajczył dom.

W końcu rozsiedli się w fotelach przy oknie, jak para staruszek (takich raczej nieogolonych).

– Powiedz mi – zagaił Lane, opierając łokcie na kolanach. – Co się dzieje w firmie?

Mack pokręcił głową.

– Źle się dzieje. Od dwóch dni chodzę pijany.

– Bo niby wcześniej ci się nie zdarzało? Jeździliśmy razem na majówki, pamiętasz? Sześć razy. Z czego tylko dwa razy w ramach szkolnej wycieczki.

Mack się uśmiechnął, ale zaraz znów spoważniał.

– Słuchaj, nigdy dotąd nikomu nie mówiłem, co myślę o twoim ojcu...

– To teraz możesz zacząć. Myślisz, że nie wiem, jaki on jest? Nastąpiła chwila milczenia.

– Nie wiedziałem, z jakiego szczebla jest ta dyspozycja. Myślałem, że może wstrzymanie zakupów przyszło od kierownictwa, ale się myliłem. Zacząłem pytać ludzi i okazało się, że to bezpośrednie polecenie twojego ojca. Przecież ten człowiek kieruje przedsięwzięciem wartym miliard dolarów! Co mu za różnica, czy...

– Zaczekaj, musisz podać mi jakieś tło. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Odcina mnie od dostaw. Kazał wstrzymać produkcję.

Lane aż podskoczył w fotelu.

– Co?!

– Przedwczoraj na moim biurku wylądowała dyspozycja zakazująca mi kupowania kukurydzy. Bez kukurydzy nie będzie zacieru. A bez zacieru nie ma bourbona. – Wzruszył ramionami i pociągnął kolejny łyk kawy. – Musiałem zamknąć destylarnię. Po raz pierwszy od czasu przeniesienia interesu do Kanady za czasów prohibicji. Wszystko pozamykałem. Pewnie, mam jeszcze kilka pełnych silosów, ale nic teraz, kurwa, nie będę robić. Przynajmniej dopóki nie porozmawiam z twoim ojcem i nie dowiem się, co on sobie, do diabła, wyobraża. No bo już nie wiem: może zarząd coś kombinuje? Może chcą nas sprzedać Chińczykom, a do tego potrzebują, żeby na papierze wszystko ładnie wyglądało, i tną koszty? Ale przecież nawet to nie ma sensu. Opóźniać wszystko o sześć miesięcy, gdy w całym kraju rośnie popyt na bourbona?

Lane nic nie mówił, wykonywał tylko w myślach dość niemiłe operacje matematyczne.

– Szkoda, że nie ma z nami Edwarda. – Mack pokręcił głową. – On by na to nigdy nie pozwolił.

Lane potarł czoło. Coraz bardziej bolała go głowa. Co zabawne, on też pomyślał o tym samym.

– No tak... Ale go nie ma.

– Więc jeśli mógłbyś mi pożyczyć jakieś suche ubranie, pójde

poszukać twojego ojca. Mam w dupie tego angielskiego buldoga na dole. William Baldwin po prostu musi mnie przyjąć...

– Mack...

– ...i wyjaśnić mi, dlaczego...

– Mack... – Lane spojrzał koledze prosto w oczy. – Mogę ci zaufać?

Naczelnny gorzelnik spojrzał na niego ponuro.

– Pewnie, że możesz – powiedział.

– Muszę wejść do systemu komputerowego firmy. Potrzebny mi dostęp do dokumentów finansowych, stanów kont, raportów rocznych. A tobie nie wolno puścić o tym pary z ust. Nikomu.

– O czym ty... Ale dlaczego?

– Możesz mi pomóc?

Mack odłożył kubek.

– Na tyle, na ile potrafię, jasne.

– Spotkamy się na dole, przy twoim samochodzie – powiedział Lane, wstając. – Ja prowadzę. Weź sobie z garderoby, co chcesz, byle nie garnitur z kory.

– Lane, co tu się, kurwa, dzieje?

– Bardzo możliwe, że odcięcie zakupów to nie żadna strategia biznesowa.

Mack zmarszczył brwi, jakby usłyszał coś w niezrozumiałym języku.

– Przepraszam, co powiedziałaś?

Lane wyrzwał przez okno na ogród i ustawiony w nim namiot. Wyobraził sobie tych wszystkich ludzi, którzy się tam zbiorą za jakieś dwie godziny, żeby pławić się w bogactwie i chwale wspaniałej rodziny Bradfordów.

– Jeśli komukolwiek o tym wspomnisz...

– Daj spokój. Ty mnie ostrzegasz?

Lane spojrzał na swojego kumpla.

– Niewykluczone, że nie mamy kasy. Mack zamrugał gwałtownie.

– To niemożliwe!

Lane ruszył w kierunku drzwi, rzucając przez ramię.

– Zobaczymy. Pamiętaj: wszystko, byle nie garnitur z kory.

W pierwszej chwili po przebudzeniu Edward siarczyście zaklął. Dudniło mu w głowie, a w jego zeszywniałym ciele ból mieszał się z mdłościami. Myśli zaś...

Miał zadziwiająco klarowne.

I ten jeden raz nie widział w tym nic złego.

Podczas gdy zbierał siły, żeby wstać, przez jego umysł swobodnie przepływały obrazy kobiety, która odwiedziła go wieczorem. Wciąż jeszcze był pijany – lub raczej kompletnie zalany – co pomagało mu całkowicie się zanurzyć we wspomnieniach jej dotyku, smaku, zapachu... Nawet jeśli całość została sztucznie stworzona, zamówiona i opłacona, mimo wszystko było to doświadczenie...

Po prostu piękne. Nie znajdował innego słowa.

Poprawił sobie przyrodzenie w rozporoku, chwycił laskę, dźwignął się w górę i zachwiał. Łazienka znajdowała się w rogu, oddalona o jakieś trzydzieści kilometrów, a on...

Robiąc krok w przód, kopnął coś, co leżało na podłodze.

– Co jest, ku...?

Zmarszczył brwi i pochylił się, mocno wsparty na lasce, żeby za chwilę nie rozłożyć się na podłodze niczym dywan.

Była to torebka wieczorowa.

Małeńka jedwabna kopertówka z zapięciem ozdobionym diamencikami.

Prostytutka musiała ją mieć ze sobą. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że w którymś momencie pomyślał, że właśnie taką mogłaby nosić Sutton.

Bardzo ostrożnie schylił się, żeby ją podnieść. Bóg jeden wie, co może być w środku.

Poczłapał z powrotem do fotela i wziął ze stolika obok telefon. Wybrał numer szefa agencji towarzyskiej i spojrzał na zegar na przeciwległej ścianie. Wpół do ósmej. Alfons pewnie jeszcze się nie położył, dopiero zwijał biznes po nocnej zmianie.

– Halo? – rozległ się zachrypnięty głos w słuchawce. – Pan Edward?

– Dziewczyna zostawiła coś wczoraj u mnie w domu. Torebkę.
– Jest pan pewien?
– Słucham?
– Widzi pan, właśnie miałem do pana dzwonić. Dziewczyna, którą wysłałem, mówi, że ktoś już pana zdążył obsłużyć, kiedy przyjechała...

Edward zmarszczył brwi. Pomyślał, że jednak chyba nie całkiem nadaża.

– Słucham? – powtórzył, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Dziewczyna, którą wysłałem. Przyjechała do pana o dziesiątej, ale zobaczyła, że wychodzi już od pana inna kobieta. Tamta jej powiedziała, że już się panem zajęła. I że przyjedzie też w następnym tygodniu. Nijak nie mogę wykombinować, która z moich dziewczyn to mogła być. Może pan sprawdzić, co jest w tej torebce?

Edward nagle otrzeźwiał, i to całkowicie – jakby ktoś wylał mu na głowę wiadro zimnej wody.

– Oczywiście, już.

Trzymając telefon między uchem a ramieniem, otworzył zapięcie torebki. Wyskoczyła z niej szminka w czarnej błyszczącej oprawce i poturlała się po podłodze. W torebce znajdowały się: czarna karta Centurion, karta ubezpieczenia zdrowotnego i prawo jazdy, któremu Edward przyjrzał się z bliska.

Sutton Smythe.

Oraz prawidłowy adres jej rodzinnej rezydencji.

Musiał chyba jęknąć do słuchawki albo wydać z siebie inny dziwny dźwięk, bo jego rozmówca zaczął się niepokoić:

– Proszę pana? Halo? Jest pan tam? Panie Edwardzie?

– To nie była jedna z pana dziewczyn.

– Nie?

– Nie. To była... – Miłość jego życia. Kobieta z jego snów. Jedyna osoba, co do której poprzysiągł sobie, że nigdy jej już nie zobaczy. – Koleżanka z dawnych lat sobie ze mnie zażartowała.

– A, to faktycznie zabawne – zachichotał alfons. – No dobrze, to chce pan kogoś na przyszły piątek?

– Jeszcze się odezwę. Dziękuję.

Edward się rozłączył i spojrzał przez ramię na szafkę stojącą przy drzwiach. Oczywiście: nadal leżało na niej tysiąc dolarów, dokładnie tam, gdzie je położył.

– Ja pierdołę... – szepnął, zamykając oczy.

Gdy Gin zakończyła rozmowę – nie ze swoim bratem, lecz z osobą, do której zadzwoniła zaraz po telefonie Lane’a – długo siedziała przed lustrem z głową ukrytą w dłoniach. Nie mogła przestać myśleć o tym, jak bardzo chciałaby cofnąć się w czasie do przedwczorajszego wieczoru, kiedy gawędziła sobie przez telefon z tym kretyńcem z kancelarii Samuela i wkręcała go, podczas gdy robiono jej włosy i przynoszono diamenty.

Gdyby tylko nie wzięła tego rolls-royce’a. To od tego właśnie rozpoczął się efekt domina i kolejne elementy jej życia zaczęły się sypać.

Chociaż z drugiej strony przecież ojciec i tak próbowałby ją wmanewrować w małżeństwo z człowiekiem, którego nie cierpiała, i tak samo postępowałby w kwestii pieniędzy, a pani Rosalinda i tak by się zabiła.

Właściwie więc nie: cofnięcie czasu nic by nie dało, nie byłoby żadnym rozwiązaniem.

Czy pięćdziesiąt trzy miliony dolarów to dużo pieniędzy? W pewnym sensie na pewno tak. Większość ludzi przez całe życie tyle nie ogląda – a może nawet przez kilka pokoleń, albo i setki pokoleń... Ale czy w ich rodzinie to tylko drobny uszczerbek w budżecie, czy też potężny krater?

Czy może raczej coś w rodzaju Wielkiego Kanionu?

Nie potrafiła wyobrazić sobie życia, w którym codziennie chodzi się na osiem godzin do pracy. Nie umiała planować budżetu, oszczędzać ani czegokolwiek sobie odmawiać.

A coś takiego spotkało kiedyś jedną z gałęzi klanu Bradfordów. Pod koniec lat osiemdziesiątych, zaraz przed krachem na giełdzie, rodzina ciotki jej matki kupiła spory pakiet udziałów w przedsiębiorstwie opartym na wiejskiej technologii, a w tym celu zastawiła najpierw cały swój majątek. Kiedy ta inwestycja okazała się wielką czarną dziurą, stracili wszystko.

Tę historię z morałem dorośli opowiadali sobie szeptem, gdy

sądźli, że dzieci nie słyszą.

Gin wstała, zrzuciła jedwabny szlafroczek i zostawiła go na podłodze. Potem chodziła po garderobie i przyglądała się strojom wartym setki tysięcy dolarów. Drapowane błyszczące suknie i małe sukieneczki wisiały na przezroczystych wieszakach o wyściełanych pachnącą tkaniną ramionach, dzięki którym bluzki i sukienki nie traciły kształtu.

Wybrała czerwoną suknię. Czerwoną jak krew, jak walka, jak barwy „Orłów” Uniwersytetu Charlemont.

I ten jeden raz włożyła też cały komplet bielizny.

Potem sprawdziła, czy jej włosy prezentują się wystarczająco wspaniale – sprężysta i bujna fryzura miała szansę odwrócić uwagę od jej smętnego nastroju.

Gdy w końcu rozległo się oczekiwane pukanie do drzwi, była już znów w sypialni i siedziała przy uroczym francuskim biurku.

– Proszę! – zawołała.

Do pokoju wszedł Richard Pford, a jeszcze wcześniej wpadła do środka woń jego wody kolońskiej. Gin pocieszała się myślą, że jej gość przynajmniej ładnie pachnie. W niczym innym nie przypominał jej szczególnie do gustu. Choć jego jasnobłękitny garnitur skrojono z najlepszego gatunku materiału, muszkę miał doskonale zawiązaną, w dłoni trzymał melonik, a na nogi włożył ręcznie wykonane buty, dla niej był odstręczający.

Chociaż w porównaniu z Samuelem nawet hollywoodzcy amanci nie prezentowali się najlepiej.

– Pozwól, że ci coś wyjaśnię – powiedziała Gin, zamykając za nim drzwi. – Nie robię tego dla mojego ojca. Bynajmniej. Oczekuję jednak, że zaoferujesz naszej firmie korzystne warunki, zgodnie z naszymi ustaleniami.

– Tak się umówiliśmy.

– Teraz umawiasz się ze mną. – Przyglądała włosy. – Będziemy mieszkać tutaj. Do tego przywykła Amelia, a obok mojego apartamentu jest drugi wolny.

– Mogę przyjąć ten warunek.

– Jestem gotowa odgrywać rolę twojej żony podczas wydarzeń

towarzyskich. Jeśli będziesz się angażował w romanse, co zapewne nastąpi, proszę, abyś zachowywał dyskrecję...

– Nie planuję żadnych skoków w bok – powiedział poważnie.
– I tego samego oczekuję również od ciebie.

Gin wzruszyła ramionami. Zważywszy na to, jak się wszystko potoczyło, nie spodziewała się, żeby jakikolwiek mężczyzna mógł ją w najbliższym czasie zainteresować.

– Słyszysz mnie, Gin? – Richard podszedł do niej, górując nad nią rosłą sylwetką. – Nie spodobałoby ci się to, co bym ci zrobił, gdybyś okazała mi w tych sprawach brak szacunku.

Gin przewróciła oczami. Przez wiele lat zdradzała swoich aktualnych kochanków i żaden się o tym nigdy nie dowiedział – chyba że sama się o to postarała. Jeśli przyjdzie jej na coś ochota, na pewno nie będzie sobie niczego odmawiać.

– Gin?

– Tak, dobrze. Gdzie masz pierścionek?

Richard sięgnął do kieszeni i wyjął z niej granatowe aksamitne pudełko. Otworzył je: w środku mienił się diament o szlifie szmaragdowym.

Przynajmniej nie została oszukana. Diament był równie ogromny, jak słynne klejnoty Elizabeth Taylor.

– Przygotowałem już ogłoszenie o ślubie – oświadczył Richard.
– Mój pełnomocnik przekaże je prasie, gdy tylko otrzyma ode mnie potwierdzenie. Ślub odbędzie się jak najszybciej.

Sięgnęła po pierścionek, ale Richard zatrzasnął wieczko pudełka.

– Jest jeszcze jeden szczegół do załatwienia.

– Jaki?

Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

– Myślę, że dobrze wiesz jaki. I nie mów mi, że mam czekać, aż będzie po ceremonii. Takiego warunku nie mogę przyjąć.

Gin zerwała się z krzesła.

– Nie mam zamiaru z tobą...

Richard złapał ją za włosy i przyciągnął do siebie.

– A ja nie mam zamiaru kupować sobie ferrari tylko po to, żeby patrzeć na nie w garażu.

– Nie dotykaj mnie...

– Intymność to święty składnik małżeństwa. – Skierował wzrok ku jej ustom. – A ja zamierzam z niej korzystać...

– Puść mnie!

Zaczął ją ciągnąć w stronę łóżka.

– ...nawet jeśli tobie się to nie spodoba.

– Richard! – Walila go pięściami w ramiona i klatkę piersiową.

– Richard, co ty robisz? Ja nie chcę...

Zatkał jej usta dłonią i mocno pchnął ją na łóżko, z uśmiechem drapieżcy na twarzy.

– Skąd wiedziałaś, że lubię ostry seks? Widzisz, jednak jesteśmy dla siebie stworzeni...

Później nastąpiły rzeczy niewyobrażalne. Choć usilnie się broniła, a Richard wydawał się mężczyzną dość wątlym, jednak udało mu się zadrzeć jej spódnicę i zsunąć w bok majtki...

Wszedł w nią jednym pchnięciem.

Ogarnęła ją fala mdłości, nie miała jednak zamiaru się poniżać, okazując przed nim jakąkolwiek słabość. Patrzyła w sufit, podczas gdy on stękał, wciąż się w nią wdzierając. Czowała wewnątrz palenie, które przywodziło jej na myśl barwę jej sukni.

Mniej więcej w połowie zacisnęła w dłoni kołdrę i wykrzywiła twarz.

– Powiedz, że mnie kochasz – jęczał jej do ucha Richard.

– Nie...

Richard odchylił się w tył i zacisnął dłoń na jej gardle, odcinając jej dopływ powietrza.

– Powiedz!

– Nie!

Jego oczy rozbłysły wściekłością i zmienił dłoń na jej szyi, prawą zaś uniósł w górę i...

– Jeśli mnie uderzysz, ludzie będą gadać – wydusiła. – Nie zdołam ukryć śladu, a muszę iść na to śniadanie. Moja nieobecność nie przejdzie niezauważona.

W irytacji uniósł górną wargę, ale opuścił dłoń. I dalej posuwał ją tak wściekle, że wezglowie łóżka aż waliło o ścianę.

Gdy skończył, odepchnął się rękami od łóżka, wstał i zaczął doprowadzać do porządku swoją garderobę.

– Chcę, żebyś się przebrała. Czerwień jest zbyt wulgarna.

– Nie mam zamiaru...

Szybkim ruchem złapał jej suknię i ją rozerwał, dokładnie przez środek na przodzie. A potem wymierzył palec w twarz Gin.

– Jeśli włożysz coś innego w tym kolorze, to jeszcze z tobą porozmawiam. Możesz sprawdzić, na co mnie stać, jeśli masz ochotę.

Wyszedł z pokoju zdecydowanym krokiem i mocnym ruchem zatrzaskał za sobą drzwi.

Dopiero wtedy Gin zaczęła drżeć. Całe ciało jej się trzęsło, a szczególnie rozchylone uda. Kiedy usiadła, poczuła wilgoć między nogami.

Wówczas zaczęła wymiotować.

Zawartość jej żołądka wylądowała na zniszczonej sukni – choć i tak przez ostatnią dobę Gin zbyt wiele nie jadła. Otarła usta wierzchem dłoni, czując pieczenie pod powiekami. Jakoś się przemogła i dźwignęła z łóżka.

Słyszała w głowie głos ojca, mówiącego, że jest nic niewarta. Że ślub z Richardem Pfordem będzie jej jedynym wkładem w dobro rodziny.

Ale ona nie robiła tego dla rodziny.

Tak jak zwykle, podjęła decyzję wiedziona wyłącznie własnym interesem.

Długo się zastanawiała, aż w końcu doszła do fundamentalnej prawdy o sobie samej. Nie potrafiłaby żyć w jakimkolwiek innym świecie. A Richard mógł jej zapewnić styl życia, jakiego potrzebowała – nawet jeśli jej własna rodzina już nie będzie mogła sobie na taki luksus pozwolić.

Najwyraźniej miało ją to słono kosztować, ale... szacunek do siebie straciła już bardzo dawno.

Poświęcić własne ciało na ołtarzu pieniędzy?

Nie ma sprawy. Zrobi, co trzeba.

Z późniejszej perspektywy był to wprost doskonały dzień na zabawę w tropicieli zagadek, czyli przeczesywanie komputera w Starej Destylarni.

Lane zaparkował pikapa Macka na tyłach dwustuletniej chaty i różnych budynków gospodarczych. Na miejscu nikogo nie zastali – ani zarządców, ani zwykłych pracowników. Nikt nie przyjmował dostaw. Nie było też turystów.

– Ta kawa mi pomogła – powiedział Mack, gdy wysiadali z samochodu.

– Świetnie.

– Chcesz kawałek batona energetycznego?

– Tylko jeśli przystawisz mi pistolet do głowy.

Skierowali się w stronę odnowionej chaty. Lane stanął z boku, a Mack przeciągnął kartę przez czytnik i otworzył drzwi. W środku połyskiwało dobrze zakonserwowane drewno. Światło z zewnątrz wpadało przez szyby ze szkła bąbelkowego wstawione pod koniec dziewiętnastego wieku. Oczekując na spotkanie, można było spocząć na rustykalnych fotelach, a nieco dalej stał stół na kozłach, pełen współczesnych akcesoriów biurowych, co wskazywało, że to miejsce pracy asystentki Macka.

– Chyba dawno tu nie zachodziłeś, co? – spytał naczelny gorzelnik, włączając światło.

– Właściwie to zajrzałem tu parę dni temu. – Gdy Mack spojrział na niego zdziwiony, Lane wzruszył ramionami. – Musiałem gdzieś zebrać myśli, więc przyjechałem tutaj i siedziałem między beczkami. Skorzystałem ze starego kodu wejściowego.

– Aha. Też tak czasem robię.

– Ale niewiele to pomogło.

– Mnie też nie pomaga, ale może kiedyś. – Mack wskazał głową zaplecze za recepcją. – Wciąż siedzę tam, z tyłu.

Jego gabinet zajmował niemal całą przestrzeń chaty. Gdy Lane wszedł do środka, na chwilę zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Naczelnego gorzelnika Bradford Bourbon Company otaczano niemal

religijnym kultem – nie tylko tu, w firmie, ale w całym stanie Kentucky. To miejsce stanowiło więc swego rodzaju świątynię. Ściany od sufitu do podłogi pokryte były kolażami z etykietek bourbona – najstarsze pochodziły z połowy dziewiętnastego wieku, a najnowsze z pierwszych lat dwudziestego pierwszego.

– Boże, nic tu się nie zmieniło. – Lane rozglądał się po pomieszczeniu, szukając śladów rodzinnej historii. – Dziadek mnie tu zabierał, gdy to wszystko urządzali dla turystów. Miałem wtedy pięć czy sześć lat. Tylko mnie tu przywoził, nikogo innego. Chyba chciał mieć w rodzinie architekta, a wiedział, że Edward chce przejąć firmę, a z Maxa i tak nic nie będzie.

– No i co w końcu zrobiłeś ze swoim życiem? – Mack usiadł za biurkiem i włączył komputer. – Z tego, co słyszałem, siedziałeś ostatnio w Nowym Jorku?

– Grałem w pokera.

– Słucham?

Lane odchrząknął, czując się nieco dziwnie.

– Po prostu... gram w pokera. Zarobiłem w ten sposób więcej, niż gdybym siedział za biurkiem. Zwłaszcza że skończyłem psychologię jeszcze nigdy w swoim dorosłym życiu nie pracowałem.

– Czyli dobrze sobie radzisz z kartami.

– Bardzo dobrze. – Skinął głową, wskazując ściany, żeby zmienić temat. – A gdzie twoje etykiety?

Komputer piknął przeciągle, a Mack się zalogował.

– Moich tu nie wieszałem.

– Daj spokój.

– Tam masz trzydziesty piąty rocznik Rodzinnej Rezerwy mojego ojca – powiedział Mack, wskazując miejsce w dole ściany w odległym kącie gabinetu. – Ta jest ostatnia.

Lane wziął krzesło stojące przy stole konferencyjnym i przetoczył je po błyszczących nagich deskach podłogi.

– Musisz policzyć, ile ci się tego zebrało.

– Aha. – Mack rozparł się wygodnie na swoim skórzanym tronie.

– To czego ci potrzeba? Co mam dla ciebie znaleźć?

Lane usiadł obok niego i patrzył na niebieskozieloną lunę ekranu

komputera.

– Pliki finansowe. Potrzebne mi chronologiczne zestawienia zysków i strat, wyciągi z kont, historia przelewów.

Mack zagwizdał pod nosem.

– To powyżej moich uprawnień. To wszystko mają tam, w korporacji. Czeka, jest jeszcze księga zarządu.

– A co to takiego? – Jezu, chyba powinien to wiedzieć.

Mack zaczął przeglądać foldery, otwierać dokumenty i je drukować.

– To materiały rozdawane przed zebraniem rady powierników. Otrzymują je menedżerowie wyższego szczebla, w tym i ja. Oczywiście o najbardziej interesujących sprawach dyskutuje komitet wykonawczy za zamkniętymi drzwiami, na godzinę przed otwartym spotkaniem, i z tego nie ma notatek. Ale te dokumenty powinny dać ci jakieś wyobrażenie o tym, co się dzieje w firmie. Albo przynajmniej o tym, co ma trafić do wiadomości zarządu.

Zaczął wyjmować z drukarki kolejne strony i mu je podawać. Lane zmarszczył brwi.

– Co właściwie dzieje się na spotkaniach komitetu wykonawczego?

– To tam dyskutowane są najbardziej istotne kwestie, jak również wszystko, o czym nikt więcej nie ma się dowiedzieć. Nie sądzę, żeby podczas tych spotkań sporządzano jakieś protokoły.

– Kto w nich uczestniczy?

– Twój ojciec. – Mack wyjął z drukarki kolejne dwie strony. – Nasz główny prawnik, prezes i wiceprezes zarządu, dyrektor finansowy, dyrektor operacyjny, no i specjaliści goście, w zależności od omawianych spraw. Mnie wezwano zaledwie raz, gdy dyskutowano akurat kwestię zmiany receptury Nr 15. Zmasakrowałem ten wspólny pomysł i chyba ich przekonałem, bo więcej z takimi głupotami nie wyskakiwali. Przebywałem w tej sali tylko tyle czasu, ile było mi potrzebne do mojej prezentacji. Potem mnie wyprowadzono.

– Wiesz może, czy ustalają wcześniej listę spraw do omówienia?

– Podejrzewam, że tak. Kiedy tam szedłem, na korytarzu czekały jeszcze trzy lub cztery osoby, więc pewnie obradowali według jakiegoś planu. Wszystkim dyryguje biuro twojego ojca, tam, w Easterly.

Lane zaczął przeglądać papiery, jeszcze ciepłe po wyjściu z drukarki. Protokół ostatniego spotkania. Lista obecności. Informacje na temat operacji, których sensu nie rozumiał.

Ktoś mu to musiał
przetłumaczyć. Ktoś zaufany.

Ktoś, kto ma większy dostęp do dokumentów.

Mack wydrukował jeszcze materiały z trzech poprzednich spotkań zarządu. Pospinał je i powkładał w koszulki.

– Muszę pożyczyć twój samochód – powiedział Lane, patrząc na stos dokumentów.

– Podwieź mnie do domu i go sobie bierz. I tak muszę jeszcze wytrzeźwieć.

– Jestem twoim dłużnikiem.

– Uratuj tylko tę firmę, a spłacisz mi to z nawiązką.

Mack wyciągnął do niego rękę, a Lane ją uściskał.

– Zrobię, co się tylko da. Bez oglądania się, kto na tym może ucierpieć.

Naczelnny gorzelnik zamknął oczy.

– Dzięki ci, Boże – szepnął.

Jak egzotyczne zwierzęta w zoo – pomyślała Lizzie.

Stała przy samej ścianie namiotu i obserwowała mieniący się tłum. Ludzkie fale zbierały się wokół stołów, które wraz z Gretą przygotowała, a potem od nich odpływały. Prowadzono głośne rozmowy, powietrze było ciężkie od perfum, wszędzie błyszczały klejnoty. Kobiety miały na głowach kapelusze, a na nogach buty na niskim obcasie. Mężczyźni byli ubrani w jasne garnitury, niektórzy mieli nawet na szyjach fulary, a na głowach meloniki.

Był to świat rodem z fantazji, stanowiącej dla wielu innych ludzi wizję lepszego życia.

Lizzie знаła jednak prawdę. Po tylu latach pracy w Easterly dobrze wiedziała, że bogactwo wcale nie chroni przed nieszczęściem.

Kokon luksusu daje jedynie takie złudzenie. Boże, te arkusze, które zostawiła pani Rosalinda...

– Jest na co popatrzeć, co?

Lizzie spojrzała w bok.

– Pani Aurora? Nie wierzę, że pani tu przyszła! Przecież nigdy podczas śniadania przed derby nie wychodzi pani z kuchni!

Starsza kobieta zmęczonymi oczami wodziła po otoczeniu: oglądała gości, wystrój, kelnerów w uniformach, którzy roznosili na srebrnych tacach srebrne kubeczki z miętowym koktajlem.

– Bierą tego mojego jedzenia.

– No pewnie! Przecież wszystko jest znakomite!

– Z temi kieliszkami jakoś dajecie radę?

Lizzie pokiwała głową i dalej patrzyła na tłum.

– W tej chwili mamy jeszcze ze sto w rezerwie. Kelnerzy świetnie się spisują.

– A gdzie masz drugą połowę?

Lizzie w pierwszej chwili chciała zdać jej raport z ostatnich poczynań Lane'a, co było oczywiście głupim pomysłem – zresztą nie miałyby wiele do powiedzenia. Wiedziała tylko, że wyjechał z Easterly z Edwinem MacAllanem, naczelnym gorzelnikiem BBC, przed jakąś godziną. A może przed dwiema?

– Greta jest tam. – Wskazała przeciwległy kraniec namiotu. – Zawiaduje zbieraniem pustych kieliszków. Mówi, że to jak szukanie jajek wielkanocnych na pełnym gazie. Przynajmniej tak zrozumiałam. Jej ostatnia relacja zawierała dużo niemieckich słów, co zwykle nie oznacza nic dobrego.

Pani Aurora pokręciła głową.

– Nie o nią żem pytała. Miło cię znów widzieć przy Lanie.

– A... – Lizzie odchrząknęła. – Nie wiem, co na to powiedzieć.

– To dobry chłopak, rozumiesz?

– Proszę posłuchać, między nami teraz nic się nie dzieje. – Jeśli nie liczyć ośmiogodzinnego seksu ostatniej nocy. – On jest żonaty.

– Chwilowo. Ta kobieta to jest nic niewarta.

Trudno się z tym nie zgodzić – pomyślała Lizzie.

– No cóż...

– On cię tera będzie potrzebować.

Lizzie uniosła w górę dłonie, żeby jakoś zatrzymać rozwój tej rozmowy.

– Pani Auroro, ja i on...

– Trza ci będzie go wspierać. Na te jego barki to spadnie tera wielki ciężar.

– A więc pani wie... o wszystkim?

– Będzie mu trza wsparcia jakiej trzeźwo myślącej osoby – powiedziała z dość ponurą miną pani Aurora. – To dobry chłopak, ale czeka go ciężka próba. Jeszcze takiej nie miał. Będiesz mu potrzebna.

– Czy pani Rosalinda coś pani mówiła?

Zanim pani Aurora miała szansę odpowiedzieć, z tłumu wyszła wysoka, uderzająco piękna brunetka. I zamiast je minąć, zatrzymała się i wyciągnęła rękę.

– Pani Lizzie King? Jestem Sutton Smythe.

Lizzie aż się wzdrygnęła, ale potem stanęła na wysokości zadania i uściśnęła wyciągniętą ku niej dłoń.

– Wiem, kim pani jest – oznajmiła.

– Chciałam tylko powiedzieć, że ten ogród wygląda prześlicznie. Wprost niesamowicie! Obie z panią von Schlieber jesteście prawdziwymi artystkami.

W wyrazie jej twarzy nie kryło się nic podstępnego, nie było czuć fałszu ani ukrytych motywów. Całkowita otwartość tej kobiety kazała Lizzie pomyśleć o napuszonych, pretensjonalnych manierach Chantal.

– To bardzo miło z pani strony.

Sutton pociągnęła łyk ze srebrnego kubeczka z miętowym koktajlem, a na jej dłoni błysnął ogromny rubin.

– Chętnie widziałabym panią w swojej rezydencji, ale wiem, że to byłoby niestosowne. Szanuję pewne granice. Musiałam jednak dać pani znać, że mam wielki podziw dla pani talentu.

– Dziękuję.

– Naprawdę nie ma za co.

Sutton uśmiechnęła się i odeszła – lub przynajmniej próbowała odejść. Daleko nie zaszła, bo zaraz zebrali się wokół niej ludzie: kobiety ją zagadywały, mężczyźni mierzyli wzrokiem jej atuty niezwiązane z pozycją w biznesie.

– Wie pani – szepnęła Lizzie – to całkiem miła osoba.

Nie słysząc odpowiedzi, spojrzała w bok. Pani Aurora zmierzała już z powrotem do kuchni, powolnym, niepewnym krokiem, jakby

bolały ją stopy – do czego miały zresztą całkowite prawo. Poza tym przecież ledwie parę dni temu była w szpitalu.

Lizzie cieszyła się, że kucharka chociaż ten jeden raz wyszła, żeby zobaczyć, jaki efekt dały ich wspólne wysiłki. Może w przyszłym roku uda im się zatrzymać ją tu trochę dłużej...

Po drugiej stronie namiotu siedziała przy stole Chantal w towarzystwie siedmiu innych kobiet, które wyglądały jak różne warianty jej samej: kosztowne, egzotyczne ptaki, o bajecznie kolorowych piórkach, za które płacili mężczyźni ich życia. Za dwadzieścia lat, kiedy ich przyszłe potomstwo opuści rodzinne domy, będą wyglądały jak woskowe podobizny samych siebie – podrasowane, wyretuszowane, naszprycowane botoksem.

Tak naprawdę wszystkie ciężko pracowały. Zawodowo zajmowały się rodzeniem dzieci i dbaniem o to, by wciąż podobać się mężom.

Podobnie jak klacze rodzące konie czystej krwi – takie jak te, które za parę godzin ruszą do wyścigu na torze.

Lizzie pomyślała o swojej farmie, którą samodzielnie spłacała. Nikt jej nie mógł tego odebrać, bo sama na to zarobiła.

To znacznie lepsza sytuacja niż konieczność stałego podlizywania się komuś.

Wyjęła telefon, żeby sprawdzić, czy Lane do niej nie napisał. Mówiła sobie, że między nimi jest inaczej. Ona przecież nie potrzebuje jego pieniędzy, nie dba o jego pozycję i nigdy się nie zgodzi, żeby ktokolwiek jej rozkazywał.

Kiedy stwierdziła, że nie ma żadnych nieodebranych wiadomości, poczuła ukłucie w klatce piersiowej. Postanowiła nie zwracać na nie uwagi i schowała komórkę.

Między nią a Lane'em wszystko wygląda inaczej...

Jasna cholera. Dlaczego wciąż sobie wyobraża, że znów są razem?

Samuel nie miał zamiaru zatrzymywać się u stóp wzgórza pod rezydencją jak inni. Jego jaguar jechał slalomem, wymijając zebrane tam mercedesy, audi, porsche i limuzyny. Parkingowym, którzy kiwali na niego, żeby się zatrzymał, machał tylko ręką, żeby dali mu spokój.

Nie ma mowy. Nie będzie jeździł jakąś furgonetką ze zwykłymi zjadaczami chleba. I w żadnym wypadku nie zostawi swojego cacuszka w rękach jakiegoś prymitywnego szesnastoletniego jełopa, który pewnie by mu rozwalil skrzynię biegów, parkując gdzieś w błocie na poboczu.

Wjechał na górę i machnął ręką stojącemu tam samotnemu pracownikowi obsługi. Nawet nie spojrzął na ludzi wychodzących z furgonetki stojącej przed rezydencją. Ruszył w stronę garaży, zaparkował równolegle do wschodniego skrzydła domu i wyłączył silnik. Natychmiast doszły go odgłosy imprezy odbywającej się po drugiej stronie muru okalającego ogród; gwar tworzący wielowarstwowy pogłos, który przypominał początek symfonii prowadzący do wspaniałej i dramatycznej partii solowej.

Przez dłuższy czas nie wysiadał z samochodu.

„Kocham cię, Samuel. Tak to już między nami jest, odkąd mieliśmy po kilkanaście lat”.

Czy coś w tym rodzaju. Nie pamiętał, jakich dokładnie słów użyła Gin, bo podczas ich rozmowy całą energię poświęcał na to, żeby nie oszaleć.

Boże, czego on z tą kobietą nie przeszedł... Te wszystkie lata udowadniania sobie nawzajem, kto jest górą. No i miała rację, oczywiście. Tak, umawiał się z kelnerkami i fryzjerkami, bo były inne niż ona, a przecież każdą kobietę, jaką spotkał, porównywał z nią. I rzeczywiście, żadna z nich nie wytrzymała tego porównania.

Przespał nie więcej niż godzinę, może dwie. W głowie wciąż rozbrzmiewała mu ich rozmowa – od początku do końca i z powrotem. Z tego kłębowiska myśli najbardziej wyróżniało się coś, co wiązało się z upływem czasu. Przez te wszystkie lata widywał Gin w najróżniejszych nastrojach, ale tylko raz dostrzegł w jej oczach łzy. Było to jakieś piętnaście lat wcześniej, kiedy on już od kilku lat

studiował na Uniwersytecie Wirginii, a ona zaczynała dopiero anglistykę w prywatnym koledżu. Przyjechał do domu na przerwę wielkanocną, głównie ze względu na rodziców, ale też trochę z myślą o niej. Oczywiście wcześniej już się widywali.

Elita Charlemont to niewielki świątek. Jeśli się chce na kogoś gdzieś natknąć, to na pewno znajdzie się na to jakiś sposób.

O dziwo, musiał właśnie poszukać sposobu. Gin nie pojawiła się na żadnej z imprez, na które chodził z przyjaciółmi. Musiał skorzystać z pretekstu, jakim był mecz koszykówki z jej braćmi – choć jego stopa nawet nie stanęła na boisku znajdującym się na tyłach posesji, za garażami. Gdy tylko przyjechał na miejsce, porzucił Maxa i Lane'a i poszedł szukać Gin. Zastał ją przy basenie, ubraną w bluzę i krótkie spodenki. Wyglądała strasznie. Powiedziała mu, że musi trochę odpocząć od koledżu, więc przez jakiś czas zostanie w domu. Że nie podoba jej się na uczelni i że chce po prostu przez jakiś czas odpocząć.

Nic dziwnego. Trudno sobie wyobrazić, żeby taki nieokiełznany dzieciak jak ona stosował się do jakiegokolwiek planu zajęć – czy to w ramach studiów, czy pracy. Znacznie lepiej pasowała do świata, w którym się wychowała: nadawała się wyłącznie do tego, żeby pełnić funkcję pani wielkiej rezydencji.

Ich rozmowa skończyła się kłótnią. Zresztą wszystkie zawsze tak się kończyły.

A ona uciekła od niego, wzburzona.

Chciał się po prostu oddalić, ale jak zwykle nie potrafił tak zupełnie się odciąć. Zanim przeszedł przez bramę ogrodu, obejrzał się za siebie.

Gin skrywała głowę w dłoniach i płakała.

Wrócił do niej, ale pobiegła do domu i zaryglowała za sobą drzwi balkonowe.

Nie widział jej potem przez jakiś rok. Głównie dlatego, że nawet jako nieopierzony dwudziestolatek wiedział już, że się ze sobą nie dogadują. Nie potrafił jednak na dłuższą metę trzymać się od niej z dala. Nigdy się tego nie nauczył.

Pomyślał teraz o tym, co mu powiedziała dzień wcześniej... I o jej łzach.

A co, jeśli... jeśli ona nie prowadziła z nim żadnej gry?
Z jakiegoś powodu ta myśl go przerażała.

Kolejne, wcale nie mniejsze zaskoczenie: czuł się gotów zaprzestać tej ciągłej walki. Od tak dawna duma kazała mu reagować na każdy jej ruch, każdy wybór... ale przecież nie jest porażką odłożyć broń, jeśli druga strona już wyzbyła się oręża.

Prawda była taka, że zwyczajnie się oszukiwał, sądząc, że ktokolwiek na ziemi potrafi sprostać jego oczekiwaniom, jeśli nie to uparte, rozpieszczone skaranie boskie.

Trzymała jego serce w dłoni już od pierwszego dnia, gdy ją zobaczył.

Wysiadł z samochodu, odgarnął włosy do tyłu i zapiął sportową marynarkę w różowo-błękitno-żółtą kratkę. Następnie schylił się po słomkowy melonik leżący na siedzeniu i włożył go na głowę, dokładając starań, żeby leżał na niej idealnie.

Skierował się ku najbliższemu wejściu do ogrodu i dołączył do zebranego tam towarzystwa.

– Jest nasz człowiek!

– Samuel!

– Napij się koktajlu!

Podchodzili do niego starzy kumple, których znał od przedszkola. Ściskali mu dłoń, opowiadali o handicapach w wyścigu, wypytywali o przyjęcia mające się odbyć po południu, wieczorem i w niedzielę rano. Odpowiadał zdawkowo, przeczesując wzrokiem tłum.

W końcu poprosił o wybaczenie i nie czekając na odpowiedź, ruszył przez namiot, mijając kelnerów z tacami, kolejnych ludzi pragnących z nim porozmawiać i kilka kobiet usilnie szukających z nim kontaktu.

W końcu znalazł i ją. Była sama i patrzyła na rzekę.

Zbliżając się do niej, podziwiał subtelną linię jej ciała. Przyglądał się jej odsłoniętym ramionom. Z jakiegoś powodu szyję miała owiniętą długim szalem, którego końce, zwisające aż do jej niewiarygodnie długich nóg, powiewały, poruszane podmuchem wiatraków.

Irytowało go, że serce tak mocno wali mu w piersi. I że musiał dyskretnie wytrzeć dłonie w okolicach rozcięć marynarki. Miał

rozpaczliwą nadzieję, że prawidłowo odczytał jej intencje. Że ten jeden raz mówiła to, co czuła. Że w końcu byli gotowi zrobić coś na serio.

– Gin?

Nie odwróciła się, tylko dalej wpatrywała w rzekę. Położył dłoń na jej ramieniu.

Obróciła się tak prędko, że jej koktajl rozprysnął się, pozostawiając mokrą plamę na całej szerokości jego marynarki.

Niewiele go to obchodziło.

– Coś dzisiaj jesteś nerwowa – powiedział przeciągle, próbując odzyskać choć trochę zwykłego animuszu.

– Bardzo cię przepraszam. – Wyciągnęła ku niemu dłoń z małą serwetką z monogramem. – Och, zniszczyłam ci...

– Daj spokój. Mam drugą w bagażniku.

Woził ją głównie dlatego, że na trybunach zawsze się trochę pocił, a nigdy w życiu nie pozwoliłby sobie w przepoconym ubraniu dotrzeć do późnej nocy.

– To co, gotowy na wielki dzień? – spytała, gdy zdejmował zalaną koktajlem marynarkę.

Złożył ją i przewiesił sobie przez ramię. Nagle uświadomił sobie, że Gin unika jego wzroku.

– To jak? – dociekała. – Mój brat wystawia jednego ze swoich koni. A może dwa? Potomstwo tego parszywego Nebekanzera.

Nadal zero kontaktu wzrokowego.

– Nie cierpię skakać z samolotów – mruknął pod nosem.

Zdziwiona, aż na niego spojrzała. Ale trwało to ledwie chwilę.

– Co takiego? – Znów skierowała błękitne oczy na rzekę.

Zaklął cicho.

– Słuchaj, Gin...

– Tak?

Zauważył, że Gin stoi niemal bez ruchu. Zauważył też, że jest od niego sporo niższa. To zabawne: nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi, jaka jest drobna w porównaniu z nim. Różnica jakichś czterdziestu kilogramów wagi i piętnastu centymetrów wzrostu nie miała wielkiego znaczenia, gdy te jej usta wyczyniały diabelskie harce.

Wziął głęboki oddech.

– Zastanawiałem się nad tym, co mówiłaś wczoraj. I będę szczery: miałaś rację. Masz całkowitą rację. We wszystkim.

Nie był pewien, jakiej reakcji właściwie się spodziewał, ale na pewno nie oczekiwał smętnie opuszczonych ramion. Gin wyglądała na skrajnie przygnębioną.

– Wcale nie jestem w tym lepszy od ciebie – mówił dalej. – Ale chcę... No cóż, niech to szlag... Gin, Kocham...

– Przestań! – syknęła. – Nie mów tego. Proszę cię... Nie teraz. Nie...

– Witaj, Samuelu! Co słyszeć?

Pojawienie się przy nich trzeciej osoby nie zrobiło na nim większego wrażenia niż to, jakie mogłaby wywołać przelatująca mucha.

Tyle że chwilę później Richard Pford objął ramieniem talie Gin i mówił dalej:

– Przekazałaś mu naszą radosną wiadomość, skarbie?

Po raz pierwszy w życiu Samuel poczuł zimny dreszcz przerażenia. Co, zważywszy na rozmaite czyny, jakich się dopuszczał przez ostatnie dwie dekady, świadczyło o wyjątkowości tej sytuacji.

– A cóż to mogłaby być za wiadomość? – zmusił się do odpowiedzi, umyślnie wydłużając samogłoski. – Zamierzacie zbić fortunę, wspólnie handlując organami w internecie?

Świdrujące oczka Pforda wściekle się zaiskrzyły.

– Masz bardzo bujną wyobraźnię. Jestem pewien, że wspaniale służy twoim klientom.

– Przy twoim poczuciu etyki zawodowej, Pford, nie rzuciłbym pierwszy kamieniem. – Samuel spojrział na Gin, a jego pierś stała się twarda jak kamień. – A więc masz mi coś do powiedzenia, tak?

W ramach odpowiedzi Pford ujął jej lewą rękę i wysunął ją w przód.

– Zamierzamy się pobrać. W poniedziałek.

Samuel zamrugał, a potem się uśmiechnął.

– Co za cudowna wiadomość! Naprawdę. Richard, pozwól, że jako pierwszy ci pogratuluję. Ona jest w łóżku jak lwica, zwłaszcza gdy się ją bierze od tyłu. Ale z pewnością sam już dobrze o tym wiesz, podobnie jak większość mężczyzn w tym kraju.

Podczas gdy Richard wyrzucał z siebie litanie obelg, Samuel pochylił się w stronę Gin i pocałował ją w policzek.

– Wygrałaś – szepnęła jej do ucha.

Odwrócił się od narzeczonych i ruszył do swoich kumpli. Z tacy przechodzącego kelnera wziął dwa miętowe koktajle i wychylił je duszkiem jak wodę.

– Co masz na twarzy? – spytał ktoś.

– Słucham?

– Coś mokrego.

Przejechał dłonią po swędzącym go oku i zmarszczył brwi, wyczuwając wilgoć.

– Zostałem obłany koktajlem.

Jeden z jego kolegów ze studiów zarechotał:

– Jakaś kobieta wreszcie strzeliła ci drinkiem w pysk? Najwyższy czas!

– Jasne, dostałem to, na co zasłużyłem – powiedział beznamiętnie, chwytając trzeci koktajl. – Ale bez obawy panowie, zaraz znów wsiadam na rumaka.

Zebrani przy stole mężczyźni zarechotali. Poklepywali go po plecach, ktoś przyciągnął jakąś kobietę i pchnął ją w jego stronę. Oplotła mu ramiona wokół szyi i przyłgnęła do niego, a on przyjął ofertę i zaczął się z nią całować oraz przesuwając dłonie po jej ciele, choć otaczał ich tłum ludzi.

– Och, Samuel – szepnęła mu prosto w usta. – Tak długo czekałam, aż się mną zajmiesz.

– Ja też, skarbie. Ja też.

Nie знаła go na tyle dobrze, żeby rozpoznać beznamiętny ton jego głosu. A on nic sobie nie robił z jej nietłumionego entuzjazmu.

Musiał jakoś ocalić swój honor. W przeciwnym razie nie byłby w stanie wytrzymać we własnej skórze już ani minuty.

Gin radziła sobie w tych rozgrywkach znacznie lepiej niż on. Gdyby nie to, że przed chwilą ostatecznie złamała mu serce, musiałby jej pogratulować.

Przejeżdżając pikapem Macka między kamiennymi słupami bramy prowadzącej na farmę Red & Black, Lane miał wrażenie, że zadrzewiona

aleja ciągnie się przez co najmniej sto kilometrów, a widoczne na końcu drogi stajnie i zabudowania gospodarcze wydawały mu się tak odległe, jakby znajdowały się w innym stanie.

Jechał naprzód, a za nim unosił się kłęb pyłu rozgrzanego przedpołudniowym słońcem.

Dobrze o tym wiedział, ponieważ stale patrzył w lusterko wsteczne, żeby upewnić się, że nikt go nie śledzi.

Żwirowy podjazd zataczał koło przed największą ze stajni. Lane zaparkował nieco z boku, do połowy na trawie. Nie zamykał samochodu. Zresztą nawet kluczyki zostawił w stacyjce.

Wziął głęboki oddech i przeniósł się w świat swojego dzieciństwa, gdy przyjeżdżał tu podczas wakacji, żeby sprzątać stajnie. Dziadkowie uważali, że dzieciom należy zaszcześcić szacunek do pracy – chociaż rodzice nie przykładali do tego szczególnej wagi.

Ruszył w stronę dawnego domku zarządcy. Nie mógł uwierzyć, że Edward mieszka teraz tak skromnie. Dawniej zawsze rozpierała go energia, był stale w ruchu: zdobywca szukający nowych zwycięstw – czy to w sporcie, czy w biznesie, czy w miłości.

A teraz... Ta mała chatka... i tyle? Nic więcej?

Lane podszedł do drzwi i zastukał w ramę moskitiery.

– Edward? Jesteś tam?

Edward! A niby gdzie miał przebywać? Łup, łup, łup.

– Edward? To ja...

– Lane? – odezwał się przytłumiony głos. Odchrząknął.

– Tak, to ja. Muszę z tobą porozmawiać.

– Zaczekaj.

Gdy w końcu drzwi się otworzyły, Lane zobaczył w nich nie swojego brata, lecz dziadka. Edward tak wychudł, że dzinsy zwisały mu z bioder jak staruszkowi. Był też nieco przygarbiony, jakby przeżywany przez niego ból trwale wygiął jego ciało w pozycję zbliżoną do embrionalnej.

– Edward...

Jego brat w odpowiedzi tylko coś mruknął i wykonał gest dłonią,

wskazujący, że Lane ma sobie sam otworzyć moskitierę i wejść.

– Przepraszam cię, ale muszę z powrotem usiąść – powiedział Edward, kierując się w stronę fotela, w którym najwyraźniej siedział przed chwilą. – Na stojąco nie czuję się najlepiej.

Opuszczając się do pozycji siedzącej, wydał z siebie ledwo słyszalny jęk.

Lane zamknął drzwi i włożył ręce do kieszeni spodni. Starał się nie patrzeć na okaleczoną twarz brata.

– A więc...

– Proszę, nie zwracaj sobie głowy komentarzami na temat mojego świetnego wyglądu.

– Ja...

– Właściwie to chyba wystarczy, jak sobie skiniemy głowami, a potem sobie pójdiesz. Pewnie przysłała cię tu Aurora, żebyś mógł jej zaświadczyć, że wciąż jeszcze oddycham.

– Ona nie czuje się najlepiej.

– Jak to? – spytał Edward, nagle zainteresowany.

Lane szybko streścił całą historię: pogotowie, potem wszystko dobrze, wciąż pracuje przy śniadaniu przed derby.

Edward odpłynął gdzieś wzrokiem.

– Cała ona. Jeszcze nas wszystkich przeżyje.

– Myślę, że chciałaby cię zobaczyć.

– Nigdy więcej nie zjawię się w tamtym domu.

– Mogłaby tu przyjechać.

Po dłuższej chwili milczenia Edward przestał wbijać wzrok w pustą przestrzeń.

– Naprawdę myślisz, że przebywanie w moim towarzystwie dobrze by jej zrobiło? – spytał, a zanim Lane zdążył cokolwiek powiedzieć, mówił dalej: – Poza tym ja nie przepadam za gośćmi. A skoro już mówimy o rozrywkach: dlaczego nie bawisz się na śniadaniu przed derby? Dostałem zaproszenie, co wydaje mi się dość zabawne. Nawet nie chciało mi się na nie odpowiadać. Tak, wiem, okropne *faux pas*, ale w moim obecnym wcieleniu ogląda towarzyska to anachronizm z poprzedniego życia.

Lane chodził po pokoju i oglądał puchary.

– Co ci chodzi po głowie? – spytał Edward. – Przecież nigdy nie zapominasz języka w gębie.

– Nie wiem, jak to powiedzieć.

– Spróbuj zacząć od jakiegoś rzeczownika. Może być nazwa własna, byle nie „Edward”. Zapewniam cię, że nie interesują mnie ckliwe kazania na temat tego, jak to powinienem wreszcie uporządkować swoje życie.

Lane odwrócił się twarzą do brata.

– Sprawa dotyczy ojca.

Edward opuścił wzrok.

– Co chcesz mi o nim powiedzieć?

W głowie Lane’a obraz pani Rosalindy siedzącej w fotelu nałożył się na dźwięk głosu Chantal, mówiącej mu, że jest w ciąży i nie zamierza się wyprowadzać.

Uniósł górną wargę, czując narastającą wściekłość.

– Nienawidzę go. Jak ja go, kurwa, nienawidzę. Wszystkich nas zniszczył.

Zanim jednak miał szansę zacząć opowiadać o tym, co się wydarzyło, Edward uniósł dłoń i z ulgą wypuścił powietrze z płuc.

– Nie musisz mi tego mówić. Powiedz tylko, jak się dowiedziałeś.

– Zaraz, to ty wiesz? – Lane zmarszczył brwi.

– Oczywiście. Przecież sam tam byłem.

Nie, to niemożliwe – myślał Lane, zszokowany.

Edward nie mógł nic wiedzieć o stratach finansowych, o długach, o możliwej defraudacji. Miał nie tylko niesłychaną żyłkę do interesu, ale był też krystalicznie uczciwy.

– Ale ty nie mógłbyś... Nie. – Lane pokręcił głową. – Proszę powiedz, że ty nie...

– Nie bądź naiwny, Lane...

– Edward, pani Rosalinda nie żyje. Wczoraj zabiła się w swoim gabinecie.

Teraz to Edward wyglądał na zaskoczonego.

– Co? Jak to?

Lane wyrzucił ręce w górę.

– A co, myślałeś, że to nie będzie miało na nią wpływu?

Edward zmarszczył brwi.

– O czym ty, do diabła, mówisz?

– O pieniądzach, Edward. Na litość boską, nie bądź głupi...

– Ale co ma z nią wspólnego fakt, że ojciec nie chciał za mnie zapłacić okupu?

Lane'a zatkało.

– Co powiedziałaś?

Edward potarł oczy, jakby bolała go cała czaszka. Potem zaś sięgnął po stojącą obok otwartą butelkę dzinu i pociągnął z niej długi łyk.

– Naprawdę musimy?

– On nie zapłacił za twoje uwolnienie?

– Oczywiście, że nie. Zawsze mnie nienawidził. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że sam ukartował to całe porwanie.

Lane stał w miejscu i mrugał z niedowierzaniem. W jego głowie myśli kłębiły się jak szalone.

– Ale przecież... On mówił dziennikarzom i nam, że prowadzi nimi negocjacje...

– A ja słyszałem, co się działo po drugiej stronie linii. Nie było żadnych negocjacji. Zresztą mogę cię zapewnić, że niespełnianie przez ojca ich oczekiwań... pociągało za sobą konkretne dla mnie reperkusje.

Lane poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

– Przecież oni mogli cię zabić.

Edward znów pociągnął z butelki, a potem pozwolił, by jego głowa opadła z powrotem na fotel.

– To ty nie wiesz, braciszku, że oni mnie zabili? Tak, tak. A teraz wyjaśnij mi, o czym ty w ogóle mówisz.

Chodząc ze swoim nowym narzeczonym pośród gości, kłaniając się osobom na nich patrzącym i rozmawiając z tymi, którzy ich zagadywali, Gin czuła coś w rodzaju dziwnej euforii.

Miała wrażenie, że całe jej ciało jest jakby spowite kokonem. Było to coś pomiędzy stanem upojenia alkoholowego a jazdą na xanaksie – świat zewnętrzny docierał do niej przez filtr, który spowalniał czas, zagęszczał powietrze do konsystencji budyniu i pozbawiał jej skórę jakichkolwiek doznań termicznych.

Richard z kolei był wyjątkowo ożywiony. Opowiadał wszystkim o ich zaręczynach, a na jego twarzy malowała się duma, jakby właśnie kupił sobie nowy jacht albo dom w kurorcie narciarskim. Zdawał się nie zauważać lekko czasem zszokowanych reakcji, które zresztą zawsze szybko czymś tuszowano – albo może nic go one nie obchodziły.

„Wygrałaś”.

W jej głowie wciąż rozbrzmiewał głos Samuela. Wzięła głęboki oddech.

Nieodpowiedni moment – pomyślała. Wszystko zależy od odpowiedniego wyczucia czasu.

Oraz od pieniędzy.

Samuel i jego rodzina bez wątplenia byli bardzo zamożni, ale nie mieli na zbyciu pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu milionów, którymi mogliby wypełnić ogromną dziurę powstałą w rodzinnym budżecie Bradfordów. Na to mogły sobie pozwolić tylko osoby pokroju Richarda Pforda Czwartego, a Gin była gotowa wykorzystać nowo zdobytą pozycję żony tego kretyna, żeby pomóc swoim najbliższym.

Ale to będzie musiało poczekać do chwili, aż włoży mu obrączkę. Poczowała uścisk na łokciu i obróciła głowę.

Richard pochylił się w jej stronę.

– Powiedziałem, chodź tędy.

– Muszę na chwilę wejść do domu.

– Nie. Zostaniesz przy mnie.

Patrząc mu prosto w oczy, wycedziła:

– Krwawię między nogami, dobrze wiesz dlaczego. Chyba nie

mogę się tym nie przejmować.

Na jego twarzy, której rysów już zaczynała nienawidzić, pojawił się wyraz zdumienia i obrzydzenia.

– Dobrze, idź się tym zajmij – rzucił.

Jakby jej ciało było wgniecioną karoserią, którą trzeba naprawić.

Odchodząc, stwierdziła, że przeciskanie się między grupkami ludzi mówiących zbyt głośno i śmiejących się zbyt intensywnie napełnia ją dojmującym niepokojem. Uczucie to jednak nie znikło, gdy weszła w chłodne mury rezydencji.

Rzeczywiście krwawiła po tym, co Richard jej zrobił. Ale od razu zajęła się problemem. Wystarczyła wkładka higieniczna.

Nie, przyszła tutaj z zupełnie innego powodu.

I doskonale wiedziała, gdzie się kierować.

Jeśli nie liczyć krótkiej przygody w ogrodzie podczas tamtej kolacji i tego, co się dzisiaj wydarzyło w jej sypialni, ostatni raz uprawiała seks w tym domu ponad dwa lata temu. Dała sobie spokój z większością wcześniejszych domowych igraszek i zabaw, kiedy Amelia urosła na tyle, żeby rozumieć, co znaczy wyrażenie „puszczać się”.

Lepiej, żeby jej kochana córeczka nie stała się naocznym świadkiem czegoś, co i tak będą jej o matce opowiadać inni ludzie. Gin uznała, że dzięki temu jako mamusia zawsze będzie jeszcze mogła wszystkiemu wiarygodnie zaprzeczyć.

Ale... te dwa lata temu, w pewien czwartkowy wieczór, po dość nudnej kolacji, nieoczekiwanie dla siebie złamała tę zasadę.

W winiarni.

Skierowała się teraz do korytarza dla personelu. Minęła drzwi gabinetów pani Rosalindy i pana Harrisa (to znaczy właściwie już tylko obecnego gabinetu kamerdynera oraz dawnego gabinetu księgowej) i otworzyła szerokie drzwi, za którymi znajdowały się schody do piwnicy.

W ogóle się nie zdziwiła, widząc na dole blask światła.

Istniał tylko jeden powód, dla którego mogło być włączone, zwłaszcza że wszystkie butelki bourbona, szampana i wina zamówione na śniadanie przed derby zostały już dostarczone do ogrodu. A rodzinnej

kolekcji trunków i tak nigdy nie wykorzystywano na takie okazje.

Schodziła bezszelestnie. Świetnie wiedziała, która deska trzeszczy – zapamiętała to już jako nastolatka, gdy zapuszczała się do ogromnej piwnicy, żeby wykraść stąd alkohol. Gdy zeszła na sam dół, zsunęła buty i postawiła je z boku. Z ulgą poczuła pod obolałymi stopami zimny, nierówny beton. Musiała powstrzymać kichnięcie, gdy w jej nozdrza wdarł się zapach stęchlizny.

Minęła schrony przeciwoatomowe, które przygotowano w latach czterdziestych z ołowianych płyt złączonych pod kątem prostym, i szła dalej, otulając się ramionami – choć był to właściwie tylko automatyczny odruch, jako że w piwnicy powinna odczuwać chłód.

Wciąż jednak nic nie czuła.

Winiarnię oddzielała od głównej piwnicy przeciwpożarowa szyba pancerna podtrzymywana wspornikami z gładkiego drewna oraz wyposażona w drzwi otwierane kodem. Za nią znajdowało się pomieszczenie o ścianach wyłożonych lśniącym mahoniem i zabudowanych ręcznie wykonanymi półkami na butelki sięgającymi od podłogi aż po sufit. Znajdowały się tam tysiące litrów bezcennego wina, szampana i mocniejszych alkoholi, chronionych zarówno przed zmianami temperatur, jak i przed ewentualnymi złodziejami.

Pośrodku stał stół do degustacji, otoczony wiśniowymi skórzanymi fotelami. Gin miała dobre przeczucie – rzeczywiście był teraz wykorzystywany.

Odbywało się na nim coś w rodzaju degustacji.

Baranek ofiarny Samuela leżał rozciągnięty na błyszczącym blacie. Jasne włosy dziewczyny spływały z końca stołu, a jej ciało lśniło w przygaszonym świetle rzucanym przez mosiężne lampy. Była całkiem naga; jej brzoskwiniowa suknia leżała przewieszona niedbale przez oparcie jednego z foteli. Głowa Samuela znajdowała się między jej udami, dłońmi przytrzymywał jej biodra.

Gin usunęła się w ciemny kąt i patrzyła, jak Samuel kończy to, co robił, a potem się wyprostowuje, górując nad kobietą. Szybkim ruchem dłoni uwolnił swoją erekcję i wszedł do akcji.

Kobieta krzyknęła na tyle głośno, że jej ochryply głos przebił się przez pancerną szybę.

Ten jeden raz Gin nie wyobrażała sobie, że jest nią.

Już wiele razy widziała, jak Samuel uprawia seks – czasem o tym wiedział, czasem nie. Jej ciało zawsze reagowało tak, jakby to ona znajdowała się pod nim, nad nim lub przyciśnięta przez niego do ściany.

Ale nie teraz.

To byłoby zbyt bolesne.

Wiedziała bowiem, że już nigdy nie będzie go mieć.

„Wygrałaś”.

Po tych wszystkich latach walki ona pierwsza złożyła broń – a on jej nie uwierzył. Kiedy zaś w końcu potraktował ją poważnie, okazało się, że sprzysięgły się przeciwko nim życiowe okoliczności.

On nie będzie już z nią grał w tę grę. Pierwsze oznaki tej zmiany widziała wczoraj, gdy odrzucił jej deklarację miłości. Natomiast gwoździem do trumny była ich dzisiejsza rozmowa w ogrodzie.

Skończyło się.

Gin zaczęła, aż Samuel dojdzie. Musiała zamrunąć, żeby przegonić łzy, gdy głowę odrzuciło mu w tył, szyja się napięła, a biodra wykonały cztery ostatnie pchnięcia. Zapewne nie było nic dziwnego w tym, że na jego twarzy nie malowała się ani krztyna przyjemności. Rozładowanie nastąpiło najwyraźniej wyłącznie w jego ciele.

Przez cały czas trwania stosunku zdawał się równie ponury jak Gin: twarz miał bez wyrazu, na wpół otwarte oczy patrzyły tępo w dal.

Kobieta tymczasem przeżywała ekstazę tak nieapetycznie, że nie mogło to być udawane. Taka urocza panienka na pewno wolałaby zrobić na nim wrażenie bardziej wystudiowanymi wyrazami namiętności, w nadziei że może coś z tego wszystkiego jeszcze wyniknie, ale dość trudno przybierać seksowne pozy gwiazdy filmowej, gdy jest się rypanym przez Samuela.

Gin wycofała się jeszcze dalej w kąt, aż zimna, wilgotna ściana dała jej znać, że głębiej już się schować nie można.

Wiedziała, że on zaraz stąd wyjdzie.

I rzeczywiście tak się stało.

Chwilę później z nagrzanego pomieszczenia buchnęła para, drzwi bowiem się otworzyły. Gin skuliła się, spuściła wzrok i wstrzymała oddech.

– Jasne – powiedział niewzruszonym tonem Samuel. –
Bardzo chętnie.

– Pomożesz mi zapiąć sukienkę?

– Dasz sobie radę – rzucił, nie zatrzymując się. – Chodź, idziemy.

– Czeka! Zaczeka na mnie!

W piwnicy rozległ się jej śmiech i stukot wysokich obcasów po betonowej podłodze. Najwyraźniej pędziła, rozbawiona, żeby go dogonić.

– Weźmiesz mnie za rękę? – spytała.

– Jasne. Bardzo chętnie.

Słysząc było cmoknięcie pary ust, a potem odgłos kroków na betonie zaczął cichnąć, w miarę jak się oddalali.

Po jakimś czasie Gin wyszła z cienia. W winiarni zostało włączone światło – co było dla Samuela mocno nietypowe. Większość ludzi nie zdawała sobie sprawy z jego kompulsywnej potrzeby porządku. Choć wiódł bogate życie playboya, nie potrafił znieść fizycznego nieładu. Począwszy od garniturów i samochodów, a skończywszy na jego kancelarii, stajni, sypialni, kuchni i łazience – wszędzie uwidaczniała się obsesyjna potrzeba kontroli.

Gin jednak знаła prawdę. Widziała, jak Samuel poddaje się rytuałom, od których czasem musiała go odwozić.

Była gotowa założyć się o życie swojego jedyne dziecko, że nikomu poza nią nie ujawniał tak intymnych szczegółów swojego życia.

Zaczęła drżeć. Bynajmniej nie z powodu zimna i wilgoci.

Dopadło ją nieodparte poczucie, że coś całkowicie zniszczyła. Zabrakło jej tchu. Owinęła się ramionami, oparła o szklaną ścianę winiarni, zsunęła na betonową podłogę i... zaczęła płakać.

Słuchając opowieści Lane'a o stanie rodzinnych finansów, a potem o tym, że ich matkę uznano za niezdolną do podejmowania decyzji i że księgowa otruła się szalejem, Edward czuł coraz większy dystans do całej tej historii.

Nie żeby nic go to nie obchodziło.

Zawsze się martwił o swoje rodzeństwo, a tego rodzaju troska wcale nie zniknęła, nawet po tym, co przeszedł.

Ten ciąg złych wiadomości był jednak niczym seria eksplozji gdzieś daleko na horyzoncie: rozbłyski i odległe grzmoty przykuwały jego uwagę, lecz nie poruszały go na tyle, żeby się poderwał do walki – czy też choćby wstał z fotela.

– Potrzebna mi więc twoja pomoc – zakończył Lane.

Edward znów zbliżył butelkę do ust, zamiast jednak się napić, po chwili ją opuścił.

– Ale konkretnie w czym?

– Potrzebny mi dostęp do dokumentów finansowych korporacji. Tych prawdziwych, nie takich podrasowanych dla zarządu czy prasy.

– Ja już tam nie pracuję, Lane.

– Nie mów, że nie mógłbyś wejść na serwery, gdybyś tylko chciał.

Lane miał trochę racji. To przecież Edward konfigurował te systemy.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, a potem Edward znów pociągnął z butelki.

– Wciąż jeszcze dysponujecie sporymi pieniędzmi. Ty masz swój fundusz powierniczy, Maxwell ma swój, a Gin został jeszcze rok czy dwa...

– Zbliża się termin spłaty tych pięćdziesięciu trzech milionów dla PTC. Zostały dwa tygodnie.

Edward wzruszył ramionami.

– Pożyczka jest pewnie niezabezpieczona, dlatego Monteverdi tak szaleje. Raczej więc nie przyjdą zająć domu.

– Monteverdi uderzy z tym do prasy.

– Nie zrobi tego. Jeśli rzeczywiście udzielił tak wysokiej

niezabezpieczonej pożyczki, wykorzystując fundusze PTC, musiał to zrobić za plecami swojego zarządu, łamiąc regulacje federalne dotyczące firm powierniczych. Jeśli pożyczka nie zostanie spłacona na czas, opinia publiczna zostanie tylko poinformowana, że Monteverdi udaje się na wcześniejszą emeryturę, żeby móc „spędzać więcej czasu z rodziną”. – Edward pokręcił głową. – Rozumiem, że chcesz wiedzieć więcej, ale nie jestem pewien, gdzie twoim zdaniem ta wiedza miałaby cię zaprowadzić. To nie jest twój dług, więc nie musisz się nim martwić. Ty przecież mieszkasz teraz na Manhattanie. Skąd ta nagła troska o mieszkańców Easterly?

– Edward, to nasza rodzina.

– I co z tego?

Lane zmarszczył brwi.

– Rozumiem, że nie czujesz się synem Williama Baldwine’a. Ale... co z domem? Z ziemią? Z firmą? Z matką?

– Bradford Bourbon Company ma około miliarda dolarów przychodu rocznie. Nawet po odliczeniu podatków tego rodzaju dług nadal nie jest jakąś katastrofą, zważywszy na rodzinny kapitał. Banki udzielają pożyczek w wysokości sześćdziesięciu do siedemdziesięciu procent portfela inwestycyjnego. Sam byłbyś w stanie spłacić takie zadłużenie.

– A co, jeśli to nie jest pełna kwota? I czy ojciec nie powinien zostać pociągnięty do odpowiedzialności? No i pytam ponownie: co z matką?

– Gdybym dał się opętać chęci wymierzenia sprawiedliwości tej naszej głowie rodziny, całkiem bym oszalał. A z tego, co słyszałem, matka od trzech lat nie opuszcza łóżka, jeśli nie liczyć kąpieli. Gdyby zamiast tego wylądowała w domu opieki, nawet by tego nie zauważyła.

– Lane zaklął, a Edward znów pokręcił głową. – Mam dla ciebie radę: weź ze mnie przykład i odsuń się od tego wszystkiego. Właściwie powinienem wyjechać gdzieś dalej. Ty przynajmniej masz ten swój Nowy Jork.

– Ale...

– Nie popełnij błędu, Lane. Oni cię zjedzą, zwłaszcza jeśli będziesz dalej dążył do zemsty. – Zamilkł na chwilę, czując narastający strach. –

Nie wygrasz z nimi, Lane. Wcześniej już dokonywano... różnych... czynów przeciwko tym, którzy próbowali się wychylić i rozwikłać pewne sprawy. Również przeciwko członkom rodziny.

Sam przecież wiedział o tym najlepiej.

Lane podszedł do wykuszowego okna i utkwiał wzrok w dali, jakby zasłony nie były zaciągnięte.

– Mówisz więc, że mi nie pomożesz?

– Mówię ci, że droga najmniejszego oporu jest najkorzystniejsza dla zachowania zdrowia psychicznego. – Fizycznego zresztą też. – Opuść sobie, Lane. Idź dalej, zostaw to za sobą. To, czego nie można zmienić, trzeba zaakceptować.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, a potem Lane spojrzał na brata przez zatechły pokój.

– Nie mogę tego zrobić, Edward.

– W takim razie szykujesz sobie pogrzeb.

– Moja żona jest w ciąży.

– Znowu? Gratulacje!

– Rozwodzę się z nią.

Edward uniósł w górę jedną brew.

– Nie jest to typowa reakcja przyszłego ojca. Zwłaszcza że czeka cię płacenie sporych alimentów na to dziecko.

– To nie moje dziecko.

– Ach, to wiele wyjaśnia...

– Ona twierdzi, że ojca.

Ich spojrzenia się spotkały. Wzrok Edwarda zamarł.

– Słucham? Co takiego?

– To, co słyszałeś. Ona mówi, że powie o tym matce. I że nie zamierza się wyprowadzać z Easterly. – Lane na chwilę zawiesił głos. – Oczywiście jeśli się okaże, że pieniędzy nie ma, nie będę się musiał martwić, czy w naszym rodzinnym domu nie zamieszka bękart spłodzony przez ojca. Chantal gdzieś się przeniesie i znajdzie sobie innego bogatego durnia, do którego się przyssie.

Edward poczuł w przedramieniu dziwny, przeszywający ból. Spojrzał na swoją dłoń. Ciekawe. Jakimś cudem zacisnęła się na butelce dzinu tak mocno, że kostki niemal rozrywały napiętą, bladą skórę.

- Może ona kłamie? – spytał bez zastanowienia.
- Gdyby wskazała kogokolwiek innego, podejrzewałbym, że tak. Ale skoro obciąża ojca, to nie sędzę.

Wychodząc z winiarni, Samuel szybko nabrał przekonania, że jeśli chce jakoś przeżyć ten dzień, nie może zwracać uwagi na kobietę, którą przed chwilą posuwał. Już samo brzmienie jej głosu go osłabiało; gdyby miał jeszcze koncentrować się na jej słowach, chyba by zapadł w śpiączkę.

- ...a potem pojedziemy do klubu! Wszyscy tam będą, a my...

Chociaż z drugiej strony raczej nie z jej powodu walczył teraz ze skrajnym wyczerpaniem. Wynikało to pewnie raczej stąd, że po kilku dekadach walki właśnie złożył broń.

Jedno, czego był absolutnie pewien, to że musiał kogoś przelecieć, tam, na tamym stole. Tylko w ten sposób potrafił oczyścić pamięć, usunąć z niej ostatnie wspomnienie kochania się z Gin w jej domu. Jeśli chodzi o pozostałe miejsca, w których to robili – na jego farmie, w hotelach na całym świecie, w górach czy nad jeziorem Michigan – miał zamiar każde z nich zakodować w swojej pamięci na nowo, dopóki każdego z tych wspomnień nie przesłoni bzykankiem z jakąś inną kobietą.

- ...Dzień Pamięci? Bo moglibyśmy pojechać do posiadłości moich rodziców w Dolinie Loary, no wiesz, wyrwać się stąd na trochę...

Dziewczyna dalej paplała, a Samuel przypomniał sobie, dlaczego woli sypiać z mężatkami. Jeśli się uprawia seks z kimś, kto musi się martwić, czy mąż się o wszystkim nie dowie, wówczas nie ma kłopotu z oczekiwaniami dotyczącymi budowania związku.

Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie dotrą do schodów prowadzących na górę. A choć miał ochotę przeskakiwać po dwa stopnie, żeby jak najszybciej zostawić za sobą tę katarynkę, dobre maniery kazały mu stanąć z boku i przepuścić damę.

- Och, dziękuję – powiedziała, ruszając pierwsza w górę.

Już miał za nią iść, kiedy zauważył na podłodze coś kolorowego. Para szpilek. Jasnych, satynowych. Od Louboutina.

Gwałtownie obrócił się za siebie i spojrzał badawczo w przestrzeń, z której dopiero co się wyłonili.

– Samuel? – zawołała z góry dziewczyna. – Idziesz?

To buty Gin. Ona tu była. Zeszła tutaj... żeby popatrzeć?

Cóż, na pewno nie po to, żeby ich powstrzymać.

W pierwszym odruchu chciał się uśmiechnąć i pójść jej szukać – ale był to tylko nawyk zrodzony z wielu lat ich wzajemnych stosunków.

Żeby przypomnieć sobie, jak bardzo wszystko się zmieniło, musiał jedynie pomyśleć o pierścionku na jej palcu. Oraz o mężczyźnie u jej boku. O wiadomości, która wkrótce obiegnie cały kraj.

To zabawne: nigdy specjalnie go nie obchodzili inni mężczyźni, z którymi zabawiała się Gin. Nie wiedział, czy wynikało to z zasady „oko za oko” (przecież sam też sypiał z nie mniejszą liczbą kobiet), czy raczej kręciło go, że jego kochanka pieprzy się z innymi, czy może chodziło o coś zupełnie innego.

Jedno nie ulegało wątpliwości.

Za sprawą Pforda był teraz potwornie zazdrosny. Właściwie z wielkim trudem próbował panować nad sobą, żeby nie wbijać w tego śmiecia wściekłego spojrzenia, które wypaliłoby mu dziurę z tyłu głowy.

– Samuel? Czy coś jest nie tak?

Spojrzał w górę, na schody. Światło padające z korytarza zamieniło jego towarzyszkę w cień, seksowny kontur bez twarzy i ciężaru, przypominający zjawę.

Z jakiegoś powodu miał ochotę zabrać buty Gin, ale jednak je zostawił i ruszył w górę, dając tym samym odpowiedź na zadane mu pytanie.

Gdy stanął obok dziewczyny, odchrząknął i powiedział:

– Spotkamy się później.

Zrzędała jej mina.

– Myślałam, że pojedziemy razem na tor.

Tor?

A, no tak. Przecież dzisiaj derby.

– Muszę coś załatwić. Zobaczymy się później.

– Dokąd idziesz?

Dopiero słysząc to pytanie, uświadomił sobie, że ruszył w stronę kuchni, a nie ogrodu.

– Tak jak mówiłem, mam coś do załatwienia.

- Które masz miejsce na trybunie?
- Znajdę cię! – zawołał.
- Obiecujesz?

Odchodząc, czuł na plecach jej spojrzenie. Gotów był się założyć, że dziewczyna modli się teraz do jakiejś świętej patronki wszystkich młodych dam, żeby się odwrócił, znów do niej podszedł i zaoferował jej swoje towarzystwo na resztę dnia, na co tak liczyła po tym podziemnym dymanku.

Samuel jednak ani się nie odwrócił, ani nie miał zamiaru do niej wracać. Nie zwracał też uwagi na tłum kucharzy zgromadzony w kuchni Aurory.

Właściwie na nic nie zwracał uwagi, dopóki nie wyszedł na zewnątrz.

Zamknął za sobą drzwi szatni dla pracowników, po czym oparł się o nagrzaną białą powierzchnię, żeby zaczerpnąć tchu. Kolejny skwarny dzień, czemu zresztą nie należało się dziwić. W Charlemont w ogóle nie należało się dziwić niczemu, jeśli chodzi o pogodę.

Jeśli coś ci się nie podoba, wystarczy poczekać piętnaście minut. W czasie derby mógł padać nawet deszcz ze śniegiem.

Boże, ależ był zmęczony.

Nie... Czuł się raczej stary.

Z lewej strony doszedł go chrapliwy warkot silnika. Nie był to jednak żaden sportowy samochód, tylko zbliżający się do niego podniszczony pikap.

Biedny dureń, ktokolwiek siedział za kierownicą. W taki dzień jak dziś pracownikom nie wolno było parkować nigdzie w pobliżu domu. Śmiałek siedzący za kółkiem sam się prosił o kłopoty.

Samuel jednak miał własne problemy. Włożył rękę do kieszeni, wyjął z niej kluczyki, a potem zszedł z kamiennego progu i ruszył w to miejsce przy murach rezydencji, gdzie zostawił jaguara.

Nie zaszedł daleko

Przez przednią szybę starego pikapa zobaczył całkiem znajomą twarz.

– Lane?

Samochód zatrzymał się przy tylnym wejściu do centrum

biznesowego. Samuel podszedł bliżej.

– Lane! – zawołał. – W oczekiwaniu na odpowiedź Chantal postanowiłeś zacząć żyć nieco oszczędniej?

Szyba od strony kierowcy się opuściła, a siedzący w środku Lane wykonał szybki gest podrzynanego gardła.

Samuel się rozejrzał. Wokół nie było nikogo. Wszyscy pracownicy byli albo w rezydencji, albo w namiocie i ogrodzie. Zaproszeni goście z pewnością by się tutaj nie zabłąkali, istniało bowiem ryzyko, że mogliby natrafić na gorszych od siebie. A trudno się spodziewać, żeby ptaki na drzewach miały jakąś opinię na temat wymiany zdań między dwojgiem ludzi.

Podszedł do pikapa i pochylił się w stronę kabiny.

– Naprawdę nie musisz aż tak się poświęcać dla tego rozvodu...

Nagle oniemiał, patrząc na człowieka siedzącego obok jego nowego klienta.

– Edward? – wykrztusił, zaskoczony.

– Jak miło cię znów widzieć, Samuelu – odparł Edward, tyle że zamiast na niego spojrzeć, wbijał wzrok w tablicę rozdzielczą samochodu. – Wyglądasz świetnie, jak zwykle.

Słuchając tych słów, nie sposób było nie przyglądać się jego twarzy i ciała.

Słodki Jezu... Spodnie tworzyły fałdy wokół ud cienkich jak wykałaczkę, a luźna marynarka opadała z ramion, mizernych niczym wieszaki.

Edward odchrząknął, po czym sięgnął po leżącą na podłodze czapkę z rodzinnym monogramem. Włożył ją na głowę i przechylił daszek w dół, zasłaniając twarz. Samuel nagle zawstydział się swojego wścibstwa.

– Dobrze cię znowu widzieć, Edwardzie – wybąkał.

– Nic nie widziałeś – powiedział cicho Lane.

– Słucham?

– Nie widziałeś go – powtórzył Lane, wbijając w swojego prawnika ogniasty wzrok. – Ani mnie. Rozumiemy się, panie mecenasie?

Samuel zmarszczył brwi.

– Co tu się, kurwa, dzieje?

– Nie chcesz wiedzieć.

Samuel patrzył to na jednego, to na drugiego z braci. Jako prawnik miewał już do czynienia z wieloma szemranymi sytuacjami. Czasem musiał ich unikać, czasem celowo się w nie angażować. Życie go nauczyło, że nie wszystko warto wiedzieć.

– Rozumiem – powiedział, pochylając głowę.

– Dziękuję.

Zanim odszedł, zmusił się do uśmiechu.

– A przy okazji, gratuluję nowego członka rodziny. Lane aż się wzdrygnął.

– Słucham? – spytał zdziwiony.

– Jestem pewien, że nie wybrałbyś sobie Richarda Pforda na szwagra, ale kiedy miłość bierze górę, człowiek musi się dostosować.

– O czym ty, u diabła, mówisz?

Samuel przewrócił oczami, myśląc, że tak właśnie zrobiłaby Gin.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz? Twoja siostra zaręczyła się z Richardem Pfordem. Udanego derby, panowie! Być może jeszcze obu was później zobaczę.

Choć oczywiście wiedział, że obu raczej nie.

– Aha, gdyby któryś z was mnie potrzebował – dodał – to wiecie, gdzie mnie szukać.

Wszędzie tam, gdzie nie ma śladu waszej siostry – pomyślał, zmierzając w stronę swojego jaguara.

Doskonała chwila na włamanie.

Edward wysiadł z pikapa MacAllana i naciągnął czapkę jeszcze mocniej na oczy – gdyby zeszła niżej, nie mógłby mrugać.

Boże... naprawdę tu wrócił?

Najwyraźniej tak. Zapomniał już, jak ogromna jest rodzinna posiadłość. Nawet widziana od strony tylnego wjazdu dla pracowników, rezydencja zdawała się niewiarygodnie wielka. Z zielonej trawy wyłaniała się elewacja z białych desek z czarnymi okiennicami, dobitnie świadcząca o wysokim statusie, jakim od lat cieszyła się rodzina Bradfordów.

Poczuł mdłości.

A jednak po tym, co usłyszał na temat poczynań ojca z żoną Lane'a, po prostu musiał się zaangażować.

Z ogrodu dochodził gwar imprezy. Edward zdawał sobie sprawę, że to jedyny moment, żeby niepostrzeżenie wejść do centrum biznesowego i wyprowadzić z niego informacje potrzebne jego bratu. Przyjmując tak wielu gości, ojciec nie mógł przebywać nigdzie indziej, jak tylko w namiocie – był co prawda starym draniem, ale maniery miał nienaganne. Poza tym wszyscy pracownicy korporacji dostali dziś wolne, więc jego podwładnych również nie mogło być przy biurkach.

Biedne żuczki pracowały pewnie w Święto Niepodległości, Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i Wielkanoc, ale na pewno nie w dzień derby – przecież to Kentucky!

Lane wysiadł z samochodu i chciał ruszyć za nim, on jednak wyciągnął rękę w geście sprzeciwu.

– Idę sam.

– Nie mogę na to pozwolić.

– Ja mogę sobie pozwolić, żeby mnie złapali. Ale ty nie. Zostań.

Nie czekał na odpowiedź. Szedł dalej, dobrze wiedząc, że Lane po tych słowach nie ruszy się z miejsca. Nie na darmo jest się od niemal czterdziestu lat najstarszym bratem.

Przy tylnym wejściu do siedziby korporacji Edward wprowadził kod, który pięć lat wcześniej w ramach systemu zabezpieczeń przypisał

zewnętrznej firmie. Gdy zgasła czerwona lampka i zapaliła się zielona, zamek się odblokował, a on na chwilę przymknął oczy.

Po czym otworzył drzwi.

Miał ochotę zaczekać chwilę i zebrać trochę sił, zanim wejdzie do środka, ale nie mógł sobie na taki luksus pozwolić – nie miał na to ani czasu, ani energii. Gdy drzwi się za nim zamknęły, odcinając światło dochodzące z zewnątrz, na chwilę zapadła ciemność, dopóki jego wzrok nie przyzwyczał się do półmroku.

Wszystko wyglądało tak jak dawniej, począwszy od wiśniowego mechatego dywanu ze złotymi brzegami, poprzez oprawione artykuły na temat firmy wiszące na wyłożonych jedwabiem ścianach, aż po układ otwartych szklanych drzwi prowadzących ku głównej recepcji.

Dziwne... Wydawało mu się, że skoro on się zmienił, to miejsce, w którym spędzał wcześniej tak wiele godzin, również powinno się zmienić.

Dzięki użytemu kodowi mógł zagłębiać się dalej w przestrzeń biura, nie uruchamiając żadnych alarmów. Minął salę bankietową, pokoje konferencyjne urządzone w stylu saloników w Easterly, a potem serię gabinetów, których wystrój przypominał luksusowe wnętrza najlepszych kancelarii adwokackich. We wszystkich oknach zasłony były jak zwykle zaciągnięte, żeby zapewnić pracownikom maksimum prywatności, a biurka stały puste –dokumenty zawsze starannie zamykano w szafkach.

Przestrzeń recepcji była kolistą; pośrodku okrągłego dywanu widniał rodzinny monogram. Nieco z boku, ale w widocznym miejscu, stało królewskie biurko recepcjonistki, przystrojone flagami USA i stanu Kentucky, jak również dwoma banerami Bradford Bourbon Company. Pomimo całego majestatu daleko mu było jednak do prawdziwego tronu władcy. Dalej, za tą wystawną przestrzenią, znajdował się oddzielony szybą gabinet asystentki prezesa, a za nim, tuż za biurkiem tej cerberki, kryły się drzwi oznaczone tym samym rodzinnym monogramem, połyskującym złotem.

Gabinet jego ojca. Edward zerknął na serię wychodzących na ogród drzwi balkonowych. Dzięki połączeniu ciężkich zasłon i potrójnych szyb nie dochodził tu najmniejszy szmer, choć na zewnątrz

bawiło się sześćset czy siedemset osób. Nie było też najmniejszej szansy, żeby ktokolwiek z nich się tutaj zapuścił.

Edward poczłapał w stronę oddzielonego szybą gabinetu asystentki i wprowadził ten sam kod. Zamek się odblokował, a on pchnął drzwi, wszedł do środka i usiadł przy komputerze. Nie włączał światła i nie ruszałby nawet krzesła przy biurku, gdyby jego nogi potrafiły przez dłuższą chwilę utrzymać ciężar tułowia.

Komputer był włączony, ale zablokowany – Edward zalogował się, korzystając z ukrytego konta, które sobie założył trzy lata wcześniej, kiedy rozbudowywał i zabezpieczał sieć komputerową firmy.

Bułka z masłem, jak to się mówi.

Ale co teraz?

Po drodze do Easterly zastanawiał się, czy jego mózg zdoła powrócić do stanu, którego będzie wymagać to zadanie. Obawiał się, że przeżyta trauma wraz ze wszystkimi łykanymi przez niego środkami przeciwbólowymi mogły uszkodzić jego szare komórki na tyle, że – chociaż na co dzień tego nie zauważał, zajmując się wyłącznie chlaniem i sprzątaniem stajni – przy wyższym poziomie komplikacji mógł się okazać całkiem niewydolny.

Okazało się jednak, że nie jest tak źle.

Choć początkowo poruszał się pośród pozabezpieczanych plików dość powoli, wkrótce zaczął szybciej przedzierać się przez gąszcz ukrytych informacji i wysyłać wszystko, co wydawało mu się istotne, na fikcyjne konto, które wyglądało jak skrzynka pocztowa na serwerze firmy, ale w rzeczywistości było umieszczone poza nim.

Kolejna atropa.

Najlepsze w tym wszystkim było to, że jeśli ktokolwiek chciałby prześledzić historię tych operacji, otrzymałby informację, że dokonała ich cerberka jego ojca – choć ona sama nawet nie wiedziała o istnieniu tego fikcyjnego konta. I o to właśnie chodziło. Każdy pracownik firmy, któremu gdziekolwiek wyskoczyło jej nazwisko, natychmiast się wycofywał i nabierał wody w usta.

Przeczyszczając dokumenty finansowe, skupiał się na czystych danych, które miały jeszcze zostać poddane „obróbce” przez księgowych. Choć kusiło go, żeby od razu je przeanalizować, wiedział,

ze musi przede wszystkim zdobyć tyle informacji, ile się da. W recepcji rozbłysło światło.

Edward podniósł głowę i zamarł.

O, kurwa...

Kiedy goście zaczęli już się rozchodzić, telefon Lizzie wreszcie zawibrował. Mało brakowało, a nie zwróciłaby na to uwagi, zwłaszcza że podeszły do niej dwie kelnerki, które miały problem z serią żądań pochodzących od grupy dwudziestolatków siedzących przy jednym ze stołów. Byli już kompletnie pijani, choć nie osiągnęli jeszcze wieku, w którym można legalnie pić w Stanach alkohol.

– Nie – powiedziała, wyjmując komórkę z tylnej kieszeni odbierając, bez patrzenia na ekran. – Nie należy podawać im więcej alkoholu, bo tak zdecydowali ich rodzice. Jeśli te nadęte, uprzywilejowane dupki mają z tym jakiś problem, możecie im powiedzieć, żeby porozmawiali z tatusiem i mamusią.

Zbliżyła słuchawkę do ucha.

– Tak, słucham?

– To ja.

Lizzie z ulgą przymknęła oczy.

– O Boże, Lane... Zaczekaj, znajdę jakieś spokojne miejsce.

– Jestem z tyłu, przy garażach. Możesz tu na chwilę przyjść?

– Już idę.

Rozłączyła się i spojrzała na Gretę, stojącą na drugim końcu namiotu. Dała jej gestem znać, że na chwilę wychodzi. Greta kiwnęła głową, a Lizzie pomknęła skrajem ogrodu, zastawionego stołami bufetowymi, przy których kelnerzy w uniformach kroili na plastry doskonale upieczoną wołowinę z najlepszych okolicznych hodowli.

Jacyś kelnerzy unieśli ręce, żeby zwrócić na siebie jej uwagę, ale nie podchodziła do nich. Wiedziała, że zajmie się nimi Greta.

Wchodząc do rezydencji przez drzwi prowadzące do kuchni, pochyliła głowę, żeby sprawiać wrażenie zaabsorbowanej jakimś ważnym zadaniem. Co zresztą było poniekąd zgodne z prawdą. Po drugiej stronie kuchni, koło spiżarni, znajdowały się kolejne drzwi, prowadzące do szatni dla personelu. Przeszła tamtędy, mijając wiszące na haczykach okrycia pracowników, a potem wyszła na zewnątrz

i znalazła się przy garażach.

Rozglądała się, wypatrując samochodu Lane'a.

– Tutaj – usłyszała jego głos.

Obróciła się i aż jej dech zaparło, gdy zobaczyła go opierającego się o pikapa, który musiał być chyba w jej wieku. Zaraz jednak się zreflektowała i pobiegła ku niemu żwirowym podjazdem.

– No, taki wóz to ja rozumiem – powiedziała.

Lane stał nieruchomo, ale uważnie omiótł wzrokiem całe jej ciało, jak gdyby jej obecność była mu potrzebna do zachowania równowagi.

– Mogę cię uścisnąć?

Rozejrzała się, szczególną uwagę zwracając na okna domu.

– Chyba lepiej nie.

– No tak...

– To... co tutaj robisz? Z tym fordem?

– Pożyczyłem go od kumpla. Próbuję nie rzucać się w oczy.

Jak impreza?

– Twoja żona rzuca mi wściekłe spojrzenia.

– Moja była żona, tak?

– Czy ty... idziesz na to śniadanie?

Pokręcił głową.

– Nie mam czasu.

Chwila. Niezręcznego. Milczenia.

– Wszystko w porządku? – szepnęła. – Jak było u Edwarda?

– Mogę dziś u ciebie nocować?

Lizzie zakolysała się na nogach niepewnie.

– Nie idziesz na bal?

– Nie.

– No to... Pewnie, będzie mi bardzo miło. – Założyła ręce na piersi próbowała powstrzymać zalewającą ją falę szczęścia, która zdawała jej się niewłaściwa, zważywszy na sytuację, w jakiej znajdował się Lane. – Ale martwię się o ciebie.

– Ja też się martwię. – Lane spojrział na dom. – Mogę cię o coś spytać?

– O co tylko chcesz.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili milczenia.

– Gdybym się zdecydował stąd wyjechać... mogłabyś do mnie dołączyć?

Lizzie miała ochotę obrócić to w żart i powiedzieć coś o bezludnej wyspie albo rejsie po dalekich oceanach. Lane jednak miał całkiem poważną minę.

– Czy jest aż tak źle? – spytała szeptem.

– Gorzej.

Lizzie nie zważała już, czy ktoś patrzy. Podeszła do niego i go objęła – a on natychmiast odwzajemnił jej uścisk, ciasno oplatając ją ramionami.

– To co? – szepnął w jej włosy. – Wyjechałabyś ze mną?

Pomyślała o swojej pracy, farmie, całym dotychczasowym życiu, a także o tym, że jeszcze trzy dni wcześniej mieli za sobą dwa lata milczenia.

– Lane...

– A więc nie?

Oswobodziła się z jego uścisku i zrobiła krok w tył.

– Lane, nawet jeśli już nigdy tu nie wrócisz, i tak nie uwolnisz się od tego miejsca i tych ludzi. To twoja rodzina, twoje gniazdo.

– Doskonale sobie bez nich radziłem przez ostatnie dwa lata.

– Ale wróciłeś, ze względu na panią Aurorę.

– Ze względu na ciebie też bym wrócił.

Lizzie pokręciła głową.

– Nic na razie nie planuj. Atmosfera jest teraz zbyt gęsta. *À propos...* – Odchrząknęła. – Muszę wracać. Goście zaczynają już się rozchodzić, ale wciąż tam jeszcze mamy ze czterysta osób.

– Kocham cię, Lizzie.

Zamknęła oczy i przyłożyła dłonie do twarzy.

– Nie mów tego.

– Właśnie się dowiedziałem, że mój ojciec miał zamiar zostawić Edwarda w rękach tych morderców.

– Co takiego?! – Opuściła dłonie. – O czym ty mówisz?

– Kiedy Edward został porwany, ojciec nie chciał zapłacić okupu. Odmówił. Zamierzał pozwolić, żeby mój brat tam zginął. Tak naprawdę myślę, że chciał, żeby on tam zginął.

Lizzie zasłoniła usta dłonią i zamknęła oczy.

– A więc jednak się z nim widziałaś.

– Tak.

– I jak... Co u niego?

Lane nic nie odpowiedział, co wcale jej nie zaskoczyło.

– Wiesz, zawsze się zastanawiałem, jak mogło dojść do tego porwania – szepnął Lane. – Teraz już wiem.

– Ale dlaczego ktoś miałby zrobić swojemu synowi coś takiego?

– Bo to całkiem skuteczny sposób, żeby się pozbyć rywala w interesach i nie musieć za to iść do paki. Zlecasz mordercom, żeby go zabrali gdzieś w dżunglę, a potem nie zgadzasz się zapłacić ustalonego okupu. I zamawiasz trumnę. Aha, a potem jeszcze odgrywasz rolę zrozpaczonego ojca w żałobie, żeby wzbudzać współczucie w mediach. Czysty zysk!

– Lane... O Boże...

– Kiedy więc cię pytam, czy ze mną wyjedziesz, to nie jakaś romantyczna fanaberia. – Pokręcił wolno głową. – Zastanawiam się, czy mój brat nie był przypadkiem na tropie jakichś przekrętów... I czy to nie dlatego wielki i wspaniały William Baldwin próbował się go pozbyć.

Jezu... – pomyślała Lizzie. Jeśli faktycznie tak było, to pojęcie rodziny dysfunkcyjnej nabiera tu naprawdę szczególnego wydźwięku.

– Ciekawe, co mógł wykryć Edward?

– Nie chce nic na ten temat mówić – powiedział Lane, mrużąc oczy. – Ale pomaga mi zdobyć potrzebne informacje.

Lizzie przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło. Próbowała nie dopuścić do siebie obrazu Lane'a, któremu przydarzył się jakiś „wypadek”.

– Przeraza mnie to, co mówisz – szepnęła.

Sutton zamrugnęła, czekając, aż jej wzrok przyzwyczai się do ciemności panujących wewnątrz centrum biznesowego Williama Baldwine'a.

– Jestem zaskoczona, że zachowuje się pan w tej kwestii tak nonszalancko.

Baldwine zamknął za nimi drzwi i włączył światło.

– Konkurujemy ze sobą w interesach, ale to przecież nie znaczy, że nie możemy się razem pokazywać.

Sutton rozejrzała się po recepcji. Przestrzeń wydała jej się uderzająco podobna do Gabinetu Ovalnego w Białym Domu. Uznała to za kolejny przejaw arogancji tego człowieka. Tylko William Baldwine potrafi zdegradować taki amerykański symbol do roli miejsca, gdzie czeka się na spotkanie z jego wielce szanowaną osobą.

– Może przejdziemy do mojego gabinetu? – powiedział z gładkim uśmiechem, niczym aktor reklamujący w telewizji środki na potencję (nieco już starszy, szpakowaty, ale wciąż pociągający...).

– Możemy to też załatwić tutaj.

– Dokumenty mam w biurku.

– W porządku.

Gdy ruszyli w stronę szklanego boksu asystentki, Sutton pomyślała, że wolałaby nie być z nim tutaj sama. Choć z drugiej strony do tej akurat sprawy potrzebowali nieco prywatności.

Potem zaś znaleźli się w jego gabinecie.

Wystrój tego wnętrza... słodki Jezu, był jak żywcem wyjęty z pałacu Buckingham: purpurowe adamaszki, lustra w złożonych ramach, zdobne stoliki, krzesła niczym trony... Trudno sobie wyobrazić, jak temu człowiekowi udaje się w ogóle na czymkolwiek skupić w tak przeładowanym otoczeniu.

– Mogę zapalić cygaro? – spytał Baldwine.

– Proszę bardzo. – Spojrzała na drzwi: zostawił je otwarte, co stanowiłoby pewną pociechę, gdyby w budynku znajdował się ktoś jeszcze. – To... gdzie te dokumenty?

Baldwine podszedł do ogromnego biurka, otworzył mahoniowy

pojemnik i wyjął z niego cygaro, niewątpliwie kubańskie.

– Poczestowałbym panią, ale to nieodpowiednie dla damy.

– Całe szczęście, że moje pieniądze nie mają płci, prawda? –

Spojrzał na nią, a ona słodko się uśmiechnęła. – To co? Podpisujemy?

– Może pojechałaby pani ze mną na tor? Żona źle się czuje. –

Baldwina odciął końcówkę cygara. – Będzie musiała zostać w domu.

– Dziękuję, ale idę z ojcem.

Baldwina zmierzył ją wzrokiem.

– Dlaczego nie wyszła pani za męża?

Bo kocham się w pańskim synu – pomyślała. Choć na nim to nigdy nie robiło wrażenia.

– Bardzo się angażuję w pracę, co kłóciłoby się z obowiązkami małżeńskimi. Wiem, że to dość staromodna koncepcja, ale tak to u mnie wygląda.

– Mamy ze sobą tak wiele wspólnego... – Baldwina wziął do ręki ciężką kryształową zapalniczkę i wypuścił z niej płomień. – Oboje nosimy na barkach ciężar wielkiej odpowiedzialności.

– To ojciec wciąż jeszcze kieruje naszą firmą.

– Oczywiście. – Baldwina pochylił się w stronę płomienia i zapalił cygaro. – Ale to nie potrwa długo. Jest przecież chory, prawda?

Sutton milczała. Jej rodzina wciąż jeszcze nie dojrzała do ogłoszenia jej prezesem, ale Baldwina nie był daleki od prawdy. Przez trzy ostatnie lata parkinsona jej ojca dawało się łagodzić lekami, ale choroba postępowała, a wkrótce leki, podawane w precyzyjnych odstępach czasu, żeby jak najbardziej zminimalizować objawy, staną się niewystarczającym kamuflażem. Najsmutniejsze było w tym wszystkim to, że umysł ojca wciąż pozostawał tak bystry jak wcześniej, ale zaczynało mu fizycznie brakować sił – a sterowanie takim przedsięwzięciem jak Sutton Distillery Corporation stanowiło ciężką próbę nawet w najlepszych okolicznościach.

– Ani słowa komentarza? – spytał Baldwina.

Nad jego głowę wzbija się kolejna błękitna smużka dymu.

Sutton poczuła w nozdrzach zatęchły smród tytoniu i aż kichnęła.

– Na zdrowie!

Puściła mimo uszu tę jego fałszywą grzeczność, doskonale

wiedząc, że stary cap zapalił właśnie po to, żeby ją zirytować. Ludzie jego pokroju właśnie w taki sposób wykorzystują ludzkie słabości.

– Jeśli ma pan tu te dokumenty, chętnie je teraz podpiszę. A jeśli nie, proszę zadzwonić do mnie do biura, jak będzie pan gotowy.

Baldwine pochylił się i otworzył długą cieką szufladę znajdującą się w połowie wysokości biurka.

– Proszę – powiedział, rzucając plik papierów na podkładkę.

Przejechały po biurku i zatrzymały się dopiero przy stojącym na nim zdjęciu jego żony. Sutton pomyślała, że to symboliczne.

– Chyba wszystko powinno być w porządku.

Wzięła papiery do rąk. Obejrzała pierwszą stronę, a potem drugą, trzecią...

Nagle podniosła głowę.

– To chyba nie pana ręka spoczywa na mojej talii?

– Mamy ze sobą tyle wspólnego... – powiedział jej prosto do ucha. Odsunęła się i z uśmiechem odparła:

– Tak, jest pan dokładnie w wieku mojego ojca.

– Ale wciąż jestem w nieco lepszej od niego formie, prawda?

No cóż, tak istotnie było. William Baldwine prezentował się w garniturze o wiele lepiej niż niejeden trzydziestolatek.

– Chce pan to teraz załatwić? – spytała ostro. – Czy woli pan spotkać się w przyszłym tygodniu z moimi prawnikami?

Uśmiechnął się do niej tak, jakby jej odpowiedź go podniecała.

– Ależ oczywiście. Tak jak pani mówiła, tylko interesy. Sutton z pełną premedytacją usiadła w fotelu przy ścianie i nie zakładała nogi na nogę. Jakies dziesięć minut później podniosła wzrok.

– Jestem gotowa to podpisać.

– No proszę! Naniósłem wszystkie zmiany, których pani żądała. – Odkaszlnął, zasłaniając usta pięścią. – Podać pióro czy woli pani używać własnego?

– Mam swoje, dziękuję. – Sięgnęła do torebki, a potem położyła sobie plik dokumentów na udach i podpisała się nad wcześniej już uzupełnionym poświadczeniem notarialnym. – Chciałabym zabrać ze sobą kopię, jeśli byłby pan tak miły.

– Wedle życzenia.

Wstała i przeszła po dywanie na drugą stronę gabinetu.

– Teraz pana kolej – powiedziała.

William wyjął z kieszeni jasnoniebieskiej marynarki pióro Montblanc i złożył swój podpis na drugiej stronie, również nad uprzednio już przygotowanym poświadczeniem notarialnym.

– Proszę bardzo – powiedział, wskazując ręką wyjście z gabinetu. – Kopiarka stoi przy pierwszej sali konferencyjnej. Ja sam z niej nie korzystam.

Pewnie, że nie – pomyślała Sutton. Bo przecież, podobnie jak gotowanie i sprzątanie, uważa to pan za zajęcie niegodne mężczyzny.

Wzięła od niego dokumenty i ruszyła w stronę wyjścia. Po jej plecach przebiegł dreszcz. Zaraz jednak uspokoiła się myślą, że przecież to do niej należy kolejny ruch, a mianowicie przelew, który tylko ona może zlecić.

Niczego więc nie musi się z jego strony obawiać.

Przynajmniej w tej chwili.

Właśnie przechodziła obok biurka jego asystentki, gdy coś przykuło jej uwagę i kazało się chwilę zastanowić. Coś leżało na podłodze, wystawało spod biurka...

Skrawek jakiegoś materiału.

Nie, raczej mankiet męskiej marynarki.

– Co się stało? – spytał William.

Sutton z walącym sercem obejrzała się przez ramię.

– Ja tylko...

Nie jesteśmy sami – pomyślała w panice.

Wciśnięty pod biurko Edward świetnie wiedział, w którym momencie Sutton zdała sobie sprawę z jego obecności.

Gdy się oddaliła, zaklął cicho pod nosem.

– Co się stało? – spytał w gabinecie ojciec.

– Ja... – Odchrząknęła. – Trochę słabo się czuję.

– Mam tu butelkę brandy.

– Sok owocowy. Napiłabym się soku. Schłodzonego, jeśli można. Na chwilę zapadło milczenie.

– Dla damy zrobię wszystko. Choć muszę przyznać, że nieco to wykracza poza moje rutynowe obowiązki.

– Zaczekam tutaj. Usiądę sobie.

Ojciec przeszedł przez boks asystentki i się oddalił. Edward dosłyszał jego kasłanie, które stopniowo się uspokoiło. A po chwili do jego uszu doszedł głos Sutton, ściszony, ale zdecydowany:

– Mam tu ukrytą broń wymierzoną prosto w ciebie i jestem gotowa pociągnąć za spust. Pokaż mi swoją twarz, i to już!

Słabo się czuje, no pewnie – pomyślał Edward. No ale przynajmniej odesłała najpierw ojca.

Edward z jękiem wychylił się z kryjówki.

Sutton oniemiała. Zasłoniła usta tą dłonią, w której nie trzymała pistoletu.

– Gdybym wiedział, że nasze drogi znów się skrzyżują, wziąłbym ze sobą twoją torebkę – powiedział bez zająknięcia.

– Co ty tutaj robisz? – syknęła, chowając pistolet wielkości dłoni do jasnoróżowego zakietu.

– A ty? Co tu podpisywałaś?

Podniosła wzrok.

– On tu za chwilę wróci.

– A pytanie brzmi: co zamierzasz zrobić w związku z tym?

– Co się z tobą dzieje?

Nagle się podniosła i uciszyła go gestem dłoni. Ledwo zdążył się znów schować.

– Och, bardzo dziękuję. Właśnie tego było mi trzeba – powiedziała Sutton.

Edward skrzywił się, czując rwący ból w swojej gorszej nodze. Miał wielką nadzieję, że Sutton go nie wyda. Cholera, mógł wymyślić na jej powitanie coś innego – zamiast tekstu nawiązującego do seksu, który po raz pierwszy w życiu uprawiali ze sobą ostatniej nocy (zresztą tylko dlatego, że wziął ją za zamówioną przez niego prostytutkę, która miała być do niej podobna właśnie po to, żeby w ogóle mógł utrzymać erekcję).

– Nie, nie. Pomarańczowy jest świetny. – Do uszu Edwarda doszło pyknięcie otwieranej butelki. – Mmm... Coś wspaniałego.

Ojciec znów odkaslnął.

– Teraz lepiej?

– Znacznie lepiej. Może chodźmy razem do tej kopiarki, dobrze? W razie gdybym potrzebowała pomocy.

– Z przyjemnością – odparł przeciągle Baldwin.

– Nie powinien pan palić – zauważyła poważnie Sutton, gdy wychodzili z jego gabinetu. – To pana zabije.

Edward zamknął oczy.

– Trzeba zgasić światło – szepnęła. – Ja to zrobię. Jak już skopiujemy te dokumenty, powinniśmy wrócić na imprezę.

– Tak pani spieszno napić się lepszego gatunku bourbona? Wszystko pociemniało.

– O, tak. Oczywiście.

Kiedy wychodzili, Edward słuchał ich pogawędki. Miał tylko nadzieję, że ojciec będzie na tyle rozsądny, by trzymać ręce przy sobie. Obserwując wcześniej jego popisy przy biurku, musiał się wykazać samodyscypliną, jakiej od dawna już nie praktykował.

Co to, u diabła, za interesy mieli tutaj ci dwoje?

Boże, nigdy by się nie podejrzewał o tego rodzaju myśli, ale miał teraz nadzieję, że Sutton nie postanowiła zainwestować w ich rodzinną firmę ani nie ma zamiaru jej kupić. Bo jeśli tak by było, najprawdopodobniej wpakowałyby pieniądze w błoto.

Ponieważ już wcześniej, jeszcze zanim zaczął się zagłębiać w te nowsze dokumenty, Edward żywił pewne podejrzenia co do poczynań ojca. Nie rozumiał wprawdzie, co mogło nim kierować, ale wiedział dokładnie, czego teraz szukać i co może znaleźć.

Kilka chwil później usłyszał znów głos Sutton:

– No cóż, to chyba będzie korzystne dla nas obojga. Zlecę przelew w poniedziałek z samego rana.

– Może przypieczętujemy to pocałunkiem?

Edward zwinął dłoń w pięść i przypomniał sobie, co jego brat mówił o Chantal.

– Dziękuję, uścisk dłoni powinien całkowicie wystarczyć. Zresztą nawet on nie jest specjalnie potrzebny. Wyjdę już.

Drzwi się otworzyły, a potem zamknęły.

A następnie ojciec powrócił. Jego ciężkie kroki zbliżały się do kryjówki Edwarda, który zaczął żałować, że nie wziął ze sobą pistoletu.

Ale przecież Lane wiedział, gdzie on jest. Jeśli nie wyjdzie stąd żywy, Lane się o tym dowie.

Bliżej...

Coraz bliżej...

Ojciec jednak po prostu minął biurko asystentki i wszedł do swojego gabinetu. Zapalił światło, otworzył szufladę i włożył do niej z powrotem podpisane już papiery. Potem zamknął szufladę i kilkakrotnie pociągnął cygaro, jakby zatopiony w myślach.

Gdy dostał ataku kaszlu, Edward przewrócił oczami. William Baldwine całe życie był astmatykiem. Pozostawało zagadką, dlaczego ktoś w takim stanie zdrowia, nawet jeśli choroba przebiegała dość łagodnie, miałby w ogóle cokolwiek palić.

Ojciec wyjął chusteczkę i zasłonił usta. Wydobył też inhalator i na chwilę zamiast cygarem zaciągnął się lekami. Po chwili znów włożył w usta cygaro, wyłączył światło i... przeszedł obok biurka asystentki.

Edward się nie poruszał i dalej wstrzymywał oddech. Czekał na odgłos otwierania i zamykania drzwi balkonowych.

Ale się nie doczekał.

Stojąca przed nim Lizzie wyglądała na wstrząśniętą. Lane miał ochotę cofnąć czas, powrócić do chwili, w której dzieliły ich od siebie tylko majątek i pozycja społeczna jego rodziny... oraz jego kłamliwa, dzieciobójcza, zdradliwa wciąż-jeszcze-żona.

Ach, stare dobre czasy.

No, nie całkiem.

– Przepraszam – szepnął. Naprawdę chciał ją przeprosić. Za cały ten cholerny bajzel.

– Nie ma sprawy.

– Owszem, jest.

Gdy na chwilę zamilkli, Lane zauważył, jak bardzo irytują go odgłosy imprezy – zwłaszcza gdy pomyślał o tej ogromnej „pożyczce”, którą zaciągnął jego ojciec. Lane nie miał pojęcia, jakie były koszty takiego śniadania, ale mógł to sobie łatwo policzyć. Sześćset czy siedemset osób, najlepsze alkohole, nawet jeśli kupowane hurtem, jedzenie godne trzech gwiazdek Michelin... Do tego ekipa kelnerów i parkingowych, która mogłaby obsłużyć całe miasto.

Co najmniej ćwierć miliona. Nie licząc miejsc na trybunie honorowej, stołów zarezerwowanych w prywatnych salach na torze oraz kończącego dzień balu sponsorowanego przez jego rodzinę.

To była impreza za milion dolarów, która trwała niecałą dobę.

– Słuchaj, lepiej już idź – powiedział do Lizzie. Nie chciał, żeby zobaczyła Edwarda. Głównie dlatego, że zapewne sam Edward nie chciał być tu przez nikogo widziany. – Przyjadę do ciebie, nawet jeśli nie będę mógł zostać na całą noc.

– Będę na ciebie czekać. Martwię się o ciebie. Dużo się dzieje. Nawet nie wiesz, jak dużo – pomyślał.

Pochylił się, żeby ją pocałować, ale zrobiła unik, zresztą całkiem słusznie. Z dolnej części posiadłości podjeżdżało właśnie wózkiem golfowym dwóch pracowników. Lepiej żeby za dużo nie zauważono.

– Przyjadę, jak tylko będę mógł – powiedział Lane, a potem znów się pochylił. – Musisz wiedzieć, że właśnie cię całuję. Chociaż jedynie w myślach.

Zarumieniła się.

– Do zobaczenia... wieczorem. Zostawię drzwi otwarte, jeśli zrobi się późno.

– Kocham cię.

Odwróciła się i odeszła. Nie podobał mu się wyraz jej twarzy. Nie potrafił ukryć swojego rozpaczliwego pragnienia, żeby wyznała mu to samo – i to nie przez grzeczność, ale prosto z serca.

Bo stawką w tej grze było właśnie jej serce... podobnie zresztą jak jego.

Jego świat zachwiał się tak potężnie, że Lizzie King stała się jedynym bezpiecznym i stabilnym punktem na horyzoncie.

Gwałtownie odwrócił głowę, gdy usłyszał za plecami odgłos otwieranych drzwi.

Nie był to Edward.

Bynajmniej.

Tylnym wyjściem z centrum biznesowego wyszedł nie jego brat, lecz ojciec. Lane zmarł.

W pierwszym odruchu spojrzał na jego ręce, jakby spodziewał się zobaczyć na nich krew, której jednak nie było. Ojciec w jednej dłoni trzymał tylko białą chusteczkę, którą przyciskał do ust, jakby usiłował dyskretnie wyciszyć atak kaszlu.

Nawet nie spojrzał w stronę Lane'a, ale nie wyglądał na szczególnie zestresowanego. Zamyślony? Owszem. Zestresowany? Ani trochę.

Do tego przeszedł, skurczybyk, zaraz za starym pikapem – tego rodzaju pojazdy najwyraźniej kojarzyły mu się z na tyle niskim statusem społecznym, że nawet nie podniósł wzroku, żeby sprawdzić, kto mógłby być właścicielem lub pasażerem samochodu.

– Wiem, co zrobiłeś – wypalił Lane, zanim zdążył się zastanowić. Ojciec zatrzymał się i natychmiast odwrócił.

W tle rozległ się chrzęst otwierających się drzwi garażowych, a ojciec przymrużył oczy i schował chusteczkę do kieszeni marynarki.

– Słucham? – spytał.

Lane podszedł do niego i spojrzał mu prosto w oczy. Nie podnosząc głosu, powiedział:

– Przecież słyszałeś. Dobrze wiem, co zrobiłeś.

Pomyślał, że to dziwne, jak bardzo twarz ojca przypomina jego własną. Równie dziwne było to, że mięśnie twarzy ojca ani drgnęły. Wciąż miał tę samą minę co wcześniej.

– Będziesz musiał podać mi więcej konkretów, synu.

Zimny ton jego głosu wskazywał, że zamiast tego ostatniego słowa chętnie użyłby określenia „niedorajdo” albo może bardziej dobitnego „kretynie”.

Lane zazgrzytał zębami. Chciał wyłożyć kawę na ławę, ale powstrzymała go świadomość, że jego brat wciąż jeszcze tkwi w centrum biznesowym (przy odrobinie szczęścia może nawet żywy), jak również obawa, że ojciec wówczas jeszcze staranniej zacząłby zacierać za sobą ślady.

– Chantal mi powiedziała – szepnął.

Ojciec przewrócił oczami.

– Niby o czym? Że zażyczyła sobie po raz trzeci zmienić wystrój swojego apartamentu? Czy może kolejny raz chce się przelecieć do Nowego Jorku? To twoja żona. Jak ma takie zachcianki, powinna z tobą o nich dyskutować.

Lane przymrużył oczy, przyglądając się bacznie rysom twarzy ojca.

– A teraz, jeśli pozwolisz, jadę na...

– Jeszcze nie wiesz, co?

Ojciec wyniosłym ruchem dłoni wskazał, żeby wyprowadzić garażu rolls-royce’a.

– Jestem już spóźniony. I nie bawię się w zgadywanki. Miłego dnia...

– Ona jest w ciąży. – Ojciec zmarszczył brwi, a Lane dołożył wszelkich starań, żeby wyraźnie artykułować słowa. – Chantal jest w ciąży. Twierdzi, że z tobą.

Czekał na jakiś sygnał, najlżejszy przejaw słabości... Starał się wykorzystać całe swoje doświadczenie wytrawnego pokerzysty, żeby rozszyfrować wyraz twarzy stojącego przed nim człowieka.

I nagle znalazł: sygnałem, że w ojcu coś się poruszyło, było lekkie drzenie skóry pod lewym okiem.

– Rozwodzę się z nią – powiedział spokojnym głosem Lane. – Jest więc twoja, jeśli masz na nią ochotę. Ale ten bękart nie będzie mieszkał domu mojej matki, rozumiesz? Nie pozwolę, żebyś matkę w ten sposób obrażał. Nie ma mowy!

Ojciec odkaszlnął, a potem znów wyjął z kieszeni chusteczkę.

– Mam dla ciebie, synu, dobrą radę. Kobiety takie jak Chantal są równie kłamliwe co niewierne. Nigdy w życiu nie byłem z twoją żoną. Na litość boską...

– Kłamać potrafią nie tylko kobiety jej pokroju.

– Ach, tak. Bawimy się w dwuznaczności. Typowy przejaw ukrytej agresji.

Pierdolę – pomyślał Lane.

– W porządku. Wiem też o twoim romansie z panią Rosalindą i jestem pewien, że to z twojego powodu się zabiła. Zważywszy, że odmówiłeś zeznań na policji, zakładam, że też o tym wiesz i czekasz, co ci każą mówić adwokaci.

Ponad francuskim kołnierzykiem wyprasowanej koszuli z monogramem rozprzestrzeniła się czerwona plama, nadając ognistą barwę skórze na szyi ojca.

– Musisz zrewidować swoje myślenie, chłopcze.

– Wiem też, co zrobiłeś Edwardowi. – W tym momencie głos mu się załamał. Starając się nie wspominać o sprawach finansowych, mówił dalej: – Wiem, że odmówiłeś zapłacenia okupu, i jestem niemal pewien, że sam zleciłeś jego porwanie. Zawsze go nienawdziłeś. Nie wiem dlaczego, ale zawsze go prześladowałeś. Mogę się tylko domyślać, że znudziły ci się te igraszki i postanowiłeś zakończyć grę raz na zawsze, na własnych warunkach.

Zabawne: przez tyle lat wyobrażał sobie taką konfrontację z ojcem, w jego głowie rozgrywały się najróżniejsze scenariusze, wypróbował w myślach wszelkiego rodzaju oburzone tony i wściekłe wrzaski.

W rzeczywistości jednak wyszło to znacznie spokojniej, niż mógłby sobie wyobrazić. A zarazem było dla niego całkowicie druzgocące.

Podjechał do nich rolls-royce i stanął. Wysiadł z niego szofer ojca, w uniformie.

– Proszę pana?

Ojciec znów odkasznął w chusteczkę. W słońcu zaśnił złoty sygnet na jego palcu.

– Miłego dnia, synu. Baw się dobrze, wierząc w te bajeczki. To łatwiejsze, niż wziąć się za bary z rzeczywistością. Ale to zabawa dla słabeuszy.

Lane złapał go za ramię i mocno szarpnął.

– Jesteś skurwysynem!

– Nie – odparł znudzonym głosem ojciec. – Dobrze wiem, kim była moja matka, zresztą ojciec też. To dość ważny szczegół w życiu, nie sądzisz? Niepewność potrafi być taka frustrująca.

Wyrwał się z uścisku syna i podszedł do samochodu. Szofer otworzył tylne drzwi, a ojciec wsunął się na siedzenie. Chwilę później samochód odjechał. Elegancka sylwetka jego pasażera wydawała się wyniosła i opanowana, jak gdyby nic się nie stało.

Lane jednak wiedział, jaka jest prawda.

Ojciec najwyraźniej nie miał pojęcia, że Chantal jest w ciąży, a wszystko wskazywało, że to faktycznie jego sprawka.

Najprawdopodobniej.

Słodki Jezu...

Lane znów podszedł do pikapa i przybrał niedbałą pozę, jakby na nic nie czekał.

W normalnych okolicznościach pewnie by teraz się wściekał, że jego żona z jego ojcem nawiązali ze sobą stosunki intymne.

Ale teraz mało go to obchodziło.

Jego uwagę przykuwały wciąż zamknięte drzwi centrum biznesowego. Miał nadzieję, że Edwardowi nic się nie stało.

I zastanawiał się, ile czasu musiałoby upłynąć, zanim by uznał, że trzeba wyważyć te drzwi.

Z jakiegoś powodu w jego głowie rozbrzmiewał głos pani Mollie, która powtarzała, stojąc na korytarzu przed gabinetem pani Rosalindy: „Trójkami. Śmierć zawsze przychodzi trójkami”. Miał nadzieję, że – nawet jeśli to prawda – jego brat nie będzie numerem dwa. Nie mógł jednak ukryć, że gdyby opatrzność spytała go o zdanie, bez trudu by określił, kto powinien to być.

Zanim do uszu Edwarda doszedł dźwięk zamykanych i otwieranych tylnych drzwi, całe jego ciało wyło z bólu.

Odczekał jednak jeszcze jakieś dziesięć minut, by się upewnić, że w budynku już nikogo nie ma.

Nie było słychać żadnych innych dźwięków. Ostrożnie wysunął stopy spod biurka. Przygryzając dolną wargę, usiłował wyprostować nogi, poruszyć ramionami, jakoś się wyplątać z przyjętej wcześniej pozycji. Udało mu się na tyle wysunąć, żeby odepchnąć zagradzający mu drogę fotel biurowy, który na szczęście był na kółkach.

Ale dalej już nic.

Próbował wstać. Wielokrotnie. Pośród licznych przekleństw i stęknień wypróbował każdą możliwą strategię, żeby się z powrotem podnieść: chwycił za blat biurka i usiłował się podciągnąć, opierał dłonie o podłogę i próbował się odepchnąć, a nawet raczkował jak dziecko.

Wszystko to niewiele dawało.

Czuł się, jakby go uwięziono na dnie dziesięciometrowej studni. Co gorsza, nie miał w kieszeni komórki.

Przez głowę przelatywały mu kolejne przekleństwa, dziurawiąc potężnymi kraterami jego świadomość. Jednak po tym wściekłym nalocie jego umysł uspokoił się do tego stopnia, żeby myśleć logicznie. Wyciągnął się na tyle, na ile mógł, i złapał za kabel telefoniczny idący od ściany do otworu wywierconego w biurku.

Świetny plan, tylko niewłaściwy kierunek działań. Jeśli pociągnie ten kabel, wówczas stojący na biurku aparat odsunie się jeszcze dalej.

A przecież musi zadzwonić do Lane'a. Nie tylko dlatego, że nie da rady sam dowlec się do wyjścia, ale też z tego powodu, że jeśli zaraz się z nim nie skontaktuje, brat gotów się zniecierpliwic i wyważyć te przeklęte drzwi, tym samym niweczając wszystkie ich starania o dyskrecję.

Edward zacisnął zęby i zakołysał całym ciałem. Jeden raz... drugi...

Przy trzecim bujnięciu wypchnął tors w górę, korzystając z jakiejś rezerwy sił, o którą sam się nie podejrzewał.

Nie wyglądało to zbyt elegancko. Jego kości dosłownie grzechotały pod skórą, uderzając o siebie z całej siły, niepowstrzymywane przez tkanekę mięśniową; udało mu się jednak chwycić za słuchawkę

i pociągnąć, aż cały aparat przejechał do krawędzi blatu i spadł mu na kolana.

Dłonie tak mocno mu drżały, że musiał kilkakrotnie wybierać numer, bo wciąż mylił kolejność cyfr. Mało nie stracił przytomności, zanim wreszcie podniósł słuchawkę do ucha.

Lane na szczęście od razu odebrał.

– Halo?

– Musisz przyjść i mnie stąd...

– Edward! Wszystko w porządku? Gdzie...

– Zamknij się i posłuchaj. – Podał bratu kod wejściowy i kazał mu go powtórzyć. – Jestem pod biurkiem asystentki ojca.

Rozłączył się, próbując trafić słuchawką w widełki, aż mu się udało, po czym zamknął oczy i całkiem opadł z sił, oparty o szuflady biurka. To zabawne: cały czas pracował, błędnie zakładając, że regularne zamiatanie stajni przyniesie poprawę jego sprawności i wytrzymałości. Najwyraźniej jednak nic takiego nie zaszło. Chociaż z drugiej strony zwinięcie ciała w kłębek pod biurkiem każdego mogłoby przerosnąć.

Gdy usłyszał, że tylne drzwi znów otwierają się i zamykają, poczuł nagłą potrzebę, żeby jeszcze raz spróbować wstać i tym samym oszczędzić sobie i bratu krępującej konieczności dźwigania go w górę. Choć jednak ego próbowało unieść się honorem, jego ciało nie miało zamiaru współpracować.

Chwilę później, zanim Lane zdążył cokolwiek powiedzieć, on już go uprzedził:

– Mam je – wykrztusił. – Mam to, czego nam potrzeba.

Musiał jakoś ratować swoją godność.

Kolana Lane'a trzasnęły, gdy kucał.

– Edward, co się stało...?

– Daruj mi. Pomóż mi tylko usiąść w tym fotelu. Muszę się wylogować, bo inaczej wpadniemy. Dokąd poszedł ojciec? Wiem, że wyszedł tylnymi drzwiami.

– Wsiadł do samochodu ze swoim szoferem. Widziałem, jak odjeżdża. Ruszył na tor.

– Chwała Bogu! A teraz spróbuj mnie podnieść.

Kolejna mało elegancka scena. Lane złapał go pod pachami jak

trupa i pociągnął po królewskiej purpurze dywanu. Gdy w końcu posadził go na krześle, nagły spadek ciśnienia spowodował, że Edwardowi zakręciło się w głowie, jakoś jednak się z tego otrząsnął i ponownie włączył ekran.

– Idź do jego biurka – powiedział do Lane’a. – Górna szuflada pośrodku. Jest w niej plik papierów. Nie trać czasu na czytanie, tylko pobiegnij do kopiarki i je nam skseruj. Przed chwilą je podpisał.

Widząc, że Lane stoi w miejscu, jakby się zastanawiał, czy nie musi najpierw wezwać lekarza, wyrzucił dłoń w górę.

– Idź! A potem odłóż je dokładnie w to samo miejsce. No idź! Gdy Lane w końcu się ruszył, Edward ponownie spojrzał na ekran komputera. Przesłał sobie ostatni dokument, po czym zaczął starannie zamykać wszystkie otwarte okna, aż w końcu się wylogował.

Chwilę po tym, jak wreszcie skończył, Lane był już z powrotem.

– Zabierz mnie stąd – wycharczał Edward. – Ale najpierw postaw ten telefon z powrotem na miejscu.

Szczytem impotencji wydał mu się fakt, że musi prosić swojego silnego i sprawnego młodszego brata o odłożenie wszystkiego na miejsce, a potem dźwignięcie go, żeby stanął na nogi, i ostrożne wyprowadzenie go z gabinetu, jakby był niedołącznym starcem.

I co się okazało? Ledwo dotarli do rodzinnego monogramu pośrodku dywanu, Lane zrezygnował z dalszych prób prowadzenia go.

– Będę musiał cię zanieść – jęknął.

– Rób, jak uważasz.

Edward odwrócił twarz w bok, kiedy brat uniósł go w górę. Była to niezbyt przyjemna przejażdżka – ból rozchodził się w coraz to nowe miejsca. Ale przynajmniej posuwali się teraz naprzód nieco szybciej.

– Co było w tych papierach? – dopytywał Edward, kiedy przemierzali korytarz prowadzący obok sal konferencyjnych gabinetów.

– Będziesz musiał iść o własnych siłach, gdy już wyjdziemy na zewnątrz.

– Wiem. Co było w tych papierach?

Lane pokręcił tylko głową. Zbliżyli się już do tylnych drzwi.

– Muszę cię postawić.

– Wiem...

Choć bardzo się starał, nie potrafił powstrzymać jęku. Wczepiał jeszcze dłoń w ramię Lane'a, wykorzystując jego stabilną pozycję do podtrzymania równowagi, zanim się upewnił, że jego własne nogi zdołają utrzymać ciężar całego ciała.

– W porządku? – spytał Lane. – Dasz radę podejść do samochodu? A czy miał jakiś wybór?

Edward pokiwał głową i naciągnął czapkę bejsbolową niżej na oczy.

– Najpierw sprawdź, czy nikogo tam nie ma.

Lane otworzył drzwi i wychylił się na zewnątrz.

– Dobra, biorę cię za ramię.

– Bardzo uprzejmie z twojej strony.

Pieprzyć to! Edward zmusił swoje nogi do tego, żeby poruszały się w kierunku pikapa, jakby centrum biznesowe właśnie się paliło, a ten stary ford był jedynym dostępnym schronieniem. Choć ból był nie do zniesienia, zacisnął tylko zęby i szedł.

Gdy w końcu został posadzony w fotelu pasażera i zamknięto za nim drzwi, poczuł taki ucisk w żołądku, że musiał zamknąć oczy i oddychać ustami.

Lane wskoczył na miejsce obok niego i przekręcił kluczyk w stacyjce. Pod maską coś gwałtownie warknęło, a potem...

Widząc, że wcale nie ruszają do przodu, Edward zerknął na brata.

– Co jest?

Głowa Lane'a powoli obróciła się w jego stronę. Na jego doskonale wyrzeźbionej twarzy pojawiło się coś dziwnie odległego.

– Co się dzieje? – pytał Edward. – Dlaczego nas stąd nie zabierasz? Lane odpiął pas.

– Masz, poczytaj to sobie – powiedział, rzucając mu na kolana plik papierów. – Zaraz wracam.

– Dokąd, kurwa, idziesz? – warknął Edward.

– Przeczytaj – powtórzył Lane, wskazując palcem dokumenty, po czym wysiadł z samochodu.

Gdy drzwi od strony kierowcy się zatrzasnęły, Edward miał ochotę czymś rzucić. Co ten Lane sobie, do diabła, wyobraża? Przed chwilą

włamali się do...

Z jakiegoś powodu spojrzął jednak na papiery leżące na jego kolanach.

I zobaczył dwa słowa: „Zastaw” oraz „hipoteczny”.

– Co takiego? – wymamrotał, układając papiery we właściwej kolejności.

Gdy skończył czytać, zamknął oczy i odchylił głowę w tył. W zamian za całkiem przyzwoitą pożyczkę w wysokości dziesięciu milionów dolarów, udzieloną pani Virginii Elizabeth Bradford Baldwine... Sutton Smythe miała otrzymywać regularne wpłaty w wysokości sześćdziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie do czasu, aż całość kwoty długu zostanie spłacona.

Najciekawsza oczywiście była klauzula regulująca postępowanie w razie niewywiązania się z płatności. Jeśli miesięczne raty nie będą płacone na czas, Sutton ma prawo do zajęcia całego terenu Easterly.

Wszystko: rezydencja, budynki gospodarcze i ziemia uprawna przejdą w jej ręce.

Nieźle zabezpieczenie pożyczki, zważywszy że przy ostatniej wycenie, która miała miejsce jakieś cztery lata wcześniej, wartość posiadłości oszacowano na jakieś czterdzieści milionów dolarów.

Edward znów otworzył oczy i przerzucił strony, żeby spojrzeć na podpisy. Dokument został już wcześniej poświadczony notarialnie, co stanowiło typową praktykę w ich korporacji, kiedy załatwiano coś po cichu. W miejscu oznaczonym nazwiskiem „Virginia Elizabeth Bradford Baldwine” znajdował się podpis Williama Baldwine’a z adnotacją: „pełnomocnik”.

Choć więc w akcie pojawiało się wyłącznie nazwisko matki, która z pewnością nie miała o zawartej umowie zielonego pojęcia, wszystko przeprowadzono w majestacie prawa.

Jasna cholera!

Gdy otworzyły się drzwi po stronie kierowcy, Edward zaklął i odwrócił głowę, chcąc posłać Lane’owi wściekłe spojrzenie.

Lecz to wcale nie jego brat nacisnął klamkę.

Lane stał z boku, pod drzewem magnolii.

Straciła na wadze – pomyślał beznamiętnie Edward. Twarz Aurory

się specjalnie nie zmieniała, ale pamiętał, że kiedyś była pełniejsza. Zresztą tak samo jak jego.

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Po prostu nie potrafił.

Patrzył za to na jej ręce – te piękne ciemne ręce, które drżały, unosząc się ku jego twarzy.

Zamknął oczy, a serce waliło mu jak młotem, gdy go dotknęła. Przygotował się psychicznie na jakiś jej komentarz dotyczący jego straszego wyglądu albo chociaż kilka słów wypowiedzianych tonem, który by mu zdradził, jak bardzo się przeraziła.

Zdjęła mu nawet czapkę z głowy.

Czekał w pełnej gotowości.

– Pan Jezus wziął cię ściągnął do domu – powiedziała schrypniętym głosem, ujmując jego twarz w dłonie, a potem pocałowała go w policzek.
– Kazał ci do nas wrócić, kochany chłopczyno.

Zatkało go.

„Kochany chłopczyno” – tak zawsze do niego mówiła, gdy był mały. „Kochany chłopczyno”. Lane był jej ulubieńcem, i to od zawsze, Maxa zaś tolerowała, bo musiała. Ale to jego, Edwarda, nazywała „kochanym chłopczyną”.

Bo wyznawała staroświeckie zasady, wedle których status pierworodnego syna miał wielkie znaczenie.

– Żem się za ciebie modliła – szepnęła. – Żem się modliła, aby Pan Bóg sprowadził cię do nas, do domu. I w końcu żem się tego cudu doczekała.

Chciał powiedzieć coś ostrego. Chciał ją odepchnąć, bo tego wszystkiego było już dla niego za dużo. Chciał...

Zanim się jednak zorientował, pochylił się ku niej, a ona otoczyła go ramionami.

Znacznie później, gdy wszystko się zmieniło, a jego życie stało się na wielu poziomach zupełnie odmienne od jakichkolwiek jego wcześniejszych wyobrażeń, miał zdać sobie sprawę, że od tej chwili, gdy Aurora trzymała jego twarz w dłoniach, gdy czuł przy swoim uchu bicie jej serca, gdy jej znajomy głos kołł jego rany, a wszystkiemu przyglądał się z dyskretnej odległości jego brat... że od tej właśnie chwili zaczął

naprawdę wracać do zdrowia. Na moment, ułamek sekundy, jeden krótki oddech, zapaliło się w nim jego dawne światło. Nie trwało to długo, bo ta iskra zgasła, gdy tylko Aurora nieco się odsunęła – ale coś zostało w nim uruchomione. I to coś wszystko zmieniło.

– Co noc żem się za ciebie modliła – mówiła, gładząc go po ramieniu. – Błagała żem Boga, żeby cię ocalił.

– Ja nie wierzę w Boga.

– To tak jak i ten twój brat. Ale jemu też żem mówiła, że On was tak kocha.

– Tak jest – odparł, bo co innego mógł powiedzieć?

– Dziękuję. – Dotknęła jego głowy, a potem szczęki. – Wiem, żeś nie chciał mnie widzieć...

Wziął ją za rękę.

– Nie, to nie tak...

– Nie trza ci się tłumaczyć.

Na myśl, że ona mogła się poczuć jak osoba drugiej kategorii, poczuł ból w piersi.

– Ja... w ogóle z nikim się już nie chcę widywać. Czuję, że nie jestem tym, kim byłem kiedyś.

Uniosła jego twarz w górę.

– Spójrzże na mnie, chłopczyno.

Musiał się zmusić do tego, żeby wytrzymać spojrzenie jej ciemnych oczu.

– Tak jest.

– W oczach Stwórcy tyś doskonały, rozumiesz? I w moich też. Jak byś nie wyglądał.

– Ale nie tylko moje ciało się zmieniło...

– A to już w twoich rękach, chłopczyno. Trza ci wybrać, czy po tym wszystkim pójdiesz na samo dno, czy jakoś jeszcze weźmiesz wypłyniesz na górę. Widzi ci się, żeby tak utonąć? To nie bardzo rozsądnie, jak już przecie dotarłeś znów na suchy ląd.

Gdyby tego rodzaju bzdurę powiedział mu ktoś inny, przewróciłby tylko oczami i więcej do tego nie wracał. Wiedział jednak, jaką historię ma za sobą Aurora. Wiedział jeszcze więcej niż Lane o tym, jak wyglądało jej życie, zanim zaczęła pracować w Easterly.

Mogła zginąć, ale ocalała.

A teraz zapraszała go, żeby do niej dołączył.

A więc to dlatego nie chciałem się z nią widzieć – pomyślał. Nie chciał tej konfrontacji, nie chciał podejmować wyzwania, które najwyraźniej właśnie zostało mu rzucone.

– A co, jeśli mi się nie uda? – spytał łamiącym się głosem, sam siebie zaskakując.

– A co ma się nie udać. Będzie nad tobą czuwał sam Anioł Stróż – szepnęła, pochylając się do jego ucha.

– W anioły też nie wierzę.

– Nie szkodzi.

Oparła się wygodnie i przez dłuższą chwilę w niego wpatrywała, ale wcale nie w taki sposób, który by sugerował, że próbuje ocenić, jak bardzo się postarzał i ile schudł.

– Dobrze się czujesz? – spytał nagle. – Słyszałem, że byłeś w...

– Nic mi nie jest. Nie trza się o mnie kłopotać.

– Przepraszam.

– Niby za co? – Zanim miał szansę odpowiedzieć, z właściwą sobie zaciętością mówiła dalej: – Nie ma co przeproszać, przecie dbasz tylko swoje sprawy. Ja zawsze tu jestem przy tobie, nawet gdy mnie nie widzisz.

Nie pożegnała się.

Pogłaskała go tylko jeszcze raz po twarzy, a potem się odwróciła i wysiadła. Co zabawne, jak się miało później okazać, obraz jej postaci idącej w stronę Lane'a, a potem ich dwojga rozmawiających pod ciężką zieloną koroną magnolii, na zawsze wyrył się w jego pamięci.

Tyle że wcale nie z tego powodu, którego by się spodziewał.

Deszcz, którego wcale nie zapowiadano, zaczął padać zaraz po piątej.

Składając ostatni stół pod namiotem, Lizzie poczuła, że powietrze pachnie inaczej, i wyjrzała, żeby zerknąć na bluszcz porastający ceglany mur w ogrodzie. Rzeczywiście: zielone listki tańczyły na wietrze, lśniąco powierzchnią zwrócone ku szaremu niebu.

– Miało nie padać – mruknęła pod nosem właściwie sama do siebie.

– Wie pani, co mówią na temat tutejszej pogody – powiedział jeden z kelnerów.

Tak, tak. Wiedziała.

Zastanawiała się, gdzie jest Lane. Nie odzywał się od czasu, gdy rozmawiali przy pikapie, a od tamtej chwili minęło już sześć godzin.

Podszedł do niej pan Harris.

– Powie im pani, że to wszystko ma trafić do namiotu magazynowego?

– Tak – odpowiedziała. – Zawsze tam trafiają wypożyczone sprzęty. Aha, zanim pan spyta: sztuce i naczynia też.

Pan Harris wciąż jeszcze nie odchodził. Miała ochotę go poprosić, żeby złapał za drugi koniec stołu i pomógł jej zanieść go do drugiego namiotu, ale było raczej jasne, że nie jest to typ człowieka, który lubi brudzić sobie ręce.

– Co się stało? – spytała, marszcząc brwi.

– Znów przyjechała policja. Starają się nie ingerować w imprezę, ale znów chcą mnie przesłuchać.

– Chce pan, żebym się tu wszystkim zajęła? – spytała ściszym głosem Lizzie.

– Obawiam się, że oni tak tego nie zostawią.

– Dopilnuję, żeby wszystko zostało zrobione, jak należy.

Kamerdyner odchrząknął, a potem – ach, jakież to ujmujące! – lekko się uklonił.

– Będę pani ogromnie wdzięczny. Dziękuję, niedługo wrócę.

Skinęła głową i patrzyła, jak odchodzi. A potem zabrała się znów

do pracy.

Uniosła stół i przeszła z nim po ogromnej, pustej przestrzeni namiotu, ku wyjściu. Gdy znalazła się na zewnątrz, poczuła na głowie i ramionach delikatną mżawkę. Namiot magazynowy stał po przeciwnej stronie domu. Dobiegał stamtąd niemiecki akcent Grety zawiadującej podwójnym strumieniem pracowników, którzy najpierw w pośpiechu wypełniali namiot wszelkiego rodzaju pozostałościami po imprezie, a potem pędem opuszczali go z pustymi rękami.

Lizzie czekała w kolejce razem z innymi, posuwając się pomału w stronę wejścia.

Za jakieś dwadzieścia minut duży namiot miał zostać rozebrany. Ekipa sprzątająca już zamiatała podłogę, podnosiła zmięte serwetki, zgubione widelce i szklanki.

Bogacze niespecjalnie się różnią od jakiegokolwiek innego stada: gdy opuszczają paśnik, zostawiają za sobą chlew.

– Ostatni stół – powiedziała Lizzie, gdy wreszcie weszła do środka.
– *Gut*. Odstaw go tam – odparła Greta, wskazując miejsce, gdzie je składowano.

– Okej. – Lizzie szybkim ruchem podniosła stół na wysokość swojej talii, po czym wepchnęła go na stos innych. – Pan Harris ma jakąś pilną sprawę, więc to ja będę zawiadywać sprzątaniami.

– Wszystko mamy pod kontrolą – powiedziała Greta, która właśnie skinęła na dwóch chłopczków niosących po sześć skrzynek ze szklankami, żeby zanieśli je w róg namiotu. – O, tam. Tylko dopilnujcie, żeby to nie zmokło!

– Idę sprawdzić, jak sytuacja w kuchni.

– Tu skończymy za godzinę.

– Wszystko na czas!

– Jak zawsze.

Greta miała rację. Punktualnie o szóstej wszystko było skończone: wielki namiot złożono, a w domu i w ogrodzie nie zostało już nic z wynajętych sprzętów – nastąpił całkowity reset przestrzeni, jakby ktoś wcisnął kombinację klawiszy Ctrl, Alt i Del w komputerze. Pracownicy, którzy włożyli w tę imprezę mnóstwo wysiłku, zaczęli się rozjeżdżać. Większość zmierzała do centrum miasta, żeby utopić w alkoholu

wszystkie bóle, troski i zachwyty z całego dnia. Nie dotyczyło to jednak Lizzie ani Greta. Obie jechały do swoich domów. Lizzie miała tam czekać na Lane'a, a Greta zjeść kolację przygotowaną przez męża.

Ruszyły razem w stronę parkingu dla personelu. Szły bez słowa, a przy samochodach szybko się uściśniły.

– Kolejna impreza odhaczona – powiedziała Lizzie.

– Teraz trzeba się zacząć szykować na przyjęcie urodzinowe pani Bradford.

Albo na wesele Gin – pomyślała Lizzie.

Tyle dobrego, że nie będzie to rocznica ślubu Lane'a.

– To co? Widzimy się jutro? – rzuciła Lizzie.

– W niedzielę? O, nie! – zaśmiała się Greta. – Jutro cisza na morzu, cisza w kościele, kto do pracy przyjdzie, ten będzie ciele!

– Jasne, jasne! Przepraszam, mózg mi się zlasował. Widzimy się w poniedziałek!

– Dojedziesz jakoś do domu?

– Pewnie!

Pomachały sobie, a potem Lizzie wsiadła do swojego samochodu i ustawiła się w długiej kolejce pojazdów zmierzających ku bramie dla personelu.

Gdy skręciła w lewo przy River Road, początkowo niewinna mżawka przeszła w regularny deszcz. Nagłe oberwanie chmury przypomniało Lizzie o wyścigu. Cholera, wszystko przegapiła. Sięgnęła do radia, włączyła je i przez chwilę walczyła z pokrętem, żeby znaleźć miejscową stację. Zanim natrafiła na podsumowanie derby, zdążyła już wjechać na most nad rzeką Ohio.

Nie wysłuchała jednak tej relacji, i to wcale nie tylko dlatego, że właściwie niespecjalnie interesowała się wyścigami.

Marszcząc brwi, pochyliła się nad kierownicą.

– Słodki Jezu...

Przed nią na horyzoncie niebo aż poczerniało, a wysoko na niebie przesuwwały się groźne chmury burzowe. Co gorsza, wszystkie miały zielonkawy odcień, a nawet okiem laika łatwo było zauważyć ich ruch wirowy.

Obejrzała się za siebie. Z tyłu nic ciekawego się na niebie nie

działo. Widać było nawet pasmo błękitu.

Włożyła rękę do torebki i wydobyła telefon. Wybrała numer rezydencji. Gdy w słuchawce odezwał się głos angielskiego kamerdynera, powiedziała:

– Nadciąga nawałnica. Będzie trzeba...
– Pani Lizzie King? – spytał pan Harris.
– Trzeba zabezpieczyć okolice basenu oraz donice...
– Ale nie zapowiadano żadnej „nawałnicy”. W prognozie pogody wyraźnie podano, że dziś wieczór można się spodziewać co najwyżej przelotnych opadów.

Patrząc na błyskawicę przecinającą kłębowisko chmur, Lizzie pomyślała, że i tak nieźle jej poszło, bo przecież już od niemal godziny była z tym człowiekiem w komitywie.

– Pieprzyć prognozę pogody! Mówię panu, co mam przed oczami. Ponad rzeką przesuwa się właśnie potężna chmura, większa od centrum Charlemont. A pierwsze, co ta chmura napotka na swojej drodze, to wzgórze Easterly.

Cholera, czy aby pozamykała okna na swojej farmie?

– Nie zdawałem sobie sprawy, że jest pani tak wprawnym meteorologiem – rzucił cierpko pan Harris.

A pan jest zwykłym kutasem – pomyślała Lizzie.

– W porządku. Ale jak będzie już po wszystkim, wyjaśni pan naszym pracodawcom kilka kwestii. Po pierwsze, dlaczego zerwał się daszek nad basenem. Po drugie, dlaczego cztery donice stojące po zachodniej stronie tarasu się przewróciły, przez co trzeba będzie przesadzić rosnące w nich rośliny. Po trzecie, gdzie wylądowały meble ogrodowe, bo jeśli nie dopilnuje pan, żeby je zamknięto w domku przy basenie, to polecą prosto przez rabatki. A to już zresztą punkt czwarty, mianowicie wyjaśni pan, na kiedy uda się przywrócić do porządku zniszczony bluszcz, róże herbaciane oraz hortensje. Może pan też od razu wypisać Bradfordom czek na siedem tysięcy dolarów, żeby pokryć wszystkie zakupy ogrodnicze potrzebne do naprawienia szkód.

Tik-tak, tik-tak...

– Może pani powtórzyć punkt drugi? – spytał niepewnie pan Harris.

Bravissimo, misiaczku.

Lizzie wyłuszczyła mu po kolei wszystkie zasady postępowania w takich sytuacjach, które wypracowali wraz z Gretą i Garym McAdamsem przez lata, zabezpieczając wiosną i jesienią teren posiadłości przed burzami. Problem polegał na tym, że wcale nie trzeba było tornada o sile EF5, aby narobić sporego bałaganu w ogrodzie. Często zwykłe burze potrafiły spowodować całkiem spore zniszczenia, jeśli towarzyszył im silny wiatr.

Była to jedna z wielu umiejętności, które musiała szybko zdobyć, gdy przyjechała do Charlemont...

W tym właśnie momencie wjechała w potężną ścianę deszczu, który zaczął walić o przednią szybę samochodu, jakby stepowała po niej cała grupa tancerzy, do werbli wybijających rytm hymnu USA.

Ustawiła na całą parę wycieraczki i zdjęła stopę z gazu, bo maleńkim kołom jej toyoty zdarzało się wpadać w poślizg na autostradzie nawet przy najmniejszej kałuży.

– Wszystko pan zrozumiał? – spytała. – Bo muszę się teraz rozłączyć i jakoś przez to cholerstwo przejechać.

– Tak, tak. Oczywiście... O Boże... – szepnął pan Harris.

– Czyli już widzi pan tę chmurę? Niech się pan lepiej pospieszy. Dobrej zabawy – dodała w myślach.

– W samej rzeczy. Istotnie.

Lizzie się rozłączyła i wrzuciła telefon z powrotem do torebki. Potem pochyliła się nad kierownicą, mocno ją ścisnęła i zaczęła błagać opatrność, żeby jakiś idiota popisujący się mocą swojego SUV-a nie zepchnął jej z autostrady.

Sytuacja stawała się z minuty na minutę coraz gorsza.

Jezu, po tak długim dniu pracy naprawdę nie potrzeba jej było strug wody ograniczających widoczność do dwóch metrów, a do tego przerażających grzmotów i błyskawic. Pogoda najwyraźniej próbowała odzwierciedlać nastroje panujące w rodzinie Bradfordów – zupełnie jakby spiętrzone tam emocje znalazły jakieś ujście w atmosferę.

No dobra, może trochę przesadziła z tym porównaniem.

Ale jednak.

Zajęło jej wieki, zanim dotarła do zjazdu z autostrady. A potem

jeszcze kilka epok, zanim przebiła się do swojego podjazdu. Tymczasem nawałnica zamieniła się w Serię Strasznych Nawałnic. Grzmoty ryczały przeraźliwie, skrzące się i skwierczące błyskawice zdawały się celować prosto w jej samochód, a w pewnym momencie obsypał go grad wielkości piłek bejsbolowych. Z dłońmi sztywno zaciśniętymi na kierownicy, wściekła, obolała i pełna obaw o Lane'a, w końcu dojechała do domu, ledwo żywa...

Palec Boży.

To jedyne, co jej przyszło do głowy.

Już miała zaparkować w swoim zwyczajowym miejscu koło domu, gdy nagle z nieba wyskoczyła poszarpana linia pioruna, który strzelił w sam czubek jej pięknego, wielkiego drzewa.

Posypały się iskry, jak fajerwerki na Święto Niepodległości.

– Nieee!!! – krzyknęła Lizzie, z całej siły naciskając hamulec.

Ale przecież opony jej toyoty słabo się trzymały nawet suchego podłoża. Hamowanie zaś na mokrej drodze gruntowej przypominało raczej zapasy w błocie.

Wówczas się zorientowała, że Lane jest już u niej w domu. Bo wjechała prosto w tył jego porsche.

Lane już od dwóch godzin siedział przy kuchennym stole Lizzie i czytał raporty finansowe rodzinnej firmy, kiedy nadciągnęła burza. Gdy w domu rozległo się dudnienie deszczu, a na zewnątrz pojawiły się pierwsze grzmoty i błyskawice, nawet nie podniósł wzroku znad laptopa, choć w starych oknach drżały szyby, a belki dachowe trzeszczały.

Liczba danych była przytłaczająca.

Pomału wpadał w panikę, widząc, że potrafi zrozumieć ledwie niewielką ich część.

Z drugiej strony wykazał się cholerną naiwnością, sądząc, że ogarnięcie poczynąń ojca przyjdzie mu bez trudu. Pomijając już sam ogrom informacji, nie miał wystarczającego doświadczenia w księgowości, żeby to wszystko przeanalizować.

Na szczęście Edward przygotował się na taki rozwój wydarzeń, konfigurując te fikcyjne konta, kody i skrzynki. Gdyby tego nie zrobił, nie zdołaliby w tak niezauważony sposób wydobyć tych wszystkich informacji, tak żeby nie uruchomić przy okazji jakichś czujników

bezpieczeństwa.

Zresztą na to też należy być przygotowanym.

Czort jeden wie, ile mają czasu, zanim ojciec zorientuje się, że nastąpił poważny wyciek danych z systemu.

Lane zrobił sobie przerwę, oparł się na krześle i potarł oczy. Wówczas właśnie nadeszła druga fala nawałnicy. Może właśnie dzięki tej wymuszonej przez piekące spojówki chwili odpoczynku, a może dlatego, że zawierucha była już naprawdę potężna, w każdym razie nagle zdał sobie sprawę, że farma Lizzie znalazła się w centrum chaosu.

Zerwał się na równe nogi. Zaczął biegać po domu i zamykać wszystkie okna na dole i na górze. Gdy tak latał od pokoju do pokoju, serie błyskawic rozświetlały wnętrza szaleńczym stroboskopowym światłem, a na podłodze, meblach i pianinie wciąż pojawiały się nowe, ostre cienie. Niebo zrobiło się już niemal tak ciemne, jak w środku nocy, a w okoliczne pola wciąż waliły z nieba poszarpane pioruny. Lane miał wrażenie, że znalazł się w strefie wojennej.

Zdażył już zapomnieć, jak gwałtowne bywają te zmierzające zawsze na wschód wiosenne burze, wynikające ze zderzenia gorących i zimnych mas powietrza i hulające swobodnie po bezkresnych płaskich terenach uprawnych Środkowego Zachodu.

Wrócił na parter, zerknął na werandę i zaklął. Wiklinowe stoliki i fotele bujane przemieszczały się bezładnie, podrywane kolejnymi podmuchami wiatru.

Gdy podszedł do drzwi i lekko przekręcił klamkę, mocny podmuch otworzył je z impetem, wpychając je do środka. Lane wyszedł na zewnątrz. Musiał mocno ciągnąć, żeby znów je zamknąć. Łapał, co tylko mógł, i przesuwał w kąt werandy najmniej narażony na wściekły atak wichury.

Właśnie wracał po ostatni leżak, kiedy zobaczył światła samochodu zjeżdżającego z głównej szosy. To musiała być ona – cieszył się, że wróciła do domu. Miał do niej zadzwonić albo wysłać wiadomość, sygnały dymne lub gołębia pocztowego, ale jakoś się zafiksował na...

Wszystko stało się nagle, w jakiejś dziwnej kombinacji zwolnionego tempa i prędkości światła. Trzask pioruna spadającego z nieba wprost nad domem Lizzie, potężny huk i eksplozja światła.

Wielki jak szyna kolejowa konar drzewa odłamał się od pnia i runął w dół.

Właśnie w chwili, gdy pod drzewem stanął samochód Lizzie.

Na dźwięk miażdżonego metalu serce Lane'a zamarło.

– Lizzie! – wrzasnął, rzucając się pędem z werandy.

Deszcz siekł go po twarzy, a wiatr szarpał ubranie niczym sfora wściekłych psów, Lane jednak pędził na oślep przez kałuże.

„Śmierć zawsze przychodzi trójkami”.

– Nie! – krzyczał pośród wiatru. – Nieee!

Jej toyota yaris była zmiażdżona ciężkim konarem: dach się zapadł, a maska mocno wgięła. Całe życie przeleciało mu przez oczami, gdy bosymi stopami ślizgał się po błocie. Wszędzie leżały gałęzie zieleniące się wiosennymi listkami, co tym bardziej ograniczało widoczność, i tak już niewielką ze względu na wiatr i deszcz. Tymczasem dookoła wciąż szalały błyskawice i grzmoty, jakby nic szczególnego się nie zdarzyło.

– Lizzie!

Wskoczył w mokre listowie, rozgarniając je palcami. Nawet pośród wichury czuł zapach benzyny i oleju i słyszał syk śmiertelnie rannego silnika.

Może wskutek wilgoci nie dojdzie do wybuchu?

Lane zmienił taktykę i zaczął się wspinać po karoserii, aż wdrapał się na dach. W końcu wyczuł pod palcami coś gładkiego i mokrego. Zaczął walić w blachę, żeby dać Lizzie znać, że tam jest.

– Lizzie! Zaraz cię stamtąd wyciągnę!

Gwałtownymi ruchami rozgarniał gałęzie i liście, aż w końcu znalazł przednią szybę. Była pęknięta i wygięta do wewnątrz, ale ciągle się jeszcze trzymała – dopóki nie walnął w nią pięścią i nie władował się w powstałą w ten sposób dziurę.

Lizzie leżała w poprzek samochodu, z głową na siedzeniu pasażera. Machała rękami, jakby próbowała odzyskać równowagę. Obie poduszki bezpieczeństwa wystrzeliły, a powietrze w samochodzie było suche jak kreda, co mocno kontrastowało z szalejącą wokół ulewą.

– Lizzie!

Dobrze, że przynajmniej się rusza.

Jasna cholera! Nie było mowy, żeby udało mu się otworzyć

którekolwiek drzwi. Musiał wydobyć ją przez okno. Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy.

– Lizzie?

Zamrugła. Miała krew na czole.

– Lane?

– Pomogę ci. Zabiorę cię stąd. Czy coś ci się stało? Jak twoja szyja? Kręgosłup?

– Przepraszam, że wjechałam... w twój samochód...

Na ułamek sekundy zamknął oczy i zmówił modlitwę. Potem zaś wziął się znów do działania.

– Będę cię musiał wyciągnąć.

Wcisnął się jeszcze dalej w głąb samochodu. Udało mu się dosięgnąć zapięcia pasów bezpieczeństwa i je odblokować. Potem zaś złapał Lizzie za ramiona...

I zamarł.

– Lizzie? Posłuchaj... Na pewno nic ci nie jest? Możesz poruszać rękami i nogami? – Nie słysząc odpowiedzi, poczuł nagłą falę paniki. – Lizzie? Lizzie!

Edward był znów w Charlemont, ale w ogóle go nie interesowało, jak poradził sobie w zawodach jedyny ostatecznie wystawiony przez niego koń. Zresztą nie dotarł nawet na tor wyścigowy.

Postanowił za to spróbować sił w nowej roli. Tropicielea i prześladowcy.

Siedział za kierownicą pikapa oznaczonego logo stadniny Red & Black i patrzył przez szybę pasażera na ogromną ceglana rezydencję, przed którą zaparkował.

Zbudowane na początku dwudziestego wieku gmaszysko w stylu neokolonialnym było jeszcze większe od rezydencji Bradfordów – i o to właśnie chodziło. Suttonowie już od niemal stulecia borykali się wówczas ze statusem parweniuszy, a kiedy ich fortuna wreszcie przewyższyła wartość majątku Bradfordów, zbudowali ten dom jako świadectwo swojego triumfu. Pod potężnym dachem mieściło się dwadzieścia lub trzydzieści sypialni oraz rozległa sieć pomieszczeń pracowniczych. Było to właściwie miasto w mieście, położone na drugim co do wielkości wzgórzu w Charlemont, z prawie tak wspaniałym widokiem na rzekę jak Easterly i z prawie tak samo pięknym ogrodem.

Trzeba jednak przyznać, że rozmiarem przebili Bradfordów.

To samo dotyczyło ich destylarni, o jedną trzecią większej od zakładu rywali.

Edward pokręcił głową i zerknął na tani zegarek, który ostatnio nosił. Jeśli Sutton trzyma się swoich wcześniejszych obyczajów, niedługo się zjawi.

Przynajmniej tyle dobrego, że nie nękał go żaden strażnik w uniformie z ujadającym owczarkiem na smyczy. Rodzinną rezydencję Sutton Smythe ochraniano nie mniej pilnie niż Easterly, ale Edward miał dwa bardzo poważne atuty. Po pierwsze, napis na samochodzie: logo Red & Black stanowiło odpowiednik królewskiej pieczęci – nawet gdyby był seryjnym zabójcą i zaparkował przed budynkiem sądu w centrum miasta, prawdopodobnie policja by się nim nie zajęła. Po drugie, właśnie zakończyło się derby. Wszyscy z pewnością wciąż

jeszcze rozmawiają o wyścigu, kalkulują zakłady i wciąż na nowo przeżywają te wielkie emocje.

Już niedługo. Wkrótce Sutton dotrze do domu.

Kiedy Lane już odwiózł go na farmę, Edward wziął trochę leków i się napił. A potem jeszcze raz przeczytał dokumenty dotyczące pożyczki hipotecznej i... wytrzymał dziesięć minut, zanim złapał torebkę Sutton, pokuśtykał na zewnątrz i wsiadł do jednego z pikapów stadniny.

Moe, Shelby i pozostali pracownicy stajenni byli na torze wyścigowym wraz z końmi i ich trenerami. Odjeżdżając, Edward pomyślał, że trochę szkoda tracić tę ciszę i spokój, jakie wyjątkowo panowały w stadninie – ale musiał tę sprawę załatwić osobiście.

Zaczął padać deszcz: najpierw pojedyncze krople, potem lekka mżawka.

Edward ponownie spojrzął na zegarek.

Trzydzieści minut. Mógł się założyć, że Sutton będzie pod domem za trzydzieści minut. Choć większość spośród dwustu tysięcy widzów zebranych na torze Steeplehill Downs czekał długi marsz do miejsc, gdzie pozostawili samochody, a następnie stanie w korkach, żeby się dostać na autostradę, ludzie pokroju Bradfordów czy Suttonów mieli do dyspozycji eskorty policji zapewniające im szybki przejazd w obie strony tylnymi drogami.

Okazało się, że miał rację.

Jakieś dwanaście i pół minuty później przed dom zajechał jeden z czarnych bentleyów Suttonów. Z miejsca kierowcy wyskoczył szofer, który przeszedł ku tylnym drzwiom, rozkładając parasol. Pracownik ochrony zrobił to samo po drugiej stronie samochodu.

Z tylnego siedzenia pierwszy wyłonił się ojciec Sutton, który musiał skorzystać z ramienia oferowanego mu przez szofera, żeby przejść do domu.

Sutton wysiadła powoli z drugiej strony, nie spuszczać wzroku z pojazdu Edwarda. Porozmawiała chwilę z kierowcą, wzięła od niego parasol i podeszła do pikapa, nie zważając na to, że właśnie niszczy sobie szpilki.

Gdy się zbliżała, Edward opuścił szybę. Podeszła do niego, a on starał się nie zwracać uwagi na zapach jej perfum.

– Wsiadaj – powiedział, nawet na nią nie patrząc.

– Edward...

– Myślisz, że będę z tobą dyskutował o podpisanych przez ciebie dokumentach tu, w twoim domu? Albo nawet przed nim?

Rzuciła niegodne damy przekleństwo, a potem przeszła przed maską pikapa. Edward stęknął, próbując sięgnąć do drzwi, żeby po dzentelmeńsku jej otworzyć, ale go uprzedziła – zresztą ciało i tak nie pozwoliłoby mu się aż tak wyciągnąć.

Zajmując miejsce, zamarła na chwilę, gdy dostrzegła swoją torebkę.

Edward mruknął, uruchamiając silnik:

– Uznałem, że pewnie przyda ci się jeszcze prawo jazdy.

– Za czterdzieści pięć minut muszę być na balu – powiedziała, gdy ruszyli ze wzgórza.

– Przecież nie cierpisz takich imprez.

– Jestem z kimś umówiona.

– Naprawdę? Gratulacje. – Przez jego głowę błyskawicznie przeleciała fantazja rodem z telewizyjnego serialu: że ją porywa i nie pozwala jej uczestniczyć w balu, aż w końcu rozwija się w niej syndrom sztokholmski i Sutton zakochuje się w swoim porywaczu. – Kto to taki?

– Nie twoja sprawa.

Edward skręcił w lewo i jechał dalej.

– Czyli kłamiesz.

– Sprawdź rubrykę towarzyską jutro rano – odcięła się znudzonym głosem. – Wszystko dokładnie opiszą.

– Nie czytuję już „Charlemont Courier Journal”.

– Słuchaj, Edward...

– Co ty, do diabła wyprawiasz?! Bierzesz sobie, kurwa, w zastaw mój rodzinny dom?

Choć na nią nie patrzył, wyczuwał jej lodowaty wzrok wbity w swoją twarz.

– Po pierwsze, twój ojciec sam mi to zaproponował. Po drugie, jeśli będziesz do mnie mówił tym tonem, zajmę tę nieruchomość przy pierwszej okazji. Ot tak, dla zasady.

Edward rzucił jej wściekłe spojrzenie.

– Jak mogłabyś to zrobić? Aż taka jesteś chciwa?

– Stopy procentowe są bardzo przyzwoite. Wolałbyś, żeby ojciec poszedł z tym do banku, gdzie wszystko by podano do wiadomości publicznej? Ja zachowam pełną dyskrecję, pod warunkiem że spłaty będą dokonywane na czas.

Edward wymierzył palec wskazujący w plik dokumentów leżący na siedzeniu między nimi.

– Chcę, żebyś to anulowała.

– Nie jesteś tutaj stroną. A twój ojciec chyba naprawdę potrzebuje pieniędzy. W przeciwnym razie nie zgłaszałby się do mnie.

– To dom mojej matki!

– Wiesz, na twoim miejscu raczej bym komuś takiemu jak ja podziękowała. Nie wiem, co tam się u was dzieje, ale dla zacnego rodu Bradfordów kwota dziesięciu milionów nie powinna stanowić problemu.

Edward skręcił gwałtownie w lewo i wjechał do jednego z parków publicznych nad rzeką Ohio. Przejechał pusty parking i zatrzymał się przy przystani. Deszcz przechodził właśnie w burzę, a groźne błyski na niebie jeszcze bardziej podsycaly rozsadzającą go złość.

Wiercił się chwilę w fotelu, obolały. Przełknął jęk.

– On nie potrzebuje tych pieniędzy, Sutton.

Było to oczywiście kłamstwo. Za wszelką cenę należało jednak uniknąć plotek na temat jego rodziny. Choć Sutton go wkurzała, jej mógł przynajmniej zaufać – ale w sprawę z pewnością zaangażowała też innych ludzi: prawników i bankierów. Może przy jakiejś okazji przynajmniej im wybiłaby z głowy wydawanie radykalnych sądów...

– Dlaczego więc to podpisał? – nie dawała za wygraną. – Czemu za wszelką cenę musiał mnie odciągać od moich spraw i przedstawić mi tę propozycję?

Gdy tak mu się odcinała, przeleciał mu przez głowę jej obraz z poprzedniego wieczoru: gdy siedziała okrakiem na jego biodrach i kołysała się, delikatnie pieszcząc jego zniszczone ciało.

Potem zaś przypomniał sobie, jak ojciec przystawiał się do niej w biurze.

Czy można sobie wyobrazić bardziej popapraną sytuację? – zastanawiał się, czując, jak narasta w nim nienawiść do ojca.

Spojrzał na jej usta i pomyślał o żonie swojego brata.

– Czy on cię całował?

– Słucham?!

– Ojciec. Czy kiedykolwiek cię pocałował?

Sutton z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Może trzymajmy się tematu pożyczki hipotecznej, co?

– Odpowiedz na pytanie, do cholery!

Wyrzuciła dłonie w górę.

– Widziałeś mnie przecież z nim w biurze. Jak ci się więc wydaje?

Czyli ją całował – pomyślał Edward, nieprzytomny ze złości.

– Słuchaj – mówiła dalej. – Nie wiem, co się dzieje w waszej rodzinie ani dlaczego twój ojciec tak pograł. Wiem natomiast, że to dla mnie atrakcyjna propozycja. Uznałam też, że może wam to pomóc. Pewnie byłam głupia, ale sądziłam, że jeśli zachowam w tej sprawie dyskrecję, wyjdziecie na tym z korzyścią.

Edward przez chwilę milczał, a potem mruknął:

– No cóż, jesteś w błędzie. I dlatego chcę, żebyś podała tę umowę.

– Twój ojciec ma swoją kopię – zauważyła sucho. – Może z nim porozmawiasz?

– Zawarł z tobą umowę, ponieważ mnie nienawidzi. Ten kutas dobrze wie, że jesteś ostatnią osobą na świecie, u której chciałbym, żeby moja rodzina była zadłużona.

To przynajmniej jest prawda – pomyślał, widząc jej wzburzenie. Bóg mi świadkiem, że i bez tego czułbym się przy niej jak karykatura mężczyzny.

Sutton aż się wzdrygnęła, rażona słowami Edwarda. Chciała ukryć swój szok, ale nie zdołała.

Duma kazała jej jakoś mu się odgryźć, ale w jej głowie tłoczyło się tak wiele wściekłych ripost, że w końcu tylko wbijała wzrok we wzburzony, błotnisty nurt rzeki.

Włączone wycieraczki raz na jakiś czas odgarniały wodę z szyby, dzięki czemu przez chwilę dawało się wyraźnie dostrzec przeciwległy brzeg. Zabawne – przecież takie właśnie jest poniekąd życie: idziesz przed siebie i zajmujesz się codziennymi drobnymi sprawami, nie zwracając uwagi na krajobraz dookoła, aż nagle wszystko się

krystalizuje i na twoich oczach układa się na chwilę w obraz, dzięki któremu uświadamiasz sobie, w jakim właściwie punkcie się znajdujesz.

Sutton odchrząknęła, ale niewiele jej to pomogło, bo gdy się odezwała, głos miała wciąż zachrypnięty:

– Wiesz, chyba nigdy nie zrozumieć, dlaczego tak nisko mnie cenisz. To naprawdę dla mnie... wielka zagadka.

Edward coś odpowiedział, ale nie zwracała na to uwagi. Mówiła dalej:

– Na pewno przecież wiesz, że już dawno się w tobie zakochałam. Zatkanęło go.

– Na pewno o tym wiesz. Jak mógłbyś nie wiedzieć? Przecież od lat za tobą krążę. Czy to dlatego tak mnie nienawidzisz? – Zerknęła na niego, ale nie mogła dostrzec jego wzroku, oczy bowiem zasłaniała mu czapka z daszkiem; zresztą tak pewnie było lepiej. – Gardzisz mną z tego powodu? Zawsze mi się wydawało, że mnie tolerujesz, ponieważ zakładasz, że moje uczucie może ci się kiedyś do czegoś przydać... Ale może przyczyna jest jeszcze bardziej pokręcona? Sama sobą gardzę za tę słabość. – Skinęła głową na plik papierów. – Przecież te dokumenty doskonale pokazują, jaka jestem żalosna. Z nikim innym nigdy nie zawarłabym takiej tajnej umowy. Ale to pewnie mój problem, a nie twój, prawda? – Znów wbiła wzrok w krajobraz za szybą. – Wiem, że nie lubisz mówić o tym, co się stało w Ameryce Południowej, ale... nie zmrużyłam oka przez cały czas, gdy cię przetrzymywali, a potem jeszcze przez wiele miesięcy miałam koszmary. A ty w końcu wróciłeś do Charlemont i nie chciałeś się ze mną widzieć. Wmawiałam sobie, że po prostu nikogo nie chciałeś oglądać, ale to nieprawda, co?

– Sutton...

– Nie – przerwała mu cierpko. – Nie zamierzam darować wam tej hipoteki. Zrobiłam już przez ciebie sporo głupot, wystarczy.

– Źle to wszystko odczytujesz, Sutton.

– Czyżby? Nie jestem taka pewna. Może na tym poprzestańmy. Bądź tak miły i się łaskawie odpierdol. Ale najpierw zawieź mnie do domu, zanim wezwę policję.

Spodziewała się, że będzie protestował. On jednak po chwili wrzucił wsteczny bieg i zawrócił.

Gdy wracał na główną szosę, studiowała jego ponury profil.

– Módl się lepiej, żeby ten twój ojciec spłacał raty na czas. Bo w przeciwnym razie nie będę się wahać i cała wasza rodzina wyląduje na ulicy. A jeśli myślisz, że nie stanie się to tutaj natychmiast sensacją, grubo się mylisz.

To były ostatnie słowa, jakie padły między nimi podczas podróży powrotnej do jej domu.

Kiedy zajechał przed rezydencję, Sutton zabrała torebkę, którą poprzednim razem zostawiła, i wyskoczyła z pikapa, gdy tylko się zatrzymał.

Była niemal pewna, że Edward jeszcze raz wypowiedział jej imię, gdy się oddalała, ale mogła się mylić.

Co to kogo obchodzi!

Nie otworzyła nawet parasolki, lecz pobiegła w deszczu do drzwi frontowych. Otworzył je kamerdyner.

– Proszę pani! – zawołał z niepokojem. – Czy wszystko porządku?

Szybko zerknęła w wiszące przy drzwiach antyczne lustro i przekonała się, że jej twarz doskonale odzwierciedla jej nastrój: była wykończona i skrajnie przybita.

– Nie czuję się najlepiej. – Przynajmniej nie musiała kłamać. – Czy może pan przekazać Brandonowi Milnerowi, że źle się poczułam i kładę się do łóżka? Miałam dziś wieczorem iść z nim na bal.

Kamerdyner się uklonił.

– Czy zadzwonić po doktora Qalbiego?

– Nie, nie. Jestem tylko ogromnie zmęczona.

– Przyniosę pani tacę z herbatą.

– To bardzo miło, dziękuję – odpowiedziała, choć na myśl o herbacie poczuła mdłości.

Kamerdyner odszedł w stronę skrzydła kuchennego, a Sutton skierowała się ku wyłożonym drewnem drzwiom windy. Na szczęście od razu się otworzyły i mogła natychmiast pojechać na górę. Nie miałyby teraz ochoty spotkać na swojej drodze ojca lub brata.

Wysiadła z windy i zdjęła buty. Cichutko szła długim korytarzem, aż wsunęła się do swojej sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Zamknęła oczy, ale w jej głowie wciąż rozbrzmiewał głos Edwarda.

„Ten kutas dobrze wie, że jesteś ostatnią osobą na świecie, u której chciałbym, żeby moja rodzina była zadłużona”.

Nie do wiary.

W sumie to nawet zabawne. Pomimo majątku, władzy, poważania i służalczych spojrzeń dookoła wciąż pozwalała się ustawiać w roli zrozpaczonego dziecka.

Wystarczyło, że przez chwilę przebywała w zamkniętej przestrzeni z Edwardem Baldwinem.

Przez dziesięć minut.

Nigdy więcej – obiecała sobie. Musi natychmiast skończyć z tą niezdrową obsesją na punkcie tego człowieka.

Gdzieś z tyłu głowy nurtowała ją czasem myśl, czy on też nie zwalcza jakiejś własnej obsesji na jej punkcie i czy to nie wielowiekowa rywalizacja ich rodzin powstrzymuje go przed wykonaniem jakiegoś ruchu. Ale najwyraźniej była to tylko nieuzasadniona projekcja, jakaś romantyczna fantazja zrodzona z jej własnych uczuć.

Był dla niej miły wyłącznie wtedy, gdy sądził, że jest prostytutką, którą zamówił i opłacił.

Teraz jednak rzeczywistość ukazała się w pełnej krasie. Jakby Edward stanął przed nią z otwartym transparentem, który nie pozostawiał jej już żadnego pola do błędnej interpretacji.

Może i była żalosna. Ale na pewno nie głupia.

Bokserki cios prosto w głowę.

Opadając w bok w rozbitej toyocie, Lizzie poczuła się tak, jakby ktoś jej przywalił pięścią w głowę. I to nie byle kto, tylko jakiś mistrz świata w boksie lub zmutowany superbohater – albo przynajmniej Arnold z czasów swojej świetności. Lub też oni wszyscy jednocześnie.

Po tym ciosie słabo kontaktowała i niezbyt już potrafiła połączyć ze sobą fakty – że wjechała w samochód Lane'a, że ma wodę na twarzy i że otacza ją wściekły hałas.

– Lizzie!

Na dźwięk swojego imienia nieco oprzytomniała i zaczęła się rozglądać, zastanawiając się, dlaczego Bóg mówi do niej głosem Lane'a.

– Lane? – spytała, mrugając z niedowierzaniem.

Dlaczego on wchodzi przez szybę? Czy to jakiś sen?

– ...ci się stało? – mówił. – Muszę wiedzieć, zanim cię stąd ruszę.

– Przepraszam, że wjechałam... w twój samochód...

– Lizzie, powiedz, czy nic ci nie jest!

O rany, kiedy się denerwuje, ma naprawdę silny południowy akcent – pomyślała. A potem zmarszczyła brwi. Czy nic jej nie jest? A dlaczego miałyby...

Wówczas dopiero zobaczyła wokół siebie zielone gałęzie. Wewnątrz jej samochodu!

No dobrze, to na pewno jakiś zły sen. Może więc najlepiej będzie, jak mu się podda. Sprawdziła ręce, nogi, wzięła głęboki oddech, poruszyła głową... Wszystko zdawało się działać.

– Nic mi nie jest – wymamrotała. – Co się stało?

– Będę cię musiał wyciągnąć przez szybę. Pomóż mi, jeśli dasz radę, dobra?

– Pewnie, ja...

O, kurczę. Auć!

Starła się jednak ze wszystkich sił jakoś mu pomagać. Nawet jeśli czuła, że zaraz jej coś wypadnie ze stawów albo z oczodołów, zapierała się stopami, o co tylko mogła, i odpychała się, podczas gdy Lane ją ciągnął, a także skręcała ciało, żeby łatwiej się precyzyjnie przesuwać w przód.

Deszcz spływał jej po twarzy, włosach, ubraniu. Cała była podrapana, oślepił ją wiatr.

Ale Lane'owi udało się ją wyciągnąć.

A potem wziął ją w ramiona i przycisnął do torsu, aż poczuła, jak on drży.

– Boże drogi... – wychrypiał. – Chwała Bogu, że jesteś żywa...

Lizzie mocno go obejmowała, wciąż nie rozumiejąc, dlaczego siedzą na drzewie. Jakim cudem samochód mógł wylądować na jej...

Kolejny grom uderzył gdzieś tak blisko nich, że Lizzie aż zaboląły uszy.

– Musimy wejść do środka! – ryknął Lane. – Chodź!

W którymś momencie jej umysł, który cały czas ledwo nadążał za rozwojem wydarzeń, w końcu zaczął lepiej funkcjonować – a to, co wówczas zobaczyła, niemal ją sparaliżowało.

Połowa tego pięknego drzewa, które rosło koło jej domu, spadła na jej toyotę i całkiem ją zgmiotła.

Czyli jednak nie wjechała w samochód Lane'a.

Słyszany przez nią dźwięk gniecionej blachy rozległ się, gdy na maleńką toyotę spadł ten potężny konar.

– Lane... Mój samochód...

Tyle tylko zdołała wykrztusić, zanim wziął ją na ręce i pobiegł z nią do domu. Gdy wskoczył na werandę, wyrwała mu się z uścisku i stanęła jak wryta. Patrząc na swój samochód, uniosła dłoń do twarzy i...

Krew. Ciało miała... całe we krwi.

Nagle zrobiło jej się słabo, aż się zakołysała.

– Lane... Czy ja jestem ranna?

– Do środka! – zakomenderował, całym ciałem kierując ją w stronę drzwi.

Wepchnął ją do domu, a potem z całej siły napierał na drzwi, żeby je z powrotem zamknąć. Gdy Lizzie dobrze się przyjrzała swojemu wybawcy, serce zaczęło jej walić jak oszalałe. On też był cały mokry zakrwawiony.

Ale jakie to miało znaczenie?

Padli sobie w ramiona tak gwałtownie, że przesiąknięte wodą ubrania aż plasnęły. Ich ciała znów się zwały i mocno w siebie wtuliły,

dzieląc się ciepłem,.

– Myślałem, że cię straciłem – szepnął jej do ucha. – Chryste Panie, myślałem...

– Ale mnie ocaliłeś. Ocaliłeś mnie...

Mówili jedno przez drugie, płacząc się, rozgorączkowani tym otarciem się o śmierć. A potem on zaczął ją całować, a ona nie pozostawała mu dłużna.

Ale nagle przerwała i wyrwała się z jego objęć.

– To chyba ty krwawisz, nie ja.

– To tylko draśnięcia.

– O Boże, spójrz na swoje ramiona! I dłonie!

Był mocno pokiereszowany. Nieosłoniętą ubraniem skórę miał całą w szramach zostawionych przez gałęzie, z którymi się szarpał, gdy próbował ją uwolnić. Twarz i szyję też miał pokaleczone.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedział. – Tylko ty mnie obchodzisz.

– Może wezwać do ciebie lekarza?

– Och, proszę cię. To na ciebie spadło drzewo, pamiętasz? W tym momencie zgasło światło.

Lizzie na chwilę zamarła... a potem zaczęła się śmiać tak histerycznie, że aż piekło ją pod powiekami. Nie potrafiła dłużej utrzymać w sobie tak wielu emocji o tak różnych źródłach. Po chwili Lane też zaczął się śmiać. Obejmowali się i odreagowywali całą tę nedorzeczną mieszankę wydarzeń, poczynając od problemów Lane'a z rodziną, poprzez stresujące śniadanie przed derby, aż po ten dość niecodzienny wypadek z udziałem drzewa.

– Pysznic? – spytała.

– Myślałem, że już się nie doczekam tej propozycji.

W zwykłych okolicznościach przeszkadzałyby jej mokre ślady przecinające salon i wiodące po schodach na górę. Ale nie teraz. Jej głowę wypełniały myśli o konarze, który zmiażdżył jej toyotę.

– Naprawdę myślałam, że przywaliałam w twój samochód – powiedziała, gdy weszli już na piętro.

– Nic by się nie stało.

Ach, te uroki bycia Bradfordem – pomyślała Lizzie.

– Na pewno masz jakieś zapasowe porsche.
– Nawet gdyby nie, i tak nie miałyby to znaczenia.
Najważniejsze, że tobie nic się nie stało.

Mocno przytuleni, przeszli przez próg sypialni, kierując się do łazienki. Puściła wodę z prysznica, a Lane zaraz zaczął zdejmować z niej ubranie – rozpinać guziki, rozsuwać zamki, ściągać przylepioną do jej skóry warstwę mokrej i zimnej odzieży.

Na ramionach i udach poczuła gęsią skórę – nie tyle efekt chłodu, co raczej gorącego spojrzenia Lane’a. On zresztą zaraz sam też się rozebrał i dorzucił swoje rzeczy do leżącego na podłodze spletanego stosu odzieży.

– Pod prysznic! – jęknęła, gdy przywarł twarzą do jej szyi, a potem wędrował pocałunkami w górę, aż do ust.

Gdy wchodzili pod ciepły strumień, Lane zaklął. Kiedy jednak woda splukała z niego krew, Lizzie z ulgą stwierdziła, że na jego ciele widać tylko drobne ranki, nic poważnego.

To była zresztą jej ostatnia myśl, bo potem Lane zaczął wędrować dłońmi po jej obmywanych wodą piersiach, a usta mocno przycisnął do jej warg. I znów dopadła ich ta znajoma, nagła fala erotycznej gorączki.

Kocham cię, Lane – mówiła w myślach Lizzie. Znów cię kocham na zabój.

Jakiś czas później, gdy znów włączono światło, a Lane zdążył już dwukrotnie kochać się z Lizzie pod prysznicem i jeszcze raz w jej łóżku, a potem zejść z nią na dół i zjeść ostatnie porcje mrożonej lazanii oraz niemal opróżnić pudełko lodów brzoskwiniowych, by na koniec wrócić na górę i znów się położyć, wszystkie problemy ostatniej doby w końcu do niego wróciły.

Na szczęście Lizzie już spała, a wokół panowała ciemność, nie musiał więc trudzić się robieniem dobrej miny do złej gry.

Gapił się w sufit, a przez głowę przetaczały mu się z łoskotem wszystkie ostatnie zdarzenia, aż nagle zauważył, że horyzont połyskuje już jasnością. Spojrzał szybko na budzik i ze zdziwieniem stwierdził, że minęła już cała noc.

Wysunął się z pościeli, wstał i poszedł do łazienki. Jego ubranie do niczego się już nie nadawało, więc podniósł je tylko z podłogi i wrzucił

do kubła na śmieci, zachowując jedynie bokserki.

Dobre i tyle, żeby w dzień boży nie jechać do domu na golasa.

Wrócił do sypialni i podszedł do śpiącej Lizzie.

– Muszę jechać – powiedział. Zerwała się, nagle obudzona, więc ją utulił, aż znów opadła na poduszkę. – Mam randkę z piękną kobietą. Nie mogę jej odwołać.

Lizzie uśmiechnęła się sennie i marzycielsko, aż nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Pozdrów ją ode mnie.

– Dobrze. – Pocałował ją w usta. – Aha, wieczorem przywiozę ci kolację.

– Mrożoną?

– Nie. Piekielnie gorącą.

Jej uśmiech przeszył go na wskroś, aż zabolgotała mu krew w żyłach a ciało naprężyło się w pełnej gotowości, choć nie było już czasu, żeby zrobić z tego użytek.

– Ko... – Lane ugryzł się w język, wiedząc, że nie spodobałoby jej się takie pożegnanie. – Zobaczymy się o piątej.

– Będę czekać.

Raz jeszcze ją pocałował, a potem ruszył do wyjścia.

– Czekaj, a co z twoim ubraniem? – zawołała za nim.

– Nie aresztuj mnie! Co trzeba, mam zakryte.

Słyszał jej śmiech, schodząc po schodach, a potem otwierając drzwi.

Na widok rozplatanego na pół drzewa spoczywającego na jej zgniecionym samochodzie serce gwałtowniej mu zabiło.

Wziął głęboki oddech i w pierwszym odruchu chciał zadzwonić po Gary'ego McAdamsa, żeby przyjechał usunąć ten konar i zabrał wrak jej samochodu na złomowisko. Ale się powstrzymał. Lizzie nie należała do kobiet, które ucieszyłyby się z tego rodzaju manewrów. Na pewno ma własne kontakty i własny pomysł na załatwienie tego problemu. Sama więc zdecyduje, jaki los czeka jej toyotę.

Znając ją, pewnie będzie próbowała przywrócić auto do życia.

Pokręcił głową i podszedł do swojego porsche, które o mały włos nie podzieliło losu toyoty – zabrakło ledwie pół metra. Lane strzepnął

z maski trochę liści, wsiadł, włączył silnik i powoli ruszył podjazdem, omijając leżące na ziemi gałęzie i błotniste koleiny. Gdy tylko wjechał na asfalt, dał gazu, żeby nadrobić stracony czas. Pędził w stronę Charlemont. Błyskawicznie przeciął most nad rzeką i ruszył na wzgórze Easterly.

W połowie drogi musiał nieco zwolnić, bo z góry zjeżdżał inny samochód.

Był to czarny mercedes. Za kierownicą siedziała zaś jego prawie już eks, w wielkich czarnych okularach i z twarzą zasłoniętą czarną woalką, jakby była w żałobie.

Chantal nawet na niego nie spojrzała, choć na pewno nie miała wątpliwości, z kim się mija.

W porządku. Może fortuna się do niego uśmiechnęła i ta jędza się wyprowadza, co ułatwi zadanie prawnikom. Bóg jeden wie, że on i bez tego ma teraz wystarczająco dużo spraw na głowie.

Lane zostawił samochód przed domem. Wszedł głównymi drzwiami i zatrzymał się, widząc przy schodach bagaże.

Nie należały do Chantal. Ona miała komplet walizek od Vuittona, a te były marki Gucci i opatrzone monogramem RIP.

Richard Ignatius Pford.

Jednego draństwa się pozbędziesz, to wprowadzi się drugie – pomyślał Lane.

Co tej Gin strzeliło do głowy?

Chociaż właściwie znał odpowiedź na to pytanie. Jak na kobietę szczególnie wykształconą i nieposiadającą żadnych zawodowych kwalifikacji, jego siostra miała jeden niezaprzeczalny talent: zdolność zapewniania sobie wygodnego życia.

Wystraszona rodzinnymi kłopotami finansowymi, poszła za radą ojca i chwyciła się najbogatszego durnia w okolicy, tak że cokolwiek by się stało z majątkiem Bradfordów, nie wpłynie to na jej styl życia. Lane miał tylko nadzieję, że siostra nie będzie musiała za to zapłacić zbyt wysokiej ceny. Richard Pford to przecież kawał drania.

Nie mój cyrk, nie moje małpy – pomyślał Lane. Choć ta sytuacja mocno go smuciła, już dawno się nauczył, że Gin trzeba pozwolić iść własną drogą. Właściwie żadna inna strategia nie miała w jej przypadku

zastosowania.

Wbiegł po schodach na górę, poszedł do swojego pokoju, wziął prysznic, ogolił się i włożył garnitur z kory. Dopiero za drugim razem udało mu się odpowiednio zawiązać muszkę

Boże, jak on tego nie cierpiał!

Zszedł na dół schodami dla personelu, przeciął kuchnię i podszedł do drzwi Aurory. Tak jak wcześniej, gdy przyszedł ją odwiedzić, zanim zapukał do drzwi, sprawdził, czy wszystko ma elegancko powpuszczane i pozapinane.

A potem na chwilę zamarł. Z jakiegoś powodu naszła go paniczna obawa, że tym razem Aurora mu nie otworzy. Że będzie walił w te drzwi i czekał, a potem znów walił i czekał... Aż w końcu będzie musiał je wyważyć, tak jak drzwi do gabinetu pani Rosalindy. A w środku znajdzie kolejne ciało...

Drzwi się jednak otworzyły. Aurora spojrzała na niego złowrogo.

– Znów żeś się spóźnił – rzuciła.

Lane aż podskoczył, ale szybko wrócił do siebie.

– Przepraszam. Bardzo przepraszam.

Aurora coś mruknęła i poprawiła na głowie jaskrawoniebieski niedzielny kapelusz. Cały jej strój skrzył się błękitem jak wiosenne niebo: miała też dopasowane kolorystycznie buty i rękawiczki, a do tego torebkę wielkości rakiety tenisowej. Usta pomalowała wiśniową szminką, w uszach miała perłowe kolczyki, które Lane podarował jej przed trzema laty, a na palcu pierścionek z perłą, otrzymany od niego rok wcześniej.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, podał jej ramię, a ona je przyjęła.

Przeszli razem do drzwi frontowych, mijając po drodze pana Harrisa, który miał na tyle wyczucia, żeby ich nie pouczać, które drzwi są przeznaczone dla personelu.

Lane zaprowadził Aurorę do swojego porsche i pomógł jej zająć miejsce po stronie pasażera. Potem przeszedł do drzwi od strony kierowcy, usiadł i włączył silnik.

– Zara się spóźnimy – rzuciła cierpko.

– Dojedziemy na czas. Już ja o to zadbam.

– Nie widzi mi się, jak kto jeździ za szybko.

– To zamknij oczy – powiedział Lane, mrugając do niej porozumiewawczo.

Zdzieliła go po ramieniu i zgromiła wzrokiem.

– Wcaleś nie taki duży, żebyś nie mógł dostać lania!

– Przecież wiem, że chcesz usiąść w pierwszej ławce.

– Tulanie Baldwinie, nie waż mi się łamać prawa!

– Tak jest!

Z przebiegłym uśmiechem nadepnął na gaz, a jego porsche pomknęło w dół wzgórza. Zerknął w stronę Aurory. Siedziała, uśmiechając się sama do siebie.

Przez chwilę czuł, że wszystko jest na swoim miejscu.

Kościół baptystów znajdował się w zachodniej, biedniejszej części Charlemont. Elewacja z białych desek wyróżniała go spośród pobliskich domków uboższych mieszkańców miasta. To jedno miejsce wyglądało idealnie. Począwszy od starannie wypielegnowanych trawników, poprzez świeżo położoną nawierzchnię parkingu, donice z kwiatami przy podwójnych drzwiach wejściowych, aż po boiska do koszykówki znajdujące się na tyłach kościoła – wszystko wyglądało tak czysto i lśniaco jak obrazek z pocztówki z lat pięćdziesiątych.

A na dwadzieścia minut przed dziewiątą w niedzielę roilo się tam od wiernych.

Gdy tylko Lane wjechał na parking, ludzie rzucili się witać go tak szybko i tak licznie, że musiał natychmiast zwolnić. Opuścił szyby po obu stronach samochodu, a potem ścisnął dłonie, wołał znajomych po imieniu, przyjmował zaproszenia na wspólne mecze. Zaparkował na tyłach świątyni, wysiadł i podszedł do drzwi od strony pasażera, żeby podać rękę Aurorze. Poprowadził ją na chodnik biegnący wzdłuż muru kościoła.

Wszędzie były dzieci – dziewczynki w sukienkach z falbankami, chłopcy w garniturkach. Iskrzyły się kolorami niczym pudełko kredek, a zachowywały się znacznie bardziej przyzwoicie niż niejeden dorosły bywalec bankietów w Easterly. Wszyscy, ale to dosłownie wszyscy zatrzymywali się, żeby porozmawiać z nim i z Aurorą. Witali się i pytali, co słyszą. Dopiero podczas tej serii powitań Lane zdał sobie sprawę, jak bardzo mu brakowało tej społeczności.

Zabawne, że choć sam nie chodził nigdy do kościoła, ilekroć bywał w domu, nigdy nie opuścił okazji, żeby przyjechać tu z Aurorą.

W środku siedziało już chyba z tysiąc osób – wierni wypełniali całe rzędy ławek. Wszyscy rozmawiali, śmiali się i ściskali. Jeszcze nie rozstawiono wiatraków, ale wkrótce miała przyjść na nie pora – zwykle wyciągano je w czerwcu. Z przodu czekał zespół z gitarami elektrycznymi, basami i perkusją, obok zaś stał podest dla chóru gospel. Ponad wszystkim zaś, jakby łącząc całą kongregację bezpośrednio z niebiosami, górowały potężne organy, sprawiające wrażenie, że ich

dźwięk mógłby otworzyć z impetem drzwi i okna, a nawet zerwać dach. Brakuje tu Maxa – pomyślał Lane.

Jego brat przez wiele lat śpiewał w chórze, zanim wyjechał na studia. Teraz jednak wyglądało na to, że już nigdy do tego nie wróci.

Znalazło się dla nich miejsce w drugim rzędzie – siedmioosobowa rodzina musiała się w tym celu nieco ścieśnić.

– Ogromnie dziękuję. – Lane uściśnął dłoń ojca rodziny. – Zaraz, czy pan nie jest bratem Thomasa Blake’a?

– Zgadza się – padła odpowiedź. – Jestem Stan, ten starszy. A pan jest wychowankiem pani Aurory.

– Tak jest.

– Gdzie się pan podziewał? Dawno tu pana nie widzieliśmy.

Aurora uniosła znacząco brew, a Lane odchrząknął.

– Byłem na Północy – odparł.

– Wyraży współczucia – odparł Stan. – Dobrze chociaż, że pan wrócił.

– Tam to moi siostrzeńcy – powiedziała Aurora, wskazując ławkę po drugiej stronie – D’Shawne gra tera u tych Indiana Colts jako skrzydłowy. A obok niego masz Qwentina, to środkowy u tych tam Miami Heat.

Obaj patrzyli prosto na Aurorę. Lane uniósł dłoń.

– Pamiętam, jak grali na studiach. Qwentin był jednym z najlepszych środkowych, jakimi kiedykolwiek dysponowały „Orły”, a ja sam jeszcze grałem, gdy D’Shawne pomógł nam wygrać rozgrywki ogólnokrajowe.

– Dobrze chłopaki.

– W twojej rodzinie są sami dobrzy ludzie.

Rozbrzmiały organy i zaczęła grać orkiestra. Do kościoła weszli ubrani w karmazynowe szaty chórzyci: pięćdziesiąt osób szło główną nawą, śpiewając pieśń procesjonalną. Na końcu kroczył pastor Nyce, z Biblią przy piersi – wysoki, nobliwy mężczyzna, który patrzył prosto w oczy swoim wiernym i witał ich ze szczerą sympatią. Gdy zobaczył Lane’a, wyciągnął do niego rękę i uściśnął mu dłoń.

– Cieszę się, że znów cię widzę, synu.

Gdy nadszedł czas, żeby zająć miejsca, Lane’a dopadło nagle

bardzo dziwne uczucie. Mocno zaniepokojony sięgnął po dłoń Aurory. Nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o konarze drzewa, który runął na ziemię poprzedniego wieczoru. Nie umiał wymazać z pamięci widoku Lizzie leżącej bezwładnie w swoim samochodzie. Wspominał ten dojmujący strach, który czuł, gdy pośród strug deszczu wciągał się po gałęziach, krzycząc imię Lizzie.

Zespół zaczął grać jego ulubioną pieśń gospel. Lane spojrzął na krzyż wiszący nad ołtarzem i pokręcił głową.

Musiała być akurat ta, to oczywiste – pomyślał.

Miał wrażenie, że cały kościół wita go ponownie w domu.

Wstał z ławki i razem z Aurorą zaczął się kołysać wraz z falującym tłumem: w przód i w tył, w przód i w tył.

Ku własnemu zaskoczeniu zaczął też śpiewać razem ze wszystkimi: „Musisz wiedzieć, że Bóg wciąż o mnie dba...”.

Półtorej godziny później nabożeństwo się zakończyło i wszyscy zaczęli schodzić do podziemia na część nieoficjalną: poncz, ciasteczka rozmowy.

– Chodźmy na dół – powiedział Lane.

Aurora jednak pokręciła głową.

– Trza mi wracać do domu, robota czeka. Zmarszczył brwi.

– Ale przecież zawsze...

Ugryzł się w język. W Easterly nie było nic takiego, czym należałoby się pilnie zająć. Jedynym wyjaśnieniem postawy Aurory mogło być jej samopoczucie – a w takim razie może należało wezwać pogotowie?

– Nie patrz tak na mnie, synku – mruknęła. – Nie trza mi lekarza, a zresztą nie widzi mi się umierać tu w kościele. Pan Bóg nie da, żeby tych tutaj dobrych ludzi spotkało coś takiego.

– Chodź, oprzyj się na moim ramieniu.

Niespiesznie ruszyli przez tłum – chociaż Lane zdecydowanie wolałby zarzucić ją sobie na plecy i puścić się pędem ku wyjściu. Tymczasem jednak w połowie drogi musieli się zatrzymać, żeby zamienić kilka słów z Qwentinem i D’Shawne’em oraz siedemnastoma innymi członkami rodziny Aurory. W normalnych okolicznościach

bardzo chętnie by sobie z nimi pogawędził... ale nie dziś. Nie chciał zachować się niegrzecznie, lecz czuł, że Aurora całym ciężarem wisi mu na ramieniu.

Gdy w końcu wyszli z kościoła, powiedział:

– Zaczekaj tu. Podprowadzę samochód. Nie, nie ma dyskusji.

Od razu daj sobie spokój.

Miał wręcz nadzieję, że Aurora zacznie się z nim kłócić, a gdy tego nie zrobiła, rzucił się biegiem ku dalekiemu krańcowi parkingu.

Zajeżdżając samochodem przed kościół, niemal się spodziewał, że zastanie Aurorę nieprzytomną.

Ona jednak rozmawiała sobie z niezwykle dostojną, szczupłą kobietą o twarzy Nefretete, ubraną w skromny czarny kostium i w okularach bez oprawek, przez które patrzyła bystrym wzrokiem. O rany – pomyślał Lane. To dopiero powrót do przeszłości. Wsiadł z samochodu.

– Tanesha?

– Cześć, Lane! Co słyszeć? Dobrze cię widzieć! Tanesha Nyce była najstarszą córką pastora. Uścisnęli się, a Lane pokiwał głową.

– Ciebie też dobrze widzieć. Jesteś już lekarką?

– Mam teraz staż tutaj, na Uniwersytecie Charlemont.

– Jaka specjalizacja?

– Onkologia.

– Ta jej praca to wielkie Boże dzieło – powiedziała Aurora.

– Co tam u Maxa? – spytała Tanesha.

Lane odchrząknął.

– Nie mam pojęcia. Nie rozmawiałem z nim, odkąd wyjechał na zachodnie wybrzeże. Znasz go przecież. Nikt za nim nie nadaża.

– To prawda.

Chwila... niezręcznej... ciszy.

– No cóż... Zabiorę Aurorę do domu. Miło cię było znów zobaczyć.

– Ciebie też.

Obie kobiety przez chwilę coś sobie szeptały, a potem Aurora pozwoliła, żeby pomógł jej zejść po schodach i zaprowadził ją do samochodu.

– Co to za tajemnice? – spytał, odjeżdżając.
– Próba chóru na przyszły tydzień.
– Przecież nie śpiewasz w chórze. – Nie słysząc odpowiedzi, spojrział na nią bacznie. – Aurora? Czy chcesz mi coś powiedzieć?

– Tak.

Chryste Panie...

– Co takiego?

Wzięła go za rękę, ale na niego nie patrzyła.

– Chcę, żebyś pamiętał, co ci już wcześniej gadałam.

– Czyli co?

– Mam ja w sercu Boga. – Ścisnęła mocno jego dłoń. – I mam też ciebie. To wielkie bogactwo.

Trzymała go za rękę przez całą drogę do Easterly, a on wiedział... Po prostu wiedział... że Aurora stara się go przygotować na to, co nadchodzi. Zdał sobie też sprawę, że to właśnie dlatego uparł się, żeby doprowadzić do jej spotkania z Edwardem, gdy brat był akurat koło rodzinnego domu.

Gdyby tylko istniał jeszcze jakiś sposób, żeby skontaktować się z Maxem.

– Cholera, nie chcę, żebyś odchodziła – rzucił. – To dla mnie za dużo.

Aurora nie odzywała się, aż dojechali na wzgórze Easterly.

– To jak już tak gadamy o tym odchodzeniu – powiedziała w końcu. – Ponoć Chantal się wyniosła.

– Tak. Kończę tę historię.

– I dobrze. Może w końcu powiesz wam się z Lizzie. To dla ciebie odpowiednia dziewczyna.

– Wiesz, całkowicie się zgadzam. Teraz tylko muszę jeszcze ją do tego przekonać.

– Ja ci chętnie pomogę.

– Chętnie skorzystam. – Zerknął na nią. – Aha, kazała cię pozdrowić.

Aurora się uśmiechnęła.

– Jak żeś wyjeżdżał od niej rano?

Lane zupełnie nie wiedział, co na to powiedzieć. Zrobił się

czerwony jak ten mercedes, którego podarował Aurorze. Ona jednak tylko zaśmiała się dobrodusznie.

– Ale z ciebie łobuz.

– Tak, wiem. I właśnie dlatego musisz tu zostać i mnie pilnować. Wciąż ci to powtarzam.

Zamiast pod drzwi frontowe, zajechał od tyłu, żeby Aurora miała bliżej. Zaparkował samochód przed kuchennym wejściem, wyłączył silnik, ale wciąż jeszcze nie wysiadał.

Spojrzał na nią i szepnął:

– Mówię poważnie. Jesteś mi potrzebna tu, na ziemi, żeby mi pomagać ze sprawami w domu i w ogóle w życiu.

Boże, nie mógł tego nie zauważyć: choć jeszcze przed trzema dniami odgryzała mu się, że nigdzie się nie wybiera, teraz zachowywała się inaczej. Coś się zmieniło.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, otworzyły się drzwi garażu wyjechał z niego prowadzony przez szofera rolls-royce, który skierował się ku drzwiom frontowym rezydencji.

– To zły człowiek – mruknął Lane. – Ten mój ojciec.

Aurora uniosła tylko dłonie i powiedziała:

– Amen.

– Dokąd on się, u diabła, wybiera dziś rano?

– Na pewno nie do kościoła.

– Może jedzie za Chantal.

Zaklął w duchu, żałując, że to powiedział.

– Co to za gadka? – spytała Aurora.

Lane pokręcił głową i wysiadł z samochodu.

– Chodź, wejdziemy do środka.

Nie z nią jednak te numery. Gdy podszedł do jej drzwi i je otworzył, siedziała bez ruchu, z torebką na kolanach i dłońmi w rękawiczkach złożonymi razem.

– Gadaj.

– Aurora...

– Co ci zrobił?

– Tu nie chodzi o mnie.

– Jak chce tu znów sprowadzić tę twoją sekutnicę, to chodzi

o ciebie, bez dwóch zdań.

Lane miał ochotę walnąć głową w maskę samochodu.

– To naprawdę nie ma żadnego znaczenia.

– Ja wiem, że zmarnowała twojego dzieciaka.

Znów zaklął w duchu, widząc wbite w siebie spojrzenie jej ciemnych oczu.

– Aurora, nie wchodź w to. Opuść sobie. Jest tyle innych rzeczy, którymi warto zaprzętać sobie głowę.

Ona jednak tylko uniosła w górę brew.

Lane przykucnął. Boże, jak on kochał tę jej twarz, każdą zmarszczkę i każdą fałdę skóry, wszystkie rysy – i te łukowate, i te całkiem proste. Uwielbiał też w niej to połączenie gracji wielkiej damy i prawdziwie męskiej siły.

Są do siebie z Lizzie tak podobne...

– O niektórych sprawach lepiej nic nie wiedzieć – rzucił.

– A innych nie trza w sobie dusić.

Nagle się zorientował, że z jakiejś przyczyny spuścił wzrok, jakby się czegoś wstydził.

– Ona jest w ciąży. I to nie moje dziecko.

– A czyje? – dopytywała Aurora.

Resztę dopowiedziało milczenie. Co ciekawe, Aurora nie wyglądała na szczególnie zszokowaną.

– Na pewno? – spytała cicho.

– Tak mi powiedziała. A gdy mu to rzuciłem w twarz, poznałem po nim, że to prawda.

Aurora patrzyła przed siebie z tak mocno zmarszczonymi brwiami, że nie widział już jej oczu.

– Bóg go jeszcze pokarze.

– Na pewno nie będę na to czekać – rzucił Lane, wstając i podając jej rękę. – Robi się gorąco. Chodź, idziemy.

Aurora spojrzała mu prosto w oczy.

– Kocham cię – powiedziała.

Przepraszała go w ten sposób za wszystko, co on i jego rodzeństwo musieli przejść ze swoim ojcem. Bo to wcale nie ta paskudna sprawa z Chantal była najgorsza, lecz całe dekady wcześniejszych wydarzeń,

sięgających ich dzieciństwa.

– Wiesz – szepnął Lane – nigdy ci nie podziękowałem za te wszystkie lata, kiedy się o nas troszczyłaś. Pilnowałaś, żebyśmy się nie rozsypali, zwłaszcza ja. Zawsze byłaś gotowa mi pomóc. I nadal jesteś.

– Bóg mi wziął powierzył to święte zdanie, jak krzyżował ze sobą nasze losy.

– Kocham cię, mamuniu – wykrztusił przez ściśnięte gardło.
– Zawsze będę cię kochać.

Piła łańcuchowa w rękach Lizzie warczała tak głośno, że kompletnie zagłuszyła odgłos nadjeżdżającego samochodu. Dopiero gdy Lizzie odcięła dopływ paliwa i silnik maszyny ucichł, usłyszała zmysłowy męski głos informujący ją, że nie jest już sama.

– Jesteś najbardziej ponętną laską, jaką w życiu widziałem.

Obejrzała się za siebie i zobaczyła w dole Lane'a, opartego o swoje porsche. Stał na szeroko rozstawionych nogach z założonymi rękami i wbijał w nią intensywne spojrzenie.

Ona zaś, siedząc wysoko na zmiażdżonym dachu toyoty, kilka razy triumfalnie uniosła piłę nad głowę.

– Jestem władcą świata!

– A ja twoim niewolnikiem!

Roześmiała się i zeskoczyła na ziemię.

– Nieźle mi idzie, co?

Lane tylko przycisnął wargi do jej ust. Całował ją tak namiętnie i tak gwałtownie, że omal jej nie przewrócił. Gdy w końcu trochę się uspokoił, oboje ciężko dyszeli.

– Hm... Znaczą: cześć!

– Mam rozumieć, że trochę za mną tęskniłeś?

– Bezustannie – wyprostował się razem z nią. – Boże, tak cię ko... Kochanie, po prostu świetnie sobie radzisz z tą piłą.

Nie dało się nie zauważyć tego zamaskowanego wyznania. Zresztą Lizzie też musiała resztką sił powstrzymać palącą potrzebę wypowiedzenia tych samych słów.

Lane zaraz jednak zatuszował tę chwilową niezręczność potokiem słów.

– No więc naprawdę przywiozłem kolację. Prosto z klubu. Dla ciebie wziąłem tę sałatkę, którą, mam nadzieję, nadal lubisz, i ogromną górę polędwicy. No wiesz, na wypadek gdybyśmy musieli się zregenerować.

– Niby po czym? – spytała przeciągle, odkładając piłę.

– Oj, chyba dobrze wiesz – powiedział, ale zaraz spochmurniał. – Chyba że... no wiesz... coś cię boli po ostatniej nocy.

- Nie. – Lizzie pokręciła głową.
- To szkoda.
- Słucham?!

Podszedł do niej blisko, znów przycisnął wargi do jej ust i wsunął język do środka.

– Bo wówczas bym każde takie miejsce pocałował, żeby nie bolało.

– I tak możesz to zrobić.

Obrócił ją i oparł o swój samochód, a ona poczuła w sercu rozpierającą euforię. Uznała jednak, że co tam, może sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa. Jej toyota poległa, zmiądzona konarem, a całe podwórko wygląda jak pobojuwisko zasłane połamanymi gałęziami... ale przyjechał do niej Lane, który pamiętał, że ona lubi sałatkę z kurczakiem, a do tego, jasny gwint, całuje najlepiej na świecie.

Od jutra będzie już zachowywać się racjonalnie. Od jutra będzie się pilnować...

Lane na chwilę się od niej oderwał.

– Powiedz, co sądzisz na temat seksu na świeżym powietrzu?

Skinęła głową na trzy krowy stojące przy werandzie.

– Sądzę, że wkrótce możemy mieć większą widownię, jak tylko mój miły sąsiad się zorientuje, że te jego panienki znów się wybrały na wycieczkę.

– W takim razie chodźmy natychmiast do środka, zanim oszaleję.

– Na pewno nie będę stawać na drodze twojemu zdrowiu psychicznemu.

Spakował sobie nawet torbę – pomyślała, gdy wnosili rzeczy do domu.

– Aha, mam wiadomość – powiedział Lane, gdy zamknął za sobą drzwi.

– Jaką?

– Dziś rano Chantal się wyprowadziła.

Lizzie stanęła jak wryta i bacznie mu się przyjrzała. Miał na sobie swoje codzienne letnie ubranie: bermudy, koszulkę polo, mokasyny, ciemne okulary i zegarek od Cartiera. Całość wyglądała jak ze zdjęcia na Instagramie podpisanego „Przystojny milioner”. Nawet włosy miał

gładko zaczesane do tyłu, choć tylko dlatego, że chyba niedawno wyszedł spod prysznica i wciąż jeszcze były mokre.

Jej sercem przez chwilę wstrząsnął niepokój, bo Lane z tą swoją zabójczą aparycją wyglądał jak jakiś podrywacz z kampanii społecznej „Nie ufaj temu mężczyźnie” (zwłaszcza w tak delikatnych sprawach jak związki z kobietami pokroju Chantal...).

Lane jednak, jakby czytał w jej myślach, zdjął okulary, odsłaniając oczy, które – wbrew pozorom stwarzanym przez jego wygląd zewnętrzny – były jasne, spokojne i... szczerze.

– Naprawdę? – szepnęła Lizzie.

– Naprawdę. – Podeszedł do niej i obrócił ją ku sobie. – Lizzie, to już koniec. Cała sprawa z nią jest skończona. Aha, zanim spytasz: nie, nie tylko z twojego powodu. Już dawno powinienem zrobić porządek z tym małżeństwem. To był mój błąd.

Patrzyła na jego twarz i zakłęła w duchu.

– Przepraszam cię, Lane. Przepraszam, że ci nie wierzyłam. Ja tylko...

– Ciii... – Uciszył ją, przykładając wargi do jej ust. – Nie mam zamiaru nurzać się w przeszłości. To strata czasu. Obchodzi mnie tylko to, gdzie teraz jesteśmy.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem.

– No to... Chyba nie udał mi się ten manewr z „przyjaźnią”, co?

– Na pewno nie będę z tego powodu rozpaczał...

– To była chyba najlepsza kolacja, jaką w życiu jadłam!

Lane rzucił wzrokiem na drugi kraniec kanapy i patrzył, jak Lizzie opada na poduszki i kładzie sobie dłoń na brzuchu. Oczy zaczęły jej się zamykać, a on wyobraził ją sobie siedzącą na zwalonym konarze na dachu zmiażdżonej toyoty, bezlitośnie tnącą gałęzie piłą łańcuchową, niczym anioł zemsty wymierzający sprawiedliwość.

Choć przez całą pierwszą godzinę od jego przyjazdu nie mogli się od siebie oderwać, teraz znów poczuł rosnącą erekcję.

– To cud – wymamrotał.

– Że tak mi smakowała ta polędwica? No, nie wiem...

– Nie. Że tu z tobą jestem.

Jej błękitne oczy pomału się otworzyły.

– Czuję to samo – powiedziała. Lane roześmiał się gardłowo, ale uciszyła go, unosząc dłoń. – Nie, nie możesz w ramach zwycięstwa rozbijać talerzy o podłogę.

Lane odłożył na bok serwetkę, a następnie ruszył do natarcia znów napierał na Lizzie całym ciałem.

– Znam inne sposoby, żeby to uczcić – wymruczał.

Kołysząc biodrami, poczuł nagły przyływ pożądania na widok Lizzie przygryzającej dolną wargę, jakby znów miała na niego ochotę.

– Pokazać ci jeden z nich? – spytał, wtulając twarz w jej szyję.

– Pokaż – odparła, głaszcząc go po plecach.

– Mmm...

Na dochodzący ze stolika dźwięk telefonu Lane aż podskoczył.

– Byle nie Aurora... Błagam, byle nie Aurora... – powtarzał, chwytając aparat.

– O Boże, Lane... Czy ona...?

Gdy tylko zobaczył na wyświetlaczu nowojorski numer, z ulgą opadł z powrotem na kanapę.

– Chwała Bogu! – Podniósł wzrok na Lizzie. – Muszę odebrać. To mój przyjaciel z Nowego Jorku.

– Bardzo proszę.

Lane odebrał.

– Jeff?

– Pewnie za mną tęskniłeś – powiedział jego stary kumpel. – I dlatego nagrałeś mi tę wiadomość.

– Obawiam się, że się grubo mylisz.

– No cóż, i tak nie zamierzam ci wysłać kurierem bułeczek z cynamonem, które jadasz na śniadanie, obiad i kolację...

– Muszę wiedzieć, ile ci jeszcze przysługuje urlopu.

Absolutna.

Cisza. A potem:

– Chyba jeszcze nie czas na mistrzostwa świata w pokerze? Dlaczego więc o to pytasz?

– Potrzebna mi twoja pomoc. – Lane w zamyśleniu opadł na poduszki i położył sobie nogi Lizzie na kolanach. Po wspólnym prysznicu przebrała się w szorty, a on uwielbiał jeździć dłońmi w górę

i w dół po jej gładkich umięśnionych łydkach. – Mam tu poważny problem.

– Jaki? – spytał Jeff, poważniejąc.

– Potrzebny mi ktoś, kto mi powie, czy mój ojciec sprzeniewierza fundusze rodzinnej firmy. Tak w okolicach pięćdziesięciu kilku milionów dolarów.

Jeff zagwizdał cicho.

– To spora kapusta, przyjacielu.

– Mój brat zdobył dla mnie dokumenty... Jezu, to jakieś pięćset stron arkuszy kalkulacyjnych i sprawozdań finansowych. Nie potrafię nic z tego zrozumieć. Chcę, żebyś tu przyjechał i mi powiedział, o co w tym wszystkim chodzi. I to teraz, zanim on się zorientuje, że coś wężę, i pozbędzie się wszelkich dowodów, które mogłyby go pogrążyć.

– Słuchaj, Lane, wiesz, że jesteś dla mnie jak odzyskany po latach chrześcijański brat, którego nigdy nie miałem, lecz mówimy tutaj o rachunkowości śledczej. Nie bez powodu są na świecie ludzie, którzy się w tym specjalizują. Znajdę ci kogoś godnego zaufania...

– Ale o to właśnie chodzi, Jeff, że ja nie mogę w tej sprawie nikomu ufać. Mówimy o mojej rodzinie!

– Możemy tak zabezpieczyć dokumenty, żeby nie dawało się poznać, kogo dotyczą. Pomogę ci w tym...

– Chcę, żebyś ty się tym zajął.

– Noż kurwa mać, Lane!

Po wielu latach znajomości Lane dobrze wiedział, że teraz musi się przymknąć i pozwolić Jeffowi pozrzedzić sobie, ile dusza zapragnie. Nie przekonałyby go żadne argumenty i żadne sposoby perswazji, a jeśli zbyt mocno próbowałby go przekonać, mógł osiągnąć efekt wprost przeciwny.

Jeśli jednak będzie milczał, może liczyć na to, że ich wieloletnia przyjaźń zaprocentuje.

I rzeczywiście tak się stało.

– Ale ktoś będzie musiał to po mnie sprawdzić – zastrzegł Jeff. – I mam w dupie, co o tym sądzisz, tak ma być i koniec. Nie mam zamiaru spierdolić tej sprawy z powodu twojego romantycznego wyobrażenia, że tak świetnie radzę sobie z cyferkami.

– Bo sobie radzisz.
– Pierdol się, Baldwine.
– Nie mogę po ciebie wysłać samolotu, byłoby to mało dyskretne.
– Nie ma sprawy. Jeden z naszych jest akurat na Wschodnim Wybrzeżu. Polecę nim jutro rano. I nie, szybciej nie mogę. Muszę sobie jeszcze poprzestawiać parę rzeczy w robocie.

– Jestem twoim dłużnikiem.
– Jak jasna cholera. Możesz zacząć mnie spłacać już jutro wieczorem. Darmowy alkohol i panienki, inaczej w to nie wchodzę.
– Wszystkim się zajmę. Nawet cię osobiście odbiorę z lotniska, tylko mi napisz, o której przylecisz.

Jeff rozłączył się bez pożegnania, przeklinając pod nosem. Lane odłożył telefon i odetchnął z ulgą.

– Chwała Bogu!
– Kto to był?
– Właściwie chyba mój najbliższy przyjaciel. To u niego mieszkałem, gdy siedziałem na Północy. Jeff Stern. Genialny finansista. Jeśli ktokolwiek potrafi wytropić, co się tutaj dzieje, to właśnie on. A potem... – Lane potarł oczy. – Boże... Pewnie będę musiał zawiadomić policję? A może też Komisję Papierów Wartościowych? Chociaż wolałbym załatwić to wszystko po cichu.

– A jeśli twój ojciec złamał prawo?
Oczami wyobraźni Lane zobaczył ojca w pomarańczowym kombinezonie i poczuł niezdrową ulgę, że matka nie jest w to wszystko zamieszana.

– Na pewno nie będę przeszkadzał władzom w wymierzaniu sprawiedliwości. Martwi mnie tylko, że on ustanowił się pełnomocnikiem matki, żeby ciągnąć kasę z jej kont, a ja nie mam dostępu do tych danych, bo dysponuje nimi tylko Prospect Trust Company.

– Jeśli do akcji wkroczy policja lub FBI, wszystko wykryją. Lane pokiwał głową. Przez głowę przemknął mu obraz opuszczającego Easterly worka na zwłoki.

– Jeśli pani Rosalinda właśnie z tego powodu się zabiła, to ojciec ma krew na rękach i trzeba go postawić przed sądem.

– Wiesz, zwykle staram się patrzeć na życie optymistycznie, ale tutaj... – Lizzie wzięła go za rękę. – No cóż, cokolwiek się stanie, jestem przy tobie, tak?

Spojrzał na nią i powiedział poważnie:

– I to jest dla mnie najważniejsze. Jakkolwiek to się wszystko potoczy, jeśli będę miał ciebie, wówczas...

Telefon znów zadzwonił, a Lane się roześmiał, sięgając po aparat.

– Chyba się rozmyślił. Nie, Jeff, nie możesz się teraz z tego wy...

– Masz gdzieś w pobliżu telewizor?

– Samuel?! – Lane aż podskoczył.

– Masz czy nie?

– Nie. Co się dzieje?

– Musisz natychmiast przyjechać do mnie do domu. Szuka cię policja. Nie było cię w Easterly, więc Mitch zadzwonił do mnie.

– Co...? O czym ty mówisz? – Lane zastanawiał się chwilę, po czym pomyślał: O, kurwa! – Słuchaj, no tak, weszliśmy z Edwardem ukradkiem do tego przekłętego centrum biznesowego, ale po pierwsze, to jednak teren rezydencji, a po drugie, jeśli chodzi o te dokumenty...

– Nie wiem, o czym mówisz, i w tej chwili mało mnie to obchodzi. Chantal zgłosiła się z samego rana na izbę przyjęć mocno pobita, a do tego w ciąży. Powiedziała funkcjonariuszom, że to ty ją pobiłeś, gdy się dowiedziałaś o dziecku po przesłaniu jej papierów rozwodowych. Jest na ciebie nakaz aresztowania za znęcanie się ze szczególnym okrucieństwem nad członkiem rodziny, a mogą to nawet zakwalifikować jako usiłowanie zabójstwa.

– Co?! – Lane skoczył na równe nogi. – Czy jej całkiem odbiło?

– Na razie to „odbiło” jej na tyle, że trafiła na salę operacyjną, gdzie nastawiają jej szczękę.

– W życiu jej nie tknąłem i mam na to dowody! Ostatniej nocy nawet mnie nie było w domu!

– Po prostu do mnie przyjedź. Załatwię ci aresztowanie w środku nocy, żeby nikt ci nie robił zdjęć, jak będą cię prowadzić. A potem wyjdiesz za kaucją...

– To jakaś kompletna bzdura! – wściekał się Lane. – Nie będę z nią grał w te pierdolone gierki!

– To nie jest gierka, Lane. A jeśli nie zjawisz się w areszcie, zostaniesz uznany za zbiega.

Lane spojrzał na Lizzie, która siedziała spięta i przerażona, czekając na złe wieści.

W jednej chwili przypomniał sobie, jak mijał Chantal wyjeżdżając z Easterly mercedesem, z twarzą zasłoniętą ciemnymi okularami i tą czarną woalką...

Po tej kobiecie wszystkiego mógł się spodziewać. Może poszła śladem bohaterki filmu *Zaginiona dziewczyna* i sama sobie to wszystko zrobiła? Nie podejrzewał jej wcześniej o tak chorobliwe skłonności, ale może jej nie doceniał?

– Okej – zakończył rozmowę. – Jadę. Będę u ciebie za dwadzieścia minut.

Rozłączył się i powiedział:

– Muszę jechać.

– Lane, co się dzieje?

Na stole wciąż leżały talerze po ich cudownej kolacji, poduszki na sofie wciąż były jeszcze wgniecione po tym, jak na nich leżał i głaskał ją po nogach.

A mimo to te chwile sprzed zaledwie kilku minut zdawały się bardzo, bardzo odległe.

– Zajmę się tym – powiedział. – Będę musiał to wszystko wyprostować. Ona kłamie. Ona znów kłamie.

– Jak mogę ci pomóc?

– Zostań tutaj. I nie włączaj radia. Zadzwoń, jak tylko będę mógł, wszystko ci wyjaśnię. – Podeszedł do niej i ujął jej twarz w dłonie. – Kocham cię. Chcę, żebyś w to uwierzyła. Chcę, żebyś o tym pamiętała. I zajmę się tą sprawą, przysięgam na życie mojej mamuni.

– Trochę mnie to przeraża.

– Wszystko będzie dobrze, obiecuję – zapewnił ją.

A potem wyszedł – czy też raczej wybiegł – z jej domu.

Gdy odgłos silnika samochodu Lane'a ucichł już w oddali pośród gęstniejących ciemności, Lizzie jeszcze przez jakiś czas siedziała w miejscu, w którym ją zostawił. Jedyne, co przychodziło jej na myśl, to że żadne z nich nie powinno być zaskoczone. Z Chantal była harda sztuka i raczej nie należało podejrzewać, że wyrzeknie się raz uzyskanego statusu społecznego oraz stylu życia Bradfordów bez zaciętej walki.

Cokolwiek więc teraz się działo, mogła to być ledwie przygrywka.

W końcu Lizzie wstała, pozbierała talerze i pomyślała, że trochę inaczej wyobrażała sobie ten wieczór.

Może jednak Lane jeszcze wróci? Zostawił przecież torbę.

Przeklęta Chantal!

Lizzie poszła do kuchni i wstawiła brudne naczynia do zlewu. Polała je płynem do zmywania i odkręciła gorącą wodę.

Już miała zamoczyć w niej ręce, gdy zadzwonił jej telefon, leżący na blacie.

– Chwała Bogu! – odetchnęła, dając susa po terakocie. – Lane? Lane, czy możesz mi powiedzieć, co...

– Lizzie? Jesteś w domu?

– Greta? – W słuchawce coś terkotało, jakby jej rozmówczyni prowadziła samochód. – Greta? Słabo cię słyszę...

– ...w domu?

– Tak. Tak, jestem w domu. Wszystko w porządku?

– ...jadę... – bzz, chrr, wrz – ...za dziesięć minut.

– No dobrze, ale ja nie mam teraz ochoty się szarpać z tym konarem. Już prawie ciemno i naprawdę nie jestem w nastroju...

– ...łącz telefon.

– Co?

Nagle jakby opadła jakaś zasłona, bo w słuchawce rozległ się głośny i wyraźny głos mówiący z niemieckim akcentem:

– Wyłącz telefon.

– Ale dlaczego? Nie mam zamiaru. – Przecież Lane może dzwonić.
– Słuchaj, naprawdę nie jestem teraz w towarzyskim nastroju i...

Rozległ się głośny świst i połączenie zostało przerwane.

No świetnie.

Lizzie włożyła telefon do kieszeni i wróciła do zlewu.

Pozmywała naczynia i sztucce, powycierała je i odłożyła na miejsce.

Zasiadła znów na kanapie w salonie. Nerwowo przerzucała strony kolorowego pisemka, gdy nagle pokój przecięły światła reflektorów i rozległ się chrzęst kół na żwirowym podjeździe.

Lizzie wstała, poprawiła sobie koszulę i sprawdziła, czy nie jest zbyt rozczochrana. Nie widziała powodu, żeby już samym wyglądem sugerować, że przed chwilą dokazywała z Lane'em.

Zwłaszcza że kochali się głównie na dywaniku w przedpokoju. Oraz na schodach. I jeszcze pod prysznicem, na stojąco.

Otworzyła drzwi.

Greta wysiadała właśnie z mercedesa kombi. Twarz miała szarą, ramiona skulone. Lizzie wydało się też, że jej koleżanka ociera sobie łzy pod szylkretowymi oprawkami okularów.

– O Boże – szepnęła Lizzie. – Czy to coś z dziećmi?

Greta nie odpowiedziała. Weszła na werandę, a potem skierowała się prosto do domu. Lizzie weszła za nią i zamknęła drzwi.

– Greta?

Greta chodziła po pokoju w tę i z powrotem, aż w końcu się zatrzymała.

– Byłaś z nim ostatniej nocy?

– Słucham?

– Z Lane'em. Powiedz mi: byłaś z nim? Przez całą noc?

– O czym ty mówisz?

– Według oskarżeń Chantal Lane tak ją pobił, że wylądowała w szpitalu.

– Co?!

Wówczas Lizzie usłyszała całą historię. W której występowała Chantal, szpital, policja, media... Oraz Lane.

Gdy Greta w końcu zamilkła, Lizzie wyrzuciła dłoń przed siebie, zrobiła krok w tył i opadła na fotel.

– Ja...

– Wiele rzeczy można o nim powiedzieć – rzuciła Greta – ale

nigdy nie widziałam, żeby podniósł rękę na kobietę.

– Pewnie, że nie! O Boże, nie! W żadnym wypadku!

– Był tu ostatniej nocy?

– Tak. Przyjechałam tu w samym środku burzy, a on już tu był.

I wyjechał dopiero rano, żeby zabrać panią Aurorę do kościoła. – Nagle aż podskoczyła. – Muszę mu pomóc! Muszę zeznać na policji, że on był tutaj ze mną...

– Jest coś jeszcze.

– Możesz mnie tam zawieźć? Jestem w takiej rozsypce, że chyba nie powinnam...

– Lizzie.

Słyszając dźwięk swojego imienia, poczuła w piersi dławiący strach.

– Co...?

Oczy Grety zaczęły się nagle szklić.

– Przepraszam cię...

– Ale za co? Możesz to z siebie wyrzucić, zanim łeb mi pęknie?

– Chantal jest w ciąży. I zeznała na policji, że to dziecko... Lane'a.

Lizzie zamrugała, a jej myśli, serce i płuca nagle się zatrzymały, podobnie zresztą jak czas i prawa fizyki.

– Ona twierdzi, że to dlatego ją pobił. Kiedy mu powiedziała. Ponoć się wściekł.

Lizzie poczuła w żołądku gwałtowną falę mdłości. Ale nie, to niemożliwe. Nie może przecież jeszcze raz przeżyć tego, co się już działo wcześniej. Nie może znów się znaleźć w tej samej sytuacji z Chantal i Lane'em.

Ja już to przerabiałam – pomyślała. Już raz przeżyłam ten koszmar. O Boże, nie! Błagam, tylko nie to!

– Kiedy...? – Lizzie odchrząknęła. – Kiedy ona zgłosiła się na policję?

– Rano. Koło dziewiątej czy dziesiątej.

Jeśli ma się poważne obrażenia, to przecież nie zwleka się z konsultacją medyczną – pomyślała Lizzie.

Jeśli ona jest w ciąży i powiedziała mu o tym, gdy wrócił do Easterly, to całkiem niewykłuczone, że...

Lizzie chwiejnym krokiem ruszyła w stronę łazienki. Ledwo

zdążyła tam dobiec, a od razu zwymiotowała całą połówkę.

Zanim Lane zajechał na farmę Samuela, był tak wściekły, że aż go rozsadzało.

Z całej siły nadepnął na hamulec. Samochodem zarzuciło, ale zatrzymał się dokładnie przed wejściem do rezydencji. Lane wysiadł w takim pośpiechu, że omal nie zapomniał wyłączyć silnika.

Samuel otworzył drzwi, zanim Lane zdążył okrążyć samochód.

– Dzwoniłem do Mitcha. Przyjedzie tu za czterdzieści pięć minut nieoznaczonym wozem. Nie chcą czekać z aresztowaniem, ale wjedziemy przez garaż dla zatrzymanych pojazdów. Nie mają tam dostępu kolesie z aparatami, więc będziesz bezpieczny.

Lane minął go, wchodząc do środka.

– To jest, kurwa, pierdolone kłamstwo! Tej kobiecie kompletnie odwaliło i będzie musiała... – Zatrzymał się i spojrzał spode łba na swojego starego kumpla. – Co? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

W ramach odpowiedzi Samuel wyciągnął dłoń i dotknął jego ramienia.

– Skąd masz te wszystkie zadrapania na rękach, szyi i twarzy? Lane spojrzał w dół, na swoje skaleczenia.

– Chryste, Samuel, dorobiłem się ich ostatniej nocy. Pojechałem do Lizzie, a na jej samochód spadł konar drzewa. – Samuel tylko się w niego wpatrywał, Lane więc dokończył ze złością: – Zaświadczy o tym w sądzie, jeśli będzie trzeba. Wyciągnąłem ją z tej przeklętej toyoty. Myślałem, że nie żyje.

– Znów się z nią spotykasz?

– Tak.

– I myślisz, że nadal będzie chciała ci pomóc, kiedy się dowie, że Chantal jest z tobą w ciąży? Po raz kolejny? Nie przerabialiście już tego parę lat temu?

Lane poczuł, jak z jego głowy odpływa niemal cała krew.

– Samuel, to nie jest moje dziecko. Mówiłem ci już przy podpisywaniu papierów: nie byłem z Chantal, odkąd wyjechałem na Północ.

– Ona zeznała na policji co innego. Twierdzi, że w ciągu ostatniego roku często jeździła na Manhattan, gdzie pracowaliście nad waszym

związkiem.

– To dziecko nie jest moje. – Lane zniżył głos, choć dookoła nikogo nie było. – Tylko mojego ojca.

Teraz to Samuelowi opadła szczęka.

– Twojego... ojca?

– Dobrze słyszałeś.

– Jesteś pewien?

– Tak. Rozmawiałem o tym i z nią, i z nim.

Samuel odkaszlnął w zwiniętą dłoń.

– Wiesz, twoja rodzina jest naprawdę dość szczegółna.

– Też tak słyszałem. – Lane założył ręce na piersi. – Mogą mnie zbadać wykrywaczem kłamstw, mogę przysiąc na Biblię... Zresztą wystarczy, że sprawdzą, co ona ma za paznokciami. Samuel, nie znajdą moich śladów na jej skórze ani w jej brzuchu, bo jej w ogóle nie dotykałem.

– Mówi, że ma świadka.

– Tak, chyba w swoich snach. Cholera, chyba musiała sama sobie to zrobić...

– To pokojówka. Ma na imię Liliana czy jakoś tak.

Lane aż się wzdrygnął.

– Pokojówka? Lil... Czeka, ta Lil-li-an-na? Przez dwa „l” i dwa „n”?

Przypomniał sobie panienkę z naręczem ręczników, która tak mu się przedstawiła, z tym specyficznym błyskiem w oku.

Samuel wzruszył tylko ramionami.

– Nie wiem, jak się pisze jej imię. Mam taki przeciek od Mitcha. W każdym razie ta osoba twierdzi, że słyszała, jak się kłóciliście. Ponoć groziłeś Chantal, że, cytuję: „zrobisz z niej miazgę”.

– W życiu tak nie powiedziałem!

– Stałeś ponoć w korytarzu na piętrze, a ta pokojówka weszła w sam środek waszej rozmowy.

– Ona kłamie! – Lane zamyslił się i pokręcił głową, jakby coś sobie przypominając. – Czeka, nie. Nie o to... Powiedziałem tak, ponieważ Chantal wyraziła się z pogardą o Aurorze. Strasznie mnie to wkurzyło. Ale nie traktowałem tego dosłownie.

Samuel zmierzył wzrokiem wszystkie jego zadrapania.

– Będę z tobą szczerzy. Wygląda to tak, jakbyś na wszystko miał stosowną odpowiedź.

– Ale taka jest prawda! Nic nie zmyślam!

– Słuchaj, nie chcę się z tobą kłócić...

– Samuel – powiedział spokojnym głosem Lane. – Czy kiedykolwiek widziałeś, żebym był agresywny? Zwłaszcza w stosunku do kobiet?

Samuel przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Potem zaś rozłożył ręce.

– Nie, nigdy nic takiego nie widziałem. I naprawdę chcę ci wierzyć. Ale nawet jeśli wszystko, co mówisz, jest szczerą prawdą, to tak mamy tu dwa problemy: prawny i wizerunkowy. Problem prawny sam się rozwiąże, jeśli założymy, że Lizzie za ciebie poręczy, a na ciele Chantal nie zostaną znalezione ślady twojego DNA. Jeśli jednak chodzi o problem wizerunkowy, z tym będzie trudniej. To spora sensacja, Lane. Zwłaszcza jeśli masz rację i twój ojciec rzeczywiście zrobił dziecko twojej żonie. Jasna cholera, przecież to będzie sensacja na cały kraj. A wiesz chyba, że media nigdy nie pozwalają, żeby fakty przeszkadzały im w kreowaniu chwytliwych historii. I choć nie powinno tak być, tego rodzaju skandale mają wpływ na ceny akcji i szacowaną wartość przedsiębiorstwa i wypuszczanych przez nie produktów. Nie mówię, że to słuszne, ale tak się po prostu dzieje. Jesteś twarzą waszej rodzinnej firmy. Każdy z was nią jest. Jakoś mi się udało wymazać z systemu historię aresztowania twojej siostry, ale tym razem... Nie zdołam całkiem tego odkręcić, zwłaszcza że już o tym huczą lokalne media.

Lane chodził tam i z powrotem po korytarzu. Potem spojrzał na Samuela.

– Skoro już mówimy o naszej rodzinnej firmie, masz może w domu jakiegoś bourbona?

– Zawsze. A że serwuję tylko najlepsze trunki, jest to oczywiście bourbon Bradfordów.

Lane pomyślał o Macku i o tym, że destylarnię już zamknięto. A potem o ojcu... i o wszystkim, co ten człowiek nawyprawiał.

– Zobaczymy, jak długo jeszcze zdołamy to utrzymać – mruknął.

Sześć godzin później, siedząc w pustym, szarym pokoju przesłuchań w miejscowym areszcie, Lane po raz szósty próbował się dodzwonić do Lizzie – i doszedł do wniosku, że chyba jednak jakoś doszło do niej, co się dzieje. Może ktoś do niej zadzwonił, a może mimo wszystko włączyła w końcu radio? (Telewizora nie miała).

A niech to wszyscy diabli! Może w centrum Charlemont stoi już kompromitujący go neon, który widać aż z Indiany?

– Prawie już skończyliśmy – powiedział Samuel, wchodząc znów do pokoju. – Dobra wiadomość jest taka, że nie postawiono ci zarzutów nie jesteś aresztowany. Nadal jednak masz status osoby podejrzanej i to się nie zmieni, dopóki trwać będzie dochodzenie. Tyle tylko, że możesz przynajmniej jechać do domu i nie będą ci tu robić zdjęć do kartoteki.

Lane zgasił wyświetlacz i potarł zmęczone oczy. Jakieś piętnaście minut temu odzyskał swój portfel i telefon, po czym natychmiast spróbował połączyć się z Lizzie.

Zważywszy na okoliczności, w jakich opuszczał jej dom, na pewno nie ignorowałyby jego telefonów, gdyby w ogóle chciała z nim rozmawiać.

Najwyraźniej nie była zainteresowana poznaniem jego wersji wydarzeń.

– Jak długo to jeszcze potrwa? – spytał, pocierając obolałą głowę.
– Czy mogę już iść?

– Prawie. Potrzebna nam jeszcze zgoda prokuratora okręgowego. Tak się składa, że to mój stary kumpel z towarzystwa łowieckiego – powiedział Samuel, siadając. – Wiem, że to niepolitycznie tak mówić, ale chwała Bogu, że w naszym mieście wciąż działa sieć starych powiązań między kolegami. Gdyby nie ona, byłbyś pewnie teraz przeszukiwany.

– Potrafisz zdziałać cuda – mruknął zobojętniałym tonem Lane.

– Pomocny był też fakt, że zeznania Chantal nie trzymają się kupy. Najwyraźniej sama sobie to wszystko obmyśliła. Kto, u diabła, bierze kąpiel po tym, jak został zaatakowany? I jeszcze starannie czyści sobie brud za połamanymi paznokciami? Przecież to kompletnie bez sensu!

A do tego jeszcze ten miły drobny szczegół, że ze szpitalnego łóżka zdołała jakoś zadzwonić i do gazety, i do dwóch stacji telewizyjnych!

– A co ci mówiłem? – Lane zerknął na wyświetlacz, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie przeoczył telefonu od Lizzie. – Ta kobieta próbuje zniszczyć mi życie.

– Nie uda jej się, póki ja mam tu coś do powiedzenia.

Lane po raz siódmy wybrał numer Lizzie, a potem odłożył telefon.

– Jak ona wyglądała? Chodzi mi o Chantal. No wiesz, kiedy dotarła do szpitala.

– Jesteś pewien, że chcesz zobaczyć zdjęcia?

– Tak. Muszę wiedzieć, na ile to poważne.

Samuel znów wstał.

– Zobaczę, co się da zrobić.

Drzwi pokoju przesłuchań znów się otworzyły i zamknęły, a Lane dalej obracał w dłoni telefon. Zastanawiał się, czy nie wysłać esemesa, uznał jednak, że to nic nie zmienia.

Nie do wiary. Nie mógł po prostu uwierzyć, że znów mu się przydarza to co wcześniej: te same dwie kobiety, te same słowa...

A rezultat?

Obawiał się, że wie, jaki on będzie. Lizzie już raz się od niego odcięła. I najwyraźniej znów postanowiła potraktować go tak samo.

Po dziesięciu minutach wrócił Samuel, z szarą kopertą w dłoni.

– Proszę bardzo.

Lane wziął ją do ręki i wysunął z niej cztery błyszczące odbitki. Na widok pierwszej jego twarz jeszcze bardziej spochmurniała.

Podbite oczy, siniaki po jednej stronie twarzy, ślady duszenia na szyi...

– To naprawdę poważne – wymamrotał. – Chryste Panie...

Nie żywił do Chantal żadnych ciepłych uczuć, uważał jednak, że nikt nie zasługuje na takie pobicie – a już zwłaszcza kobieta.

No nie – pomyślał – nie ma szans, żeby ona sama sobie coś takiego zrobiła. Ktoś musiał ją katować. Długo i wytrwale.

Zastanawiał się, czy kogoś nie opłaciła.

Na drugim i trzecim zdjęciu były zbliżenia. A na czwartym...

Lane wrócił szybko do trzeciego zdjęcia. Pochylając się nad nim,

analizował pewien fragment jej policzka – rozcięcie tuż pod okiem.

Nagle rzucił fotografie na stół i oparł się na krześle, zamykając oczy.

– Co? – spytał Samuel.

Minęła dłuższa chwila, zanim Lane zdołał się odezwać. W końcu jednak odwrócił zdjęcie w stronę Samuela i wskazał palcem czerwoną kreskę pod okiem Chantal.

– Mój ojciec jej to zrobił.

– Skąd wiesz?

W pamięci Lane'a wciąż tkwiło żywe wspomnienie tamtego straszego sylwestra z dzieciństwa, gdy jego brat zebrał baty za wyczyny pozostałej trójki rodzeństwa.

– Kiedy ojciec bił Edwarda, jego sygnet zostawiał identyczny ślad. Ojciec uderzył ją w twarz wierzchem dłoni. To jego złoty sygnet rozciął jej tutaj skórę.

Samuel zaklął pod nosem.

– Mówisz poważnie?

– Śmiertelnie poważnie.

– Zaczekaj, zawołam z powrotem śledczego. Te informacje będą im potrzebne.

Jadąc o świcie do pracy, Lizzie nie mogła się powstrzymać, żeby nie wspomnieć, jak przemierzała tę samą trasę zaledwie kilka dni temu, kiedy minęła ją karetka zmierzająca na wzgórze Easterly.

Miała teraz równie złe przeczucia. I taki sam lęk przed spotkaniem z Lane'em, który już od czwartej rano znów do niej wydzwaniał.

Tym razem jednak nie słuchała w samochodzie radia. Miejskowa stacja mogła przecież w każdej chwili podać sensacyjną wiadomość, że ciężarna żona jednego z najbardziej liczących się mężczyzn w Charlemont wylądowała za jego sprawą w szpitalu. Lizzie wołała tego nie ryzykować. Kolejne szczegóły na temat zaistniałej sytuacji nie zmieniały przecież ogólnego jej wydzwianku, a ona i tak już wystarczająco podle się czuła.

Minęła główną bramę wjazdową na teren posiadłości i jechała dalej drogą dla personelu, mijając pola i szklarnie, aż na parking. Przyjechała na tyle wcześnie, że nikogo jeszcze nie było, nawet Gary'ego

McAdamsa.

Tak właśnie to sobie zaplanowała.

Machinalnie wyłączyła silnik i sięgnęła na siedzenie pasażera po torebkę.

– Cholera!

Zostawiła ją w domu. Co oznaczało, że nie ma okularów, kremu z filtrem i czapki.

No trudno. Na pewno nie będzie teraz po nie wracać.

Chwilę jej zajęło, zanim doszła do drzwi kuchennych.

Tłumaczyła sobie, że jest po prostu wykończona. Od pierwszej w nocy, gdy Greta wreszcie odjechała, Lizzie nie kładła się, tylko czekała, aż nad wrakiem stojącym przed domem wzejdzie słońce.

Jaka piękna metafora jej życia...

Weszła do kuchni i zastała tam panią Aurorę smażącą jajka.

– Dzień dobry – powiedziała Lizzie głosem, któremu ze wszystkich sił starała się nadać normalny ton. – Widziała pani gdzieś może pana Harrisa?

Pani Aurora odwróciła jajka na patelni łyżką.

– Siedzi tam u siebie. Państwo dziś nic ode mnie nie chcą, więc zem naszykowałam śniadanie tylko dla nas, chyba że kogoś jeszcze tu przyniesie. Podaję w świetlicy, za dziesięć minut.

– Przepraszam, ale muszę...

– Widzimy się na śniadaniu!

Lizzie wzięła głęboki oddech.

– Spróbuję, może zdążę.

– Lepiej się postaraj. – Pani Aurora obejrzała się przez ramię, błyskając ciemnymi oczami. – Bo inaczej sama cię znajdę i szepnę ci słówko, że nie trza wierzyć we wszystko, co ludzie gadają albo gdzieś wezmą napiszą.

Unikając jej wzroku, Lizzie wymknęła się z kuchni i poszła prosto do pana Harrisa. Zanim zapukała, zerknęła na znajdujące się naprzeciwko drzwi dawnego gabinetu pani Rosalindy – zaplombowane przez policję i oznaczone taśmą ostrzegawczą.

Jedno z wielu w tym domu miejsc będących przedmiotem śledztwa – pomyślała Lizzie. Ciekawe, jak się prezentuje sypialnia Chantal...

Pan Harris otworzył drzwi i aż się zdrygnął na jej widok.

– Pani Lizzie King?

Lizzie otrząsnęła się z zamyślenia.

– Och, przepraszam. Muszę z panem porozmawiać.

Pan Harris zmarszczył brwi, lecz mimo wyniosłych manier chyba prawidłowo odczytał jej nastrój.

– Ależ oczywiście, proszę wejść.

Jak mogła się spodziewać, wystrój mieszkania był na wskroś angielski: przestrzeń wypełniały książki w skórzanych oprawach, antyczne fotele i perskie dywany.

Zaraz za bawialnią znajdowała się wąska kuchnia, a dalej, podobnie jak w mieszkaniu pani Aurory, były zamknięte drzwi, za którymi zapewne mieściły się sypialnia i łazienka.

W mieszkaniu bynajmniej nie panował zaduch, lecz unosił się przyjemny cytrusowy zapach czystości.

– Chciałam złożyć wypowiedzenie – powiedziała bez zbędnych wstępów Lizzie. – Odchodzę z pracy za dwa tygodnie. W normalnych okolicznościach dałabym znać pani Rosalindzie, ale...

Pan Harris gapił się na nią przez chwilę, a potem podszedł do rzeźbionego biurka, na którym leżały jakieś papiery, ale nie było komputera, i usiadł na stojącym przy nim krześle.

– To spore zaskoczenie.

– Mam zapisane w umowie, że obowiązuje mnie dwutygodniowy okres wypowiedzenia.

– Czy mogę spytać o przyczynę?

– Zmiana priorytetów życiowych. Już od jakiegoś czasu się nad tym zastanawiałam.

– Naprawdę? – Pan Harris złożył dłonie w stożek. – A więc nie ma to nic wspólnego z wczorajszymi sensacjami w mediach?

– Jest mi bardzo przykro, że rodzina Bradfordów musi się borykać z czymś tak paskudnym.

Pan Harris uniósł brew.

– Czy nic nie mogę zrobić, żeby panią przekonać do zmiany decyzji?

– Dziękuję, ale nie.

Nic więcej nie powiedziała. Wróciła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi. Stała przez chwilę samotnie, usiłując powstrzymać łzy i odchylając głowę w tył, żeby nie zaczęło jej cieknąć z nosa.

Wiele razy wyobrażała sobie, w jaki sposób odejdzie z Easterly. Ale nigdy nie wyglądało to właśnie tak. Nie było jednak odwrotu. Decyzję o swoim odejściu podjęła w towarzystwie Grety, gdy opróżniały dwulitrowe pudełko lodów z czekoladą, między jej pierwszą falą hysterii a drugą.

Wcale nie wierzyła, że Lane mógł tak skrzywdzić Chantal. Nie wydawało jej się to możliwe. Ale przecież w ogóle nie o to chodziło.

Nie miało też znaczenia, czy ta kobieta naprawdę jest w ciąży, a jeśli tak, to z kim.

Chodziło o coś innego: po niemal dekadzie spędzonej w otoczeniu rodziny Bradfordów Lizzie zdała sobie w końcu sprawę, że oni się od niej zasadniczo różnią – i to wcale nie tylko majątkiem, którego nie zdołałaby zdobyć, choćby nawet pracowała przez kilkaset lat. Po prostu tam, skąd ona pochodziła, ludzie brali śluby, potem mieli dzieci, odkładali na emeryturę i raz w roku jeździli na wakacje do Disneylandu albo na Karaiby. Płacili na czas podatki, a z okazji rocznic ślubów i narodzin dzieci urządzali składkowe przyjęcia. Nie zdradzali natomiast swoich żon i mężów.

Wiedli życie skromne, ale pełne godności, nienaznaczone tego rodzaju szaleństwem, w jakie obfitowała codzienność Bradfordów.

Choć więc Lane niesamowicie ją pociągał (jasna cholera, może właśnie ta szalona iskra, która tak ją przerażała, zarazem ją fascynowała?), po prostu nie miała siły ani umiejętności koniecznych do tego, żeby przy nim trwać. Zbyt gwałtownie straciła dla niego głowę. A on, tak jak poprzednio, nie wniósł w jej życie nic oprócz ciągłego stresu, kolejnych bezsennych nocy i narastającego przygnębienia.

Niektórych zagrożeń w życiu nie da się uniknąć. Jeśli chodzi o nowotwory, niebezpieczne wypadki czy inne tragedie, nie można całkiem wyeliminować ryzyka, że nas dotkną. Takie jest życie i już. Dotyczy to wszystkich stworzeń zamieszkujących Ziemię.

Jednak niektóre problemy i zagrożenia można po prostu omijać albo próbować się od nich uwalniać. Jeśli więc jesteś odpowiedzialną,

doroślą osobą, starającą się wieść jako tako sensowne życie, to na tobie spoczywa obowiązek, żeby się o siebie troszczyć i czuwać nad własnym bezpieczeństwem.

Najwyraźniej nie radziła sobie z zachowaniem zdrowego rozsądku, kiedy w zasięgu jej wzroku przebywał Lane Baldwine, postanowiła więc rozwiązać problem braku samokontroli... zachowaniem fizycznego dystansu.

Czas odejść.

Niczym ktoś, kto, walcząc z nałogiem, w jednej chwili odstawia substancję, od której jest uzależniony, po prostu postanowiła się od tego wszystkiego odciąć. I na pewno nie zamierzała najpierw z nim o tym dyskutować. Czułaby się wówczas jak narkomanka starająca się pracować nad głębią swojej relacji ze strzykawką pełną heroiny. Lane bez wątpienia miał argumenty na swoją obronę, ale jakiegolwiek by one były, nie zmieniało to faktu, że serce Lizzie kolejny raz zostało złamane. Jej decyzja o odejściu z pracy nie podlegała więc negocjacjom.

Teraz zaś... Cóż, będzie musiała się postarać jakoś przeżyć ten dzień.

Ruszyła w stronę szklarni i weszła do pierwszej z nich, gotowa zająć się siewkami, które właściwie były już całkiem dojrzałe. Zanim jednak poszła do magazynu po sekator, zatrzymała się i wyjęła telefon.

Po czym zrobiła coś, co zajęło jej tylko chwilę. I najpewniej było niezbyt mądre.

A mianowicie przelała siedemnaście tysięcy czterysta osiemdziesiąt sześć dolarów i siedemdziesiąt dziewięć centów ze swojego rachunku oszczędnościowego... na rachunek kredytu hipotecznego, tym samym spłacając całość zadłużenia obciążającego jej farmę.

No tak, nie był to zapewne najmądrzejszy ruch, zważywszy, że i tak miała zamiar ją sprzedać. Duma kazała jej jednak dokonać tej transakcji. Duma oraz głęboka potrzeba udowodnienia sobie, że osiągnęła cel, który sobie pierwotnie założyła, gdy zaciągała ten kredyt.

Zawsze chciała mieć dom, który by należał tylko do niej, jakieś miejsce, które by sama stworzyła i opłaciła, i o które by mogła samodzielnie dbać, bez niczyjej pomocy.

Satysfakcja, że obecnie nie jest nikomu winna ani centa, stanowiła przeciwwagę dla wszystkich innych zalewających ją uczuć.

Dowód, że nie poniosła całkowitej porażki, jeśli chodzi o umiejętność dbania o własne sprawy.

Lane wrócił do Easterly, gdy tylko wypuszczono go z aresztu.

Jeśli nie liczyć kursu do Samuela po zostawiony tam samochód.

Wjechał na teren rodzinnej posiadłości tylnym podjazdem, biegnącym koło pól i szklarni, z dwóch powodów: po pierwsze, przy bramie głównej czekali dziennikarze, a po drugie, chciał sprawdzić, czy jest tam gdzie Lizzie.

Była. Na parkingu pracowniczym obok innych samochodów personelu stał jej wiśniowy farmerski pikap.

– Niech to szlag! – wydyszał Lane.

Podjechał w stronę garaży, zaparkował pod magnolią i ruszył prosto do tylnego wejścia do centrum biznesowego. Wprowadził kod, który poprzednio podał mu Edward, a potem gwałtownie otworzył drzwi i pomaszerował do recepcji, mijając te wszystkie biura i sale konferencyjne oraz jadalnię.

Pracownicy w strojach biurowych podnosili na niego wzrok z przestraszeniem, ale nie zwracał na nich uwagi.

Zatrzymał się dopiero w szklanym boksie asystentki ojca.

– Chcę się z nim natychmiast zobaczyć.

– Proszę pana, nie może pan...

– Mogę, kurwa, mogę.

– Proszę pana, on...

Lane z hukiem otworzył drzwi i...

Stał jak wryty. W gabinecie nikogo nie było.

– Nie wiemy, gdzie on jest.

Lane obejrzał się przez ramię.

– Co?

– Pana ojciec... Miał dziś rano udać się w podróż, ale nie zjawił się na lotnisku. Pilot czekał na niego przez godzinę.

– Oczywiście dzwoniła pani do domu?

– Dzwoniłam też na komórkę. – Kobieta zakryła usta dłonią. – Jemu nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Nikt w całym domu go nie

widział.

– Kurwa mać.

Chryste Panie, co teraz?

Lane ruszył z powrotem, słysząc za sobą błagalne wołanie asystentki:

– Proszę mu powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił!

Wyszedł znów na światło dzienne, po czym puścił się pędem w stronę kuchennego wejścia do rezydencji. Wparował do środka, przemknął obok stalowych blatów i z hukiem otwierając drzwi, wypadł na korytarz dla personelu. Wbiegł po tylnych schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, aż omal nie stratał odkurzającej je pokojówki.

Popędził korytarzem. Minał swoją sypialnię i apartament Chantal...

Aż w końcu dopadł do drzwi pokoju ojca.

Ledwo wyhamował. Pomyślał, że naprawdę nie czuje się gotów na powtórkę scenki, którą już przerabiał z panią Rosalindą. Nie żeby przerażał go ewentualny widok martwego ciała ojca – lecz raczej dlatego, że jeśli tego skurczybyka trzeba będzie zapakować do trumny, to właśnie jemu, Lane'owi, przypadnie wątpliwy honor ułożenia jego głowy na ozdobnej poduszce.

Z impetem otworzył drzwi.

– Gdzie jesteś? – ryknął.

Wpadł do środka, nasłuchując odzewu, a potem zamknął za sobą drzwi, na wypadek, gdyby ojciec jednak był gdzieś tutaj żywy. Miał zamiar urządzić draniowi piekło. Niech się modli o życie, bo naprawdę czeka go piekło na ziemi.

Wprawdzie Chantal to kawał kłamliwej suki, ale kobiet się po prostu nie bije. W żadnych okolicznościach.

– Gdzie ty, kurwa, jesteś?! – wrzeszczał Lane, otwierając drzwi łazienki.

Nie stwierdziwszy, żeby w kabinie prysznicowej wisiało jakieś ciało, zawrócił na pięcie i poszedł do garderoby.

Tam też nic nie znalazł.

Nie, zaraz...

Walizka ojca, taka z monogramem, której często używał, była otwarta i częściowo spakowana. Ale... bardzo chaotycznie. Ubrania

leżały w środku bez ładu i składu, jakby pakował je ktoś, kto nie ma żadnej wprawy w samodzielny wykonywanie tego rodzaju czynności.

Lane przeczesał jej zawartość, ale nie znalazł nic godnego uwagi.

Zauważył tylko, że w wyścielonym aksamitem etui na zegarek nie ma ulubionego przez ojca modelu Royal Oak marki Audemars Piguet. Brakowało też portfela.

Lane wrócił do sypialni i omiół wzrokiem meble, książki i biurko. Nie potrafił stwierdzić, czy cokolwiek jest nie na swoim miejscu. Był tu wcześniej tylko kilka razy, i to co najmniej ze dwadzieścia lat temu.

– Co ty, ojciec, kombinujesz? – mruknął pod nosem. Wkoło panowały jednak bezruch i cisza..

Tknięty jakimś przecuciem, wyszedł z pokoju, znów zamknął drzwi i zbiegł z powrotem schodami dla personelu na parter. W ciągu niecałej minuty był już przy garażach, a po chwili znalazł się w środku i zaczął liczyć samochody. Rolls-royce stał na swoim miejscu, ale brakowało dwóch mercedesów. Oczywiście jednym wyjechała Chantal.

Ale drugiego musiał wziąć ojciec.

Pytanie brzmiało: dokąd się nim udał?

I kiedy?

– Znów to samo. Tak nie można! No już, pobudka!

Edward próbował odepchnąć rękę ciągnącą go za ramię.

– Daaj spoo...kój.

– Nie ma mowy! Tu jest cholernie zimno, a pan sobie sam nie poradzi.

Edward pomалу otworzył oczy. Przez niezabudowane wyjście na końcu stajni wpadało słońce, podświetlając kłęby słomianego kurzu unoszące się w powietrzu oraz sylwetkę jednego z kotów zamieszkujących stajnię. Po drugiej stronie przejścia cicho zarżała klacz, ktoś kopnął w ich boks, a z oddali dochodził warkot traktora.

Jasny gwint, jak mu huczało w głowie. To jednak było nic w porównaniu z tym, jak strasznie bolał go tyłek. Zabawne, jak jedna część ciała może zarazem całkiem zdrętwieć i pioruńsko boleć.

– Musi pan wstać, do cholery...

Zaklął, słysząc to jej głędzenie. Ale spróbował też skupić na niej wzrok.

Ciekawe... Miał przed sobą dwie Shelby, które coś do niego mówiły. Jego najnowsza pracownica stała nad nim jak surowa nauczycielka ganiąca ucznia. Dłonie opierała na szczupłych biodrach, a jej nogi w dzinsach i stopy w kowbojkach wyglądały tak, jakby mogła w każdej chwili kopnąć jego głowę jak piłkę.

– Myślałem, że nie przeklinasz – wymamrotał.

– Bo nie przeklinam.

– A mnie się zdawało, że przed chwilą powiedziałaś brzydkie słowo.

Przymrużyła powieki ze złością.

– Wstaje pan, czy mam pana stąd wymieść razem z resztą śmieci?

– Nie wiesz, że słowo „cholera” działa jak przepustka do świata przekleństw? To jak z marihuaną. Zanim się obejrzysz, będziesz rzucała kurwami na prawo i lewo.

– W porządku. Niech pan sobie tutaj leży. Co mnie to obchodzi? Odwróciła się i ruszyła ku wyjściu.

– Jak tam twoja ostatnia randka? – zawołał za nią.

Odwróciła się na pięcie.

– O czym pan mówi?

– No, z Moem.

Wypowiedziawszy te słowa, zaczął usilnie próbować dźwignąć się z zimnej betonowej podłogi. Nie dał jednak rady. Shelby uniosła brew.

– Wie pan co, chyba jednak pana tu zostawię.

Nad jego głową rozległo się rżenie Nebekanzera, jakby się z niego śmiał.

– Nie prosiłem cię o pomoc – wycedził Edward.

Nagle bez ostrzeżenia ręka mu się osunęła, a całe ciało poleciało na beton z taką siłą, że aż zęby mu zadzwoniły.

– Przecież pan się zaraz weźmie i zabije – mruknęła Shelby, zawracając.

Podniosła go z taką miną, jakby schylała się po przewrócone widły. Musiał jednak przyznać, że choć sięgała mu zaledwie do piersi, była na tyle silna, żeby wytaszczyć go z boksu, a potem ze stajni i poprowadzić przez trawnik do jego domku.

Kiedy już znaleźli się w środku, wskazał głową swój fotel.

– Tam będzie...

– Jest pan wyziębiony. Nie ma mowy.

Zanim się obejrzał, posadziła go na sedesie i zaczęła napszczać wody do wanny.

– Dalej już sam dam sobie radę, dzięki – burknął, przechylając się w bok i pozwalając, by podparła go ściana.

Zamykał właśnie oczy, gdy Shelby strzeliła go w twarz.

– Pobudka!

Pieczenie na policzku rzeczywiście nieco go ocuciło. Zaczął pocierać zaczerwienione miejsce.

– Miałaś z tego radochę?

– Owszem. I zrobię to jeszcze raz, jak będzie trzeba. – Wcisnęła mu do ust szczoteczkę. – Teraz zęby.

Trudno się mówiło z tą przekłętą szczoteczką w ustach, więc posłusznie wyszorował uzębienie z lewej i prawej strony, z przodu z tyłu. A potem się nachylił i splunął do umywalki.

– Wcale nie jest aż tak zimno – powiedział.

– A skąd niby miałby pan to wiedzieć? Jest pan zalany w trupa. Tak naprawdę w ogóle nie był pijany – i pewnie po części właśnie dlatego tak fatalnie się czuł. Po raz pierwszy od nie wiadomo jak dawna nic nie pił poprzedniego wieczoru...

– Co ty robisz? – spytał, gdy zaczęła szarpać jego polar.

– Zdejmuję panu ubranie.

– Coś takiego!

Podczas gdy mocowała się z jego odzieżą, przyglądał się jej ciału. Trudno było cokolwiek dostrzec przez bluzę, postanowił więc sięgnąć ku niej, żeby sprawdzić, jaką ma talię.

Zamarła, a potem zrobiła krok w tył.

– To mnie nie interesuje.

– Dlaczego więc mnie rozbierasz?

– Bo ma pan sine usta.

– Zakręć wodę – powiedział, wskazując kran. – Dam już sobie radę.

– Utopi się pan.

– I co z tego? Poza tym naprawdę nie chcesz oglądać tego, co mam pod ubranem.

– Będę czekała w pokoju, przy fotelu.

– I na pewno mnie miło powitasz – mruknął pod nosem.

Delikatnie zamknęła za sobą drzwi, a on nawet się nie ruszył.

Oparł się tylko znów o ścianę i patrzył na parującą wodę.

– Nie słyszę chlapania! – zawołała z pokoju Shelby.

– Za mało tej wody, żebym mógł popływać!

Puk-puk-puk!

– Wskakuj pan, panie Baldwine!

– Pan Baldwine to mój ojciec. Czyli ostatni kutas. Ja jestem Edward.

– Przestań gadać i wskakuj do wody!

Pomimo otępienia czuł, że ta dziewczyna swoim zachowaniem budzi w nim jakiś szczególny... chyba po prostu szacunek.

Ale co to kogo obchodzi.

Bam!-bam!-bam!

– Rozwalisz te drzwi! – wrzasnął, przekrzykując jej łomotanie. –

Myślałem, że nie chcesz podziwiać mnie nagiego...

– Do wody! Już! – zakomenderowała. – Pewnie, że nie chcę, ale lepsze to, niż oglądać trupa.

– A to już kwestia gustu, moja droga.

A jednak, z jakiegoś całkiem niezrozumiałego powodu, postanowił zastosować się do jej komendy.

Przytrzymując się umywalki i staroświeckiego zbiornika spłuczki, podciągnął się i stanął na nogi. Z ubraniem trochę się mozolił, ale jakoś zdołał je zdjąć... a potem wszedł do wanny. O dziwo, ciepła woda miała efekt odwrotny do zamierzonego: zamiast go rozgrzać, spowodowała, że dopiero teraz poczuł się naprawdę zziębnięty i zaczął tak się trząść, że woda w wannie aż się burzyła.

Założył ramiona na piersi. Zęby mu dzwoniły, a serce ledwo biło.

– Wszystko w porządku? – dopytywała się

Shelby. Nie odpowiadał, zawołała więc głośniej:

– Edward?

Drzwi otworzyły się z hukiem i wpadła do łazienki, jakby miała zamiar zabawić się w ratowniczkę i wyciągnąć go z bezkresnej otchłani starej wanny.

To było straszne... Gdy na niego spojrzała, potrafił tylko patrzeć tępo w mętną wodę, z nadzieją, że nie widać przez nią jego patykowatych nóg, zwiotczającego członka i białej skóry z fioletowymi bliznami.

Był niemal pewien, że Shelby zamarła, zszokowana.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej.

– Ładny widok, co? Możesz wierzyć lub nie, ale to wszystko całkiem nieźle funkcjonuje. No, viagra trochę pomaga. Bądź tak miła przynieś mi jakąś butelkę. Chyba jestem na głodzie i dlatego tak się trzęsę.

– Czy... – Shelby odchrząknęła. – Wezwać lekarza?

– Nie, wystarczy mi jim beam. Albo jack daniel's.

Ona jednak wciąż się na niego gapiała. Wskazał otwarte drzwi za jej plecami.

– Mówię poważnie. Potrzebny mi alkohol. Jeśli chcesz mnie ocalić, to mi jakiś przynieś. I to zaraz, teraz.

Shelby Landis wyszła z łazienki i zamknęła za sobą drzwi ze szczerym zamiarem przyniesienia Edwardowi tego, o co ją prosił.

W końcu przecież miała już spore doświadczenie w opiece nad alkoholikami – i choć wcale takiego stylu życia nie pochwałała, jednak tysiące razy przynosiła tacie alkohol, i to zwykle z samego rana.

Teraz też miała taką intencję. Okazało się jednak, że nie jest w stanie się ruszyć, myśleć... ani nawet oddychać.

Nie była przygotowana na widok tego ciemnowłosego mężczyzny leżącego w wannie ze zwieszoną głową, jakby się wstydził swojego wychudzonego, okaleczonego ciała, jakby jego męska duma została nie mniej zmaltretowana niż pokryte bliznami ciało. Kiedyś był przecież kimś potężnym; ojciec jej opowiadał o jego silnej pozycji w biznesie, na torze i w towarzystwie. Kurczę, przecież od małości słyszała o wielkich Bradfordach. Ojciec nie pił nic innego, tylko ich nr 15, podobnie jak większość znanych jej koniarzy.

Zakryła twarz dłońmi i szepnęła:

– Coś ty mi zrobił, tato?

Dlaczego ją tu przysłał?

Dlaczego...?

– Shelby? – rozległo się nagłące wołanie z łazienki.

Boże, tak samo było z ojcem. On też w ten sposób wypowiadał jej imię, z nutą desperacji w głosie. Właśnie tak się zachowywał, kiedy rozpaczliwie pragnął szybko czegoś się napić.

Zamknęła oczy i cicho zaklęła. Potem jednak poczuła wyrzuty sumienia.

– Wybacz mi, Panie. Nie wiem, co powiedzieć.

Rozejrzała się po pokoju i dostrzegła cały rząd butelek stojących z brzegu półki, na której lśniły srebrne puchary. Na myśl, że ma mu dostarczyć tę truciznę, poczuła mdłości. Wiedziała jednak, że jeśli tego nie zrobi, on sam się tu przywlecze, a po drodze pewnie się przewróci i przywali w coś głową. I co to da? Wiedziała zresztą, jak to wszystko działa. Te straszne drgawki nie ustaną, dopóki siedząca w nim bestia nie dostanie tego, czego się domaga. A przecież on i bez tego wygląda jak cień człowieka.

– Idę! – krzyknęła. – Którą chcesz?

– Wszystko jedno!

Wybrała na chybił trafił butelkę dżinu i wróciła do drzwi łazienki. Już nawet nie pukała, tylko od razu weszła do środka.

– Proszę. – Otworzyła butelkę. – Napij się.

Ale ręce tak mu się trzęsły, że nie byłby w stanie utrzymać butelki i wszystkiego wokół nie ochlapać dżinem.

– Daj, potrzynam ci – szepnęła.

Na chwilę się zawahał, ale zaraz potem wyciągnął szyję i rozchylił usta, jak opuszczone przez matkę nowo narodzone źrebię.

Wypił dwa czy trzy głębokie łyki. A potem jeszcze jeden.

– No, wreszcie ciepło.

Postawiła butelkę koło wanny, żeby mógł po nią sięgnąć, gdy tylko zechce, a potem wzięła duży ręcznik kąpielowy i zanurzyła go w wodzie za jego plecami. Kiedy materiał już porządnie nasiąkł, owinęła nim jego tułów, zakrywając wystający kręgosłup i sterczące żebra. Następnie zaczęła moczyć mu włosy myjką, odgarniając je w tył.

Bez pytania przystawiła mu znów butelkę dżinu do ust, a on znów się napił, otwierając szeroko usta.

Potem umyła go mydłem i szamponem, co nasuwało jej skojarzenia z opieką nad uratowanym przed śmiercią zwierzątkiem. Edward trochę się opierał, był nieufny. I ledwo żywy.

– Musisz coś zjeść – powiedziała łamiącym się głosem.

Nie mam na to siły. Boże, nie dam rady znów się z tym zmierzyć.

Nie zdołała ocalić własnego ojca, szubrawca. Perspektywa utracenia kolejnego mężczyzny wydawała jej się skrajną życiową porażką.

– Zrobię ci potem śniadanie.

– Nie musisz.

– Tak, wiem – rzuciła szorstko.

– A więc znów to samo?

Na dźwięk męskiego głosu Lizzie przerwała przesadzanie kolejnej siewki bluszczu do nowej doniczki. Zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i starała się opanować drżenie rąk i niczego nie upuścić.

Czekała, aż Lane tu przyjdzie i ją znajdzie. Nie zajęło mu to zbyt dużo czasu.

– Tak? – mówił dalej. – Wróciliśmy do sytuacji, kiedy to na podstawie jakiejś wiadomości, która ci się nie podoba, od razu się ode mnie odcinasz? Bo jeśli powtarzamy ten scenariusz, a na to właśnie wygląda, chyba najlepiej zrobię, jak od razu wsiądę w samolot do Nowego Jorku i dam sobie z tym wszystkim spokój. Szybko, łatwo i bez nabijania sobie rachunku za telefon zostawianiem ci kolejnych wiadomości głosowych.

Lizzie zmuszała ręce do dalszej pracy: włożyła korzenie rośliny do zagłębienia utworzonego wcześniej w doniczce, a potem zaczęła je przysypywać świeżą ziemią.

– Na podstawie wiadomości, która mi się nie podoba – powtórzyła za nim. – Tak, można tak powiedzieć: informacja, że twoja żona znów jest w ciąży, to wiadomość, której istotnie wolałabym nie usłyszeć. Zwłaszcza że dotarła do mnie zaraz po tym, jak się z tobą kochałam.

A do tego jeszcze ta sensacyjka, że aresztowano cię za spowodowanie u niej ciężkich obrażeń, przez które trafiła do szpitala.

Lane milczał, więc na niego zerknęła. Stał zaraz przy wejściu do szklarni, przy stanowisku pracy, które normalnie zajmowałaby Greta, gdyby Lizzie jej nie powiedziała, że potrzebuje spędzić trochę czasu w samotności.

– Naprawdę sądzisz, że byłbym zdolny zrobić coś takiego? – spytał w końcu cicho.

– Nie jestem w stanie tego stwierdzić – odparła, zwracając się znów ku doniczce, wściekła na siebie samą, że to mówi. – Ale powiem jedno: najlepszą wskazówką pozwalającą ocenić czyjeś zachowanie w przyszłości jest to, jak zachowywał się wcześniej. A ja nie mogę... Nie mogę już dłużej tkwić z tobą w tym układzie. Bez względu na to, czy

cokolwiek z tych sensacji jest prawdą.

Uklepała ziemię w doniczce, po czym sięgnęła po konewkę i przechyliła ją nad korzeniami bluszczu. Za trzy miesiące roślina będzie gotowa, żeby ją przesadzić na jedną z grządek albo pod któryś mur lub może do donicy na tarasie. Jak dotąd nie mieli tutaj z tą odmianą bluszczu żadnych kłopotów, ale zawsze dobrze mieć kilka zapasowych pnączy.

Wytrzeła ręce o fartuch i odwróciła się w stronę Lane'a.

– Odchodzę stąd. Złożyłam już wypowiedzenie. Nie musisz więc uciekać do Nowego Jorku.

Bez trudu spojrziała mu w oczy. Patrzyła mu bojowo prosto w twarz.

To zadziwiające, jaką jasność człowiek zyskuje w relacjach z innymi, kiedy tylko sam wie, na czym stoi.

– Naprawdę sądzisz, że mógłbym coś takiego zrobić kobiecie – powtórzył.

Oczywiście, że nie – pomyślała. Ale nic nie mówiła, bo wiedziała, że jeśli naprawdę chce, żeby zostawił ją w spokoju, to – niestety! – najszybciej to osiągnie właśnie tego rodzaju insynuacją, którą zrani jego męską dumę.

– Lizzie, odpowiedz mi na pytanie.

– To nie moja sprawa. I tyle.

Po dłuższej chwili pokiwał głową.

– Okej. Jak uważasz.

Odwrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu. Musiała przyznać, że nieco ją to zaskoczyło. Spodziewała się z jego strony długiej, męczącej dyskusji, naporu argumentów, które musiałaby odpierać. Jakiegoś „kocham cię, Lizzie, naprawdę”.

– Życzę ci szczęścia, Lizzie – powiedział na odchodne. – Trzymaj się.

I... tyle.

Drzwi same się za nim zamknęły. Przez ułamek sekundy czuła absurdalny impuls, żeby za nim pobiec i wykrzyknąć mu w twarz, że jest pierdolonym dupkiem, który ją podstępnie uwiódł, ostatnim łotrem, dokładnie takim, jak się obawiała: kłamliwym uprzywilejowanym

sadystą, który wykorzystuje kobiety, ale nie ma pojęcia...

Resztką sił się powstrzymała.

Jeśli można było wysnuwać jakiegokolwiek wnioski na podstawie jego pożegnania, miał gdzieś, czy ona w jego życiu nadal jest, czy nie.

Dobrze wiedzieć – pomyślała gorzko. Dobrze wiedzieć.

To jest tak – myślał Lane, wsiadając za kierownicę swojego porsche. Czasem w życiu, choćby bardzo się chciało o coś walczyć, trzeba sobie odpuścić. Nie musi ci się to podobać, nie musisz czuć się świetnie, że ci, kurwa, nie wyszło, i na pewno nie wyjdiesz z tego główna bez szwanku, bo taka strata potrafi człowieka mocno poharatać, a nawet trwale okaleczyć. Ale trzeba sobie odpuścić, ponieważ wkładanie energii w beznadziejną sprawę nic nie da, lepiej więc jak najszybciej zacząć się z tym oswajać.

Była to chyba jedyna nauka, jaką wyciągnął z relacji z ojcem. Czy nie chciałby mieć w nim męskiego wzorca, budzącego podziw, napełniającego go dumą i poczuciem, że jest szanowany? Jeszcze jak! Czy nie byłoby świetnie dorastać w domu, w którym odgłos mokasynów kroczących po marmurowej podłodze lub zapach dymu z papierosa nie powodują, że człowiek myśli tylko, gdzie się schować? No, ba! Czy przydałaby mu się czasem ojcowska rada, zwłaszcza w sytuacjach takich jak ta?

Owszem. Przydałaby się.

Ale tak to niestety nie wyglądało – i musiał się do tego przyzwyczaić, bo w przeciwnym razie by oszalał, starając się wyciągnąć coś z porażki, której nie potrafił w żaden sposób przekuć w nic dobrego.

Z tego samego powodu jeśli Lizzie King naprawdę wierzyła, że wedle jakiegokolwiek, choćby najmniejszego prawdopodobieństwa on mógłby podnieść rękę na kobietę, że mógłby kłamać jej w żywe oczy na temat Chantal, że ta jej ciąża mogła być jego sprawką – wówczas dla ich związku nie było żadnej nadziei. Cokolwiek by jej powiedział, jakkolwiek by próbował wszystko tłumaczyć... tak naprawdę w ogóle go nie znała, a co gorsza mu nie ufała.

A że to wszystko bzdury? Że Chantal po raz kolejny swoimi kłamstwami odebrała mu szansę na miłość?

Taki los.

Tra-la-la.

Poproś Świętego Mikołaja, żeby ci przyniósł nowego ojca.
Albo Wróżkę Zębuszkę, żeby ci załatwiła jakąś inną byłą żonę.

A zresztą...

W chmurze pyłu opuścił wzgórze Easterly, a potem wjechał na autostradę i podwójnie przekroczył dopuszczalną prędkość, jadąc na lotnisko – nie żeby się specjalnie spieszył czy obawiał spóźnienia, tylko tak sobie, bo co mu, kurwa, zrobią? Samochód sobie poradzi, a on tym razem siedzi za kierownicą zupełnie trzeźwy.

Zjazd na część lotniska zarezerwowaną dla lotów prywatnych był na samym początku sieci dróg oplatającej ogromny teren lotniska. Lane wjechał na wąską szosę prowadzącą na oddzielny terminal. Zaparkował przed podwójnymi drzwiami i wysiadł, zostawiając włączony silnik.

Jeff Stern właśnie wchodził do tej oazy luksusu. Choć zaledwie kilka dni upłynęło od chwili, gdy Lane grał z nim w pokera w towarzystwie tamtej irytującej panienki, a potem wstał, żeby odebrać telefon, zdawało się, że minęły całe wieki.

Jak mógł się spodziewać, jego stary kumpel wyglądał jak typowy człowiek z Wall Street: markowe okulary, ciemny garnitur, śnieżnobiała koszula. Miał nawet czerwony krawat człowieka sukcesu.

– Mogłeś włożyć szorty – powiedział Lane, gdy ściskali sobie dłonie.

– Przyleciałem prosto z biura, dupku.

Właśnie ten akcent, jednocześnie obcy i tak bardzo znajomy, Lane pragnął usłyszeć.

– Boże, wyglądasz koszmarnie – powiedział Jeff, gdy przywieziono mu bagaż. – Życie rodzinne najwyraźniej ci nie służy.

– W każdym razie na pewno nie z moją rodziną. Słuchaj, czy twój samolot wciąż tu jeszcze jest?

– Jeszcze przez chwilę. Nabiera paliwa. A dlaczego? – Widząc wzrok Lane'a utkwiony w pasach startowych, Jeff zaklął. – Nie. Nie, nie, nie. Nie ściągnąłeś mnie tu na Południe tylko po to, żeby narobić rabanu, a potem spokojnie sobie wrócić na Manhattan. Bądź poważny, Lane.

Lane stał przez chwilę w rozkroku. Nie wiedział, czy zostać (wyłącznie po to, żeby przyprzeć ojca do ściany na jak najwięcej

sposobów), czy wyjechać (bo miał już tego burdelu szczerze dosyć). Wychodziło na to, że jednak mają z Lizzie coś wspólnego. Oboje chcą się trzymać od niego jak najdalej.

– Lane?

– Chodźmy – powiedział, dając napiwek bagażowemu i chwytając dwie skórzane walizki starego kumpla. – Kiedy ostatnio byłeś w Easterly?

– Na derby, chyba milion lat temu.

– Nic się tu nie zmieniło.

Gdy wyszli na zewnątrz, otworzył bagażnik i włożył do niego walizki, a potem ruszyli, szybko objechali lotnisko i popędzili autostradą.

– To co, Baldwine, poznam tę twoją kobietę?

– Raczej nie. Złożyła wypowiedzenie.

– No cóż, szybko się to potoczyło. Przykro mi.

– Nie udawaj, że nie dotarły do ciebie tutejsze wiadomości.

– No tak, trudno przed nimi uciec. Mam podejrzenie, że udało ci się osobiście wskrzesić papierowe media. Gratuluję!

Lane zaklął, wyprzedzając ciężarówkę.

– Nie zabiegałem o takie wyróżnienie, mogę cię zapewnić.

– Ale czekaj, jakie wypowiedzenie? Chcesz powiedzieć, że ona pracuje dla waszej rodziny? To coś jak z filmu *Sabrina*, stary capie?

– Lizzie jest głównym konserwatorem terenów zielonych w naszej posiadłości. Lub raczej była.

– Aha, czyli to nie żadna zwykła ogrodniczka, co? No pewnie. Przecież nie cierpisz głupich kobiet.

Lane spojrzał na niego.

– Nie gniewaj się, stary, ale wolałbym porozmawiać o czymś innym. Może na przykład o tym, że moja rodzina zaraz może stracić wszystkie zasoby finansowe? O czymś lekkim, co mnie podniesie na duchu.

Jeff pokręcił głową.

– Wiesz dość wystrzałowe życie, mój przyjacielu.

– Chcesz się zamienić? Bo w tej chwili szukam tylko sposobu, jak się z tego wszystkiego wywinąć.

Gdy Lizzie wróciła wieczorem do domu, na podwórku nie było już szczątków drzewa.

Wysiadła z pikapa i rozejrzała się dokoła. Zmiażdżona toyota wciąż stała w tym samym miejscu – zgruchotany samochodzik z wybitymi szybami i wnętrzem przemoczonym i pełnym liści wyglądał jak element jakiejś gry wideo. Lecz konar drzewa znikł – na jego miejscu nie zostało nic oprócz leżących na ziemi świeżych trocin o słodkawym zapachu.

Nie waż się, Lane – pomyślała. Ani się waż w jakikolwiek sposób mi pomagać.

Zadarła głowę i spojrzała w górę. Poszarpana część drzewa, gdzie odłamał się konar, została starannie przycięta i zabezpieczona, żeby mogła się zasklepić, dzięki czemu jej wspaniały klon będzie mógł przetrwać ten uszczerbek.

– A niech cię szlag!

Przynajmniej toyotę zostawił na miejscu. Gdyby ją też zabrał, musiałyby się z nim skontaktować, żeby się dowiedzieć, gdzie może odebrać szczątki, jeśli można to tak określić.

Mogła przewidzieć, że tak łatwo to się między nimi nie skończy. Idąc na werandę, cały czas w myślach się z nim kłóciła...

Oparła stopę o pierwszy schodek i zamarła. Do drewnianej ramy moskitiery przyczepiono kartkę.

Świetnie. Co teraz? Jakież: „Skoro już nieco ochłonęliśmy, to może...”? Bla-bla-bla.

Przecież on jest chory!

Miała rację, że go zostawiła. Choć odchodząc, czuła, że umiera, to po prostu musiała od niego uciec, zostawić za sobą Easterly i cały ten dziwny odcinek życia, który wydawał jej się teraz złym snem.

Zmusiła się do zrobienia kroku naprzód, a potem podeszła do moskitiery i zdarła z niej kartkę. Chciała ją wyrzucić, ale jakaś chora potrzeba grzebania w starych ranach jej na to nie pozwoliła.

Rozwinęła złożony papier i...

Witaj sąsiadko. Krowy nam się rozlazły i podeptały ci grzondki za

*domem. Z kwiatami sobie nie radze, więc sie zajolem tym drzewem.
Żona upiekła placek, zostawiłem w kuchni.*

Buella i Ross

Lizzie odetchnęła i poczuła, jak zalewa ją fala skrajnego wyczerpania. Zamiast wejść do domu, podeszła do bujanej ławeczki na werandzie i usiadła. Huśtała się, zaczepiając stopą o deski podłogi, słuchała cykania świerszczy i trzeszczenia stalowego łańcucha przyczepionego do sufitu. Czuła na twarzy łagodny, ciepły wietrzyk i patrzyła, jak luna gasnącego słońca gęstnieje i przybiera kolor brzoskwiniowy, rzucając długie cienie na powierzchnię poczciwej ziemi.

Musi zasadzić rośliny w donicach na werandzie. Nie, nic nie musi.

Przynajmniej ma na dzisiaj pyszny deser. Buella piecze niebiańskie ciasta. Może tym razem zrobiła brzoskwiniowe? Albo... jagodowe?

Przetarła oczy i ze zdziwieniem patrzyła na mokre opuszki palców.

To straszne, że musi to wszystko zostawić, żeby się ocalić. To trochę jak amputacja chorej kończyny.

Przecież świetnie sobie radziła.

Dopóki nie zjawił się Lane, który nie wiadomo po co musiał tu wrócić i wszystko zepsuć.

– Tyle mniej więcej Edwardowi udało się stamtąd wydobyć – powiedział Lane, chodząc tam i z powrotem po pokoju gościnnym, w którym zakwaterował Jeffa.

Był to najlepszy z dostępnych apartamentów, z oknami wychodzącymi na ogród i rzekę. Stało tam biurko, które wielkością spokojnie mogłoby konkurować z kuchennym blatem. Przed milionami lat mieszkał tu dziadek Lane'a, a po jego śmierci jedyną ingerencją w pozostawioną przez niego przestrzeń było regularne sprzątanie.

Kiedy Jeff wszedł do środka, rzucił tylko standardowy cierpki komentarz w rodzaju: „Czy to tu mieściła się kwatera główna dowódców wojny secesyjnej?”

Jak jednak można było przewidzieć, gdy zobaczył przed sobą zdobyte przez Edwarda dokumenty finansowe, natychmiast porzucił dowcipkowanie i skupił się na powierzonym mu zadaniu.

– Zresztą już prawie czas na kolację – powiedział Lane, patrząc na

zegarek. – Mamy tu w zwyczaju przebierać się w stroje wieczorowe. To znaczy wszyscy poza mną. Czyli możesz iść w tym garniturze.

– Przynieś mi coś tu, na górę – mruknął Jeff, który właśnie bez odrywania wzroku od ekranu komputera szybkim ruchem zdjął krawat.

– Potrzebny też mi będzie jakiś notes i coś do pisania.

– Chcesz powiedzieć, że nie masz ochoty popatrzeć, jak rzucamy sobie z ojcem wściekle spojrzenia znad sufletów? – Tak jakby sam się już nie mógł tego doczekać. – Miałbyś też okazję poznać cudownego narzeczonego mojej siostry. Gość ma tyle uroku co nowotwór.

Jeff nie odpowiadał. Lane podszedł do niego i spojrzał przez jego ramię na ekran.

– Powiedz, że coś z tego rozumiesz.

– Jeszcze nie, ale zrozumiem.

Właściwy człowiek na właściwym miejscu – pomyślał Lane, wychodząc.

Gdy znalazł się na korytarzu, nagle się zorientował, że wpatruje się w drzwi matki. Może Edward miał rację? Może gdyby wszystko nagle zniknęło, matka nawet by tego nie zauważyła? Rozliczne leki spowijały ją bezpiecznym kokonem nieświadomości – co po raz pierwszy w życiu poniekąd zaczynało mu trafiać do przekonania.

A skoro już o tym mowa, może by tak napić się bourbona?

Lane ruszył ku głównym schodom. Uznał, że sam też sobie daruje kolację. Wciąż chciał obić ojcu mordę, ale miał teraz nadzieję, że dzięki Jeffowi uzyska znacznie lepsze możliwości, żeby dać staremu do wiwatu.

Potem zaś zamierzał pójść za przykładem Lizzie i uciec od tego wszystkiego.

To miejsce było dla niego zbyt przeładowane, bizantyjskie, zanieczyszczone.

Może wróci do Nowego Jorku? A może czas już wypuścić się na głębsze wody i ruszyć gdzieś za granicę?

Lane zatrzymał się w połowie schodów.

W holu poniżej stał Mitch Ramsey w towarzystwie dwóch policjantów. Trzymali czapki w dłoniach i mieli twarze kompletnie pozbawione wyrazu, jakby ich tego uczono na specjalnych kursach.

Jasna cholera! – pomyślał Lane, zamykając oczy.

Najwyraźniej Samuelowi nie udało się wszystkiego załatwić dzięki sieci kontaktów.

– Pójdę tylko po portfel! – zawołał. – I zadzwonię po mojego prawnika...

Mitch spojrzał w górę akurat w chwili, gdy z jadalni przybiegł pan Harris.

– O, pan Baldwin – powiedział kamerdyner. – Przyszli do pana ci panowie.

– Domyśliłem się. Idę tylko po...

– Czy możemy porozmawiać na osobności? – przerwał mu Mitch. Lane zmarszczył brwi.

– Wolałbym, żeby był przy tym mój prawnik.

Mitch pokręcił tylko głową. Lane zerknął na jego towarzyszy – żaden nie patrzył mu w oczy.

Lane zszedł na dół i wskazał ręką kierunek.

– Proszę do salonu.

Cała czwórka weszła do elegancko urządzonego pomieszczenia, a pan Harris zamknął za nimi podwójne drzwi do holu; w ramach niemego porozumienia nikt się nie odzywał, dopóki kamerdyner nie podszedł do drzwi po drugiej stronie i również ich nie zamknął.

Lane założył ramiona na piersi.

– Co się dzieje, Mitch? Potrzebna wam trójka? Najpierw Gin, potem ja, może teraz ojciec?

– Z ogromną przykrością informuję, że...

Lane poczuł, jak całe jego ciało przenika zimny dreszcz przerażenia.

Tylko nie Edward – pomyślał. Boże, błagam, tylko nie Edward...

– ...około dwóch godzin temu z rzeki wyłowiono ciało. Mamy powody przypuszczać, że są to zwłoki twojego ojca.

Lane wypuścił powietrze z płuc długim, dziwnie spokojnym wydechem.

– Co...? – Odchrząknął. – Gdzie je znaleziono?

– W załomie za wodospadami. Proszę, żebyś z nami pojechał zidentyfikował zwłoki. Zwykle prosi się o to najbliższego członka

rodziny, ale zawsze staram się unikać stawiania żony w takiej sytuacji.

W ramach odpowiedzi Lane podszedł do wózka na napoje i nalał sobie rodzinnej rezerwy. Wychylił szklanę, po czym skinął głową Mitchowi i jego towarzyszom.

– Dajcie mi chwilę. Zaraz wracam.

Gdy przechodził obok Mitcha, ten wyciągnął rękę i złapał go za ramię.

– Bardzo mi przykro.

– Wiesz, niestety nie mogę powiedzieć tego samego – odparł ponuro Lane.

Nie mówił nikomu, dokąd się wybiera i po co.

Gdy po wizycie w swoim pokoju znów zszedł na dół, miał przy sobie komórkę i portfel. Starał się nie zwracać na siebie uwagi ludzi zebranych w jadalni na kolacji i zajętych spokojną rozmową.

Nie, nikomu nic nie będzie mówił, dopóki nie zyska pewności.

Wsiadł do służbowego SUV-a Mitcha tylnymi drzwiami, zamknął je za sobą i gapił się przez okno wprost przed siebie. Gdy

Mitch siedział już za kierownicą, Lane spytał:

– Czy ktoś już wie?

– Na razie staramy się nie robić szumu. Ciało zostało wyrzucone przez rzekę na skarpę przy hangarze dla łodzi, jakieś pół kilometra od wodospadów. Ludzie, którzy nam to zgłosili, to wyjątkowo przyzwoici obywatele. Byli wstrząśnięci i nie chcieli skupiać na sobie uwagi mediów ani mieć u siebie tłumu reporterów. Ale długo się tego nie da utrzymać w tajemnicy.

Jazda do kostnicy była przedziwna. Czas płynął niezmiernie powoli, wszystko zdawało się zbyt jaskrawe, zbyt wyraźne, zbyt głośne. A gdy znaleźli się już wewnątrz nieciekawego, choć pewnie bardzo funkcjonalnego budynku, wrażenie to się spotęgowało: Lane czuł się tak, jakby był na haju, jakby otaczał go surrealistyczny świat rodem z szalonej ilustracji.

Potrafił już tylko podążać za Mitchem krok w krok. Wkrótce znaleźli się w odosobnionej salce wielkości spiżarni, gdzie mieli chwilę poczekać.

Pośrodku ściany przed nimi wisiała zaciągnięta zasłona, za którą, jak podejrzewał, musiało być spore przeszklone okno. Zaraz obok znajdowały się drzwi.

– Nie – powiedział Lane do Mitcha. – Chcę mu spojrzeć prosto w twarz.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

– Słuchaj, Lane. Ciało jest w złym stanie. Przeleciało przez wodospady, niewykluczone, że po drodze obilo się o barkę. Będzie łatwiej...

– Nie interesuje mnie, jak byłoby łatwiej – przerwał Lane, wbijając w niego wzrok. – Chcę tam wejść.

Mitch zaklął.

– Daj mi chwilę.

Gdy zniknął za drzwiami, Lane odczuł ulgę, że wiceszeryf nie stawiał większego oporu. Wolał bowiem nie przyznawać przed nim, że tak naprawdę chciał zobaczyć ciało z bliska po to, żeby się upewnić, że ojciec nie żyje.

Co oczywiście nie było mądre.

Przecież cała ekipa policji nie traciłaby czasu na wymyślanie takich głupot.

Mitch wrócił i otworzył drzwi.

– Wejdz.

Lane miał do końca życia zapamiętać chwilę, w której wchodził do wykafelkowanego wnętrza. Chryste, było dokładnie tak jak w filmach. Pośrodku pomieszczenia na stalowym stole na kółkach leżał worek na zwłoki.

Nasunęło mu się absurdalne skojarzenie, że taki sam, w jakim umieszczono ciało pani Rosalindy.

Z boku stała kobieta ubrana w biały fartuch, ze złożonymi na brzuchu dłońmi w rękawiczkach.

– Jak tylko będzie pan gotów...

– Już jestem.

Wyciągnęła rękę i otworzyła suwak na około pół metra. Potem rozchyliła poły pokrowca.

Lane się pochylił, ale gdy tylko poczuł zapach wody i zgnilizny, zaraz się cofnął.

Nie spodziewał się, że ojciec będzie miał otwarte oczy.

– To on – wykrztusił.

– Bardzo mi przykro – powiedziała koronerka, po czym zaczęła z powrotem zasuwać zamek.

Czuł, że powinien wyjść, ale wciąż stał w miejscu i gapił się na worek na zwłoki.

W jego głowie zderzały się najróżniejsze obrazy, tworząc płataninę zdarzeń z bliższej i dalszej przeszłości.

Ale żadnej przyszłości już z nim nie będzie – pomyślał. Od tej chwili ten człowiek nie będzie się już nigdzie pojawiał.

Boże, pośród wszystkich jego wcześniejszych wizji zakończenia spraw między nimi w ogóle nie było nic przypominającego tę cichą chwilę w zimnym sterylnym pomieszczeniu, z Mitchem Ramseyem po jednej stronie i całkiem obcą kobietą po drugiej.

– Co teraz? – spytał nieoczekiwanie dla siebie samego. Mitch odchrząknął.

– Nieoficjalnie mogę ci powiedzieć, ale nie trzymaj mnie za słowo: jesteśmy niemal całkiem pewni, że to samobójstwo. Zważywszy na wszystko, co... no, wiesz.

– Tak. Oczywiście – powiedział Lane.

A przecież oni nawet jeszcze nie wiedzą o jego zadłużeniu – pomyślał. Co za pieprzony tchórz. Narobił takiego potwornego bałaganu, a potem uznał, że się z niego wykaraska, rzucając się z mostu. Skończony dupek!

– Chcielibyśmy, żebyś wyraził zgodę na sekcję – powiedział Mitch. – Tylko po to, żeby wykluczyć ewentualne przestępstwo. Ale powtarzam: raczej nie podejrzewamy.

– Jasne – odparł Lane, zerkając na wiceszeryfa. – Słuchaj, chciałbym mieć trochę czasu, zanim to wycieknie do mediów. Muszę powiedzieć mamie, braciom i siostrze. Nawet nie wiem, jak się skontaktować z Maxwelllem, ale nie chciałbym, żeby się o tym dowiedział z wieczornych wiadomości. Albo co gorsza z jakiegoś brukowca.

– Zrobimy wszystko, żeby odpowiedzieć na potrzeby twojej rodziny.

– Postaram się to jak najszybciej załatwić.

– To by nam wszystkim ułatwiło dalsze działania.

Nagle nie wiadomo skąd pojawiła się podkładka. Kładziono na niej kolejne dokumenty, które musiał podpisać. Gdy oddawał kobiecie długopis, pomyślał: „Jasny gwint, trzeba będzie zaplanować pogrzeb”.

Choć szczerze mówiąc, oddawanie w jakikolwiek sposób honorów ojcu nie całkiem mieściło się w sferze jego zainteresowań.

– Nie jestem głodny.

Edward siedział w swoim fotelu, w pełni świadomy, że zachowuje się jak czterolatek odmawiający zjedzenia obiadu – ale nic go to nie obchodziło.

Nie miało też znaczenia, że zapachy dochodzące z kuchni gwałtownie pobudziły jego apetyt.

Shelby jednak puszczała jego słowa mimo uszu.

– Proszę.

Postawiła na stole miskę gulaszu, zaraz obok jego butelki... co to teraz było? A, tequila. Świetnie będzie pasować do mięsnego sosu.

– Jedz – zakomenderowała tonem sugerującym, że jeśli sam się nie weźmie do roboty, to ona wszystko zmiksuje, a następnie wpuści mu przez rurkę do gardła.

– Wiesz, że w każdej chwili możesz stąd wyjść? – mruknął.

Na litość boską, ta kobieta była w jego domu już cały dzień: sprzątała, robiła pranie, gotowała. Przypomniawszy jej kilka razy, że została zatrudniona do zajmowania się końmi, a nie właścicielem stadniny, ale to też puszczała mimo uszu.

Jasna cholera, ale to dobre – pomyślał, gdy w końcu wziął trochę gulaszu do ust.

– Chcę cię umówić na wizytę u lekarza.

Odetchnął z ulgą, słysząc odgłos samochodu zajeżdżającego pod dom. Nie bardzo mógł sobie przypomnieć, jaki to dzień tygodnia, i miał nadzieję, że jakimś cudem znów jest piątek. Ucieszyłby go widok prostytutki gotowej się nim zająć. Jak ta tutaj chce, może sobie popatrzeć – chociaż niespecjalnie jest na co...

Przez ułamek sekundy wspominał to uczucie, gdy Sutton siedziała na nim okrakiem i poruszała się w górę i w dół, patrząc mu w oczy.

Przeszył go ostry ból w klatce piersiowej. Zaczął jeść szybciej, żeby się pozbyć bolesnych wspomnień.

Rozległo się głośnie pukanie.

– Wcielisz się w rolę gospodyni? – spytał Shelby. – Jeśli to kobieta, zaproś ją do środka. A jeśli facet, powiedz mu, żeby się wynosił w cholere. Nie zapomnij użyć słowa „cholera”, dobrze? Oboje wiemy, że potrafisz.

Posłała mu tak wściekłe spojrzenie, że pewnie zwałiłoby go z nóg,

gdyby nie to, że i tak już siedział.

Ale poszła otworzyć.

Po czym powiedziała:

– O rany...

– Kto to? – mruknął Edward. – Jakaś wróżka do ciebie? Ale do środka wszedł Lane.

Edward zaczął kręcić głową.

– Cokolwiek to jest, musisz poprosić kogoś innego. Mówiłem ci, że już więcej nie będę ci pomagać...

– Możemy porozmawiać w cztery oczy? – spytał Lane tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Edward przewrócił oczami.

– Nie ma żadnego znaczenia, co powiesz.

– To sprawy rodzinne.

– Jak zawsze. – Widząc, że Lane nie rusza się z miejsca, Edward zaklął. – Cokolwiek to jest, możesz mówić przy niej.

Miał nadzieję, że obecność Shelby przynajmniej przyspieszy cały proces.

Lane obrzucił ją wzrokiem, a potem spojrzał znów na Edwarda.

– Ojciec nie żyje.

Shelby otworzyła usta zszokowana, a Edward pomału zanurzył łyżkę z powrotem w misce gulaszu. Potem zaś odezwał się ochryłym głosem:

– Shelby, możesz na chwilę zostawić mnie z bratem samego? Będę ci ogromnie wdzięczny.

Zabawne, jak w chwilach kryzysu odzyskiwał dobre maniere.

Gdy Shelby zamknęła za sobą drzwi, Edward wytarł usta papierową serwetką.

– Kiedy?

– Policja sądzi, że ostatniej nocy. Najprawdopodobniej skoczył z mostu. Rzeka wyrzuciła ciało na brzeg w zakolu po drugiej stronie. Edward oparł się w fotelu.

Chciał coś powiedzieć. Naprawdę chciał.

Tylko... zupełnie nie pamiętał co.

Lane najwyraźniej czuł się tak samo, ponieważ podszedł do

drugiego fotela stojącego w pokoju i też usiadł.

– Zanim przyjechałem tutaj, przekazałem tę wiadomość mamie. Ale chyba... Ona chyba nie ma pojęcia, co mówiłem. W ogóle nie kontaktuje. Powiedziałem też Gin. Zareagowała tak samo jak ty.

– Są pewni, że to on? – spytał Edward.

Z jakiegoś powodu ta kwestia wydawała się szczególnie frapująca. Choć przecież raczej trudno się po policji spodziewać tak gigantycznej pomyłki.

– To ja zidentyfikowałem ciało.

Edward zamknął oczy. A potem na chwilę znów zapaliło się w nim to dawne światelko.

– Nie powinieneś tego robić. To zadanie powinno przypaść mnie.

– Było okej. Nie miałem... – Lane wziął głęboki oddech. – Nie odczuwam jakiejś szczególnej reakcji. Pewnie słyszałeś wczorajsze wiadomości.

Edward spojrzał na niego.

– Jakie wiadomości?

Lane wybuchnął gorzkim śmiechem.

– Czasem lepiej nie mieć telewizji, co? Zresztą to bez znaczenia, naprawdę.

Siedzieli w milczeniu bardzo długo, niemal wieczność. Jakiś czas później Edward zdał sobie sprawę, jaka była tego przyczyna: czekał po prostu, aż zauważy w sobie jakąkolwiek reakcję. Może odrobinę żalu. Albo i, kurwa, radości.

Tymczasem nie czuł nic, jeśli nie liczyć dziwnego odrętwienia.

– Muszę znaleźć Maxa – powiedział Lane. – Policja nie poda tego do wiadomości publicznej, dopóki nie damy im znać, że jesteśmy gotowi złożyć odpowiednie oświadczenie, ale ten okres ochronny nie będzie trwał wiecznie.

– Nie wiem, gdzie on jest – mruknął Edward.

– Wciąż próbuję dzwonić pod numer, który dostałem dwa lata temu. Wysłałem mu też mejl na ostatni znany mi adres. Wydaje mi się jednak, że Max może być całkiem poza zasięgiem.

Znów cisza.

– Czy z Gin wszystko w porządku? – spytał Edward.

Lane pokręcił głową, a potem spojrzał na brata.
– A czy któreś z nas może tak o sobie powiedzieć?
Niestety, chyba żadne – pomyślał Edward.

Następnego ranka, gdy Lizzie szła po schodach dla personelu z bukietem w dłoni, cały czas układała sobie w głowie, co powie w razie konfrontacji.

Bardzo miło było chować się w szklarni, musiała jednak z niej wyjść. Zostało jej trzynaście dni do końca okresu zatrudnienia w Easterly i nie chciała przez ten czas migać się od pracy. Zawsze dostarczała świeże kwiaty do apartamentów. Miała swój harmonogram i zamierzała jak najlepiej wykonywać tę przeklętą robotę.

Gdy weszła już na piętro, wyprostowała się dumnie i ruszyła prosto do najlepszego pokoju gościnnego. Pan Harris mówił, że mają niespodziewanego gościa i że nie trzeba już wymieniać kwiatów w pokoju Chantal.

Dobrze wiedzieć – pomyślała Lizzie. Wielkie dzięki. Oznaczało to, że ma z głowy przynajmniej jedną pozycję z listy osób-którym-lepiej-schodzić-z-drogi.

Szkoda tylko, że numer jeden z tej listy wciąż mieszkał pod tym dachem.

– Trzynaście dni – szepnęła pod nosem. – Tylko trzynaście dni.

Stała przy szerokich drzwiach, zapukała i czekała. Po chwili odezwał się męski głos:

– Proszę!

Otworzyła szeroko drzwi i zobaczyła, że przy biurku dziadka Lane'a siedzi jakiś mężczyzna, pochylony nad laptopem. Obok niego pracowała drukarka, która wypluwała kolejne strony zapisane kolumnami cyfr, a u jego stóp leżały na podłodze zwinięte w kule żółte kartki z notesu.

Nawet nie podniósł wzroku.

– Przyniosłam tylko kwiaty – powiedziała.

– Mhm – mruknął w odpowiedzi.

Obok niego na parapecie stała taca pełna pustych naczyń po śniadaniu. Lizzie postawiła wazon na antycznej komodzie, a potem zaproponowała:

– Może zabiorę to na dół?

– Co? – wymamrotał, wciąż wpatrzony w ekran.

– Tę tacę.

– A, pewnie. Dziękuję.

On na pewno jest tu po to, żeby obejrzeć te pliki – pomyślała.
Te, które zostawiła pani Rosalinda.

Potem jednak przypomniała sobie, że to nie jej sprawa. Obchodząc biurko, dostrzegła dwie drogie walizki, z których jedna była otwarta i ukazywała panujący w środku chaos – choć Lizzie miała wrażenie, że ten facet się wcale nie przebierał, odkąd tu przyjechał. Jego biała koszula była całkiem pognieciona, podobnie zresztą jak spodnie.

To też nie jej sprawa.

Wzięła do rąk tacę i...

– O Boże!

Słyszając te słowa, w pierwszej chwili nawet na niego nie spojrzała, zakładając, że po prostu coś znalazł w tych swoich dokumentach. Potem jednak zdała sobie sprawę, że on patrzy na nią.

– Słucham? – spytała.

– Pani Lizzie, tak?

Aż się wzdrygnęła. Rozejrzała się dookoła, choć raczej nie mogła się spodziewać, żeby ktoś stał za jej plecami.

– Mmm, tak.

– Lizzie Lane’a. Konserwator terenów zielonych.

– Nie – zaprzeczyła. – Nie Lane’a.

Mężczyzna wyciągnął ręce nad głowę. Rozległa się seria trzasków. Lizzie zauważyła, że to całkiem przystojny facet o ciemnych włosach i oczach (może brązowych, a może niebieskich).

Mówił z typowo nowojorskim akcentem.

– Wow... – powiedział cicho. – Myślałem, że on zmyśla.

– Jeśli pan wybaczy... Mam pracę do wykonania.

– Teraz rozumiem, dlaczego przez dwa lata nikt inny go nie interesował.

O nic nie pytaj – mówiła sobie Lizzie. Nie pytaj!

– Słucham? – spytała wbrew sobie.

Diabli nadali!

– Przez całe dwa lata, nic a nic. Przecież byliśmy razem na

studiach, więc sam widziałem, jak pracował na swoją reputację. Ale w ostatnich latach nawet nie zbliżał się do kobiet. Już myślałem, że jest gejem. Nawet go o to pytałem. Choć oczywiście nie ma w tym nic złego – dodał, unosząc ręce.

Zaraz, zaraz, czy to nie tekst z jakiegoś sitcomu? – pomyślała Lizzie.

– Ja...

– Teraz przynajmniej rozumiem. – Mężczyzna uśmiechnął się, i to całkiem sympatycznie. – Lecz on mówi, że pani odchodzi. To wprawdzie nie moja sprawa, ale... Dlaczego? To dobry facet. Może nie doskonały, ale na pewno dobry. Choć nie radziłbym grać z nim w pokera, chyba że ma się trochę kasy do stracenia. Lizzie zmarszczyła brwi.

– Ja...

– Zresztą nawet nie wiedziałem, że ma żonę. Nic o niej nie opowiadał, a ja w ogóle jej nie poznałem. No a teraz dowiaduję się, że przez cały czas chodziło mu tylko o panią. Cóż, tak czy siak, czas wracać do pracy – rzucił lekko, jakby nie zdawał sobie sprawy, że właśnie wrzucił do pokoju granat.

Serce Lizzie gwałtownie przyspieszyło.

– Przepraszam, czy pan powiedział... że nic nie wiedział o jego małżeństwie? – spytała.

Facet znów na nią spojrzał.

– Nie, nigdy o niej nie wspominał. Ani razu przez dwa lata, w ciągu których spał na mojej kanapie. Dowiedziałem się dopiero parę dni temu, gdy do mnie zadzwonił.

– Ale musiał ją pan przecież widywać, prawda? Gdy go odwiedzała.

– Odwiedzała? Droga pani, jego nigdy nikt nie odwiedzał. Chyba bym o tym wiedział, bo on w ogóle nie wychodził z mojego mieszkania. Przez całą noc graliśmy w pokera, potem ja szedłem do pracy, a gdy wracałem, zastawałem go w dokładnie tej samej pozycji, w jakiej go rano zostawiałem. Z nikim się nie widywał, nie odbierał telefonów. Tu też w ogóle nie przyjeżdżał. Nigdzie nie podróżował. Zamknął się tylko w moim mieszkaniu i pił. Już się zaczynałem martwić, czy nie trafi

w końcu na dializę.

– Aha.

Uniósł brew, jakby pytał, czy Lizzie chce się jeszcze czegoś od niego dowiedzieć.

– Dziękuję – szepnęła.

– A ja dziękuję za kwiaty. Jeszcze nigdy nie dostałem kwiatów od kobiety.

A potem wrócił do swojej pracy, czyli znów zaczął z chmurną miną wpatrywać się w ekran.

Lizzie wyszła z apartamentu oszołomiona. Dopiero po chwili dotarło do niej, że powinna zamknąć za sobą drzwi.

Przez jakiś czas stała w korytarzu, a potem odwróciła głowę spojrzała na drzwi do pokoju pana Baldwine’a.

Jeśli Lane’a nikt nie odwiedzał, a on nie odbierał telefonów... Jeśli przez dwa lata spał na kanapie w Nowym Jorku, u starego kumpla...

A Chantal była rzekomo w ciąży...

I to z nim...

Lizzie nie całkiem świadomie podjęła decyzję o swoich dalszych ruchach. Zanim się zorientowała, postawiła tacę z naczyniami na dywanie przed pokojem gościnnym i na palcach przeszła kawałek dalej, aż do pokoju pana Baldwine’a. Przyłożyła ucho do drzwi.

A potem cicho zapukała.

Nikt nie odpowiadał. Zakradła się szybko do środka i zamknęła za sobą drzwi.

W apartamencie panowała jakaś dziwna atmosfera. Ale może tylko jej się zdawało – w końcu przecież wtargnęła tu bezprawnie, bo nie miała żadnego sensownego powodu, żeby tu przebywać.

To znaczy żadnego sensownego powodu związanego z wykonywaniem obowiązków służbowych.

Rozejrzała się dookoła, upewniła się, że na pewno nikogo nie ma w łazience, a następnie szybko przeszła do wielkiego łóżka, zasłanego z wojskową precyzją.

Uklękła i pochyliła głowę, żeby zajrzeć pod szafkę nocną i ramę łóżka.

Jedwabna szmatka wciąż tam była, na podłodze.

Lizzie wyciągnęła rękę i...

Puk-puk-puk!

– Ręczniki, proszę pana!

Lizzie dała nura pod łóżko. Ledwo zdążyła schować nogi pod zwisającą kapę, gdy pokojówka otworzyła drzwi i weszła do środka.

Po jej cichym gwizdaniu i odgłosie miękkich kroków na dywanie można było się zorientować, że kobieta idzie do łazienki.

Błagam, tylko nie sprzątaj – myślała Lizzie, leżąc w ciemności. Zostaw tu te ręczniki i idź dalej. Zostaw ręczniki i idź dalej.

Boże drogi, jej przekłete serce waliło tak mocno, że lada chwila mogła je usłyszeć pokojówka.

Zaraz nastąpił jednak cud: kroki się oddaliły, a drzwi zamknęły. Z Lizzie opadło napięcie. Zamknęła oczy. No dobra, może jednak po zakończeniu pracy tutaj nie będzie rozważała kariery włamywaczki.

Chwyciła odnaleziony element bielizny i wepchnęła go sobie za pasek spodenek. Potem wygramoliła się spod łóżka, wstała, otrzepała się i wypuściła koszulkę, żeby zasłonić swoje znalezisko.

Podeszła do wyjścia z pokoju i...

O, cholera! Zaraz za drzwiami, na korytarzu pracował odkurzacz.

Na dole, w mieszkaniu Aurory, Lane z trudem próbował dojeść jajka na bekonie.

– Nie musisz wszystkiego dojadać – usłyszał.

– Chyba jeszcze nigdy nie słyszałem tego z twoich ust.

– Dziś ci daruję, masz taryfę ulgową.

Siedząc potem wygodnie w fotelu, spojrzał na jej wąską kuchnię. Pozmywane naczynia stały już na suszarce. Gąbka leżała w swoim pojemniczku, a ściereczka wisiała równo złożona na długiej rączce piekarnika.

– Myślisz, że pastor Nyce zgodzi się odprawić nabożeństwo?

– spytał Lane. – W kościele baptystów?

Aurora rzuciła mu baczne spojrzenie.

– Naprawdę byś tego chciał?

– Przecież to mój kościół. I Edwarda, i Gin, nawet Maxa. –

Spojrzał na nią. – Byłaś jedyną osobą, która nas w ogóle zabierała do kościoła.

– Po mojemu to byłby zaszczycony.

– Dobrze. Zadzwoń do niego.

Zapadło milczenie. Lane patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, nie skupiając się na niczym szczególnym. W głowie miał pustkę. Był całkiem odrętwiały, czuł się jak puste naczynie. Jakby nie tyle żył, co jedynie reagował na przejawy życia dookoła.

– Mojego błogosławieństwa to ty nie dostaniesz.

Lane się otrząsnął i znów na nią spojrzał.

– Słucham?

– Na pewno nie powiem, że nic nie będzie wielkiego, jak wyjedziesz.

Lane zmarszczył brwi i otworzył usta. A potem nagle wszystko siebie wyrzucił.

Co zabawne, nawet nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to na głos. Ale w końcu Aurora знаła go lepiej niż ktokolwiek inny.

– Z Lizzie mi nie wyszło. Po raz drugi. Ojciec nie żyje. Edward się wyprowadził. Mama jest... no wiesz. Gin ma zamiar wyjść za tego idiotę i pewnie zabierze ze sobą Amelię. Cała nasza epoka się skończyła. Co więcej, nie wiem, czy los pozwoli komukolwiek z nas tu pozostać. Easterly... – Zatoczył ręką koło, jakby wskazywał zarówno całą ziemię, jak i budynki oraz pracowników. – Easterly należy już do przeszłości, a ja nie potrafię żyć przeszłością, wiesz? To mnie zabija. Ta rodzina, ten dom, cały ten styl życia... To mnie po prostu zabija.

Aurora pokręciła głową.

– Nie tak na to patrzysz, jak żeś powinien.

– Nieprawda.

Siedząc w fotelu, pochyliła się w przód i ujęła jego dłonie.

– Tera jest twój czas, Lane. Pan Bóg ci powierzył święte zadanie, żebyś wziął i zebrał tę waszą rodzinę na powrót do kupy. Tylko ty dasz radę to zrobić. Wszystko znów powpada na swoje miejsca, bo jest ci pisane raz jeszcze scalić wasz ród. To się dzieje co kilka pokoleń. I tera nadszedł ten czas. To twój czas.

Lane patrzył na ich splecione palce – na przemian białe i czarne.

– To miało być zadanie Edwarda, wiesz?

– Nie. Bo wtedy by nie był tam, gdzie jest. – Głos Aurory nabrał

mocy. – Ja żem cię nie wychowywała na tchórza. Żem cię tak wychowywała, byś nie rzucił tego, co do ciebie należy, i nie uciekał ukradkiem. Jak mi chcesz oddać szacunek, jak już wezmę i odejdę, to najlepiej to zrobisz, prowadząc tę rodzinę naprzód. Całą, wszystkich do kupy. Ja już żem swoje święte zadanie wykonała, bom o ciebie zadbała. A ty, synu mego serca, masz tera zadbać o nich.

Lane zamknął oczy i poczuł nagły ciężar w całym ciele, jak gdyby ściany i dach rezydencji zawałyły się i go przygniotły.

– Zaweźmiesz się i to zrobisz. Zrobisz to dla mnie. Bo jak nie, to na nic te moje starania. Jak tego nie zrobisz, to będzie moja porażka.

Miał ochotę krzyczeć.

Oczami wyobraźni był już w samolocie, lecącym dokądkolwiek, byle dalej od Charlemont.

– Pan Bóg nie daje nam zadań, co ich nie damy rady dźwignąć – powiedziała poważnie Aurora.

A co, jeśli Pan Bóg tak naprawdę nas nie zna? – zastanawiał się Lane. Albo, co gorsza, jeśli po prostu się myli?

– Nie wiem, Aurora. Nie wiem.

– Ale ja wiem. A ty masz mnie nie zawieść. Masz to udźwignąć już.

Człowiek przekonuje się, czym jest wieczność, gdy tkwi w miejscu, w którym w ogóle nie powinno go być – myślała Lizzie. W dodatku z cudzą jedwabną haleczką wciśniętą za pasek swoich przeklętych szortów.

Gdy ucichły odgłosy na korytarzu, odczekała jeszcze pięć czy dziesięć minut, a potem ostrożnie wystawiła głowę na zewnątrz.

Pora obiadu – pomyślała. Chwała Bogu.

Wyskoczyła na sam środek korytarza, pozwalając, żeby drzwi same się za nią zamknęły, po czym stała przez chwilę w miejscu, nasłuchując.

Następnie zaś przeszła obok pokoju Gin i zapukała do drzwi Chantal.

Nikt nie odpowiadał. Zresztą trudno się dziwić, przecież ponoć się stąd wyniosła.

Lizzie zakradła się do środka i zamknęła za sobą drzwi...

– O Boże! – mruknęła, wachlując się dłonią.

Zapach drogich perfum był tak intensywny, że aż łzawiły jej oczy, ale miała teraz poważniejsze problemy. Ruszyła do garderoby, która okazała się tak ogromna, że śmiało mogłaby konkurować z działem damskim w dużym domu towarowym. Oczywiście wyłącznie z najdroższymi ciuchami, bo innych osoby pokroju Chantal przecież nie posiadały.

Jezu, czy naprawdę była gotowa to zrobić?

To chyba dość głupi pomysł – myślała, omiatając wzrokiem wieszaki, pełne wszelkiego rodzaju jedwabnych, satynowych i koronkowych kreacji, szukając czegoś pośród kostiumów, żakietów, sukni i sukienek.

– Gdzie twoja bielizna, Chantal?

Oczywiście: komoda!

Pośrodku pomieszczenia, niczym ostoja porządku stała wyspa z szufladami wychodzącymi na obie strony. Lizzie zaczęła je otwierać na chybił trafił.

No dobra, to faktycznie głupie – pomyślała. Czy naprawdę sądziła,

że znajdzie tu gdzieś te majtki?

W końcu, w trzeciej szufladzie od dołu po lewej stronie północnej części zabudowy znalazła to, czego szukała.

Poniekąd.

Pośród starannie złożonych i oddzielonych od siebie arkuszami bibuły koszulek i pasujących do nich majteczek znalazła... fioletową haleczkę, bliźniaczo podobną do tej, którą wyciągnęła spod łóżka Williama Baldwine'a.

Żeby się upewnić, że nic jej się nie przywidziało, wyjęła z szortów tę brzoskwinową i położyła je obie obok siebie na grubej białej wykładzinie. Ten sam rozmiar, ta sama marka, wszystko identyczne z wyjątkiem koloru.

Lizzie usiadła i gapiała się na obie haleczki.

Wówczas właśnie dostrzegła plamę na dywanie.

W odległym kącie pomieszczenia stała toaletka ustawiona w alkowie z oknem wychodzącym na ogród – doskonałe miejsce do nakładania makijażu (lub raczej do poddawania się zabiegom wizażystki) w świetle dziennym.

W rogu, przy kremowych nogach eleganckiego mebla widniała nieestetyczna okrągła żółta plama. Mniej więcej taka, jakie można czasem zauważyć w domach, gdzie są psy.

Ale w Easterly nie było żadnych psów.

Lizzie podeszła na czworakach do plamy, wczułgała się pod kolejny tego dnia mebel i dotknęła przebarwienia. Było suche. Uniosła palce do nosa... No tak, to właśnie źródło unoszącego się tutaj intensywnego zapachu perfum.

Lizzie zmarszczyła brwi i nieco się podniosła, wciąż klęcząc.

– O Boże... – wyszeptała.

Przez szklaną tafelę pokrywającą blat toaletki szła rysa dzieląca ją na pół. Lustro natomiast popękało promieniście, tak że rysy rozchodzące się od środka tworzyły gwiazdę.

Pośrodku której znajdowała się plama krwi.

Czas się stąd wynosić – pomyślała Lizzie.

Wróciła do bielizny rozłożonej na podłodze. Fioletową haleczkę włożyła z powrotem do szuflady, natomiast brzoskwinową wykorzystała

do tego, żeby w efekcie nagłego impulsu powycierać swoje odciski palców z uchwytów szuflad.

Wszystkich, co do jednego.

Jeszcze tego jej brakowało, żeby weszła tu policja i odkryła, że ona tu weszła...

Nagle Lizzie zamarła, słysząc męski głos. Ale nie dochodził on wcale z apartamentu Chantal, tylko zza ściany, za którą – jak sobie po chwili uświadomiła – znajdował się pokój Gin.

Rozmawiało tam dwoje ludzi. Dość głośno.

Podeszła bliżej i przystawiła ucho do ściany, na której wisiał jakiś francuski obraz przedstawiający niemal całkiem nagą kobietę.

– Nic mnie to nie obchodzi – usłyszała teraz wyraźnie głos Gin. – Przecież to ślub cywilny!

– Twój ojciec nie żyje.

Lizzie aż się wzdrygnęła. Podniosła dłoń do ust w niemym zdziwieniu.

– Zaczekamy ze ślubem, aż skończą się uroczystości pogrzebowe – mówił dalej Richard Pford.

– Nie zamierzam go opłakiwać.

– Oczywiście, że nie. Do tego musiałabyś mieć serce, a oboje wiemy, że jego brak jest cechą szczególną twojej anatomii.

Lizzie zrobiła krok w tył. Potknęła się i wpadła na komodę.

Po chwili wróciła do zacierania po sobie śladów, a następnie skierowała się do drzwi prowadzących na korytarz. Serce waliło jej tak mocno, że nie potrafiła dosłyszeć, czy na zewnątrz nikogo nie ma, uznała jednak, że ma to gdzieś. Jeśli ją tu nawet przyłapią, to co jej zrobią?

Powie, że sprawdzała, czy nie zostały tu jakieś kwiaty. Ale na korytarzu nikogo nie było.

Nie patrząc, dokąd idzie, instynktownie skierowała się w stronę schodów dla personelu. W głowie jej huczało; kolejne myśli zderzały się ze sobą, rozszczepiały i rozpadały na kawałki.

Wszystko to jednak prowadziło do jednego nieuniknionego wniosku.

Popełniła straszny błąd.

Taki, po którym właściwie nie można liczyć na przebaczenie.

Gdy była już na parterze, nagle się zatrzymała. I zaraz zdała sobie sprawę, że na miejsce postoju wybrała sobie akurat przestrzeń przed drzwiami gabinetu pani Rosalindy.

William Baldwine też już nie żył.

Zastanawiała się, jak to się stało, co mu się przydarzyło.

Przez jej głowę przeleciała seria obrazów. Lane w drzwiach szklarni, całkiem zgaszony, mówiący bezbarwnym głosem. Potem jego przyjaciel, zapewniający, że Lane nie tylko nie bzykał się na boku z Chantal, ale też w ogóle z nikim się nie widywał i nic nie robił.

A potem to pęknięte lustro na górze. I ta bielizna.

Na koniec pojawił się jeszcze obraz Chantal przy basenie, gdy tamtego ranka poprosiła Lizzie o kolejną porcję lemoniady.

Fakt, że spowijał ją wówczas jedwabny szal, nie wydawał się wtedy znaczący. Ale teraz...

Chantal pewnie miała już wtedy brzusek, który właśnie zaczynał być widoczny. To dlatego prosiła o napój bez alkoholu.

Była kochanką Williama Baldwine'a. Zdradzała męża z jego ojcem. I zaszła w ciążę.

Pewnie mu o tym powiedziała – myślała Lizzie. Zaraz po derby. A on stracił nad sobą panowanie i pobił ją tam, w jej garderobie. A potem wyrzucił ją z domu albo coś w tym rodzaju.

Lizzie pokręciła głową, a potem uniosła dłonie do rozpalonej twarzy i próbowała oddychać.

Potrafiła myśleć wyłącznie o tym, że musi jakoś naprawić to, co zrobiła Lane'owi. Bo przecież skreśliła go na podstawie wyłącznie własnego lęku, że mógłby ją znów zranić... chociaż w rzeczywistości najwyraźniej nie miał z tym wszystkim nic wspólnego.

Lizzie opuściła ręce. Wiedziała, że tym razem słowa to za mało. Gdy wpadła na możliwe rozwiązanie, zerknęła na zegarek. Jeśli się pospieszy...

Puściła się pędem przed siebie. Przemknęła przez kuchnię. Pani Aurora spojrzała tylko na nią znad patelni.

– A dokąd to tak leci? – spytała. – Pali się czy co?

Lizzie ledwo wyhamowała przy drzwiach wychodzących na garaże.

– Muszę jechać do Indiany! Jeśli zobaczy pani Lane'a, proszę mu powiedzieć, że wrócę! Wrócę na pewno!

Właściwie to jest tu całkiem ładnie – pomyślał Lane, siadając w ogrodzie.

Spoglądał na pokryte bluszczem mury, równiutkie rabatki, skrzący się błękitem basen i rząd drzwi balkonowych w centrum biznesowym i wyobraził sobie, ile pracy musiało kosztować utrzymanie tak „naturalnego” piękna całej posiadłości.

Siłą rzeczy przyszła mu na myśl pracująca w tym ogrodzie Lizzie, ale szybko wyrzucił z głowy jej obraz.

Nie ma co się nurzać w tych sprawach.

Pochylił głowę i potarł oczy. Dzwonił Samuel w sprawie Chantal, trzeba do niego oddzwonić. Mitch też zostawił wiadomość, zapewne o wstępnych wynikach sekcji. Tymczasem w pokoju na piętrze Jeff sprawdzał dokumenty finansowe.

Należało załatwić sprawę pogrzebu.

Lane jednak nie miał siły tym się zajmować.

Do diabła z tym wszystkim – pomyślał. Aurora, puść mnie stąd. Po prostu pozwól mi się jakoś od tego wywinąć.

Bardzo kochał tę kobietę. I był jej ogromnie za wszystko wdzięczny. A jednak nawet kopniak w tyłek od ukochanej mamuni nie mógł już wyzwolić w nim ducha walki.

Podniósł wzrok na gigantyczną białą bryłę rezydencji. Patrzył na nią teraz okiem rzeczoznawcy wyceniającego nieruchomość. Jeśli nie brać pod uwagę umowy podpisanej z Sutton, pewnie mogliby spłacić większość długu zaciągniętego w Prospect Trust Company, gdyby po prostu to sprzedali.

Jasna cholera, skoro ojciec nie żyje, to może jako spadkobierca mógłby po prostu spotkać się z Sutton i poprosić ją, żeby nie zlecała tego przelewu i podarła podpisaną wcześniej umowę?

Pomyślał, że w sumie mógłby do niej wysłać Edwarda.

Chociaż może nie. Może po prostu zostawi to wszystko i niech się dzieje, co chce.

Może zamiast próbować zapanować nad popsutym samolotem, w którym wszyscy siedzieli, pozwoli tej przeklętej maszynie rozbić się

o skały?

Umrze wówczas jako tchórz, który zawiódł swoją mamunię, ale przynajmniej załatwi to szybko, zamiast na chybił trafił szarpać się z aparaturą i próbować wylądować gdzieś daleko w dole...

„Lane?”

Zamknął oczy. No, świetnie. Zaczyna mieć halucynacje.

Zupełnie jakby Lizzie miała przyjść tu go...

– Lane?

Poderwał się z kamiennej ławki i zobaczył – to znaczy wydawało mu się, że chyba zobaczył Lizzie, jakiś metr od niego.

I... – kto by się spodziewał? – w późnym popołudniowym świetle wyglądała tak pięknie jak zawsze. Błękitne oczy i rozjaśnione słońcem włosy dodawały jej naturalnego uroku. Ba, nawet strój pracowników Easterly wyglądał na niej zmysłowo, choć wcale nie powinien.

– Lane, mogę z tobą porozmawiać?

Odchrząknął i wyprostował plecy, żeby wyglądać jak mężczyzna. Najwyraźniej jednak to nie halucynacja.

– Tak, oczywiście. Czego ci potrzeba? Referencji? Jeśli tak, poproszę kamerdynera...

– Przepraszam – powiedziała drżącym głosem, a potem z trudem zaczerpnęła tchu. – Jest mi strasznie przykro...

O czym ona...?

– A, mój ojciec. – Lane wzruszył ramionami. – Czyli już słyszałaś. Tak, odszedł. Pogrzeb za tydzień. Dzięki za troskę.

– Nie o tym mówię. Chociaż, no cóż, przykro mi, że straciłeś ojca. Wiem, że nie mieliście dobrych relacji, ale to i tak trudne.

– No tak, większość moich relacji z ludźmi nie wygląda najlepiej. Taka już moja specjalność.

Nawet w jego własnych uszach zabrzmiało to fałszywie. W bardziej normalnych okolicznościach nie użyłby takich słów.

To Edward. Mówię głosem Edwarda – pomyślał.

Lizzie podeszła do niego, a potem z niemałym zdziwieniem stwierdził, że przed nim uklękła. A do tego...

– Dlaczego płaczesz? – spytał. – Dobrze się czujesz...?

– Boże, jak możesz o to pytać? Po tym, co zrobiłam...

– O czym ty...?

Jak zwykle mówili jedno przez drugie, a ponieważ nie miał siły starać się rozszyfrować, o co jej chodzi, zamilkł w nadziei, że sama coś mu wytłumaczy i wszystko stanie się jasne.

– Myliłam się – wykrztusiła. – Przepraszam, że ci nie wierzyłam. W sprawie Chantal. Po prostu... Nie chciałam dać się znów zranić wyciągnęłam pochopne wnioski. Boże, teraz już wiem, że to sprawka twojego ojca, po prostu wiem. To on ją pobił, to z nim zaszła w ciążę... Tak mi głupio...

Po jej policzkach ciekły łzy, które kapały jak krople deszczu prosto na trawę u jego stóp.

Lane tylko mrugał, oszołomiony. Nie potrafił nic więcej...

Chryste Panie, jego głowa już sobie z tym nie radziła. Po prostu nie mógł zrozumieć, co ona do niego mówi...

Lizzie sięgnęła w tył i wyjęła coś z torby. Plik papierów złożony na pół.

– „Przepraszam” to za mało – powiedziała. – Zbyt mocno cię zraniłam. Więc... postanowiłam zrobić coś konkretnego, coś, czym ci udowodnię, że naprawdę jestem po twojej stronie, że cię kocham i że... naprawdę z tobą jestem.

Wyciągnęła ku niemu zadrukowane kartki.

– Nie wystarczą słowa, potrzebne są czyny.

Lane pokręcił głową.

– Lizzie, nie wiem, o czym ty...

– Weź to – powiedziała.

Zrobił, o co go prosiła, tylko dlatego, że nie potrafił wymyślić, jak miałby się jej sprzeciwić. Rozprostował kartki i spojrzał na...

Mnóstwo liter. I trochę liczb.

Na drugiej kartce widniała jakaś mapa.

– To akt własności mojej farmy – szepnęła Lizzie. – Wiem, że w porównaniu z twoim majątkiem nie jest to wiele. Ale to wszystko, co na tym świecie do mnie należy.

– Nie rozumiem...

– Przy tej skali problemów finansowych, z jakimi się borykasz, to na pewno nie pozwoli ci spłacić długów. Ale ma wartość wystarczającą,

żeby opłacić dobrych prawników, ludzi, którzy ci pomogą to wszystko uporządkować. – Wskazała ręką na trzymane przez niego papiery. – Wczoraj wszystko spłaciłam, farma więc nie jest w ogóle zadłużona. Już wcześniej mi proponowano, żebym ją sprzedała. To dobra ziemia, ma swoją wartość. I należy do ciebie.

Zabrakło mu tchu w piersi.

Serce mu zamarło.

A dusza z niego uleciała.

– Kocham cię, Lane. Przepraszam, że w ciebie wątpiłam... Boże, nie masz pojęcia, jak strasznie się czuję. Pozwól, żebym ci to w ten sposób wynagrodziła, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy. Albo... możesz mi rzucić te papiery w twarz, jeśli wolisz. Nie będę mieć do ciebie pretensji. Czulałam po prostu potrzebę zrobienia czegoś, co miałyby konkretne konsekwencje. Po prostu musiałam... ofiarować ci całą siebie i wszystko, co mam...

Lane całkiem bezwiednie wyciągnął do niej rękę.

Ale zdał sobie z tego sprawę w chwili, gdy Lizzie przyłgnęła do jego piersi.

Otoczył ją ramionami i całkiem stracił nad sobą panowanie, jakby otworzyła się tama i wszystkie nagromadzone w nim uczucia wylały się w jednym wielkim szlochu.

A Lizzie, ta cudowna kobieta o mocnym ciele i wielkim sercu, tuliła go tak długo, aż się uspokoił.

– Wszystko będzie dobrze – mówiła. – Obiecuję. Jakoś się to wszystko ułoży.

Gdy w końcu udało mu się pozbierać na tyle, żeby się wyprostować, poczuł nagłą potrzebę, żeby sięgnąć w okolice rozporoka i sprawdzić, czy nadal jest mężczyzną. Lizzie jednak zdawała się w ogóle nie przejmować okazywaną przez niego słabością.

Otarł kciukami jej twarz, a potem ją pocałował.

– Kocham cię, Lizzie – powiedział, po czym pokręcił głową. – Ale z tym Bogiem to już nie wiem.

– Co?

Lane z drzeniem zaczerpnął powietrza do płuc.

– Aurora zawsze mi coś takiego powtarzała.

– Ale co?

Znów ją pocałował.

– Nie wiem, czy mam w sercu Boga... Ale jestem pewien jednego: że mam ciebie. I dzięki temu jestem niezwykle bogaty.

Znów ją do siebie przyciągnął, a potem mocno się do niej przytulił, jednocześnie wpatrując się w rodzinną rezydencję.

Pieprzyć to rozbijanie się o skały – pomyślał.

Na chwilę obecną... poczuł się po prostu głową rodziny, jaka by ona nie była.

I niech go wszyscy diabli, jeśli pod jego bacznym okiem wszystko się zawali.

Mała zapowiedź tego,
co wydarzy się w następnym tomie

Następnego dnia objawił się ostatni element układanki.

Gdy było już po wszystkim, Lane uznał, że właściwie nie powinno go to dziwić. W Easterly wciąż przewracały się kolejne kostki domina, co mogło prowadzić albo do ostatecznego upadku jego rodziny, albo do jej chwały – to wciąż zależało jeszcze od układu prostych i krzywych wytyczonych przez los, przeznaczenie lub Boga, jeśli się w niego wierzy. Nie dawało się ani przewidzieć toru dalszych wydarzeń, ani się na nie przygotować.

Lane był właśnie w salonie i nalewał sobie rodzinnej rezerwy do szklanki z lodem, szykując się na spotkanie z Samuelem, swoim prawnikiem, gdy usłyszał dochodzące z ogrodu hałasy. Ktoś krzychał. Był to głos kobiety, która...

Gdy wypadł na zewnątrz przez drzwi frontowe, zdał sobie sprawę, że kobieta krzyczy po niemiecku.

– *Scheisse! Oh, mein Gott! Ein Finger! Ein Finger...*

Lane rzucił się pędem, rozlewając bourbona. Pobiegnął na drugą stronę rezydencji, tę wychodzącą na rzekę.

Jego ukochana Lizzie stała nad swoją koleżanką Gretą, która kuciała, wskazując coś w ziemi i wciąż coś krzycząc.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Odpowiedź na to pytanie stała się jasna, gdy tylko zauważył pod opadającym rondem kapelusza Lizzie jej wytrzeszczone ze zdziwienia oczy.

– Lane... – powiedziała, nie patrząc na niego. – Mamy problem.

Wyciągnęła rękę i pociągnęła Gretę ku sobie, aż Niemka upadła pupą w świeżo skoszoną trawę.

– Niczego nie ruszaj, Lane. Podejdź tylko tutaj, proszę. Zbliżył się do niej i objął ją w talii, bardziej zaniepokojony jej stanem niż jakimś tam robalem, którego pewnie znalazły w ziemi.

– Cokolwiek by to nie było, jestem pewien, że...

– To palec – powiedziała Lizzie, wskazując głową odkrytą ziemię między pędami bluszczu. – To jest palec. Tam, w ziemi.

Kolana mu trzasnęły, gdy kucał. Oparł się wolną dłonią o porośniętą trawą ziemię, po czym nachylił się, żeby lepiej się przyjrzeć temu, co leżało w płytkim zagłębieniu...

To... Tak, to był palec. Ludzki palec.

Skóra na nim była przybrudzona ziemią, ale dawało się dostrzec, że jest nienaruszony, tylko... strasznie gruby, jakby spuchł, odkąd został odcięty, wyrwany, czy co tam się z nim stało. Paznokiec krótko przycięto, a podstawa palca, gdzie wcześniej łączył się z dłonią, miała równy, gładki przekrój: szare mięso otaczała białą okrągłą kropkę – końcówkę kości.

Ale wcale nie to najbardziej go interesowało.

Wzrok Lane'a przykuwało otaczające palec grube złote kółko.

– To sygnet ojca – powiedział bezbarwnym głosem.

Poklepał się po kieszeni i wyjął z niej telefon, ale nie wybierał jeszcze żadnego numeru.

Spojrzał za to w górę, aż do okna sypialni matki.

Zaledwie przed kilkoma dniami rzeka Ohio wyrzuciła na brzeg, zaraz za wodospadami, sponiewierane ciało ojca. Według nieoficjalnej opinii koronerów, wydanej jeszcze przed sekcją zwłok, było to samobójstwo. Zważywszy na wszystko, czego Lane ostatnio dowiedział się na temat fatalnego stanu finansów swojej czcigodnej rodziny, nie mógł się z tą opinią nie zgodzić.

To nie żarty mieć ponad pięćdziesiąt milionów dolarów długu, jeśli wedle wszelkich szacunków wartość majątku netto powinna wynosić niemal miliard dolarów.

Wydawało się jednak wysoce nieprawdopodobne, żeby ktoś odcinał sobie palec serdeczny i zakopywał go pod oknem swojej małżonki, mającej wkrótce owdowieć. Zwłaszcza jeśli całkiem niedawno zrobił dziecko innej kobiecie.

– Słodki Jezu... – szepnął Lane.

W tej właśnie chwili w panującej dookoła ciszy rozległ się odgłos samochodu zajeżdżającego na żwirowy podjazd.

– Mogę dołączyć do tego zgromadzenia? – spytał Samuel, wysiadając z zabytkowego jaguara. – Czy wstęp tylko za zaproszeniem?

Lizzie oparła dłoń na ramieniu Lane'a i je ścisnęła, a on podniósł

wzrok i patrzył jej w twarz, choć mówił do swojego prawnika.

– Samuel, dzwoń po policję. Natychmiast.

– Dlaczego? Jeśli znaleźliście tu ukryty skarb, powinniśmy go zatrzymać...

– Wydaje mi się, że ojciec wcale nie popełnił samobójstwa. Samuel urwał w pół słowa.

– Słucham?

– Myślę, że... – Lane spojrzał na prawnika, a potem znów wbił wzrok w twarz Lizzie, ponieważ, tak jak wcześniej, potrzebował jej siły, żeby przez to przejść. – Myślę, że ojciec mógł zostać zamordowany...

A co gorsza obawiał się, że to właśnie on będzie głównym podejrzanym.

W końcu przecież ojciec zrobił dziecko jego żonie, z którą Lane się właśnie rozwodził.

Podziękowania

Ogromnie dziękuję całemu zespołowi New American Library, a zwłaszcza mojej wspaniałej szefowej Karze Welsh oraz Leslie Gelbman. Dziękuję również Drużynie Waud oraz całej mojej rodzinie i wszystkim przyjaciołom.

Jakieś dziesięć lat temu przeprowadziłam się na Południe i muszę powiedzieć, że szczerze je pokochałam. Trochę trwało, zanim się do wszystkiego przyzwyczaiałam, ale obecnie całkowicie przejęłam już styl życia Louisville, zwanego „miastem derby”: jestem wielką fanką międzyuczelnianych rozgrywek koszykówki (#LouisvilleCardinals4ever), mam tu mnóstwo wspaniałych przyjaciół oraz dom, w którym czuję się naprawdę u siebie. Książka ta na pewno nie mogłaby powstać, gdyby nie to miejsce i ludzie, których tu poznałam. Po raz pierwszy w mojej twórczości istnieją pewne luźne związki między postaciami z książki a znanymi mi osobami – jeśli się spotyka tak barwne osobowości, jak ich nie opisać?

Z tego względu podziękowania otrzymują następujące osoby (wymienione w dość dowolnej kolejności): Leonard, moja córka, moja mama, Nomers i Jonah, mój szczeniaczek i TatSon, moja najlepsza przyjaciółka i jej dzieci, mój tata, Bob Melzer, Nique i Clarke, pan Henry Camp vel wujek Stank, dr Michael „Bad Boy” Haboubi z rodziną, dr Gary Edlin z żoną (ksywki nie podaję do wiadomości publicznej), Chuck Mitchell oraz urocze Renee i Cya, pan i pani Ballard oraz Gracie i SophSoph, mój przybrany syn chrzestny Jacob (I kto jest szefem?!), Polly i William (Cardinals!) z rodzicami, ciocia Betsey i wujek Bob wraz z całą rodziną, babcia Sue oraz Geegaw, mój teść i babcia Gray, babcia i ciocia Lee, mała Lee z bliźniętami, doktorowie Foxowie, rodzina Nortonów, niezrównany Roderick Hodge z rodziną, Kathy Cary, Robinsonowie (zwłaszcza pani domu, która mnie zawsze podejmuje wszystkim, co najlepsze), oba zestawy Ronaldów (ten ode mnie i ten od mojej mamy), wszyscy członkowie rodziny Brownów (na której nie jest oparty absolutnie żaden element tej książki, mówię poważnie), Sandra Frazier, Fellonowie, Ghislain i Nicholas, Karl i Elizabeth, Steph, Robert i BOB, Leslie i Andy Hyslop i jeszcze wiele, wiele innych osób.

Na koniec pragnę podziękować babci mojego cudownego męża Neville'a – pani Blakemore, która na zawsze pozostanie w moim sercu uosobieniem prawdziwej Damy z Południa.

Staralam się nikogo nie pominąć. Jeśli mi się nie udało, ogromnie przepraszam.

